

*Rita Monaldi*

**I m p r i m a t u r**

Z włoskiego przełożyła

*Hanna Borkowska*

*Prorocze interpretacje  
Tajemnicy Sądu Ostatecznego:*

Wskreszenie przeszłości  
Zadośćuczynienie za doznane krzywdy  
Sprawiedliwy sąd potomności

Nic nie powinno zagać; przeszłość przetrwa  
w tym, co dotyczy przyszłości.

**Oswald Wirth, *Tarot***

Como, 14 lutego 2040

Jego Eminencja  
Alessio Tanari  
Sekretarz Kongregacji do Spraw Świętych  
Watykan

In nomine Domini

*Ego, Lorenzo Del Agio, Episcopus Comi, in processu canonizationis beati Innocentii Papae XI, iuro me fideliter diligenterque impleturum munus mihi commissum, atque secretum servaturum in iis ex quorum revelatione preiudicium caasae vel infamiam beato afferre posset. Sic me Deus adiuvet. \**

Drogi Alessio!

Zechciej mi wybaczyć, że rozpoczynam ten list formułą rytualnej przysięgi, zobowiązującą do zachowania w tajemnicy oszczerstw, które mogłem mimowolnie usłyszeć na temat jakiegokolwiek błogosławionej duszy.

Wiem, że darujesz swojemu dawnemu nauczycielowi z seminarium nieco inny styl korespondencji niż ten, do którego przywykłeś.

Trzy lata temu napisałeś do mnie z polecenia Ojca Świętego list w sprawie cudownego uzdrowienia, do którego doszło ponad czterdzieści lat temu w mojej diecezji i było dziełem błogosławionego Innocentego XI, w życiu świeckim Benedykta Odescalchiego z Como. Opowiadałem Ci o nim, kiedy byłeś małym chłopcem.

Jak zapewne pamiętasz, przypadek *mira sanatio* dotyczył sieroty z oko-

Patrz: *Objaśnienia fragmentów łacińskich* zamieszczone na końcu książki (przyp. red.).

lic Como, chłopczyka, któremu pies odgryzł palec u ręki. Babcia dziecka, miłująca Innocentego XI, zawiąawszy zakrwawiony strzępek ciała w obrazek z wizerunkiem tego papieża, przekazała razem z wnuczką lekarzom pogotowia ratunkowego. Kiedy zakończył się zabieg, dziecko w jednej chwili odzyskało całkowitą zdolność posługiwania się przyszytym palcem i czucie w nim, co wprawiło w zdumienie zarówno chirurga, jak i jego asystentów.

Zgodnie z Twoimi wskazówkami i pragnieniem Ojca Świętego przygotowałem dokumentację procesu *super mira sanatione*, którego mój poprzednik nie uznał wtedy za stosowne zainicjować. Nie będę dokładnie opisywać wszystkich szczegółów. Zdołałem zakończyć proces, mimo że niemal wszyscy świadkowie tamtego wydarzenia dawno już nie żyją, kartę choroby po dziesięciu latach zniszczono, a chłopiec, dziś pięćdziesięcioletni mężczyzna, mieszka na stałe w Stanach Zjednoczonych. Akta sprawy wyślę Ci oddzielnie. Wiem, że procedura wymaga, byś poddał je ocenie Kongregacji, a następnie napisał sprawozdanie dla Ojca Świętego. Wiem też, jak bardzo naszemu ukochanemu Papieżowi zależy na tym, aby po stu latach od beatyfikacji nastąpił proces kanonizacyjny, który pozwoli ogłosić Innocentego XI świętym. Gorąco popieram intencję Ojca Świętego i niezwłocznie przechodzę do rzeczy.

Jak zapewne zauważyłeś, wraz z listem przesyłam pokaźny plik kartek. Jest to maszynopis książki, której dotąd nie wydano. Trudno mi odtworzyć dokładną genezę tego dzieła, jako że dwójka autorów, wysławszy mi jego kopię, przepadła bez śladu. Jestem pewien, że kiedy zapoznasz się z maszynopisem, Pan nasz podpowie Ojcu Świętemu i Tobie, drogi Alessio, rozwiązanie dylematu: *secretum servare aut non?* Przemilczeć czy opublikować tę pracę? To, co postanowicie, będzie dla mnie święte.

Z góry przepraszam, że pióro, które wzięłem do ręki po trzech latach żmudnych badań, nie opisze wszystkiego zbyt dokładnie.

Autorów maszynopisu, młodych narzeczonych, poznałem czterdzieści trzy lata temu. Byłem wówczas świeżo mianowanym proboszczem parafii w Rzymie, gdzie przybyłem z mojego ukochanego Como, do którego z łaski naszego Pana powróciłem po latach jako biskup. Obydwoje młodzi, Rita i Francesco, byli dziennikarzami. Ponieważ mieszkali w mojej parafii, uczęszczali do mnie na nauki przedmażeńskie. Rozmowy z nimi szybko wykroczyły poza ramy zwykłego kursu i przybrały bardziej bezpośredni, przyjacielski charakter. Przypadek zrządził, że zaledwie na piętnaście dni przed ślubem ksiądz, który miał im udzielić ślubu, rozchorował się. Rita i Francesco zwrócili się więc do mnie.

Ogłosiłem ich mężem i żoną pewnego słonecznego popołudnia w połowie czerwca w jasnym, surowym wnętrzu kościoła San Giorgio in Velabro, usytuowanego w pobliżu zabytkowych ruin Forum Romanum i cytadeli na Kapitolu. Była to bardzo podniosła i wzruszająca uroczystość. Modliłem się żarliwie do Boga o długie, spokojne lata życia dla młodej pary.

Potem widywaliśmy się jeszcze przez jakiś czas. Wiedziałem, że chwile wolne od pracy zawodowej Rita i Francesco poświęcają studiom. Po napisaniu prac magisterskich z dziedziny literatury zainteresowali się nieco bardziej dynamiczną, a zarazem cyniczną dziedziną, jaką jest dziennikarstwo, ale o dawnych pasjach nie zapomnieli. Kiedy mieli więcej czasu, czytali ciekawe książki, zwiedzali muzea, chodzili do biblioteki.

Raz w miesiącu zapraszali mnie na kolację albo na popołudniową kawę. Zdarzało się, że zanim mogłem usiąść, musieli usunąć z krzesła stopy fotokopii, mikrofilmów, reprodukcji starodruków. Za każdym razem sterta wydawała się coraz wyższa. W końcu, wiedziony ciekawością, spytałem, czym się z takim zapałem zajmują. Odpowiedzieli mi wówczas, że jakiś czas temu w prywatnych zbiorach pewnego rzymskiego arystokraty i bibliofila odnaleźli ośmiotomowy rękopis z początków XVIII wieku. Ze względu na wspólnych znajomych właściciel manuskryptów, markiz \*\*\* \*\*\*, zgodził się, by Rita i Francesco przestudowali je. Stanowiły one prawdziwą perelkę dla badaczy historii. Ośmiotomowe dzieło okazało się zbiorem listów opata Atta Melaniego, przedstawiciela starego szlacheckiego rodu muzyków i dyplomatów z Toskanii.

Prawdziwe odkrycie miało jednak dopiero nastąpić. W jednym z tomów młodzi badacze natrafili na obszerny manuskrypt, będący rodzajem pamiętnika, opatrzony datą roczną: 1699. Drobne pismo z pewnością wyszło spod innej ręki niż reszta dzieła. Anonimowy autor wspomnień przedstawił się jako posługacz w rzymskim zajeździe; opowiadał o tajemniczych wydarzeniach w 1683 roku w Paryżu, Rzymie i Wiedniu. Pamiętnik został poprzedzony krótkim wstępem w formie listu bez daty, bez nazwiska nadawcy i odbiorcy. Treść listu była równie zagadkowa.

Tamtego dnia nie uzyskałem więcej informacji. Młodzi małżonkowie utrzymywali swoje odkrycie w najgłębszej tajemnicy. Zrozumiałem jedynie, że odnalezienie pamiętnika dało początek ich dalszym studiom. Ponieważ jednak obydwójce pożegnali się już ze środowiskiem uniwersyteckim i nie mogli prowadzić pracy naukowej w obrębie uczelni, zaczęli rozmyślać o nadaniu pamiętnikowi formy powieściowej. Powiedzieli mi

o swoim zamiarze jakby żartem. Początkowo czułem się nieco zawiedziony. Z pozycji uczonego, za jakiego ośmielałem się uważać, uznałem ten pomysł za niepoważny i nierealny. Później jednak, z wizyty na wizytę, dostrzegalem, że ta historia wciąga ich coraz bardziej - w niespełna rok po ślubie poświęcali jej już każdą wolną chwilę.

Pewnego razu Rita i Francesco wyznali mi, że podczas podróży poślubnej do Wiednia całe dni spędzali w archiwach i bibliotekach. Nigdy ich o nic nie pytałem, przyjmując postawę milczącego i dyskretnego powiernika. Nie słuchałem, niestety, z należytą uwagą, kiedy opowiadali mi o postępach prac. Pewnego dnia, w początkach nowego wieku, na fali entuzjazmu po narodzinach córeczki i jednoczesnego zniechęcenia życiem w naszym biednym kraju, postanowili przenieść się do Wiednia, do miasta, które urzekło ich podczas podróży poślubnej. Zaprosili mnie na krótko przed wyjazdem z Rzymu, aby się pożegnać. Obiecali, że będą pisać i odwiedzać innie za każdym razem, kiedy przyjadą do Włoch. Nie dotrzykali żadnej z tych obietnic, przepadli bez wieści. Aż pewnego dnia, kilka miesięcy temu, otrzymałem przesyłkę z Wiednia zawierającą maszynopis, który Ci teraz, drogi Alessio, przesyłam. Jest to z dawna oczekiwana przeze mnie powieść.

Ucieszyłem się, że Rita i Francesco zrealizowali swój projekt. Chciałem im podziękować, ale ku mojemu zdumieniu nie podali swojego adresu, brakuje też jakiegokolwiek dopisku. Na pierwszej stronie, którą można uznać za tytułową, widnieje krótka dedykacja: „Pokonany”, a na odwrocie ostatniej strony - napisane flamastrem imiona: „Rita i Francesco”.

Przeczytałem powieść. A może raczej powinienem nazwać ją pamiętnikiem? Czy naprawdę chodzi tu o barokowy pamiętnik, przetworzony z myślą o dzisiejszym czytelniku? A może jest to współczesna powieść, której akcja toczy się w XVII wieku? Albo jedno i drugie? Nieustannie zadaję sobie te pytania. Niektóre partie tekstu wydają się pochodzić z XVII stulecia, gdy postacie posługują się w rozmowie słownictwem zaczerpniętym z siedemnastowiecznych traktatów. Kiedy jednak dialog ustępuje miejsca akcji, język ulega naglej zmianie, te same postacie mówią współczesnym językiem, a ich działania przywodzą na myśl topoty powieści kryminalnych, w stylu Sherlocka Holmesa i Watsona. Odnosi się wrażenie, że w tych miejscach autorzy pragnęli pozostawić swój ślad.

A jeśli Rita i Francesco skłamali? Czasem nachodzą mnie tego typu

wątpliwości. A może rękopis posługacza, który odnaleźli, jest czystym wymysłem? Tym bardziej że do złudzenia przypomina wstęp do *Narzęczonych* Manzoniego i *Trzech muszkieterów* Dumasa. Dziwnym zbiegiem okoliczności akcja tych wybitnych powieści również rozgrywa się w XVII wieku.

Nie zdołałem, niestety, rozwikłać tej zagadki, która chyba na zawsze pozostanie tajemnicą. Nie udało mi się dotrzeć do ośmiu tomów listów opata Melaniego, skąd wzięła początek cała ta historia. Mniej więcej dziesięć lat temu książkami z biblioteki markiza \*\*\* \*\*\* podzielili się spadkobiercy, aby je następnie wystawić na licytację. Korzystając z pomocy znajomych, zdobyłem listę nabywców, którą nieformalnie przekazał mi dom aukcyjny zajmujący się wyprzedają biblioteki. Kiedy sądziłem, że oto Pan udzielił mi łaski i niebawem rozwieją się wszystkie moje wątpliwości, odkryłem, że listy opata przeszły na własność Rity i Francesca. Ich adresu, ma się rozumieć, nie znałem.

W ciągu trzech ostatnich lat, dysponując raczej skromnymi środkami, przeprowadziłem żmudne badania nad maszynopisem. Wyniki tych studiów zapisałem na stronach, które dołączyłem na końcu tekstu. Proszę Cię, drogi Alessio, abyś przeczytał je z największą uwagą. Dzięki nim dowiesz się, kiedy przystąpiłem do lektury nadesłanej powieści i na jakie cierpienia zostałem narażony. Znajdziesz tam szczegółowy wykaz wydarzeń historycznych, o których wspomina się w maszynopisie, a także sprawozdanie z badań, które prowadziłem w archiwach i bibliotekach wielu krajów europejskich, aby sprawdzić, czy takty przytoczone w powieści są prawdziwe. Jak sam wiesz, chodzi o bardzo istotne wydarzenia, które gwałtownie i bezpowrotnie zmieniły bieg dziejów. Dziś mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że wydarzenia i postacie przedstawione w powieści są prawdziwe. W tych miejscach natomiast, gdzie nie mogłem odnaleźć dowodów na potwierdzenie tego, co przeczytałem, uznałem, że chodzi o zdarzenia całkowicie prawdopodobne.

Choć historia opowiedziana przez moich byłych parafian nie dotyczy wyłącznie Innocentego XI (którego postać nie należy zresztą do pierwszoplanowych bohaterów powieści), pojawiają się w niej okoliczności ponownie rzucające cień na kryształowo czystą osobę Ojca Świętego i uczciwość jego zamiarów. Użyłem słowa „ponownie”, ponieważ proces beatyfikacyjny papieża Odescalchiego, rozpoczęty 3 września 1714 roku niemal natychmiast przerwano z powodu obiekcji *super virtutibus*, które zgłosił promotor wiary w łonie Kongregacji. Dopiero po upływie trzy-

dziestu lat Benedykt XIV Lambertini wydał edykt nakazujący milczenie promotorom i doradcom, podającym w wątpliwość odwagę i cnoty Innocentego XI. Niedługo potem proces przerwano ponownie, tym razem na niemal dwieście lat. Dopiero w 1943 roku, za pontyfikatu Piusa XII, wybrano kolejnego referenta. Na beatyfikację trzeba było czekać jeszcze trzysta lat, do 7 października 1956 roku. Po tej dacie postać papieża Odescalchiego odeszła w zapomnienie. Przeszto mówić o uznaniu go za świętego, aż do dziś.

Korzystając z prawodawstwa, które Jan Paweł II zatwierdził ponad pięćdziesiąt lat temu, mógłbym z własnej inicjatywy rozpocząć dodatkowe dochodzenie. W takim wypadku nie wolno by mi było jednak *secretum servare in iis ex quorum revelatione preiudicium causae vel infamiam beato afferre posset*. Musiałbym zatem wyjawić komuś treść maszynopisu Rity i Francesca, na przykład promotorowi lub postulatorowi (czyli „advokatowi” i „prokuratorowi” świętych, jak dziś zwykło się ich określać w gazetach). W ten sposób przyczyniłbym się do powstania poważnych wątpliwości co do cnót świętego. Tego rodzaju decyzja leży w gestii Ojca Świętego, nie w mojej.

Jeśli natomiast powieść została opublikowana, byłbym zwolniony z obowiązku dotrzymania tajemnicy. Miałem nadzieję, że książka moich parafian znalazła już wydawcę. Poprosiłem kilku najmłodszych i najbardziej nieświadomych spośród moich współpracowników, aby to sprawdzili. W katalogach książek w sprzedaży nie znaleźli jednak żadnej tego rodzaju pracy ani nazwiska moich przyjaciół.

Próbowałem skontaktować się z parą młodych parafian (którzy z pewnością zdążyli się już postarzeć). W urzędzie stanu cywilnego uzyskałem informację, że mieszkali w Wiedniu przy Auerspergstrasse 7. Napisałem list i wysłałem pod ten adres. Odpowiedział dyrektor uniwersyteckiego pensjonatu, przepraszając, że nie może mi pomóc. Zwróciłem się do urzędu miasta Wiednia, ale niczego się nie dowiedziałem. Pisałem do ambasad, konsulatów, diecezji w innych krajach, niestety bez rezultatu.

Obawiałem się najgorszego. Napisałem też do proboszcza Minoritenkirche, włoskiego kościoła w Wiedniu. Nikt jednak nie znał Rity i Francesca, ich, nazwiska na szczęście nie było też w archiwum zarządu cmentarza. W końcu postanowiłem pojechać do Wiednia, z nadzieją, że odnajdę ich córkę, choć po czterdziestu latach nie pamiętałem jej chrzestnego imienia. Ta ostatnia próba również spełzła na niczym, co było do



przewidzenia. Oprócz pism pozostała mi tylko fotografia moich dawnych przyjaciół, którą mi kiedyś podarowali. Dołączam ją do tej przesyłki.

Od trzech lat wszędzie ich szukam. Czasami przyglądam się kobietom z rudymi włosami, takimi jakie miała Rita, zapominając, że po tylu latach jest zapewne siwa, podobnie jak ja. Dziś miałaby siedemdziesiąt cztery lata, a Francesco siedemdziesiąt sześć.

Tymczasem żegnam się z Tobą i z Ojcem Świętym. Oby Bóg natchnął Was do lektury tej powieści.

Monsinior Lorenzo Dell'Agio  
biskup diecezji w Co

*Pokonany*

*Panie,  
wysyłając Waszej Ekszelencji ten oto pamiątek,  
który udało mi się w końcu odnaleźć, ośmielam się  
żywić nadzieję, że Wasza Ekszelencja potraktuje mój czyn  
jako wyraz najwyższego przywiązania i miłości.  
Możliwość okazania Waszej Ekszelencji tych uczuć  
jest dla mnie największym szczęściem.*

*Pamiętnik*  
zawierający opis wielu godnych uwagi  
wydarzeń, które miały miejsce  
w gospodzie „Donzello”  
przy via dell 'Orso  
w roku 1683,  
jak również odniesienia do innych faktów,  
zarówno wcześniejszych, jak i późniejszych.

*Rzym, A.D. 1699*

## Dzień pierwszy

*11 września 1683 roku*

Ludzie z Bargello\* przybyli późnym popołudniem, dokładnie w chwili, gdy zapalałem pochodnię oświetlającą sztyd naszej gospody. Przynieśli ze sobą deski i młotki, a także pieczęcie, łańcuchy i duże gwoździe. Idąc od via dell'Orso, rozpychali przechodniów i krzyczeli na gapiów, żeby się rozeszli. Byli wyraźnie zagniewani. Kiedy znaleźli się obok mnie, zaczęli wymachiwać rękami.

- Wszyscy do środka! Do środka! Zamykamy! - wołał człowiek wydający rozkazy.

Ledwie zdążyłem zejść ze stołka, na którym stałem, a już czyjeś mocne ramiona wepchnęły mnie brutalnie do wewnątrz, jednocześnie zaś kilku ludzi zagrodziło wejście do gospody. Siałem jak osłupiały. Otrząsnąłem się dopiero na widok stłoczonej gromadki osób, które na skutek pokrzykiwań oficerów wyrosły nagle przede mną jak spod ziemi. Byli to goście naszej gospody, znanej pod nazwą „Donzello”.

Mieliśmy zaledwie dziewięciu lokatorów. Jak co wieczór w porze kolacji zeszli na dół i krążyli między otomanami w przedpokoju a stołami w dwóch jadalniach. Wszyscy udawali bardzo czymś zajętych, w rzeczywistości zaś trzymali się w pobliżu młodego Francuza, muzyka Roberta Devizego, który ćwiczył się w grze na gitarze.

- Wypuście mnie! Jak śmiecie? Zabierz te łapy! Nie mogę tu zostać! Jestem zdrow jak ryba, rozumiecie? Nic mi nie jest! Dajcie mi wyjść!

Człowiekiem, który tak krzyczał (z trudem dostrzegłem jego postać zza włóczy pilnujących go strażników), był ojciec Robleda, hiszpański jezuita i nasz gość. Ogarnięty paniką, wołał podniesionym głosem, ciężko dysząc, aż szyja nabrzmiała mu i poczerwieniała z wysiłku. Jego wrzaski przypominały kwiczenie zarzynanej świni.

Bargello- siedziba straży miejskiej (przyp. tłum.).

Hałas w gospodzie słycać było aż na ulicy, a zapewne także na pobliskim placu, który w mgnieniu oka opustoszał. Naprzeciw gospody zobaczyłem sprzedawcę ryb i dwóch służących z pobliskiego zajazdu „Pod Niedźwiedziem”, przyglądających się całemu zamieszaniu.

- Zamykają nas! - krzyknąłem do nich, starając się wyjrzeć na zewnątrz, ale oni stali niewzruszeni.

Dwaj sprzedawcy, octu i śniegu, oraz grupka dzieci, których pokrzykiwania jeszcze kilka minut temu pobrzmiwały na ulicy, skryli się w półochu za rogiem.

Tymczasem mój pryncypał, Pellegrino de Grandis, postawił niewielki stolik na progu gospody. Jeden z oficerów Bargello położył na nim listę gości, którą mu właśnie doręczono, i zaczął wyczytywać nazwiska.

- Ojciec Juan de Robleda z Granady.

Ponieważ nigdy dotąd nie byłem obecny przy zamykaniu gospody z powodu kwarantanny i nikt mi o tym nigdy nie opowiadał, początkowo sądziłem, że zostaniemy odesłani do więzienia.

-- Nieprzyjemna historia - wyszeptał weneccjanin Brenozzi.

- Proszę podejść, ojciec Robleda! - niecierpliwł się oficer.

Jezuita, powalony na ziemię przez strażnika, podniósł się, a stwierdziwszy, że wszystkie drogi ucieczki są zagrodzone włóczniami, uniósł w odpowiedzi owłosioną rękę. W tej samej chwili popchnięto go w moją stronę. Ojciec Robleda przybył do nas z Hiszpanii przed kilkoma dniami i przerażony tym, co się wydarzyło, nie przestawał wydawać okrzyków trwogi.

- Opat Melani z Pistoii! - wywołał oficer następną osobę z listy gości.

Nasz ostatni gość, opat Melani, zakwaterował się w gospodzie dopiero o świcie. Usłyszawszy swoje imię, uniósł rękę, a jego małe, trójkątne oczy zabłysły niczym ostrza sztyletów. Gdy Melani spokojnym krokiem, w milczeniu podszedł do nas, jezuita nie wykonał żadnego ruchu, żeby go przepuścić, jakby na złość opatowi, który rano, głośno krzycząc, podniósł alarm.

Wszyscy usłyszeliśmy ten krzyk dochodzący z pierwszego piętra. Pan Pellegrino zerwał się na równe nogi i pobiegł na górę, do dużego pokoju od strony via delfOrso. Wynajęli go dwaj mężczyźni: pan de Mourai, francuski szlachcic w podeszłym wieku, oraz jego opiekun Pompeo Dulcibeni z Marche. De Mourai siedział w fotelu ze stopami w misce - najwidoczniej szykował się do mycia nóg - i ramionami bezwładnie zwieszonymi po bokach. Podtrzymał go opat Melani i szarpiąc za kołnierz, starał się ocucić. Francuz zdawał się nieczuły na wysiłki swojego wybaw-

cy i szeroko otwartymi oczami patrzył na Pellegrina, chrapliwie przy tym rżąc. Pellegrino zorientował się, że opat wcale nie wzywa pomocy, ale nerwowo wypytuje o coś Francuza, czyniąc przy tym dużo zamieszania. Ponieważ rozmawiał z nim po francusku, mój pryncypał niczego nie rozumiał. Domyślił się tylko, że Melani pyta szlachcica, co mu się stało. Pellegrino odniósł wrażenie (jak sam o tym później opowiadał), że opat zbyt mocno potrześa de Mouraim. Pospieszył tedy uwolnić biednego starca z przesadnie jego zdaniem silnego uścisku. W tej samej chwili biedny pan de Mourai z najwyższym wysiłkiem wypowiedział swoje ostatnie słowa.

- A więc to prawda - wyszeptał po włosku i znowu zaczął rżęzić, nie przestając wpatrywać się w gospodarza. Z ust pociekła mu zielonkawa ślina i wyzionął ducha.

- Był stary, *es el viejo* - stwierdził ojciec Robleda, pół po włosku, pół po hiszpańsku, a kiedy dwóch strażników wypowiedziało słowa „dzuma” i „zamknąć”, aż się zdrygnął.

- Cristofano, medyk z Sieny.

Gość z Toskanii podszedł do nas powoli, z niewielką skórzaną walizką z narzędziami w ręku.

- To ja - przedstawił się cichym głosem, odchrząknął, niespiesznie otworzył torbę i wyjął plik kartek.

Cristofano był grubiutkim, niewysokim mężczyzną o schludnym wyglądzie i pogodnym spojrzeniu, które wprawiało wszystkich w dobry nastrój. Tego wieczoru był jednak wyraźnie wytrącony z równowagi, o czym świadczyła jego pobladła twarz zlna potem, którego nawet nie próbował ocierać, niewidzący wzrok, a także nerwowość przejawiająca się w ciągłym głąskaniu czarnej spiczastej bródki.

- Pragnę uściślić, iż po pierwszych, acz dokładnych oględzinach ciała pana de Mourai nie mam żadnej pewności, że chodzi o chorobę zakaźną - stwierdził Cristofano. - W przeciwieństwie do doświadczonego medyka z Kongregacji Zdrowia, który jest tego pewien, choć niezwykle krótko badał ciało. Mam tutaj - ciągnął, pokazując kartki - notatki. Sądzę, że skłonią was one do ponownego zastanowienia się i odwołania pochopnie podjętej decyzji.

Ludzie z Bargello nie mogli ani nie chcieli wnikać w szczegóły.

- Magistrat nakazał natychmiastowe zamknięcie gospody - uciał krót-

ko dowódca i dodał, że nie zarządzono właściwej kwarantanny. Zajazd miał być bowiem zamknięty jedynie przez dwadzieścia dni, nie zachodziła też konieczność ewakuacji mieszkańców sąsiednich domów, o ile, oczywiście, nie dojdzie do kolejnych zgonów lub podejrzanych zachorowań.

- Ponieważ ja również będę odizolowany, a chciałbym postawić ostateczną diagnozę - powiedział lekko poirytowany Cristofano - muszę się czegoś dowiedzieć o ostatnim posiłku zmarłego pana de Mourai. O ile wiem, jadał zawsze sam, w swoim pokoju. Może zatem był to wylew?

Na te słowa strażnicy zawahali się i spojrzeli pytająco na mojego pryncypała, on jednak nawet nie słyszał pytania medyka. Siedział przygnębiony na krześle, jęczał i jak zwykle przeklinał los, który nieustannie zsyłał mu zmartwienia. Ostatnio, jakiś tydzień temu, w murze gospody pojawiło się pęknięcie, co w starych rzymskich domach zdarzało się dość często. Mimo że szczelina doraźnie nie stanowiła żadnego zagrożenia, mój pryncypał był załamany i stracił humor.

Ponownie przystąpiono do wyczytywania nazwisk. Ponieważ zbliżał się wieczór, dowódca postanowił zamknąć *gospodę*, *nie* zwlekając.

- Domenico Stilone Priaso z Neapolu! Angiolo Brenozzi z Wenecji!

Dwaj młodzieńcy, z których jeden był poetą, a drugi wytwórcą przedmiotów ze szkła, podeszli do nas, spoglądając po sobie, jakby zadowoleni, że wyczytano ich razem. We dwójkę najwidoczniej było im różniej. Wenecjanin Brenozzi, o przerażonym spojrzeniu, z błyszczącymi czarnymi loczkami, zadartym nosem i rumianymi policzkami, przypominał porcelanową figurkę Chrystusa. Szkoda tylko, że w zdenerwowaniu miał brzydki zwyczaj szczypać się w przyrodzenie, zupełnie jakby grał na jednostrunowym instrumencie. Jego nawyk od razu rzucił mi się w oczy, pozostali goście raczej nie zwrócili na to uwagi.

- Miej nas w swej opiece, Panie! - mówił, popłakując, ojciec Robleda, ale nie zrozumiałem, czy z powodu nieprzyzwoitego gestu Brenozzi, czy ze względu na sytuację, w jakiej się znaleźliśmy. Po chwili, ze zsiniałymi wargami, opadł na stołek.

- I wszyscy święci! - dodał poeta. - Wygląda na to, że przyjechałem z Neapolu, aby się zarazić chorobą.

- Złe pan uczynił - skomentował jezuita, ocierając chusteczką pot z czoła. - Powinien był pan pozostać w swoim mieście.

- Być może, ale teraz, kiedy mamy dobrego papieża, sądziłem, że Bóg będzie nam sprzyjał. Ale najpierw trzeba przekonać się, co myślą o tym Turcy - wyszeptał Domenico Stilone Priaso.



Słowa neapolitańskiego poety trafiły w sedno, od wielu już bowiem tygodni hordy żądnych krwi Turków osmańskich zbliżały się do Wiednia. Oddziały niewiernych kierowały się nieubłaganie (jak wynikało ze zwyciężonych sprawozdań, które do nas docierały) wprost na stolicę Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego; zagrożenie, że wkrótce ją zdobędą, było bardzo realne. Broniący jej chrześcijanie wytrzymywali oblężenie jedynie dzięki sile swojej wiary. Wobec braku żywności i broni, pierwszych przypadków dżumy, nękania dyzenterią, gotowi byli w każdej chwili skapitulować.

Powszechnie było wiadomo, że jeśli Wiedeń padnie, oddziały Kara Mustafy przełamią ostatnią przeszkodę na drodze na zachód. Istniało zatem niebezpieczeństwo, że Turcy zaleją całą Europę, siejąc śmierć i спустoszenie. Aby przeciwdziałać zagrożeniu, swoje siły zjednoczyli książęta, monarchowie i wybitni dowódcy, między innymi król Polski Jan III Sobieski, książę Karol z dynastii lotaryńskiej, książę Maksymilian Bawarski, Ludwik Wilhelm z Baden. Wszystkich przekonał i zmobilizował do pomocy oblężonemu wybitny obrońca i podpora chrześcijaństwa papież Innocenty XI.

Od dłuższego czasu papież wytrwale zabiegał o to, by zjednoczyć, zebrać i wzmocnić wojska chrześcijańskie. W tym celu stosował nie tylko środki polityczne, ale także finansowe. Z Rzymu nieustannie płynął strumień pieniędzy: ponad dwa miliony skudów dla cesarza, pięćset tysięcy florenów dla Polski i sto tysięcy skudów ofiarowanych przez krewnego papieża, środki ofiarowane przez kardynałów, a także niezwykle hojny dar w postaci dziesięćcin na rzecz kościoła z Hiszpanii.

Świętej misji, której podjął się papież, towarzyszyło wiele innych miłosiernych uczynków dokonanych w ciągu siedmiu lat jego pontyfikatu.

Siedemdziesięciodwuletni następca Piotra, urodzony jako Benedetto Odescalchi, świecił przykładem. Wysoki, szczupły, z szerokim czołem, orlim nosem, surowym spojrzeniem, wystającym podbródkiem, wąsami i spiczastą bródką, zyskał opinię ascety.

Innocenty XI był człowiekiem nieśmiałym i powściągliwym, rzadko można było zobaczyć go w mieście w karocy, starannie unikał też wszelkich oznak popularności. Wybrał sobie najmniejsze i najskromniejsze pokoje, w których nie mieszkał dotąd żaden inny papież, unikał też spacerów w ogrodach Kwirynału i Watykanu. Był tak skromny i oszczędny, że używał ubrań i szat liturgicznych należących do swoich poprzedników.

Od dnia elekcji nosił tę samą białą sutannę, coraz bardziej zniszczoną. Zmienił ją dopiero wtedy, gdy ktoś z jego otoczenia zauważył, że wikariuszowi Chrystusa na ziemi nie wypada nosić tak zużytego odzienia.

Papież Innocenty XI położył duże zasługi w dziele zarządzania majątkiem Kościoła. Uzdrowił finanse kamery apostolskiej, które od haniebnych czasów Urbana VIII i Innocentego X były przedmiotem poważnych nadużyć. Zniósł nepotyzm. Jak mówiono, po wstąpieniu na tron papieski poinformował swojego bratanka Livia, że nie uczyni go kardynałem, co więcej, będzie go trzymał z dala od spraw papiestwa.

Poza tym nawoływał wiernych do życia w skromności i obyczajności. Teatry, będące miejscem zbyt swobodnej rozrywki, zostały zamknięte, a zabawy karnawałowe, na które jeszcze dziesięć lat temu zjeżdżali się goście z całej Europy, odwołane. Przyjęcia i koncerty ograniczono do minimum. Kobietom zakazano noszenia zbyt wydekoltowanych na modłę francuską sukien. Oddziały straży papieskiej sprawdzały, czy bielizna susząca się w oknach jest należycie skromna, i sekwestrowały zbyt nieprzyzwoite gorsety i bluzki.

Surowość, zarówno w odniesieniu do finansów, jak i moralności, pozwoliła Innocentemu XI zebrać fundusze na walkę z Turkami i przekazać je wojskom chrześcijańskim.

Wojna wkroczyła właśnie w decydującą fazę. Cały świat chrześcijański zastanawiał się, czy Wiedeń zwycięży, czy poniesie klęskę. Mieszkańcy Rzymu trwożnie spoglądali na wschód, skąd każdego dnia spodziewali się hordy okrutnych janczarów i jeźdźców tureckich, którzy będą poić swoje konie w fontannach opodal Bazyliki św. Piotra.

Jeszcze w lipcu Innocenty XI wyraził chęć proklamowania roku jubileuszowego, aby błagać Boga o pomoc i zebrać większe środki na walkę z Turkami. Skierował uroczysty apel do ludności świeckiej i duchownych o zdwojoną hojność. Odbyła się też wspaniała procesja, w której wzięli udział wszyscy kardynałowie i wysocy urzędnicy kurii. W połowie sierpnia papież polecił, by każdego wieczoru dzwony we wszystkich rzymskich kościołach biły przez jedną ósmą godziny, w intencji wyblągania boskiej pomocy.

W początkach września w Bazylice św. Piotra wystawiono Najświętszy Sakrament, nadając uroczystości bogatą oprawę plastyczną. Wydarzeniu towarzyszył akompaniament muzyczny i oracje. Na osobiste życzenie papieża zakonnicy odśpiewali, a wierni tłumnie zebrani w kościele wysłuchali *missa solemnis contra paganos*.

Utarczka słowna jezuitę z poetą przypominała wszystkim obecnym o strachu, który padł cieniem na całe miasto. Żart Stilone Priasa spotęgował lęk ojca Robledy, i tak już mocno przerażonego. Jezuita drżał, zmarszczywszy brwi, a jego tłusty podbródek trząsał się z nadmiaru emocji.

- *Czyżby ktoś z obecnych tu sprzyjał Turkom?* - zapytał ironicznie.

Wszyscy odruchowo spojrzeli na poetę, którego łatwo można było wziąć za tureckiego wysłannika, jako że miał ciemną, ospowatą twarz, oczy czarne jak węgiel i spojrzenie puszczyka. Wyglądem przypominał tych krótko ostrzyżonych zbójów, których niestety nie brakuje na drogach Królestwa Neapolu.

Stilone Priaso nie zdążył odpowiedzieć.

- Zamilczcie wreszcie! uciszył nas żandarm i wyczytał kolejne nazwiska.

- Pan de Mourai, Francuz, z panem Pompeo Dulcibenim z Fermo oraz Robert Devizé, muzyk z Francji.

Mój pryncypał, pan Pellegrino, pośpiesznie wyjaśnił, że pierwszą z wyczytanych osób był stary Francuz, który zatrzymał się w gospodzie „Donzello” z końcem lipca i w ostatnich dniach zmarł, prawdopodobnie na skutek zakaźnej choroby. Dodał, że szlachcic by 1 już bardzo schorowany, niemal całkowicie ślepy i przybył w towarzystwie panów Devizego i Dulcibeniego jako opiekunów. Właściwie niewiele, o nim wie. Od dnia przyjazdu stale powtarzał, że jest zmęczony, kazał przynosić sobie posiłki do pokoju, wychodził rzadko, co najwyżej na krótki spacer w pobliżu gospody. Strażnicy zanotowali wyjaśnienia Pellegrina.

- To niemożliwe, panowie - zawołał - żeby zmarł na dżumę! Miał wspaniałe maniery, był bardzo elegancki. Na pewno umarł ze starości, ot, i wszystko!

Pellegrino rozmawiał z żandarmami łagodnym tonem, co mu się zdarzało nader rzadko. Mimo dostojnego wyglądu - wysokiej, szczupłej sylwetki, lekko zgarbionej pod brzemieniem pięćdziesięciu lat, delikatnych dłoni, gęstych, siwych włosów przewiązanych wstążką, brązowych, rozmarzonych oczu - mój pryncypał był, niestety, popędliwy i skory do gniewu, a swoje wypowiedzi obficie przetykał przekleństwami. Tym razem jednak, wobec zbliżającego się zagrożenia, zdołał zapanować nad swoją gwałtowną naturą.

Żandarm ponownie wyczytał nazwiska młodego Devizego i Pompea

Dulcibeniego. Na widok przechodzącego muzyka, który jeszcze przed chwilą tak urzekająco grał na gitarze, oczy naszych gości zabłyśły.

Ludziom z Bargello zaczęło się śpieszyć. Nie czekając, aż Dulcibeni i Devize podejną do ściany, odepchnęli ich na bok.

- Pan Eduardus Bedfordi, Anglik, i kobieta... Cloridia - wyczytał oficer z listy.

Ironiczny uśmiech, z jakim wypowiedział ostatnie imię, nie pozostawiał cienia wątpliwości, jaki to najstarszy zawód świata uprawia jedyna kobieta wśród gości gospody. Niewiele o niej wiedziałem, pryncypał umieścił ją bowiem w wieżycze z oddzielnym wejściem. Przez niecały miesiąc jej pobytu musiałem zanosić jej posiłki i wino, a ponadto dostarczać (niezwykle często) bileciki w zaklejonych kopertach, na których prawie nigdy nie widniało nazwisko nadawcy. Cloridia była bardzo młoda, mniej więcej w moim wieku. Czasami schodziła do sal na parterze i rozmawiała bardzo uprzejmie, muszę przyznać, z którymś z gości. Z rozmów, które przeprowadziła z panem Pellegrinem, wynikało, że miała zamiar zamieszkać w naszej gospodzie na stałe.

Pan Bedfordi, który pochodził z dalekich Wysp Brytyjskich, wzbudzał powszechne zainteresowanie. Miał płomiennorude włosy, żółte piegi na nosie i policzkach, oczy jasnoniebieskie i zezowate, czego nigdy przedtem nie widziałem. Słyszałem, że nie pierwszy raz zatrzymał się w naszej gospodzie, podobnie jak wytwórca wyrobów ze szkła Brenozzi i poeta Stilone Priaso. Anglik był tu w czasach, gdy zajazd prowadziła świętej pamięci kuzynka mojego pryncypała.

Moje nazwisko wyczytano na końcu.

- Ma dwadzieścia lat, pracuje u mnie od niedawna - wyjaśnił Pellegrino. - Obecnie to mój jedyny pomocnik, gdyż mamy teraz niewielu gości. Nic o nim nie wiem, przyjąłem go do pracy, bo nie miałem nikogo innego - mówił szybko pryncypał, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie ponosi winy za sytuację w gospodzie.

- Pokażcie, który to, bo musimy już zamykać! - zawołał zniecierpliwiony strażnik.

Pellegrino chwycił mnie mocno za ramię i wypchnął do przodu, tak że omal nie straciłem równowagi.

- A cóż to za mysikrólik? - zadrwił żandarm wśród rehotu rozbawionych strażników.

Przez okna gospody nieśmiało zaglądali mieszkańcy dzielnicy. Dowiedzieli się, co się dzieje, ale tylko najbardziej ciekawscy odważyli się podejść. Pozostali trzymali się z daleka, lękając się zarazy.

Żandarmi zakończyli zadanie. Gospoda miała cztery wejścia. Dwa z nich znajdowały się od strony via delForso: brama główna i obok niej szerokie drzwi do jadalni, otwarte w letnie wieczory. Ponadto było też boczne wejście dla służby, prowadzące z zaułka bezpośrednio do kuchni, i niewielkie drzwiczki oddzielające sień od podwórza. Wszystkie wejścia zostały starannie zamknięte i zabite grubymi bukowymi deskami, jak również przejście z wieżyczki Cloridii na dach. Okna na parterze i na pierwszym piętrze oraz niewielkie otwory piwniczne, wychodzące na wybrukowany zaułek, były zakratowane. Próba ucieczki z drugiego piętra czy poddasza nie mogła zakończyć się powodzeniem.

Dowódca z Bargello, gruby osobnik z obcięтым do połowy uchem, wydawał rozkazy. Poleciał, abyśmy spuścili ciało nieszczęsnego pana de Mourai z okna tuż po świcie, kiedy przyjedzie po nie wóz Towarzystwa Modlitwy i Śmierci zajmującego się pochówkami. Od szóstej rano do dziesiątej wieczór będzie nas pilnował jeden strażnik, przez pozostałe dwanaście godzin drugi. Otrzymaliśmy zakaz opuszczania gospody do chwili całkowitego wygaśnięcia zarazy, czyli przez dwadzieścia dni. Upredzono nas, że w tym czasie kilka razy dziennie będą wyczytane nasze nazwiska, a wywołana osoba pokaże się w oknie wychodzącym na via deirOrso. Wyposażono nas w duże bukłaki z wodą, naczynie z ubitym śniegiem, kilka bochenków chleba, ser, słoninę, oliwki, trochę pachnących ziół i kosz żółtych jabłek. Konie, będące własnością zajazdu, miały pozostać tam, gdzie były, czyli w stajni, a woźnica w pomieszczeniu obok.

Każdy, kto wyjdzie na zewnątrz lub podejmie próbę ucieczki, będzie czterdzieści razy rozciągany sznurami, następnie doprowadzony do magistratu i ukarany. Do drzwi gospody przybito tabliczkę z napisem „Z polecenia Kongregacji Zdrowia”. Upomniano nas także, abyśmy przestrzegali wszystkich zaleceń, które zostaną nam przekazane później, włącznie z dyspozycjami wydawanymi na okoliczność wystąpienia zarazy. Ci, którzy nie podporządkują się nakazom, zostaną surowo ukarani. Słuchaliśmy tych słów z wnętrza gospody w osłupieniu.

- Zginęliśmy! Wszyscyśmy zginęli! - oznajmił jeden z gości bezbarwnym głosem.

Zgromadziliśmy się w długim, wąskim przedSIONKU gospody, ciemnym i ponurym, gdy zamknięto i zabito drzwi. Spoglądaliśmy na siebie stropieni. Nikt się nie poruszył, by przejść do jadalni, gdzie stygła wieczerza. Mój pryncypał, oparty o stolik przy drzwiach wejściowych, pomstował, trzymając się za głowę. Rzucił przekleństwa i bluźnierstwa, których nie

śmiem przytoczyć. Odgrażał się, że wyrządzi krzywdę każdemu, kto do niego podejdzie. Nagle zaczął bić pięściami w nieszczęsny stół, aż spadła z niego lista gości, następnie podniósł go i rzucił nim o ścianę. Próbowaliśmy przytrzymać Pellegrina za ramiona, on jednak zdołał się uwolnić z uścisku, stracił równowagę i przewrócił się, pociągając za sobą dwóch gości, którzy upadli jeden na drugiego. W porę zdążyłem uskoczyć, zanim mnie przygnietli. Pellegrino szybko się podniósł i znowu zaczął walić pięściami w blat stołu.

Opuściłem to ciasne i dość niebezpieczne miejsce i umknąłem cichaczem na schody. Kiedy wchodziłem na górę, natknąłem się na opata Melaniego. Schodził powoli, ostrożnie stawiając kroki.

- A zatem zamknęli nas, drogi chłopcze - powiedział, wymawiając z francuska głoskę *r*.

- Co z nami będzie? - spytałem.

- Nic.

- Umrzemy na dżumę.

- Zobaczmy - rzekł opat dziwnym, tak dla niego charakterystycznym tonem.

Pociągnął mnie do dużego pokoju na pierwszym piętrze, który zmarły Francuz dzielił ze swym opiekunem, Pompeo Dulcibemim z Marche. Gdy odsunął kotarę przedzielającą pokój, zobaczyliśmy medyka Cristofana z nieodłączną walizką.

Naprzeciw niego spoczywał w fotelu pan de Mourai, z nogami w misce z wodą, jak go zastaliśmy tego ranka. Wrześniowy upał zrobił swoje i ciało wydawało nieprzyjemną woń.

- Chłopcze, już rano prosiłem cię, żebyś wytarł tę cuchnącą wodę z podłogi - rzekł Cristofano zniecierpliwionym tonem.

Chciałem powiedzieć, że wykonałem jego polecenie, gdy spojrzawszy na podłogę, dostrzegłem trochę wody wokół miski. Bez słowa wytarłem więc podłogę ścierką na kiju, przeklinając się w duchu za zaniedbanie. Nigdy dotąd nie widziałem trupa i zapewne z wrażenia byłem trochę nieuważny.

De Mourai był chudszy i bledszy niż w dniu przybycia do gospody. Z półotwartych ust sączyła się jeszcze zielonkawa ślina. Cristofano wytarł ją szmatką, szerzej otworzył zmarłemu usta, uważnie obejrzał gardło i powąchał ślinę. Następnie, z pomocą opata Melaniego, przeniósł starca na łóżko. Wyjęte z wody stopy miały szarą barwę i wydawały duszącą woń śmierci.

Cristofano wyjął z walizeczki brązowe niciane rękawiczki, założył je

i ponownie zaczął oglądać jamę ustną zmarłego, następnie opukał jego klatkę piersiową i przyjrzał się okolicom pachwin. Zbadał miejsca za uszami, a następnie, rozsunąwszy koszulę, pod pachami. Na koniec kilkakrotnie ucisnął jego podbrzusze. Zdjął ostrożnie rękawiczki i odłożył do pojemnika przedzielonego na pół poziomą kratką. W dolnej części znajdowała się miseczka, do której Cristofano nalał trochę brunatnego płynu, i zamknął pojemnik.

- To ocet - wyjaśnił. - Zabija zarazki. Ostrożności nigdy za wiele, choć nadal jestem zdania, że to nie dżuma. Na razie możemy być spokojni.

- Ludziom z Bargello powiedział pan, że być może w grę wchodzi wylew - przypomniałem.

- Powiedziałem tak, żeby zyskać na czasie. Dowiedziałem się od Pellegrina, że de Mourai jadał wyłącznie zupy.

- To prawda - potwierdziłem. Dzisiaj o świcie też zażył sobie zupy.

- Ach tak? Mów dalej - zachęcił zaciekawiony medyk.

- Co tu mówić? Po prostu zamówił zupę mleczną, kiedy mój pryncypał, jak każdego ranka, poszedł go obudzić i szlachcica z Marche, z którym pan de Mourai dzielił pokój. Pan Pellegrino był zajęty, polecił więc, żebym to ja ugotował zupę. Zszedłem do kuchni, przygotowałem posiłek i zaniósłem panu de Mourai.

- Byłeś sam?

- Tak.

- Nikt nie wchodził do kuchni?

- Nie.

- A ty wychodziłeś, kiedy zupa stała na ogniu?

- Ani na chwilę.

- Na pewno?

- Jeśli uważa pan, że to zupa zaszkodziła panu de Mourai, to pragnę poinformować, że nakarmiłem go osobiście, ponieważ pan Dulcibeni gdzieś wyszedł. Sam też zjadłem trochę tej zupy.

Lekarz nie zadał więcej pytań. Popatrzył na nieboszczyka i dodał:

- Nie mogę dokonać tu sekcji. Sądzę, że nikt jej nie przeprowadzi ze względu na podejrzenie o dżumę. Moim zdaniem to jednak nie zaraza.

- Dlaczego więc zostaliśmy odizolowani? - spytałem.

- Z nadgorliwości. Jesteś za młody, żeby pamiętać poprzednią epidemię w mieście. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wkrótce zorientują się, że tego rodzaju zagrożenie nie istnieje. Ten stary Francuz, który i tak nie wyglądał na zdrowego, nie umarł na dżumę. Powiem więcej: ani ty, ani ja

na nią nie zachorujemy. Nie mamy jednak wyboru i musimy spuścić przez okno ciało i ubranie biednego pana de Mourai, tak jak polecili żandarmi. Poza tym każdy z nas musi spać w osobnym pokoju. A jest ich pod dostatkiem w gospodzie, o ile się nie mylę - rzekł, patrząc na mnie pytającym wzrokiem.

Przytaknąłem skinieniem głowy. Na każdym piętrze, po obu stronach korytarza, były w sumie cztery pokoje. Pierwszy z nich, po stronie schodów, był dość duży, za nim następował kolejny, niewielki pokój, za nim następny w kształcie litery L, na końcu korytarza natomiast usytuowane było największe pomieszczenie, z oknami wychodzącymi na zaułek i na via deirOrso. Pomyślałem więc, że zostaną zajęte wszystkie pokoje, zarówno na pierwszym, jak i na drugim piętrze. Pryncypał z pewnością nie będzie się złościł z tego powodu, ponieważ na razie i tak nie mógł przyjąć nowych gości.

- Dulcibeni będzie spał w moim pokoju - dorzucił Cristofano. - Nie może zostać tu z nieboszczykiem! W każdym razie - podsumował - jeśli nie będzie kolejnych zachorowań, prawdziwych lub nie, za kilka dni powinni nas wypuścić.

- A konkretnie? - spytał Atto Melani.

- Któż to wie? Jeśli w okolicy ktoś się źle poczuje, bo na przykład zaszkodzi mu wino lub zepsuta ryba, wszyscy od razu pomyślą o nas.

- Grozi nam zatem, że pozostaniemy tu na zawsze - wysnułem wniosek i poczułem, że się duszę w murach gospody.

- Na pewno nie. Uspokój się! Przez ostatnie tygodnie i tak pozostawałeś w gospodzie dniami i nocami! O ile wiem, bardzo rzadko wychodziłeś. Powinieneś być przyzwyczajony.

To prawda. Właściciel zajazdu wziął mnie do pracy z litości, gdyż wiedział, że jestem sam na świecie. Pracowałem więc od świtu do nocy.

W początkach minionej wiosny Pellegrino przyjechał do Rzymu z Bolonii, gdzie pracował jako kucharz, by przejąć gospodę „Donzello” po poprzedniej właścicielce, jego kuzynce Luigii de Grandis Bonetti. Biedaczka oddała duszę Bogu na skutek komplikacji zdrowotnych po napadzie, którego dopuścili się dwaj Cyganie, gdy próbowali wyrwać jej na ulicy woreczek z pieniędzmi. Gospoda, którą Luigia prowadziła przez trzydzieści lat, najpierw z mężem Lorenzem i synem Franceskiem, a po ich śmierci sama, cieszyła się niegdyś dużą renomą. Zatrzymywali się w niej goście z całego świata. Głęboki szacunek, jakim Luigia darzyła księcia Orsiniego, właściciela kamienicy, w której mieściła się gospoda, skłonił



wdowę do uczynienia z księcia swojego jedyne go spadkobiercy. Kiedy Pellegrino (który miał na utrzymaniu żonę i dwie córki, jedną na wydaniu, a drugą zaledwie kilkuletnią) przyjechał z Bolonii, ubłagał Orsiniego, by pozwolił mu przejąć gospodę po kuzynce.

Mój pryncypał stanął ponownie przed życiową szansą, zaprzepaściwszy uprzednio inną wspaniałą okazję, jaką była jego wysoka pozycja w służbie bogatego kardynała. Pellegrino, osiągnąwszy z wielkim trudem stanowisko stolnika, nie potrafił zapanować nad swoim krewkim charakterem i został zwolniony.

Po przyjeździe do Rzymu zamieszkał w pobliżu gospody i czekał, aż z kamienicy wyprowadzą się dotychczasowi lokatorzy. Wtedy to polecił mnie do pracy w gospodzie proboszcz pobliskiego kościoła Santa Maria in Posterula. Z nastaniem upalnego lata żona pryncypała, której zupełnie nie uśmiechał się pomysł prowadzenia zajazdu, wyjechała wraz z córkami w Apeniny, gdzie mieszkali jej rodzice. Panie miały wrócić pod koniec miesiąca, tymczasem byłem więc jedynym pomocnikiem gospodarza.

Bardzo się starałem, żeby pan Pellegrino był ze mnie zadowolony. Gdy uporałem się z codziennymi obowiązkami, szukałem innej roboty. Nic lubiłem wychodzić z gospody i bez potrzeby narażać się na drwiny moich rówieśników. Zawsze czymś zajęty, całymi dniami, jak zauważył Cristofano, pozostawałem w gospodzie. Teraz jednak myśl, że na okres kwarantanny muszę siedzieć zamknięty w pokoju, nawet przytulnym i miłym, wydała mi się nie do zniesienia.

Uczestnicy szarpaniny w drzwiach weszli wraz z pryncypałem na górę. Opinia Cristofana podniosła na duchu wszystkich, z wyjątkiem Pellegrina.

- Pozabijam ich! Wszystkich ich pozabijam! - wołał rozzłoszczony.

Dodał, że ta sprawa go zniszczyła, odtąd nikt już nic zatrzyma się w jego gospodzie, nie uda się też nikomu jej sprzedać, między innymi z powodu tego przeklętego pęknięcia w murze, będzie więc musiał przeznaczyć cały kredyt na zakupienie nowego zajazdu, grozi mu nędza i całkowita ruina, ale najpierw opowie o wszystkim w kolegium gospodarzy zajazdów, tak, nawet jeśli to się na nic nie zda. Gadał tak, często przecząc samemu sobie, wysnułem więc wniosek, że, niestety, znowu nadużył greckiego wina.

- Musimy - ciągnął dalej lekarz - pościel i ubranie zmarłego zrzucić

z okna, kiedy podjedzie wóz. - Następnie zwrócił się do **Dulcibeniego**: - Czy w drodze z Neapolu spotkaliście jakichś chorych ludzi?

- Nie, nikogo.

Szlachcic z Marche z trudem krył wzruszenie wywołane śmiercią pana de Mourai, która w dodatku nastąpiła podczas jego nieobecności. Na jego czole i policzkach pojawiły się krople potu. Medyk wypytywał Dulcibeniego o najdrobniejsze szczegóły: czy zmarły jadał regularnie, czy nie miał kłopotów z wypróżnieniem, czy bywał smutny, czy zdradzał jakieś inne oznaki cierpienia niż te, które zwykle wiążą się ze starością? Na to ostatnie pytanie szlachcic zaprzeczył. Duicibeni był potężnym mężczyzną, zawsze ubranym w czarny żakiet. Poruszał się powoli, jego ruchy krępowała bowiem duża, stara kryza typu flamandzkiego (modna wiele lat temu), jak również wystający brzuch. Duży brzuch i rumiana twarz świadczyły o nadmiernym apetycie, a w przypadku mojego pryncypała - o pociągu do wina. Gęste włosy, zupełnie już siwe, ponure usposobienie, zmęczony głos i zamyślony, poważny wyraz twarzy nadawały mu wygląd człowieka prawego i skromnego. Po pewnym czasie, kiedy baczejniej mu się przyjrzałem, dostrzegłem, że surowe spojrzenie modrych oczu r stałe zmarszczone rzadkie brwi są wyrazem skrytego, zimnego okrucieństwa.

Duicibeni oświadczył, że poznał zmarłego pana de Mourai przypadkiem, podczas podróży, i niewiele o nim wie. Razem z panem Devizem towarzyszył mu w drodze z Neapolu, ponieważ starzec, niemal całkowicie niewidomy, potrzebował opieki. Pan Devize, muzyk grający na gitarze, przybył do Italii - opowiadał Duicibeni, a Devize mu potakiwał - aby kupić nowy instrument od neapolitańskiego lutnika. Później postanowił zatrzymać się w Rzymie, żeby przed powrotem do Paryża zapoznać się z nowymi stylami muzycznymi.

- Czy coś się stanie, jeśli wyjdziemy przed zakończeniem kwarantanny? - spytałem.

- Stanowczo odradzałbym ucieczkę - odparł Cristofano - zważywszy, że zabito deskami drzwi wyjściowe, włącznie z przejściem, które z wieżyczki zamieszkałej przez pannę Cloridię prowadzi na dach. Okna są zbyt wysokie i zakratowane, a przed gospodą stoją strażę. Próba ucieczki przed zakończeniem kwarantanny przyniosłaby srogą karę i jeszcze gorszą, wieloletnią izolację. Mieszkańcy dzielnicy z pewnością pomogliby schwytać zbiega.

Tymczasem nastał wieczór, więc zapaliłem lampy oliwne.

- Postarajmy się nie tracić pogody ducha - dodał tokański medyk, patrząc znacząco na mojego pryncypała. - Musimy dać strażnikom do

zrozumienia, że u nas wszystko jest w najlepszym porządku. Jeśli nic się nie zmieni, nie będę was badał, chyba że mnie o to poprosicie. Jeśli powtórzą się kolejne przypadki choroby, będę musiał to zrobić dla waszego dobra. Kiedy tylko poczujecie się źle, dajcie mi znać, nawet jeśli niedomaganie wyda się wam błahostką. Na razie jednak nie macie powodów do zmartwienia, ponieważ ten człowiek - oświadczył, wskazując na nieruchome ciało pana de Mourai - nie zmarł na dżumę.

- A więc na co? - spytał opat Melani.

- Nie na dżumę, powtarzam.

- Skąd to wiesz, medyku? - nalegał opat.

- Trwa lato i jest dość gorąco. Jeśli to dżuma, to w grę wchodzi jej letnia odmiana, wywołana zmianą temperatury powietrza. Objawia się gorączką, bólem głowy, ciała zmarłych natomiast, pokryte ciemnymi, gnijącymi krostami, natychmiast czernieją. Ten nieboszczyk nie ma śladu ropni, wrzodów, krost, żadnych tego typu rzeczy, ani pod pachami, ani za uszami, ani w pachwinach. Ze słów jego towarzyszy podróży wynika, że na kilka godzin przed śmiercią nie miał gorączki i czuł się raczej dobrze. Moim zdaniem są to wystarczające dowody, żeby wykluczyć dżumę.

- Zatem to inna choroba - stwierdził Melani.

- Jak już mówiłem, aby poznać przyczynę ;»gonu, należałoby przeprowadzić sekcję zwłok. Otworzyć ciało i obejrzeć organy wewnętrzne, tak jak postępują medycy w Holandii. Dokonane przeze mnie oględziny wskazują na to, że mogłoby chodzić o ostry atak gorączki gnilnej, którą można rozpoznać dopiero wtedy, gdy już nie ma ratunku. Ciało nieboszczyka pozbawione jest jednak śladów gnicia, a nieprzyjemny zapach wywołany jest starością i śmiercią. Można też założyć, że był to przypadek choroby Mazucca - lub Modora, jak mówią Hiszpanie - spowodowanej abscesem, czyli ropniem mózgu, a więc niewidocznym i w konsekwencji powodującym śmierć. W początkowym stadium chorobę łatwo wyleczyć. Gdybym wiedział o tym kilka dni wcześniej, może mógłbym uratować pana de Mourai. Wystarczyłoby upuścić mu trochę krwi z żyły pod językiem, podać odrobinę witriolu, posmarować brzuch i głowę poświęconym olejem. Ale, o ile mi wiadomo, tuż przed śmiercią Francuz na nic się nie skarżył. Poza tym...

- Poza tym? - ponaglił Melani.

- Choroba Mazucca nie powoduje obrzęku języka - zakończył lekarz, uśmiechając się znacząco. - Być może pan de Mourai został... otruty.

Trucizna. Kiedy medyk opuścił pokój, wszyscy spojrzeli w milczeniu na nieboszczyka. Jezuita po raz pierwszy przeżegnał się. Pan Pellegrino ponownie zaczął przeklinać, że miał pecha, ponieważ w jego gospodarze zmarł człowiek, prawdopodobnie został otruty, i co na to powie żona, kiedy wróci z podróży.

Goście zajazdu wszczęli rozmowę na temat słynnych otruc, niekiedy jedynie domniemanych. Wspominali dawnych władców, takich jak Karol Łysy, król Francji Lotar i jego syn Ludwik, a z czasów nam bliższych - Borgiów, którzy do swych niecznych zbrodni wykorzystywali arsenik, oraz podstępnych Walezjuszy i Gwizjuszy. Wszystkich ogarnął lęk, ale nic dziwnego - strach i trucizna są ze sobą blisko związane. Jeden z gości przypomniał, że Henryk z Nawarry, zanim został królem Francji Henrykiem IV, w obawie przed trucizną w napoju sam czerpał wodę z Sekwany. A Jan Austriacki? Czyż nie zmarł po założeniu zatrutych butów? Stilone Priaso przywołał postać Katarzyny Medycejskiej, która otruła Joannę d'Albert, matkę Henryka Nawarskiego, za pomocą rękawiczek i pachnących kołnierzyków, po czym powtórzyła zbrodniczy eksperyment, ofiarując własnemu synowi wspaniałą księgę o polowaniu, o nieco posklejanych stronicach, nasączonych silną włoską trucizną, które podczas lektury zmuszony był rozdzielać poślinionym palcem.

Jeden z gości stwierdził, że zabójcze wynalazki często były dziełem astrologów i wytwórców perfum. Ktoś inny przypomniał losy Saint-Barthelemy<sup>go</sup>, sługi słynnego przeora z Cluny, który otruł kardynała Lotaryngii, płacąc mu zatrutymi złotymi monetami. Padło też imię Henryka z Lutzelburga zmarłego podczas komunii (cóż za haniebna śmierć!) po spożyciu trucizny zawartej w konsekrowanej hostii.

Stilone Priaso szeptem przekonywał gości, że o poetach i ludziach zajmujących się pisaniem mówi się wiele niedorzeczności, ale on jest tylko poetą, urodzonym dla poezji, oby Bóg przebaczył mu ten brak skromności.

Później wszyscy popatrzyli na mnie i zaczęli wypytywać o zupe, którą rano zaniósłem panu de Mourai. Musiałem kilka razy powtórzyć, że nikt inny oprócz mnie nie zbliżył się do talerza. W końcu uwierzyli i przestali zwracać na mnie uwagę.

Zauważyłem, że jedyną osobą, która porzuciła towarzystwo, był opat Melani. Zrobiło się późno, musiałem więc zejść do kuchni posprzątać po obiedzie.

Na korytarzu natknąłem się na młodego Anglika, pana Bedfordiego, który wydał mi się nieco przygnębiony, być może dlatego, że przenosząc

rzeczy do innego pokoju, nie mógł uczestniczyć w rozmowie z medykiem. Gość szedł powoli, pogrążony w smutku. Kiedy nagle stanąłem przed nim, aż podskoczył, przestraszony.

- To ja, panie Bedfordi - pośpieszyłem go uspokoić.

Zamyślony, spojrział w milczeniu na płomień świecy, którą trzymałem w ręku. Pierwszy raz odrzucił swoją flegmatyczną pozę, będącą odbiciem jego pretensjonalnej, lekceważącej natury człowieka, w którym budziła wstręt (czego często dawał wyraz) moja skromna kondycja sługi. Ponieważ matka Bedfordiego była Włoszką, bynajmniej nie cierpiał, kiedy musiał rozmawiać po włosku. Przeciwnie, w rozmowach przy kolacji swoją elokwencją rozweselał gości.

Milczenie Bedfordiego tamtego wieczoru wzbudziło zatem we mnie uzasadnione zdziwienie. Wyjaśniłem mu, że zdaniem lekarza nie ma powodów do obaw, ponieważ nie chodzi o dżumę, istnieje natomiast podejrzenie, że de Mourai został otruty.

Anglik spojrział na mnie w osłupieniu. Otworzył z przerażenia usta, cofnął się o kilka kroków, odwrócił się i wszedł do swojego pokoju. Usłyszałem, jak zamyka drzwi na klucz.

## Noc pierwsza

*z 11 na 12 września 1683 rokit*

- Nie przejmuj się nim, chłopcze!

Tym razem to ja się przestraszyłem. Ujrzałem przed sobą opata Melaniego, który właśnie zszedł z drugiego piętra.

- Jestem głodny, zaprowadź mnie do kuchni.

- Powinienem uprzedzić pana Pellegrina. Nie wolno mi sięgać do spiżarni poza godzinami posiłków.

- Nie denerwuj się! Twój pryncypał ma teraz spotkanie z panią butelką.

- A zakazy doktora Cristofana?

- To nie były zakazy, tylko dobre rady, które uważam za zbędne.

To powiedziawszy, opat zaczął schodzić na parter, gdzie znajdowały się jadalnie i kuchnia. W tej ostatniej znalazłem trochę chleba, sera i kieliszek czerwonego wina, mogłem więc zadośćuczynić jego żądaniu. Usiedliśmy przy kuchennym stole, przy którym zwykle jadałem z gospodarzem.

- Skąd pochodzisz? - spytał, posilając się.

Zachęcony ciekawością opata, streściłem krótko historię mojego nędznego życia. Kiedy miałem kilka miesięcy, zostałem porzucony pod bramą klasztoru niedaleko Perugii. Siostry zakonne oddały mnie pewnej pobożnej kobiecie mieszkającej w okolicy. Kiedy podrosłem, przywieziono mnie do Rzymu, gdzie wychowywałem się u brata tej kobiety, proboszcza kościoła Santa Maria in Posterula, położonego niedaleko gospody. Proboszcz zlecał mi różne domowe prace, a tuż przed wyjazdem z Rzymu polecił mnie panu Pellegrino.

- Jesteś więc jego pomocnikiem - podsumował opat.

- Tak, ale mam nadzieję, że nie zawsze tak będzie.

- Chciałbyś mieć własną gospodę, jak sądzę.

- Nie, Wasza Wielbność. Chciałbym zostać kronikarzem.
- A to ci dopiero! - skomentował z uśmiechem.

Wyjaśniłem, że kobieta, która wzięła mnie na wychowanie, zadbała o moje wykształcenie. Oddała mnie na naukę do pewnej staruszki, która w młodości nosiła zakonny habit. Pod jej kierunkiem zgłębiałem wiedzę z zakresu sztuk wyzwolonych trywium i kwadrywium, a także nauk *de vegetalibus, de animalibus et de mineralibus, humanae litterae*, filozofii i teologii. Kazała mi czytać dzieła historyków, gramatyków, poetów włoskich, hiszpańskich i francuskich. Bardziej niż arytmetyka, geometria, muzyka, astronomia, gramatyka, logika i retoryka pasjonowały mnie jednak wydarzenia na świecie. Z zapałem poznawałem opowieści o czynach i zwycięstwach dawnych i obecnych książąt i królów, o wojnach i innych cudownych rzeczach, które...

- Dobrze już, dobrze - przerwał mi opat. - Chcesz zostać kronikarzem czy bajarzem, wszystko jedno. Bystre umysły zwykle tak kończą. Skąd przyszedł ci do głowy ten pomysł?

Opowiedziałem opatowi, że często posyłano mnie po zakupy do Perugii. W mieście, przy odrobinie szczęścia, można było posłuchać głośnego czytania gazet, a za dwa soldy kupić (ale to zdarzało się też w Rzymie) ulotki z ciekawymi opisami aktualnych wydarzeń w Europie...

- Do licha, mój chłopcze! Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego jak ty.

- Dziękuję, panie.

- Jesteś taki wykształcony, a pracujesz jako zwykły pomywacz? Chłopcy tacy jak ty nie wiedzą nawet, jak się trzyma pióro w dłoni - stwierdził, krzywiąc się.

Zrobiło mi się przykro.

- Jesteś bardzo inteligentny - dodał łagodniejszym tonem. - Rozumiem cię. Kiedy byłem w twoim wieku, także chciałem zostać żurnalistą. Ale miałem za dużo innych zajęć. Pisanie po mistrzowsku artykułów do gazet jest prawdziwą sztuką. Zawsze to lepsze niż zwykła praca. Poza tym - mówił między jednym kęsem a drugim - być kronikarzem w Rzymie to pasjonujące zajęcie. Będziesz pisał o fransyzach, o gallikanizmie, o kwicyzmie.

- Myślę... że tak - przytaknąłem, próbując ukryć swoją ignorancję.

- Pewne rzeczy, chłopcze, trzeba wiedzieć. W przeciwnym razie o czym będziesz pisał? Ale chyba jesteś jeszcze zbyt młody. A poza tym o czym pisać w tym bezbarwnym mieście? Żebyś tak widział blask dawnego Rzymu, sprzed zaledwie kilku lat! Muzyka, teatr, akademie,

wjazdy ambasadorów, procesje, bale - wszystko miało tak bogatą oprawę, że nawet sobie nie wyobrażasz..

- Dlaczego dziś tak nie jest?

- Wielkość i pomyślność Rzymu skończyły się wraz z nastaniem obecnego papieża i powrócą dopiero po jego śmierci. Przedstawienia teatralne są zabronione, karnawał zniesiono. Czy tego nie widzisz? Zaniebane kościoły, rozpadające się kamienice, zniszczone drogi, nieszczelne akwedukty. Majstrzy, architekci i robotnicy są bez pracy i wracają do swoich krajów. Redagowanie i czytanie ogłoszeń i gazet, którymi tak się pasjonujesz, są zabronione, mimo to zakaz nie zawsze bywa przestrzegany. Kary są jeszcze surowsze niż dawniej. Nie organizuje się już przyjęć w pałacu Barberinich ani spektakli w teatrze Tor di Nona, nawet na cześć królowej Szwecji Krystyny, która przybyła do Rzymu, wyrzekając się religii luteranckiej i przyjmując katolicyzm. Odkąd na papieskim tronie zasiadł Innocenty XI, królowa Krystyna musiała zamknąć się w swoim pałacu.

- Czy dawniej Wasza Wielobność mieszkał w Rzymie?

- Tak, przez pewien czas - odparł. - Przybyłem do Rzymu w roku tysiąc sześćset czterdziestym czwartym, w wieku szesnastu lat. Uczyłem się u najlepszych nauczycieli. Miałem zaszczyt zaliczać się w poczet uczniów wybitnego Luigiego Rossi, największego europejskiego kompozytora wszech czasów. W pałacu przy Cmattro Fontane ród Barberinich miał teatr na trzy tysiące miejsc, a teatr Colonnów w pałacu w Borgo wzbudzał zazdrość wszystkich koronowanych głów. Scenografię do przedstawień tworzyli najśłynniejsi artyści, między innymi sam Gian Lorenzo Bernini. Publiczność doznawała zachwyty, wzruszenia i radości na widok efektów specjalnych: sztucznego deszczu, zachodzącego słońca i błyskawic, żywych zwierząt, pojedynków z prawdziwymi ranami i krwią. Pałacowe wnętrza i ogrody z fontannami, z których tryskała krystaliczna świeża woda, były takie jak w rzeczywistości.

Na szczęście w porę powstrzymałem się od zadania pytania mojemu rozmówcy, czy był on raczej kompozytorem, organistą, czy kapelmistrzem. Twarz bez zarostu, miękkie, niemal kobiece ruchy, a zwłaszcza dźwięczny chłopięcy głos - te cechy pozwoliły mi zrozumieć, że mam przed sobą śpiewaka kastrata.

Opat musiał zauważyć nagły błysk zaciekawienia w moim spojrzeniu, ale mówił dalej, jak gdyby nic szczególnego nie zaszło.

- Wtedy nie było tylu śpiewaków co dziś. Wielu z nich poszczęściło się i zaszli daleko. Co do mnie, to posiadałem talent dany od Boga, a jed-



nocześnie pilnie się uczyłem. Dlatego też, ponad trzydzieści lat temu, wielki książę Toskanii wysłał mnie do Paryża jako osobę towarzyszącą mistrzowi Luigiemu Rossi.

Oto skąd się wzięło to zabawne *r* - pomyślałem - które opat wymawiał z wyraźną przyjemnością.

- W Paryżu Wasza Wielbność kontynuował naukę?

- Sądzisz, że mając listy polecające dla kardynała Mazzariniego i królowej, musiałem jeszcze się uczyć?

- A zatem Wasza Wielbność miał sposobność śpiewać dla rodziny królewskiej!

- Królowej Annie mój śpiew podobał się, można powiedzieć, niezwykle. Lubiła słuchać melancholijnych arii w stylu włoskim, mogłem więc spełniać jej życzenia. Niemal co drugi wieczór chodziłem do pałacu, żeby dla niej śpiewać. Za każdym razem przez co najmniej cztery godziny komnaty królowej wypełniała muzyka.

Przerwał, w zamyśleniu patrząc w okno.

- Nigdy nie byłeś na paryskim dworze, więc nie wiem, jak opisać ci to, co czułem. Arystokraci i dworzanie otaczali mnie szacunkiem. Kiedy śpiewałem dla królowej, miałem wrażenie, że jestem w raju, w otoczeniu tysiąca aniołów. Królowa poprosiła wielkiego księcia, żeby nic wzywał mnie do Włoch, ponieważ pragnęła zatrzymać mnie przy sobie. Mój pan, który był z nią spokrewniony w linii matki, wyraził zgodę. Kilka tygodni później królowa, obdarzając mnie swoim uroczym uśmiechem, osobiście wręczyła mi list, w którym pan mój pozwalał mi pozostać w Paryżu nieco dłużej. Po przeczytaniu listu myślałem, że umrę z radości i szczęścia.

Później opat wyjeżdżał jeszcze kilkakrotnie do Paryża, towarzysząc swojemu mistrzowi Luigiemu Rossi. Na dźwięk jego imienia w spojrzeniu Melaniego za każdym razem malowało się wzruszenie.

Dzisiaj nazwisko Rossiego jest prawie nieznane. Wtedy jednak uznawany był za wielkiego kompozytora. Zaproponował mi główną rolę w swoim *Orfeuszu*, najwspanialszej operze wystawionej na francuskim dworze. Odniosłem duży sukces, choć miałem wówczas tylko dwadzieścia jeden lat. Po dwóch miesiącach, ledwie zdążyłem wrócić do Florencji, kardynał Mazzarini poprosił wielkiego księcia Toskanii, żeby odesłał mnie do Francji, ponieważ królowa tęskni za moim śpiewem. Powróciwszy z mistrzem Luigim do Paryża, znaleźliśmy się w samym środku zamieszek Frondy, musieliśmy więc uciekać ze stolicy razem z królową, kardynałem i małym Ludwikiem.

- Wasza Wielbność osobiście poznał Arcychrześcijańskiego Króla?

- Poznałem go dość dobrze. Podczas tych strasznych miesięcy zesłania w zamku w Saint-Germain nie odstępował matki i grzecznie słuchał, kiedy śpiewałem. W wolnych chwilach starałem się rozweselić małego króla, wymyślając zabawy, dzięki którym na jego twarz powracał uśmiech.

Byłem podniecony i oszołomiony podwójnym odkryciem. Ten dziwny gość miał nie tylko chlubną przeszłość śpiewaka, ale znał też osobiście koronowane głowy Francji! Był jednym z tych szczególnych cudów natury, które łączą w sobie wygląd mężczyzny ze zdolnościami śpiewaczymi kobiety. Niemal od razu zauważyłem srebrzysty tembr jego głosu, ale nie zwróciłem uwagi na inne szczegóły, biorąc go za homoseksualistę.

Opat tymczasem był kastratem. O ile wiem, śpiewacy kastraci, aby uzyskać wyjątkowe warunki wokalne, musieli poddać się bolesnej, nieodwracalnej operacji. Pomijając smutną historię pobożnego Orygenesza, który w celu osiągnięcia najwyższej duchowej czystości z własnej woli poddał się operacji usunięcia męskich organów, doktryna chrześcijańska konsekwentnie potępia kastrację. Dziwnym zrządzeniem losu to właśnie w Rzymie śpiewacy kastraci byli niezwykle cenieni. Powszechnie wiadomo, że zatrudniano ich na dworze papieskim. Słyszałem, jak najstarsi mieszkańcy dzielnicy dowcipnie komentowali śpiew jakiejś praczki, mówiąc: „Śpiewasz jak Rosini” albo: „Jesteś lepsza od Folignata”. Mieli na myśli kastratów, którzy kilkadziesiąt lat temu swoim śpiewem umilali czas papieżowi Klemensowi VIII. Znałem też ze słyszenia Loreta Vittorio, którego głos wprawiał wszystkich w zachwyty. Papież Urban VIII, nie zważając na dwuznaczną naturę Loreta, mianował go kawalerem Zastępów Chrystusa. Nikogo nie obchodziło to, że Stolica Apostolska zagrożona nałożeniem ekskomuniki na kastratów. Nikt nie przejmował się też, że ich kobiecie wdzięk mógł wprawić widzów w zakłopotanie. Jak dowiedziałem się z rozmów i dowcipów moich rówieśników, zaledwie kilkadziesiąt metrów od gospody znajdował się zakład usługowego golibrody, który za dobrą zapłatę gotów był dokonać straszliwego okaleczenia i dochować tajemnicy.

- Czy to takie niezwykle? - spytał Melani, wytrącając mnie z zamyślenia. - Nikogo nie powinno dziwić, że królowa francuska wołała słuchać mnie niż jakiejś, pozał się Boże, śpiewaczki. W Paryżu często występowała u mego boku włoska śpiewaczka Leonora Baroni, która dawała z siebie wszystko. Dzisiaj nikt jej nie pamięta. Zapamiętaj, chłopcze! To nie przypadek, że kobietom w naszych czasach nie wolno śpiewać przed publicznością, czego słusznie domagał się święty Paweł.

Uniósł kieliszek z winem jak do toastu i uroczyście wyrecytował:

*Toi, qui sais mieux que aucun le succes que jadis  
les pieces de musique eurent dedans Paris,  
que dis-tu de l'ardeur dont la cour echauffee  
frondoit en ce temps-la les grand concerts d'Orphee,  
les passages d'Atto et de Leonora,  
et le dechainement qu'on a pour l'Opera?\**

Zamilkłem, spoglądając na opata pytająco.

- Jean de La Fontaine - oznajmił uroczyście. - Najwybitniejszy poeta francuski.

- Ponoć dedykował ten wiersz Waszej Wielebności.

- Tak. Inny poeta, tym razem toskański, powiedział, że śpiew Atta Melaniego mógłby służyć za lekarstwo nawet na ugryzienie żmii.

- Który poeta?

- Francesco Redi, słynny pisarz i uczonec z Toskanii. Jak widzisz, moje imię było na ustach wielkich ludzi.

- Czy Wasza Wielebność występuje jeszcze na dworze francuskim?

- Kiedy mija młodość, słabnie głos. Wcześniej śpiewałem na wszystkich dworach Europy i miałem okazję poznać wielu książąt. Dzisiaj niektórzy z nich przed podjęciem ważnej decyzji pytają mnie o radę.

- Wasza Wielebność jest więc opatem i doradcą?

- Można tak powiedzieć.

- Wasza Wielebność często bywa na dworze w Paryżu?

- Dwór jest teraz w Wersalu, chłopcze. - Po chwili, zmarszczywszy brwi, spytał: Słyszałeś kiedyś o panu Fouquecie?

Odparłem, że to nazwisko jest mi zupełnie obce.

Melani nalał sobie jeszcze pół kieliszka wina i zamilkł na dłuższą chwilę. Jego milczenie nie wprawiło mnie jednak w zakłopotanie. Siedzieliśmy tak, nic nie mówiąc, w poczuciu, że łączy nas nic wzajemnej sympatii.

Atto Melani od rana miał na sobie to samo ubranie: płaszcz z kapturem i jasnofioletową sutannę. Z wiekiem (którego zupełnie nie było po nim widać) stał się lekko otyły, jego rysy złagodniały, a nos wydawał się

Ty, który wiesz najlepiej, że żaden /jak nigdy/ sukces oper w Paryżu / co powiesz o zapale, z którym rozniecony dwór / wyśmiewał wówczas wielkie koncerty Orfeusza, / pasażer Attai Leonory, / i złość, którą dziś ma do Opery?

mniej zakrzywiony. Na białej twarzy o lekko zaczerwienionych policzkach malowały się krańcowo różne emocje. Wysokie, pokryte zmarszczkami czoło i lekko uniesione brwi z pozoru mogły świadczyć o chłodnym, wyniosłym usposobieniu opata. Przeczyła temu dolna warga, którą wykrzywił na znak przekory, i lekko cofnięty obfity podbródek z dołeczkiem pośrodku.

Melani odchrząknął, wypił ostatni łyk wina, przetrzymując trunek w ustach i cmokając językiem.

- Zawrzyjmy umowę - oświadczył nagle. - Chcesz wszystko wiedzieć, ale nigdy nie podróżowałeś, nikogo nie poznałeś, nic nie widziałeś. Jesteś bardzo spostrzegawczy, to od razu widać. Ale bez odpowiedniego startu do niczego się nie dochodzi. W ciągu tych dwudziestu dni zamknięcia, jakie nas czekają, mogę dać ci wszystko, czego potrzebujesz. Musisz mnie po prostu uważnie słuchać. W zamian za to pomożesz mi.

- W czym? - spytałem zdziwiony.

- Jak to w czym? W odkryciu, kto otruł pana de Mourai! - odparł Melani, jakby to było oczywiste, spoglądając na mnie z lekkim uśmiechem.

- Czy Wasza Wielbność jest pewien, że to otrucie?

- Najzupełniej! - wykrzyknął. Wstał i zaczął szukać jeszcze czegoś do zjedzenia. - Biedny starzec musiał wypić jakąś truciznę. Słyszałeś przecież, co powiedział lekarz.

- Dlaczego Wasza Wielbność tak się tym interesuje?

- Jeśli nie powstrzymamy zabójcy, wymorduje wszystkich w gospodarstwie.

Ze strachu nie mogłem wydobyć głosu, przestałem też odczuwać głód.

- A propos - zagaił Atto Melani - czy jesteś całkowicie pewien tego, co opowiedziałeś Cristofanemu o zupie, którą podałeś de Mouraimu? Czy powinienem jeszcze o czymś wiedzieć?

Powtórzyłem, że ani na chwilę nie straciłem z oczu talerza z posiłkiem i własnoręcznie nakarmiłem naszego gościa. Nikt inny nie brał w tym udziału.

- Czy wcześniej de Mourai coś jadł?

- Nie sądzę. Kiedy wszedłem do pokoju, dopiero wstał, a Dulcibeniemu już nie było.

- A później?

- Raczej nie. Gdy nakarmiłem pana de Mourai, przygotowałem miskę z wodą do mycia nóg. Kiedy wychodziłem z pokoju, nasz drogi gość drzemał.

- Co może oznaczać tylko jedno – podsumował.
  - Czyli co?
  - Że to ty go zamordowałeś.
- Uśmiechnął się do mnie. Żartował.

- Uczynię wszystko, o co mnie Wasza Wielbność poprosi - obiecałem, czując, jak policzki płoną mi z emocji i ze strachu przed niebezpieczeństwem.

- Doskonale! Na początek powiedz mi wszystko, co wiesz o gościach gospody i czy w minionych dniach zauważyłeś coś dziwnego. Może coś ciekawego usłyszałeś? Czy ktoś opuszczał gospodę na dłużej? Czy dostarczono lub wysłano jakieś listy?

Odparłem, iż wiem tylko to, że Brenozzi, Bedfordi i Stilone Priaso mieszkali w zajeździe jeszcze w czasach świętej pamięci pani Luigii. Po krótkiej chwili wahania dodałem, że widziałem ojca Robledę, jezuitę, udającego się nocą do pokoju Cloridii. Na te słowa opat roześmiał się.

- Od tej pory, chłopcze, miej oczy szeroko otwarte! Obserwuj zwłaszcza dwa towarzyszy podróży starego de Mourai: francuskiego muzyka Roberta Devizego i Pompea Dulcibeniego z Marche.

Spuściłem wzrok, a wtedy on dodał:

- Chyba wiem, o czym myślisz: chcesz być kronikarzem, nie szpiegiem. Wiedz zatem, że te dwa zawody niewiele się od siebie różnią.

- Czy naprawdę trzeba wiedzieć wszystko, o czym Wasza Wielbność mówił przed chwilą? O kwietystach, artykułach gallikanów...?

- To złe pytanie. Wielu kronikarzy zaszło daleko, ale wiedzą niewiele, tylko rzeczy najważniejsze.

- To znaczy?

- Rzeczy, o których nigdy nie napiszą. Porozmawiamy o tym jutro. Teraz chodźmy już spać.

Kiedy wchodziliśmy po schodach, w milczeniu zerknąłem na bladą twarz opata, rozjaśnioną światłem lampy. Był moim nowym mistrzem i ta myśl pobudzała mnie do działania. Wszystko wydarzyło się tak szybko! Miałem niejasne wrażenie, że podobne odczucia towarzyszyły Melanieniu, który w mojej osobie zyskał ucznia, przynajmniej na czas kwarantanny.

Zanim rozeszliśmy się do swoich pokojów, opat odwrócił się i uśmiechnął do mnie. Po chwili zniknął bez słowa w korytarzu na drugim piętrze.

Większą część nocy spędziłem na zszywaniu czystych kartek, pozostawionych na stole przez pryncypała po uporządkowaniu rachunków. Następnie opisałem ostatnie wydarzenia, których byłem świadkiem. Postanowiłem, że nie pominę ani jednego słowa z tego, czego dowiem się jeszcze od opata Melaniego. Wszystko zapiszę i będę starannie strzegł notatek.

Bez pomocy sporządzonych wówczas zapisków dzisiaj, po szesnastu latach, jakie dzielą mnie od tamtych wydarzeń, nie mógłbym ich odtworzyć.

## Dzień drugi

*12 września 1683 roku*

Następnego ranka, kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem pana Pellegrina śpiącego w swoim łóżku w pokoju na poddaszu, gdzie razem mieszkaliśmy. Pryncypał nie zadbał o przygotowanie śniadania dla gości, choć nadal należało to do jego obowiązków, mimo wyjątkowej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy- Pellegrino leżał w ubraniu na pościeli. Najwidoczniej przewrócił się na łóżko i od razu zasnął, wypiwszy uprzednio za dużo czerwonego wina. Kiedy w końcu udało mi się go dobudzić, udałem się do kuchni. Schodząc po schodach, z daleka usłyszałem jakieś dźwięki, najpierw chaotyczne, później miłe dla ucha. W miarę jak zbliżałem się do jadalni obok kuchni, muzyka stawała się coraz głośniejsza i wyraźniejsza. Jak się okazało, to pan Devize, siedząc na skraju drewnianego stołka, ćwiczył się w grze na swoim instrumencie.

Dźwięki gitary miały w sobie niezwykły urok, który podkreślał ubiór francuskiego muzyka. Pan Devize miał na sobie kaftan z delikatnej jasnożółtej etaminy, nienagannie skrojony, doskonale dopasowany do szarzielonych oczu, popielatych włosów, lecz wszystko to zdawało się nikać wobec żywych rytmów i wyrazistości tonów wydobywanych z sześciu strun. Kiedy przebrzmiała ostatnia nuta, czar pryskał, a naszym oczom ukazywał się czerwony na twarzy, nadąsany człowieczek, nieco poirytowany, o drobnych rysach, z małym nosem, mięsistymi wargami wykrzywionymi w grymasie niezadowolenia. Był niski, dobrze zbudowany, podobny do dawnego Germanina, miał żołnierski chód i gwałtowne ruchy.

Kiedy pojawili się w drzwiach jadalni, nie zwrócił na mnie uwagi i po chwili powrócił do gry. Spod jego palców wydobyła się nie tyle muzyka, ile cudowna architektura dźwięków, które postaram się opisać, jeśli niebiosa, poza pamięcią, obdarzą mnie odpowiednimi słowami. Na początku zagrał prosty, niewinny motyw, który niczym taniec przechodził z tonacji głównej do dominanty (jak mi później wyjaśnił wykonawca,

jako że niewiele wiedziałem o sztuce łączenia dźwięków). Następnie powtórzył ten sam motyw, a po nagłym zaniechaniu kadencji zagrał ponownie cały fragment. Była to zaledwie pierwsza z całej kolekcji pereł, która, jak mi powiedział pan Devize, nosi nazwę rondo. Składa się ono właśnie z powtarzającego się wyrazistego tematu, po którym następuje nowy, ceny klejnot świecący niezwykle blaskiem.

Jak każde rondo utwór, którego miałem okazję słuchać jeszcze wiele razy, kończyło powtórzenie pierwszej części, będące ukoronowaniem całości. Rozkoszna prostota pierwszej strofy byłaby niczym, gdyby nie następowały po niej kolejne części, coraz swobodniejsze, zaskakujące, śmiałe, które jedna po drugiej, refren po refrenie, wznosiły się, tworząc cudowną konstrukcję. Ostatnia z nich była najśłodszą podniętą dla intelektu i ucha, niczym wyzwanie rycerza rzucone w obronie honoru. Końcowe arpeggio, krążąc ostrożnie i jakby niepewnie wokół niskich tonów, nieoczekiwanie przechodziło do dźwięków wysokich, następnie do najwyższych, zmieniając niewyraźną i jakby nieśmiałą melodię w czysty, silny strumień akordów, które współbrzmiały, a następnie przepięknie opadały w dół. Pozostając w niskiej tonacji, dźwięki tworzyły niezwykłą, trudną do opisanego (tu właśnie brakuje mi odpowiednich słów) harmonię, po czym z wolna cichły i wracały do strofy początkowej.

Słuchałem tej gry w zachwycie, bez słowa, do chwili, kiedy francuski muzyk stłumił dłońmi drzenie strun.

- Doprawdy wspaniale gra pan na lutni - oświadczyłem nieśmiało.

- Po pierwsze, to nie lutnia, lecz gitara. A po drugie, podoba ci się nie moja gra, ale ten utwór. Widziałem, jak słuchałeś. Masz rację, jest piękny. Muszę przyznać, że jestem dumny z tego rondo.

Następnie wyjaśnił mi, jak zbudowane jest rondo i czym różni się od innych form muzycznych.

- Rondo, którego przed chwilą wysłuchałeś, utrzymane jest w stylu *brise*, po włosku *spezzato*. Oznacza to, że dźwięki akordu nie brzmią jednocześnie, lecz następują kolejno, jeden po drugim, w szybkim tempie.

- Aha! - powiedziałem, nadal nie rozumiejąc.

Z mojego wyrazu twarzy Devize wywnioskował, że jego wyjaśnienie nie było dość przekonujące. Dodał więc, że rondo na ogół wszystkim się podoba, ponieważ refren komponowany jest zgodnie ze starą zasadą konsonansu, kolejne kuplety natomiast zawierają nowe elementy harmoniczne, kończące się w sposób całkiem nieoczekiwany, obcy tradycyjnej doktrynie muzycznej. Francuz powiedział też, że forma rondo, osiągnąwszy fazę niezwyklego rozkwitu, nagle zaczęła tracić popularność.



Spytałem go, gdzie nauczył się tak dobrze mówić po włosku (wprawdzie z silnym akcentem francuskim, ale przemilczałem to).

- Dużo podróżowałem, poznałem wielu Włochów, których uważam za najlepszych muzyków na świecie. W Rzymie papież kazał, niestety, zamknąć teatr Tor di Nona, który znajdował się dwa kroki od gospody „Donzello”. Na szczęście w Bolonii w kaplicy San Petronio, a także we Florencji można posłuchać wielu wspaniałych muzyków i nowych pięknych utworów. Nasz wybitny mistrz Giovan Battista Lulli, nadworny kompozytor w Wersalu, jest florentyńczykiem. Dobrze poznałem Wenecję, której pod względem rozkwitu muzyki nie dorównuje żadne inne włoskie miasto. Uwielbiam weneckie teatry: San Cassiano, San Salvatore i słynny teatr Arbuza, gdzie przed wyjazdem do Neapolu wysłuchałem cudownego koncertu.

- Jak długo zamierza pan pozostać w Rzymie?

- Teraz, niestety, to bez znaczenia. Nie wiemy nawet, czy wyjdziemy stąd żywi - odparł i zagrał fragment, jak mi powiedział, ciaccony mistrza Lullego.

Kiedy wyszedłem z kuchni, gdzie zamknąłem się po rozmowie z Devizem, by ugotować obiad, natknąłem się na Brenozziego, rzemieślnika z Wenecji. Oznajmiłem mu, że jeśli chce, może zjeść ciepły posiłek. On jednak, nie mówiąc ani słowa, pociągnął mnie na schody prowadzące do piwnicy. Kiedy chciałem zaprotestować, zakrył mi usta dłonią. Zatrzymaliśmy się w połowie schodów.

- Uspokój się i posłuchaj! rzekł. Nie bój się! Chcę tylko, żebyś mi coś powiedział.

Szeptał przytłumionym głosem, nie dopuszczając mnie do słowa. Pragnął poznać opinię pozostałych gości na temat zgonu pana de Mourai, a także dowiedzieć się, czy bierze się pod uwagę możliwość kolejnej śmierci przez otrucie lub z jakiegoś innego powodu, czy ktoś szczególnie obawia się o swoje życie, czy z kolei ktoś inny w ogóle się nie boi, czy, według mnie, kwarantanna potrwa dłużej niż dwadzieścia dni ustalonych przez magistrat, czy podejrzewam któregoś z gości o to, że jest w posiadaniu trucizny, a może nawet jej użył. Na koniec zapytał, czy któryś z obecnych wykazuje jakiś nadzwyczajny spokój, mimo kwarantanny nałożonej na gospodę.

- Panie, tak naprawdę to ja...
- A Turcy? Czy ktoś mówił o Turkach? A może o dżumie w Wiedniu?
- Ależ ja nic nie wiem...
- Przestań wreszcie gadać i odpowiedz mi! - ponaglał, szczypiąc się ze zdenerwowania w przyrodzenie. - Margerytki: mówi ci to coś?
- Słucham?
- Margerytki.
- W piwnicy mam suszone margerytki do przyrządzania naparów. Czy źle się czujesz, panie?

Westchnął i wzniosł oczy.

- Udawaj, że nic nie słyszałeś. Żądam tylko jednej rzeczy: jeśli ktoś cię zapyta, powiedz, że nic o mnie nie wiesz. Zrozumiałeś? - Przytrzymał mnie za ramiona tak mocno, że poczułem ból.

Patrzyłem na niego w osłupieniu.

- Zrozumiałeś? - powtórzył zniecierpliwiony. - Czy to wystarczy?

Nie pojąłem sensu ostatniego pytania, obawiając się, że Brenozzi postradał rozum. Oswobodziwszy się z uścisku, odwróciłem się, by uciec na górę po schodach, gdy tymczasem mój prześladowca szarpnął mnie, próbując zatrzymać. Wyłoniłem się z półmroku w chwili, gdy Devize zaczął grać na gitarze cudowny motyw, który słyszałem wcześniej. Zamiast jednak zatrzymać się, by go posłuchać, pośpieszyłem na pierwsze piętro. Zaciskałem jeszcze pięści ze zdenerwowania, które wywołał we mnie atak weneccjanina. Dopiero wtedy spostrzegłem, że trzymam coś w dłoni. Kiedy ją otworzyłem, zobaczyłem trzy niewielkie, cudownie lśniąca perły.

Wsunąłem je do kieszeni, po czym udałem się do pokoju, gdzie zmarł pan de Mourai. Zostałem tam kilku naszych gości zajętych smutną czynnością. Cristofano przenosił zeszytniałe ciało zmarłego zawinięte w białe prześcieradło niczym w całun. Lekarzowi pomagali pan Pellegrino oraz, z braku ochotników młodszych wiekiem, Dulcibeni i Atto Melani. Opat był bez peruki i białej maści na twarzy. Zdziwiłem się, widząc go w cywilnym ubraniu - popelinowych spodniach i muślinowym krawacie, zbyt eleganckim na tę ponurą okazję. O tytule Melaniego świadczyły jedynie ognistoczerwone pończochy na nogach.

Nieszczęsnego nieboszczyka złożono do dużego podłużnego kosza, wyłożonego szmatami i kocami. Na wierzchu spoczął pakunek z osobistymi rzeczami zmarłego.

- Nic więcej nie miał? - spytał opat Melani, spostrzegłszy, że Dulcibeni zapakował jedynie kilka ubrań zmarłego.

Cristofano wyjaśnił, że należało dostarczyć jedynie odzież, pozostałe

rzeczy mogły pozostać w pokoju, a po zakończonej kwarantannie Dulcibeni miał je przekazać ewentualnym krewnym zmarłego. Następnie wszyscy trzej spuścili z okna kosz na grubym sznurze. Na dole przejęli go przedstawiciele Towarzystwa Modlitwy i Śmierci.

- Co zrobisz ze zmarłym, panie Cristofano? - spytał lekarza. - Spal go, prawda?

- To już nie nasza sprawa. Nie można go zwyczajnie pochować - oświadczył, wzdychając.

Usłyszeliśmy ciche stuknięcie.

- Coś ci wypadło... Co masz w ręce? - zapytał Cristofano.

Z mojej półotwartej dłoni wypadła perła. Medyk podniósł ją i zaczął uważnie oglądać.

- Piękna, doprawdy! Skąd ją masz?

- Dał mi ją na przechowanie jeden z gości - skłamałem, pokazując dwie pozostałe perły.

Tymczasem mój pryncypał wyszedł z pokoju. Wydawał się bardzo zmęczony. Atto także wyszedł, udając się do swojego pokoju.

- Niedobrze. Nie należy rozstawać się z perłami, zwłaszcza w naszej sytuacji.

- Dlaczego?

- Oprócz tajemniczych właściwości chronią przed trucizną. ... ,

- Jak to możliwe? - spytałem.

- Ponieważ są *siccaae et frigidae* - odparł Cristofano. - Jeśli przechowuje się je w naczyniu, nie robiąc w nich dziur, *habent detergentem facultatem* i uwalniają powietrze od wyciewów i zgnilizny. Oczyszczają też i klarują krew (powstrzymują również menstruację), a zdaniem Awicenny leczą *cor crassatum*, palpacje i omdlenia.

Podczas gdy Cristofano popisywał się wiedzą lekarską, nie przestałem zastanawiać się nad tym, jakie tajemnicze znaczenie kryło się w darze Brenozziego. Pomyślałem, że muszę koniecznie porozmawiać o tym z opatem Melanim, postanowiłem więc pożegnać się z Cristofanem.

- Ciekawe - ciągnął lekarz, oglądając perły i obracając je uważnie w palcach. - Ich kształt wskazuje, że zostały wyłowione przed pełnią księżyca, wieczorową porą.

- Co to oznacza?

- Że leczą urojenia i melancholię. Rozpuszczone w occie sprawiają, że człowiek odzyskuje przytomność po *omni imbecillitate et animi deliquio*, zwłaszcza zaś po pozornej śmierci.

Cristofano oddał mi perły, a ja pożegnałem się z nim. Wbiegłem po schodach do pokoju Melaniego.

Opat mieszkał na drugim piętrze, dokładnie nad pokojem, który zmarły de Mourai dzielił z Dulcibenim. Były to największe i najjaśniejsze pomieszczenia w całej gospodzie. W każdym z nich były trzy okna, z których dwa wychodziły na via dell'Orso, jedno zaś na zaułek. W czasach pani Luigii w dużych pokojach zatrzymywały się ważne osobistości z asystą. Identyczny pokój znajdował się również na poddaszu, stanowiącym trzecie i ostatnie piętro, które niegdyś zajmowała pani Luigia. Pomimo zakazu Cristofana pryncypał i ja nadal mieszkaliśmy, tymczasowo, w pokoju na samej górze. Utraciłem ten przywilej po powrocie żony pana Pellegrina, która całe piętro przeznaczyła dla rodziny, przenosząc mnie ponownie do kuchni.

Byłem pod wrażeniem różnorodności ksiąg i druków, które opat przywiózł ze sobą. Atto Melani był wielkim miłośnikiem rzymskich zabytków i budowli, jak wynikało z tytułów dzieł, stojących w zwartym szeregu na półce, które później poznałem w zupełnie inny sposób. Były to między innymi: *Piękno antycznego i współczesnego Rzymu, gdzie przedstawione są wszystkie najważniejsze świątynie, teatry, amfiteatry, place, naumachie, łuki triumfalne, obeliski, pałace, termy, kurie i bazyliki* Lauriego, *Veteris Romae cum nova collatio Chemnicensis* Georgiusa Fabriciusa oraz *Starożytności miasta Rzymu, zwięźle opisane przez autorów antycznych i współczesnych* i dołączona do nich *Rozprawa o ogniskach starożytnych Rzymian* Andrei Palladia. Zauważyłem też dziewięć dużych map geograficznych na drewnianych drążkach koloru bambusa, z połączanymi gąłkami, a także plik ręcznie zapisanych kartek leżących na stole, które Melani pośpiesznie schował. Opat zaprosił mnie gestem, bym usiadł.

- Chciałem cię o coś spytać: znasz kogoś w tej dzielnicy? Masz jakichś przyjaciół, powierników?

- Raczej nie. Prawie nikogo, Wasza Wielebność.

- Możesz zwracać się do mnie: panie Atto. Szkoda. Chciałbym się dowiedzieć, co mówi się w mieście o naszym położeniu. Byłeś moją jedyną nadzieją - powiedział.

Podszedł do okna i zaczął śpiewać cichym, łagodnym głosem:

Disperate speranze, addio, addio.

Ahi, mentite speranze, andate a volo...\*

Żegnajcie, żegnajcie stracone nadzieje. / Ach fałszywe nadzieje, odejdźcie...

Zaimprovizowana próbka talentu opata wzbudziła moje zdziwienie i podziw. Mimo podeszłego wieku Melaniego jego głos zachował czarujący tembr sopranu. Pogratulowałem mu i spytałem, czy to on jest autorem wspaniałej kantaty, którą przed chwilą zanucił.

- Nie, skomponował ją Luigi Rossi, mój mistrz - odparł z roztargnieniem. - Ale powiedz mi, jak minął ranek? Zauważyłeś coś dziwnego?

- Przytrafiła mi się ciekawa historia, panie Atto. Po krótkiej rozmowie z panem *Devizem*...

- Właśnie o nim chciałem z tobą porozmawiać. Grał na gitarze'?

- Tak, ale...

- Bardzo dobrze gra. Podoba się królowi. Jego Wysokość uwielbia gitarę, a w młodości lubił też słuchać oper i występować w dworskich baletach. Wspaniałe czasy. Cóż zatem powiedział ci *Devize*?

Czułem, że jeśli na wstępie nie poruszę tematu muzyki, nie pozwoli mi mówić. Opowiedziałem mu więc o rondzie, granym przez francuskiego muzyka, który słuchał włoskiej muzyki w wielu teatrach, głównie w Wenecji, gdzie mieści się teatr Arbuza.

- Arbuza? Jesteś pewien, że tak się nazywa?

- W istocie, dziwna nazwa jak na teatr. *Devize* mówił, że był tam tuż przed wyjazdem do Neapolu. Dlaczego pan o to pyta?

- Bo twój gitarzysta naopowiadał ci bzdur.

- Dlaczego pan tak sądzi? -- zapytałem, gdy minęło osłupienie.

- Arbuza to wspaniały teatr, występuje w nim wielu wybitnych artystów. Prawdę mówiąc, ja też tam śpiewałem. Pamiętam, pewnego razu organizator chciał powierzyć mi partię *Apcllesa* w operze *Aleksander zwycięzca*. Nie zgodziłem się, więc dali mi rolę tytułową. To piękny teatr. *Szkoda tylko, że nie znajduje się w Wenecji, lecz we Florencji.*

- Ale... *Devize* powiedział, że był tam w drodze do Neapolu.

- Otóż to! Czyli niedawno, jako że z Neapolu przyjechał prosto do Rzymu. Ale to nieprawda. Teatr o takiej nazwie łatwo zapamiętać, prawda? Trudno więc pomylić miasto, w którym się znajduje. Według mnie *Devize* w ogóle nie był w Arbuzie. Prawdopodobnie nie był też w Wenecji.

Wystraszyłem się na wieść o tym niewielkim, choć niepokojącym kłamstwie francuskiego muzyka.

- Mów dalej - poprosił opat. - O ile się nie mylę, przed chwilą oświadczyłeś, że przydarzyło ci się coś niezwykłego.

Mogłem w końcu przytoczyć Melaniemu pytania, jakie zadał mi weneccjanin Brenozzi, między innymi o margerytkach. Wspomniałem też o trzech tajemniczych perłach, o których *Cristofano* powiedział, że prze-

ciwdziałają zatruciom i budzą z pozornej śmierci. Z tego właśnie powodu obawiałem się, że te niewielkie klejnoty w jakiś sposób wiązały się ze śmiercią pana de Mourai, a Brenozzi coś wiedział, ale bał się powiedzieć. Pokazałem Melaniemu perły. Opat rzucił na nie okiem i roześmiał się.

- Mój chłopcze, nie sądzę, aby nieszczęsny pan de Mourai... - Urwał, bo w tej samej chwili dał się słyszeć przeraźliwy krzyk, który zdawał się dochodzić z pierwszego piętra.

Wybiegliśmy na korytarz, kierując się na schody. Zatrzymaliśmy się w połowie stopni, gdzie leżał nieruchomo pan Pellegrino.

Po chwili podbiegli do nas pozostali goście. Z głowy mojego pryncypała spływała strużka krwi. Osobą, która krzyknęła, była bez wątpienia kurtyzana Cloridia. Przyglądała się ciału, pozornie pozbawionemu życia, drżąc i przysłaniając twarz chusteczką. Kiedy tak staliśmy nieruchomo, przybył medyk Cristofano, przecisnął się między nami i przykląkł obok ciała. Przez szmatkę odsunął długie, białe włosy z twarzy pana Pellegrina. W tym samym momencie pryncypał poruszył się, z ust wyciekła mu zielonkawa cuchnąca ciecz i zastygł w bezruchu, nie dając oznak życia.

- Przenieśmy go do pokoju! - zaproponował Cristofano, pochylając się nad ciałem.

Nikt oprócz mnie nie poruszył się. Kiedy bezskutecznie próbowałem unieść leżącego pod pachy, zbliżył się opat Melani i odsunął mnie na bok.

- Przytrzymaj mu głowę! - polecił.

Medyk chwycił Pellegrina za nogi i wśród ogólnej ciszy przenieśliśmy ciało do pokoju na poddaszu, a następnie ułożyliśmy je na łóżku.

Twarz pryncypała była nienaturalnie blada, pokryta drobnymi kroplami potu. Sprawiała wrażenie zrobionej z wosku. Szeroko otwarte oczy, pod którymi widniały sine worki, wpatrywały się w sufit. Rana na czole, oczyszczona przez lekarza, długa i głęboka, odsłaniała kości czaszki. Powstała prawdopodobnie na skutek silnego uderzenia. Mój pryncypał jeszcze żył i cicho rzeźił.

- Spadł ze schodów i uderzył się w głowę. Obawiam się jednak, że przedtem stracił przytomność.

- Jak to? - zdziwił się Atto.

Cristofano zawahał się, po czym oświadczył:

- Padł ofiarą choroby, której jeszcze nie rozpoznałem. Był to jednak nagły atak.

- Jak to? - powtórzył opat, podnosząc nieco głos. - Czy to oznacza, że jego również otruto?

Słyszając to, zadrzałem ze strachu i przypomniały mi się słowa, które Melani powiedział poprzedniej nocy: jeśli w porę nie powstrzymamy zabójcy, będą następne ofiary. Być może teraz, wcześniej niż się spodziewaliśmy, ktoś zabił mojego pryncypała.

Na pytanie Melaniego medyk tylko potrząsnął głową. Zdjął z szyi Pellegrina chustkę, którą gospodarz miał zwyczaj zawiązywać nad kołnierzykiem koszuli. Naszym oczom ukazały się dwie sinawe, nabrzmiałe plamy pod lewym uchem.

- Na podstawie stężenia ciała można wnioskować, że chodzi o tę samą chorobę, która dotknęła pana de Mourai. Ale te tutaj... - powiedział, wskazując obrzęki. - Nie sądziłem jednak, że...

Zrozumieliśmy, że Cristofano ma na myśli dżumę. Cofnęliśmy się odruchowo, ktoś wezwał pomocy niebios.

- Jest spocony, zapewne ma gorączkę. Kiedy spuszczaaliśmy przez okno ciało de Mouraigo, bardzo szybko się zmęczył.

- Jeśli to dżuma, długo nie pożyje.

- Mimo to... - ciągnął lekarz, przyglądając się ciemnym obrzmieniom na szyi mojego pryncypała - mimo to istnieje możliwość, że w grę wchodzi inna dolegliwość, równie niebezpieczna, jak na przykład punkcikowate wybroczyny krwotoczne.

- Co takiego? - spytali jednocześnie ojciec Robleda i poeta Stilone Priaso.

- W Hiszpanii, ojcze, nazywacie je *tahardillo*, w Królestwie Neapolu zwane *sapastici*, w Mediolanie *segni* — wyjaśnił Cristofano, zwracając się kolejno do jezuity i poety. - Chorobę wywołuje zepsuta krew spowodowana niedyspozycją żołądka. Jak wszyscy widzieliśmy, Pellegrino zymiotował. Dżuma objawia się gwałtownie, wybroczynom natomiast towarzyszą niegroźne objawy, takie jak zmęczenie i zawroty głowy (które dostrzegłem u niego dziś rano). Później choroba się nasila, na całym ciele występują czerwone, fioletowe albo czarne plamy, jak te dwie, które są jednak zbyt nabrzmiałe jak na wybroczyny, a za małe jak na dżumę.

- Czy to - wtrąciła Clordia - że Pellegrino tak nagle zemdleł, nie jest oznaką dżumy?

- Nie wiemy na pewno, czy stracił przytomność od uderzenia w głowę, czy z powodu choroby -- westchnął medyk. - Trzeba poczekać do jutra. Czarne plamy świadczą o tym, że to poważna choroba.

- Jest zaraźliwa? - spytał ojciec Robleda.

- Wybroczyny krwotoczne spowodowane są gorącem oraz suszą i dotykają przeważnie choleryków. Rozumie więc ojciec, że aby uniknąć cho-

roby, nie należy się denerwować ani zbyt emocjonować - wyjaśnił Cristofano, patrząc znacząco na jezuitę. - Chory może umrzeć z powodu odwodnienia. Jeśli jednak wzmocnimy osłabiony organizm, przezwycięży on chorobę, która tym samym stanie się mniej zaraźliwa. Wybroczyny są więc mniej groźne od dżumy. Prawie każdy z nas zetknął się z gospodarzem w ciągu ostatnich godzin, a zatem wszyscy jesteśmy zagrożeni. Wróćcie teraz do swoich pokojów, za chwilę wszystkich po kolei przebadam. Postarajcie się zachować spokój.

Cristofano przywołał mnie i poprosił, żebym mu pomógł.

- Dobrze się stało, że Pellegrino zwymiotował, gdyż pozbył się treści żołądkowej podatnej na psucie i gnicie - oznajmił lekarz, kiedy do niego podszedłem. Należy teraz podawać choremu zimne posiłki, żeby ostudzić jego choleryczne usposobienie.

- Upuści mu pan krwi? - spytałem. Słyszałem, że ten zabieg jest powszechnie stosowany w leczeniu wszystkich chorób.

- Wykluczone! Upuszczenie krwi mogłoby spowodować nadmierne obniżenie ciepłoty ciała i szybką śmierć chorego.

Na te słowa przeszedł mnie dreszcze.

- Na szczęście - ciągnął Cristofano - mam przy sobie zioła, balsamy, wody, proszki i wszystko, co potrzeba na wypadek choroby. Pomóż mi rozebrać twojego pryncypała, bo muszę natrzeć go maścią na odrę, jak grecki lekarz Galen nazywał wybroczyny. Maść wnika w skórę, chroniąc ciało przed zepsuciem i gniciem.

Wyszedł, a po chwili wrócił z kilkoma buteleczkami, ja tymczasem starannie złożyłem szary fartuch i ubranie pana Pellegrina w kącie pokoju.

- Może jednak przyczyną śmierci pana de Mourai była dżuma, a nie wybroczyny? - spytałem.

- Na skórze zmarłego nie znalazłem ani jednej plamki - odpowiedział medyk. - Teraz jest już za późno, żeby to sprawdzić, bo pozbyliśmy się ciała.

Następnie Cristofano zamknął się w pokoju razem z pryncypałem.

Po tych wydarzeniach atmosfera w gospodzie zrobiła się dość nerwowa. Na widok nieszczęścia, jakie dotknęło gospodarza, niemal wszyscy wpadli w rozpacz. Śmierć starego gościa z Francji, spowodowana, zdaniem medyka, otruciem, nie wywołała aż takiej paniki. Kiedy zmyłem krew pryncypała ze schodów, zacząłem rozmyślać o zbawieniu jego du-



szy, która wkrótce miała spotkać się ze Wszechmogącym. Przypomniałem sobie, że wydano edykt nakazujący, aby we wszystkich pokojach szpitali umieszczać obrazy z przedstawieniem Pana Boga, Matki Boskiej lub świętych oraz buteleczkę z wodą święconą.

Idąc po schodach na poddasze, modliłem się żarliwie o wyzdrowienie pryncypała. W pustych po wyjeździe żony pana Pellegrina pokojach szukałem wody święconej i świętego obrazka, który chciałem zawiesić nad łóżkiem chorego.

W tych samych pokojach mieszkała niegdyś pani Luigia. Wnętrza nie uległy większym zmianom od czasu, gdy zajęła je rodzina nowego gospodarza. Po krótkich poszukiwaniach znalazłem na zakurzonej stoliczku w sypialni, obok dwóch relikwiarzy i cukrowego baranka przykrytego kryształowym kloszem, terakotową figurkę Jana Chrzciciela, dzierżącego w dłoniach buteleczkę z wodą święconą.

Na ścianach wisiały piękne obrazy o treści religijnej. Wzruszyłem się, patrząc na nie, a rozmyślając o smutnych wydarzeniach w moim krótkim życiu, poczułem ucisk w gardle. Pomyślałem, że to niedobrze, by w jadalniach znajdowały się malowidła, ładne wprawdzie, ale o tematyce wyłącznie świeckiej: jeden obraz z owocami, dwa niewielkie obrazki ukazujące ludzkie postacie w lesie, dwa podłużne z ptakami namalowanymi na pergaminie, dwa pejzażyki, dwa wizerunki amorków napinających łuki, wreszcie jedyna kompozycja o treści biblijnej, z nieprzyzwoitym przedstawieniem *Zuzanny w kąpieli i starców*.

Pogrążony w rozmyślaniach, zdjąłem ze ściany obrazek z Matką Bolesną i wróciłem do pokoju, w którym Cristotano pielęgnował mojego pryncypała.

W milczeniu umieściłem obrazek i pojemniczki ze święconą wodą obok łóżka chorego, osunąłem się wyczerpany na podłogę i rozplakałem.

- Odwagi, chłopcze, odwagi!

Medyk Cristofano mówił do mnie tym samym ojcowskim, życzliwym tonem, który w minionych dniach wprawiał mnie w dobry nastrój. Przytulił moją głowę do swej piersi i mogłem się wreszcie wypłakać. Płakałem z żalu, że umiera człowiek, który wziął mnie do siebie, ratując przed nędzą. Pan Pellegrino był wybuchowy, ale miał dobre serce. Mieszkałem u niego od sześciu zaledwie miesięcy, odnosiłem jednak wrażenie, jakbym tu był zawsze. Cóż pocznę bez niego? Po kwarantannie, jeśli przeżyję, pozostanę bez środków do życia. Nie znam nowego proboszcza kościoła Santa Maria in Posterula.

† - Uspokój się. Będiesz mi potrzebny - rzekł Cristofano, pomagając mi wstać. - Musimy przeliczyć zapasy. Od Kongregacji Zdrowia dostaliśmy niewiele, musimy zatem racjonować żywność.

Pociągając nosem, zapewniłem go, że spiżarnia jest pełna, ale Cristofano nalegał, żebym go zaprowadził do sutereny, gdzie się znajdowała. Klucz do niej miałem tylko ja i pryncypał. Medyk zarządził, że od tej pory obydwaj klucze będą trzymane w miejscu znanym tylko mnie i jemu. Weszliśmy do spiżarni. W słabym świetle wpadającym przez niewielkie okienka ujrzeliśmy zapasy rozłożone na dwóch poziomach.

Na szczęście pryncypał, jak przystało na mistrza kuchni i stolnika, zadbął o to, by zgromadzić w spiżarni pachnące sery, solone mięsa, wędzone ryby, warzywa, suszone pomidory, a także wino i oliwę w dzbanach. Na widok zapasów medyk wyraźnie poweselał.

- Z każdym problemem przychodź do mnie - powiedział, uśmiechając się. - Informuj mnie, jeśli wyda ci się, że ktoś jest chory. Jasne?

- Czy to, co przydarzyło się panu Pellegrinowi, spotka też pozostałych? - spytałem, czując, że łzy znowu napływają mi do oczu.

- Miejmy nadzieję, że nie. Musimy jednak uczynić wszystko, żeby się to nie powtórzyło - odparł, nie patrząc mi w oczy. - Możesz spać w pokoju z pryncypałem, co zresztą uczyniłeś poprzedniej nocy, nie zważając na moje zalecenia. Ktoś jednak powinien przy nim czuwać.

Zdziwiłem się, że medyk nie bierze pod uwagę, iż mogę się zarazić, ale nie śmiałem o nic pytać. Odprowadziłem go do pokoju na pierwszym piętrze. Kiedy skręciliśmy ze schodów w prawo, serca zabiły nam mocniej, zobaczyliśmy bowiem Atta stojącego pod drzwiami pokoju Cristofana.

- Co opat tu robi? Wydałem przecież wyraźne dyspozycje! - rozgniewał się medyk.

- Pamiętam, pamiętam, ale my trzej nie mamy nic do stracenia, bo przenosiliśmy nieszczęsnego Peliegrina. Obecny tu służący nadal sypia w jednym pokoju z gospodarzem. Jeśli mieliśmy się zarazić, to już się zaraziliśmy.

Na szerokie, pokryte zmarszczkami czoło Melaniego wystąpiły krople potu, a jego głos brzmiał chrapliwie.

- To jeszcze nie powód, żeby być nieostrożnym - odparł Cristofano oschle.

- Istotnie - zgodził się Melani. - Zanim jednak pozamykamy się w swoich pokojach, chciałbym wiedzieć, czy wyjdziemy stąd żywi. Założę się...

- Nie obchodzi mnie, o co się opat założy. Pozostali goście są już w pokojach.

- ...założę się, że nikt nie wie, co będzie, jeśli powiększy się liczba zmarłych. Pozbędziemy się ich? W jaki sposób? Jaką mamy pewność, że zapasy żywności zostaną uzupełnione? Co dzieje się poza murami gospody? Epidemia rozszerza się czy wygasa?

- To nieważne.

- Wszystko jest ważne, panie Cristofano. Nikt nie poradzi sobie w pojedynkę, tak jak pan planował. Musimy porozmawiać, nawet jeśli nie wpłynie to na poprawę naszego trudnego położenia.

Ponieważ lekarz nie protestował, zrozumiałem, że argumenty opata przemówiły do niego. Jakby przychodząc w sukurs Melaniemu, dołączyli do nas Stilone Priaso i Devize, najwidoczniej z zamiarem zadania medykowi tych samych pytań.

- No dobrze - ustąpił Cristofano, wzdychając. - Co chcecie wiedzieć? - zapytał, zanim nowo przybyli otworzyli usta.

- Kiedy zachorujemy?

- Wtedy, kiedy się zarazicie.

- No nie! zaprotestował Stilone. - Przyjmując najgorszy wariant, że to jest dżuma, chciałbym wiedzieć, kiedy pojawią się pierwsze objawy. Jest pan lekarzem czy nie?

No właśnie, kiedy? powtórzyłem w przyпіlywie odwagi. Przyparty do muru Cristofano otworzył szeroko swoje okrągłe, ciemne jak u sowy oczy, uniósł brwi, co oznaczało, że szykuje się do wygłoszenia przemowy, i zaczął nerwowo gładzić swą spiczastą bródkę. Zmienił widocznie zamiar, bo krótko zaproponował, żebyśmy przyszli do jadalni wieczorem, po kolacji, wtedy udzieli nam wszystkich niezbędnych wyjaśnień.

Opat Melani udał się do swojego pokoju. Cristofano poprosił Stilone Priaso i muzyka Devizego, by pozostali jeszcze przez chwilę.

- Podczas naszej rozmowy, o ile się nie mylę, wspomnieliście panowie, że męczą was wiatry. Mam środek łagodzący tę dolegliwość.

Obaj mężczyźni, nieco zakłopotani, przyznali, że istotnie tak jest. Ześleliśmy na parter do kuchni, gdzie Cristofano polecił mi podgrzać nieco rosółu, którym Priaso i Devize mieli popić po cztery porcje oleju siarkowego. Poza tym medyk miał natrzeć im plecy i krzyż własnoręcznie sporządzonym balsamem.

Kiedy czekaliśmy na Cristofana, który udał się do swojego pokoju po lekarstwo, Francuz zaczął stroić gitarę. Miałem nadzieję, że zagra ten sam urzekający utwór, który słyszałem rano, ale on usiadł na ławie obok poety, nie dotykając strun.

Stilone Priaso wyjął z kieszeni notatnik i zapisał coś w nim.

- Nie bój się, chłopcze! Nie umrzemy na dżumę - rzekł, zwracając się do mnie, gdy krzątał się po sali.

- Czyżbyś był jasnowidzem, panie? - rzucił ironicznym tonem Devize.

- O wiele lepszym od lekarza! - wypalił Stilone Priaso.

- Pańskie słowa są nie na miejscu - zganiał go Cristofano, wchodząc do jadalni z podwiniętymi rękawami i balsamem w ręku.

Pierwszy odsłonił plecy neapolitańczyk, podczas gdy medyk zachwalał, jak zwykle, zalety swojego preparatu:

- ...dobrze robi też na narośle na członku. Wystarczy mocno wetrzeć, aż do wchłonięcia. Od razu przynosi ulgę.

Zmywając naczynia i podgrzewając rosół, przysłuchiwałem się ich rozmowie.

- ...Jestem pewien, że to on - powiedział Devize. Jego głos łatwo było rozpoznać po charakterystycznej francuskiej wymowie głoski r w słowach: *prawie, rozpoznać, rozruchy*, które wypowiadał.

- Bez wątpienia, bez wątpienia - przytaknął Stilone Priaso.

- Wszyscy trzej go rozpoznaliśmy, choć w innych okolicznościach - podsumował Cristofano.

Stojąc za progiem oddzielającym kuchnię od jadalni, zacząłem dyskretnie przysłuchiwać się ich rozmowie. Domyśliłem się, że chodzi o opata Melaniego, którego widocznie znali dotąd ze słyszenia.

- Jest to z całą pewnością niezwykle niebezpieczny osobnik - zawyro-kował uroczyście Stilone Priaso.

Jak zwykle, gdy pragnął przydać wagi swoim słowom, wpatrywał się w niewidoczny punkt na wprost i przesuwiał palcem wskazującym po wypukłości nosa. Następnie strzepnął nerwowo palcami, jakby pragnął usunąć jakiś pyłek.

- Musimy go obserwować - zasugerował poeta.

Mężczyźni rozmawiali, nie zwracając na mnie uwagi, jak zresztą wszyscy goście, dla których zwykły posługacz jest nikim. W ten sposób poznałem pewne fakty i okoliczności. Żałowałem, że poprzedniej nocy tak długo rozprawiałem z opatem, a zwłaszcza tego, że obiecałem mu pomóc.

- Teraz jest na złodzie króla Francji? - zapytał Stilone Priaso.
- Sądzę, że tak, choć pewności nie mam - odparł Devize.
- Niektórzy ludzie trzymają ze wszystkimi i z nikim - dodał Cristofano, coraz mocniej nacierając balsamem plecy Stilone Priasa.
- Był na usługach tylu książąt, że sam już chyba nie pamięta, ilu - szeptał Stilone. - Myślę, że gdyby pojechał do Neapolu, nie wpuściliby go do miasta. Trochę w prawo, bardzo proszę - rzucił, zwracając się do lekarza.

Z coraz większym przerażeniem przysłuchiwałem się tej rozmowie, z której wyłaniała się mroczna przeszłość opata Melaniego.

We wczesnej młodości zatrudnił go jako śpiewaka kastrata (o tym mi powiedział) wielki książę Toskanii. Nie była to jedyna praca, jaką Melani wykonywał dla swojego pana, był bowiem jego szpiegiem i tajnym kurierem. Śpiewak Atto, podziwiany i ceniony na dworach Europy, cieszył się zaufaniem władców, zyskując jednocześnie dużą swobodę działania.

- Pod pretekstem zabawiania monarchów Szpiegował, mącił, przekupywał - wyjaśnił Devize.

- I o wszystkim donosił swoim zfeceniodawcom - wtrącił uszczypliwie Stilone Priaso.

Oprócz Medyceuszy, dzięki przyjaźni łączącej Florencję z Paryżem, z podwójnych usług Atta korzystał też kardynał Mazzarini, który stał się jego głównym mecenasem. Zabierał go ze sobą nawet na rozmowy dyplomatyczne. Atto był traktowany niemal jak członek rodziny. Został przyjacielem siostrzenicy Mazzariniego, dla której król stracił głowę do tego stopnia, że pragnął ją poślubić, a kiedy dziewczyna musiała opuścić Francję, Atto został jej konfidentem.

Po śmierci Mazzariniego - ciągnął Devize - dla pupilka kardynała nastąpiły trudne czasy. Jego Wysokość osiągnął pełnoletność i nie darzył go zaufaniem - wyjaśnił Devize. - Co więcej, Atto został skompromitowany w wyniku skandalu wywołanego przez Fouqueta, nadintendenta finansów.

Zadrzałem na całym ciele. Czy to nie nazwisko Fouqueta wyrwało się opatowi Melaniewi podczas naszej rozmowy poprzedniej nocy?

- Król popełnił błąd, przebacząc mu po wielu latach - ciągnął francuski muzyk.

- Według ciebie to błąd? A czyż on i ten złodziej Fouquet nie byli za przyjaźnieni? - zaproponował Cristofano.

- Nigdy nie wyjaśniono, jak naprawdę miały się sprawy. Po aresztowaniu Fouqueta wśród jego listów znaleziono bilecik z rozkazem udziele-

nia potajemnie gościny Melaniemu. Sędziowie pokazali bilecik Fouquetowi.

- Jak to wyjaśnił? - spytał zaciekawiony Stilone Priaso.

- Powiedział, że jakiś czas temu Atto pilnie potrzebował bezpiecznego schronienia, bo przez swoje wścibstwo poróżnił się z wpływowym księciem La MeiUeraye, spadkobiercą fortuny Mazzariniego. Księżę, który był wyraźnie zaniepokojony, otrzymał od króla zgodę na przepędzenie Melaniego z Paryża, po czym nasłał na Atta najemnych zbirów, żeby go pobili. Dowiedzieli się o tym przyjaciele Melaniego i poradzili mu, żeby ukrył się u Fouqueta, gdzie mógł czuć się bezpieczny, bo oficjalnie się nie znali.

- A zatem Atto i Fouquet nie znali się! - wykrzyknął Stilone Priaso.

- To nie takie proste - rzekł Devize z chytrym uśmieszkiem. - Te wydarzenia miały miejsce dwadzieścia lat temu, byłem wówczas dzieckiem. Później czytałem akta procesu Fouqueta, które w Paryżu cieszyły się większym zainteresowaniem niż Biblia. No więc Fouquet powiedział sędziom: „Czy ktoś może potwierdzić, że bywaliśmy u siebie?”

- Ale spryciarz! - wykrzyknął Stilone. - Doskonała odpowiedź! Nikt nie mógł zaświadczyć, że widział ich razem, co nie znaczy, że nie mogli spotykać się potajemnie... Moim zdaniem znali się, na pewno! Ten bilecik mówi jasno: Atto był prywatnym szpiegiem Fouqueta.

- Możliwe - zgodził się Devize. - W każdym razie tą odpowiedzią Fouquet uratował Melaniego od więzienia Atto przenocował u Fouqueta, a następnego dnia wyjechał z Francji, unikając pobicia. W Rzymie doszły go jednak niedobre nowiny: aresztowanie Fouqueta, skandal, jego imię zhańbione, gniew króla...

- Jak z tego wybrnął? - spytał Stilone Priaso.

- Poradził sobie znakomicie - wtrącił Cristofano. - W Rzymie podjął służbę na dworze kardynała Rospigliosiego, który pochodził z Pistoii, tak jak opat, a później został papieżem. Melani do dziś przechwala się, że mu w tym pomógł. Mieszkańcy Pistoii są wielkimi łgarzami, wiercie mi!

- Być może - odparł spokojnie Devize. - W czasie konklawe Atto Melani rzeczywiście pomógł Rospigliosiemu, który później podczas swojego pontyfikatu sprzyjał Francji. Wiadomo też, że Melani przyjaźnił się nie tylko ze znanymi kardynałami, ale też z wpływowymi francuskimi ministrami.

- Atto jest osobą zagadkową, niebudzącą zaufania i niebezpieczną - podsumował Stilone Priaso.

Byłem w najwyższym stopniu zaskoczony. Czy mężczyzna, o którym mówili trzej goście gospody, był tym samym człowiekiem, z którym poprzedniej nocy gawędziłem zaledwie kilka metrów od tych krzeseł? Przedstawił się jako muzyk, a teraz okazało się, że jest tajnym agentem, zamieszany w podejrzaną pałacową rozgrywkę i skandale. Odnosiłem wrażenie, że poznałem dwie różne osoby. Jeśli prawdą jest to, co mi o sobie powiedział (że liczni książęta nadal darzą go swoimi względami), musiał mieć duże wpływy. Rozmowa Stilone Priasa, Cristofana i Devizego wzbudziła jednak moje uzasadnione podejrzenia.

- Przy okazji każdej ważnej kwestii politycznej pojawia się nagle postać opata Melaniego - powiedział francuski muzyk, kładąc nacisk na słowo „opat”. - Być może z czasem okaże się, że w sprawę zamieszany jest również on. Wszędzie udaje mu się wśliznąć. Atto był jednym z pomocników Mazzariniego podczas negocjacji z Hiszpanami na Wyspie Bazanciej, zakończonych podpisaniem pokoju pirenejskiego. Wysłali go też do Niemiec, żeby przekonał elektora Bawarii do ubiegania się o tron cesarski. Teraz, kiedy wiek nie pozwala mu podróżować jak dawniej, stara się przysłużyć królowi, wysyłając mu raporty o sytuacji na dworze w Rzymie, który dobrze zna i gdzie nadal ma wielu przyjaciół. W sprawach wagi państwowej Paryż zasięga rady opata Melaniego.

- Arcychrześcijański Król udziela mu audiencji? - spytał z ciekawości Stilone Priaso.

- To kolejna tajemnica. Osoba o tak wątpliwej reputacji nie powinna być przyjmowana na dworze, tymczasem Atto utrzymuje bliskie stosunki z ministrami Korony. Niektórzy przysięgają, że widzieli go, gdy cichaczem wymykał się z komnat królewskich, widocznie wezwany pilnie i w największym sekrecie przez Jego Wysokość.

A więc to prawda, że opat Melani mógł rozmawiać z królem Francji. Pomyślałem zatem, że przynajmniej w tej sprawie mnie nie okłamał.

- A jego bracia? - zapytał Cristofano w chwili, gdy stawałem przed nim talerz z gorącym rosołem.

- Zawsze działają w grupie, jak wilki - wyjaśnił Devize z wyrazem dezaprobaty na twarzy. - Kiedy po elekcji Rospigliosiego Atto zamieszkał w Rzymie, przyjechali do niego dwaj bracia, z których jeden został kapelmistrzem w kościele Santa Maria Maggiore. W swoim rodzinnym mieście Pistoia zgromadzili olbrzymie dobra, z tego powodu wielu współziomków słusznie ich nienawidzi.

Nie miałem już wątpliwości. Melani nie był żadnym opatem, ale kłamliwym homoseksualistą, wkradającym się w łaski niczego nieświadomych władców, w czym pomagali mu jego nikczemni bracia. Popełniłem niewybaczalny błąd, obiecując temu człowiekowi pomoc.

- Najwyższa pora, abym zajrzał do pana Pellegrina - zakomunikował Cristofano po zaaplikowaniu dwóm swoim rozmówcom oleju siarkowego z rosołem do popicia.

W tej samej chwili zauważyliśmy, że na parter zszedł też Pompeo Dulcibeni. Siedział w milczeniu w kącie drugiej jadalni i popijał wódkę z niewielkiej butelki, którą pryncypał miał zwyczaj stawiać razem z kieliszkami na stoliku. Przyszło mi na myśl, że z pewnością słyszał rozmowę o Melanim.

Dołączyłem do trójki gości. Dulcibeni nie ruszył się z miejsca. Kiedy weszliśmy na pierwsze piętro, spotkaliśmy ojca Robledę.

Jezuita wziął się w garść, opanował paniczny strach przed zarazą i próbował zachowywać się z godnością. Przez chwilę stał na progu pokoju, ocierając z czoła krople potu, od którego posklejały mu się kręcone szpakowate włosy. Następnie wyszedł na korytarz i stanął zabawnie wyprostowany pod ścianą, wspierając cały ciężar potężnego ciała na palcach nóg i odchylając tułów do tyłu, przez co zarys jego czarnej postaci tworzył długą krzywiznę. Właściwie nie był otyły, miał tylko grubą szyję i okrągłą twarz o ciemnej karnacji. Przy wysokim wzroście wystający brzuch nie szpecił go, przeciwnie, dodawał powagi. Dziwna poza, w jakiej go zastaliśmy, powodowała, że spoglądał w dół spod przymkniętych powiek. Szeroko rozstawione brwi i podkrążone oczy nadawały jego twarzy wyniosły i zarazem lekceważący wyraz.

Cristofano, dostrzegłszy ojca Robledę, poprosił go, aby do nas dołączył, wyjaśniając, że Pellegrino może potrzebować księdza. Jezuita chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i bez słowa podążył za nami.

Weszliśmy na poddasze i z niepokojem spojrzeliśmy na człowieka leżącego na łóżku. Nie spodziewaliśmy się zastać Pellegrina przy życiu. On jednak oddychał, wprawdzie ciężko i chrapliwie, ale oddychał. Dwie plamy na szyi nie znikły, ale na szczęście nie powiększyły się. Cristofano nadal nie był pewien, czy to dżuma, czy wybuczynny.

Przypomniałem jezuitcie, stojącemu przezornie za progiem, że powinien udzielić pryncypałowi ostatniego namaszczenia. Wyjaśniłem, że edykt nakazujący wieszanie w gospodach religijnych obrazów mówił też



o tym, że jeśli w zajeździe lub karczmie ktoś zachoruje, należy najpóźniej trzeciego dnia udzielić mu sakramentu spowiedzi.

- Nnnno tak, rzeczywiście - odparł Robleda, nerwowo wycierając szmatką mokre od potu włosy.

Wyjaśnił pośpiesznie, że zgodnie z nakazem Kościoła wypowiadać chorego i udzielić mu ostatniego namaszczenia może tylko proboszcz lub polecony przez niego ksiądz. Jeśliby zrobił to inny kapłan, świecki czy duchowny, popełniłby śmiertelny grzech i został poddany papieskiej ekskomunie. Powiedział też, że edykt, o którym wspomniałem, obowiązek namaszczenia chorego będącego w podróży i odmówienia nad nim litanii za umierających składa na braci z Towarzystwa Wytrwałości San Salvatore in Lauro, zwanego Le Coppel, które opiekuje się między innymi chorymi cudzoziemcami. Robleda dodał, że nie może udzielić Pellegrinowi ostatniego namaszczenia, ponieważ nie dysponuje olejem poświęconym przez biskupa.

Jezuita doskonale orientował się w tej kwestii - mówił z takim zapalem, że aż trząśł mu się tłusty podbródek. Podczas jubileuszu w 1675 roku jeden z jego współbraci znalazł się w podobnej sytuacji i nic udzielił potrzebującemu ostatniego namaszczenia - rzekł tonem usprawiedliwienia.

Gdy Robleda wyjaśniał nam przyczynę swoich obaw, szybko odszukałem edykt, który Pellegrino przechowywał w szufladzie razem z innymi rozporządzeniami dotyczącymi właścicieli zajazdów, gospód i karczm. Przejrzawszy pośpiesznie dokument, stwierdziłem, że jezuita miał rację.

Głos zabrał teraz medyk Cri sto tano. Powiedział cicho, żeby nie niepokoić Pellegrina, że mądre, uczone uwagi ojca Robledy należy potraktować poważnie, ponieważ sprzeciwienie się nakazom kościelnym i edyktowi grozi ekskomuniką. Należy zatem jak najszybciej powiadomić proboszcza pobliskiego kościoła Santa Maria in Posterula o nowym przypadku podejranej choroby. Trzeba też zaalarmować miłosiernych braci z Towarzystwa Wytrwałości San Salvatore in Lauro, zwanego Le Coppel, niczego nie przemilczając. Rozsądek nakazuje - dodał Cristofano z błyskiem w swoich dużych czarnych oczach - abyśmy spakowali swoje bagaże, ponieważ po zakończeniu obowiązującej procedury zostaniemy przeniesieni w bezpieczne miejsce, a później do lazaretu.

Ojciec Robleda, słuchając słów medyka z przymkniętymi powiekami, nagle ocknął się z zamyślenia. Spojrzeliśmy na niego. Ciemne oczka jezuity po obu stronach długiego, cienkiego nosa nadal zwrócone były w dół, jakby ojciec Robleda obawiał się skierować wzrok na nasze twarze, aby nie

zmarnować resztki cennych wewnętrznych sił, które przeznaczył na przewyciężenie zakłopotania. Niespodziewanie wyrwał mi z ręki edykt.

- Wiedziałem! - wykrzyknął, zaciskając usta i wypinając brzuch. - W edykcie nie wspomina się o wyjątkowych przypadkach, takich jak nieobecność, spóźnienie czy inne trudności, które nie pozwalają stawić się proboszczowi u łóża chorego. W takiej sytuacji ostatniego namaszczenia może udzielić każdy ksiądz.

Cristofano zauważył, że żadna z wymienionych okoliczności nie wystąpiła.

- Ale mogła wystąpić - odparł jezuita, rozkładając ramiona w teatralnym geście. - Gdybyśmy wezwali braci z Towarzystwa Wytrwałości, ze strachu przed zarazą czym prędzej wysłaliby nas do lazaretu, nawet nie obejrząwszy chorego. Obecność proboszcza wymagana jest na mocy edyktu kościelnego, a nie z nakazu Boga! Jest więc moim moralnym obowiązkiem - rzekł, akcentując sylaby - jak najszybciej udzielić nieszczęsnemu umierającemu bratu ostatniego namaszczenia, aby jego dusza uleciała do nieba oczyszczona z grzechów i...

- Przecież ojciec nie ma oleju poświęconego przez biskupa - wtrąciłem.

- Kościół grecki, na przykład, nie stosuje go - odparł krótko.

Nie udzielając dalszych wyjaśnień, polecił mi przynieść oliwę z oliwek, którą zgodnie z zaleceniem świętego Jakuba miał zamiar sam pobłogosławić, oraz drewnianą pałeczkę. Potem stanął u wezgiłowia chorego pryncypała i udzielił mu ostatniego namaszczenia. Zrobił to bardzo zręcznie i szybko. Zanurzył pałeczkę w oliwie i trzymając się jak najdalej od chorego, namaścił mu jedno ucho. Wymruczał pośpiesznie krótką formułkę: *Indutgeat tibi Deus quidquid peccasti per sensus*, zupełnie inną od tej, którą wszyscy znaliśmy.

- Uniwersytet w Louvain - wyjaśnił, widząc nasze zdziwione miny - w tysiąc pięćset osiemdziesiątym ósmym roku zezwolił, aby w przypadku zarazy udzielać chorym ostatniego namaszczenia pałeczką, a nie kciukiem. Zamiast namaszczać usta, nos, oczy, uszy, dłonie i stopy, powtarzając za każdym razem kanoniczną formułkę *Per istas sanctas unctiones, et suam piissimam misericordiam indulgeat tibi Deus quidquid per visum, auditum, odoratum, gustum, tactum deliquisti*, teologowie tej uczelni zgodzili się, że można udzielać sakramentu, smarując jeden z organów zmysłu i wypowiadając skróconą formułkę.

To powiedziawszy, ojciec Robleda pośpiesznie oddalił się.

Zaczekałem, aż wszyscy się rozejdą, i pobiegłem za nim. Dogoniłem go w chwili, gdy wchodził do swojego pokoju. Nieco zdyszany powiedziałem, że bardzo się martwię o duszę pryncypała. Spytałem, czy na pewno dusza Pellegrina została oczyszczona z grzechów i nie grożą jej męki piekielne. Może powinien się przed śmiercią wypowiadać? Co się stanie, jeśli umrze, nie odzyskawszy świadomości?

- Jeśli o to chodzi - odparł Robleda - nie musisz się martwić. To nie będzie jego wina, jeśli przed śmiercią nie odzyska przytomności i nic wypowiada się ze swoich grzeszków.

- Wiem - powiedziałem szybko - ale oprócz grzechów powszednich istnieją też grzechy ciężkie...

- Czy wiesz coś na temat jakiegoś poważnego grzechu popełnionego przez pryncypała? - spytał zaniepokojony jezuita.

- O ile mi wiadomo, jego największym grzechem jest przeklinanie. Czasem też pił za dużo wina.

- W każdym razie, nawet gdyby kogoś zabił - powiedział Robleda, czyniąc znak krzyża - nie miałyby to większego znaczenia.

Wyjaśnił mi, że jezuita od dawna studiuje doktrynę grzechu i przebaczenia.

- Są zbrodnie powodujące śmierć duszy, ale istnieją też przestępstwa częściowo usprawiedliwione - oświadczył, ścisząc głos - a nawet, oczywiście w szczególnych przypadkach, dozwolone. To kwestia okoliczności. Zapewniam cię, że spowiednikowi zawsze trudno podjąć odpowiednią decyzję.

Kazuistyka nakazuje w tym wypadku wielką ostrożność. Czy można rozgrzeszyć syna, który w obronie własnej zabił ojca? Czy popełnia zbrodnię ten, kto ratując głowę, morduje świadka? Albo żona, która pozbawia życia męża, wiedząc, że on ma takie same zamiary wobec niej? Czy szlachcic w obronie honoru (stanowiącego dla niego najwyższą wartość) może zabić człowieka, który go znieważył? Czy popełnia grzech żołnierz z rozkazu zwierzchnika zabijający niewinną osobę? Albo: czy popełnia grzech matka, która prostytutką zarabia na chleb dla swoich dzieci?

- Czy kradzież, ojcze, zawsze jest grzechem? - spytałem, przypomniawszy sobie, że nie wszystkie smakotyki, w które obfitowała piwnica mojego pryncypała, pochodziły z legalnego źródła.

- Nie, nie zawsze. Również w tym przypadku należy wziąć pod uwagę okoliczności czynu. Inaczej jest, jeśli bogacz okrada biedaka, a inaczej, gdy biedak okrada bogacza, albo bogacz bogacza, a biedak biedaka.

Następnie Cristofano zatrzymał nas jeszcze przez chwilę, proponując, abyśmy zażyli środki oczyszczające i uodporniające organizm. Niektóre medykamenty były już gotowe, inne lekarz miał przygotować z ziół i esencji pochodzących z piwnicy Pellegrina.

- Nie spodoba wam się ani ich smak, ani zapach. Są to jednak preparaty wysokiej jakości - tu spojrzął zaczepnie na Bedfordiego. - *Elixir vitae*, piąta esencja, druga woda i matka sztucznego balsamu, olej *philosophorum*, wielki liquor, substancja kaustyczna, diaromatyk, powidełka lecznicze, wiotriol, olej siarkowy, pastylki piżmowe oraz substancje odkażające, tabletki i wonne pigułki. Oczyszczają one powietrze i uniemożliwiają zarażenie. Nie zażywajcie ich jednak w nadmiernej ilości, ponieważ oprócz octu destylowanego zawierają arsenik krystaliczny i grecką smołę. Poza tym każdego ranka będziecie zażywać moją piątą oryginalną esencję, uzyskaną z doskonałego białego wina, które dojrzewało w górskich jaskiniach. Wino poddałem destylacji, wlałem do karafki zamykanej korkiem z drzewa balsamowego, następnie, odwróciwszy ją do góry dnem, przykryłem ciepłymi końskimi odchodami i pozostawiłem na dwadzieścia dni. Wyjąwszy karafkę z nawozu (czynność tę należy wykonywać z największą ostrożnością, aby nie wstrząsnąć płynu), zlałem jasnoniebieski destylat znad osadu i w ten sposób uzyskałem piątą esencję. Przechowuję ją w szklanych, starannie zamkniętych słoiczkach. Preparat chroni przed wszelkimi ciężkimi chorobami. Jest tak skuteczny, że wskrzesza zmarłych.

- Miejmy nadzieję, że nie zabija żywych - zażartował Bedfordi.

Lekarz poczuł się urażony.

- Jego skład został zatwierdzony przez Raimundusa Lullusa, Filippa Ulstada oraz wielu innych filozofów starożytnych i współczesnych. Na koniec chciałbym powiedzieć, że mam też wyśmienite pigułki, po pół drachmy każda, które powinniście nosić w kieszeni i połknąć w chwili, gdy poczujecie się źle. Pastylki sporządzone są z odpowiednio dobranych składników leczniczych, takich jak: bolus, kaolin, zedoaria, kamfora, pięciornik, biały dyptam, aloes, odrobina szafranu, goździków i diagrydu, sok z kapusty i gotowany miód. Jest to specjalny środek przeciw dżumie wywołanej zmianą naturalnej ciepłoty ciała. Bolus i kaolin gaszą ogień w ciele i obniżają gorączkę. Zedoaria ma właściwości wysuszające i rozpuszczające. Kamfora odświeża i wysusza. Biały dyptam stosuje się przeciw truciznie, aloes zabezpiecza przed gniciem i pomaga się wypróżnić. Szafran i goździki wzmacniają i rozweselają serce. Diagryd obniża nadmierną wilgotność ciała.

Słuchaliśmy jego wywodu w milczeniu.

- Możecie mi zaufać - nalegał Cristofano. - Sam udoskonaliłem słynne receptury wybitnych lekarzy. Na przykład syrop na żołądek mistrza Jana z Volterry jest stosowany w najgroźniejszych odmianach dżumy...

W tej samej chwili w grupie słuchaczy powstało małe zamieszanie. Nieoczekiwane pojawienie się Cloridii odwróciło naszą uwagę od perorującego Cristofana. Dotąd przebywała w swoim pokoju, nie schodząc nawet na posiłki. Jej przybycie wywołało różne reakcje: Brenozzi podrapał się w przyrodzenie, Stilone Priaso i Devize poprawili sobie włosy, Cristofano dyskretnie wciągnął brzuch, ojciec Robleda zaczerwienił się, Atto Melani natomiast kichnął. Tylko Bedfordi i Dulcibeni pozostali niewzruszeni. Nie czekając na zaproszenie, kurtyzana zajęła miejsce pomiędzy nimi.

Cloridia wyglądała dość niezwykle. Przez biały puder przebijała, ku jej niezadowoleniu, ciemna karnacja, tworząc kontrast z gęstymi, sztucznie rozjaśnionymi lokami, które okalały jej szerokie czoło i regularny owal twarzy. Mały nos, duże czarne oczy o aksamitnym spojrzeniu, piękne, ściśle przylegające do siebie zęby i wydatne usta stanowiły jedynie dodatek do tego, co najbardziej rzucało się w oczy, czyli dużego dekoltu. Kształtny biust opinał kolorowy stanik. Ramiona okrywała chusta z frędzlami, związana w gruby węzeł na piersiach.

Bedfordi zrobił Cloridii miejsce na ławic, Dulcibeni nawet nie drgnął.

- Jestem pewna, że chcielibyście się dowiedzieć, kiedy nas stąd wypuszczą - odezwała się Cloridia z kuszącym uśmiechem i położyła na stole talię kart do tarota.

- *Libera nos a malo* - wyszeptał Robleda, czyniąc znak krzyża. Wyseł w pośpiechu, nie pożegnawszy się.

Nikt nie skorzystał z propozycji Cloridii.

- To chyba nie najlepszy moment, szanowna pani - powiedział uprzejmie Atto Melani. - Smutek, jaki niesie nasze obecne położenie, nie pozwala nam cieszyć się pani towarzystwem.

Niestropiona Cloridia schwyciła dłoń Bedfordiego, z wdziękiem przyciągając ją do siebie, blisko obfitego biustu, na francuską modłę głęboko odsłoniętego.

- Powrózę panu z ręki - oznajmiła. - Bezpłatnie, ma się rozumieć, wyłącznie dla pańskiej przyjemności.

Zaskoczony Bedfordi nie mógł wykrztusić słowa. Zanim zdążył odmówić, Clordia delikatnie rozwarła jego dłoń.

- Zaczynamy więc - powiedziała, przesuwając palcem po dłoni Anglika. - Zobaczysz, spodoba ci się.

Wszyscy obecni (ze mną włącznie) wyciągali szyje, żeby lepiej zobaczyć i słyszeć.

- Czy ktoś wróżył ci z ręki? - spytała Clordia, delikatnie głaszcząc otwartą dłoń Bedfordiego.

- Tak. To znaczy nie. Chciałem powiedzieć, że nie w ten sposób.

- Nie denerwuj się! Clordia wyjawi ci wszystkie sekrety. Duży palec nosi nazwę kciuk, *pollex, quia pollet*, i jest silniejszy od pozostałych. Drugi to wskazujący, bo służy do wskazywania, trzeci nazywany jest niegodziwym, gdyż wyraża się nim kpinę i obelgę. Na czwartym palcu, określanym mianem lekarskiego lub serdecznego, zwykle nosi się pierścionek. Palec piąty zwany bywa małym lub usznym, ponieważ służy do czyszczenia ucha. Palce u ręki są nierównej długości, dzięki czemu ładnie wyglądają i łatwiej się nimi posługiwać.

Clordia wymawiała wyraźnie każde zdanie. Pieściła lubieżnie palce Anglika, który pokrywał zmieszanie nieśmiałym uśmiechem. Wyczuwało się w nim lęk przed kobietami, który zaobserwowałem jedynie u podróżnych pochodzących z ziem północnych. Clordia przeszła następnie do omawiania linii na dłoni Bedfordiego.

- Widzisz tę linię, która biegnie od palca wskazującego w dół do nadgarstka, o tutaj? To linia życia, zwana też linią serca. Linia, która ją przecina, to linia naturalna lub linia rozumu. Tuż obok niej biegnie linia biesiadna. Ta niewielka wypukłość nazywana jest wzgórkim Wenus. Podoba ci się ta nazwa? - spytała przymilnie Clordia.

- Mnie bardzo - wtrącił Brenozzi.

- Odsuń się, głupcze! - wykrzyknął Stilone, odpychając Brenozziego, który chciał usiąść bliżej Clordii.

- To w istocie piękna nazwa - oświadczyła kurtyzana, uśmiechając się znacząco najpierw do Brenozziego, później do Bedfordiego. - Ale piękne są też inne nazwy, jak na przykład: kciuk i wzgórek Wenus, palec i wzgórek Słońca, palec i wzgórek Marsa, wzgórek Jowisza, palec i wzgórek Saturna czy wzgórek Merkurego.

Kiedy tak mówiła o palcach, liniach, wypukłościach i zagłębieniach, zwinnym, zmysłowym ruchem palca dotykała na zmianę dłoni Bedfordiego i własnych policzków, warg, obfitego biustu. Anglik przetykał ślinę.

- Jest też linia wątroby, linia lub droga Słońca, linia Marsa i Saturna, wzgórek Księżycy, na koniec Droga Mleczna...

- Droga Mleczna - powtórzył osłabły z wrażenia Brenozzi.

Stłoczyliśmy się wokół Cloridii niczym zwierzęta wokół źłóbka w noc Bożego Narodzenia.

- Ma pan piękną dłoń, pańska dusza musi być jeszcze piękniejsza - oświadczyła Cloridia uprzejmie, przykładając na chwilę rękę Bedfordiego do swojej ciemnej skóry na dekolcie. - Nic natomiast nie potrafię powiedzieć o pańskim ciele - zazartowała, odsuwając dłoń Anglika, jakby się przed nim broniła, po czym schwyciła za rękę Dulcibeniego.

Spojrzeliliśmy na szlachcica z Fermo, który gwałtownym ruchem uwolnił dłoń z uścisku kurtyzany, wstał od stołu i szybkim krokiem wyszedł z jadalni.

Jaki obraźliki! - skomentowała ironicznie Cloridia, starając się ukryć rozczarowanie i gniew. - I jaki brzydki charakter!

Przypomniało mi się, że w minionych dniach Cloridia często próbowała zbliżyć się do Dulcibeniego, konsekwentnie odrzucającego jej względy. W przeciwieństwie do Robledy, który przesadnie okazywał zgorzniecie osobą kurtyzany, choć zapewne kilkakrotnie odwiedził ją w nocy, Dulcibeni zdawał się darzyć ją szczerą, głęboką pogardą. Żaden inny gość gospody nie ośmielił się traktować jej z taką niechęcią. Z tego właśnie powodu lub przez wzgląd na pieniądze (co wydawało się oczywiste), których Dulcibeniemu zapewne nic brakowało, kurtyzana uparła się go usidlić, ale jak dotąd bezskutecznie. Wypytywała mnie o Dulcibeniego, żeby się czegoś dowiedzieć na jego temat.

Cloridia nie znalazła chętnych do wrózenia sobie z ręki, więc Cristofano podjął przerwany wątek i wyjaśniał nam, w jaki sposób możemy ustrzec się przed chorobą. Rozdał wszystkim pastylki, wonne pigułki i inne medykamenty. Następnie razem z Cristofanem udaliśmy się do Pellegrina sprawdzić, jak się czuje.

Gdy weszliśmy do pokoju, mój pryncypał leżał nieruchomo na łóżku, lecz wydawał się nieco mniej blady. Światło wpadające przez okna poprawiło nasz nastrój.

Cristofano zaczął badać chorego.

- Mmmh - mamrotał Pellegrino.

- Żyje - zawyrokował medyk z Toskanii. - Wprawdzie pogrążył się w stanie katatonii i bardzo słabo reaguje na bodźce, ma też wysoką gorączkę, ale wygląda trochę lepiej. - Pochylił się nad łóżkiem. - Pellegrino, czy mnie słyszysz? - szepnął do ucha pograżonemu w śpiączce gospodarzowi.

- Mmmh - ponownie wymamrotał pryncypała.

- Słyszysz - stwierdził lekarz z przekonaniem - ale nie może odpowiedzieć. Miałem kiedyś podobny przypadek. Pewnego wieśniaka przygniotło drzewo powalone przez wicher. Całymi miesiącami nie mógł wymówić słowa, mimo że doskonale rozumiał, co mówiła jego żona i dzieci.

- Co się z nim stało? - spytałem.

- Nic, umarł.

Cristofano poprosił mnie, abym wypowiedział cicho kilka słów, żeby rozbudzić pryncypała. Próba jednak nie powiodła się. Nawet gdy wyszeptalem, że gospoda stanęła w ogniu i zapasom wina grozi zniszczenie, nie zdołałem wyrwać Pellegrina z odrętwienia.

Mimo to Cristofano był dobrej myśli. Dwie wypukłości na szyi pryncypała pojaśniały i zmniejszyły się, nie były to zatem obrzęki dymieniowe. Wybroczyny krwotoczne, czy cokolwiek to było, ustępowały. Ponieważ nie groziła nam epidemia dżumy, mogliśmy nareszcie odetchnąć z ulgą. Nie pozostawiliśmy jednak chorego własnemu losowi. Ponieważ Pellegrino mógł przetykać, choć bardzo powoli, płyny i rozdrobnione pokarmy, zaofiarowałem się, że będę go karmić. Gospoda pozostawała więc na pewien czas pozbawiona opieki człowieka, który znał ją najlepiej i potrafił się odpowiednio zająć gośćmi. Właśnie snulem tego rodzaju rozważania, kiedy pozostali goście, zadowoleni ze złożenia wizyty choremu, pożegnali się i wyszli. Pozostałem sam z lekarzem, który zwlekał z opuszczeniem pokoju, obserwując w zamyśleniu nieruchome ciało Pellegrina.

- Moim zdaniem czuje się znacznie lepiej, ale nie mam pewności, czy wyzdrowieje - oświadczył.

W pewnej chwili od via delForso doszedł naszych uszu przeciągły odgłos dzwonka. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem trzech mężczyzn, którzy przybyli, żeby wyczytać nasze nazwiska i sprawdzić, czy nikt się nie wymknął z gospody. Przedtem jednak chcieli usłyszeć sprawozdanie Cristofana o stanie naszego zdrowia. Spoglądaliśmy z niepokojem na mojego biednego pryncypała, który nie był w stanie utrzymać się na nogach.

Na szczęście dzięki przebiegłości Cristofana i opata Melaniego wie-



dzieliśmy, jak wyjść z opresji. Zeszliśmy na pierwsze piętro, do pokoju Pompea Dulcibeniego. Pierwszy pokazał się w oknie medyk Cristofano, zapewniając wizytatorów, że nic złego się nie dzieje, nikt nie choruje i wszyscy mają się dobrze.

Po kolei podchodziliśmy do okna, aby strażnicy mogli nas zobaczyć. Lekarz i Atto zadbali o to, by ich zmylić. Cristofano podprowadził do okna Stilone Priasa, następnie Robledę, na koniec Bedfordiego, gdy tymczasem inspektor wyczytał inne nazwiska. Cristofano przeprosił za nieumyślne pomylenie osób. Powstało duże zamieszanie. Kiedy przyszła kolej na Pellegrina, Bedfordi wprowadził jeszcze większy zamęt, wykrzykując po angielsku, aby go wypuszczono (jak nam wyjaśnił Atto). Inspektorzy wyśmiali go. W tej samej chwili pokazał się w oknie Pellegrino. Mógł sprawiać wrażenie zupełnie zdrowego: włosy miał starannie uczesane, a blade policzki ubarwione różem Cloridii. Jednocześnie Devize zaczął wymachiwać rękami i głośno domagać się uwolnienia, odwracając uwagę inspektorów od Pellegrina. Wysłannicy Kongregacji Zdrowia zakończyli wizytę, nie spostrzegłszy, że mój pryncypał był poważnie chory.

Kiedy tak zastanawiałem się nad zaistniałą sytuacją, opat Melani wciągnął mnie do swojego pokoju. Chciał wiedzieć, gdzie Pellegrino miał zwyczaj przechowywać kosztowności, które powierzali mu goście gospody. Cofnąłem się, zdumiony tym pytaniem, ponieważ miejsce było utajnione. Oczywiście pryncypał nie ukrywał tam skarbów, jedynie pieniądze należące do gości. Przypomniało mi się, że Cristofano, Stilone Priaso i Devize mieli o gospodarzu jak najgorszą opinię.

- Przypuszczam, że twój pryncypał nosi klucze zawsze przy sobie - stwierdził opat.

Już miałem mu odpowiedzieć, kiedy przez uchylone drzwi zobaczyłem Pellegrina odprowadzanego do pokoju. Zauważyłem, że zniknął gdzieś pęk kluczy, które pryncypał dniem i nocą nosił na metalowym łańcuszku przy pasku u spodni.

Pobiegłem do piwnicy, gdzie trzymałem zapasowe klucze, ukryte w zamaskowanej skrytce w ścianie. Klucze były na miejscu. Starając się nie zwracać na siebie uwagi gości (którzy schodzili do jadalni na kolację, żywo komentując pomyślnie zakończoną inscenizację), wszedłem na trzecie piętro.

Należy wyjaśnić, że na każde piętro prowadziły dwa biegi schodów z podestami. Na podeście między drugim a trzecim piętrem znajdowały się drzwiczki prowadzące do komórki, w której Pellegrino przechowywał cenne przedmioty należące do gości.

Upewniwszy się, że nikt mnie nie śledzi, wszedłem do środka. Wyciągnąłem obluźowany kamień w ścianie. W skrytce znajdowała się niewielka skrzynka. Otworzyłem ją i stwierdziłem, że nic nie brakuje: ani pieniędzy, ani poświadczeń depozytu, podpisanych przez gości. Uspokoiłem się.

- Rodzi się zatem pytanie, kto ma klucze pana Pellegrina. - To był głos opata Melaniego. Najwidoczniej śledził mnie, wszedł do komórki i zamknął za sobą drzwi. - Okazuje się, że wśród nas jest złodziej - oświadczył jakby rozbawiony. - Cisza! Ktoś nadchodzi - powiedział, wskazując głową w kierunku podestu.

Gestem nakazał mi, żebym wyjrzał, co też uczyniłem, choć niechętnie. Z podestu dochodziły słabe dźwięki gitary pana Devizego, nic poza tym.

Poprosiłem opata, żeby niezwłocznie opuścił komórkę, pragnąc ograniczyć do minimum nasze kontakty. Kiedy wychodził przez wąskie drzwiczki, spostrzegłem, że rzucił okiem na skrzynkę. Wyglądał na zaniepokojonego.

- O co chodzi, panie Atto? - spytałem, starając się ukryć zdenerwowanie i zapanować nad nieuprzejmym tonem głosu.

- Doszedłem do wniosku, że to nie miałyby sensu, gdyby osoba, która ukradła klucze, nie wyjęła niczego z tej skrzynki. Czy aby na pewno dobrze sprawdziłeś?

Wróciwszy do komórki, przekonałem się, że wszystko było na miejscu, zarówno pieniądze, jak i pokwitowania. Co innego miałyby tam być? Po chwili przypomniałem sobie: perły, które ofiarował mi Brenozzi.

Zniknął dziwny, fascynujący dar weneccjanina, który skrzętnie ukryłem pośród innych kosztowności. Ale dlaczego złodziej nie wziął niczego innego? W skrzynce były przecież duże sumy pieniędzy, o wiele bardziej widoczne i przydatne od moich pereł.

- Rozchmurz się! Pójdziemy teraz do mojego pokoju i spokojnie rozważymy tę sytuację - zaproponował opat. - Widząc moje wahanie, dodał: - O ile chcesz odzyskać perły.

Zgodziłem się więc, acz niechętnie.

Kiedy weszliśmy do pokoju, opat poprosił mnie, żebym usiadł. Do-myślał się, że jestem zdenerwowany.

- Istnieją dwie możliwości - oświadczył. - Albo złodziej uczynił już

to, co zamierzał, czyli ukradł perły, albo nie zdołał wprowadzić w życie swojego zamiaru. Jestem za drugą ewentualnością.

- Dlaczego? Mówiłem przecież, że zdaniem medyka Cristofana perły mają coś wspólnego z trucizną i pozorną śmiercią. Być może Brenozzi coś o tym wie.

- Zostawmy tę historię, chłopcze. Przynajmniej na razie - zaproponował z uśmiechem. - Nie dlatego, żeby twoje perełki były niewiele warte czy pozbawione właściwości, które im przypisuje lekarz. Według mnie w komórce złodziej musiał robić coś innego. Znajduje się ona pomiędzy drugim a trzecim piętrem. Odkąd na schodach znaleziono nieprzytomnego Pellegrina, w pobliżu kręci się wiele osób. Z tego powodu złodziej nie mógł działać swobodnie.

- A zatem?

- Sądzę, że pod osłoną nocy złodziej powróci. Jak na razie nikt nie wie, że odkryłeś kradzież kluczy. Jeśli nikomu o tym nie powiesz, złodziej pojawi się ponownie.

- Zgoda - oświadczyłem, choć przepelniała mnie nieufność - powiadomię wszystkich dopiero jutro. Oby w nocy nic przydarzyło się nikomu nic złego.

Spojrzałem na opata z niechęcią i postanowiłem zadać mu pytanie, które mnie od jakiegoś czasu dręczyło:

- Czy sądzi ojciec, że złodziej zabił pana de Mourai i chciał też zamordować pryncypała?

- Wszystko jest możliwe - odparł Melani, zabawnie wydymając policzki i ściągając usta. — Kardynał Mazzarini mawiał: „Myśląc źle, popełniamy grzech, ale zawsze tak się staje, jak myślimy”. - Opat domyślał się zapewne, że mu nie ufam, ale o nic nie pytał. Mówił dalej: Co się tyczy pana de Mourai, dzisiaj rano chciałem ci zaproponować małe śledztwo, ale nagle pan Pellegrino zasnął.

- Co opat ma na myśli?

- Myślę, że nadeszła pora, by przeszukać pokoje obydwu towarzyszy podróży nieszczęsnego zmarłego. Masz przecież drugi komplet kluczy.

- Chce pan wejść po kryjomu do pokojów panów Dulcibeni i Devizego? I ja mam panu w tym pomóc? - spytałem z najwyższym zdumieniem.

- Nie patrz, tak na mnie! Zastanów się: jeśli któryś z gości ma coś wspólnego ze śmiercią starego Francuza, to głównymi podejrzanymi są właśnie Dulcibeni i Devize. Przybyli z Neapolu razem z de Mouraim i mieszkają tu od ponad miesiąca. Historią z teatrem Arbuza Devize do-

wiódł, że ma coś do ukrycia, Pompeo Dulcibeni natomiast dzielił pokój ze zmarłym. Może są niewinni, ale o panu de Mourai wiedzą więcej niż inni.

- Co ma opat nadzieję znaleźć w ich pokojach?

- Dowiem się tego dopiero wtedy, kiedy tam wejde - odparł krótko.

Przypomniałem sobie straszne rzeczy, które Devize opowiadał o Melaniam.

- Nie dam panu kluczy do ich pokojów - oświadczyłem po namyśle. Opat zrozumiał, że moja odpowiedź jest ostateczna, i nie nalegał. - Poza tym jestem do pańskiej dyspozycji - dodałem łagodniejszym tonem, myśląc o skradzionych perłach. - Mógłbym, na przykład, zadać kilka pytań obu panom, nakłonić ich do mówienia...

- Ależ nie! Niczego byś się nie dowiedział, wzbudziłbyś jedynie ich podejrzliwość. Musimy działać powoli. Na początek postarajmy się ustalić, kto ukradł klucze i twoje perły.

Atto przedstawił mi swój plan działania. Po kolacji będziemy obserwować schody, ja ze swojego pokoju na trzecim piętrze, on ze swojego na drugim. Przeciagniemy przez okna sznurek (nasze pokoje usytuowane były dokładnie nad sobą), a jego końce każdy z nas przywiąże sobie do nogi. Kiedy zdarzy się coś niepokojącego, zasygnalizujemy to pociągnięciem sznurka.

Przygnębiła mnie świadomość, że perły Brenozziego były warte fortunę. Nigdy dotąd nikt nie podarował mi tak cennej rzeczy. Powiniennem więc pomóc opatowi w schwytaniu złodzieja, zachować czujność i pamiętać o tym, co usłyszałem na jego temat.

Zapewniłem Melaniego, że zastosuję się do jego wskazówek, podobnie jak uczyniłem to poprzedniej nocy (o czym mu przypomniałem, żeby go uspokoić) podczas naszej długiej rozmowy. Napomknąłem też, że przypadkiem słyszałem rozmowę trzech gości gospody o nadintendencie Fouquecie, o którym wspominał.

Co o nim mówili?

- Dokładnie nie słyszałem, bo właśnie sprzątałem w kuchni. Przypomniało mi się tylko, że obiecał mi pan coś jeszcze powiedzieć na ten temat.

W oczach Melaniego pojawił się błysk zrozumienia, domyślił się bowiem, dlaczego tak nagle straciłem do niego zaufanie.

- Masz rację, jestem twoim dłużnikiem - zgodził się.

Jego wzrok stał się jakby nieobecny, a on sam zatopiony we wspomnieniach, gdy zanucił cicho tęsknym głosem:

Ai sospin, al dolore.  
ai tormenti, al penarc.  
torna o mio core

- W ten właśnie sposób przemówiłby do ciebie mój mistrz Luigi Rossi - wyjaśnił w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie. - Wszystko ci opowiem, tym bardziej że jest jeszcze dużo czasu do kolacji. Usiądź wygodnie. Pytasz, kim był Nicolas Fouquet. Był jednym z pokonanych. - Zamilkł, jakby szukając odpowiednich słów. Z emocji zaczął mu lekko drżeć podbródek. - Pokonały go zawiść, racja stanu, polityka, a przede wszystkim historia, ponieważ historię tworzą zwycięzcy, bez względu na to, czy są dobrzy, czy źli. Fouquet przegrał, ale jeśli spytasz jakiegoś Francuza, kim był Nicolas Fouquet, usłyszysz, że był to największy złodziej, skorumpowany minister, człowiek stronniczy, sprytny i rozrzutny.

- A jaki był?

- Był Słońcem - odparł Melani z uśmiechem. - Tak nazywano Fouqueta od czasu, kiedy Le Brun sportretował go jako słońce w *Apoteozie Heraklesa*, fresku zdobiącym ściany pałacu W Vaux-le-Vicomte. Żadna inna gwiazda nie mogła równać się z osobą tak wybitną i szlachetną.

- Król Słońce nadał sobie ten przydomek, bo naśladował Fouqueta?

Melani spojrział na mnie w zamyśleniu, nie udzielając odpowiedzi.

Wyjaśnił natomiast, że sztuka jest jak delikatny krzew róży - potrzebuje pielęgnacji, kogoś, kto wybierze dla niej odpowiednią donicę, użyźni ziemię, a potem, dzień po dniu, dostarczy roślinie odpowiedniej ilości wody. Poza tym - dodał opat Melani - ogrodnik musi odznaczać się najlepszymi cechami: delikatnością w obchodzeniu się z pięknym kwiatem, pewnym okiem, które pozwoli wykryć jego niedomagania, i wreszcie umiejętnością przekazywania swojej sztuki.

- Nicolas Fouquet posiadał wszystkie te cechy - westchnął opat Melani. - Był najwspanialszym, najbardziej tolerancyjnym i szczodrym mecenasem kultury, jakiego znałem, i uzdolnionym politykiem. Otoczyli go jednak ludzie chciwi, zawistni i obłudni.

Fouquet pochodził z bogatego rodu z Nantes, od stu lat zajmującego się handlem z Antylami. Oddano go na wychowanie do ojców jezuitów, którzy odkryli w nim nieprzeciętną inteligencję i wyjątkowe uzdolnienia. Następcy wielkiego Loyoli uczynili z Fouqueta wybitnego polityka, który potrafi ocenić sytuację, wykorzystać okazję, przekonać rozmówcę.

Do westchnień w udręce, /do bólu w męce, / powróć me serce...

W wieku szesnastu lat był doradcą parlamentu w Metz, a kiedy miał lat dwadzieścia, należał do prestiżowego grona *maitres des requetes* - urzędników państwowych, którzy zarządzali ministerstwami sprawiedliwości i finansów, jak również wojskiem.

W tym czasie zmarł kardynał Richelieu, którego zastąpił kardynał Mazzarini. Fouquet, uczeń pierwszego z nich, przeszedł na służbę drugiego. Kiedy wybuchła Fronda - bunt arystokracji przeciw koronie - Fouquet stanął po stronie młodego króla Ludwika i zorganizował jego powrót do Paryża, który rodzina królewska musiała opuścić na skutek zamieszek. Był człowiekiem oddanym królowi i odważnym. Kiedy zakończyły się rozruchy, trzydziestopięcioletni wówczas Fouquet otrzymał stanowisko prokuratora generalnego paryskiego parlamentu, a w roku 1653 został nadintendentem finansów.

- Wszystko to służyło jedynie za oprawę dla jego szlachetnych, sprawiedliwych czynów - stwierdził opat Melani.

Oprócz tego, że jeździł po całej Francji (w latach kiedy był *maitre des requetes*), wszystkie swoje siły poświęcił na mądre zarządzanie pieniędzmi Korony (jako nadintendent finansów), zabiegał także o to, by Francja mogła pokazać całej Europie swoje najwybitniejsze osiągnięcia w dziedzinie kultury i sztuki.

Fouquet gościł u siebie pisarzy, artystów, przedsiębiorców. W swoim domu w Paryżu lub na wsi każdą wolną chwilę wykradzioną *sprawom* państwa darował tym, którzy mieli talent do poezji, muzyki czy sztuk plastycznych.

On pierwszy zrozumiał i pokochał wybitnego La Fontaine'a. Niepospolity talent poety zasługiwał na wysoką rentę, którą nadintendent przyznał mu w początkach ich znajomości. Nie chcąc obrazić uczuć swojego przyjaciela, zaproponował mu, by otrzymane pieniądze spłacał utworami poetyckimi. Dłużnikiem Fouqueta był także Moliere. Nadintendent nigdy mu tego nie wypomniał, dług pisarza miał bowiem charakter przede wszystkim moralny. Corneille, w podeszłym już wieku i opuszczony przez kapryśną fortunę, w najtrudniejszym momencie życia otrzymał gratyfikację, która uwolniła go od napadów melancholii.

O zamiłowaniu nadintendenta do literatury i poezji świadczyły nie tylko dary pieniężne dla twórców. Fouquet nie poprzestał na udzielaniu im pomocy finansowej. Czytał nieukończone jeszcze dzieła, doradzał, zachęcał, poprawiał, krytykował albo chwalił. Dawał też natchnienie, zarówno słowami, jak i swoją cenną obecnością. Podtrzymywał artystów na duchu i budził w nich nadzieję. Dobroć miał wypisaną na twarzy. Duże jas-

noniebieskie oczy spoglądały z dziecięcą szczerością, a kiedy się uśmiechał, w policzkach ukazywały się dołeczki.

Bliskie sercu Fouqueta były też architektura, malarstwo i rzeźba. Opat wyznał, że w tym miejscu nasuwa mu się bolesne wspomnienie.

W pobliżu Melun, w Vaux-le-Vicomte, wznosi się cudowny pałac, perła architektury, wybudowany na zlecenie Fouqueta przez artystów, których on sam odkrył, takich jak architekt Le Vau, projektant ogrodów Le Nôtre, malarz Le Brun przybyły z Rzymu, rzeźbiarz Puget. Przy budowie obiektu pracowało też wielu innych twórców, których król zatrudnił później na swoim dworze, rozślawiając ich imiona.

- Vaux, pałac iluzji - westchnął Atto. - Olbrzymia kamienna zniewaga, symbol chwały trwającej jedną letnią noc z siedemnastego na osiemnasty sierpnia tysiąc sześćset sześćdziesiątego pierwszego roku. O szóstej po południu Fouquet był prawdziwym królem Francji, a o drugiej następnego dnia już nikim.

Owego pamiętnego sierpniowego dnia po uroczystym otwarciu pałacu nadintendent wydał przyjęcie na cześć króla, pragnąc mu się przypodobać. Nie znał, niestety, przewrotnej natury monarchy. Przygotowania do przyjęcia były imponujące. Fouquet kazał przysłać do Vaux, do nicukończonych jeszcze komnat, łoża zdobione brokatem i złotą pasmanterią, meble, srebra, kryształowe świeczniki. Ulicami Melun przewieziono skarby ze stu muzeów i tysiąca sklepów z antykami: dywany z Persji i Turcji, hiszpańskie kurdybany, porcelanę, którą jezuita przysłał z Japonii, wyroby z laki sprowadzone z Chin przez Holandię szlakiem utworzonym z inicjatywy Fouqueta. Sprowadzono też obrazy odkryte w Rzymie przez Poussina, które przysłał nadintendentowi jego brat opat. Do pomocy zostali zmobilizowani artyści i poeci, przyjaciele Fouqueta, między innymi Molier i La Fontaine.

- W każdym paryskim salonie, między innymi pani de Sevigne i pani de la Fayette, mówiono wyłącznie o pałacu w Vaux - ciągnął Melani, pogrążony we wspomnieniach. - Przybyszów witała ozdobna brama i osiem posągów bóstw. Za nią otwierał się olbrzymi dziedziniec honorowy, połączony z przyległymi budowlami filarami z brązu. W zwieńczeniu trzech olbrzymich portali wejściowych pałacu widniał herb Fouquetów przedstawiający wiewiórkę.

- Wiewiórkę?

- W dialekcie bretońskim, rodzinnym języku nadintendenta, słowo *fouquet* znaczy właśnie „wiewiórka”. A mój przyjaciel Nicolas drobną budową ciała i usposobieniem przypominał to zwierzątko: pracowity,

szybki, ruchliwy, o wesołym, ujmującym spojrzeniu. Pod herbem widnieje wyryte motto: *Quo non ascendam?*, zainspirowane zamiłowaniem wiewiórki do wdrapywania się coraz wyżej. W tym wypadku chodziło, oczywiście, o jego wspaniałomyślność. Fouquet kochał władzę jak dziecko. Odznaczał się prostotą, jaka cechuje ludzi, którzy nie traktują się zbyt serio.

Opat opowiadał też o przepięknych ogrodach Le Nôtre'a, rozciągających się wokół pałacu:

- Rośnie w nich trawa miękka jak aksamit, kwiaty z Genui, a pasy begonii zostały posadzone z regularnością heksametrów. Są tam cisy przycięte na kształt stożka, krzewy bukszpanowe w formie walców, a także wodospad i jezioro Neptuna w grocie, w głębi park ze słynnymi fontanami, które wprawiły w zachwyt Mazzariniego. Wszystkie te wspaniałości przygotowano na przyjęcie Ludwika XIV.

Młody król i królowa matka ze świtą wyruszyli z rezydencji w Fontainebleau po południu. O szóstej przybyli do Vaux. Brakowało jedynie żony Ludwika Marii Teresy, która nosiła w łonie owoc miłości małżeńskiej. Orszak królewski przejechał wzdłuż ustawionej w zwartym szeregu straży i muszkietarów. W ogromnej sali, udekorowanej egzotycznymi kwiatami, krzatali się pазie i lokaje: roznosili wykwintne dania na złotych tacach, rozlewali do kielichów wino z butelek, ustawiali krzesła wokół stołów. Świeczniki, serwisy i sztuce ze srebra i złota, rogi obfitości z owocami i warzywami, kielichy z delikatnego kryształu, wykończone złotem, tworzyły wspaniałą, urzekającą, niepowtarzalną scenię.

- Wtedy właśnie fortuna zaczęła opuszczać Fouqueta - rzekł opat Melani. - Sprawy nieoczekiwanie przybrały zły obrót.

Królowi Ludwikowi nie spodobał się przepych, z jakim urządzono przyjęcie. Upał i natrętnie muchy zniecierpliwiły monarchę i jego świtę, której konwenans nakazywał zwiedzenie rozległych pałacowych ogrodów. Z twarzami czerwonymi od słońca, dusząc się w sztywnych koronkowych kołnierzykach, batystowych krawatach, wsuniętych w dziurkę szóstego guzika kaftana, członkowie dworu pałali jedynie chęcią zrzucenia peruk. Z ulgą powitali chłód wieczoru, kiedy mogli w końcu usiąść przy stole.

- Co podano na kolację? - spytałem, łykając ślankę i wyobrażając sobie potrawy na miarę pałacowej ceremonii.

- Królowi nic nie smakowało - odparł opat ponuro.

Młodemu królowi nie przypadła do gustu zastawa stołowa, złożona z trzydziestu sześciu tuzinów talerzy z czystego złota i pięciuset tuzinów



talerzy ze srebra. Nie podobało mu się to, że na przyjęcie zaproszono setki gości, przybyłych karetami, a paziowie i woźnice, czekający na zewnątrz pałacu, byli tak rozbawieni, jakby trwało tam drugie przyjęcie. Nie spodobało mu się zdanie, które szepnął mu do ucha jeden z dworzan, plotka powtarzana przez wszystkich, a mianowicie, że uczta kosztowała ponad dwadzieścia tysięcy liwrów.

Królowi nie przypadła do gustu także muzyka towarzysząca kolacji - cymbały i trąbki do przekąsek, skrzypce do dań głównych - jak również olbrzymia złota cukiernica przed nim, ograniczająca swobodę ruchów.

Nie spodobało mu się przyjęcie zgotowane przez człowieka bez korony, obdarzonego niezwykłą hojnością i wyobraźnią w zadziwianiu gości i zjednywaniu sobie ich sympatii. Łącząc w doskonały sposób wystawność z gościnnością, okazał się bardziej królewski od samego króla.

Do niechęci Ludwika podczas kolacji dołączyło niezadowolenie ze spektaklu pod gołym niebem. Ukryty za zasłoną Molier przechadzał się nerwowo tam i z powrotem, w duchu przeklinając nadintendenta.

*Pour voir sur ces beaux lieux le plus grand roi du monde  
Mortels, je viens d vous de ma grot te projonde..\**

Po spektaklu odbył się pokaz sztucznych ogni, przygotowany przez Włocha Torellego, nazywanego w Paryżu Wielkim Czarodziejem, w uznaniu za cudowne błyski i kolory, którymi tylko on potrafił przyozdobić czarne, puste niebo.

O drugiej po północy, lub trochę później, król skinął głową na znak, że nadeszła pora pożegnania. Na widok zachmurzonej twarzy monarchy Fouquet zdziwił się, a po chwili zbladł, gdy domyślił się przyczyny jego niezadowolenia. Podeszedł do władcy, ukląkł i szerokim gestem ręki ofiarował mu w darze pałac w Vaux.

Młody król Ludwik nie odezwał się. Wsiadł do karety i po raz ostatni spojrzął na rozświetlony w ciemnościach pałac. Być może w tej samej chwili oczami wyobraźni ujrzał Frondę (niektórzy zapewniają, że tak właśnie było) lub pełne zamętu popołudnie z lat dzieciństwa, jakiś obraz, którego pochodzenia nie był pewien. Król nie wiedział, czy ktoś opowiedział mu o tym zdarzeniu, czy było to jego własne wspomnienie. Wyobraził sobie bowiem tę noc, kiedy musiał uciekać z Paryża razem z matką Anną i kardynałem Mazzarinim, ogłuszony wystrzałami i krzykami tłu-

By ujrzeć w tym pięknym miejscu największego króla świata / Śmiertelnicy, przychodzę do was z jaskini głębokiej...

mu, z ostrym zapachem krwi i potu pospólstwa w nozdrzach, wstydząc się, że jest królem, i marząc o tym, by pewnego dnia powrócić do swojego ukochanego miasta. A może król, kiedy jechał karetą (niektórzy mogą to przysiąc) i patrzył na fontanny, wsłuchując się w ich szmer, przypomniał sobie, że w Wersalu nie było kropli wody?

- Co zdarzyło się potem? - spytałem cicho, będąc pod wrażeniem opowieści opata.

Po kilku tygodniach od wyjazdu króla pętla na szyi nadintendenta zacisnęła się. Ludwik XIV oświadczył, że musi udać się do Nantes, aby dać wyraz swojej władzy i przypomnieć Bretonczykom o obowiązku płacenia podatków, w czym byli dość opieszali. Nadintendent pojechał za królem, nie podejrzewając niczego złego, tym bardziej że Nantes było jego rodzinnym miastem i miał tam wielu przyjaciół, których pragnął odwiedzić.

Przed wyjazdem ktoś poradził Fouquetowi, żeby był ostrożny, a bliscy przyjaciele ostrzegali go przed spiskiem. Nadintendent udał się do króla. Podczas audiencji prosił o wybaczenie za nie najlepszą kondycję finansów Korony. Przypomniawszy, że przez kilka miesięcy był pod rozkazami Mazzariniego, o czym król dobrze wiedział. Monarcha udał, że doskonale rozumie Fouqueta, i okazał mu nawet głęboki szacunek. Poprosił też nadintendenta o kilka rad, które przyjął bez zmużenia oka.

Fouquet zauważył jednak, że coś jest nie w porządku. Po kilku dniach zachorował. Dostał gorączki, podobnie jak podczas nadzorowania prac budowlanych w Vaux, kiedy całymi dniami musiał znosić chłód i wilgoć. Nie mógł spać. Ktoś widział, jak płakał w samotności.

Kiedy poczuł się lepiej, wyruszył do Nantes, gdzie dotarł z końcem sierpnia, lecz gorączka ponownie przykuła go do łóżka. Król, który zatrzymał się w zamku na drugim końcu miasta, wydawał się zmartwiony stanem zdrowia nadintendenta i przysłał do niego lekarza. Po kilku dniach Fouquet wyzdrowiał. Piątego września, w dzień urodzin monarchy, o siódmej rano wezwano go do króla. Pracowali do godziny jedenastej, po czym Ludwik XIV nieoczekiwanie zatrzymał Fouqueta, żeby omówić z nim jeszcze kilka spraw. Kiedy nadintendent opuszczał zamek, jego karetę zatrzymał oddział muszkietierów. Podporucznik muszkietierów, o nazwisku D'Artagnan, odczytał nakaz aresztowania. Fouquet pomyślał, że to pomyłka:

- Czy jest pan pewien, że chodzi o mnie?

D'Artagnan bez słowa odebrał mu papiery i dokumenty, zapieczętował, kazał wsiąść Fouquetowi do karocy i pod eskortą odprowadził do zamku w Angers. Nadintendent pozostał tam przez trzy miesiące.

- A potem?
- To był dopiero początek cierpień. Wszczęto proces, który trwał trzy lata.
- Dlaczego tak długo?
- Fouquet bardzo dobrze się bronił. W końcu jednak przegrał. Król kazał go uwięzić dożywotnio w twierdzy w Pinerolo, po drugiej stronie Alp.
- Tam zmarł?
- Stamtąd nikt nie wychodzi, chyba że z woli króla.
- Fouqueta zgubiła więc zawiść króla, który nie mógł znieść jego wspaniałości, a przyjęcie w Vaux...
- Już wtedy - przerwał mi Melani - młody król przyglądał się wszystkim rejonom Francji, co więcej, patrzył na nie oczami pana. Rozumiał, że to on był królem i urodził się po to, żeby nim być. Było za późno, żeby zyskać aprobatę Mazzariniego, niezującego już opiekuna z dzieciństwa, który mu wszystkiego odmawiał. Żył natomiast Fouquet, drugie Słońce. Jego los został zatem przesądzony.
- Król Ludwik zemścił się, bo nie spodobały mu się złote naczynia...
- Nikt nie ma prawa mówić, że król jest mściwy, ponieważ jest on potężniejszy od wszystkich innych książąt Europy. Nie powinno się też mówić, że Arcychrześcijański Król był zazdrosny o nadintendenta finansów, które przecież należą do samego władcy. - Opat zamilkł, wiedział jednak, że nie zaspokoili mojej ciekawości. - Abyś mógł poznać całą prawdę, muszę opowiedzieć ci o wężu i wiewiórce.

Wiewiórką był Fouquet, a tym, kto zdradziecko śledził jego kroki - wąż. Po łacinie śliskiego gada określa się słowem *colubra*. Dziwnym zbiegiem okoliczności jego francuski odpowiednik służył za nazwisko panu Colbertowi, który żywił przekonanie, że analogia do gada (myśl zupełnie błędna) przydaje blasku i wspaniałości jego imieniu.

- Colbert rzeczywiście działał niczym wąż o tysiącu splotów - oznajmił opat. - Właśnie „wąż”, któremu tak ufała „wiewiórka”, stracił ją w przepaść.

Na początku Jean Baptiste Colbert, syn bogatego sprzedawcy tkanin, był nikiem.

- Po pewnym czasie - zaśmiał się Melani - chwalił się już szlacheckim pochodzeniem, na dowód pokazując kamień nagrobny swojego przodka z trzynastego wieku. Posunął się do tego, że na znak czci ostentacyjnie klękał przed kamieniem, który sam polecił wykonać.

Mimo że nie otrzymał dobrego wykształcenia, los uśmiechnął się do niego. Z pomocą kuzyna ze strony ojca kupił stanowisko urzędnika w ministerstwie wojny. Udało mu się poznać kardynała Richelieu i zaprzyjaźnić z nim. Po jego śmierci został sekretarzem Michela Le Tellier, wpływowego sekretarza stanu. Nowym kardynałem został Włoch Giulio Mazzarini, pozostający w bliskich stosunkach z królową matką. Colbert nie lubił go i nie potrafił się z nim porozumieć.

- Za pieniądze pochodzące z handlu kupił sobie tytuł szlachecki. Poślubił Marie Charron, a raczej jej sto tysięcy liwrów, które wniosła w posagu - rzekł opat Melani ze złością. - Ale jego prawdziwym szczęściem - dodał - było nieszczęście, jakie spotkało króla.

W 1650 roku Fronda, zapoczątkowana dwa lata wcześniej, przybrała na sile. Król i kardynał Mazzarini musieli uciekać z Paryża.

- Największym problemem państwa nie była nieobecność króla, wówczas dwunastoletniego chłopca, ani królowa matka, która była kochanką kardynała, lecz sam Mazzarini.

Komu powierzyć sprawy i sekrety państwa, którymi kardynał kierował potajemnie i z dużą zręcznością? Mazzarini i Colbert nie lubili się. Kardynał, w porównaniu z Richelieu, wydawał się Colbertowi zbyt introwertyczny, mało konkretny w wypowiedziach, niekiedy uległy, często niezdecydowany. Z kolei Colbert, człowiek chłodny, obojętny, o nienagannych manierach, nie zaskarbił sobie sympatii Mazzariniemu i nie czynił starań w tym kierunku. Postanowił więc uzewnętrznic wszystkie zalety gorliwego urzędnika: przychodził do pracy o piątej rano, utrzymywał dokumenty w absolutnym porządku, nie podejmował żadnych działań z własnej inicjatywy. Fouquet tymczasem pracował u siebie w domu i miał mnóstwo pomysłów, w jego papierach zaś panował nieopisany chaos.

W 1651 roku kardynał Mazzarini, który czuł się zagrożony z powodu przedsiębiorczości Fouqueta, powierzył Colbertowi prowadzenie swoich interesów, oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem. Colbert służył Mazzariniemu do dnia jego śmierci, także w chwili, kiedy upadła Fronda, a kardynał z Ludwikiem i Anną Austriaczką triumfalnie powrócili do Paryża.

- Poprosił go nawet o zarządzanie całym majątkiem - westchnął opat, jakby żałował, że Mazzarini obdarzył zaufaniem nieodpowiednią osobę. - Nauczył go wszystkiego, czego „wąż” nigdy nie zdołałby nauczyć się sam. „Wąż” tymczasem, zamiast okazać kardynałowi wdzięczność, kazał sobie dobrze płacić. Czerpał korzyści dla siebie i dla całej rodziny -

ciągnął Melani, pocierając kciukiem o palec wskazujący na znak, że mówił o pieniądzach. - Królowa matka niemal codziennie udzielała Colbertowi audiencji. Z wyglądu stanowił całkowite zaprzeczenie Nicolasa: krępy, o szerokiej twarzy, bladożółtej karnacji, czarnych, długich włosach, przerzedzonych na czubku głowy, chytrym spojrzeniu, które rzucał spod półprzymkniętych powiek, wąskich wąsikach i ustach, na których rzadko gościł uśmiech. Ponuremu, drażliwemu usposobieniu Colberta towarzyszyła kompromitująca ignorancja, ukrywana pod łacińskimi cytataми nie na temat, które powtarzał jak papuga, nauczycywszy się ich od swoich współpracowników, specjalnie w tym celu zatrudnionych. Stał się pośmiewiskiem całego dworu. Wzbudzał coraz większą antypatię, do tego stopnia, że pani de Sevigne nazwała go Północą, nawiązując do najzimniejszej, najbardziej nieprzyjemnej części świata.

Nie musiałem pytać Melaniego, dlaczego żywił niechęć właśnie do Colberta, a nie do Mazzariniego, dla którego Jean Baptiste pracował. Znałem bowiem odpowiedź. Devize, Cristofano i Stilone Priaso wspomnieli przecież, że kastrat Atto Melani od młodych lat był wspierany przez kardynała.

Czy Colbert i nadintendent Fouquet przyjaźnili się? - spytałem.

Opat zawahał się, nim odparł:

- Poznali się w czasach Frondy, początkowo nawet się lubili. Podczas zamieszek Fouquet zachował się jak najlepszy z poddanych. Colbert schlebiał mu, świadczył uprzejmości, zwłaszcza kiedy Nicolas został prokuratorem generalnym Paryża (urząd ten pełnił równoległe z funkcją nadintendenta finansów), ale nie trwało to długo. Colbert nie mógł znieść, że gwiazda Fouqueta świeci tak jasno. Nie potrafił wybaczyć „wiewiórcę” sławy, szczęścia, uroku, pracowitości, inwencji (podczas gdy on musiał się nieźle napocić, żeby wpaść na jakiś dobry pomysł), jak również bogatej biblioteki, z której i tak nie umiałby korzystać. „Wąż” przeobraził się więc w pająka i zaczął snuć swoją sieć.

Wyniki intryg Colberta nie dały długo na siebie czekać. Na początek posiał ziarno nieufności w sercu Mazzariniego, później króla. Królestwo dźwigało się wówczas ze skutków długotrwałych wojen i biedy, łatwo było zatem sfalszować dokumenty i oskarżyć nadintendenta o przywłaszczenie państwowych pieniędzy.

- Fouquet był bogaty?

- Nie, ale musiał za takiego uchodzić dla dobra państwa, żeby zdobywać kolejne kredyty i zadowolić rosnące potrzeby finansowe Mazzarinie-

go. Kardynał natomiast był bardzo bogaty. Mimo to król, kiedy przeczytał testament kardynała tuż przed jego śmiercią, nie miał żadnych zastrzeżeń. Atto powiedział mi też, że prawdziwy problem Colberta polegał na czymś zupełnie innym. Po śmierci Mazzariniego należało zdecydować, kto zajmie jego miejsce. Fouquet uczynił królestwo piękniejszym, przysporzył mu sławy, dniem i nocą zabiegał o powiększenie dochodów państwa, dlatego też słusznie sądzono, że to on powinien zostać nowym kardynałem.

- Kiedy jednak spytano króla, kto zostanie następcą Mazzariniego, odparł: *C'est moi*. Nikt inny, poza władcą, nie wchodził w grę, a Fouquet był zbyt subtelny, żeby grać rolę drugoplanową. Pochlebca Colbert tymczasem był złakniony władzy, potrafił więc wykorzystać nadarzającą się okazję. Ludwik XIV wpadł w jego sieć.

- Fouqueta prześladowano zatem z winy Colbert'a?

- Oczywiście. Podczas procesu „wąż” okrył się hańbą: usiłował kupić sędziów, sfałszował dokumenty, groził świadkom i szantażował ich. Fouqueta heroicznie bronił La Fontaine, Corneille, przyjaciele w listach do króla solidaryzowali się z nim, sympatię okazywali przedstawiciele arystokracji, pospółstwo uznało go za swego bohatera. Tylko tchórzliwy Molière milczał.

- A pan?

- Mnie nie było wówczas w Paryżu, niewiele mogłem zdziałać. A teraz idź już! Słyszę, że goście schodzą na kolację. Nie chciałbym, żeby nasz złodziej coś podejrzewał. Nie może się dowiedzieć, że ktoś zastawił na niego sidła.

Ponieważ było już późno, a goście głodni, podałem pośpiesznie resztki z obiadu z dodatkiem jaj i białej cykorii. Jako zwykły pomocnik w kuchni nie umiałem gotować tak dobrze jak pan Pellegrino.

Podczas posiłku nie dostrzegłem niczego niezwykłego. Brenozzi, z różową twarzą Dzieciątka Jezus, jak zwykle szczypał się w przyrodzenie, medyk Cristofano głąskał swoją spiczastą bródkę. Stilone Priaso, podobny do sowy, marszczył czarne nastroszone brwi, wykonując jednocześnie szereg automatycznych ruchów: drapał się po wypukłości na nosie, potrząsał ramieniem, jakby chciał zsunąć rękaw, poprawiał koszulę na szyi, przesuwał dłońmi po skroniach. Devize jadł, głośno mlaskając, nie-

mai zagłuszając rozmową Bedfordiego z Dulcibenim, coraz bardziej nieprzeniknionym, i z ojcem Robledą, który z nieruchomym wzrokiem przytakiwał Anglikowi. Opat Melani posilał się w całkowitym milczeniu, od czasu do czasu podnosząc głowę znad talerza. Dwa razy dostał ataku kichania, wstał od stołu i wytarł nos koronkową chusteczką.

Kiedy kolacja dobiegła końca i wszyscy szykowali się do wyjścia, Stilone Priaso przypomniał lekarzowi, że miał nam powiedzieć, jakie mamy szanse wyjść cało z opresji, w jakiej się znaleźliśmy.

Cristofano nie dał się długo prosić. Stanąwszy przed niewielkim audytorium, przystąpił do uczonej przemowy, podczas której wyjaśnił nam, posługując się przykładami z dzieł autorów starożytnych i współczesnych, w jaki sposób przebiega zarażenie dżumą.

- Zważywszy, że zaraza dotyka nas przede wszystkim z woli bożej, a jedynym sposobem, by uniknąć choroby, jest modlitwa, musicie wiedzieć, że bierze się ona z rozkładu czterech żywiołów, powietrza, wody, ziemi i ognia, które dostają się do nosa i ust. Innymi drogami dżuma nie może trafić do ciała. Latem, jak w naszym przypadku, dochodzi do rozkładu ognia lub ciepłoty naturalnej, a choroba objawia się gorączką, bólem głowy i tym wszystkim, o czym mówiłem przy łóżku Pellegrina. Ciało zmarłego czernieje. Aby nie doszło do najgorszego, należy przeciąć obrzmienia i przyłożyć do ran plastry. Zimą z kolei występuje dżuma spowodowana rozkładem ziemi. Powstają wtedy obrzęki podobne do bulw, które zimową porą spoczywają w glebie. Tego typu obrzęki należy smarować ciepłymi maściami. Wiosną i jesienią natomiast, kiedy w rzekach jest więcej wody, dżuma powstaje z rozkładu wody właśnie, niekiedy spowodowanego wpływem planet. Obrzęki podchodzą płynem, a przecięte, bardzo szybko się goją. Leczenie polega na wypuszczeniu z organizmu trującej cieczy przez stosowanie środków przeczyszczających, balsamów i syropów. We wszystkich odmianach dżumy rozprzestrzenianiu się epidemii sprzyja zepsute powietrze, które dociera wszędzie, ponieważ *non datur vacuum in natura*. Z tego właśnie powodu umieszcza się na rogach ulic *pochodnie*. *Płomień* ma właściwości oczyszczające. Oczyszcza srebro, żelazo, uszlachetnia złoto, topi metale, wypala wapno, powoduje gotowanie się potraw, rozgrzewa i osusza. Ogień oczyszcza zatem powietrze z zarazy. Należy go stosować zwłaszcza w miastach, bardziej zabudowanych niż wsie.

- Jesteśmy w najgorszym miejscu, w samym centrum Rzymu - wtrąciłem, zdjęty przerażeniem.

- Niestety! Moim skromnym zdaniem - oświadczył Cristofano z nutą

pychy w głosie - przyczyną zepsutego powietrza w niektórych miastach, takich jak Rzym, jest wyludnienie. Dawniej, kiedy Wieczne Miasto dominowało w świecie, święciło triumfy i przyjmowało ludzi wszystkich nacji, powietrze było lepsze i zdrowsze. Dzisiaj, kiedy Rzym wyludnił się na skutek wojen, oddychamy powietrzem bardzo zepsutym. Ten sam los spotkał miasta takie jak Terracina, Romana Cervetro, położone nad morzem Nettuno, Baia w Królestwie Neapolu, Avernia, Dignano, Como. Te wszystkie miejscowości były niegdyś znane, zamieszkane przez wielu ludzi, dziś uległy zniszczeniu, a powietrze jest w nich tak złe, że nikt nie może tam żyć. Z kolei Neapol czy Trapani, gdzie niegdyś nie można było wytrzymać, obecnie kwitną, są zadbane, aura jest tam doskonała. Rozwojowi zarazy sprzyjają też niektóre trujące, dziko rosnące rośliny i zwierzęta przenoszące choroby na ludzi. Strach rzymian przed dżumą jest uzasadniony, mimo że do poprzedniej epidemii doszło aż dwadzieścia siedem lat temu, w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym. Jeśli to rzeczywiście dżuma, mamy nieszczęście otwierać pochód.

Milczeliśmy, rozmyślając o tym, co usłyszeliśmy od lekarza. Po chwili Atto zapytał:

- Jak przenosi się dżuma?

- Najczęściej przez zapachy, ale też przez kosmate tkaniny, jak pledy i futra, które w związku z tym należy spalić. Zdaniem niektórych autorów nieczyste atomy zaczepiają się w nich, a następnie spadają - odparł Cristofano dobitnym głosem.

- Ubrania pana Pellegrina mogły nas więc zainfekować - stwierdziłem, starając się zapanować nad strachem.

- Chciałbym wyjaśnić - ciągnął lekarz nieco łagodniejszym tonem - że nie jestem do końca pewien, jakim sposobem przenosi się choroba. Nikt tego nie wie. W Palermo poznałem kiedyś bardzo starego aptekarza, osiemdziesięciosiedmioletniego Giannuccia Spataforę, człowieka o wielkiej wiedzy i doświadczeniu. Powiedział mi, że epidemie dżumy, które dotykały miasto, nie miały uzasadnienia. Powietrze w Palermo było bardzo czyste, chronione od wiatrów, takich jak sirocco, który jest szkodliwy dla zdrowia człowieka i upraw. Wiatry te sprawiają, że ludzie puchną, dostają gorączki i umierają. Dżuma w Palermo była zabójcza, ludzie, w przypływie nagłego zawrotu głowy, przewracali się na ziemię i umierali. Po śmierci ich ciała stawały się czarne.

- Krótko mówiąc, nikt dokładnie nie wie, jak szerzy się zaraza — orzekł Atto Mełani.

- Mogę jedynie powiedzieć, że wiele epidemii zaczęło się z powodu



chorego, który przeniósł infekcję z zarażonego obszaru - odparł Cristofano. - Tów Rzymie, na przykład, podczas ostatniej epidemii mówiono, że chorobę przywłókl z Neapolu nieświadomy niczego sprzedawca ryb. Mój ojciec, który był inspektorem zdrowia podczas epidemii dżumy w Prato w tysiąc sześćset trzydziestym roku i opiekował się chorymi, wiele lat później wyznał mi, że przyczyna choroby pozostaje nieznana i żaden starożytny autor nie potrafił jej odkryć.

- Pański ojciec miał rację - usłyszeliśmy szorstki głos Pompea Dulcibeniego, towarzysza podróży pana de Mourai. - Pewien uczony mąż - powiedział cicho - wskazał drogę, którą należało obrać, ale nikt go nie słuchał.

- Niech zgadnę: może ojciec Athanasius Kircher? - rzekł lekarz. Dulcibeni nie odpowiedział, dając do zrozumienia, że Cristofano wymienił właściwe nazwisko, po czym wyrecytował:

- *Aerem, aquam, terram innumerabilibus insectis scatere, adeo certum est.*

- Co oznacza, że w ziemi, powietrzu i wodzie roi się od drobniutkich, niewidocznych gołym okiem stworzeń - przetłumaczył medyk.

- Żyjątki te - ciągnął Dulcibeni - pochodzą od gnijących organizmów, ale można je było dostrzec dopiero po wynalezieniu mikroskopu, w związku z tym...

- Niemiecki jezuita jest postacią powszechnie znaną - wtrącił Cristofano z ironią w głosie. - Pan Dulcibeni cytuje go nawet z pamięci.

Szczerze mówiąc, nazwisko Kirchera było mi zupełnie obce. Prawdą było jednak, że cieszył się sławą, gdyż na dźwięk jego imienia wszyscy obecni skinęli potakująco głowami.

- Poglądy Kirchera - ciągnął Cristofano - nie wyparły, jak do tej pory, teorii słynnych autorów, którzy...

- Możliwe, że opinie Kirchera mają jakieś uzasadnienie, ale jedyną pewną i trwałą podstawą naszej świadomości jest odczucie - zabrał głos pan Bedfordi. Młody Anglik, pokonawszy strach, który ogarnął go poprzedniego wieczoru, mówił z typową dla siebie butą. - Zdarza się - tłumaczył - że jedna przyczyna może wywoływać różne skutki.

- Doskonale wiemy - syknął ze złością Cristofano - kto rozpowszechnia podobne sofizmaty. Pan Locke i jego ziomek Sydenham, którzy, choć zapewne wiedzą wszystko o zmysłach i intelekcie, w Londynie uzurpują sobie prawo do leczenia chorych, nie będąc lekarzami!

- I co z tego? Przynajmniej starają się leczyć - włączył się do rozmowy Bedfordi - a nie pocieszać pacjentów pogaduszkami, jak to mają

w zwyczaju niektórzy lekarze. Dwadzieścia lat temu, kiedy w Neapolu dżuma zabijała dwadzieścia tysięcy osób dziennie, medycy i aptekarze neapolitańscy jeździli do Londynu i sprzedawali rzekomo skuteczny środek przeciw zarazie, w rodzaju kartki ze znakiem jezuitów IHS, którą należało przyczepić do piersi, albo słynnej tabliczki do zawieszenia na szyi z napisem:

ABRAKADABRA  
ABRAKADABR  
ABRAKADAB  
ABRAKADA  
ABRAKAD  
ABRAKA  
ABRAK  
ABRA  
ABR  
AB  
A

To powiedziawszy, młody Anglik, poprawiając rude włosy i patrząc na audytorium (mnie nie dostrzegając, jak zwykle) jasnoniebieskimi, zezowatymi oczami, wstał, oparł się o ścianę i zaczął snuć swoją opowieść.

Na rogach ulic i drzwiach domów - opowiadał - porozwieszane były ogłoszenia konowałów, którzy namawiali ludzi do kupowania „niezawodnych pigułek”, „niezrównanych napojów”, „królewskiego antidotum”, „magicznej wody” przeciw dżumie.

- A kiedy nie udało im się nikogo nabrać na te idiotyzmy - ciągnął Bedfordi - sprzedawali napoje z dodatkiem rtęci, które zatrwały krew i zabijały skuteczniej niż dżuma.

Ostatnie stwierdzenie Anglika wywołało gwałtowną reakcję Cristofana, po czym wywiązała się między nimi ożywiona dyskusja.

Do rozmowy włączył się ojciec Robleda i zaczął bronić swojego współbrata Kirchera. Dyskusja przerodziła się w kłótnię, w której każdy próbował narzucić swoje zdanie siłą głosu, a nie argumentów.

Pierwszy raz w moim biednym życiu posługacza przysłuchiwałem się tak uczonej dyspacie, choć muszę przyznać, że rozczarowała mnie kłótniwość jej uczestników. Dowiedziałem się jednak kilku ciekawych rzeczy na temat teorii owego tajemniczego Kirchera, który bardzo mnie zaciekawił. Przez pół wieku uczonego jezuita prowadził niestrudzenie badania,

przedstawiając swoją doktrynę w ponad trzydziestu wybitnych dziełach, między innymi w traktacie o dżumie *Scrutiniurn physico-medicum contagiosae luis quae pestis dicitur*, opublikowanym przed dwudziestoma pięcioma laty. Kircher utrzymywał, że za pomocą mikroskopu dokonał wielkich odkryć, które zapewne wzbudzą nieufność wielu czytelników (i rzeczywiście). Odkrycia te dowodziły istnienia niewidocznych stworzonek wywołujących dżumę.

Zdaniem Robledy, ojcu Kircherowi pomagały w badaniach zdolności jasnowidza, a może nawet same niebiosy. Zastanawiałem się, czy ten dziwny jezuita potrafił wyleczyć z dżumy, ale widząc zapalczywość rozmówców, nie ośmieliłem się o nic pytać.

Opat Melani przysłuchiwał się dyskusji o ojcu Kircherze z jeszcze większą uwagą niż ja. Chcąc stłumić głośnie kichnięcia, musiał kilkakrotnie wycierać nos, co przeszkadzało mu włączyć się do rozmowy. Pilnie obserwował dyskutujących, którzy jeden po drugim powtarzali nazwisko niemieckiego jezuitę.

Byłem przerażony grożącą nam dżumą, a zarazem zafascynowany uczonymi sądami na temat zarazy, o których nigdy wcześniej nie słyszałem. Dlatego też nie wzbudził moich podejrzeń (a powinien był wzbudzić) fakt, że Dulcibeni tak dobrze znał starą, zapomnianą teorię Kirchera o dżumie. Nie zauważyłem też, jak Atto nastawił uszu, kiedy padło imię niemieckiego jezuitę.

Po wielogodzinnej dyskusji większość nieco znudzonych już gości udała się na spoczynek, pozostawiając skłóconych rozmówców w jadalni. Wkrótce i oni poszli spać, nie osiągnąwszy porozumienia.

## Noc druga

z 12 na 13 września 1683 roku

Znalazłszy się w swoim pokoju, wychyliłem się przez okno i patykiem przeciągnąłem od okna Atta drugi koniec sznurka, za który mieliśmy pociągać w razie alarmu, i przywiązałem go sobie do kostki. Następnie położyłem się do łóżka, zostawiając uchylone drzwi i nastawiając uszu. Na drugim łóżku leżał mój półprzytomny pryncypał, przy którym Cristofano kazał mi czuwać. Włożyłem mu do spodni kilka czystych szmat, na wypadek gdyby oddał mocz.

Opowieść opata Melaniego częściowo mnie uspokoiła. Atto otwarcie przyznał się do przyjaźni z Fouquetem, wyjaśnił też, że nadintendent popadł w niełaskę z winy nie tyle Arcychrześcijańskiego Króla, ile zawistnego Colberta. Wiadomo, do czego może popchnąć człowieka zawiść. Może właśnie z tej przyczyny Devize, Stilone Priaso i Cristofano powiedzieli tyle złych rzeczy o opacie? Kariera kastrata - syna biednego dzwonnika, późniejszego doradcy samego Króla Słońce - mogła wzbudzić zazdrość. Wszyscy trzej dowiedli, że znają Melaniego, tak więc treść ich rozmowy nie była wytworem fantazji. Niemniej jednak wrogość Cristofana wpływała zapewne z zawiści w stosunku do krajana. *Nemo propheta in patria sua* - jak mówi Ewangelia. Ale co myśleć o dziwnym kłamstwie muzyka Devizego? Opowiadał, że zwiedził teatr Arbuza w Wenecji, podczas gdy chodziło o Florencję. Powinienem zatem strzec się również jego?

Opowieść Atta była nie tylko wiarygodna, ale także piękna i przejmująca. Poczulem szczerzy żal, że wziąłem go za szubrawca, oszusta, zdolnego kłamać i zdradzać. Tak naprawdę to ja zdradziłem przyjaźń, szczerą, jak sądziłem, która zrodziła się podczas naszej pierwszej rozmowy w kuchni.

Spojrzałem na pryncypała. Sprawiał wrażenie człowieka od wielu go-

dżin pogrążonego w nienaturalnym, głębokim śnie. Cała ta sprawa kryła w sobie wiele tajemnic. Co tak naprawdę przydarzyło się pryncypałowi? A panu de Mourai? Co skłoniło Brenozzięgo do podarowania mi cennych pereł i dlaczego ktoś mi je ukradł?

Nie zauważyłem, kiedy zasnąłem. Zbudziło mnie podejrzanе skrzypienie. Zerwałem się na równe nogi. Nagłe szarpnięcie omal nie pozbawiło mnie równowagi. Zakląłem. Zapomniałem o sznurku, którego jeden koniec przewiązałem sobie wokół kostki, drugim zaś obwiązał sobie nogę Melani. Narobiłem takiego hałasu, że biedny pan Pellegrino cicho jęknął przez sen. W pokoju było zupełnie ciemno.

Nastawiłem uszu. W tej samej chwili usłyszałem skrzypienie, ciche uderzenie, brzęk metalu i ponownie skrzypienie. Serce zabiło mi mocniej: to był z pewnością złodziej. Oswobodziłem się z pętli, z powodu której upadłem, i zacząłem szukać w ciemności lampy, która stała na stoliku pośrodku pokoju. Moje wysiłki spetzły na niczym. Z trudem pokonując strach, postanowiłem wyjść z pokoju i schwytać złodzieja.

Idąc po omacku ciemnym korytarzem, doszedłem do schodów. Zupełnie nie wiedziałem, co powinienem uczynić, gdybym stanął twarzą w twarz z tajemniczym osobnikiem: zaatakować go czy wołać o pomoc? Wyciągnąłem przed siebie ramiona, wymacałem w ciemności ścianę i trzymając się blisko niej, zszedłem na podest.

Nagle poczułem silne uderzenie. Ktoś lub coś uderzyło mnie boleśnie w policzek. W głowie miałem zamęt. W panice cofnąłem się pod ścianę. Chciałem krzyknąć, lecz z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk. Rzuciłem się do ucieczki, ale ktoś złapał mnie za ramię.

- Co robisz, głuptasie?

Niewątpliwie był to głos Atta. Przybył zaalarmowany pociągnięciem za sznurek, który naprężył się, gdy wstałem z łóżka, by zbadać przyczynę podejrzanego skrzypienia. Opowiedziałem mu całe zdarzenie, skarżąc się na bolesne uderzenie.

- Zrobiłem to niechcący. W ciemnościach nie zauważyłem cię - wyszeptał. - Gdzie złodziej?

- Nikogo nie widziałem - powiedziałem przyciszonym głosem, drżąc z emocji.

- A ja, kiedy wchodziłem po schodach, usłyszałem szcęk klucza w zamku drzwi do komórki - rzekł opat, zapalając lampę, którą przezornie zabrał ze sobą.

Z góry, po prawej stronie korytarza na drugim piętrze, ujrzeliśmy smugę słabego światła pod drzwiami pokoju Stilone Priasa. Opat ge-

stem nakazał mi milczenie i wskazał drzwi komórki, gdzie przypuszczalnie ukrył się złodziej. Drzwiczki były uchylone, w środku panowała ciemność.

Spojrzelśmy po sobie, wstrzymując oddech. Człowiek, którego szukaliśmy, był wewnątrz, świadomy tego, że znalazł się w potrzasku. Opat wahał się przez chwilę, po czym zdecydowanym ruchem otworzył drzwi. Wewnątrz nie było nikogo.

- To niemożliwe - powiedział Melani, wyraźnie zawiedziony. - Gdyby uciekał po schodach w dół, wpadłby na mnie. Na górze, nawet gdyby zdołał cię wyminąć, nie ma żadnych możliwości ucieczki. Drzwi, które z wieżyczki Cloridii prowadzą na dach, są zamknięte na klucz. Gdyby otworzył drzwi do któregoś z pokojów, na pewno byśmy usłyszeli.

Czuliśmy głębokie rozczarowanie. Już mieliśmy zrezygnować z dalszych poszukiwań, kiedy Atto dał mi znak, żebym pozostał na miejscu, on tymczasem zaczął szybko schodzić po schodach. Śledząc spojrzeniem światło jego lampy, zauważyłem, że zatrzymał się przy oknie, które z korytarza na drugim piętrze wychodziło na podwórze. Postawił lampę na podłodze, oparł się o parapet i wyjrzał na zewnątrz. Pozostał w tej pozycji dłuższą chwilę. Wiedziony ciekawością, podszedłem do małego okrągłego okna, przez które w dzień do schowka wpadało światło, ale było za wysoko i zobaczyłem jedynie fragment ciemnego nieba rozjaśnionego łagodnym blaskiem księżyca. Powróciwszy do schowka, opat pochylił się i zaczął odmierzać palcami długość pomieszczenia od drzwi do przeciwległej ściany, przy której stał regał z naczyniami kuchennymi. Wyprostował się, chwilę pomyślał i w ten sam sposób zmierzył grubość murów, a następnie odległość między okienkiem a ścianą boczną. Otrzeptał dłońie z kurzu, w milczeniu podniósł mnie, postawił na stołku pod oknem i kazał trzymać lampę wysoko nad głową.

- Nie ruszaj się! - polecił.

Usłyszałem, jak po omacku schodzi po schodach i zbliża się do okna na drugim piętrze. Kiedy wrócił i spojrzał na mnie, nie mogłem się doczekać, co powie.

- To ciekawe! - rzekł. - Schowek ma długość ponad półtora metra i jest bardzo wąski. Jeśli wliczymy grubość murów, długość wyniesie około dwóch metrów. Patrząc od strony podwórza, widać, że skrzydło, w którym mieści się schowek, zostało dobudowane. Z zewnątrz skrzydło przypomina szeroki filar, połączony z tylną krawędzią muru od strony zachodniej. Ale coś się nie zgadza: filar jest co najmniej dwa razy szerszy od schowka. To okienko, jak widzisz, znajduje się bardzo blisko regału,

w odległości mniej niż pół metra od końca schowka. Z zewnątrz powinno być zatem usytuowane blisko krawędzi skrzydła. Kiedy wyjrzałem z korytarza na drugim piętrze, przekonałem się, że okienko, oświetlone światłem twojej lampy, mieści się mniej więcej w połowie ściany.

Opat przerwał, w nadziei, że sam wyciągnę wnioski. Nic jednak z tego wszystkiego nie rozumiałem. Wyobraziłem sobie całe mnóstwo figur geometrycznych, poustawianych jedno na drugim. Mówił więc dalej:

- Skąd się wzięła taka duża różnica? Dlaczego schowek jest tak wąski, że ledwie mieszczą się w nim dwie osoby?

Wyszedłem ze schowka, żeby wyjrzeć przez okno na drugim piętrze, a przy okazji zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Ze zdumienia otworzyłem szeroko oczy. Melani miał rację. Zakratowane okienko rzeczywiście znajdowało się dość daleko od zewnętrznej krawędzi muru, oświetlonego blaskiem księżyca. Nigdy dotąd nie zwróciłem na to uwagi. Za dnia byłem zbyt zajęty, a w nocy zbyt zmęczony, żeby sterzeć godzinami przy oknie.

- Czy wiesz, jak to wyjaśnić, chłopcze? - spytał opat, kiedy wróciłem do schowka.

Nie czekając na moją odpowiedź, wsunął ramię za półki regału z naczyniami i zaczął macać ścianę, po czym poprosił mnie, żebym pomógł mu go odsunąć.

Nie sprawiło nam to większych trudności. Opat nie wydawał się zaskoczony tym, co ukazało się naszym oczom: drzwi pokryte grubą warstwą wieloletniego kurzu.

- Tak myślałem! - wykrzyknął z zadowoleniem, po czym zdecydowanych ruchem pchnął je ramieniem. Drzwi otworzyły się z głośnym skrzyknięciem.

Poczułem na twarzy powiew zimnego, wilgotnego powietrza.

- Zdaje się - rzekł opat, ostrożnie zaglądnąwszy do środka - że odkryliśmy tajemne przejście. Chcesz wejść pierwszy?

Moje milczenie mówiło samo za siebie.

- W porządku - zgodził się Atto. Wysunął przed siebie lampę, żeby zobaczyć coś więcej. - Zawsze wypada na mnie.

Ledwie wypowiedział te słowa, złapał się w popłochu drzwi, przez które przed chwilą weszliśmy, aby nie spaść.

- Pomóż mi, szybko! - zawołał.

Za drzwiami otwierała się czarna czeluść. Melani o mały włos do niej nie wpadł, co mogło skończyć się dla niego fatalnie. W ostatniej chwili zdążył uczeplić się drzwi i zawisnąć nad otchłanią. W ciemności pomogłem mu wdrapać się z powrotem. Lampa wysunęła się opatowi z ręki i wpadła do dziury. Pobiegłem po drugą lampę do swojego pokoju. Pellegrino spał spokojnie, nieświadomy tego, co się dzieje.

Kiedy wróciłem do schowka, Atto zaczął zsuwać się w dół studni. Jak na swój wiek był wyjątkowo sprawny. Później miałem okazję się przekonać, że również miał mocne nerwy.

Wymachując lampą, oświetlił żelazne klamry wbite w mur, pełniące funkcję stopni. Nieco przestraszeni, zaczęliśmy po nich ostrożnie schodzić. Po niedługim czasie stanęliśmy na chropowatym ceglany podście. Rozejrzeliśmy się wokół, przyświecając sobie lampą, i stwierdziliśmy, że z krótszego boku podestu wiodły dalej kamienne czworokątne schodki. Wychyliliśmy się, by sprawdzić, dokąd sięgały, ale nie dostrzegaliśmy ich końca.

- Znajdujemy się teraz pod schowkiem, chłopcze.

W odpowiedzi wymruczałem coś niewyraźnie, jako że stwierdzenie opata wcale mnie nie pocieszyło.

Schodziliśmy dalej w milczeniu. Schodki wydawały się nie mieć końca. Pokrywająca je cienka warstwa szlamu nie ułatwiała nam zadania. W pewnym momencie kamienne schodki zastąpiły stopnie z tufu, bardzo wąskie i zniszczone. Powietrze miało piwniczny zapach. Znajdowaliśmy się w ciemnym tunelu wydrążonym w wilgotnej ziemi. Naszym jedynym kompanem była cisza. Ogarnął mnie strach.

- Tędy uciekł nasz złodziej - wyszeptał opat Melani.

- Dlaczego mówi pan tak cicho?

- Może jest gdzieś w pobliżu. Wolałbym go zaskoczyć, a nie odwrotnie.

Tymczasem złodzieja nie było ani o kilka kroków, ani dalej. Zagłębiliśmy się w tunel. Opat musiał iść z pochyloną głową, żeby nie zawadzić o sufit. Ja mogłem iść wyprostowany.

- Zazdroszczę ci, chłopcze - rzekł.

Posuwaliśmy się bardzo powoli. Dno tunelu było wyłożone nieregularnie kamieniami i ceglami. Po kilkudziesięciu metrach opat, uprzedzając moje pytanie, oznajmił:

- Przejście zostało wybudowane po to, żeby przedostać się niezauważenie na drugą stronę miasta.

- Podczas ostatniej epidemii dżumy?

- Sądzę, że wcześniej. Taki tunel zawsze mógł się przydać. Na przy-



kład jakiś rzymski książę wysłał nim siepaczy, żeby zabili jego rywala. Rzymskie rody od najdawniejszych czasów nienawidziły się i zwalczały. Kiedy lancknechci łupili Rzym, niektóre rodziny pomagały im, aby pozbyć się swoich wrogów. Niewykluczone, że nasza gospoda służyła niegdyś za kwatery najemnym mordercom, na przykład na żoździe Orsinich, którzy mają wiele domów w pobliżu.

- Ale kto wybudował podziemny tunel?

- Przyjrzyj się ścianom. - Opat przysunął lampę do muru. - Zostały wykonane z bardzo starego kamienia.

- Z okresu katakumb?

- Możliwe. Kilkadziesiąt lat temu pewien świątły ksiądz zbadał tunele w niektórych częściach Rzymu i odkrył liczne malowidła, groby oraz szczątki świętych i męczenników. Wykonał też rysunki swoich odkryć. Wiadomo skądinąd, że pod domami i placami w niektórych dzielnicach znajdują się przejścia i tunele zbudowane zarówno przez starożytnych Rzymian, jak i w czasach współczesnych.

Kiedy tak zagłębialiśmy się w wąskie korytarze, opat, nie bacząc na grożące nam niebezpieczeństwo, dał się ponieść swojej pasji do snucia opowieści. Mówiąc szeptem, oznajmił, że od najdawniejszych czasów Włochy obfitowały w tajemne przejścia, wydrążone w skale lub w ziemi. Początkowo budowano je z myślą o ucieczce podczas oblężenia lub zbrojnych ataków. Pozwalały wymknąć się niepostrzeżenie z twierdz i zamków albo służyły jako miejsce tajnych spotkań i schadzek, jak w przypadku Lukrecji Borgii, jej brata Cesarc i ich licznych kochanków i kochanek. W tunelach należało zachować najwyższą ostrożność, ponieważ były pełne pułapek (ich budowniczy często płacili za nie życiem). Na intruzów czyhały ślepe korytarze. Wydostać się z nich mógł tylko ten, kto wiedział, gdzie są ukryte drzwi, otwierane i zamykane za pomocą specjalnych mechanizmów.

- Słyszałem o podziemnym labiryncie - mówił opat - wybudowanym na Sycylii przez cesarza Fryderyka. Jeśli osoba idąca korytarzem labiryntu nadejnie na ukryty w ziemi drążek, z góry spada żelazna krata, odcinająca drogę do wyjścia. Ze ścian natomiast wysuwają się z wielką siłą metalowe ostrza na sprężynach i zabijają niepożądanych gości. Inne mechanizmy otwierają zapadnie nad głębokimi lochami, z których nie można się wydostać o własnych siłach. Istnieją dokładne plany niektórych labiryntów. Podobno podziemia Neapolu także obfitują w tajne przejścia i korytarze, ale nigdy ich nie widziałem, w odróżnieniu od lochów Paryża, które miałem okazję zwiedzić. W ubiegłym stuleciu w Piemontie,

w pobliżu miejscowości Rovasenda, żołnierze francuscy zapędzili okolicznych wieśniaków do jaskiń nad rzeką i nikt ich więcej nie widział: ani żołnierzy, ani wieśniaków.

- Pan Pellegrino nigdy mi nie mówił o tym tunelu - wyszeptałem.

- O takich rzeczach się nie mówi. Prawdopodobnie on sam nie zna wszystkich tajemnic sekretnego przejścia.

- Skąd zatem wiedział o nim złodziej?

- Może twój pryncypał wyjawiał mu to za pieniądze... albo za butelkę muszkatelu - zażartował opat.

Zacząłem z wolna odczuwać silny ucisk w głowie i piersiach. Czarny loch prowadził w nieznanym kierunku. Dalsza wędrówka nie wróżyła niczego dobrego. Ciemności, słabo rozświetlone lampą, którą niósł opat Melani, napawały przerażeniem. Tunel wił się, a my za każdym zakrętem oczekiwaliśmy przykrej niespodzianki. Może złodziej, zobaczywszy z daleka światło, zaczął się na nas za występem muru? Drżąc ze strachu, wyobraziłem sobie zasadzki, o których opowiadał opat. Nikt nie odnalazłby naszych ciał. Goście i żandarmi doszliby do wniosku, że w nocy uciekliśmy z gospody.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo szliśmy tunelem. W pewnej chwili zauważyliśmy, że podziemny chodnik, dotąd prowadzący w dół, zaczyna się podnosić.

- Nareszcie! - powiedział z ulgą Melani. - Wyjście znajduje się niedaleko.

Bolały mnie nogi, a od wilgoci robiło mi się coraz zimniej. Od jakiegoś czasu szliśmy w milczeniu, marząc tylko o tym, żeby wyjść stąd jak najprędzej. Zadrżałem ze strachu, kiedy opat potknął się i o mało nie upadł. Zdołał jednak utrzymać w ręku lampę, nasze jedyne źródło światła. Pośpieszyłem mu z pomocą. Odetchnąwszy z ulgą po zażegnanym niebezpieczeństwie, Melani oświetlił przeszkodę. Naszym oczom ukazały się wąskie, wysokie kamienne schody, prowadzące w górę. Wspinaliśmy się po nich mozolnie. Pokonawszy kilkanaście stopni, opat zaczął się uskarżać na bolesny skurcz mięśni, ja natomiast radziłem sobie zupełnie nieźle.

- Zazdroszczę ci, chłopcze - rzekł rozbawiony, świadomy tego, że już raz to powiedział.

Ubrania mieliśmy ubłocone, czoła mokre od potu. Nagle opat krzyknął. W tej samej chwili coś skoczyło mi na plecy. Schyliłem się przerażony i obronnym gestem zasłoniłem ramionami głowę. Trwało to zaledwie kilka sekund.

- Dziwne, że do tej pory ich nie spotkaliśmy - rzekł Atto. - To najlepszy dowód, że znaleźliśmy się w mało uczęszczanym miejscu.

Olbrzymi szczur rzeczny wdrapał się po ścianie i skoczył najpierw na Melaniego, a potem na mnie. Kiedy złapaliśmy oddech, ponownie zaczęliśmy wchodzić po stopniach, które stawały się coraz wyższe. Na szczęście mieliśmy duży zapas oleju, wbrew bowiem nakazom szambelanów używałem do lamp także oleju jadalnego.

Przeczuwaliśmy kres naszej wędrówki. Korytarz, którym teraz szliśmy, wznosił się łagodnie w górę i doprowadził nas do czworokątnego pomieszczenia o ścianach z cegły- Przypominało magazyn w podziemiach pałacu.

- Wróciliśmy do ludzi! - ucieszył się opat.

Ostatnie stopnie były bardzo strome, musieliśmy się trzymać sznurówkich poręczy przymocowanych do ściany żelaznymi pierścieniami.

- Psiakrew! - syknął przez zęby opat, gdy wdrapaliśmy się na samą górę.

Jak można się było spodziewać, u szczytu schodów znajdowały się drzwi, masywne i... zamknięte.

Postanowiliśmy trochę odpocząć i ocenić sytuację, choć miejsce, w którym się znaleźliśmy, nie sprzyjało temu. Drzwi były zamknięte na zardzewiały rygiel. W szparach poświstywał wiatr, należało więc mieć nadzieję, że prowadziły na zewnątrz.

- Nic nie rozumiem. A ty? - rzekł opat.

- Drzwi są zamknięte od wewnątrz - rozumowałem - a zatem złodziej nie opuścił tunelu. Skoro jednak nie spotkaliśmy go i nie natrafiliśmy na rozwidlenie korytarza, to znaczy, że nie poszedł tą samą drogą, co my.

- Którędy więc poszedł?

- Może w ogóle nie wszedł do lochu za schowkiem - zgadywałem.

- Mmmh - wymruczał Atto- Gdzie się zatem ukrył?

Zszedł ze schodów i szybko przemierzył salę. Łódka stojąca w rogu, na wpół przegniła, świadczyła o tym, że znajdowaliśmy się w pobliżu Tybru. Odsunąłem rygiel i otworzyłem drzwi. W świetle księżyca dostrzegłem ścieżkę, rozgałęziającą się w prawo i biegnącą nad błotnistym nabrzeżem, a poniżej nurt rzeki. Na twarzy poczułem powiew chłodnego, wilgotnego wiatru. Na widok otwierającej się przede mną przepaści cofnąłem się do środka.

Opat zdawał się czytać w moich myślach:

- Jeśli teraz uciekniemy, z pewnością nas schwytają.

- Cały nasz trud - jęknąłem rozczarowany - poszedł na marne.
- Wprost przeciwnie - odparł Melani. - Nie znaleźliśmy wprawdzie złodzieja, ale poznaliśmy drogę ucieczki. Musimy już wracać, zanim ktoś zauważy naszą nieobecność.

Powrotna droga wydawała nam się o wiele trudniejsza i bardziej męcząca niż dotychczasowa wędrówka. Pozbawieni instynktu poszukiwaczy, wlekleśmy się noga za nogą. Wdrapaliśmy się po żelaznych klamrach na górę, zostawiając za sobą ciemną otchłań. Gdy znaleźliśmy się ponownie w schowku, opat, wyraźnie rozczarowany wyprawą, pożegnał się ze mną, udzielając mi pośpiesznie kilku rad na następny dzień.

- Jutro, jeśli chcesz, możesz powiadomić gości gospody, że ktoś ukradł klucze od komórki albo że po prostu zaginęły. Nic nie mów o naszym odkryciu ani o próbie schwytania złodzieja. Jeśli zajdzie potrzeba, porozmawiamy na osobności, w kuchni lub w innym bezpiecznym miejscu i wymienimy się informacjami.

Zgodziłem się bez entuzjazmu, bo byłem bardzo zmęczony, ale wątpliwości na temat Melaniego nie przestawały mnie dręczyć. W czasie drogi powrotnej przez tunel ponownie zmieniłem nastawienie do opata. Jeśli nawet plotki na jego temat były złośliwe i przesadzone, pewne fakty z przeszłości Atta wzbudzały moje podejrzenia. Teraz, kiedy nie powiodło się polowanie na złodzieja kluczy, nie chciałem być dłużej jego sługą i informatorem ani ryzykować, że zostanę w coś zamieszany. Jeśli to prawda, że nadintendent Fouquet, z którym Melani się przyjaźnił, był zbyt dobrym mecenasem kultury i dlatego padł ofiarą zazdrosnego Ludwika XIV i Colberta, nie można było zaprzeczyć, że mój towarzysz - powtarzałem sobie w duchu, kiedy przedzieraliśmy się przez ciemny tunel - doskonale znał dwór w Paryżu, z jego intrygami i koteriami.

Wiedziałem, że nasz dobry papież Innocenty XI był skłócony z dworem francuskim. Nie potrafiłem jednak zrozumieć powodów wrogości istniejącej między Rzymem i Paryżem. Z rozmów pospółstwa i osób zorientowanych w polityce wywnioskowałem, że ten, kto służy papieżowi, nie może albo raczej nie powinien przyjaźnić się z dworem francuskim.

A pościg za złodziejem kluczy? Czy nie był podejrzany? Dlaczego opat, zamiast powiadomić gości gospody o zaginięciu kluczy, sam rzucił się za nim w pogoń, narażając siebie i mnie na niebezpieczeństwo? A jeśli Melani wiedział więcej, niż mi wyznał? Może już wiedział, gdzie

są klucze. A jeśli złodziejem był on sam i tylko odwrócił moją uwagę, aby później, może jeszcze dzisiejszej nocy, działać w spokoju? Nawet mój ukochany pryncypał ukrył przede mną istnienie tunelu. Dlaczego zatem obcy człowiek, opat Melani, miałby mi wyznać swoje prawdziwe zamiary?

Obiecałem opatowi, że dostosuję się do jego wskazówek, po czym szybko się pożegnałem i z lampą w ręce skierowałem się do swojego pokoju. Chciałem jak najszybciej opisać w dzienniku wydarzenia minionego dnia.

Pan Pellegrino spał spokojnie, równo oddychając. Od wejścia do podziemnego tunelu minęły ponad dwie godziny, tyle samo brakowało zapewne do świtu, a ja zupełnie opadłem z sił. Na chwilę przed zgaszeniem lampy spojrzałem na pryncypała i dostrzegłem przyцепione do paska spodni klucze, których szukaliśmy.

## Dzień trzeci

*13 września 1683 roku*

Przez okno wpadały ciepłe promienie słońca, wypełniając pokój jasnym światłem, które sięgało spoconej, zmęczonej twarzy nieszczęsnego pana Pellegrina, leżącego bezwładnie na łóżku. Nagle drzwi otworzyły się i do pokoju zajrzał opat Melani.

- Czas na nas, chłopcze.
- Gdzie są pozostali goście?
- W kuchni, słuchają Devizego grającego na trąbce.

Zdziwiłem się, że gitarzysta potrafi grać też na tym hałaśliwym instrumencie i dlatego srebrzysty, mocny ton trąbki nie dociera do wyższych pięt.

- Dokąd idziemy?
- Wracamy do tunelu, poprzednim razem nie szukaliśmy jak należy.

Kiedy weszliśmy do schowka, otworzyłem drzwiczki za regałem. Poczulem na twarzy powiew wilgotnego powietrza. Zajrzałem niechętnie do wewnątrz, oświetlając zejście do studni.

- Powinniśmy poczekać, aż nastanie noc, bo zaczną nas szukać - zaprotestowałem nieśmiało.

Opat nic nie powiedział. Wyjął z kieszeni pierścień, położył mi go na dłoni i zamknął ją, patrząc na mnie znacząco. Zrozumiałem, że pierścień wiąże nas wspólną tajemnicą. Zaczęliśmy schodzić w dół. Kiedy stanęliśmy na ceglany dnie, zdrtwiałem z przerażenia. W ciemności poczułem na prawym ramieniu czyjaś dłoń. Ze strachu nie mogłem krzyknąć ani wykonać żadnego ruchu. W jakiś sposób wyczułem, że opat mnie uspokaja. Przewycięzając lęk, odwróciłem się, by zobaczyć twarz trzeciego poszukiwacza. Ze zdziwienia nie potrafiłem wydobyć z siebie słowa. Kim była osoba leżąca na łóżku w pokoju na trzecim piętrze, skoro miałem przed sobą Pellegrina, i w jaki sposób znalazł się tak szybko w korytarzu? Kiedy zadawałem sobie te pytania, Pellegrino przemówił:

- Więcej światła.

Odwracając się do Pellegrina, poślizgnąłem się, straciłem równowagę i upadłem. Sunąłem po ceglanej powierzchni powoli w kierunku schodów, leżąc na plecach, z brzuchem zwróconym do nieba (które tam w dole zdawało się nigdy nie istnieć). Ześlizgnąłem się ze schodów, nie napotykając oporu, choć sądziłem, że ważę więcej niż marmurowy posąg. Atto Melani i Pellegrino obojętnie przyglądali się mojemu spadaniu, jakby nie rozumieli różnicy między życiem a śmiercią. Spadałem w dół, przepełniony strachem i rozpaczą, niczym potępiona podobnie dusza w otchłań piekielną.

Ocalił mnie krzyk dobywający się z jakiegoś nieznanego zakamarka wszechświata. Obudziłem się z koszmarnego snu.

Zasnąłem i najwidoczniej zacząłem krzyczeć przez sen. Spojrzałem na łóżko obok, na którym spokojnie spał mój pryncypał. Przez okno nic wpały promienie słońca, jak w onirycznej wizji, lecz różowoniebieski blask świtu. Rześkie powietrze sprawiło, że zrobiło mi się zimno, szczerzej okryłem się kocem, choć wiedziałem, że już nie zasnę. Od schodów dochodziły dalekie odgłosy kroków. Wyteżyłem słuch, bo zdawało mi się, że ktoś idzie w stronę komórki, ale zszedł niżej, do kuchni lub na pierwsze piętro. Rozpoznałem głosy Stilone Priasa i ojca Robledy, którzy pytali Cristofana o stan Pellegrina. Wstałem, bo niedługo miał nadejść lekarz zbadać pryncypała. Osobą, która po chwili zapukała do drzwi mojego pokoju, był jednak Bedfordi, nie Cristofano.

Kiedy mu otworzyłem, zobaczyłem przed sobą bladą twarz z podkrążonymi oczami. Bedfordi był w ubraniu i w ciepłym płaszczu zarzuconym na ramiona, a mimo to trząsł się z zimna, na próżno powstrzymując dreszcze. Poprosił mnie, żebym go wpuścił do pokoju, zapewne dlatego, że nie chciał, by zobaczyli go goście gospody. Podałem mu trochę wody i pigułki od Cristofana. Anglik odmówił, ponieważ - powiedział boi się, że pastylki niosą śmierć. Zaskoczyło mnie to stwierdzenie, lecz nalegałem, by zażył lekarstwo.

- Musisz wiedzieć - powiedział słabym głosem - że opium i środki przeczyszczające też mogą spowodować śmierć. Murzyni ukrywają pod paznokciami truciznę, która zabija przy zwykłym zadrapaniu. Jad węży grzechotników jest dla człowieka śmiertelny, a pewien rodzaj pająka powoduje czasową ślepotę...

Bedfordi majaczył.

- Cristofano nic takiego nie uczyni - zaoponowałem.

- ...w tych substancjach - ciągnął dalej, jakby mnie nie słyszał - tkwi ukryta siła, a ukryte siły są odbiciem naszej ignorancji.

Zauważyłem, że drżą mu nogi. Aby nie upaść, oparł się o futrynę drzwi. Wypowiadane przez niego słowa wyraźnie świadczyły o tym, że był w malignie. Bedfordi usiadł na łóżku i uśmiechnął się smutno.

- Krowie łajno wysusza rogówkę - oznajmił, podnosząc palec wskazujący niczym nauczyciel upominający uczniów - roślina o nazwie starzec, zawieszona na szyi, leczy malarię. W przypadku hysterii stosuje się okłady z soli, które kilka razy w ciągu dnia należy przykładać na stopy. A jeśli chodzi o sztukę lekarską, to powiedz panu Cristofanowi, żeby zamiast Galena i Paracelsusa przeczytał *Don Kichota*.

To powiedziawszy, położył się na łóżku, skrzyżował ręce na piersiach i drżał na całym ciele. Pobiegłem po lekarza.

Duże obrzmienie w pachwinie i drugie, nieco mniejsze, pod prawą pachą wskazywały na zarażenie dżumą. Takie same miał pan óe Mourai. Przyczyny odrętwienia mojego pryncypała Cristofano nie znał. Nic z tego wszystkiego nie rozumiałem. Czyżby wśród nas był tajemniczy zabójca?

Na wieść o chorobie Bedfordiego gości gospody ogarnęło przygnębienie. Następnego dnia mieli przybyć strażnicy z Bargello sprawdzić listę. Zauważyłem, że niektórzy mnie unikają, ponieważ stykałem się z Bedfordim w chwili, gdy zaatakowała go choroba. Mieszkańcy „Donzella” stali się podejrzliwi. Jak słusznie zauważył Cristofano, wszyscy jeszcze wczoraj rozmawialiśmy i jedliśmy z Anglikiem, a niektórzy grali z nim nawet w karty, więc nikt nie mógł czuć się bezpieczny. Jako jedyny, być może dzięki młodzieńczej zuchwałości, nie uległem panice. Najbardziej tchórzliwi, ojciec Robleda i Stilone Priaso, pobiegli do kuchni po żywność. Zatrzymałem ich, prosząc jezuitę o udzielenie Bedfordiemu ostatniego namaszczenia. Tym razem jednak ojciec Robleda zdecydowanie odmówił.

- To Anglik, wyznawca kościoła zreformowanego, wyrzekł się zatem religii chrześcijańskiej - odparł zdenerwowany, dodając, że poświęcony olej zarezerwowany jest dla dorosłych, ochrzczonych osób. Nie można nim namaszczać dzieci, szaleńców, ludzi objętych ekskomuniką, zatwardziały grzeszników, więźniów skazanych na dożywocie, żołnierzy i rozbitków.

- Chyba wiesz - powiedział Stilone Priaso - że święty olej przyspiesza śmierć, powoduje wypadanie włosów, zwiększa bóle porodowe, spro-



wadzą żółtaczkę na dziecko w łonie matki, uśmierca pszczoły fruujące wokół domu chorego, a ludzie, którzy go otrzymali, umrą, jeśli wyzdrowieją i zatańczą? Grzechem jest prząść w pokoju chorego, bo umrze, gdy przedzenie dobiegnie końca lub przerwie się nic. Nóg po otrzymaniu ostatniego namaszczenia nie należy myć przez długi czas. W pokoju chorego trzeba trzymać zapaloną lampę lub świecę, dopóki choroba nie ustąpi.

Po tych słowach odwrócili się i poszli każdy do swojego pokoju.

Po półgodzinie zaszedłem do pokoiku na pierwszym piętrze, w którym leżał Bedfordi, aby zobaczyć, jak się czuje. Początkowo sądziłem, że przy chorym jest Cristofano, nieszczęsny Anglik mówił bowiem na głos, jakby był w czyimś towarzystwie. Przekonałem się, że w pokoju nie ma nikogo poza nami dwoma, a Bedfordi majaczy. Był przeraźliwie blad, kosmyk włosów przykleił mu się do spoconego czoła, spierzchnięte usta świadczyły o bardzo wysokiej gorączce.

- W wieży... jest w wieży - mówił niewyraźnie, chaotycznie, patrząc na mnie zmaconym wzrokiem.

Wymienił kilka nazwisk, zupełnie mi nieznanych, które zapamiętałem tylko dlatego, że powtórzył je wielokrotnie. Bezustannie szeptał imię Wilhelma Orańskiego, będącego najwidoczniej jego przyjacielem.

Właśnie miałem wezwać Cristofana, w obawie, że choroba może się nieoczekiwanie zaostriżyć, a nawet zakończyć śmiercią, kiedy wszedł do pokoju, zaniepokojony jękami Bedfordiego. Towarzyszyli mu Brenozzi i Devize.

Biedny Anglik nadal prowadził swój szaleńczy monolog, przywołując teraz imię Karola, które zdaniem Brenozziego oznaczało króla Anglii Karola II. Wenecjanin, który znał język angielski, przetłumaczył, że Bedfordi bredzi o niedawno odbytej podróży do Holandii.

- Dlaczego właśnie tam? - spytałem.

- Tego nie wiem - odparł Brenozzi, dając mi znak, żebym zamilkł i pozwolił słuchać Bedfordiego.

- Dobrze pan zna angielski - zauważył medyk.

- Mój daleki kuzyn z Londynu często do mnie pisuje w sprawach rodzinnych. Poza tym dość szybko się uczę, dużo też podróżowałem w interesach. Spójrzcie, chyba ma się lepiej.

Chory przestał majaczyć, a Cristofano poprosił nas, abyśmy wyszli z nim na korytarz. Za drzwiami stali niemal wszyscy goście, oczekując najnowszych wieści.

Cristofano powiedział jasno, że rozwój choroby każe mu wątpić we własne umiejętności. Najpierw śmierć pana de Mourai, później wypadek Pellegrina, który do tej pory nie odzyskał przytomności, wreszcie oczywisty przypadek dżumy u Bedfordiego. Wobec spiętrzenia tyłu nieszczęść tokański lekarz stracił wiarę we własne siły i nie wie, jak stawić czoło zaistniałej sytuacji. Spojrzeliśmy po sobie, bladzi ze strachu.

Niektórzy goście zaczęli lamentować, inni wrócili do pokojów. Jedni zamęczali lekarza pytaniami, aby się choć trochę uspokoić, drudzy w milczeniu osunęli się na podłogę, zakrywając twarz w geście rozpacz. Cristofano udał się do pokoju i zamknął drzwi na klucz. Chciał w spokoju zajrzeć do ksiąg lekarskich i zastanowić się nad sytuacją w gospodzie. Jego odejście odebrano jako chęć ucieczki, a nie próbę pomocy. Nasze przymusowe więzienie straciło cechy komedii i zmieniło się w tragedię.

W scenie zbiorowej desperacji uczestniczył też śmiertelnie blady opat Melani. Ale chyba najbardziej pogrążony w rozpacz byłam ja sam. Pan Pellegrino - myślałem ze łzami w oczach - uczynił z gospody grób swój, mój i wszystkich naszych gości. Wyobraziłem sobie ból jego żony, kiedy po powrocie zobaczy na własne oczy, jakie żniwo zebrała śmierć w gospodzie „Donzello”. Siedziałem na podłodze naprzeciw pokoju Cristofana, szlochając i zakrywając dłońmi twarz mokrą od łez. W pewnej chwili podszedł do mnie opat Melani. Głaszcząc mnie po głowie, zanucił:

Piango, pręgo e sospiro,  
e nulla alfin mi giova...\*

Starał się mnie pocieszyć i uspokoić. Widząc, że jego wysiłki na nic się nie zdają, podniósł mnie za ramiona z podłogi i oparł o ścianę.

- Nie mam ochoty pana słuchać - buntowałem się.

Przytoczyłem opatowi słowa lekarza, dodając, że za kilka dni, a nawet godzin, wszyscy będziemy cierpieć męczarnie jak Bedfordi. Melani zaprowadził mnie do swojego pokoju, ale nic nie było w stanie mnie uspokoić. W końcu opat wymierzył mi policzek, po którym natychmiast przestałem szlochać. Melani pozwolił mi ochłonąć, po czym objął mnie ramieniem, tłumacząc, że nie powinienem poddawać się rozpacz.

Należało przede wszystkim powtórzyć sprytną scenkę, dzięki której

Płaczę, proszę i wzdycham, / i nic mi ulgi nie niesie...

wprowadziliśmy w błąd ludzi z Bargello, ukrywając chorobę pana Pellegrina. Gdyby odkryli, że w gospodzie znajduje się osoba zarażona dżumą (tym razem naprawdę), kontrole stałyby się jeszcze surowsze i częstsze. Z pewnością przeniesiono by nas do lazaretu, urządzonego w mniej zaludnionej części miasta, na przykład na wyspie San Bartolomeo, gdzie podczas epidemii sprzed trzydziestu lat znajdował się szpital dla zadżumionych. Mogliśmy zawsze skorzystać z podziemnej drogi ucieczki, którą odkryliśmy poprzedniej nocy. Opat nie ukrywał, że wtedy trudno byłoby wymknąć się pościgowi, ale taką ewentualność należało rozważyć, gdyby nasza sytuacja uległa nagłemu pogorszeniu. Kiedy się uspokoiłem, opat podsumował:

- Jeśli de Mourai został otruty, a obrzmienia Pellegrina to zwykle wybroczyny, jedyną osobą chorą na dżumę jest, jak na razie, Bedfordi.

W tej samej chwili do drzwi zapukał Cristofano i kazał wszystkim zejść do sali na parterze. Powiedział, że ma dla nas ważne informacje. W sieni, u stóp schodów, czekali już pozostali goście, którym Devize umiał czas dźwiękami swojego przepięknego ronda.

- Czyżby Anglik umarł? - zapytał Brenozzi, szczypiąc się w przyrodzenie.

Lekarz zaprzeczył ruchem głowy i poprosił, by wszyscy usiedli. Na widok marsowej miny Cristofana francuski muzyk przerwał grę.

Udałem się do kuchni i zająłem szykowaniem obiadu.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, medyk otworzył torbę, wyjął chusteczkę, wytarł twarz z potu (jak zwykle, kiedy przystępował do dłuższej przemowy), wreszcie odchrząknął i zaczął mówić:

- Szanowni państwo! Wybaczone mi, proszę, że was opuściłem, ale musiałem zastanowić się nad naszą obecną sytuacją. Doszedłem do wniosku... - oświadczył, kiedy wszyscy ucichli. - Doszedłem do wniosku - powtórzył, mnąc w dłoni chusteczkę - że jeśli nie chcemy umrzeć, musimy niejako pogrzebać się żywcem.

Wyjaśnił, że najwyższy czas skończyć z wałęsaniem się po całej gospodzie, jakby się nic nie stało. Nie można się już spotykać na pogawędki, nie bacząc na przestrogi lekarza. Do tej pory los nam sprzyjał, a nieszczęścia, które przytrafiły się staremu panu de Mourai i Pellegrinowi, nie miały nic wspólnego z zarazą. Teraz jednak sytuacja stała się poważniejsza, dżuma bowiem, o której wszyscy mówiliśmy, pojawiła się w gospodzie naprawdę. Nie ma sensu liczenie, kto jak długo przebywał w towarzystwie Bedfordiego, służy to bowiem wyłącznie podsycaniu

podejrzeń. Jedyłą nadzieją na ocalenie jest odizolowanie się we własnym pokoju. Tylko w ten sposób uniknie się wdychania obcych wyziewów, jak również kontaktu z odzieżą innych osób, *et cetera, et cetera*. Poza tym powinniśmy regularnie smarować ciało olejkami i balsamami oczyszczającymi, które on sporządzi. Mieliliśmy się zbierać tylko wtedy, gdy przybędą strażnicy w celu sprawdzenia listy obecności.

- Boże przenajświętszy! - wykrzyknął oburzony ojciec Robleda. - Mamy czekać na śmierć?! Ośmielę się zauważyć - dodał łagodniejszym tonem - że podczas epidemii w Perpignan w Królestwie Katalonii jeden z moich współbraci, Diego Guzman z Zamory, znalazł sposób uchronienia przed tą chorobą zarówno siebie, jak i pozostałych misjonarzy. Sporządził bardzo smaczne remedium z dobrego białego wina, z dodatkiem jednej drachmy\* koprozy i pół drachmy białego dyptamu. Kazał wszystkim nacierać się olejem ze skorpionów i dobrze wszystkich żywił. Nikt nie zachorował. Może spróbujemy tego środka, zanim żywcem się zamurujemy?

Przysłuchując się słowom Robledy, opat Melani energicznie potakiwał głową, albowiem ewentualne zamknięcie w pokojach uniemożliwiłoby mu prowadzenie śledztwa.

- Ja także słyszałem, że dobrej jakości białe wino jest znakomitym środkiem przeciw dżumie i gorączce błotnej - rzekł dobitnie Atto. - Jeszcze lepsza jest wódka i małmazja. W Pistoii znana jest woda mistrza Anselma Rigucciego, chroniąca przed zarazą. Ojciec opowiadał mi i moim braciom, że biskupi, którzy kolejno zarządzali miastem, chętnie pili tę wodę, nie tylko w celach zdrowotnych. Przyrządza się ją z pięciu funtów\*\* wódki aromatyzowanej ziołami. Wódkę należy szczelnie zamknąć w karafce i na dobę pozostawić w katedrze, następnie dolać sześć funtów najlepszej małmazji. Wielebny biskup Pistoii każdego ranka stawał za ołtarzem głównym i pił na czczo dwie uncje\*\*\* tego likieru zjedną uncją miodu.

Na te słowa jezuita cmoknął zdumiony, Cristofano natomiast pokiwał sceptycznie głową i chciał coś powiedzieć, ale uprzedził go Dulcibeni.

- Takie środki - rzekł - z pewnością poprawiają samopoczucie, ale wątpię, by były skuteczne. Słyszałem o smacznych powidłkach leczniczych, które Ludovico Giglio z Cremony sporządził podczas epidemii

Drachma - dawna jednostka wagi aptekarskiej równa 3,75 grama (przyp. red.).  
Funt - do XIX w. powszechna w Europie jednostka masy równa od 350 do 560 gramów (przyp. red.).

Uncja - aptekarska jednostka wagi równa około 31 gramów (przyp. red.).

dżumy w Lombardii. Chorzy każdego ranka zjadali kromkę ciepłego chleba z czterema drachmami powidełek. W ich skład wchodził napar z miodu z dodatkiem liści róży oraz odrobina kwaśnego syropu wymieszanego z bedłką, powojem, wilczomleczem i szafranem. Giglio uniknął linczu tylko dlatego, że osoby, które ocalały, nie miały siły, żeby go powiesić - zakończył ponuro stary szlachcic z Marche, dając do zrozumienia, że jego zdaniem skończymy tak jak wszyscy zadżumieni.

- Podobnie było - wtrącił Cristofano - ze słynnym środkiem na serce i żołądek, opracowanym przez Tiberia Gariottę z Faenzy. W skład lekarstwa, przypominającego wyrób mistrza cukiernika, wchodził syrop różany, cynamon, szafran, kora drzewa sandałowego i czerwone korale, wymieszane z czterema uncjami soku cedrowego. Tak sporządzoną miksturę należało pozostawić na czternaście godzin, następnie wymieszać z podgrzany miodem i dla zapachu dodać trochę piżma. W przeciwieństwie do Giglia Gariotto został zlinczowany. Posłuchajcie mojej rady! Nie pozostaje nam nic innego, jak...

Devize nie dał mu dokończyć.

- Mają rację panowie Pompeo i nasz medyk. Również Giovan Gutiero, lekarz króla Francji Karola II, utrzymywał, że to, co jest dobre dla podniebienia, nie może oczyszczać organizmu ze szkodliwych substancji. Gutiero sporządził pewien rodzaj powidełek leczniczych, których warto spróbować. W uznaniu za zbawienne działanie tego medykamentu król wyznaczył lekarzowi wysoką pensję. Medyk zastosował gotowany miód, dwadzieścia orzechów włoskich, piętnaście fig, garść ruty, piołun, glinkę, sól kamienną. Należało zażywać ten środek dwa razy dziennie, rano i wieczorem, po pół uncji, popijając uncją mocnego białego octu, żeby zwiększyć niesmak.

Wywiązała się ożywiona dyskusja między zwolennikami smacznego lekarstwa, z ojcem Robledą na czele, a osobami, których zdaniem medykamenty powinny być nieprzyjemne w smaku. Przysłuchiwałem się dyskusji rozbawiony (mimo powagi sytuacji). Ilu bowiem było uczestników dysputy, tyle przepisów na zwalczanie choroby.

Jedynie Cristofano kręcił głową.

- Jeśli chcecie, spróbujcie wszystkich tych środków, ale nie przychodźcie do mnie, gdy się rozchorujecie!

- Proponowałbym izolację częściową - wtrącił nieśmiało Brenozzi. - W Wenecji podczas epidemii dżumy w tysiąc pięćset pięćdziesiątym szóstym roku można było poruszać się po mieście, pod warunkiem że trzymało się w dłoniach pachnące kulki wielkości orzecha włoskiego, wy-

tworzone przez filozofa i poetę Girolama Ruscellego. Zapach piżma, kwiatów, goździków, muszkatolowca, nardu lub żywicy styrakowca nie tylko zabijał odór śmierci, ale także chronił przed zachorowaniem.

Cristofano stracił cierpliwość, wstał i oznajmił podniesionym głosem, że nic go nie obchodzi nasze zdanie na temat przymusowego odosobnienia. W tej chwili pozostaje nam tylko taka możliwość, jaką zaproponował, a jeśli się z nią nie zgadzamy, on sam zamknie się w swoim pokoju i nie będzie wpuszczał nikogo oprócz mnie, gdy przyniosę mu jedzenie. Opuści pokój wówczas, gdy wszyscy umrzemy, co zapewne wkrótce nastąpi.

Nastało grobowe milczenie. Po chwili Cristofano dodał, że jeśli przyśtaniemy na jego propozycję, tylko on, lekarz, będzie mógł poruszać się swobodnie po gospodzie, aby opiekować się chorymi i regularnie badać jeszcze zdrowych. Jego asystent zadba o wyżywienie i higienę lokatorów, jak również o uzupełnianie zapasu olejków i balsamów chroniących przed chorobą. Cristofano nie śmiał nikogo prosić o pełnienie tej niewdzięcznej funkcji, wiążącej się z narażaniem własnego życia. Mamy jednak szczęście w nieszczęściu - powiedział - że jest wśród nas osoba (tu rzucił spojrzenie w moim kierunku) odporna na wszelkie choroby. Oczywiście wszystkich gości zwróciły się na mnie, a Cristofano wziął mnie pod ramię.

- Dzięki silnemu organizmowi - ciągnął medyk z Sieny - chłopiec ten jest odporny na zarażenie.

Widząc nasze zdziwienie, Cristofano podał przykłady całkowitej odporności na dżumę, powołując się na dzieła wybitnych autorów. Podobne *mirabilia* zdarzały się dość rzadko, ale z czasem ich liczba zaczęła rosnąć. Dowodzi to, że ktoś taki jak ja mógłby nawet wypić ropę z wrzodu osoby chorej na dżumę (co podobno miało miejsce podczas epidemii sprzed trzystu lat), nie ponosząc żadnej szkody na zdrowiu, poza lekkim pieczeniem w żołądku.

- Fortunio Liceto porównuje nadzwyczajne właściwości takich ludzi z cechami małych wąskonosych, satyrów, cyklopów, traszek i syren. Zgodnie z systematyką ojca Gasparego Schotta, im bardziej proporcjonalne są kończyny tych osobników, tym większa staje się ich odporność na zarażenie dżumą - podsumował Cristofano. - Jak widzimy, ten chłopiec jest dość zgrabny. Ma szerokie plecy, proste nogi, regularne rysy twarzy, zdrowe zęby. Zalicza się, na szczęście, do *mediocres* rasy ludzkiej, a nie do niezgrabnych *minores*, czy też - Boże uchojaj! - nędznych *minimi*. Możemy zatem być spokojni. Zdaniem Nierembergiusa ludzie tacy jak on przychodzą na świat z zębami, włosami i zewnętrznyimi narządami płcio-

wymi osobników dorosłych. W wieku siedmiu lat mają zarost, a kiedy kończą lat dziesięć, są silni jak tury i mogą płodzić dzieci. Giovanni Eusebio twierdzi, że widział czteroletniego chłopca z długimi włosami i brodą. Nie mówiąc już o legendarnym Popobawie, który na jednej z afrykańskich wysep napadał i gwałcił silnych mężczyzn. Zaatakowani w czasie snu, na próżno próbowali się bronić, odnosząc rany i siniaki.

Ojciec Robleda poparł Cristofana, który usiadł wyczerpany, ocierając pot z czoła. Wobec braku innych skutecznych rozwiązań, a także ze strachu, że lekarz mógłby odmówić pomocy, goście gospody zgodzili się w końcu na odosobnienie. Opat Melani nie powiedział ani słowa.

Lekarz zaproponował, żeby wszyscy przed udaniem się do swoich pokojów poszli najpierw do kuchni i zjedli gorący posiłek z opiekanym chlebem. Polecił mi, abym mocno rozcieńczył wino wodą, przez co będzie zdrowsze dla żołądka.

Nieszczęśni goście woleliby zapewne jadać potrawy przyrządzone przez pana Pellegrina, ale w tej sytuacji musieli się zadowolić tym, co sam przygotowałem. Na razie korzystałem ze składników przechowywanych w spiżarni, zapasy w piwnicy postanowiłem zostawić na później. Dania urozmaicałem owocami, warzywami i chlebem, dostarczającymi do gospody razem z bukłakami z wodą. W ten sposób przynajmniej ja nie naruszyłem zapasów, które znacznie uszczuplił Cristofano, sporządzając powidełka lecznicze, balsamy, maści, olejki, eliksiry i pachnące kulki.

Tego wieczoru, aby pocieszyć mieszkańców gospody, zadałem sobie więcej trudu i ugotowałem zupę jajeczną z groszkiem, pulpety z rozmozonego chleba z solonymi sardynkami i ziołami oraz gotowaną cykorię z moszczem i octem. Potrawy przyprawiłem cynamonem, szlachetną przyprawą bogaczy, aby zaostriżyć ich smak i podnieść na duchu biesiadników.

- Uwaga, gorące! - wykrzyknąłem, wnosząc tacę z dymiącymi daniami.

Dulcibeni i ojciec Robleda nieufnie spojrzeli na półmisek z cykorią. Powstrzymali się jednak od komentarza. Nie dostrzegłem też, by twarze gości się rozpogodziły.

Myśl, że mój silny organizm mógł, zdaniem lekarza, zwalczyć dżumę, napawała mnie dumą. I choć trudno mi było uwierzyć w pewne szczegóły

(w wieku siedmiu lat nie miałem zarostu, nie urodziłem się też z zębami i gigantycznymi genitaliami), poczułem się ważniejszy od innych. Słowa Cristofana utwierdziły mnie w przekonaniu, że goście gospody są zdani na mnie. Rozumiałem teraz, dlaczego lekarz pozwolił mi spać w jednym pokoju z chorym pryncypałem. Odzyskałem dobry humor.

A chi vive ogn'or contento  
ogni mesę e primavera...\*

Usłyszałem śpiew opata Melaniego.

- Jaka wesoła mina! - zażartował Atto. - Zachowaj **tą radość do jutra**, będziemy jej potrzebować.

Te słowa sprowadziły mnie z powrotem na ziemię.

- Czy mógłbyś mnie odprowadzić do mojej smutnej celi? - spytał z uśmiechem, kiedy skończył posiłek.

- Do pokoju pójdzie pan sam - zgasił opata Cristofano. - Chłopiec jest mi teraz potrzebny.

Pożegnawszy się tak nagle z Melanim, medyk polecił mi pozmywać naczynia. Powiedział, że odtąd mam to czynić co najmniej raz dziennie. Kazał mi też przynieść dwie duże miski, czyste ścierki, łupiny orzechów, wodę i białe wino, po czym zaprowadził mnie do Bedfordiego. Poszedł do siebie po walizeczkę z narzędziami i torbę z medykamentami.

Kiedy wrócił, pomogłem mu rozebrać młodego Anglika, który był rozgrzany jak kociołek nad ogniem.

- Obrzmienia są gorące - zauważył zmartwiony Cristofano. - Przydałoby się zakopać go w ziemi.

- Co takiego?

- Ten wspaniały, cudowny sekret zdradził mi tuż przed śmiercią kawaler Marco Leonardo Fioravanti, wybitny medyk z Bolonii. Jego metoda umożliwia szybkie zwalczenie choroby. Osobę z obrzmieniami należy zakopać po samą szyję w ziemi na dwanaście do czternastu godzin. Można to czynić właściwie w każdym miejscu, nie narażając się na koszty.

- Z jakim rezultatem?

- Ziemia to matka, ma moc oczyszczającą. Wywabia plamy z tkanin, daje skruszyć mięsu, o ile pozostanie zakopane od czterech do sześciu godzin. W Padwie okłady z błota leczą wiele schorzeń. Innym sposobem o leczniczym działaniu jest kąpiel od trzech do dwunastu godzin w słonej wodzie morskiej. Niestety, zostaliśmy zamknięci i nie możemy skorzy-

Kto w każdej godzinie przeżywa radość, / temu każdy miesiąc jak wiosna...



stać z żadnego z tych sposobów. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko upuścić krwi biednemu Bedfordiemu, żeby ochłodzić obrzmienia. Przedtem musimy jednak usunąć zepsute soki.

Cristofano wyjął z torby drewnianą miskę.

- Mam tu cudowne piżmowe pastylki, bardzo dobre na żołądek.

- Jakie jest ich działanie?

- Wyciągają wszystko z żołądka, a także osłabiają opór pacjenta wobec działań lekarza.

Cristofano wziął tabletkę w dwa palce i pokazał mi ją. Była podobna do tych, jakie sporządzają aptekarze. Była to właśnie pastylka piżmowa. Włożył ją Bedfordiemu głęboko do gardła. Biedny Anglik omal się nie udławił, ale połknął tabletkę. Zaczął się trząść i kaszleć, z jego ust wydobyła się ślina, a potem zwymiotował do podstawionej drewnianej miski cuchnącą substancję.

Cristofano dokładnie obejrzał i powąchał wydzielinę.

- Moje pastylki mają piorunujące działanie, nie sądzisz? - rzekł wyraźnie zadowolony. - Ich skład jest niezwykle prosty: uncja cukru z dodatkiem esencji fiołkowej, po pięć uncji irysa i pokruszonej skorupki jajka, po jednej drachmie piżma i bursztynu, żywica i woda różana. Po dokładnym wymieszaniu składników preparat należy wysuszyć na słońcu - wyrecytował Cristofano, usuwając ślady wymiocin z ubrania Bedfordiego. - U ludzi zdrowych tabletki piżmowe stosuje się przy braku łaknienia - dodał. - Przypomnij mi, żebym dał ci kilka pastylek. Zabieraj je ze sobą, roznosząc posiłki, na wypadek gdyby któryś z gości stracił apetyt.

Umyty i przebrany Anglik leżał cicho z zamkniętymi oczami.

- Jak naucza mistrz Euscbio Scaglione z Castello a Mare w Królestwie Neapolu - powiedział Cristofano, stojąc nad pacjentem z ostrym narzędziem w rękę krew należy upuścić z żył, które biorą początek w obrzmiałych miejscach. Żyła głowy odpowiada obrzmieniu na szyi, żyła średnia natomiast obrzękom na plecach, ale to nie ten przypadek. Panu Bedfordiemu upuścimy krwi z żyły nadgarstka, która biegnie od obrzęku pod pachą, oraz z żyły stopy, odpowiadającej dużemu obrzmieniu w pachwinie. Podaj mi czystą miskę.

Musiałem też odszukać buteleczki z napisem „biały dyptam” i „pięciornik”, wziąć po dwie szczypty każdego z tych ziół, wymieszać z niewielką ilością białego wina i podać do wypicia Anglikowi. Utrzeć w moździerzu zioło zwane kruczą nóżką i przesypać do łupiny orzecha, którą Cristofano przyłożył do nacięć na nadgarstku i stopie chorego.

- Zabandażuj teraz mocno te miejsca. Będziemy zmieniać opatrunek dwa razy dziennie. Gdy pojawią się pęcherze, przekłujemy je, żeby wypłynęła trująca ciecz.

Bedfordi zaczął drzeć na całym ciele.

- Chyba nie upuściliśmy mu zbyt dużo krwi?

- Ależ skąd! Przewidziałem taką reakcję i zczasu przygotowałem mieszankę z pokrzywy, malwy, rzepiku, lebiodki, goryczki, wawrzynu, tataraku, ostu i styrakowca. Dodam ją do gorącej wody i urządzimy pacjentowi bardzo zdrową nasiadówkę.

To powiedziawszy, odwinął z czarnego filcu szklaną karafkę z ziołami. Zeszliśmy do kuchni, gdzie Cristofano polecił mi wrzucić zawartość butelki do największego kotła z wodą i zagotować. On tymczasem podgrzał w innym garnku wodę z kozieradką, siemieniem lnianym i korzeniem prawoślazu.

Kiedy wróciliśmy do pokoju Bedfordiego, owinęliśmy Anglika w pięć koców i posadziliśmy na parującym kotle, który z dużym trudem udało nam się wnieść na górę.

- Musi się spocić, pot oczyszcza organizm, otwiera pory i rozgrzewa krew, dzięki czemu nie dochodzi do jej zepsucia i raptownej śmierci.

Anglik nie wyglądał na zadowolonego. Zaczął coraz głośniej jęczeć, dyszeć i kasłać. Nagle uspokoił się. Wyglądało na to, że zemdlał. Wtedy Cristofano naciął w kilku miejscach obrzęki lancetem i przyłożył do nich okłady ze smalcu. Po zabiegu przenieśliśmy Bedfordiego na łóżko. Chory nie poruszał się, ale oddychał. Pomyślałem, że jak na ironię losu Cristofano leczył swojego największego prześmiewcę.

- Dajmy mu teraz odpocząć i pokładajmy nadzieję w Bogu - powiedział lekarz z poważną miną.

Zaprowadził mnie do swojego pokoju i wręczył woreczek z maściami, syropami i innymi lekami dla pozostałych gości. Pouczył mnie, jak należy je stosować i czemu służą, zapisując wszystko na kartce, na wypadek gdybym zapomniał. Niektóre medykamenty były bardziej wskazane dla jednych osób niż dla innych. Ojcu Robledzie na przykład, zawsze podenerwowanemu, groziła śmiertelna odmiana dżumy, która mogła zaatakować serce lub mózg. Inna, mniej groźna forma choroby dotyczyła wątroby, powodując obrzęki. Cristofano kazał mi jak najszybciej porożnić lekarstwa.

Miałem dość. Zacząłem wchodzić po schodach, obciążony lekami. Marzyłem o tym, żeby znaleźć się wreszcie we własnym łóżku i odpocząć. Kiedy byłem na drugim piętrze, usłyszałem szept Melaniego. Czekał na mnie, wyglądając ostrożnie przez szparę w drzwiach pokoju na końcu korytarza. Podeszedłem do niego. Zanim zdążyłem coś powiedzieć, szepnął mi do ucha, że dziwne zachowanie niektórych gości w ostatnich godzinach dało mu wiele do myślenia.

-- Czy obawia się pan o czyjeś życie? - spytałem cicho, przestraszony.

- Być może, chłopcze, być może — odparł Melani, pośpiesznie wciągając mnie do pokoju.

Zamknął starannie drzwi i powiedział, że słyszał majaczenie Bedfordiego. Nie ma żadnych wątpliwości, że Anglik jest zbiegiem.

- Zbiegiem? Skąd?

- Uchodźcą, który czeka na lepsze czasy, aby powrócić do ojczyzny - oświadczył Melani stanowczym tonem, pukając palcem w dołek na brodzie.

Atto przytoczył ciąg wydarzeń i okoliczności, które wkrótce miały odegrać istotną rolę. Tajemniczy Wilhelm, wspomniany przez Bedfordiego, był księciem Oranii, kandydatem do tronu angielskiego.

Zanosilo się na dłuższą rozmowę, przestałem więc myśleć o szybkim powrocie do pokoju.

Jak wyjaśnił Melani, obecny król Anglii nie miał dzieci z prawego łóża. Na swojego spadkobiercę wyznaczył brata, który jako katolik wprowadzi po objęciu tronu własną religię.

- Gdzie zatem leży problem? - spytałem, ziewając.

- Angielska szlachta należy do Kościoła reformowanego, nie chce katolickiego króla i spiskuje na rzecz Wilhelma, który jest zagorzałym wyznawcą protestantyzmu. Połóż się na moim łóżku, chłopcze zaproponował opat łagodnym głosem, widząc, że jestem zmęczony.

- Anglia stanie się krajem heretyckim! - wykrzyknąłem. Odłożyłem na bok torbę Cristofana i położyłem się na łóżku opata.

- Właśnie! W Anglii istnieją obecnie dwa stronnictwa: protestanckich oranżystów i katolików. Bedfordi, choć nigdy nam tego nie wyzna, należy prawdopodobnie do pierwszego z nich - stwierdził opat, podnosząc brew. Patrząc na jego odbicie w lustrze, wywnioskowałem, że nie był zadowolony ze swojego wyglądu.

- Dlaczego pan tak sądzi? - zapytałem, przyglądając się Melaniewi z zainteresowaniem.

- O ile dobrze zrozumiałem, Bedfordi przez pewien czas przebywał w Holandii, kraju kalwinistów.

- W Holandii mieszkają także katolicy, wierni Kościołowi rzymskiemu. Opowiadali mi o tym goście gospody, którzy zatrzymali się w Holandii na dłużej...

- No tak, ale Zjednoczone Prowincje Holandii także są ziemiami Wilhelma. Mniej więcej dziesięć lat temu książę Oranii pokonał wojska Ludwika XIV, które zaatakowały Niderlandy. Obecnie Holandia jest twierdzą konspirujących oranżystów - podsumował opat. Po chwili, w geście zniecierpliwienia, wziął do ręki niewielkie pudełeczko z pędzelkiem i zaczął pokrywać różem swoje wystające kości policzkowe.

- A więc pańskim zdaniem Bedfordi udał się do Holandii, żeby spiskować na rzecz księcia Oranii - powiedziałem, starając się nie patrzeć na Melaniego.

- Ależ nie, nie przesadzaj! - odparł, ale zanim się do mnie odwrócił, z zadowoleniem przyjrzał się sobie w lustrze. - Myślę, że Bedfordi należy po prostu do ludzi, którzy chcieliby zobaczyć Wilhelma na tronie, także dlatego, nie zapominaj o tym, że w Anglii jest bardzo wielu heretyków. Jest on zapewne jednym z wielu posłańców kursujących z jednego brzegu kanału La Manche na drugi. Grozi mu, że prędzej czy później zostanie schwytany i osadzony w Tower w Londynie.

- Rzeczywiście, kiedy majaczył, wymienił nazwę jakiejś wieży.

- Sam widzisz, że nasze domysły nie są dalekie od prawdy -- ciągnął opat. Przyniósł do łóżka krzesło i usiadł.

- To niesamowite - powiedziałem. Senność zupełnie mnie opuściła.

Śluchając sugestywnych opowieści Melaniego, poczułem onieśmienie i zarazem ożywienie. Ja, zwykły posługacz w gospodzie, mogłem sobie wyobrazić dawne zbrojne konflikty władców Europy.

- Panie Atto, kim właściwie jest książę Wilhelm Orański? - spytałem.

- Wielkim żołnierzem zadłużonym po uszy - odparł sucho opat. - A poza tym jego życie jest zupełnie bezbarwne i nieciekawe, podobnie zresztą jak on sam.

- Książę bez grosza? - spytałem z niedowierzaniem.

- Otóż to! Gdyby księciu Oranii nie brakowało ciągle pieniędzy, dawno przejąłby tron Anglii siłą.

Milczałem zamyślony.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że Bedfordi jest zbiegiem - odezwałem się po chwili.

- Nie tylko on. Jest jeszcze jedna osoba, która przybyła z daleka, rów-

niez z nadmorskiego miasta - rzekł Melani z drwiącym uśmieszkiem, pochylając się nisko nade mną.

- Wenecjanin Brenozzi! - wykrzyknąłem, podnosząc gwałtownie głowę. Niechący uderzyłem opata w jego długi nos, aż jęknął.

- Właśnie - potwierdził, rozcierając bolące miejsce.

- Skąd pan wie?

- Gdybyś uważniej go słuchał, a przede wszystkim gdybyś lepiej znał życie, z pewnością zwróciłbyś uwagę na pewien podejrzany fakt - odparł opat cichym głosem.

- Mówił, że jego kuzyn...

- Daleki kuzyn - rzekł opat z naciskiem - zamieszkały w Londynie, miał nauczyć Brenozziego angielskiego, pisując do niego listy. Nie sądzisz, że to mało prawdopodobne?

Melani przypomniał mi, że któregoś dnia weneccjanin zatrzymał mnie na schodach i wypytywał, co wiem na temat oblężenia Turków i epidemii dżumy w Wiedniu, a później wspominał coś o margerytkach.

Nie chodziło mu o kwiaty - ciągnął Melani lecz o najcenniejszy skarb Najjaśniejszej Republiki Wenecckiej, którego władze Wenecji strzegą jak oka w głowie i z powodu którego Brenozzi ma teraz kłopoty. Na wyspach laguny mieszczą się manufaktury szkła i pereł, nazywanych z łaciny margerytkami. Tajniki produkcji tych wyrobów są przekazywane z pokolenia na pokolenie.

- A zatem Brenozzi, mówiąc o margerytkach, miał na myśli perły! - wykrzyknąłem olśniony. - Ile mogły być warte?

- Nawet sobie tego nie wyobrażasz! Gdybyś odbył choć jedną dziesięcią podróży, które ja odbyłem, wiedziałbyś, ile krwi przelali, i jeszcze przeleją, weneccjanie z powodu klejnotów z Murano oznajmił Melani, siadając przy biurku.

Zgodnie z tradycją wytwórcy wyrobów szklanych i ich pomocnicy jesienią mieli wakacje. Przerwa w pracy manufaktury służyła odnowieniu pieców do produkcji szkła. Wielu rzemieślników miało jednak kłopoty finansowe z powodu długów lub braku zamówień. Pod pozorem podróży za granicę w celach handlowych uciekali z Wenecji. W Paryżu, Londynie, Wiedniu, Amsterdamie, a nawet w Rzymie czy Genui, znajdowali hojniejszych zleceniodawców i mniejszą konkurencję.

Ucieczki wytwórców szkła nie podobały się sędziom z wenecckiej Rady Dziesięciu, którzy nie chcieli stracić kontroli nad dziedziną przynoszącą duże wpływy do kas dożów. Zwrócili się o pomoc do państwowych in-

kwizytorów. Inspektorzy tych służb bez trudu odgadywali, który z niezadowolonych ze swego losu rzemieślników będzie próbował szczęścia gdzie indziej. Wystarczyło uważnie obserwować werbowników przysłanych z innych państw. Werbownicy byli przez cały czas śledzeni i prowadzili inkwizytorów prosto do tych, którzy chcieli zbiec. Zagraniczni wysłannicy narażali własne życie, o czym świadczy to, że często znajdowano ich w kanałach z poderżniętym gardłem.

Wenecjanie, którzy zdołali wydostać się z miasta, byli tropieni również za granicą. Republika Wenecka miała swoich szpiegów w całej Europie. Starali się oni namówić zbiegów do powrotu, na początek obietnicami i pochlebstwami. Tym, którzy złamali prawo (a nawet dopuścili się morderstwa), przyrzekano amnestię, a zadłużonym umorzenie spłaty.

- I co, wracali?

- Chciałeś powiedzieć „wracają”, ponieważ dramat rzemieślników trwa do dziś.

Tych, którzy nie przyjęli propozycji złożonych w imieniu Najjaśniejszej Republiki - ciągnął opat - nieoczekiwanie zostawiono w spokoju. Wysłannicy przestali dręczyć ich ciągłymi wizytami i propozycjami, a wszystko po to, aby trzymać zbiegów w niepewności. Po pewnym czasie zaczynały się pogrożki, śledzenie, niszczenie nowych manufaktur, które wenecjanie wnieśli na obcej ziemi kosztem wielu wyrzeczeń.

Jedni posłusznie wracali, drudzy uciekali jeszcze dalej na północ, zabierając ze sobą tajemnice rzemiosła. Byli i tacy, którzy pozostawali na miejscu, odmawiając powrotu. Właśnie przeciw tym ostatnim obracała się wściekłość inkwizytorów. Przechwytywali prywatne listy rzemieślników do krewnych w Wenecji i grozili im, ich żony były śledzone i karane za choćby zbliżanie się do mołu.

Niepokornych wypędzano z Wenecji i zsyłano na wysepkę Murano. Na wenecjanina, który nie wyrażał zgody na przesiedlenie, nasyłano najemnych morderców. Zdaniem inkwizytorów zabicie jednego buntownika służyło za przykład stu innym. Siepacze posługiwali się zarówno sztyltem, zapewniającym szybką śmierć, jak i trucizną.

- Oto dlaczego nasz Brenozzi jest taki przerażony - podsumował opat Melani. - Życie wytwórcy szkła, lusterek czy pereł, który zbiegł z Wenecji, staje się prawdziwym piekłem. Wszędzie widzi zabójstwa i zdrady, śpi z otwartymi oczami, a na ulicy bacznie rozgląda się na wszystkie strony. Brenozzi z pewnością miał okazję poznać okrutne metody inkwizytorów.

- A ja, naiwny, przestraszyłem się opowieścią Cristofana o magicz-

nych właściwościach moich pereł! - wykrzyknąłem zawstydzony. - Teraz rozumiem, dlaczego Brenozzi spytał mnie, czy trzy perełki wystarczą. Chciał kupić moje milczenie!

- Wyrazy uznania! Domyśliłeś się.

- Czy nie dziwi pana, że w naszej gospodzie przebywają aż dwaj uciekinierzy? - spytałem, mając na myśli Brenozziego i Bedfordiego.

- Nie. W ostatnich latach z Londynu i Wenecji zbiegło wiele osób. Prawdopodobnie twój pryncypał nie jest donosicielem, podobnie jak poprzednia właścicielka Luigia Bonetti. Gospoda „Donzello” uważana jest za bezpieczne miejsce, gdzie można się schronić na wypadek poważnych kłopotów. O istnieniu takich miejsc zbiedzy dowiadują się pocztą pantoflową. A trzeba ci wiedzieć, że świat pełen jest ludzi, którzy pragną uciec od przeszłości.

Słuchając słów opata, wstałem z łóżka i wyjąłem z torby buteleczkę z syropem, który lekarz kazał mi podać Melaniemu. Wlałem trochę płynu do miseczki, a on go posłusznie wypił. Następnie wstał i zaczął robić porządek na biurku, podśpiewując:

In questo duro esilio.. .\*

Nie mogłem wyjść z podziwu, że Atto Melani zawsze odnajdywał taką arię, której słowa doskonale pasowały do konkretnej sytuacji. Musiał bardzo dobrze pamiętać i szanować - pomyślałem - swojego rzymskiego nauczyciela, mistrza Luigiego, jak o nim mówi.

- Niestety Brenozzi jest więc wystraszony - ciągnął Melani.

Być może ponownie poprosi cię o pomoc. - Spojrzał na mnie i powiedział: - Masz czoło pobrudzone olejem, mój chłopcze.

Wytrzeł go palcem, przyłożył do ust i oblizwał.

- Myśli pan, że trucizna, od której zginął de Mourai, ma coś wspólnego z Brenozzim? - spytałem.

- Jestem pewien, że nie - odparł z uśmiechem. - Myślę jednak, że Brenozzi żywi taką obawę.

- Ale dlaczego pytał mnie o oblężenie Wiednia? ;

- Wiesz, gdzie leży Najjaśniejsza Republika Wenecka?

- Blisko cesarstwa, to znaczy na południu...

- Dość! Jeśli Wiedeń skapituluje, Turcy przedrą się na południe Europy i zajmą między innymi Wenecję. Brenozzi przez dłuższy czas przeby-

Na tym trudnym wygnaniu...

wał w Anglii, gdzie poznał język z praktyki, a nie z listów. Teraz chciałby wrócić do Wenecji, ale uznał, że jeszcze nie pora.

- Boi się Turków.

- Otóż to! Przyjechał do Rzymu z nadzieją, że otworzy tu niewielką manufakturę i będzie bezpieczny. Zorientował się jednak, że Wieczne Miasto również jest zagrożone. Jeśli Turcy zdobędą Wiedeń, po Wenecji zajmą księstwo Ferrary, następnie ziemie Romanii, księstwa Urbino i Spoleto, a pokonawszy łagodne wzgórza Umbrii, dotrą do...

- Do nas - wtrąciłem przerażony, po raz pierwszy uświadamiając sobie grożące nam niebezpieczeństwo.

- Nie muszę chyba mówić, co by się stało w takiej sytuacji - powiedział Atto. - W porównaniu z tym, co nas ewentualnie czeka, grabież Rzymu sprzed półtora wieku była niewinnym zdarzeniem. Turcy spustoszyliby Państwo Kościelne, dając upust swojemu wrodzonemu okrucieństwu. Bazyliki i kościoły, począwszy od Bazyliki Świętego Piotra, zostałyby zrównane z ziemią, księża, biskupi i kardynałowie pomordowani, krzyżyki i inne symbole wiary spalone. Ludność zostałaby ograbiona, kobiety zgwałcone, miasta i wsie całkowicie zniszczone. Po upadku Rzymu Turcy zagroziliby całemu światu chrześcijańskiemu.

Po zajęciu Lacjum armia niewiernych załapała Toskanię, księstwo Parmy, republikę Genui, księstwo Sabaudii, wtargnęła do Francji (kiedy opat mówił te słowa, na jego twarzy malował się strach), podążając w kierunku Marsylii i Lyonu. Stamtąd Turcy mogliby, przynajmniej teoretycznie, skierować się na Wersal.

Na skutek dramatycznej wizji opata ogarnęło mnie głębokie przygnębienie. Pożegnałem się pod byle pretekstem, złapałem torbę i wbiegłem na trzecie piętro. Zatrzymałem się przed schodkami na wieżyczkę.

Ze wzburzenia zacząłem mówić sam do siebie: Jestem więźniem gospody, gdzie prawdopodobnie panuje epidemia dżumy. Dopiero co usłyszałem słowa pocieszenia od lekarza, którego zdaniem mam silny organizm, odporny na choroby, a już opat Melani przestraszył mnie wizją Rzymu podbitego przez krwiożerczych wyznawców Mahometa. Dotąd mogłem liczyć jedynie na dobroć pana Pellegrina, który ocalił mnie przed nędzą. Teraz pozostał mi opat Melani, kastrat i szpieg, osoba z pewnością nie bezinteresowna. Opat udzielił mi wprawdzie wielu nauk, ale jego towarzystwo napawa mnie lękiem. A pozostali goście? Porywcy jezuita,



ponury i stroniący od ludzi szlachcic z Marche, opryskliwy francuski gitarzysta, toskański medyk wyznający zawile, a nawet niebezpieczne teorie, wenecki rzemieślnik uciekinier, rzekomy poeta z Neapolu, wreszcie Bedfordi, podobnie jak mój pryncypał, złożony chorobą. Nigdy dotąd nie czułem się taki samotny.

Nagle moja przyciszona rozmowa z samym sobą została przerwana, straciłem oparcie i upadłem. Kiedy spojrzałem w górę, ujrzałem twarz gościa, o którego istnieniu zupełnie zapomniałem.

- Przestraszyłeś mnie, głuptasie.

Clordia, zaniepokojona dziwnymi szmerami (opierałem się plecami o drzwi jej pokoju), otworzyła je gwałtownie, a ja wpadłem do środka. Podniosłem się i szybko wytarłem twarz mokrą od łez, nawet nie próbując przeproszać.

- A poza tym - dodała - są gorsze nieszczęścia niż dżuma i Turcy.

- Słyszała pani, co mówiłem? spytałem zdziwiony.

- Nie pora na popłakiwanie i rozczulanie się nad sobą - zbesztala mnie. - Grozi nam epidemia dżumy, a w Rzymie wszystkim w tych dniach śnią się Turcy, którzy wkraczają do miasta przez Porta del Popolo. Nie powinienes się mazgać!

Podawała mi pół kieliszka wódki i anyżkowy obwarzanek. Przysiadłem nieśmiało na brzegu wysokiego łóżka.

Nie, nie tam.

Podniosłem się, ale uczyniłem to tak niezgrabnie, że zawartość kieliszka wylałem na dywan i upuściłem obwarzanek na łóżko. Clordia wcale mnie za to nic skrzyczała, co w podobnych okolicznościach zwykł czynić pan Pellegrino i goście (z wyjątkiem opata Melaniego, który był wobec mnie bardziej pobłażliwy).

Stojąca przede mną młoda kobieta była jedyną osobą, o której właściwie nic nie wiedziałem. Widywaliśmy się tylko wtedy, gdy zanosilem jej posiłki lub gdy przekazywała mi zapieczętowane bileciki, z prośbą, bym dostarczył je adresatowi. Przysyłała do mnie swoje kolejne służące, bym je poinformował, skąd czerpać wodę. Nie miałem pojęcia, jak wygląda jej życie w wieżycze, gdzie przyjmowała gości, którzy wchodzili osobnym wejściem.

Clordia nie była nierządnicą, lecz bogatą kurtyzaną. Kim jest prawdziwa kurtyzana i w jakich wyrafinowanych sztukach celuje?

Wszyscy doskonale wiedzieli, że łącznie z gorącą parą, wprowadzone w Rzymie przez pewnego Niemca, służą do usuwania z organizmu, wraz z potem, szkodliwych substancji. Prowadziły je najczęściej prostytutki

(jedna z takich łaźni, najstarsza i najsłynniejsza w Rzymie, znajdowała się w pobliżu gospody i nosiła nazwę Łaźni Kobiet). Każdy, nawet ja, wiedział, jakie interesy mężczyźni załatwiają pod kościołem SanfAndrea delie Fratte i Santa Maria in Via albo przy via Giulia, i że podobny „handel” odbywa się nawet w salach parafialnych kościoła Santa Maria in Monterone. Papieże dawno temu zabronili duchownym mieszkać pod jednym dachem z nierządnicami, ale ich zakazy często były po prostu ignorowane. Panie podejrzanego konduity nosiły imiona łacińskie: Lukrecja, Kornelia, Medea, Pentesileja, Flora, Diana, Wiktoria, Polyksena, Prudencja czy Adriana, albo przybierały pseudonimy, na przykład Księżna, Wielebna, Dzikuska, Smeralda. Nikt nie pytał, jaka była prawdziwa natura Kremowej Pianki, skąd się wziął przydomek Brzemiennej ani czym trudniła się Lukrecja Niedbała.

Nad czym tu się zastanawiać? Ponad sto lat temu ktoś dokonał klasyfikacji tych kobiet, dzieląc je na następujące kategorie: prostytutki, dziwki, kurtyzany, pracujące przy lampie, pracujące przy świecy, zazdrośnice, kobiety stronnice, skrzywdzone przez los, a w niektórych żartobliwych przyśpiewkach wspomniano też o prostytutkach niedzielnych, świętoszkowatych, gwelfkach, gibelinkach i o setkach innych. Ile ich było? Wystarczająco dużo, żeby papież Leon X, na czas naprawy ulicy prowadzącej do Piazza del Popolo, ustanowił podatek, który miały płacić kobiety lekkich obyczajów zamieszkałe w pobliżu placu. Za panowania Klemensa VII na dziesięciu rzymian przypadła jedna prostytutka. Święty Augustyn miał rację, twierdząc, że gdyby nie było kobiet uprawiających nierząd, szerzyłoby się wyuzdanie.

Kurtyzany były szczególnym rodzajem nierządnic, ponieważ dzięki nim miłosne igraszki stawały się bardziej wysublimowane. Pod względem bystrości umysłu mogli się z nimi mierzyć nie kupcy czy żołnierze, lecz ambasadorzy, książęta i kardynałowie. W dziedzinie poezji rywalizowały z mężczyznami kurtyzany: Gaspara Stampa, autorka wierszy lirycznych dedykowanych Collatinowi di Collalto; Veronica Franco, która w poezji szła w zawody z możliwymi z rodu Venier; Imperia, królowa rzymskich kurtyzan, pisząca madrygały i sonety, kochana przez wybitnych przedstawicieli kultury, takich jak Tommaso Inghirami, Camillo Porzio, Bernardino Capella, Angelo Colocci czy niezwykle zamożny Agostino Chigi. Pozowała Rafaelowi i była rywalką samej Fornariny (Imperia popełniła samobójstwo, ale przed śmiercią wypowiedziała się i papież Juliusz II odpuścił jej wszystkie grzechy. Agostino Chigi wzniósł jej pomnik). Słynna Mojamamanieżycysobie, nazwana tak, ponieważ w mło-

dości odmawiała swoich wdzięków i była cnotliwa, znała na pamięć całego Petrarke, Boccaccia, Wergiliusza, Horacego i setki innych poetów.

Kobieta stojąca przede mną należała, jak mówił Piętro Aretino, do tego rodzaju bezwstydnie, które śmiało kroczyły ulicami Rzymu, w przeciwieństwie do dam przemykających w sukniach zapiętych po samą szyję i szepczących *Ojczyźnie nasz*.

- Powróżyć ci? - zapytała Cloridia. - Uprzedzam, że moje przepowiednie nie zawsze są dobre.

Milczałem zaskoczony. Nie wiedziałem, że ta kobieta potrafi odczytywać przyszłość.

- Nie znam się na gwiazdach - ciągnęła - ale mogę powróżyć ci z ręki. A może miałeś jakiś sen i chcesz się dowiedzieć, co on oznacza? Nie mów tylko, że wpadłeś do mnie bezinteresownie - zażartowała - bo ci nie uwierzę. Nikt nie przychodzi do Cloridii tak po prostu.

Byłem zaciekawiony, podniecony i jednocześnie niezdecydowany. Przypomniało mi się, że również jej miałem przekazać lekarstwa od Crisstofana, ale postanowiłem, że uczynię to później. Skorzystałem z okazji i opowiedziałem Cloridii koszmarny sen, w którym spadałem do ciemnej otchłani pod gospodą.

- To trochę niejasne - skomentowała Cloridia, potrząsając głową. - Pierścień był ze złota czy z jakiegoś innego metalu?

- Nie wiem.

- Wobec tego trudno mi będzie zinterpretować twój sen. Pierścień z żelaza oznacza coś pozytywnego, ale osiągniętego z trudem, a złoty - dużą korzyść. Trąbka symbolizuje sekret, ukryty lub ujawniony. Być może Devize skrywa jakąś tajemnicę. Wiesz coś na ten temat?

- Nie, wiem tylko, że wspaniale gra na gitarze odparłem, wspominając cudowne melodie, które słyszałem w jadalni.

- Gdybyś wszystko o nim wiedział, Devize nie miałby żadnych tajemnic - powiedziała z uśmiechem Cloridia. - W twoim śnie był też Pellegrino, najpierw zmarły, później żywy. Zmarli, którzy zmartwychwstają, zapowiadają cierpienia i straty. Podsumujmy więc: pierścień, tajemnica, zmarły powracający do życia. Jak już mówiłam, znaczenie snu zaciemnia ten pierścień.

- A zatem czeka mnie jakieś nieszczęście.

- Niekoniecznie. Pellegrino w twoim śnie był chory, ale żył. Choroba oznacza lenistwo i brak zajęcia. Być może przejmujesz się, że odkąd Pel-

legrino zachorował, zaniedbujesz swoje obowiązki. Nie obawiaj się - powiedziała Cloridią, wyjmując z koszyczka kolejny obwarzanek - nie powiem pryncypałowi, że się lenisz. Powiedz mi, co się dzieje na dole. Pomijając nieszczęsnego Bedfordiego, wszyscy inni cieszą się chyba dobrym zdrowiem? - spytała i dodała: - Co słyhać u Pompea Dulcibeniego? Pytam, bo jest najstarszy...

Cloridią zapytała mnie w końcu o Dulcibeniego. Odsunąłem się gwałtownie i posmutniałem. Młoda kobieta domyśliła się powodu mojej reakcji.

- Nie musisz się bać! - uspokajała, przyciągając mnie do siebie i wichrząc mi pieszczotliwie włosy. - Jak na razie nie choruję na dżumę.

W tej samej chwili przypomniałem sobie o mojej roli pielęgniarsza i poinformowałem Cloridię, że Cristofano kazał mi podać gościom gospody środki chroniące przed chorobą. Rumieniąc się, dodałem, że w jej przypadku jest to maść fiołkowa mistrza Giacoma Bortolotto z Parmy, którą mam posmarować jej plecy i boki.

Cloridią zamilkła, ja zaś powiedziałem z nieśmiałym uśmiechem:

- Jeśli pani woli, mam też ampułki Orsolina Pignuolo z Pontremoli. Możemy zacząć od nich, jako że w pani pokoju jest kominek.

- Zgoda - odparła. - Byle to nie trwało zbyt długo.

Usiadła przy toalecie. Odkryła plecy i zebrała włosy w biały muślinowy czepek z kokardkami. Ja tymczasem podsycałem ogień i przelożyłem do miski trochę żaru z paleniska, myśląc z drzeniem o nagim ciele, które ogrzewało się przy tym kominku w chłodne wrześnieowe noce.

Podszedłem do Cloridii, która z głową przykrytą dwiema warstwami lnianego ręcznika przypominała postać świętej.

- Chleb świętojański, mirra, kadzidło, styrakowiec, antymon, wymieszane w delikatnej wodzie różanej - wyrecytowałem zgodnie z notatkami Cristofana, po czym postawiłem na stoliku przed Cloridią miskę z żarem i wrzuciłem do niego zawartość ampułki. Wierzchni ręcznik opuściłem Cloridii na twarz. - Proszę oddychać przez otwarte usta. - W jednej chwili pokój wypełnił się ostrym zapachem.

- Turcy stosują opary lecznicze lepsze od tych - wymruczała.

- Ale my nie jesteśmy Turkami... jeszcze - zazartowałem.

- Uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała, że jestem Turczynką? - spytała wesoło.

- Nie.

- A to dlaczego?

- Bo pani urodziła się w Holandii w...

- Amsterdamie, tak jest! Skąd o tym wiesz?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ponieważ o pochodzeniu Cloridii dowiedziałem się przed kilkoma dniami, podsłuchawszy jej rozmowę z nieznanym gościem, kiedy zanosilem do pokoju w wieżycze koszykowców.

- Pewnie powiedziała ci o tym moja służąca. Tak, przyszedłam na świat w kraju heretyckim, prawie dziewiętnaście lat temu, ale nigdy nie byłam zwolenniczką Kalwina ani Lutera. Nie znałam matki, mój ojciec był kupcem włoskim, bardzo bogatym, kapryśnym, wiele podróżował.

- Pani to ma szczęście! - stwierdziłem z zazdrością, mając na myśli moją własną pozycję.

Cloridia zamilkła, głośno wdychając lecznicze wonie. Zakasłała.

- Jeśli kiedyś będziesz miał do czynienia z włoskimi kupcami, pamiętaj, że oni myślą tylko o swoich korzyściach, innych wpędzają w długi.

Później zrozumiałem, że miała rację. W przeszłości najlepszymi kupcami byli Lombardczycy, Toskanczycy i Wenecjanie, zdobywając, jak to się mówi w żargonie wojskowym, najbogatsze rynki Holandii, Flandrii, Niemiec, Rosji i Polski. Poza tym prześcigali wszystkich w braku skrupułów.

Kupcy ci, jak mówiła Cloridia (a ja miałem się o tym za jakiś czas przekonać), pochodzili w większości ze słynnych rodów, takich jak Buonvisi, Arnolfini, Calandrini, Cenami, Balbani, Balbi, Burlamacchi, Parenzi i Samminiati, które od niepamiętnych czasów zajmowały się handlem tkaninami i zbożem w Antwerpii. Przedstawiciele niektórych rodzin byli bankierami i maklerami w wymianie z Amsterdamem, Besancon oraz Lyonem. W Amsterdamie Cloridia mogła przyjrzeć się z bliska Tensinim, Verrazzanom, Balbim, Quingettim, a także Burlamacchim i Calandrinim, działającym także w Antwerpii. Genueńczycy, florentyńczycy i weneccjanie - wszyscy byli kupcami, bankierami i maklerami, a także agentami handlowymi księstw i republik włoskich.

- I wszyscy handlowali zbożem? - spytałem, opierając się łokciami o stolik.

Słuchając opowieści Cloridii, puściłem wodze fantazji. Wyobraziłem sobie nieznaną ziemię na północy, o których nic nie wiedziałem, nawet gdzie dokładnie leżą.

- Nie tylko, przecież mówiłam. Pożyczali i do dziś pożyczają pieniądze, handlują. Tensini, na przykład, są agentami ubezpieczeniowymi, wynajmują statki, kupują kawior, łój i futra w Rosji, a carowi dostarczają lekarstw. Obecnie niemal wszyscy znani kupcy włoscy są bardzo bogaci,

ale wielu z nich na początku było zwykłymi biedakami, niektórzy zaczęli od wyrobu i sprzedaży piwa, inni farbowali tkaniny...

- Produkowali piwo? - spytałem z niedowierzaniem, dziwiąc się, że na piwie można dorobić się fortuny. Pochyliłem się nad stolikiem, bliżej Cloridii. Odwagi dodała mi myśl, że z twarzą zasłoniętą ręcznikiem nie mogła mnie widzieć.

- Oczywiście! Na przykład Bartolotti, którzy mają najpiękniejszy dom nad Heerengracht, są największymi bankierami w Amsterdamie i udziałowcami Kompanii Indyjskiej.

Clordia powiedziała mi też, że z Holandii, a właściwie z Republiki Zjednoczonych Prowincji, jak brzmiała oficjalna nazwa państwa, trzy razy do roku wypływają statki z żywnością, złotem i innymi towarami do Indii. Po wielu miesiącach powracają z przyprawami, cukrem, saletrą, jedwabiem, perłami, muszlami. Kupcy wymieniają chiński jedwab na japońską miedź, tkaniny na pieprz, słońce na cynamon. Panowie i możni Amsterdamu przeznaczają duże sumy pieniędzy na skompletowanie żagli i uzbrojenie *fluit* (tak nazywały się szybkie statki Kompanii Indyjskiej). Na sprzedaży towarów przywiezionych z zamorskich krajów często (ale nie zawsze) zarabiają krocie. Zgodnie z religią heretycką nagrodą dla tych, którzy ciężko pracują, pomnażają swoje dochody, nie trwonią majątku, są przy tym skromni i uczciwi, jest raj.

- Bartolotti są heretykami?

- Na fasadzie ich domu widnieje inskrypcja: Religione et Probitate. Oznacza to, że są zwolennikami Kalwina...

Nie mogłem się skupić nad słowami Cloridii, gdyż od woni wypełniającej pokój kręciło mi się w głowie.

- Co to znaczy makler? - spytałem, kiedy się nieco ocknałem. Ze słów Cloridii wynikało bowiem, że wielu kupców trudniło się tym dochodowym zajęciem.

- To osoba, która pośredniczy między tym, kto udziela pożyczki, a tym, kto ją zaciąga.

- Czy to dobry zawód?

- Jeśli pytasz, czy zajmują się nim dobrzy ludzie, to różnie bywa. Na pewno jest to zawód, na którym można się wzbogacić, a ludzie zamożni stają się jeszcze zamożniejsi.

- A zatem najbogatsi są maklerzy i ludzie wynajmujący statki?

Clordia zniecierpliwiała się.

- Mogę już wstać?

..! (. . . ' ' i " \ W // # . . "

- Nie, pani Cloridio, musi pani wytrzymać, dopóki znad żaru unosi się dym.

Nie chciałem przerywać naszej rozmowy. Delikatnie pogłaskałem ją po głowie okrytej ręcznikiem. Na szczęście nic nie zauważyła.

Cloridia westchnęła. Moja naiwność i nieznajomość życia (oraz okoliczności, których nie mogłem znać) skłoniły ją do dłuższej przemowy. Wyraziła swoją opinię o bankierach, których bogactwo jest źródłem wszelkiej niktzemności i zła (w tym miejscu Cloridia użyła nieco dobitniejszych słów), oraz o lichwiarzach i maklerach pożyczających pieniądze królom i papieżom.

Teraz, kiedy nie jestem już taki łatwowierny, muszę przyznać, że Cloridia miała rację. Wiem na przykład, że Karol V kupił tytuł cesarza za pieniądze od bankierów o nazwisku Fugger, a nierozważni władcy Hiszpanii, często zaciągający pożyczki od genueńczyków, musieli ogłosić bankructwo, które doprowadziło do ruiny wielu hiszpańskich bankierów. Nie mówiąc już o kontrowersyjnym Orazio Pallavicinim, który płacił za wydatki królowej Anglii Elżbiety, czy o tokańskich rodach Frescobaldich i Ricciardich, którzy już w czasach Henryka VI udzielali pożyczek Koronie angielskiej i pobierali dziesięciny w imieniu papieża.

Cloridia podniosła się i zdjęła ręcznik i czepek z głowy, a ja odskończyłem od niej, czerwony ze wstydu.

Ujrzałem Cloridię jakby w innym świetle. Skłonny byłem wymazać z pamięci to, co o niej wiedziałem (a przede wszystkim to, czego jeszcze nie wiedziałem, a co mogło być godne zapamiętania). Patrzyłem na ciemną, delikatną karnację jej ciała, kontrastującą z kręconymi blond włosami, w typie weneckim. Doskonale wiedziałem, że piękny kolor włosów Cloridia zawdzięcza osadowi z białego wina i oliwie z oliwek, lecz nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia. Podziwiałem jej podłużne czarne oczy, ładny, lekko zadarty nos, zęby jak perły, rozchyłone w uśmiechu wargi, z odrobiną szminki kryjącej ich bladość, drobną, zgrabną sylwetkę, śnieżnobiałe jędrne piersi, ramiona godne dłuta Berniniego, a przynajmniej tak mi się zdawało *et satis erat*. Podobał mi się jej donośny głos, nieco odmieniony w przyływie złości, wzbudzający we mnie lubieżne pragnienia, niskie żądze, barwne marzenia, ekscytujące wizje, które sprawiały, że czułem się jakby niewidzialny, spowity mgłą pożądania. Cloridia wydawała mi się wspanialsza od Madonny Rafaela, bardziej natchniona niż myśl Teresy z Avila, bardziej zadziwiająca niż wersy kawalera Marino, śpiewniejsza od madrygału Monteverdiego, bar-

dziej zmysłowa niż dystychy Owidiusza i bardziej pociągająca niż cały tom Fracastora. Myślałem w duchu, że Cloridii nie dorównują inne kurtyzany, poetka Imperia, Weronika czy Mojamamanieżycysobie (choć sprawiło mi przykrość, że upadłe pracownice Łaźni Kobiet, kilka metrów od gospody, gotowe były uczynić wszystko, także dla mnie, za jedyne dwa skudy).

Słuchając Cloridii, zastanawiałem się, dlaczego przedtem, gdy przynosiłem do wieżyczki dzbany z gorącą wodą, odczuwałem obojętność na myśl, że zanurzy się naga w kąpeli, a służąca będzie nacierać jej odsłonięty kark wodą lawendową z talkiem, podczas gdy teraz ta sama myśl rozpałała moje ciało.

Snując podobne rozważania, nie dostrzegłem (dopiero później zdałem sobie z tego sprawę), jak dziwnie brzmiały w ustach córki kupca i kurtyzany słowa oburzenia skierowane przeciw kupcom właśnie i pieniądзом.

Z zamyślenia wyrwało mnie pukanie do drzwi. Okazało się, że Cristofano, którego Cloridia zaprosiła uprzejmie do środka, wszędzie mnie szukał. Potrzebował mojej pomocy, ponieważ musiał przygotować napar dla Brenozziego, który skarżył się na silny ból zębów i prosił o jakieś lekarstwo. Z żalem przerwałem rozmowę z jedyną kobietą w gospodzie.

Kiedy się żegnaliśmy, miałem nadzieję dostrzec na twarzy Cloridii choć cień smutku wywołanego rozstaniem. Na jej ręce, gdy zamykała drzwi, zauważyłem dużą bliznę, biegnącą od nadgarstka przez wierzch dłoni.

Cristofano zaprowadził mnie do kuchni i polecił odnaleźć nasiona, zioła oraz nową świeczkę i podgrzać trochę wody w garnku, podczas gdy on rozcierał i przesiewał przez sito składniki. Kiedy woda była wystarczająco ciepła, wrzuciliśmy do niej ziołowy proszek, który wypełnił pomieszczenie przyjemną wonią. Rozpalając ogień do przygotowania naparu, zapytałem lekarza, czy to prawda, że białe wino czyści i wybiela zęby.

- Oczywiście! Pod warunkiem, że do wina dodasz kaolin i otrzymaną pastą natrzesz zęby i dziąsła, najlepiej kawałkiem szkarłatu, jak ten na łóżku Cloridii.

Udałem, że nie rozumiałem aluzji, i szybko zmieniłem temat. Zapytałem Cristofana, czy mówią mu coś nazwiska jego ziomeków: Calandrinich, Burlamacchich, Parenzich (wielu nazwisk nie zapamiętałem). Kiedy wsypywałem do garnka proszek z ziół i wosku, powiedział, że niektóre



z tych nazwisk były dobrze znane w Toskanii (choć wiele rodów już wygasło). Jako medyk osobiście poznał kilka rodów. Burlamacchi i Calandrini z Lukki dawno temu przeszli na kalwinizm, a ich dzieci i wnuki przeniosły się do Genewy, następnie do Amsterdamu. Benzi i Tensini parali się handlem z Holandią, gdzie kupili ziemie, wille i pałace; w Toskanii nazywano ich *infiamengati*.

Clordia mówiła prawdę: Toskańczycy często przyjeżdżali do Antwerpii i Amsterdamu bez środków do życia, na miejscu ucząc się trudnej sztuki handlu. Jedni dorobili się fortun, ożenili się i spowinowacili z tamtejszą arystokracją, drudzy ugięli się pod ciężarem długów i zbankrutowali. Niektórzy zginęli w katastrofie statku, wśród arktycznych lodowców gdzieś pod Archangielskiem lub na wodach Malabaru. Inni, wzbogaciwszy się, w podeszłym wieku powrócili do ojczyzny, gdzie doczekali się zasłużonych zaszczytów. Na przykład Francesco Feroni, skromny farbiarz tkanin z Empoli, dorobił się wielkiego majątku, zaczynając od sprzedawania w Gwinei pościeli, fioletowej serży z Delft, lnia-nego płótna, weneckich pereł, wódki, hiszpańskiego wina i piwa. Kiedy przebywał jeszcze w Republice Zjednoczonych Prowincji, był wybitnym ambasadorem wielkiego księcia Cosima III Medyceusza. Po powrocie do Toskanii wielki książę mianował go swoim głównym skarbnikiem. Feroni zdobył olbrzymi majątek, kupił sobie elegancką willę w okolicy Bellavista i mimo niechęci zawistnych florentyńczyków czuł się szczęśliwy. Jego statek zawiął bezpiecznie do portu.

- Groziła mu katastrofa? - zapytałem.

- Nie, chłopcze - odparł Cristofano. - Miałem na myśli kres jego życiowej podróży. Parający się handlem są narażeni na rozmaite niebezpieczeństwa.

Chciałem poprosić Cristofana, żeby rozwinął ten wątek, ale napar był już gotowy. Zaniósłem go Brenozzemu i zgodnie ze wskazówkami lekarza kazałem wdychać gorące opary, zapewniając, że po tym zabiegu ból zębów z pewnością ustąpi. Poprosiłem go, żeby wystawił później garnek przed drzwiami pokoju, a ja odniosę go do kuchni. Brenozzi oszczędził mi swojej przemowy. Mogłem zatem wrócić do kuchni, by kontynuować konwersację z lekarzem, zanim wróci do swojego pokoju. Na miejscu zastałem, niestety, opata Melaniego.

Z trudem ukryłem rozczarowanie. Chwile spędzone z Clordia, blizna na jej dłoni, jak również jej dosadne słowa skierowane pod adresem kupców sprawiły, że czułem nieprzewartą chęć zadania kilku pytań Cristofanowi, ale on, nie czekając na mój powrót, poszedł do swojego pokoju.

Nie byłem więc zadowolony, kiedy natknąłem się na Melaniego, który beztrzesko przeszukiwał spiżarnię. Zwróciłem mu uwagę, że nie stosując się do zakazu Cristofana, naraża nas na niebezpieczeństwo. Dodałem też, że moim obowiązkiem jest powiadomić o tym lekarza i że pora kolacji jeszcze nie nadeszła, ale zaraz zacznę ją przygotowywać (tu rzuciłem okiem na kromkę chleba, którą Melani trzymał w dłoni), jeśli tylko będę mógł dostać się do spiżarni.

Opat Melani, wyraźnie zakłopotany, odparł, że szukał mnie, aby ze mną porozmawiać o pewnych sprawach, które go zaniepokoiły. Przerwałem mu, stwierdzając, że nie mam ochoty go słuchać, ponieważ wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo, a ja zupełnie nie rozumiem, o co mu tak naprawdę chodzi, i nie zamierzam brać udziału w jego podejrzanych machinacjach. Zażądałem, żeby się wytłumaczył i rozwiał moje wątpliwości. Zanim zdecyduję się mu służyć, chcę wiedzieć, czy pogłoski na jego temat są prawdziwe.

Talent krasowłoczy, który nagle objawiłem, zaskoczył opata Melaniego. Oświadczył, że nikt w gospodzie nie ma prawa bezkarnie go szkalować, i poprosił mnie, bym wyjawiał mu imię plotkarza. Przysiągł, że nie ma najmniejszego zamiaru mnie wykorzystywać. Spytał też, czy już zapomniałem o naszych wspólnych poszukiwaniach złodzieja kluczy i pereł. Przypomniał, że razem mieliśmy odkryć, czy złodziej ma coś wspólnego z zabójstwem pana de Mourai i w jaki sposób wiąże się to - o ile rzeczywiście się wiąże - z wypadkami, które przytrafiły się Pellegrinowi i Bedfordiemu. Na koniec zarzucił mi, że chyba przestałem się obawiać o życie nas wszystkich.

Słuchając długiej przemowy Melaniego, zauważyłem, że zaczął się płatać. Zachęcony poprzednim sukcesem, przerwałem mu zniecierpliwiony. Wracając myślami do Cloridii, zażądałem od Melaniego natychmiastowych wyjaśnień na temat jego przyjazdu do Rzymu i prawdziwych zamiarów.

Domagałem się słów prawdy tak stanowczym tonem, że aż krew zaczęła pulsować mi w skroniach, a na czoło wystąpiły krople potu. Byłem niezmiernie ciekawy reakcji opata, ale nie dałem tego po sobie poznać. Melani, zamiast oburzyć się na moje aroganckie zachowanie, zmienił taktykę i uprzejmie poprosił, byśmy razem usiedli przy stole w kuchni, gdzie wszystko mi wyjaśni. To, co usłyszałem, brzmiało jak bajka. Później, w świetle zaistniałych faktów, zdarzenia, o których opowiedział mi Melani, musiałem uznać za prawdziwe lub bardzo prawdopodobne i opisać jak najwierniej.

Nawiązując do swojej poprzedniej opowieści, opat Melani przypomniał, że w ostatnich dniach sierpnia Colbert ciężko zachorował, a jego stan był tak poważny, że obawiano się najgorszego. Jak zwykle w takich przypadkach, to znaczy, kiedy umiera mąż stanu znający wiele tajemnic, Colbertowi zaczęli składać wizyty przeróżni ludzie, jedni bardziej interesowni, inni mniej. Wśród tych ostatnich był Atto, przed którym, dzięki znakomitym referencjom Arcychrześcijańskiego Króla, drzwi domu ministra były szeroko otwarte. Dworzanie przychodzili, by złożyć hołd umierającemu (lub dać po prostu dowód swojej obecności), i wychodzili. W ogólnym zamieszaniu opat wymknął się z salonu, zmylił strażę i wślizgnął się do prywatnych apartamentów Colberta. Dwukrotnie ryzykował, że znajdzie go służba, ale w porę zdążył się schować - raz za zasłoną, za drugim razem pod stołem.

Gdy niezauważony dotarł do gabinetu, zaczął szperać w listach i papierach leżących na biurku. Dwa razy musiał przerwać poszukiwania, zaalarmowany głosami na korytarzu. Dokumenty, na które zdołał rzucić okiem, wydawały się mało ważne: korespondencja z ministrem wojny, sprawy floty, listy dotyczące francuskich manufaktur, notatki, rachunki, konspekty. Nie znalazł nic ciekawego. Usłyszał, że ktoś zbliża się do drzwi gabinetu. Nie mógł ryzykować. Bał się, że zostanie przyłapany na przeglądaniu po kryjomu dokumentów obłożnie chorego Colberta. Wcisnął do kieszeni plik listów i notatek z szuflady biurka.

- Czy wolno panu było to uczynić? zapytałem.

- Każde działanie jest dozwolone, gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo króla - odparł krótko Melani.

Wyjrzał na korytarz pograżony w półmroku (przybył do domu Colberta późnym popołudniem, kiedy zaczynało się ściemniać) i już miał wyjść z gabinetu, gdy kątem oka dostrzegł szafkę pod oknem, a na niej stertę białych kartek i przenośny pulpit na bogato zdobionej nóżce. Na nim z kolei leżał rulon, przewiązany nowiutkim sznurkiem.

- Wyglądało na to, że są to dokumenty, których nikt jeszcze nie czytał - wyjaśnił Atto.

Bolesna kolka nerkowa trafiła Colberta już od paru tygodni. Od kilku dni minister nie był w stanie wypełniać swoich obowiązków. Oznaczało to, że z powodu niedyspozycji nie zaglądał do dokumentów. Opat w jed-

nej chwili podjął decyzję: odłożył na miejsce papiery, które przedtem schował do kieszeni, i sięgnął po rulon. W chwili gdy brał go do ręki, jego spojrzenie padło na kartki przyciśnięte pulpitem.

- Dobrze miejsce na przechowywanie papieru listowego - szeptąłem, w przekonaniu, że kartki przycisnął pulpitem nierozgarnięty służący.

Opat zdjął pulpitem i podtrzymując go lewym ramieniem, prawą ręką kartkował papiery w nadziei, że znajdzie wśród nich jakiś ciekawy dokument. Zauważył, że kartki mają piękną gładką fakturę, a niektóre z nich kształtem przypominają gwiazdę o nierównych ramionach.

- W pierwszej chwili uznałem to za przejaw starczego dziwactwa „węża”. Później spostrzegłem, że niektóre kartki są lekko pogięte, a jedno ramię gwiazdy jakby lekko natłuszczone smarem. Z zamyślenia wyrwał mnie ból lewego ramienia - ciągnął Atto - które zeszytywniało od ciężaru pulpitu. Kiedy odkładałem go na biurko, brzeg mojego koronkowego rękawa utkwił w zawiasie pulpitu.

Kiedy Melani zdołał wypłatać koronkę, była pobrudzona czarnym smarem. Sprytnie - pomyślał opat w przypływie olśnienia.

Przyłożył czystą gwiazdę z papieru do pobrudzonej i obracając nią, odnalazł właściwe ramię. Włożył je w szparę w pulpicie, ale bez efektu. Spróbował jeszcze raz, na próżno. Gwiazda pogięła się, wziął więc następną. Tym razem wsunął ją bardzo ostrożnie, nastawiając ucha, jak zegarmistrz, kiedy nasłuchuje tykania zegara, który przywrócił do życia. Usłyszał cichy trzask i z nogi pulpitu wysunęła się niewielka szufladka, w której leżała koperta z podobizną węża.

- Żmija! - szeptą Melani, przyglądając się godłu Colberta.

W tej samej chwili usłyszał odgłos szybkich kroków zbliżających się do drzwi gabinetu. Schwycił kopertę, schował się za kotarę i wstrzymał oddech. Ktoś otworzył drzwi, wszedł do środka i powiedział:

- Pewnie już tam jest.

Był to lokaj, który szukał Melaniego, zaniepokojony, że do tej pory nie dotarł do chorego Colberta. Po chwili drzwi gabinetu zamknęły się za lokajem. Opat Melani po cichu wyszedł na korytarz i skierował się do wyjścia. Napotkanemu po drodze lokajowi powiedział z beztróskim uśmiechem, patrząc mu prosto w oczy: „Niedługo będzie zdrów”.

Nikt nie spostrzegł zaginięcia dokumentów, opat mógł je spokojnie przeczytać.

- Proszę wybaczyć, panie Atto - przerwałem mu - ale jak pan doszedł do tego, który róg kartki należało wsunąć w zawias?

- To proste. Wszystkie papierowe gwiazdy nosiły ślady smaru dokład-

nie w tym samym miejscu. „Wąż” popełnił poważny błąd, pozostawiając je na wierzchu. Najwidoczniej w ostatnim czasie stał się nieostrożny.

- Dlaczego sekretna szufladka nie otworzyła się za pierwszym razem?

- Pomyślałem naiwnie, że jest to bardzo prosty mechanizm - powiedział Atto z westchnieniem - który zadziała w chwili, gdy do zawiasu wsunie się odpowiedni klucz, czyli róg kartki przyciętej pod odpowiednim kątem. Nie doceniłem jednak francuskich ebenistów. Zamontowali w pulpicie skomplikowany i bardzo czuły mechanizm. W ruch wprawiało go delikatne dotknięcie kartki o idealnie gładkiej fakturze.

Zaniemówiłem z podziwu.

- Od razu powinienem był się tego domyślić - rzekł Atto, krzywiąc się. - Ramię gwiazdy było pobrudzone nie na końcu, ale wzdłuż.

Intuicja nie zawiodła opata. Przytrafił mu się jeden z najciekawszych przypadków. W kopercie z głową węża (tu opat próbował naśladować wyraz twarzy Colberta) znajdowały się listy pisane po łacinie, nadesłane z Rzymu. Sądząc po stylu i kilku innych szczegółach, nadawcą była osoba duchowna, podpisująca się „Prafat”. Listy pochodziły sprzed wielu lat, bo papier zdążył zżółknąć. Nawiązywały do tajnych wiadomości, które informator przekazał wcześniej adresatowi. Odbiorcą korespondencji był, jak wskazywał dopisek na kopercie, generalny nadintendent finansów Nicolas Fouquet.

- Dlaczego zatem znalazła się w posiadaniu Colberta?

- Jak już mówiłem, w chwili aresztowania Fouqueta skonfiskowano jego dokumenty i całą korespondencję, zarówno prywatną, jak i służbową.

Język tajemniczego „Prafata” był tak zagadkowy, że Melani niewiele zrozumiał. Jeden z listów, nie wiedzieć czemu, zaczynał się od słów *muniarum domino*.

Najciekawsza część opowieści Melaniego miała dopiero nastąpić. Wydarzenia, o których mówił, były wręcz nieprawdopodobne. Kartki, które Atto znalazł na biurku, stanowiły najnowszą korespondencję. Złożony chorobą Colbert jeszcze jej nie przeczytał. Wśród mało istotnych pism znajdowały się dwa listy nadesłane z Rzymu w lipcu i z całą pewnością były adresowane (na co wskazywały formuły grzecznościowe) do samego Colberta. Nadawcą był zaufany człowiek ministra, który informował, że w mieście zauważono obecność wiewiórki na *arbor caritatis*.

- To znaczy?

- Łatwo odgadnąć. Wiewiórka widnieje w herbie Fouqueta, *arbor caritatis* to miasto miłosierdzia, czyli Rzym. Informator donosił, że Fou-

ąqueta widziano w Rzymie w trzech miejscach: nieopodal placu Fiammetta, pod kościołem Sant' Apollinare i na Piazza Navona. O ile się nie mylę, te trzy miejsca znajdują się w Świętym Mieście - zakpił opat.

- Ależ to niemożliwe! - wykrzyknąłem. - Przecież Fouquet zmarł w więzieniu w...

- ...w Pinerolo, tak, trzy lata temu, w ramionach syna, któremu pozwolono pożegnać się z ojcem. Z listów informatora Colberta wynikało jednak wyraźnie, że Fouquet był w Rzymie miesiąc temu.

Opat postanowił osobiście pojechać do Rzymu i wyjaśnić zagadkę. Istniały dwie możliwości: albo wiadomość o obecności nadintendenta w Rzymie był prawdziwa (co kłóciło się z faktami, stary Fouquet zmarł bowiem po długiej chorobie w więzieniu, gdzie przebywał od dwudziestu lat), albo fałszywa, wobec tego należało zbadać, czy ktoś, na przykład nielojalny agent, nie rozgłasza fałszywych wieści, aby rozdrażnić króla i pomóc wrogom Francji.

Kolejny raz zauważyłem, że kiedy Melani opowiada o tajemniczych, zaskakujących wydarzeniach, w jego oczach pojawia się iskierka satysfakcji, jakby znajdował przyjemność w referowaniu ich ubogiemu posługaczowi, nieświadomemu intryg, spisków i tajnych spraw państwa. ;

- Colbert zmarł?

- Tak, ale po moim wyjeździe. To było do przewidzenia, zważywszy na stan jego zdrowia.

Jak się później dowiedziałem, Colbert zmarł 6 września, dokładnie na tydzień przed moją rozmową z opatem Melanim na temat kradzieży listów z gabinetu.

- W oczach wszystkich zmarł jak zwycięzca - dodał Atto po krótkiej przerwie - otoczony bogactwem i sławą. Kupił tytuły szlacheckie i stanowiska dla członków swojej rodziny. Brat Colberta, Charles, został markizem Croissy i sekretarzem stanu do spraw zagranicznych. Drugi brat, Edouard Francois, otrzymał godność markiza Maulevrier i namiestnika wojsk królewskich. Syn Jean Baptiste stał się markizem Seignelay i sekretarzem stanu do spraw marynarki. Pozostałym braciom i synom Colbert ułatwił drogę do kariery wojskowej i kościelnej. Trzy córki wydał bogato za mąż i uczynił księżnymi.

- Ale przecież Colbert obrażał się na Fouqueta, zarzucając mu zbyt bogactwo i obsadzenie swoimi ludźmi wszystkich ważnych stanowisk.

- No tak, ale później sam splamił się nepotyzmem. Umieścił szpiegów

na terenie całego królestwa, przepędzając i niszcząc wszystkich najbliższych przyjaciół nadintendenta.

Domyśliłem się, że Melani miał na myśli swoje wygnanie z Paryża.

- Na tym nie koniec. Colbert zgromadził majątek o wartości ponad dziesięciu milionów liwrow, którego pochodzenie nie wzbudzało jednak niczyich podejrzeń. Tymczasem mój biedny przyjaciel Nicolas zaciągnął długi, żeby uzyskać fundusze dla Mazzariniego i na wojnę z Hiszpanią.

- Colbert był przebiegłym człowiekiem.

- A przy tym pozbawionym skrupułów - ciągnął Melani. - Za przeprowadzenie reform państwowych przejdzie do historii. Cały dwór doskonale jednak wie, że wszystkie pomysły ukradł Fouquetowi: reformy rentowe, majątkowe, zniesienie ceł wewnętrznych, ulgi podatkowe. Nie bez powodu zadbał o to, by spalono wszystkie notatki nadintendenta, w których zawarł plan otwierania dużych manufaktur, przedstawił sposób prowadzenia polityki handlowej i kolonialnej.

Opat wyjaśnił, że pierwszym armatorem i kolonizatorem francuskim był Fouquet, on też podjął się realizacji marzenia kardynała Richelieu, aby z wybrzeża atlantyckiego i zatoki Morbihan uczynić główny ośrodek rozwoju ekonomicznego królestwa. Po zwycięskiej wojnie z Hiszpanią Fouquet odkrył przędzalnię w Maincy, które Colbert przekształcił w manufakturę gobelinów.

- Wkrótce wszyscy zrozumieli, że autorem reform nie był Colbert, który przez dwadzieścia dwa lata piastował stanowisko generalnego kontrolera finansów. Tą nazwą zastąpił, chcąc przypodobać się królowi, oficjalnie zniesiony urząd nadintendenta. Fouquet natomiast pełnił swoją funkcję zaledwie osiem lat. Problem polegał na tym, że „wąż”, dopóki mógł, naśladował swojego poprzednika, odnosząc sukcesy, ale później musiał sam realizować projekty reform wykradzione Fouquetowi w chwili aresztowania. Od tego momentu Colbert zaczął popełniać błędy, zarówno w polityce przemysłowej i handlowej, w której nie miał poparcia ani arystokracji, ani mieszczaństwa, jak i w polityce dotyczącej marynarki. Żadna z jego kompanii okrętowych nie miała długiego życia, nie zdołała też prześcignąć Anglików i Holendrów.

- Czy Arcychrześcijański Król niczego nie zauważył?

- Król starannie ukrywa swoje uczucia, ale zdaje się, że kiedy lekarze uznali Colberta za nieuleczalnie chorego, zaczął rozglądać się za jego następcą. Brał pod uwagę ministrów o zupełnie innym podejściu i charakterze niż Colbert, a kiedy ktoś z otoczenia Jego Wysokości mu o tym napomknął, odparł: „Właśnie dlatego ich wybrałem”.

- Colbert zmarł zatem w niełasce?
- Nie przesadzajmy! Jego ministerstwo stale wyprowadzało z równowagi króla. Colbert i minister wojny Louvois, dwie najgroźniejsze postaci we Francji, drżeli i pocili się ze strachu za każdym razem, kiedy król ich do siebie wzywał. Wprawdzie cieszyli się zaufaniem króla, ale byli jego niewolnikami. Colbert dość szybko zauważył, jak trudne było położenie Fouqueta, który musiał poddać się żądaniom króla, bezustannie domagającego się pieniędzy na wojny i balety.
  - Jak sobie z tym poradził?
  - Bardzo prosto. Zaczął gromadzić w rękach króla bogactwa, które do tej pory należały do kilku zaledwie osób. Zlikwidował liczne urzędy i odebrał renty, ograniczył przejawy luksusu w Paryżu i w całym królestwie, a uzyskany w ten sposób majątek przekazał do skarbcza Korony. Pospólstwo, które wcześniej nie dojadło, teraz przymierało głodem.
    - Czy Colbert był tak potężny jak Fouquet?
    - Znacznie bardziej, chłopcze. Mój przyjaciel Fouquet nigdy nie miał takiej swobody działania, jaką cieszył się Colbert. Ingerował w dziedzinach niepodlegających Fouquetowi, któremu trudno było działać na przykład podczas wojny. Mimo to długi pozostawione przez „węża” były o wiele większe od tych, za które Fouqueta oskarżono o doprowadzenie państwa do ruiny, podczas gdy on dla dobra państwa zrujnował sobie zdrowie.
      - Nikt nigdy nie oskarżył Colberta?
    - Kilkakrotnie dochodziło do skandali, jak w przypadku fałszerstwa pieniędzy, jedyne jak dotąd we Francji, w które zamieszani byli ludzie „węża”, nawet jego krewny, czy kradzież i nielegalny handel drzewem z Burgundii, potajemna wycinka lasów w Normandii. Maczał w niej palce zaufany Colberta Berryer, który podrobił akta procesu Fouqueta. Wszystkie oszustwa służyły zdobyciu pieniędzy dla rodziny.
      - Wiódł zatem szczęśliwe życie.
      - Nie powiedziałbym. Colbert przez cały czas udawał, że jest uczciwy, gromadząc majątek, z którego nie mógł się cieszyć. Był też chorobliwie zazdrosny. Musiał się niezłe namęczyć, żeby wymyślić coś naprawdę mądrego. Jako osoba żadna władzy, wziął na swoje barki kontrolę wszystkich sektorów państwowych, spędzając życie za biurkiem w swoim gabinecie. Nigdy nie bawił się nawet przez godzinę, a mimo to lud go nienawidził. Każdego dnia musiał znosić wybuchy złości króla. Szydzono z niego za ignorancję. I właśnie z tych dwóch ostatnich powodów zginął.



- Co pan ma na myśli?

Opat roześmiał się.

- Wiesz, co doprowadziło do śmierci Colberta?

- Kolka nerkowa.

- Otóż to! A wiesz, dlaczego? Król, doprowadzony do wściekłości nierozwąga Colberta, zwymyślał go.

- Czyżby minister popełnił jakiś błąd w administracji?

- Gorzej. Chcąc naśladować Fouqueta, Colbert wtrącił się do budowy nowego skrzydła Wersalu, narzucając architektom własne zdanie. Oni natomiast nie zdołali wybić mu z głowy bezsensownych pomysłów.

- Nie rozumiem: Colbert zadrezczał się myślą o Fouquecie, mimo że jego poprzednik trzy lata wcześniej został usunięty i osadzony w więzieniu?

- Dopóki nadintendent żył, Colbertowi nie dawała spokoju myśl, że któregoś dnia król zechce go uwolnić i powierzyć dawne obowiązki. „Wąż” stale rozmyślał o swoim poprzedniku, inteligentnym, wykształconym, kochanym i podziwianym przez wszystkich. Wpływowi Colbert doczekał się wielu synów, zdrowych i silnych, którym zapewnił bogactwo, rodzina jego przeciwnika natomiast żyła z dala od stolicy, skazana na wieczną walkę z wierzycielami. „Wąż” nigdy nie pogodził się z niesprawiedliwością matki natury, która tak nierówno rozdzieliła talenty - jemu dała niewiele, a jego rywala Fouqueta hojnie obdarowała.

- Jak przebiegała budowa pałacu w Wersalu?

- Nowe skrzydło runęło. Cały dwór śmiał się z Colberta, a król zrobił mu piekielną awanturę. Okryty hańbą minister dostał ostrego ataku kolki nerkowej. Po wielu dniach cierpień zmarł.

Zaniemówiłem, przerażony mocą bożej zemsty.

- Był pan prawdziwym przyjacielem nadintendenta Fouqueta.

- Ale niestety nie najlepszym.

Usłyszeliśmy skrzypienie drzwi na pierwszym piętrze, a potem kroki zmierzające w kierunku schodów.

- Lepiej już pójść, nadchodzi Nauka - powiedział opat, mając na myśli Cristofana. - Spotkamy się później.

Zbiegł po schodach do piwnicy i czekał, aż lekarz przejdzie. Po chwili widziałem, jak zwinnie przemycił się na górę.

Cristofano poprosił mnie o przygotowanie kolacji, ponieważ goście narzekają, że są już głodni.

- Kiedy schodziłem po schodach, zdawało mi się, że słyszę kroki. Czy ktoś tu był?

- Ależ skąd! Słyszał pan mnie, rozpałałem w piecu - odparłem, hałasując garnkami.

Chciałem zatrzymać lekarza w kuchni, lecz on, usatysfakcjonowany moją odpowiedzią, poszedł do swojego pokoju, jeszcze raz prosząc o szybkie wydanie kolacji. Na szczęście - pomyślałem - polecił mi szykować tylko dwa posiłki dziennie.

Tym razem ugotowałem zupę z bobu, doprawioną czosnkiem, cynamonem i cukrem, z serem i pachnącymi ziołami. Podąłem też suchary i wino rozcieńczone wodą.

Gdy szykowałem kolację, do mojej biednej głowy posługacza cisnęły się różne myśli. Zastanawiałem się nad tym, co opowiedział mi opat Melani. Czuję wzruszenie na myśl o trudnym położeniu Melaniego, zarówno dawniej, jak i dziś. Był zdolny do kłamstw i udawania (a któż nie jest?), ale nie wypierał się własnej przeszłości. Jego przyjaźń z nadintendentem Fouquetem pozostawiła piętno, którego nawet ucieczka do Rzymu i późniejsze poniżenie nie zatarły. Łaska króla w każdej chwili mogła się od niego odwrócić. Melani nie zapomniał o swoim dobroczyńcy. Zapewne tylko ze mną mógł rozmawiać tak swobodnie, gdyż wiedział, że nie doniosę na niego na dwór francuski.

Przypomniałem sobie o odkryciu opata w gabinecie Colberta. Niczego nie zatajając, przekazał mi treść listu wydobytego z tajnej skrytki. Domyśliłem się, że Atto przybył do Rzymu z misją odnalezienia starego przyjaciela i opiekuna, nadintendenta Fouqueta. Z pewnością nie było to łatwe zadanie, nie tylko dlatego, że nadintendent został uznany za zmarłego, ale również z tego powodu, że przez niego Melani musiał uciekać z Rzymu. Byłem jedyną osobą, którą opat mógł obdarzyć zaufaniem i opowiedzieć o tajnej misji. Z powodu kwarantanny - pomyślałem - musiał ją przerwać. Kiedy zatem przemierzałem podziemny korytarz pod gospodą, towarzyszyłem tajnemu agentowi króla Francji! Poczytywałem sobie za zaszczyt, że opat z takim zapalem starał się rozwiązać dziwne przypadki zaistniałe w gospodzie „Donzello”, w tym kradzież moich pereł. Na dodatek zwrócił się do mnie o pomoc. Teraz z pewnością dałbym mu klucze do pokoiów Dulcibeniego i Devizego, na co nie zgodziłem się pierwszego dnia. Było jednak za późno. Teraz na skutek zaleceń Cristofana obaj chorzy, podobnie jak pozostali goście, musieli siedzieć w swoich

pokojach, co uniemożliwiało przeszukanie. Melani uprzedził mnie, że nie należy zadawać gościom zbyt wielu pytań, bo mogliby zacząć coś podejrzewać.

Byłem dumny, że poznałem tyle tajemnic, ale to wszystko było niczym w porównaniu z wrażeniem, jakie wywarła na mnie rozmowa z Cloridią.

Zaniósłem kolację zdrowym lokatorom. Potem, z pomocą Cristofana, nakarmiłem Bedfordiego i Pellegrina. Anglik nadal szeptał jakieś niezrozumiałe słowa. Lekarz wyraźnie się zmartwił. Poszedł do Devizego i poprosił go, by wziął pod uwagę ciężki stan Bedfordiego i przestał grać na gitarze. Muzyk ćwiczył się właśnie w wykonywaniu swojej ulubionej ciaccony.

- Postaram się - odparł krótko Devize.

Nie przerwał jednak gry, lecz zamienił ciacconę na rondo. Cristofano już miał zaprotestować, gdy nagle poddał się niezwykłemu urokowi muzyki, jego twarz poweselała, po czym, kiwając dobrotliwie głową, wyszedł z pokoju.

W chwilę potem, kiedy schodziłem po schodach po wizycie u Pellegrina, usłyszałem na drugim piętrze czyjś szept. Był to ojciec Robleda, który wyjrzał z pokoju, żeby zapytać mnie o stan obydwu chorych.

- Anglik ma się lepiej?

- Raczej nie - odparłem.

- Lekarz nie ma nic nowego do powiedzenia?

- Raczej nie.

Dobiegały nas ostatnie dźwięki ronda Devizego. Robleda, wsłuchując się w nie, westchnął głęboko.

- Muzyka to głos Boga - rzekł.

Miałem przy sobie pojemniczki z maściami, zapytałem więc jezuity, czy mógłbym go nasmarować środkiem przeciw chorobie.

Gestem zaprosił mnie do środka.

Podszedłem do krzesła stojącego za drzwiami, żeby położyć na nim swoje rzeczy.

- Nie, nie, zaczekaj! Jest mi potrzebne.

Pośpiesznie postawił na krześle szklaną skrzyneczkę w obramowaniu z czarnego drewna, wspartą na srebrnych, cebulastych nóżkach. W środku znajdowała się figurka Dzieciątka Jezus, owoce i kwiaty.

- Kupiłem ją tu, w Rzymie. Jest bardzo cenna, na krześle nic jej nie grozi.

Spędziwszy wiele godzin w samotności, Robleda był spragniony rozmowy, choć jednocześnie obawiał się kontaktu z osobą, która codziennie stykała się z Bedfordim. Poinformowałem go, że nie musi się lękać, ponieważ zdaniem Cristofana jestem odporny na zarażenie.

- No tak, no tak - powtarzał bez przekonania.

Poprosiłem Robledę, żeby odsłonił klatkę piersiową, gdyż chcę go na-smarować i zrobić okład na serce, osłabione jego nerwowym usposobieniem.

- Czy to konieczne? - zapytał.

Wyjaśniłem, że tak sobie życzy lekarz.

Uspokojony, położył się posłusznie na łóżku, pod portretem papieża Innocentego XI.

Gdy szukałem w torbie odpowiednich maści, Robleda zaczął narzekać na Cristofana. Dziwił się, że dotąd nie wyjaśnił przyczyny śmierci de Mouraigo ani przypadłości Pellegrina. Podał w wątpliwość przypadek dżumy u Bedfordiego. Zdaniem jezuita ta diagnoza podważała lekarskie kompetencje Cristofana. Pana Pellegrina zaś obarczył winą za zaistniałą sytuację. Według niego mój pryncypał niedostatecznie dbał o higienę w gospodzie Brenozziego i Bedfordiego, którzy dużo podróżowali, oraz Stilone Priasa (pochodzącego z Neapolu, gdzie, jak powszechnie wiadomo, powietrze jest bardzo niezdrowe) oskarżył o przywleczenie do „Donzella” tej tajemniczej choroby. Narzekał, że obecność Atta Melaniego w gospodzie nałożyła na nas obowiązek modlitwy. Przysięgał, że gdyby wiedział o pobycie kurtyzany w wieży, nigdy by się tu nie zatrzymał. O Dulcibenim powiedział, że jego spojrzenie jansenisty nigdy mu się nie podobało.

- Jansenisty? - zapytałem zaciekawiony.

Robleda wyjaśnił, że janseniści utworzyli groźną i szkodliwą sektę. Nazwa wywodzi się od Janseniusza, twórcy doktryny (o ile można ją tak nazwać), a jednym z jego zwolenników jest szaleniec o imieniu Pasqual lub Pascale, który nosi skarpety nasączone koniakiem, aby rozgrzać stopy, autor kilku listów z obelgami pod adresem Kościoła, Pana Naszego Jezusa Chrystusa i wszystkich osób uczciwych, rozsądnych i wiernych Bogu.

Jezuita przerwał swój wywód i skrzywił się.

- Ależ to smarowidło cuchnie! Na pewno nie jest trujące?

Zapewniłem Robledę o zaletach środka opracowanego przez mistrza

Antonia Fiorentina w czasach Republiki Florenckiej. Cristofano powiedział, że w skład medykamentu wchodzi odtrutka przeciw jadowi węża, sok z cytryny, sproszkowany dziewięciśń, dzięgiel, goryczka, szafran, biały dyptam i sandarak. Wyliczałem nazwy ziół, delikatnie wcierając maść w skórę na piersi jezuitę, który poddawał się zabiegowi, jakby kołysany do snu. O przykrym zapachu zapomniał. Podczas wizyty u Cloridii miałem okazję się przekonać, że ostre wonie remediów Cristofana, którymi masowałem naszych gości, uspokajały ich, rozwiązując im jednocześnie język.

- A zatem janseniści są jakby heretykami? - zapytałem.

- Nie Jakby", ale z całą pewnością - odparł zadowolony Robleda i wyjaśnił, że Janseniusz napisał książkę, której założenia papież Innocenty X zdecydowanie potępił.

- Dlaczego, zdaniem ojca, pan Dulcibeni należy do jansenistów?

Ponieważ - powiedział Robleda - tuż przed rozpoczęciem kwarantanny widział, jak Dulcibeni wracał do „Donzella" z książkami pod pachą. Zapewne kupił je w księgarni przy Piazza Navona. Wśród nich dostrzegł jedną z ksiąg zakazanych, zachęcających do studiowania heretyckich doktryn. Według jezuitę był to niezbity dowód przynależności Dulcibeni do szeregów jansenistów.

- Dziwne, że tego typu książki można kupić tu, w Rzymie - stwierdziłem. - Papież Innocenty XI na pewno je potępią.

Ojciec Robleda spoważniał. Oznajmił, że nie jest tak, jak myślę. Papież Odescalchi nieraz dawał wyraz swojej sympatii dla tej doktryny, za co został potępiony we Francji, gdyż Arcychrześcijański Król nie darzy jansenistów zaufaniem.

- Jak to możliwe, że nasz papież Innocenty XI żywi sympatię dla heretyków? - zdziwiłem się.

Ojciec Robleda, leżąc na łóżku z ramionami skrzyżowanymi pod głową, spojrzał na mnie z ukosa, a w jego oczach pojawiły się złe błyski.

- Jak ci zapewne wiadomo, pomiędzy Ludwikiem XIV a papieżem Innocentym XI panuje niezgoda.

- Czy to oznacza, że papież popiera jansenistów tylko po to, by zaszkodzić królowi Francji?

- Nie zapominaj - odparł obojętnie - że papież ma też władzę świecką, a jego obowiązkiem jest bronić państwa na wszystkie sposoby.

- Ale przecież wszyscy chwalą papieża Odescalchiego - zaprotestowałem. - Zniósł nepotyzm, uzdrowił finanse kamery apostolskiej, uczynił wszystko, żeby wspomóc armie walczące z nawałą turecką...

- To wszystko prawda. Rzeczywiście, nie dopuścił do przyznania kilku urzędów swojemu krewnemu Livio Odescalchiemu, nie mianował go nawet kardynałem... Wszystkie urzędy trzymał bowiem dla siebie.

Słowa Robledy wydały mi się złośliwe, choć w gruncie rzeczy potwierdzały moje obserwacje.

- Jak wszyscy ludzie zajmujący się handlem, papież doskonale zna wartość pieniądza. Trzeba przyznać, że potrafił dobrze zainwestować dochody z przedsiębiorstwa, które otrzymał w spadku po wuju z Genui, około... pięciuset tysięcy skudów. Nie licząc zysków z innych spadków, które odebrał krewnym - rzekł Robleda, ścisząc głos.

Zanim zdołałem otrząsnąć się ze zdziwienia i spytać, czy papież naprawdę odziedziczył tak dużą sumę pieniędzy, jezuita oznajmił:

- Nasz dobry papież nie jest wcale taki odważny, za jakiego większość ludzi go uważa. To tylko plotka. W młodości uciekł z Como jak tchórz, ponieważ nie miał odwagi podjąć się arbitrażu w kłótni przyjaciół.

Po chwili milczenia mówił dalej:

- Ale niebiosa obdarzyły go stałością i wytrwałością! Niemal codziennie pisze do brata i innych krewnych, aby zasięgnąć informacji o majątkach rodowych. Podobno nie potrafi usiedzieć spokojnie dwa dni bez zadawania pytań, doradzania, upominania... Zresztą źródła dochodów są dość liczne. Ich liczba wzrosła nagle po epidemii dżumy w tysiąc sześćset trzydziestym roku. W rodzinnych stronach papieża, w Como, mówi się, że ród Odescalchich skorzystał ze sposobności, zwracając się do zaprzyjaźnionych notariuszy, żeby przepisali na nich dobra tych zmarłych, którzy nie mieli spadkobierców. Ale są to tylko oszczędności, na litość Boga! - wyszeptał Robleda, czyniąc znak krzyża. - W każdym razie majątek Odescalchich jest tak ogromny, że sami stracili rachubę, ile mają ziemi, nieruchomości oddanych w najem zakonem, biur sprzedaży, urzędów pobierających cło wwozowe. A poza tym niezliczone kredyty, a właściwie pożyczki, których udzielili wielu osobom, także kardynałom - sprecyzował jezuita obojętnie, wpatrując się w pęknięcie w suficie.

- Rodzina papieża bogaci się na kredytach? - zapytałem zdziwiony. - A sam papież Innocenty zakazał Żydom udzielania pożyczek!

- Właśnie - odparł enigmatycznie jezuita.

To powiedziawszy, poprosił, żebym już poszedł, gdyż pragnie odmówić wieczorną modlitwę, i zaczął podnosić się z łóżka.

- Jeszcze nie skończyłem. Muszę zrobić ojcu okład - oznajmiłem.

Robleda, pogrążony w myślach, położył się z powrotem.

Zerkając do notatek Cristofana, wziąłem trochę krystalicznego arsenui-\*

ku, zawiąłem go w szmatkę i przyłożyłem okład nad prawą piersią. Po-  
czekałem, aż wyschnie, i ponownie zwilżyłem go octem.

- Nie powinieneś dawać wiary złośliwym pogłoskom na temat papie-  
ża Innocentego, które słyszy się od czasów donny Olimpii - poradził mi,  
kiedy robiłem mu okład.

- Jakim pogłoskom?

- Och, nic ważnego! Przejaw zazdrości. Silniejszy od trucizny, która  
zabiła naszego de Mourai.

Robleda zamilkł, przyjmując tajemniczy wyraz twarzy.

Zaniepokoiłem się. Dlaczego jezuita wspomniał o truciznie, od której  
zmarł stary Francuz? Czy to był przypadek, czy aluzja do podziemi  
„Donzella”? Nazwałem się w myślach głupcem za takie rozważania, ale  
słowo „trucizna” nie dawało mi spokoju.

- Proszę o wybaczenie, ale co ojciec miał na myśli?

- Lepiej, żebyś nie wiedział - uciął krótko.

- Kim jest donna Olimpia? -nalegałem.

- Nie mów mi, że nigdy nie słyszałeś o papieżycy - wyszeptał, patrząc  
na mnie ze zdziwieniem.

- O papieżycy?

Ojciec Robleda położył się na boku z taką miną, jakby robił mi łaskę,  
i szeptem zaczął opowiadać o papieżu Odescalchim, który blisko czter-  
dzieści lat temu został mianowany kardynałem przez Innocentego X  
z rodu Pamfil ich. Innocenty X rządził z dużym rozmachem, sprawiając,  
że poszły w niepamięć nieprzyjemne fakty z pontyfikatu jego poprzedni-  
ka, Urbana VIII Barbcriniego. Ktoś jednak - mówił jezuita, ściszącą  
jeszcze bardziej głos zauważył, że papież Innocenty i jego szwagierka  
Olimpia Maidalchini darzą się dużą sympatią. Podobno (oczywiście były  
to oszczerstwa) byli sobie bardzo bliscy, a nawet zbyt bliscy jak na krew-  
nych, których łączy na ogół miłość, życzliwość i przywiązanie powie-  
dział Robleda, patrząc mi prosto w oczy. Papież Pamfili pozwolił szwa-  
gierce o każdej niemal porze dnia i nocy wchodzić do swoich komnat,  
zabierać głos w ważnych sprawach, także państwowych.

Olimpia wyznaczała godziny audiencji, nadawała przywileje, podej-  
mowała decyzje w imieniu papieża, którego oczarowała nie powierz-  
chownością (była bardzo brzydka), lecz siłą charakteru godną mężczyzny.  
Ambasadorzy obcych mocarstw ślali jej prezenty, świadomi władzy, jaką  
miała w Stolicy Apostolskiej. Innocenty X był słaby, uległy, o usposobie-  
niu melancholika. W Rzymie szumiało od plotek. Jakiś anonimowy zar-  
towniś przysłał mu medal, na którym Olimpia jest w stroju papieskim,

z tiarą na głowie, on zaś ma kobiecą fryzurą, a w palcach trzyma igłę z nitką.

Kardynałowie, oburzeni niestosownym żartem, zdołali na jakiś czas pozbyć się Olimpії, ona jednak wróciła i towarzyszyła papieżowi do jego ostatnich dni. Kiedy Innocenty X zmarł, donna Olimpia ukrywała ten fakt przez dwa dni, okradając w tym czasie papieskie komnaty z cennych przedmiotów. Zmarły leżał sam, bez opieki, atakowany przez szczury. Uroczystości pogrzebowe przebiegały w atmosferze obojętności kardynałów oraz wśród obelg i żartów rzucanych przez pospólstwo.

Donna Olimpia lubiła grać w karty. Pewnego dnia, kiedy ograła kilka dam i kawalerów, do stołu przysiadł się młody kleryk. Jak wieść niesie, wokół graczy zebrała się grupa osób zaciekawionych niecodziennym pojedynkiem. Olimpia i kleryk grali długo, nie zważając na upływ czasu. Wieczorem donna Olimpia wróciła do domu z dużą sumą pieniędzy, dokładnie nie wiadomo, jaka to była kwota. Podobno młody kleryk w każdym rozdaniu otrzymywał lepsze karty od swojej przeciwniczki, ale, rzekomo przez roztargnienie, pokazywał je służącemu donny Olimpії. Dał się więc ograć świadomie, co więcej - przyjął przegraną z absolutną obojętnością. Niedługo potem papież Pamfili mianował młodego kleryka kardynałem, którym był właśnie Benedetto Odescalchi, odziany w purpurę w wieku trzydziestu czterech lat.

Skończyłem nacierać jezuitę.

- Pamiętaj! - upomniał mnie, pośpiesznie wycierając klatkę piersiową z tłustej maści. - To tylko plotki. Nie ma żadnych dowodów na to, że taki epizod miał miejsce.

Opuszczając jego pokój, poczułem nagłą irytację. Nie trzeba być geniuszem, żeby zrozumieć, co Robleda myślał. Innocenty XI, jego zdaniem, wcale nie był uczciwym, świętym papieżem, ale przyjacielem i zwolennikiem jansenistów, zdolnym pokrzyżować plany króla Francji, z którym wszedł w konflikt. Zachłanny i chytry, przekupił nawet donnę Olimpję, byle tylko zostać kardynałem. Jeśli ten wizerunek był prawdziwy - zastanawiałem się - to jak to możliwe, że papież Innocenty XI zdołał przywrócić surowość i czystość obyczajów, prostotę w sercu Kościoła Świętego? Czy był tą samą osobą, która rozdawała jałmużnę ubogim? Czy to on zjednoczył władców Europy do walki przeciw Turkom? Jego poprzednicy na papieskim stolcu zasypywali swoich krewnych prezentami, on zerwał z tym niestosownym zwyczajem. Uzdroził finanse kamery apostolskiej, dzięki jego wysiłkom Wiedeń opierał się dotąd nawałnicy tureckiej.



Nie, nie, obraz nakreślony przez tego bojaźliwego plotkarza Robledę nie mógł być prawdziwy. Od początku dziwaczna reguła jezuitów, zgodnie z którą wolno było grzeszyć, wydała mi się podejrzana. Czułem się winny, że go słuchałem, a nawet namawiałem do zwierzeń, zachęcony aluzją do trucizny, od której zginął pan de Mourai. Doszedłem do wniosku, że uległem wpływowi Atta Melaniego, wysokiej klasy specjalisty od manipulowania ludźmi. Przez własną ciekawość wpadłem w sieci szatana i pozwoliłem moim uszom słuchać jego oszczerczych podszeptów.

Kiedy wróciłem do kuchni, znalazłem na szafce kartkę, z pewnością adresowaną do mnie, następującej treści:

ZAPUKAM TRZY RAZY BĄDŹ GOTÓW

## Noc trzecia

*z 13 na 14 września 1683 roku*

Godzinę po wizycie Cristofana, który przyszedł zbadać Pellegrina, opat Melani trzy razy zapukał do drzwi mojego pokoju. Właśnie uzupełniałem notatki w pamiętniku. Zamknąłem zeszyt i starannie ukryłem pod materacem.

- Olej - powiedział enigmatycznie opat, kiedy wszedł do środka. Przypomniało mi się, że podczas naszego poprzedniego spotkania zauważył, że czoło mam pobrudzone olejem. Stał go palcem i oblizal.

- Jakiego oleju używaś do lamp?

- Zgodnie z rozporządzeniem szambelanów należy stosować olej zmieszany z osadem...

- Nie pytałem, co trzeba stosować, ale co ty stosujesz, kiedy twój pryncypał - tu wskazał palcem na Pellegrina - leży chory w łóżku.

Wyznałem nieco zakłopotany, że używam dobrego oleju do potraw, bo mamy go pod dostatkiem, podczas gdy tego gorszego, z osadem, niedużo.

Opat Melani uśmiechnął się chytrze.

- Nie kłam, tylko powiedz: ile lamp masz do dyspozycji?

- Były trzy, ale jedną stłukliśmy, gdy schodziliśmy do tunelu. Zostały więc dwie, w tym jedna zepsuta, którą muszę naprawić...

- W porządku. Weź dobrą lampę i chodź ze mną! Weź też to. - Wskazał wędkę stojącą w kącie pokoju, którą pan Pellegrino zabierał ze sobą, kiedy miał trochę wolnego czasu i siedł nad Tyber za kościołem Santa Maria in Posterula łowić ryby.

Po kilku minutach byliśmy w schowku i staliśmy nad otworem prowadzącym do podziemi. Zeszliśmy po żelaznych klamrach przymocowanych do muru na ceglane dno i zaczęliśmy schodzić po kamiennych schodach. Na odcinku schodów z tufu powietrze stało się gęściejsze. W końcu dotarliśmy do tunelu, głębokiego i ciemnego jak noc, podczas której byłem tu pierwszy raz.

Kiedy tak szedłem za opatem, musiał wyczuć moją ciekawość niczym oddech na szyi.

- Zaraz się dowiesz, co chce uczynić ten dziwny opat Melani - rzekł i zatrzymał się. - Daj mi wędkę!

Podał mi kijek, a on przelał go na kolanie na pół.

- Spokojnie! - uprzedził mój protest Atto. - Jeśli będziesz miał okazję pomówić z pryncypałem, wyjaśnij mu, że to była konieczność. A teraz zrób to, o co cię prosiłem.

Puścił mnie przodem i kazał iść, przesuwając końcem wędki po sklepieniu tunelu jak piórem po kartce.

W ten sposób przeszliśmy kilkadziesiąt metrów. Przez cały ten czas opat zadawał mi dziwne pytania.

- Jaki ma smak olej wymieszany z osadem?

- Nie potrafię go opisać - odparłem, choć tak naprawdę znałem doskonale jego smak, ponieważ często kropiłem nim kawałki chleba wykradzionego ze spiżarni, kiedy pan Pellegrino spał, a kolacja była zbyt skromna, żeby się najeść.

- Czy można go określić jako zjełczały, gorzki i kwaśny?

- Może... chyba tak - przyznałem.

- W porządku - powiedział opat.

Przeszliśmy jeszcze kilka kroków, kiedy Melani nagle kazał mi się zatrzymać.

- To tutaj!

Spojrzałem zdziwiony.

- Jeszcze nie rozumiesz? - rzekł Atto z tym swoim złośliwym uśmiechem, zniekształconym w świetle świecy. - Zobaczmy więc, czy to ci pomoże.

Wziął z moich rąk wędkę i mocno przycisnął do sklepienia tunelu. Usłyszałem jakby szcęk zawiasów, następnie huk, na koniec odgłos spadających kamyków i gruzu.

W tej samej chwili zobaczyłem tuż nad sobą dużego czarnego węża, zwieszającego się groteskowo z sufitu, niczym ciało wisielca.

Odkoczyłem, zdjęty grozą. Opat wybuchnął śmiechem.

- Zbliź się i poświęć! - powiedział triumfująco.

W sklepieniu widniał duży otwór, z którego zwieszał się gruby sznur. On właśnie opadł w chwili otwarcia wjazdu w sklepieniu, wywołując moje przerażenie.

- Przestraszyłeś się z byle powodu, więc za karę pójdziesz pierwszy i pomożesz mi się wdrapać.

Na szczęście, uczepiwszy się sznura, bez większego trudu mogłem się podciągnąć na rękach i wdrapać na górę. Następnie pomogłem wejść opatowi, który gramolił się z wysiłkiem i omal nie upuścił naszej jedynej lampy.

Znaleźliśmy się wewnątrz drugiego tunelu, biegnącego ukośnie w stonku do korytarza na dole.

- Ty zdecyduj: w prawo czy w lewo?

Odmówiłem (nieśmiało, gdyż byłem przestraszony). Czyż opat Melani nie obiecał, że wyjaśni mi, co właściwie robimy w tym miejscu?

- A więc ja dokonam wyboru: idziemy w lewo.

Jak powiedziałem opatowi, olej z osadem jest gorszy niż olej jadalny, używany do smażenia i sałatek. Sądząc po smaku, olej, który Melani stał z mojego czoła nazajutrz po naszej pierwszej wyprawie do tunelu (na szczęście nie pobrudziłem pościeli, kiedy położyłem się spać), nie mógł pochodzić z lamp napełnianych przeze mnie osobiście dobrym olejem. Nie pochodził też z maści leczniczych Cristofana. Opat wydedukował: kropla oleju spadła mi na czoło z jakiejś innej lampy, i to z wysokości. Idąc dalej tym tropem, doszedł do wniosku, że w sklepieniu tunelu musi być zamaskowany otwór, przez który uciekł złodziej.

- Gdy podniosłeś głowę, olej kapnął ci na czoło przez szczelinę między deskami włazu.

- A skąd pomysł z wędką?

- Byłem pewien, że jeśli w ogóle istnieje jakiś właz, to bardzo dobrze ukryty. Pomyślałem, że przesuając patykiem po suficie, rozpoznamy po odgłosie, w którym miejscu kończy się kamienne sklepienie, a zaczyna właz przesłonięty deskami. Tak też się stało.

Byłem wdzięczny opatowi, że odkrycie włazu wielkodusznie przypisał nam obu.

- Zastosowany mechanizm jest w gruncie rzeczy bardzo prymitywny. Sznur, który cię tak przestraszył, kiedy zawisł nad tobą, jest przywiązany do uchwyty w drzwiczkach włazu i służy do ich otwierania. Jeśli otwiera się właz z dolnego tunelu, wypychając drzwiczki do góry, sznur opada w dół. Właz musi być stale zamknięty, żeby zwisający sznur nie zdradził jego istnienia.

- Pana zdaniem złodziej skorzystał z tej drogi ucieczki?

- Tak sądzę. Nie rozpląnął się przecież w powietrzu.

- I za pomocą wędki odnalazł pan właz?

- Potrzeba matką wynalazków - mruknął Melani.

Przyświecając sobie lampą, rozpoczęliśmy poszukiwania.

Podobnie jak dolny tunel, również górny był nisko sklepiony. Osoba średniego wzrostu musiała iść z pochyloną głową. Zauważyliśmy też, że ten korytarz był wyłożony taką samą cegłą w kształcie rombu jak poniżej. Początkowy odcinek tunelu biegł prosto, lekko opadając.

- Skoro nasz złodziej tu się wdrapał, musi mieć niezłą kondycję - zauważył opat Melani. - Niełatwo jest wciągnąć się po sznurze, w dodatku jest tu bardzo ślisko.

Nagle zdjęło nas przerażenie.

Usłyszeliśmy czyjeś kroki. Kierunku nie udało nam się ustalić. Atto zatrzymał się i ścisnął mnie mocno za ramię na znak, że należy zachować najwyższą ostrożność. W tej samej chwili dał się słyszeć głośny huk, podobny do tego, z jakim otworzył się właz.

Kiedy złapaliśmy oddech, pełni napięcia spojrzeliśmy po sobie.

- Według ciebie ten odgłos pochodził z dołu czy z góry? - wyszeptał opat Melani.

- Raczej z góry.

- Też tak sądzę. A zatem nie był to ten sam właz.

- Ile ich może być?

- Nie mam pojęcia. Powinniśmy byli dokładniej opukać sklepienie, być może znaleźlibyśmy jakieś inne wejście.

- Ktoś nas usłyszał i zatrasnął przejście. Nie potrafię powiedzieć, skąd dochodził hałas.

- Może to złodziej kluczy?

- Stawiasz pytania, na które nie znam odpowiedzi. Może tak, a może nie. Czy wieczorem obserwowałeś wejście do schowka?

Przyznałem, że tego nie uczyniłem.

- No, ładnie! - powiedział opat tonem wymówki. - Nie wiemy więc, czy to my kogoś śledzimy, czy sami jesteśmy śledzeni. Spójrz!

Znajdowaliśmy się u szczytu schodów. Oświetlone lampą stopnie były kamienne i wykonane z dużą starannością.

- Nie mam pojęcia - westchnął opat - co nas czeka tam, w dole. Schody prowadzą prosto w dół, więc jeśli ktoś tam jest, wie, że nadchodzimy. Prawda?! - krzyknął głośno, wywołując echo.

Po chwili, uzbrojeni jedynie w lampę, zaczęliśmy schodzić po kamiennych stopniach, aż do brukowanej nawierzchni. Echo naszych kroków

świadczyło o tym, że znajdujemy się w szerokim korytarzu lub w grocie. Opat Melani uniósł lampę do góry. W jej świetle ukazał się zarys dwóch dużych ceglanych łuków wykutych w wysokim murze, którego szczyt nikał w ciemności.

Kiedy się zatrzymaliśmy, nastąpiła głucha cisza. Atto kichnął głośno kilka razy. Płomień świecy przygasł i w tej samej chwili usłyszałem szelest po naszej lewej stronie.

- Słyszałeś? - zapytał Melani zaniepokojony.

Znowu usłyszeliśmy szelest, tym razem nieco dalej. Atto dał mi znak, żebym się nie ruszał, i zamiast wejść w korytarz, który mieliśmy przed sobą, podbiegł do łukowatego przejścia z prawej strony i zniknął mi z oczu. Stałem jak skamieniały, z lampą w rękę. Cisza aż dzwoniła w uszach.

Usłyszałem szelest, tym razem z tyłu. Odwróciłem się raptownie i... ujrzałem Melaniego.

- Ciii...! - szepnął, kiedy oświetliłem go lampą.

Zdałem sobie sprawę, że go wydałem. Odszedł kilka metrów w lewo i przykucnął. Nagle, nie wiadomo skąd, wyrosła między nami szara sylwetka człowieka, który zaczął uciekać.

- Łap go! - krzyknął opat Melani, biegnąc w moją stronę. Uciekający potknął się i omal nie upadł. Skoczyłem na oślep do przodu, błagając Boga, żeby Atto zdążył przede mną.

W tej samej chwili spadł na mnie z łoskotem grad ludzkich czaszek i kości. Przygniotły mnie wymieszane z błotem szczęki, kości ramienne i żebra. Padłem na ziemię, śmiertelnie przerażony. Próbowiałem wygrzebać się spod stosu ludzkich szczątków. Grzechotanie kości mieszało się z jakimś piekielnym rykiem, o nieznanym mi pochodzeniu i naturze. Z niewidocznej w ciemności czaszki wpatrywały się we mnie groźnie, jakby zawieszony w powietrzu, oczodoły żywego niegdyś człowieka. Chciałem krzyknąć, ale nie mogłem wydać żadnego dźwięku. Czulem, że za chwilę zemdleję, a kiedy w myślach modliłem się o zbawienie mojej duszy, usłyszałem stanowczy głos opata rozbrzmiewający w tunelu.

- Widzę cię! Stój, bo strzelam!

Po dłuższej chwili (dziś wiem, że minęło zaledwie kilka minut), nadal przygnieciony stertą kości, oniemiały z przerażenia, poczułem, że ktoś unosi mi głowę, a ktoś inny (tak mi się zdawało) uwalnia mnie od kosz-

marnego ciężaru. Instynktownie odsunąłem się do tyłu, żeby uniknąć oznak tej niecodziennej troskliwości, a wtedy spadła mi na głowę kość (trudno powiedzieć, jaka) o stęchłym, mdlącym zapachu. Żołądek przeszedł mi do gardła i zwymiotowałem całą kolację. Dziwna istota zaczęła przeklinać w języku podobnym do mojego. Odzyskałem oddech.

- Odwagi, chłopcze! - powiedział opat Melani, pomagając mi wstać.

Stałem na drżących nogach. W słabym świetle lampy dostrzegłem osobnika w habitcie. Pochylony, głośno narzekając, próbował oczyścić obrzydliwą stertę ludzkich szczątków z równie obrzydliwej treści mojego żołądka.

- Każdy ma swoje skarby - zażartował Atto.

Trzymał w ręku niewielki przedmiot zakończony drewnianym gładkim trzonkiem wykładanym lśniącym metalem. Mierzył nim w drugiego osobnika, również w habitcie, siedzącego na rzeźbionym kamieniu.

Gdy padło na niego światło lampy, uderzył mnie wyraz jego twarzy, o ile w tym przypadku można mówić o twarzy. Była to bowiem symfonia zmarszczek, koncert fałd, madrygał bruzd, które trzymały się razem tylko dlatego, że były zbyt stare i zmęczone, aby się sprzeciwić wspólnej egzystencji. Zaczerwienione oczy sprawiały niesamowite wrażenie. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem. Uzupełnieniem tego przerażającego wizerunku były brązowe spiczaste zęby, jak na obrazie Melozza da Forli, przedstawiającego piekło.

- Poszukiwacze relikwii - szepnął z obrzydzeniem opat. - Mogliście przynajmniej uważać - dodał szyderczym tonem. - Przestraszyliście dwóch dżentelmenów.

To powiedziawszy, opuścił rękę z niewielkim przedmiotem, którym przez cały czas celował w jednego z tajemniczych osobników, i na znak pokoju wsunął go do kieszeni.

Kiedy przezwyciężając mdłości, wycierałem ubranie, drugi osobnik podniósł się z kamienia, na którym siedział. Na habit miał narzucony brudny płaszcz z przydługimi rękawami i kapturem, niemal całkowicie zasłaniającym twarz. Gdy na chwilę znalazł się w świetle lampy, udało mi się dostrzec jego rysy. Jedno oko było na w pół przymknięte, drugie natomiast wybałuszone. Nos przypominał nieforemny ogórek pokryty brodawkami. O istnieniu ust świadczyły jedynie wydobywające się z nich niewyraźne dźwięki. Z rękawów habitu wysuwały się wykrzywione, szponiaste palce.

Opat dał znak pierwszemu osobnikowi, niecierpliwie oczekującemu

uwolnienia, by dołączył do towarzysza, zajętego niewdzięczną czynnością oczyszczania kości z moich wymiocin.

- Dziwne - powiedział Atto, otrzepując ubranie - w gospodzie ciągle kicham, a tu, gdzie jest pełno kurzu, nie kichnąłem ani razu.

Następnie wyjaśnił mi, że dwie dziwaczne istoty, na które się natknęliśmy, należą do licznej, niestety, grupy pożałowania godnych ludzi, zapuszczających się nocą do katakumb, rozsianych po całym mieście, w poszukiwaniu skarbów. Nie szukają jednak klejnotów, lecz relikwii świętych i męczenników.

- Nie rozumiem - przerwałem mu. - Czy to jest dozwolone?

- Nie tylko dozwolone, ale wskazane - odparł opat Melani z nutą ironii w głosie. - Miejsca modłów pierwszych chrześcijan uznaje się za odpowiedni grunt do duchowych refleksji, a czasami nawet za teren polowań, *ut ita dicam*, dla szlachetnych dusz.

Opat przypomniał też, że już święci Filip Neri i Karol Boromeusz mieli zwyczaj modlić się w katakumbach. U schyłku poprzedniego stulecia natomiast odważny jezuita Antonio Bosio zapuścił się w najodleglejsze, najciemniejsze zakamarki i zbadał podziemia Rzymu, dokonując licznych odkryć. Opublikował też dzieło zatytułowane *Roma subterranea*, które zyskało dużą popularność. Tymczasem w roku 1620 dobry papież Grzegorz XV nakazał wydobywać z katakumb śmiertelne szczątki świętych i przenieść je do kościołów w krajach chrześcijańskich, powierzając nadzór nad realizacją świętego programu kardynałowi Crescenziemu.

Odwrociłem się do dwóch indywiduów, którzy krzżeli się przy stercie kości, wydając z siebie jakieś obrzydliwe chrząkanie.

- Dziwisz się zapewne, że do tak wzniosłej misji zaangażowano tego rodzaju istoty - ciągnął Atto. - Musisz jednak wiedzieć, że zejście do katakumb i sztucznych grot, których jest w Rzymie bez liku, nie jest łatwe. Dociera się do nich przez niebezpieczne korytarze, kanały, rozpadliny i rumowiska. Trzeba mieć też odwagę, żeby dotykać gołymi rękami zmarłych...

- Tu są same kości.

- Zgadza się, ale mimo to zwymiotowałeś. Nasi dwaj przyjaciele powiedzieli mi, że właśnie zakończyli wyprawę. Ty wtedy leżałeś półżywy na ziemi. Zdobywczy złożyli w tej grocie. Katakumby znajdują się daleko stąd, nie kręcą się tu żadni konkurenci. Nie spodziewali się, że kogokolwiek spotkają. Kiedy natknęliśmy się na nich, przestraszyli się i rozbiegli w różne strony. W zamieszaniu potraciłeś stos kości, który na ciebie runął.



Dwaj dziwni ludzie oddzielili już kości od reszty i oczyścili je. Sterta, która mnie przygniotła, została na nowo poukładana. W rzeczywistości szczątków ludzkich było niewiele (jedna czaszka, kilka długich kości, trzy kręgi), reszta to ziemia, skorupy naczyń, kamienie, odłamki, mech, korzenie, szmaty i inne brudy. To, co w przypiływie paniki wydało mi się górą ludzkich kości, mogło zmieścić się w worku na ziemniaki.

- Do tej brudnej roboty - mówił dalej opat - angażują się tacy ludzie jak ci, których tu widzisz. Nazywa się ich poszukiwaczami relikwii. Kiedy nie wiecie im się najlepiej, sprzedają „relikwie” naiwniakom. Widziałeś zapewne, jak na ulicy przed gospodą ktoś sprzedawał obojczyk świętego Jana, szczękę świętej Katarzyny, pióra ze skrzydeł aniołów, drzazgi z krzyża Chrystusa. Dostawcami ulicznych sprzedawców są nasi dwaj przyjaciele i ich towarzysze. Gdy znajdują rzekomy grób rzekomego męczennika, święte szczątki są uroczyście przenoszone do jakiegoś hiszpańskiego kościoła. Decydują o tym kardynałowie lub ten stary bufon ojciec Fabretti, którego Innocenty X mianował, o ile się nie mylę, *custos reliquiarum ac coemeteriorum*.

Gdzie się znajdujemy, panie opacie? - zapytałem, zdezorientowany z powodu ciemności i nieprzyjaznej atmosfery tego miejsca.

- Kiedy się nad tym zastanawiałem, wyobraziłem sobie drogę, którą przebyliśmy, i zadałem kilka pytań naszym poszukiwaczom. Oni nazywają to miejsce archiwum, ponieważ gromadzą w nim wszystkie swoje znaleziska. Według mnie znajdujemy się w ruinach stadionu Domicjana, gdzie w czasach cesarstwa rzymskiego w specjalnie wybudowanym basenie odbywały się naumachie. Wodę do napełniania basenu czerpano z Tybru. Dla ułatwienia dodam, że jesteśmy pod Piazza Navona. Tę samą trasę na powierzchni pokonalibyśmy najwyżej w trzy minuty.

- Są to zatem ruiny z okresu starożytnego Rzymu?

- Z całą pewnością. Widzisz te łuki? Stanowiły część stadionu, na którym odbywały się widowiska przedstawiające bitwy morskie. Później na ruinach stadionu wzniesiono inne budowle, z zachowaniem oryginalnego kształtu tego miejsca, dziś nazywanego Piazza Navona.

- Podobnie jak Circus Maximus?

- Tak, tylko że cyrk zachował się do dziś, a ze stadionu Domicjana pozostały gruzy. Niedługo zaczną kopać także tutaj, bo istnieją rzeczy, które nie mogą pozostawać pogrzebane w ziemi.

Kiedy opat opowiadał o nieznanym mi dotąd faktach, w jego spojrzeniu po raz pierwszy dostrzegłem przejaw zamięłowania do sztuki i zabytków starożytności, mimo że w tej chwili zajmowała go zupełnie inna

sprawa. O pasji Melaniego świadczyły książki, które widziałem w jego pokoju, poświęcone sztuce starożytnej i skarbowi Rzymu. Nie przypuszczałem nawet, jak ważne okażą się zainteresowania opata dla obecnych i przyszłych wydarzeń.

- Ciekawi jesteśmy imion naszych nocnych znajomych - powiedział Melani, zwracając się do poszukiwaczy relikwii.

- Mam na imię Ugonio - odparł niższy.

Atto Melani spojrział pytająco na drugiego osobnika.

- Gfrrrlulbh - usłyszeliśmy z głębi kaptura.

- Nazywa się Ciacconio - wyjaśnił Ugonio.

- Nie potrafi mówić? - zapytał Melani.

- Gfrrrlulbh - wybełkotał Ciacconio.

- Rozumiem - powiedział opat, kryjąc zniecierpliwienie. - Przykro nam, że przeszkodziliśmy wam w spacerze. A korzystając z okazji, chcieliśmy spytać, czy przypadkiem ktoś tędy nie przechodził, tuż przed nami?

- Gfrrrlulbh! - wykrzyknął Ciacconio.

- Mówi, że kogoś widziawszy - oznajmił Ugonio.

- Powiedz mu, żeby nam wszystko opowiedział - nakazałem.

- Gfrrrlulbh - powtórzył Ciacconio.

Spojrzeliliśmy pytająco na Ugonia.

- Ciacconio wśliznąwszy się do tunelu, którym przybywszy wasze wielmożności. Był tam już jakiś człowiek z lampą, więc Ciacconio wycofawszy się. Osobnik z lampą przeszedł przez jakiś właz, bo nagle zniknąwszy jak kamfora. Ciacconio schroniwszy się tutaj, okrutnie strwożony.

- On sam nie mógł tego powiedzieć? - zapytał opat Melani trochę zdziwiony.

- Ależ przed chwilą on sam to opisał i wyznał - odparł Ugonio.

- Gfrrrlulbh - przytaknął Ciacconio, lekko urażony.

Atto Melani i ja spojrzeliśmy po sobie zmieszani.

- Gfrrrlulbh - powtórzył z ożywieniem Ciacconio, który swoją mową podobną do czkania wyrażał pragnienie, aby nieszczęsna istota taka jak on mogła choć przez chwilę poczuć się potrzebna.

Jak dowiedzieliśmy się z wyjaśnień Ugonia, po spotkaniu z nieznanym Ciacconio powrócił do tunelu, ponieważ jego ciekawość okazała się silniejsza niż strach.

- Jest bardzo wścibski - wyjaśnił Ugonio tonem wymówki. - A to przynosi mu tylko troski i kłopoty.

- Gfrrrlulbh - przerwał Ciacconio, szukając czegoś w kieszeni.

Ugonio zawahał się przez chwilę.

- Co powiedział? - spytałem.

- Nic, a właściwie...

Ciacconio wyciągnął triumfalnie kawałek pogniecionego papieru. Ugonio schwycił go za ramię i wyrwał mu kartkę z ręki.

- Daj mi to, bo rozwalę ci głowę - powiedział spokojnie opat Melani, sięgając wymownie do kieszeni, gdzie wsunął przedmiot, którym groził poszukiwaczom relikwii.

Ugonio wyciągnął powoli rękę i oddał mojemu towarzyszowi zwiniętą kartkę. Po chwili zaczął kopać i okładać pięściami Ciacconia, nazywając go szmaciarzem, gałganiarzem, łachmaniarzem, bękartem, starym piernikiem, krzywusem, czerstwiakiem, zgrzybialcem, tępotą, padalcem, gburzem, wrednym jaszczurem, oślim łbem, troglodytą, nędznym robalem, wołkiem zbozowym, fafluńcem, śmierdzącym głąbem, wypierdkiem, psu-bratem, krzywym ryjem, skórkojadem, przyszczem, wrzodem, włochatą brodawą, wilczym zadem, doliniarzem, brutalnym chamem, żelazniakiem, łysą pałą, habiciarzem, widlarzem, rybim pęcherzem, połamańcom, złamasem, arogantusem, kasztaniarzem, starym kapciem, obrzydliwym sknerusem, łapserdakiem, durnotą, cholernym pyszałkiem, szkaradnym pyskiem, ciemniakiem, zawszonym moczymordą i innymi obraźliwymi epitatami, których nigdy przedtem nie słyszałem.

Opat Melani nie raczył nawet spojrzeć na tę przykrą scenę. Wyprostował pogiętą kartkę, próbując nadać jej pierwotny wygląd. Wyciągnąłem szyję i zacząłem czytać razem z nim. Lewy i prawy margines uległy zniszczeniu, tytuł był prawie niewidoczny. Na szczęście można było odczytać środek strony.

- To strona z Biblii - oświadczyłem pewnym głosem.

- Też tak sędzę - przyznał opat Melani, obracając kartkę w rękach. - Jest to fragment dotyczący...

- Malachiasza - rzuciłem bez wahania, widząc uratowany fragment tytułu u góry strony.

Na odwrocie nie było tekstu, widniała natomiast (co dostrzegłem już wcześniej) plama krwi. Również część tytułu czy też nagłówek była poplamiona krwią.

- Myślę, że już rozumiem - powiedział opat Melani, odwracając się i spoglądając na Ugonia, który wymierzał ostatnie, słabe kopniaki Ciacconiowi.

Nda.

MALACHI

VARI C A T U S cft autem Moab ia  
icl, poftquam mortuus cft Achab. Ce-  
irqueOchozias per cancellos coenaculi  
, quod habebat in Samaria ,& aegro-  
it: mifitque nuncios , dicens ad cos:  
, confulite Beelzebub deum Accaron  
,rum vivere queam de infirmitate mea  
.m Domini locutus cft ad Eliara Thcsbi-  
;& afeende in ocejrum nunciorum Re-  
gres ad eos; nunquid non cft Deus in Ifrac  
Julendum Beelzebub deum Accaron ? Qua  
iieit Dominus : De lectulo fu per quem afe-  
cfcendes, fed morte morieris. Et abiit El  
\* funt nuncii ad Ochoziam.Qui dixit cis: Qt  
s) At Uli refponderunt ci; Vir occurrit nob;  
os: Ite Sc revertimini ad Regem, qui mifit'  
M ci: Hzc dicit Dominus: Nunquid,quia nor  
. in Ifrael, mittis ut confulatur Beelzebub deus .  
i Idcirco de lectulo fuper quem afeendifti, non e'  
, fed morte morieris. Qui dixit eis: Cujus figur  
as cft vir ille, qui occurrit vobis Sc locutus  
JCC At illi dixerunt; Vir pilofus & zona pellic  
£ms renibns. Qui ait ~ Elias Thcsbites eft. M ifaqu  
• quinquagenacium principem, Sc quinquagint?  
fub co. Qui afeendit ad cum: fedentique in v  
tis: ait: Homo Dci, rex prxcepit ut defcenf  
Acfnnnc W '• -''''':--Macenario: Si b

- Co?

- Nasze dwa potwory myślały, że natrafiły na coś wyjątkowo cennego.

Melani wyjaśnił, że najcenniejsze łupy poszukiwaczy relikwii pochodziły nie ze zwykłych grobów pierwszych chrześcijan, ale z okrytych sławą grobowców świętych i męczenników. Nie było jednak łatwo je rozpoznać. Wywiązała się nawet wieloletnia dyskusja na temat kryterium klasyfikacji grobów, z udziałem wybitnych przedstawicieli Kościoła. Według jezuita Bosia, niestrudzonego badacza podziemi Rzymu, znakiem rozpoznawczym grobów męczenników były wyryte na nich palmy, wieńce, naczynia z ziarnami zboża lub płomienie. Ale za najlepszy dowód uznawano ampułki ze szkła lub terakoty - umieszczone w komorach grobowców lub wmurowane w jeden z boków - zawierające czerwony płyn, który większość ludzi uznawała za świętą krew męczenników. Pałąca kwestia była długo omawiana, aż w końcu specjalna komisja położyła kres wszelkim sporom, ustalając, że *palmas et vas illorum sanguine tinctum pro signis certissimis habendas esse*.

- Co oznacza - podsumował Atto Melani - że rysunki palm, a przede wszystkim obecność ampułki z czerwonym płynem, stanowią niezbitą dowód na to, że w grobie spoczywają śmiertelne szczątki męczennika.

- Ampułki mają zatem dużą wartość - wywnioskowałem.

- Oczywiście, ale nie wszystkie są przekazywane władzom Kościoła. Właściwie każdy rzymianin może zajmować się poszukiwaniem relikwii, wystarczy mieć pozwolenie od papieża (otrzymał je, między innymi, książę Scypion Borghese, zapewne dlatego, że papież był jego wujem) na prowadzenie wykopalisk, a autentyczność znaleziska poświadczyć u życzliwego uczonego. Na koniec, o ile poszukiwacz nie jest nadmiernie pobożny, relikwie zwykle są sprzedawane. Nie sposób jednak odróżnić relikwii autentycznych od podrobionych. Każdy, kto znajdzie jakąś kość, może powiedzieć, że są to szczątki męczennika. Gdyby chodziło jedynie o pieniądze, nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Na ogół jednak znalezisko skropione święconą wodą staje się przedmiotem uwielbienia, celem pielgrzymek i tak dalej.

- Nikt nie próbował ostrzec wiernych przed tym procederem? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Towarzystwo Jezusowe miało łatwy dostęp do katakumb i wiele relikwii wywoziło do Hiszpanii, gdzie święte szczątki przyjmowano zawsze bardzo uroczyście. W innych krajach podobnie, również w Indiach. Po pewnym czasie zwolennicy świętego Ignacego zrozumieli, informując o tym także papieża, że nie istnieje żadna gwarancja, iż relikwie rzeczy-

wiecie należą do świętych i męczenników. Zdarzało się, jak w przypadku szkieletów dzieci, że trudno było dowieść ich autentyczności. Jezuiaci zażądali więc wprowadzenia zasady *adoramus quod scimus*: uznania za przedmiot czci tylko tych relikwii, które z całą pewnością pochodzą od świętego lub męczennika.

- Oto dlaczego - wyjaśnił Atto Melani - ampułki z krwią stanowią decydujący dowód. Odnalezione, trafiają do gabinetu osobliwości lub do mieszkania bogatego, a zarazem naiwnego kupca.

- Dlaczego naiwnego?

- Dlatego, że nikt nie ma pewności, iż naprawdę zawierają krew męczenników, o ile jest to w ogóle krew. Osobiście mam wątpliwości. Kiedyś zbadałem taką ampułkę, którą kupiłem za dużą sumę od odrażającego indywiduum w rodzaju... Ciacconia.

- I co pan opat stwierdził?

- Kiedy rozcieńczyłem wodą czerwonawe błoto znajdujące się wewnątrz ampułki, okazało się, że w jego skład wchodzi brunatna ziemia i martwe muchy.

Wracając do chwili obecnej, według opata Melaniego problem polegał na tym, że Ciacconio, natknąwszy się na naszego złodzieja, znalazł stronę z Biblii pobrudzoną czymś, co można uznać za krew.

- Odnalezienie, a jeszcze lepiej sprzedanie *incipit* rozdziału z Biblii poplamionego krwią, na przykład świętego Kaliksta, może przynieść dużo pieniędzy. Oto dlaczego jego kompan czyni mu teraz przyjacielskie wymówki za to, że zdradził nam istnienie kartki.

- Ale jak to możliwe - zdziwiłem się - że krew męczennika sprzed tysiąca lat znalazła się na stronie współczesnej książki?

- Zamiast odpowiedzi opowiem ci zabawną historię, którą usłyszałem w ubiegłym roku w Wersalu. Pewien człowiek chciał sprzedać na targu czaszkę, zapewniając, że należała do słynnego Cromwella. Ktoś przytomnie zauważył, że czaszka jest zbyt mała jak na tak wielkiego wodza, który, jak powszechnie wiadomo, miał dużą głowę.

- Co na to sprzedawca?

- Powiedział, że to czaszka Cromwella z okresu dzieciństwa! O ile wiem, czaszka została sprzedana za duże pieniądze. Ugonio i Ciacconio z pewnością zdołaliby sprzedać stronicę z Biblii poplamioną krwią świętego Kaliksta.

- Oddamy im tę kartkę, panie Atto?

- Na razie ją zatrzymamy - odparł, podnosząc głos. - Zwrócimy ją wtedy, gdy wyświadczą nam drobną przysługę.

Po czym wyjaśnił poszukiwaczom relikwii o co mu chodzi.

- Gfrrrlulbh - zgodził się Ciacconio. ,

Udzieliwszy instrukcji łowcom relikwii, którzy rozplłynęli się w ciemnościach, Atto Melani zarządził powrót do „Donzella”.

Zapytałem opata, czy nie wydaje mu się dziwne, że w podziemiach odnaleźliśmy stronicę z Biblii poplamioną krwią.

- Moim zdaniem zgubił ją złodziej twoich pereł - powiedział krótko.

- Skąd ta pewność?

- Nie powiedziałem, że jestem tego pewien. Ale zastanów się! Kartka wygląda na nową. Plama krwi (o ile w grę wchodzi krew, według mnie tak) nie jest stara, o czym świadczy jej intensywna barwa. Jeśli Ciacconio powiedział, *pardon*, czknął prawdę, to znalazł ją tuż po spotkaniu z nieznanym w tunelu, w którym zniknął złodziej. Chyba wystarczy, prawda? A jeśli już mówimy o Biblii, to kto ci przychodzi do głowy?

- Ojciec Robleda.

- Otóż to, Biblia równa się ksiądz.

- Umyka mi jednak sens pewnych szczegółów - oświadczyłem.

- A dokładniej?

- „ut primum” jest tym, co pozostało z „Caput primum”, „Malachi” stanowi pozostałość po „Malachiae”. Pod plamą widnieje słowo „prophe-tia”. Mamy więc do czynienia z rozdziałem Biblii poświęconym prorokowi Malachiaszowi stwierdziłem pomny nauk, jakie otrzymałem w niemal klasztornym dzieciństwie. Nie wiem natomiast, od czego pochodzi „nda” w pierwszym wierszu u góry. Czy ma pan jakiś pomysł, panie Atto?

Opat Melani wzruszył ramionami.

- Nie jestem ekspertem w sprawach Biblii.

Zdziwiłem się, że opat przyznał się do ignorancji w tej dziedzinie. Po dłuższym zastanowieniu także stwierdziłem: „Biblia równa się ksiądz” wydało mi się dość prymitywne. Co z niego za opat?

Tymczasem wchodziliśmy do tunelu i Melani kontynuował swoje rozważania:

- Każdy może mieć Biblię, w gospodzie też jest chyba jakiś egzemplarz?

- Oczywiście, a dokładniej dwa. Dobrze wiem, jak wyglądają. Kartka, którą pan opat trzyma w dłoni, z pewnością pochodzi z innego wydania.

- W porządku, ale zgodzisz się chyba, że może pochodzić z Biblii należącej do któregoś z gości „Donzella”. Być może wziął ją ze sobą, by poczytać w podróży. Szkoda, że brakuje ozdobnej majuskuły, która znajduje się na początku Księgi Malachiasza, a teraz pomogłaby nam ustalić, skąd wzięła się ta kartka.

Nie zgadzałem się z opatem, dziwiły mnie bowiem inne rzeczy. Zapytałem więc:

- Czy pan opat widział Biblię, której strony byłyby zadrukowane tylko z jednej strony, jak tutaj?

- Być może skończył się rozdział.

- Ale przecież dopiero co się zaczął!

- Może prorocstwo Malachiasza jest wyjątkowo krótkie. Tego nie wiemy, ponieważ brakuje też ostatnich linijek. Albo to taki rodzaj druku, a może błąd, nie wiadomo. W każdym razie Ugonio i Ciacconio z pewnością nam pomogą, gdyż boją się, że nie odzyskają kartki.

- A propos: nie wiedziałem, że pan opat ma pistolet - powiedziałem, przypomniawszy sobie przedmiot, którym Melani groził poszukiwaczom relikwii.

- Ja też nie wiedziałem - odparł rozbawiony. Popatrzył na mnie z ukośsa i wyjął z kieszeni niewielki przedmiot.

- To fajka! - zawołałem. — Jak to możliwe, że Ugonio i Ciacconio tego nie zauważyli?

- Było ciemno, a ja przybrałem groźny wyraz twarzy. A poza tym poszukiwacze relikwii zapewne woleli nie sprawdzać, czy tym rzeczywiście można zabić.

Byłem zdumiony prostotą podstępu, a zarazem naturalnością, z jaką opat wprowadził go w czyn, odnosząc niespodziewany sukces.

- Być może któregoś dnia również ty, chłopcze, będziesz musiał użyć podobnego fortelu.

- A jeśli moi przeciwnicy odkryją, że to nie pistolet?

- Uczyń to, co ja, kiedy musiałem nocą stawić czoło dwu paryskim bandytom. Krzyknij głośno: *Ceci n'est pas une pipe!* - odparł Melani ze śmiechem.



## Dzień czwarty

*14 września 1683 roku*

Kiedy następnego ranka obudziłem się, bolały mnie wszystkie kości, a w głowie miałem zamęt, czego oczywistą przyczyną był krótki, niespokojny sen i wydarzenia dnia poprzedniego. Męczące schodzenie do tunełu, pokonywanie włączów i schodów, jak również bójka z poszukiwaczami relikwii - wszystko to wyczerpało mnie psychicznie i fizycznie. Byłem mile zaskoczony, że pomimo spotkania z Ugoniem i Ciacconicem nie męczyły mnie nocne koszmary. Nieprzyjemny (choć konieczny) pościg za człowiekiem, który ukradł mi jedyny cenny przedmiot, jaki posiadałem, niewart był tego, by poświęcić mu nocny wypoczynek.

Otworzyłem oczy, poddając się przyjemnym marzeniom o Cloridii i jej wdziękach. Nie potrafiłem poskładać w jeden obraz całej symfonii iluzorycznych, choć niemal rzeczywistych wrażeń zmysłowych: pięknej twarzy mojej (już tak ją nazywałem!) Cloridii, jej aksamitnego, niebiańskiego głosu, delikatnych, zmysłowych dłoni, uroczej, miłej mowy...

Z przyjemnością zatopiłem się w melancholijnych, sennych fantazjach i tęsknotach, gdy zniemacka nastąpiła cała seria wydarzeń, które miały mnie pozbawić resztki sił.

Nagle usłyszałem jęk dochodzący z prawej strony. Kiedy się odwróciłem, ujrzałem pana Pellegrina, który siedział na łóżku, oparty plecami o ścianę, i trzymał się za głowę. Byłem ogromnie zaskoczony, a zarazem szczęśliwy, widząc, że jego stan się poprawił (podniósł się pierwszy raz od początku choroby). Podbiegłem do pryncypała, zasypując go gradem pytań.

Nie odpowiedział, tylko patrzył na mnie niewidzącym spojrzeniem.

Rozczarowany i zmartwiony niezrozumiałą niemotą Pellegrina, pobiegłem po Cristofana.

Medyk był tak zaskoczony dobrą wiadomością, że przybył natychmiast i od razu przystąpił do badania chorego. W chwili gdy sprawdzał wzrok

Pellegrina, pacjent wydał z siebie głośny *flatus ventris*. Następnie odbiło mu się, po czym znowu puścił wiatry.

- Jest senny, a właściwie bardzo osłabiony, w stanie pół jawy, pół snu. Jest też bardzo blady. Nie odzywa się, ale to mnie nie martwi, bo za jakiś czas oprzytomnieje. Krwiak na głowie wchłonął się niemal całkowicie.

Pellegrino był wyraźnie otepiały, ale nie miał już gorączki. Mimo to jego stan budził jeszcze pewne obawy.

- Dlaczego? - zapytałem, widząc, że lekarz ociąga się z przekazaniem mi złych wieści.

- Twojemu pryncypałowi dokuczają gazy. Ponieważ jest człowiekiem impulsywnym, a dzień mamy gorący, należy zachować ostrożność. Zrobię mu lewatywę.

Cristofano powiedział też, że ze względu na rodzaj kuracji i zabiegów oczyszczających, którym pragnie poddać Pellegrina, wolałby zostać sam w pokoju. Postanowiliśmy więc, że przeniosę swoje łóżko do pokoju obok, jednego z trzech pomieszczeń, w których od śmierci byłej właścicielki, pani Luigii, nikt nie mieszkał.

Kiedy przygotowywałem się do przeprowadzki, Cristofano wyjął ze skórzanej torby mieszek długości mojego przedramienia. Do końca mieszka przymocował rurkę, która z kolei łączyła się prostopadłe z drugą cienką rurką, zakończoną otworkiem. Dwukrotnie wypróbował mechanizm, żeby upewnić się, czy powietrze przechodzi z mieszka do rurki, a następnie wychodzi przez końcowy otworek.

Pellegrino patrzył obojętnym wzrokiem na lekarza. Cieszyłem się, że w końcu otworzył oczy, ale martwił mnie jego nie najlepszy stan.

- W porządku - powiedział Cristofano zadowolony z próby i poprosił, żebym przyniósł trochę wody, oleju i miodu.

Kiedy wróciłem z tym, o co prosił, lekarz krzątał się przy na wpół nagim Pellegrinie.

- Nie współpracuje, pomóż mi go przytrzymać!

Pomogłem Cristofanowi odsłonić pośladki pryncypała, który odnosił się do tego z niechęcią. Podczas szarpaniny, do której chwilę później doszło (spowodowanej raczej brakiem współpracy ze strony pacjenta niż jego rzeczywistym oporem), spytałem Cristofana o cel naszych wysiłków.

- Po prostu - odparł - chcę, żeby uszły z niego gazy.

Wyjaśnił, że urządzenie, które wyjął z torby, pozwalało, dzięki rurkom zainstalowanym pod kątem prostym, samemu robić sobie zabieg, nie narażając się na wstyd. Pellegrino nie wyglądał jednak na osobę w pełni samodzielną, więc musieliśmy go wyręczyć.

..

- Czy potem poczuje się lepiej?

Cristofano, zaskoczony pytaniem, powiedział, że lewatywa (jak ją niektórzy nazywali) zawsze pomaga. Jak mówi Redi, doprowadza do łagodnego wypróżnienia, nie osłabiając wnętrzości, w przeciwieństwie do medykamentów zażywanych doustnie.

Cristofano wlewał płyn do mieszka, wychwalając działanie środków przeczyszczających, przeciwbólowych, rozpuszczających, wiatropędnych, moczopędnych, przyspieszających trawienie, rozwalniających, ściągających... Liczba składników o łagodnym działaniu była nieskończona. Można stosować napary z kwiatów, liści, owoców lub ziaren ziół, ale też z nóg lub głowy wykastrowanego barana, jelit zwierzęcych, jak również z rosółu ze starych kogutów, ukręciwszy im uprzednio łeb.

- Bardzo ciekawe - wtrąciłem, by sprawić przyjemność Cristofanowi, kryjąc jednocześnie obrzydzenie.

- A propos dodał medyk pod koniec tego niezwykle praktycznego wykładu - w najbliższych dniach należy podawać rekonwalescentowi rosół, gorące napoje i przegotowaną wodę, żeby się wzmocnił. Dzisiaj przygotujesz mu pół filiżanki czekolady, kurze udko w rosole i ciastka migdałowe skropione winem, a jutro filiżankę czekolady, zupę z ogórecznika i sześć ugotowanych kogucich jajder.

Po zaaplikowaniu Pellegrinowi lewatywy Cristofano pozostawił go na wpół rozebranego i polecił mi, bym czuwał przy pacjencie do chwili, gdy zadziała środek przeczyszczający. Efekt lewatywy nastąpił niemal natychmiast i z takim impetem, że zrozumiałem, dlaczego medyk kazał mi przenieść rzeczy do pokoju obok.

Zszedłem na dół, by zgodnie z zaleceniem lekarza przygotować lekki, a zarazem pożywny obiad. Ugotowałem orkisz\* na mleku, z migdałami, cukrem i cynamonem, oraz zupę agrestową na wywarze z suszonych ryb, z ziołami i jajkami, przyprawiłem cynamonem i podałem z chlebem pokrojonym w kostkę. Kiedy roznosiłem posiłek gościom, zapytałem Dulcibeniego, Brenozziego, Devizego i Stilone Priasa, kiedy będą gotowi, bym zaaplikował im środki przeciw dżumie. Wszyscy czterej, kiedy wzięli do rąk talerze z obiadem, powąchali go i skrzywili się z niesmakiem, po czym odpowiedzieli mi zniecierpliwieni, że pragną być pozostawieni

Orkisz - gatunek jęczmienia o grubym ziarnie (przypr. red.).

w spokoju. Podejrzywałem, że ich niechęć miała coś wspólnego z moją niedoskonałą kuchnią. Być może słodki zapach cynamonu nie czynił potrawy wystarczająco szlachetną, toteż przyrzekłem sobie, że w przyszłości będę dodawał więcej tej przyprawy.

Po obiedzie dowiedziałem się od Cristofana, że ojciec Robleda prosi o wodę do picia. Wziąłem więc karafkę pełną wody i zapukałem do drzwi jezuity.

- Wejź, chłopcze! - powiedział na mój widok. Przyjął mnie z zaskakującą uprzejmością.

Wypił kilka dużych łyków wody i zaprosił mnie, bym usiadł. Zainteresowany zachowaniem Robledy, zapytałem go, czy dobrze wypoczął w nocy.

- Jestem taki zmęczony, chłopcze, taki zmęczony! — odparł.

- Rozumiem - powiedziałem zaniepokojony.

Robleda był niezwykle blady, miał podkrążone oczy, powieki same mu opadały. Wszystko wskazywało na to, że minionej nocy źle spał.

- Wczoraj trochę sobie porozmawialiśmy - rzekł jezuita po krótkiej chwili milczenia. - Proszę cię jednak, żebyś nie przejmował się zbyt tym, co ci powiedziałem. Chcąc nakłonić młode umysły do osiągania wyższych celów, duchowni często uciekają się do niewłaściwych figur retorycznych, do nadmiernego myślenia koncepcyjnego, do burzenia porządku składni. Młodzi, ze swojej strony, nie zawsze właściwie odbierają tego rodzaju podniety intelektualne i duchowe. Trudna sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, sprawia, że błędnie interpretujemy czyjeś słowa lub niewłaściwie formułujemy własne wypowiedzi. Proszę cię więc, żebyś zapomniał o wszystkim, o czym rozmawialiśmy, zwłaszcza o Jego Świątobliwości, naszym najdroższym papieżu Innocentym XI. Najbardziej zależy mi na tym, żebyś nie opowiadał o tych niedorzecznych, nieistotnych wywodach gościom gospody. Nasze odizolowanie mogłoby doprowadzić do nieporozumień. Sądzę, że mnie rozumiesz...

- Niech ojciec się nie martwi, i tak niewiele pamiętam z naszej rozmowy - skłamałem.

- Ach tak! - wykrzyknął Robleda. - Tym lepiej. Kiedy rozmyślałem o tym, co sobie powiedzieliśmy, niemal fizycznie odczułem wagę naszej rozmowy. Podobnie dzieje się, kiedy wchodzimy do katakumb, a tam, w podziemiach, czujemy nagle, że brakuje nam powietrza.

Kiedy jezuita odprowadził mnie do drzwi, pomyślałem, że te ostatnie słowa go zdradziły. W popłochu zacząłem szukać pomysłu, żeby go jeszcze bardziej zdemaskować.

- Wprawdzie obiecałem, że nie będę już o tym mówić, chciałem jednak zadać ojcu jeszcze jedno pytanie na temat Jego Świątobliwości Innocentego XI i papieży w ogóle - powiedziałem, zanim jezuita otworzył drzwi.

- Słucham.

- Zastanawiałem się - wyjąkałem - czy istnieje jakiś sposób, by ustalić, którzy z poprzednich papieży byli dobrzy, którzy najlepsi, a którzy święci.

- Ciekawe pytanie. Ja również myślałem o tym minionej nocy - powiedział Robleda jakby do siebie.

- A zatem udzieli mi ojciec odpowiedzi - powiedziałem z nadzieją na przedłużenie rozmowy.

Jezuita ponownie zaprosił mnie, bym usiadł. Wyjaśnił, że w ubiegłych wiekach często dyskutowano i prorokowano na temat papieży obecnych, byłych i przyszłych.

- A to dlatego - wyjaśnił - że wszyscy w tym mieście wiedzą, a raczej wydaje im się, że wiedzą, jakimi cechami powinien się odznaczać żyjący papież. Jednocześnie tęsknią za nieżyjącymi papieżami i mają nadzieję, że kolejny papież będzie lepszy od poprzedniego, a nawet wręcz anielski.

- Anielski papież?

- Czyli ten, który doprowadzi Kościół do jego pierwotnej świętości.

- Nie rozumiem - rzekłem z udawaną naiwnością. Jeśli tęskni się za dawnymi papieżami, a za ich życia tęskniło się za poprzednimi, oznacza to, że mamy coraz gorszych papieży. Czy można zatem wierzyć, że w przyszłości nastanie dobry papież?

- Na tym polega nedorzecznosc prorocत्व. Rzym zawsze był celem propagandy heretyków i wrogów papiestwa. Już w *Super Hieremiam* i *Oraculum Cyrilli* przepowiedziano upadek miasta, Tomasz z Pawii przedstawił wizję zaważenia się pałacu na Lateranie, a Robert d'Uzes i Giovanni Rupescissa ostrzegali, że miasto, którego zręby budował święty Piotr, stanie się siedzibą antychrysta.

Słuchając słów Robledy, poczułem wyrzuty sumienia, że wywołałem ten temat jedynie w celu uzyskania dokładniejszych informacji o kradzieży kluczy i pereł. Ale jezuita szykował się do dłuższej przemowy, ponieważ nie można pominąć, jak twierdził, prorocत्वa o Karolu Wielkim, który w dzień Sądu Ostatecznego odbędzie podróż do Ziemi Świętej, gdzie zostanie ukoronowany przez anielskiego papieża, oraz wizji świętej Brygidy grabieży Rzymu przez plemię germańskie.

Obraz zniszczenia i oczyszczenia siedziby papiestwa, trawionej chci-

wością i rozpustą, był niczym w porównaniu z *Apocalypsis nova* błogosławionego Amadeusza, w której nareszcie zostało powiedziane, że Pan Bóg wybierze pasterza dla swej trzody, który oczyści Kościół z grzechów, wyjawia wszystkie tajemnice i spełni pragnienia wszystkich ludzi. Z czterech stron świata przybędą królowie, żeby oddać Mu cześć, Kościoły wschodu i zachodu zjednoczą się, niewierni zostaną nawróceni na jedyną prawdziwą wiarę i nastanie *unum ovile et unus Pastor*.

- I to będzie właśnie anielski papież? - zapytałem po chwili zastanowienia, bo odniosłem wrażenie, że jezuita miał na myśli coś innego.

- Tak - odparł.

- Ojciec w to wierzy?

- Ależ chłopcze, nie zadaje się takich pytań! Odpowiem tak: wielu z tych rzekomych jasnowidzów przekroczyło granice herezji.

- A zatem ojciec nie wierzy w anielskiego papieża?

- Oczywiście, że nie. Ci, którzy zapowiadali nadejście anielskiego papieża, byli heretykami, albo jeszcze gorzej. Chcieli zaszcześcić ideę, że należy zniszczyć cały Kościół i że papież nie jest godny swojego urzędu.

- Który papież?

- Te bluźniercze ataki wymierzone były, niestety, we wszystkich papieży.

- Również w Jego Świątobliwość Innocentego XI?

Twarz Robledy spoważniała, a w jego oczach ujrzałem cień podejrzliwości.

- Powiedzmy, że wiele przepowiedni, jak już mówiłem, nawiązywało zarówno do zarania dziejów, jak i do przyszłości, aż po koniec świata. Dlatego też odnoszą się do wszystkich papieży, również do Jego Świątobliwości Innocentego XI.

- Co przepowiadają?

Zauważyłem, że Robleda podchodzi do tematu z mieszaniną niechęci i rozkoszy. Po chwili zaczął mówić nieco poważniejszym tonem, informując mnie, że jedno z prorocत्व zawierało imiona papieży, poczynawszy od roku 1100 do końca świata. Ponieważ od lat nie zajmował się niczym innym, wyrecytował z pamięci serię enigmatycznych określeń łacińskich: *Ex castro Tiberis, Inimicus expulsus, Ex magnitudine montis, Abbas subburranus, De rurę albo, Ex tetro carcere, Via transtiberina, De Pannonia Tusciae, Ex ansere custode, Lux in ostio, Sus in cribro, Ensis Laurentii, Ex schola exiet, De rurę bovensi, Comes signatus, Canonicus ex latere, Avis ostiensis, Leo sabinus, Comes laurentius, Jerusalem Campaniae, Draco depressus, Anguineus vir, Concionator gallus, Bonus comes...*

- Przecież to nie są imiona papieży! - przerwałem mu.  
- Właśnie że tak. Prorok odczytał je, zanim przyszedli na świat. Ich imiona zawarł w określeniach, które ci przed chwilą zacytowałem. Pierwszym z nich jest *Ex castro Tiberis*, co oznacza „z zamku nad Tybrem”. Papież kryjący się pod tymi słowami to Celestyn II, który urodził się w Citta di Castello, czyli „mieście zamkowym” na brzegu Tybru.

- Przepowiednia sprawdziła się.

- Oczywiście. Z kolei *Inimicus expulsus* to z pewnością Lucjusz II z rodu Caccianemici, czyli „wygnany nieprzyjaciół”, co jest dokładnym tłumaczeniem łacińskiego określenia. Papież numer trzy, *Ex magnitudine montis*, „z wielkości góry”, to Eugeniusz III, urodzony w zamku Grammont. Numer cztery...

- Zapewne chodzi o papieży żyjących bardzo dawno temu - przerwałem. - Nigdy nie słyszałem tych imion.

- To prawda, żyli wieki temu. Ale również papieże współcześni zostali dokładnie określani. *Jucunditas crucis*, „powab krzyża”, numer osiemdziesiąt dwa z proroctwa, to Innocenty X, którego wybrano na papieża czternastego września, w dzień Krzyża Pańskiego. *Montium custos*, „strażnik gór”, numer osiemdziesiąt trzy, to Aleksander VII, który założył „góry litości”, czyli lombardy. Numer osiemdziesiąt cztery, *Sydrus olorum*, „gwiazda łabędzi”, to Klemens IX, mieszkający w Watykanie w komnacie Łabędzi. Klemens X, numer osiemdziesiąt pięć, określony *De flumine magno*, „z dużej rzeki”, urodził się w domu nad Tybrem, w miejscu, gdzie woda rzeki przerwała groblę.

- Zatem przepowiednie spełniły się.

- Powiedzmy, że wiele osób tak twierdzi - odpowiedział wykrętnie Robleda.

To powiedziawszy, zamilkł, jakby oczekiwał dalszych pytań. Wymieniając imiona papieży, jezuita zatrzymał się na numerze osiemdziesiątym piątym, odpowiadającym papieżowi Klemensowi X.

- Jakie określenie towarzyszyło numerowi osiemdziesiąt sześć, czyli Jego Świątobliwości Innocentemu XI? - zapytałem z ożywieniem.

- Jest ono, powiedzmy sobie szczerze, dość ciekawe.

- To znaczy?

- *Belua insatiabilis* - rzekł Robleda obojętnym głosem - „nienasycona bestia”.

Z trudem przewyciężyłem zdziwienie i lęk. Wszystkie poprzednie określenia były niewinne, natomiast słowa na temat naszego papieża brzmiały srogo i przeraźliwie.

- Słowa te nie odnoszą się chyba do jego cech charakteru? - zapytałem.

Bardzo możliwe, że nie - zgodził się Robleda. - O ile dobrze pamiętam, w herbie rodowym papieża widnieje cętkowany lew i orzeł, a więc dwa nienasycone zwierzęta. Chyba tak należałoby tłumaczyć łacińską definicję - podsumował jezuita. - Nie przejmuj się - dodał. - Według przepowiedni w sumie będzie stu jedenastu papieży, a dziś panujący nosi numer osiemdziesiąt sześć.

- Kto będzie ostatnim papieżem?

Robleda zmarszczył brwi.

- Począwszy od Celestyna II, lista papieży liczy sto jedenaście osób. Pod koniec nastanie *Pastor angelicus*, anielski pasterz, o którym wcześniej wspomniałem, ale nie będzie on ostatni. Po nim przyjdzie jeszcze pięciu papieży, aż wreszcie, jak mówi przepowiednia, *in extrema persecutione Sacrae Romanae Ecclesiae sedebit Petrus romanus, qui pascet oves in multis tribulationibus; quibus transactis, civitas septicollis diruetur, et iudex tremendus iudicabit populum.*

- A więc powróci święty Piotr, Rzym zostanie zniszczony i nastąpi Sąd Ostateczny.

- Tak jest.

- Kiedy to się wydarzy?

- Już mówiłem: zgodnie z prorocstwem minie jeszcze dużo czasu. No, a teraz idź już! Nie powinienes zaniedbywać pozostałych mieszkańców gospody, wysłuchując tych bajek.

Byłem rozczarowany, że Robleda tak nagle przerwał rozmowę, nie dostarczając mi żadnych istotnych poszlak. Kiedy wychodziłem z pokoju, stojąc już w drzwiach, zadałem Robledzie ostatnie pytanie:

- Kto był autorem przepowiedni?

- Pewien święty mnich z Irlandii - odparł jezuita, wypychając mnie za drzwi. - O ile się nie mylę, nazywał się Malachiasz.

Byłem tak podniecony zasłyszanymi przed chwilą nowinami, że czym prędzej pobiegłem do pokoju Atta Melaniego, na drugim końcu korytarza, żeby mu o wszystkim opowiedzieć. Kiedy otworzył mi drzwi, zobaczyłem stertę papierów, książek, starych druków i plików listów, porozrzucanych beładnie na podłodze i na łóżku.

- Właśnie studiowałem - oznajmił, zapraszając mnie do środka.



- To on - powiedziałem zdyszany.  
Opowiedziałem Melaniemu o rozmowie z Robledą. O tym, że na początku jezuita wspomniął o katakumbach, a potem rozwodził się na temat różnych proroctw zapowiadających nadejście anielskiego papieża. Mówił też o przepowiedni o stu jedenastu papieżach, końcu świata i „nienasyconej bestii”, którą miał być nasz papież Innocenty XI. Na koniec dowiedziałem się, że autorem przepowiedni był irlandzki prorok Malachiasz...

- Spokojnie! Spokojnie! - przerwał mi Atto. - Obawiam się, że coś ci się pomyliło. Święty Malachiasz był irlandzkim zakonikiem żyjącym tysiąc lat po Chrystusie, a nie biblijnym prorokiem o tym samym imieniu.

Zapewniłem opata, że doskonale o tym wiem i nic mi się nie pomyliło, i dokładnie powtórzyłem ostatnie zdanie Robledy.

- Ciekawe - rzekł Atto. - W odstępie kilku zaledwie godzin słyszę o dwóch różnych prorokach Malachiaszach. To nie może być zwykły zbieg okoliczności. Ojciec Robleda wyznał ci, że poprzedniej nocy zastanawiał się nad przepowiednią świętego Malachiasza, a my w tym samym czasie znaleźliśmy w podziemiach fragment Księgi proroka Malachiasza. Udaje, że nie pamięta imienia świętego, który znany jest przecież na całym świecie. Mówi też o katakumbach. Nic zdziwiłbym się, gdyby to on ukradł klucze. Jezuita czynili znacznie gorsze rzeczy. Chciałbym się jednak dowiedzieć, czego szukał w podziemiach. Zaiste, bardzo ciekawe.

- Aby mieć całkowitą pewność, że złodziejem jest Robleda, musimy zajrzeć do jego Biblii - zauważyłem - i sprawdzić, czy stamtąd pochodzi wyrwana kartka.

- Słusznie! Mamy tylko jedną możliwość, aby to uczynić. Cristofano mówił, że niedługo odbędzie się wyczytywanie naszych nazwisk. W tym czasie wślizgniesz się do pokoju jezuita i poszukasz Biblii. Mam nadzieję, że wiesz, w którym miejscu Starego Testamentu znajduje się Księga Malachiasza.

- Po Księgach królewskich, wśród Ksiąg dwunastu proroków - odparłem pośpiesznie.

- Brawo! Ja nie mogę się ruszyć, bo Cristofano mnie obserwuje. Chyba się czegoś domyśla, bo pytał mnie, czy w nocy nie wychodziłem przypadkiem z pokoju.

W tej samej chwili usłyszałem głos wzywającego mnie lekarza. Szybko zszedłem do kuchni, gdzie Cristofano powiadomił mnie, że na ulicy już czekają ludzie z Bargello, gotowi ponownie sprawdzić listę gości. Na-

dzieją, którą wszyscy żywiliśmy, a mianowicie, że wynik bitwy pod Wiedniem odciągnie od nas uwagę strażników, okazała się płonna.

Cristofano był wyraźnie zaniepokojony. Jeśli Bedfordi nie zda egzaminu, z pewnością zostaniemy przeniesieni w inne miejsce i poddani surowszej kontroli. Cenne rzeczy będziemy musieli oddać do oczyszczenia ze szkodliwych czynników, polegającego na wystawieniu ich na działanie oparów z octu. Cristofano uprzedził nas, że kto z powodu epidemii dżumy rozstanie się chwilowo ze swoimi kosztownościami, odzyska zaledwie ich czwartą część.

Z polecenia lekarza goście, drżąc ze strachu, stłoczyli się na pierwszym piętrze, naprzeciw pokoju Pompea Dulcibeniego. Z prawdziwą rozkoszą ujrzałem Cloridię, która uśmiechnęła się do mnie smutno, świadoma (tak mi się przynajmniej wydawało), że nasze przykre położenie nie sprzyja intymnym rozmowom ani innego rodzaju poufałościom. Na końcu przybył lekarz w towarzystwie Devizego i Atta Melaniego. Sądziłem, że przyprowadzą Bedfordiego, ale myliłem się - Anglik nie był w stanie utrzymać się na nogach (co można było wywnioskować ze smutnego wyrazu twarzy Cristofana), a tym bardziej odpowiedzieć, gdy zostanie wyczytane jego nazwisko. Kiedy szli w naszą stronę, zauważyłem, że Atto i gitarzysta wymienili porozumiewawcze znaki.

Cristofano zaprowadził nas do pokoju i pierwszy stanął w oknie, pod którym czekali ludzie z Bargello, wyciągając szyje, żeby nas zobaczyć. Medyk przedstawił się, po nim wyczytano młodego i najwyraźniej zdrowego Devizego. Następnie w oknie stanęli kolejno: opat Melani, Pompeo Dulcibeni i ojciec Robleda. Potem nastąpiła krótka przerwa, podczas której ludzie z Bargello wymieniali jakieś uwagi. Zauważyłem, że Cristofano i ojciec Robleda byli zaniepokojeni, Dulcibeni zaś - zupełnie spokojny. Devize wyszedł z pokoju.

Inspektorzy (którzy nawet mnie, profanowi, nie wydali się doświadczeni w sztuce lekarskiej) zadali kilka ogólnych pytań Cristofanowi. Podszedłem do okna, żeby mnie obejrzel. Następnie przysła kolej na Cloridię. Żandarmi powitali ją ordynarnymi kpinami i aluzjami na temat różnych chorób, którymi kurtyzana mogła nas zarazić.

Nasze zdenerwowanie sięgnęło zenitu, kiedy przysła kolej na Pellegrina. Cristofano podprowadził go do okna, bez poniżających szturchańców. Lekarz drżał z wysiłku, żeby podtrzymać mojego pryncypała i pokazać strażnikom, że jest w dobrym stanie zdrowia.

Pellegrino uśmiechnął się do nieznanomych, z których dwaj wymienili pytające spojrzenia. Od Cristofana i Pellegrina dzieliło ich kilka metrów.

- Uprzedzałem cię! - krzyknął gniewnie Cristofano , wyciągając z kieszeni Pellegrina pustą butelkę po winie.

Pellegrino czknał.

- Zbyt długo rozmawiał z Grekiem - zażartował jeden ze strażników, mając na myśli słabość mojego pryncypała do greckiego wina.

Cristofanowi udało się wmówić ludziom z Bargello, że Pellegrino nie był chory, tylko pijany.

W tej samej chwili (nigdy nie zapomnę tej sceny) do pokoju wszedł Bedfordi. Stawiając długie kroki, podszedł do okna, gdzie troskliwie podtrzymał go Cristofano. Podobnie jak wszyscy pozostali byłem przerażony i oszołomiony, zupełnie jakbym ujrzał zmartwychwstanie. Odniosłem wrażenie, że widzę ducha, na twarzy Bedfordiego nie było bowiem śladu niedawnych dolegliwości. Ludzie z Bargello nie wyglądali na zaskoczonych, gdyż nie mieli pojęcia o cierpieniach Anglika.

Bedfordi rzekł w swoim języku coś, czego żandarmi nie zrozumieli.

- Powiedział, że pragnie stąd wyjść - wyjaśnił Cristofano.

Inspektorzy, mając w pamięci protesty Bedfordiego podczas poprzedniego sprawdzania listy i będąc pewni, że nie zostaną zrozumiani, zaczęli ordynarnie naigrawać się z Anglika. Bedfordi odpowiedział stekiem podobnych wyzwisk, aż Cristofano musiał odciągnąć go od okna. Po chwili cała nasza grupa opuściła pokój. Spoglądaliśmy po sobie, zaskoczeni niewytłumaczalnym uzdrowieniem Anglika.

Kiedy znalazłem się w korytarzu, rozejrzałem się dookoła, szukając Atta Melanico, w nadziei, że udzieli mi wyjaśnień. Dogoniłem go w chwili, gdy wchodził na schody prowadzące na drugie piętro. Spojrzał na mnie rozbawiony, przeczuwając, o co chcę zapytać, i zanucił żartobliwą piosenkę:

Fan battaglia i mici pensieri,  
e al cor dan fiero assalto.  
Cosi al core, empi guerrieri,  
fan battaglia, dan guerra i miei pensieri...\*

- Widziałeś? Bedfordi wyzdrowiał - powiedział, śmiejąc się.

- Jak to możliwe? - zapytałem z niedowierzaniem.

Atto zatrzymał się w połowie schodów.

- Sądziłeś, że agent specjalny króla Francji dałby się wywieść w pole

Walkę toczą me myśli, / szturmują dumne serce. / Tak na serce, nieszczęśni wojownicy, / nacierają i wojnę myślom wypowiadają...

jak mały chłopiec? - szepnął ironicznie. - Bedfordi jest młody, niski, z jasnymi włosami, i taki niewysoki blondyn pokazał się w oknie. Brytyjczyk ma niebieskie oczy, nasz dzisiejszy Bedfordi także był niebieskooki. Poprzednim razem Bedfordi wyklócał się, bo chciał wydostać się z gospody, uczynił to i tym razem. Mówi językiem niezrozumiałym dla ludzi z Bargello, którzy i tym razem nic nie zrozumieli. Jak zatem wyjaśnić tę zagadkę?

- To nie był on...

- No właśnie! Bedfordi leży półżywy w łóżku i modlimy się, żeby wyzdrowiał. Jak sobie zapewne przypominasz (jeśli chcesz być kronikarzem, musisz mieć dobrą pamięć), podczas poprzedniego sprawdzania listy było trochę zamieszania. Kiedy wezwano mnie, Cristofano podprowadził do okna Stilone Priasa, zamiast Dulcibenięgo - ojca Robledę i tak dalej. Udawał, że się pomylił. Czy według ciebie po całym tym korowodzie ludzie z Bargello mogli rozpoznać gości „Donzella”? W Bargello nie mają naszych podobizn, wszak nikt z nas nie jest papieżem ani królem Francji.

Milczałem.

- Zapamiętali tylko - wyjaśnił opat - że wśród gości jest młody dżentelmen o jasnych włosach, który wykrzykuje coś w nieznanym języku.

- A więc Bedfordi...

Urwałem, doznawszy olśnienia. W tej samej chwili dostrzegłem Devizego, który wchodził do swojego pokoju.

- ...gra na gitarze, mówi po francusku i czasami udaje, że zna angielski - podsumował Atto, uśmiechając się porozumiewawczo do Devizego - a dzisiejszego wieczoru włożył ubranie podobne do tego, jakie nosi nieszczęsny Bedfordi. Mógł po prostu założyć jego spodnie i koszulę, ale gdyby to zrobił, nasz przyjaciel Cristofano wysłałby nas prosto do lazaretu, albowiem nie wolno używać niczego, co należy do zadżumionych.

- Devize podszedł więc ponownie do okna zamiast Bedfordiego, a ja niczego nie zauważyłem!

- Niczego nie zauważyłeś, bo to było absurdalne, a rzeczy absurdalne, choć prawdziwe, najtrudniej dostrzec.

- Ale przecież w dniu zamknięcia gospody - przypominałem - ludzie z Bargello wzywali nas pojedynczo.

- Tak, ale panowała wówczas duże zamieszanie, a ponadto żandarmi zajęci byli blokadą całej ulicy. Od tamtej pory upłynęło trochę czasu. A poza tym w oknie jest krata. Za dwa-trzy dni sam będę miał trudności z rozpoznaniem naszych strażników. A propos, jakie oczy ma Bedfordi?

Zastanowiłem się przez chwilę i oznajmiłem z uśmiechem:

- Zezowate.

- Otóż to! Jeśli się dobrze zastanowić, zez stanowi najbardziej charakterystyczną cechę Anglika. Kiedy strażnicy dostrzegli wpatrzoną w nich parę niebieskich zezowatych oczu (Devize świetnie robi! zeza), nie mieli wątpliwości, że należą one do Anglika.

Milczałem, rozmyślając o całym zdarzeniu.

- Idź teraz do Cristofana - powiedział na pożegnanie Atto. - Z pewnością cię potrzebuje. Nie mów mu o drobnych sztuczkach, które z jego pomocą wprowadziłem w życie. Wstydzi się tego, co zrobiliśmy, bo sądzi, że zdradził reguły swojego zawodu. Nie ma racji, ale niech sobie myśli, co chce.

Kiedy spotkałem się z Cristofanem, przekazał mi pocieszające wiadomości. Właśnie rozmawiał z ludźmi z Bargello, zapewniając ich, że stan zdrowia wszystkich gości gospody nie budzi zastrzeżeń. Ustalono też, że każdego ranka pod okno gospody będzie przychodził specjalny wysłannik Bargello, któremu Cristofano osobiście przekaze wszelkie istotne informacje. Zwalniało nas to z obowiązku stawiania się w oknie przy sprawdzaniu listy, co musieliśmy do tej pory czynić (i co, jak dotąd, kończyło się dla nas pomyślnie).

- Dawniej taka swoboda byłaby nie do pomyślenia.

- Co pan ma na myśli?

- Pamiętam, co się działo w Rzymie podczas epidemii w tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym roku. Kiedy dotarła wieść, że w Neapolu odnotowano przypadki dżumy, zamknięto wszystkie drogi łączące obydwie miasta i w całej okolicy zakazano przemieszczania się ludzi i towarów. W cztery rejony Państwa Kościelnego wysłano komisarzy, którzy mieli czuwać nad wprowadzeniem w życie środków ostrożności; wzmocniono strażę nad morzem, aby ograniczyć liczbę przybywających statków; w samym Rzymie natomiast zamknięto niektóre bramy, a w tych, które pozostały otwarte, zainstalowano furtki, żeby kontrolować ruch ludzi.

- I to wszystko nie wystarczyło, by powstrzymać epidemię?

- Było już za późno - powiedział za smutkiem lekarz.

Pewien sprzedawca ryb z Neapolu, Antonio Ciothi, przybył do Rzymu w marcu, na miesiąc przed wybuchem epidemii, uciekając przed oskarżeniem o zabójstwo. Zatrzymał się w gospodzie nad Tybrem, w dzielnicy

Montefiore, i nagle zachorował. Żona właściciela gospody (Cristofano dowiedział się o tych szczegółach z rozmów ze świadkami wydarzeń) poleciła przewieźć neapolitańczyka do szpitala San Giovanni, gdzie młodzieniec po kilku godzinach zmarł. Wynik sekcji zwłok nie dawał żadnego powodu do niepokoju. Kilka dni później zmarła jednak żona gospodarza, a potem jej matka i siostra. Również i tym razem lekarze nie dopatrzili się w tym niczego niezwykłego, ale na wszelki wypadek wysłali do lazaretu właściciela gospody i jego pomocników. Dzielnica Trastevere została zamknięta. Aby stawić czoło epidemii, powołano specjalną Kongregację Zdrowia, a dla każdej dzielnicy - komisje. W ich skład weszli prałaci, arystokraci, chirurdzy i notariusze, którzy spisali wszystkich mieszkańców, odnotowując ich zawód, dochody, stan zdrowia. Dane przekazano Kongregacji Zdrowia, aby dać jej możliwość wysyłania lekarzy i niesienia pomocy rodzinom w potrzebie.

- Teraz cały Rzym zdaje się myśleć wyłącznie o bitwie pod Wiedniem - zauważył Cristofano. - Nasi trzej komisarze powiedzieli mi, że niedawno widziano papieża, który klęczał u stóp krzyża i płakał z lęku o cały świat chrześcijański. Rzymianie twierdzą, że skoro papież płacze, wszyscy powinniśmy drżeć ze strachu.

Medyk dodał, że wziął na siebie dużą odpowiedzialność, która w pewnej mierze spoczywa również na mnie. Od tej pory mieliśmy bardzo uważnie obserwować wszystkich gości, żeby dostrzec każdą zmianę w ich samopoczuciu. Za zaniedbania z naszej strony (Cristofano z pewnością poinformuje kogo trzeba o moich uchybieniach) grożą nam poważne konsekwencje. W szczególności powinniśmy przypilnować, aby nikt, pod żadnym pozorem, nie opuścił gospody przed końcem kwarantanny. W tym względzie będą nam pomocne strażę, które przez cały czas obserwują, czy nikt nie próbuje odbić desek i wyjść przez okno.

- We wszystkim będę panu posłuszny - obiecałem Cristofanowi, żeby mu się przypochlebić, choć z niecierpliwością oczekiwałem nadejścia nocy.

Zwolnienie nas z obowiązku stawiania się na sprawdzanie listy obecności, co przyjęliśmy skądinąd z zadowoleniem, przeszkodziło mi w realizacji planu Melaniego, nie udało mi się bowiem zajrzeć do Biblii ojca Robledy. Poinformowałem o tym opata, wsuwając pod drzwi jego pokoju bilecik, i czym prędzej wróciłem do kuchni, w obawie, że Cristofano (który kręcił się po gospodzie i badał pacjentów) przyłapie mnie na rozmowie z panem Attem.

Tymczasem Cristofano zawołał mnie z pokoju Pompea Dulcibeniego na pierwszym piętrze. Szlachcic z Fermo dostał ataku rwy kulszowej. Zastałem go leżącego na boku, jęczącego z bólu i zaklinającego lekarza, żeby jak najszybciej postawił go na nogi.

Cristofano w skupieniu badał Dulcibeniego. Podnosił mu wysoko jedną nogę, a ja w tym czasie zginałem w kolanie jego drugą nogę. Lekarz obserwował reakcję chorego, który wydawał okrzyki bólu. Na koniec Cristofano pokiwał głową.

- Już wiem. Trzeba przyłożyć plaster z kantaryd. Zaraz go przygotuję, a tymczasem ty, chłopcze, posmaruj pacjentowi lewy bok tym balsamem - powiedział, podając mi słoiczek.

Następnie Cristofano poinformował Dulcibeniego, że musi nosić plaster przez osiem dni.

- Osiem dni! Czy chce pan przez to powiedzieć, że tak długo muszę pozostać w łóżku?

- Ależ nie! Ból ustąpi wcześniej - uspokoił go medyk. Na pewno nie będzie pan mógł biegać, ale czy to ważne? Dopóki trwa kwarantanna, może pan co najwyżej kręcić młynka palcami.

Dulcibeni wymruczał coś pod nosem.

- Niech się pan pocieszy dodał Cristofano że młodsi od pana skarżą się na przeróżne dolegliwości. Na przykład ojcu Robledzie, choć nie daje tego po sobie poznać, od kilku dni dokucza reumatyzm. Musi być wyjątkowo wrażliwy, zważywszy, że w gospodzie nie ma wilgoci, a pogoda w tych dniach dopisuje.

Słyszając te słowa, aż podskoczyłem z wrażenia. Moje podejrzenia co do Robledy nasiliły się. Tymczasem patrzyłem z przerażeniem, jak medyk wyjmuje z torby buteleczkę wypełnioną martwymi chrząszczami. Po chwili trzymał w palcach dwa złocistozielone owady.

- To kantarydy - oznajmił Cristofano, podsuwając mi pod nos chrząszcze - wysuszone. Wspaniałe na pęcherze. Są też afrodyzjakami.

To powiedziawszy, zaczął kruszyć zeschłe owady nad kawałkiem mokrej gazy.

- A więc jezuita ma reumatyzm! - wykrzyknął Dulcibeni. - Dobrze mu tak! Przystanie wścibiać wszędzie nos!

- Co pan przez to rozumie? - zapytał lekarz.

- Nie wie pan, że Towarzystwo Jezusowe to banda szpiegów?

Serce skoczyło mi do gardła. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej, ale Cristofano nie wyglądał na zainteresowanego tematem i nie podjął rozmowy.

- Chyba nie mówi pan poważnie? - zapytałem stanowczym tonem,
- Owszem! - odparł Dulcibeni.

Jego zdaniem jezuita byli mistrzami w szpiegowaniu, nawet domagali się, by uczynić zeń przywilej zakonu, a kto robiłby to bez zezwolenia, zostałby surowo ukarany. Przed założeniem zakonu jezuitów również mnisi z innych zakonów maczali palce w intrygach Stolicy Apostolskiej. Wyznawcy świętego Ignacego byli w tym niezrównani. Papież zawsze mieszał się w najtajniejsze sprawy władców. Wiedząc, że jezuita są doświadczonymi szpiegami, uczynili z nich bohaterów. Wysyłali ich do najważniejszych miast, nadawali im przywileje i godności.

- Przepraszam - zaprotestował Cristofano - ale w jaki sposób jezuita nauczyli się tak dobrze szpiegować? Nie mogą widywać się z kobietami, które zawsze dużo mówią. Nie mogą zadawać się z kryminalistami i osobami niższego stanu...

- Odpowiedź jest prosta przerwał mu Dulcibeni. - Papież wyznaczył jezuitów na spowiedników nie tylko w Rzymie, ale we wszystkich miastach Europy. Wyznawali im swoje grzechy wszyscy — bogaci i biedni, królowie i wieśniacy. Słuchając w konfesjonale doradcy czy ministra stanu, poznawali ich zamiary. Posługując się wyuczoną retoryką, prowokowali do zwierzeń. Stolica Apostolska - perorował Dulcibeni - zwołała ich z innych powiności, aby mogli całkowicie poświęcić się spowiadaniu, wyciągając z tego jak najwięcej korzyści. Królowie Hiszpanii, na przykład, zawsze na swych spowiedników wybierali jezuitów i życzyli sobie, żeby ministrowie czynili podobnie. Inni władcy, którzy nie znali przebiegłości jezuitów, w swojej łatwowierności sądzili, że ojcowie mają jakiś szczególny dar wysłuchiwania spowiedzi. Stopniowo poszli w ślady króla Hiszpanii, decydując się na spowiedników z zakonu jezuitów.

- Ale chyba niektórzy ich przejrzeli? - wtrącił lekarz, rozdrabniając pokruszone owady lancetem.

- Oczywiście. Zdemaskowani przez jednych władców, służyli drugim w zależności od sytuacji, zawsze gotowi do zdrady. Oto dlaczego wszyscy ich kochają i nienawidzą- oświadczył Dulcibeni. - Są znieawidzeni, ponieważ bywają zatrudniani jako szpiegowie, kochani zaś dlatego, że nie ma lepszych szpiegów od nich. Są kochani, gdyż z własnej woli podejmują się szpiegowania, a znieawidzeni, gdyż korzyści przynoszą jedynie zakonowi, szkodzą zaś całemu światu. Jezuita - podsumował szlachcic z Marche - zasługują na wyłączność w dziedzinie szpiegowania, inni bowiem na ogół wpadają, zanim jeszcze zaczną szpiegować. Oni natomiast,



kiedy zdecydują się kogoś śledzić, chodzą za nim jak cień i nie spuszczaają z oczu. Podczas powstania w Neapolu szpiegowali Masaniella na zlecenie wicekróla Hiszpanii, a wicekróla Hiszpanii na zlecenie Masaniella. Czynili to tak zręcznie, że ani jeden, ani drugi niczego nie zauważył, jezuita natomiast upiekli dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Cristofano przyłożył Dulcibeniemu plaster posypany okruskami chrząszczy i obaj wyszliśmy z pokoju pacjenta. Pograżyłem się w rozmyślaniach. Wzmianka lekarza o dziwnym reumatyzmie Robledy oraz odkrycie, że hiszpańskiego jezuitę nauczono w seminarium raczej szpiegowania niż modłów, utwierdziły mnie w podejrzeniach co do jego osoby.

Kiedy szedłem do swojego pokoju (potrzebowałem odpoczynku po nieprzespanej nocy), zauważyłem, że jezuita z Cristofanem idą w kierunku otworu w podłodze, obok kuchni, do którego można było się załatwiać. Wobec tak sprzyjającej okazji w jednej chwili przeszedłem od myśli do czynu. Po cichu udałem się na drugie piętro, bezszelestnie otworzyłem drzwi pokoju Robledy i wślizgnąłem się do środka. Za późno! Usłyszałem kroki jezuita na schodach.

Wybiegłem na korytarz i w pośpiechu wróciłem do siebie, niezadowolony z porażki.

Najpierw postanowiłem sprawdzić, jak się miewa mój pryncypał. Zastałem go półleżącego na łóżku. Pomogłem mu się wypróżnić, po czym Pellegrino zadał mi kilka pytań na temat stanu swojego zdrowia, twierdząc, że tokański medyk traktuje go jak dziecko i nie mówi całej prawdy. Pocieszałem go, jak umiałem, podałem wodę do picia, ułożyłem w łóżku i głaskałem po głowie, aż zasnął.

Zamknąwszy się w moim pokoiku, wyjąłem zeszyt i opisałem wydarzenia ostatnich godzin. Czuję się bardzo zmęczony, więc notatki robiłem, szczerze mówiąc, dość chaotycznie.

Położyłem się na łóżku, ale nie mogłem zasnąć. Przeszkadzała mi w tym gonitwa myśli, które starałem się uporządkować. Stronica z Biblii, znaleziona przez Ugonia i Ciacconia, należała zapewne do Robledy, który zgubił ją w podziemnych korytarzach pod Piazza Navona. Prawdopodobnie to on był złodziejem kluczy i miał dostęp do podziemi. Pomoc, jakiej udzieliłem opatowi, kosztowała mnie wiele, musiałem też stoczyć bójkę z odrażającymi poszukiwaczami relikwii. Melani zdołał opanować sytuac-

cję, posłużywszy się fajką jako pistoletem. Kolejnym sukcesem opata był żart splątany wysłannikom Bargello, dzięki któremu nie ogłoszono epidemii dżumy, co więcej, nadzór nad mieszkańcami gospody został złagodzony. Czulem, że moja podejrzliwość w stosunku do Atta stopniowo maleje, ustępując miejsca wdzięczności i podziwowi. Nie mogłem się już doczekać kolejnej wyprawy w poszukiwaniu złodzieja, której spodziewałem się jeszcze tej nocy. Czy to, że opata podejrzewano o szpiegostwo i intrygi polityczne, mogło nam w jakiś sposób zaszkodzić? Przeciwnie - pomyślałem. Dzięki jego sprytowi mieszkańcom gospody nie groziło przeniesienie do lazaretu. Poza tym opat wtajemniczył mnie w szczegóły swojej misji, co świadczyło o jego zaufaniu do mnie. Wykraść Colbertowi list, ale jego postępowanie, jak sam podkreślał, wynikało z oddania królowi Francji. Nie miałem powodu, żeby mu nie wierzyć. Skrzywiłem się, przypomniawszy sobie stertę kości, która przygniotła mnie w podziemiach, i czym prędzej skierowałem uwagę na postać Melanicgo. Poczulem do niego głęboką wdzięczność. Prędzej czy później - rozmyślałem pogrążony w półśnie - opowiem mieszkańcom gospody o tym, jak rozprawił się z poszukiwaczami relikwii, unieszkodliwiając ich obietnicami i groźbami. Wyobrażałem sobie, że tak właśnie powinien zachowywać się agent specjalny króla Francji. Przykro mi, że brak talentu i doświadczenia nie pozwala mi w odpowiedni sposób opisać sieci sekretnych korytarzy w podziemiach miasta, odwagi i oddania agenta króla Francji, nas uwieczonych z powodu tajemniczej śmierci i podejrzenia epidemii, wreszcie historii nadintendenta Fouqueta, którego informatorzy Colberta kilka razy widzieli w Rzymie. Zасыpiając, prosiłem niebiosa, bym w przyszłości, jako kronikarz, zdołał opisać te niezwykle wydarzenia.

Nagle drzwi do mojego pokoiku (które powinienem był lepiej zamknąć) zaskrzypiały i się uchyliły. Nikt nie wszedł do środka, ale w szparze dostrzegłem jakiś ruch. Zerwałem się z łóżka i wyrząłem na korytarz. W odległości kilku kroków od drzwi stał pod ścianą Devize, z gitarą w ręku.

- Spałem - powiedziałem z wyrzutem. - Cristofano zabronił wychodzić z pokojów.

- Spójrz! - powiedział, wskazując na podłogę.

Schyliłem głowę i zorientowałem się, że stoję na warstwie trzeszczących kamyczków, po których stąpałem od chwili, gdy podniosłem się z łóżka. Przesunąłem dłonią po podłodze.

- To chyba sól - powiedziałem i polizałem palce. - Tak, to sól - potwierdziłem zaskoczony. - Ale kto ją rozsypał na podłodze?

- Moim zdaniem to... – rzekł Devize, podając mi jednocześnie gitarę, więc nie usłyszałem ostatnich słów.

- Co pan powiedział?

- To dla ciebie - rzekł z uśmiechem. - Zauważyłem, że podoba ci się moja gra.

Poczułem wzruszenie. Nie byłem pewien, czy potrafią wydobyć ze strun jakieś przyjemne dźwięki, nie mówiąc już o wdzięcznej melodii. Dlaczego jednak miałbym nie spróbować i nie zagrać tego cudownego fragmentu, który wykonywał francuski muzyk? Postanowiłem, że zagram od razu, w jego obecności, mimo że z pewnością będzie się ze mnie śmiać. Przytrzymałem gryf lewą ręką, a prawą zacząłem przesuwając po strunach wzdłuż otworu w pudle rezonansowym. Kiedy zaczynałem grać na ulubionym instrumencie Arcychrześcijańskiego Króla, nagle poczułem nieoczekiwane, choć przyjemne muśnięcie.

- Przyszedł do ciebie - rzekł Devizé.

Piękny pręgowany kot o zielonych oczach, miauczący z głodu, ocierał się o moją łydkę. Zaniepokoiłem się. Skoro kot dostał się do gospody - pomyślałem - to istnieje jakieś wejście, którego obaj z opatem Melanim nie znaleźliśmy. Chciałem o tym powiedzieć z Devizem, ale zniknął. Ktoś delikatnie potrząsnął mnie za ramię.

- Chyba miałeś zamknąć się w pokoju na klucz?

:

Otworzyłem oczy. Leżałem we własnym łóżku. Obudził mnie Cristofano, który polecił mi przygotować kolację i porzucić do pokoi. Wyrwany ze snu, niechętnie rozstałem się z moimi onirycznymi wizjami.

Zrobiłem porządek w kuchni, ugotowałem zupę z karczochów na wywarze z suszonej ryby, z olejem, cebulą i zielonym groszkiem, oraz zrazy z tuńczyka z sałatą. Do tego podałem po kawałku sera i ćwierć litra wina rozcieńczonego wodą. Wszystko posypałem, jak zwykle, dużą ilością cynamonu. Cristofano pomógł mi zanieść kolację Bedlbrdiemu, a następnie osobiście go nakarmił. Ja tymczasem dostarczyłem posiłek pozostałym gościom i nakarmiłem mojego pryncypała.

Kiedy się z tym uporałem, zapragnąłem zaczerpnąć świeżego powietrza. Długie dni odosobnienia, spędzone głównie w kuchni z zaryglowanym od zewnątrz wyjściem i kratą w oknie, sprawiły, że było mi duszno. Wróciłem do swojego pokoju i otworzyłem okno wychodzące na zaułek. Spojrzałem w dół, ale nie dostrzegłem żywej duszy oprócz strażnika, któ-

ry znudzony przysiadł pod murem na rogu via dell'Orso i wygrzewał się w letnim słońcu. Oparłem się łokciami o parapet i wciągnąłem głęboko powietrze do płuc.

- Turcy, prędzej czy później, zmierzą się z najpotężniejszymi władcami Europy.

- Ach tak? Z kim?

- Na przykład z Arcychrześcijańskim Królem.

- A zatem w końcu uściskną sobie ręce, nie będą musieli się już ukrywać.

Rozpoznałem głosy Brenoziego i Stilone Priasa, którzy mimo wzburzenia starali się rozmawiać szeptem. Ich rozmowa dochodziła z okna na drugim piętrze, gdzie zajmowali sąsiadujące ze sobą pokoje. Ostrożnie wysunąłem głowę na zewnątrz. Podobnie jak Pyram i Tysbe, para babilońskich kochanków, znaleźli sposób, żeby się spotkać i ominąć zakaz Crisstofana. Obdarzeni podobnym usposobieniem, niespokojni i wszystkiego ciekawi, a przy tym gaduły, dawali upust swojemu rozdrażnieniu.

Zastanawiałem się, czy nie skorzystać z okazji i nie dowiedzieć się czegoś więcej o tych dziwnych osobach, z których jedna była zbiegiem. Być może poznam jakiś szczegół istotny dla śledztwa prowadzonego przez opata Melaniego przy mojej skromnej pomocy.

- To Ludwik XIV jest wrogiem chrześcijaństwa, a nie Turcy! - oświadczył zniecierpliwiony Brenozzi. - Pod Wiedniem toczy się walka w obronie całego świata chrześcijańskiego i wszyscy władcy powinni przyjść miastu z pomocą. Tymczasem król Francji nie chce pomagać, bo ma w tym swój interes.

Jak już mówiłem, z plotek i rozmów z gośćmi gospody dowiedziałem się, że papież Innocenty XI nie szczędzi starań, by utworzyć Świętą Ligę do walki z Turkami. Na apel papieża odpowiedział król Polski, wysyłając czterdzieści tysięcy żołnierzy, którzy dołączyli do sześćdziesięcioletniej armii, jaką cesarz zgromadził pod Wiedniem przed swoją haniebną ucieczką z miasta. Do sprawiedliwej krucjaty dołączył następnie waleczny książę lotaryński, a w kierunku Wiednia zmierzało podobno jedenaście tysięcy żołnierzy bawarskich. Tymczasem Turkom udzielili poparcia kurucy, heretycy węgierscy, którzy po zerwaniu pokoju z cesarzem napadali na bezbronne miasta na szlaku między Budapesztem a Wiedniem. Nie wspomnę już o tym, że pomocna Turkom mogła się też okazać epidemia dżumy, która zagrażała oblężonym wiedeńczykom, wyczerpanym dyzenterią.

Chrześcijanie liczyli więc na pomoc Paryża, ale król Francji, jak powiedział Brenozzi, nie ruszył palcem.

- To hańba! - oświadczył Stilone Priaso. - A przecież jest to najpotężniejszy władca w Europie! Robi, co mu się żywnie podoba! Codziennie wymyśla jakiś nowy atak na Lotaryngię, Alzację...

- A kiedy siła nie wystarcza, stosuje przekupstwo. Wszystkim wiadomo, że król Francji kupuje innych władców, na przykład tego fajtlapę Karola, króla Anglii.

- To obrzydliwe! Obrzydliwe! Ma pan rację: chrześcijanie bardziej boją się Francji niż Turków - podsumował Stilone Priaso.

- Ależ oczywiście! Już lepszy Mahomet niż Francuzi. Ostrzelali z dział Genuę tylko dlatego, że nie oddała salwy honorowej na powitanie ich statków, kiedy przepływały w pobliżu.

Brenozzi zamilkł, rozkoszując się zapewne wrażeniem, jakie jego słowa wywarły na neapolitańczyku. Stilone zaś odpowiadał mu z werwą, przekazując swoje spostrzeżenia dla podtrzymania rozmowy.

Wychyliłem się ostrożnie z okna i obserwowałem z góry obydwu rozmówców. Rozemocjonowani wymianą zdań, odzyskali energię utraconą na skutek odosobnienia, a namiętność do polityki sprawiła, że zapomnieli o zagrożeniu dżumą. Podobnie zachowywali się pozostali goście. Kiedy Cristofano lub ja składaliśmy im wizytę, której często towarzyszyły ostre zapachy medykamentów i olejków do nacierania, stawali się rozmowni i skłonni do intymnych zwierzeń.

- W całej Europie powiedział Stilone Priaso - jedynie książe Wilhelm Orański, stale zaciągający pożyczki, zdołał pokonać Francuzów, którzy mają góry pieniędzy, i doprowadzić do podpisania pokoju w Nijmegen.

Kolejny raz w rozmowie naszych gości pojawiła się postać Wilhelma Orańskiego, którego imię usłyszałem z ust majaczącego Bedfordiego, a także opata Melaniego. Zaciekał mnie ten szlachetny, biedny Dawid, którego wojskowe sukcesy były równie sławne jak jego długi.

- Dopóki Arcychrześcijański Król nie zaspokoi swojej żądzy podboju - stwierdził Brenozzi - w Europie nie zapanuje pokój. A wie pan, kiedy to nastąpi? Kiedy głowę króla Francji ozdobi cesarska korona.

- Ma pan na myśli Święte Cesarstwo Rzymskie, jak sądzę.

- Ależ oczywiście! Król Francji chce zostać cesarzem. Pragnie korony, którą Karol Habsburg odebrał Franciszkowi 1, jego przodkowi, zdobywając ją za pieniądze.

- Tak, tak, rozumiem, księżęta elekcyjni, o ile się nie mylę...
- Bravo! Ma pan dobrą pamięć. Jeśli Karol Habsburg nie kupiłby ich, dzisiaj cesarzem byłby Francuz. A teraz król Francji chce odzyskać tę koronę i zemścić się na Habsburgach. Oto dlaczego Francji jest na rękę inwazja turecka, która prowadzi do osłabienia cesarstwa na wschodzie. Francja tymczasem dąży do zajęcia nowych terytoriów na zachodzie.
- I kleszcze się zamkną.
- Otóż to!

Z tego właśnie powodu - mówił Brenozzi - kiedy Innocenty XI wezwał mocarstwa europejskie do zjednoczenia się w walce z Turkami, Arcychrześcijański Król i Pierworodny Syn Kościoła odmówił wysłania swoich wojsk, mimo że błagali go o to wszyscy chrześcijańscy władcy. Co więcej, król Francji zaproponował cesarzowi haniebny układ: ogłosi neutralność, jeśli zostaną mu oficjalnie przyznane wszystkie bandyckie zdobycze.

- Miał czelność nazwać swoje żądania umiarkowanymi. Ale cesarz, mimo że ma nóż na gardle, nie ugiął się. Teraz Arcychrześcijański Król wyzbywa się wrogości. Myśli pan, że odczuwa wyrzuty sumienia? Niepodobnego! Jest to zagranie taktyczne. Czekaj, aż Wiedeń padnie, bo wtedy pójdzie mu łatwiej. Podobno już od końca sierpnia oddziały francuskie czekają w gotowości, by wyruszyć na Holandię.

Słowa Brenozziego skłoniły mnie do zastanowienia. Przysłuchując się rozmowie obydwu mężczyzn, odczuwałem rozgoryczenie. Jakiemuż to władcy służył Atto Melani? Prawdę mówiąc, szczerze polubiłem opata i, niezależnie od obrotu spraw, nadal uważałem za swojego mistrza.

Kolejny raz, padając ofiarą własnej ciekawości, usłyszałem mimo woli rzeczy, o których wolałbym nigdy się nie dowiedzieć.

- To jeszcze nic! - dodał Brenozzi zjadliwie. - Słyszał pan ostatnią nowinę? Turcy chronią francuskie statki handlowe przed piratami. Tym sposobem handel ze Wschodem znalazł się w rękach Francji.

- Co będą z tego mieli Turcy? - zapytał Stilone.

- Nic - zaśmiał się ironicznie Brenozzi. - Może tylko... zwycięstwo pod Wiedniem.

Kiedy rozpoczęło się oblężenie miasta - wyjaśnił Brenozzi - Turcy wykopali sieć okopów i tuneli sięgających murów miasta. Umieścili też ładunki wybuchowe, z których pomocą dokonali kilku wyłomów w murach obronnych. Zastosowana przez nich technika do złudzenia przypomina metody, w których wyspecjalizowali się Francuzi.

- Chce pan przez to powiedzieć, że Francuzi są w zмовie z Turkami? - podsumował Priaso.

- Nie ja tak twierdę, ale wojskowi eksperci spod Wiednia. Oddziały Arcychrześcijańskiego Króla nauczyły się sztuki kopania tuneli i okopów od dwóch żołnierzy w służbie Wenecji, podczas obrony Kandii. Sekret dotarł następnie do Vaubana, inżyniera wojskowego króla Francji. Vauban udoskonalił tę technikę, wykonując okopy pionowe do instalowania ładunków wybuchowych oraz okopy poziome, którymi oddziały przemierzają się z jednego punktu obozu do drugiego. To zaiste zabójczy fortel. Odpowiedniej wielkości wyrwa w murze otwiera nieprzyjaciółom drogę do obleganego miasta. A teraz, zupełnie nieoczekiwanie, tą samą techniką posługują się Turcy w Wiedniu. Pana zdaniem to przypadek?

- Proszę mówić ciszej! - upomniał go Stilone Priaso. Niech pan nie zapomina, że tuż obok mieszka opat Melani.

Słusznie! Ten szpieg francuski, który jest opatem, podobnie jak hrabia Dónhoff. Ma pan rację, przerwijmy rozmowę! - odparł Brenozzi.

Pożegnali się i cofnęli do wnętrza pokojów.

Ponownie ogarnęły mnie wątpliwości. Co oznaczało to porównanie z nieznanym mi hrabią? Kiedy zamykałem okno, przypomniała mi się ignorancja Melaniego w dziedzinie Biblii, co było dość zastanawiające, jako że był opatem.

- Gitara, kot i sól - powiedziała Cloridia ze śmiechem. Tym razem mamy coś ciekawszego.

Kiedy sprzątałem w kuchni, myślałem tylko o jednym: pójść do niej. Słowa Brenozzię wymagały oczywiście sprawdzenia, ale z tym można było poczekać do nocy, kiedy opat Melani przyjdzie po mnie, żeby zabrać mnie na kolejną wyprawę do podziemi.

Zaniosłem jedzenie gościom, unikając rozmowy z tymi, którzy (jak Robleda i Devize) pod różnymi pretekstami pragnęli mnie zatrzymać. Spieszno mi było do pięknej Cloridii. Poszedłem do niej i bez żadnego wstępu zażądałem interpretacji drugiego niezwykłego snu, który przyśnił mi się od chwili, kiedy ludzie z Bargello zamknęli gospodę.

- Zacznijmy od rozsypanej soli - powiedziała Cloridia. - Uprzedzam cię jednak, że to niedobry znak. Oznacza morderstwo lub przeszkodę w realizacji planów.

Usłyszawszy te słowa, nie potrafiłem ukryć rozczarowania.

- Trzeba jednak dokładnie przeanalizować każdy przypadek - dodała czym prędzej - albowiem nie zawsze sen dotyczy śniącego. Może też dotyczyć osoby, która się śni, czyli Devizego.

- A gitara?

- Oznacza głęboki smutek albo pracę niedającą zadowolenia. Jak na przykład wieśniak, który pracuje cały rok bez pożytku, malarz, architekt czy muzyk, których nikt nie zna i nie docenia. Gitara to właściwie synonim melancholii.

Byłem przygnębiony, ponieważ w jednym śnie wystąpiły dwa negatywne symbole, do których Cloridia dodała niekorzystną interpretację.

- Kot wróży cudzołóstwo i rozpustę - oznajmiła.

- Przecież nie jestem żonaty.

- Małżeństwo nie jest potrzebne do uprawiania rozpusty - odparła Cloridia, zalotnie okręcając wokół palca pukiel włosów. - A jeśli chodzi o cudzołóstwo, to pamiętaj, że każdy znak musi być dokładnie przeanalizowany.

- To nie zmienia faktu, że nie mam żony. Jestem kawalerem, koniec i kropka!

- Niczego nie rozumiesz! - skarciła mnie łagodnie Cloridia. - Sny interpretuje się też na odwrót. Są zatem niezawodne, ponieważ można im przypisać zarówno treści dobre, jak i złe.

- W takim razie sen można zinterpretować na dwa zupełnie odmienne sposoby - podsumowałem.

- Tak sądzisz? - spytała, poprawiając włosy na karku. Uniesione w górę ramiona podkreśliły wypukłość jej jędrnych piersi. Usiadła na stołku, ja zaś nadal stałem. - Czy mogłabym cię o coś prosić? - zapytała, rozwiązując aksamitną wstążkę z kameą, którą miała na szyi. - Pomóż mi ją zawiązać, bo w lustrze dobrze nie widzę. Zawiąż ją trochę niżej, ale nie za nisko. Nie ściskaj zbyt mocno, bo mam delikatną skórę.

Starając się mi pomóc, trzymała ramiona uniesione nad głową, przesadnie eksponując dekolty, który odsłaniał piersi sto razy piękniejsze niż ukwiecone łąki Kwirynału i tysiącokrotnie doskonalsze niż sklepienie Bazyliki Świętego Piotra.

Widząc, że się zaczerwieniłem z zażenowania, Cloridia skorzystała z okazji, by nie odpowiedzieć na moją uwagę. Wróciła do tematu, podczas gdy ja zawiązywałem jej na szyi wstążkę.

- Niektórzy twierdzą, że sny, które śnimy tuż przed wschodem słońca, odnoszą się do przyszłości, te, które miewamy, kiedy słońce wschodzi, do terażniejszości, wreszcie sny śnione po wschodzie słońca - do prze-



sności. Sny, które śnią się latem i zimą, możliwie o wschodzie słońca, są pewniejsze niż sny śnione wiosną czy jesienią. Zdaniem innych sny z okresu Bożego Narodzenia i Zwiastowania zapowiadają rzeczy trwałe i pewne, te natomiast, które śnimy w czasie świąt ruchomych (jak Wielkanoc), wróżą rzeczy zmienne i niepewne. Jeszcze inni... Nie, nie tak, trochę ciśnie. Dlaczego drżą ci ręce? - spytała z drwiącym uśmiechem.

- Właściwie już skończyłem, nie chciałem...

- Spokojnie, spokojnie! Mamy dużo czasu - zapewniła Clordia, widząc, że po raz piąty nie udało mi się zawiązać wstążki. - Jeszcze inni - ciągnęła, jeszcze bardziej odstaniając szyję i zbliżając piersi do moich dłoni - mówią, że w Battrianie znajduje się kamień o nazwie Eumetris. Kiedy trzyma się go pod głową podczas snu, sprawia, że sny się spełniają. Niektórzy stosują w tym celu inne środki, takie jak perfumy z mandragory i mirtu, wodę z werbeny lub proszek z liści laurowych. Zaleca się też mózdzek kota wymieszany ze startym na papkę starym nietoperzem, zawinięty w kawałek czerwonej skóry, lub figę nadziewaną odchodami gołębia i proszkiem z koralu. Zapewniam cię, że wszystkie te sposoby są niezwykle ekscytujące...

Schwyciła moje dłonie i spojrzała na mnie z rozbawieniem, ciągle bowiem nic zdołałem uporać się z kameą. Moje palce, niezgrabnie zaplątane we wstążkę, były lodowate, podczas gdy jej aż paliły. Nagle wstążka wysunęła się z moich rąk i zsunęła Clordii za dekolci.

- Najważniejsze jest to - ciągnęła, trzymając mnie za ręce i spoglądając mi prosto w oczy - żeby sny były wyraźne, długie i wiarygodne. Jeśli przyśni ci się, że nie jesteś żonaty, można to zinterpretować w dwójaki sposób: że wkrótce się ożenisz albo że po prostu nie masz żony. Rozumiesz?

- Czy mój sen można interpretować zgodnie ze znaczeniem symboli, czy na odwrót?

- Tego ci nie mogę powiedzieć.

- Dlaczego? - zapytałem, zapuszczając żurawia w pachnący rowek, w którym zniknęła wstążka.

- To proste, mój drogi: bo mi nie zapłaciłeś.

Przestała się uśmiechać, zdecydowanym ruchem odpychając moje dłonie, wyjęła zaa dekolci wstążkę i zręcznie zawiązała ją sobie na karku. Wcale nie potrzebowała mojej pomocy.

Pogrążony w głębokim smutku, zszedłem po schodach, przeklinając cały świat, który nie chciał nagiąć się do moich życzeń. Pragnąłem, żeby

pochłonęło mnie piekło, gdyż okazałem się tego świata nieporadnym interpretatorem. Po co ja, nieszczęsny, opowiedziałem Cloridii swoje sny? Jak mogłem być taki naiwny i łudzić się, że bez pieniędzy zdobędę jej przychyłność? Jak mogłem liczyć na to, że właśnie przede mną Cloridia otworzy *liberaliter* swoje serce, a nawet więcej, skoro może to uczynić przed tysiącem innych, wspanialszych ode mnie i bardziej tego godnych mężczyzn? Czy nie powinna była wzbudzić moich podejrzeń propozycja, którą złożyła mi podczas obydwu konsultacji na temat snów, abym położył się na łóżku, podczas gdy ona usiadła na krześle u wezglowia? Jej niespodziewana prośba powinna była przypomnieć mi o sprzedajnym charakterze naszych spotkań.

Snując te smutne rozważania, stanąłem pod drzwiami swojego pokoju, gdzie, ku mojej radości, ujrzałem opata Melaniego, zniecierpliwionego czekaniem. Przywitawszy się ze mną, głośno kichnął, narażając nas na to, że Cristofano dowie się o naszym spotkaniu.

## Noc czwarta

*z 14 na 15 września 1683 roku*

Tym razem tunele pod gospodą pokonałiśmy pewnym krokiem i znacznie szybciej niż poprzedniej nocy. Wziąłem ze sobą złamaną wędkę Pellegrina, ale Melani nie chciał badać sklepień korytarzy. Śpieszyliśmy się na ważne spotkanie, a zważywszy na okoliczności, nie mogliśmy się spóźnić. Opat zauważył mój zły humor, uśmiechnął się i zanucił, czyniąc aluzję do moich wizyt w wieżycze Clorodii.

Speranza, al tuo pallore  
so che non speri piu.  
E pur non lasci tu  
di lusingarmi ii core...\*

Nie miałem najmniejszej ochoty wysłuchiwać drwin opata, postanowiłem więc go uciszyć, zadając pytanie, które nie dawało mi spokoju, odkąd dowiedziałem się o tym z rozmowy Brenozziego z Priasem.

- Czy jestem opatem? Cóż za pytanie?!

Przeprosiłem go i wyjaśniłem, że zdaję sobie sprawę z niestosowności tego pytania, lecz pan Angiolo Brenozzi długo rozmawiał przez okno ze Stilonc Priasem, poruszając różne tematy, jak na przykład stosunek Arcychrześcijańskiego Króla do imperium osmańskiego i Stolicy Apostolskiej. Wśród różnych opinii wygłoszonych przez weneccjanina znalazło się też stwierdzenie, że Melani jest opatem tak jak hrabia Dónhoff.

- Hrabia Dónhoff... brawo! - powiedział opat, uśmiechając się cynicznie. - Pewnie nie wiesz, kim jest Dónhoff. Chodzi o rezydenta polskiego w Rzymie. Ostatnio jest bardzo zajęty, bo pieniądze, które Innocenty XI wysłał do Polski na walkę z Turkami, przechodzą przez jego ręce.

Nadziejo, do twej jasności, / wiem, że już nie masz nadziei. / A jednak nie pozwalasz / łudzić się memu sercu...

- Ale co to ma wspólnego z panem?

- To tylko złośliwa insynuacja. Hrabia Jan Kazimierz Donhoff nie jest opatem, lecz komendantem Zakonu Ducha Świętego, biskupem Ceseny i kardynałem tytularnym kościoła San Giovanni w Porta Latina. Ja natomiast jestem opatem Beaubec z dekretu Jego Wysokości Ludwika XIV, zatwierdzonego przez radę królewską. Brenozzi miał zapewne na myśli, że jestem opatem z woli króla Francji, a nie papieża. O czym jeszcze gawędzili? - zapytał kpiąco Melani, podejmując dalszą wędrówkę.

Streściłem opatowi rozmowę obu panów w oknie, w której Brenozzi opowiadał o rosnącej potęgze króla Francji, o tym, że chce on zjednoczyć się z Turkami przeciw cesarzowi i mieć wolną rękę w zajmowaniu kolejnych ziem, przez co ściągnął na siebie wrogość papieża.

- Ciekawe - rzekł Melani - wenecki rzemieślnik nienawidzi Korony francuskiej, a sądząc ze złośliwego komentarza, mnie też nie darzy sympatią. Muszę o tym pamiętać.

Spojrzał na mnie, mrużąc oczy, wyraźnie poirytowany. Wiedział, że winien jest mi wyjaśnienie na temat swojego tytułu opata.

- Czy wiesz, co to jest prawo regaliów?

- Nie, panie Atto.

- Prawo nominowania biskupów i opatów oraz rozporządzania ich dobrami.

- Jest to zatem prawo papieża.

- Nnnie, w żadnym razie! - zaprotestował Atto. - Posłuchaj uważnie, ponieważ może ci się to przydać w przyszłości, kiedy zostaniesz kronikarzem. Kwestia jest niezwykle delikatna: kto dysponuje dobrami Kościoła znajdującymi się na terenie Francji? Papież czy król? Nie chodzi tylko o prawo mianowania biskupów, przyznawania przywilejów i prebend duchownym, ale także o materialne posiadanie klasztorów, opactw, ziem...

- W istocie, trudno powiedzieć...

- Wiem. Papież i królowie Francji sprzeczali się o tę kwestię już czterysta lat temu. Żaden król chętnie nie oddaje kawałka królestwa papieżowi.

- Czy rozstrzygnięto spór?

- Tak, ale pokój skończył się wraz z nastaniem obecnego papieża Innocentego XI. W ubiegłym wieku prawnicy doszli w końcu do wniosku, że prawo regaliów przysługuje królowi Francji. Przez długi czas nikt nie podważał tego orzeczenia. Ostatnio jednak pojawili się dwaj francuscy biskupi (dziwnym zbiegiem okoliczności są jansenistami), którzy powrócili do sprawy, a Innocenty XI natychmiast ich poparł. Spór rozgorzał na nowo.

- Gdyby nie nasz papież, nikt nie dyskutowałby o prawie regaliów.
- Otóż to! Tylko jemu mogło przyjść do głowy, żeby w tak niezręczny sposób skłócić Stolicę Apostolską z Pierworodnym Synem Kościoła.
- O ile dobrze zrozumiałem, pan, panie Atto, został mianowany opatem przez króla Francji, a nie przez papieża - podsumowałem, nie kryjąc zaskoczenia.

Melani mruknął coś potwierdzająco, przyspieszając kroku.

Odniosłem wrażenie, że Atto Melani nie ma ochoty zgłębiać tematu. Ja natomiast pozbyłem się wątpliwości, które nurtowały mnie od chwili, gdy w kuchni usłyszałem rozmowę Cristofana, Stilone Priasa i Devizego o mrocznej przeszłości Atta. Wątpliwości powróciły, kiedy czytaliśmy stronicę z Biblii znalezionej przez poszukiwaczy relikwii. Nieznajomość Pisma Świętego świadczyła, że Melani, zgodnie z prawem regaliów, uzyskał nominację z rąk króla. Nie był zatem prawdziwym duchownym, lecz zwykłym śpiewakiem kastratem, któremu Ludwik XIV przyznał tytuł i pensję.

- Nie ufaj zbyt wiele weneccjanom! - powiedział nagle Atto. - Aby poznać ich prawdziwą naturę, wystarczy popatrzeć, jaki mają stosunek do Turków.

- Co pan ma na myśli?

- Prawda jest taka, że weneccjanie, ze swoimi galerami pełnymi przypraw, tkanin i innego rodzaju towarów, zawsze prowadzili handel z Turkami. Teraz ich sklepy podupadły, ponieważ pojawiła się konkurencja, między innymi Francuzów. Zapewne Brenozzi mówił też o tym, że Arcychrześcijański Król czeka, aż Wiedeń padnie, żeby bez przeszkód zająć elektoraty niemieckie i cesarstwo, a następnie podzielić się wszystkim z Turkami. Kiedy Brenozzi napomknął o Dónhoffie, insynuował, że przyjechałem do Rzymu po to, aby poprzeć jakiś francuski spisek. Nie zapominaj, że właśnie z tego miasta, z woli Innocentego XI, napływają do Wiednia pieniądze na pomoc dla obłożonych.

- A zatem Brenozzi nie ma racji - podsumowałem, oczekując potwierdzenia.

- Nie przybyłem tu, żeby zastawiać sidła na chrześcijan, chłopcze, a Arcychrześcijański Król nie spiskuje z Osmanami - wyjaśnił poważnym tonem.

- Osmanami?

- Czyli z Turkami. - Po chwili dodał: - Zapamiętaj! Kruki fruują stadami, a orzeł samotnie.

- Co pan ma na myśli?  
- Abyś myślał po swojemu. Jeśli wszyscy mówią: w prawo, ty idź w lewo.

- Czy godzi się sprzymierzać z Turkami?

Po chwili milczenia, nie patrząc mi w oczy, Melani oświadczył:

- Jego Wysokość nie powinien mieć żadnych skrupułów w odnawianiu przymierzy, które władcy chrześcijańscy zawarli w przeszłości z Turkami.

Jak mi wyjaśnił, z Osmanami układało się kilkudziesięciu królów i książąt chrześcijańskich. Florencja zwróciła się do Mahometa II o pomoc w walce z królem Neapolu Ferdynandem I. Wenecja, chcąc przepędzić Portugalczyków, którzy utrudniali jej handel ze Wschodem, posłużyła się siłami sułtana Egiptu. Cesarz Ferdynand Habsburg był nie tylko sojusznikiem, ale też lennikiem i podatnikiem Sulejmana, którego prosił, haniebnie się poniżając, o tron Węgier. Kiedy Filip II dokonywał podboju Portugalii, aby udobruchać króla pobliskiego Maroka, podarował mu kilka posiadłości, wydając chrześcijańskie ziemie w ręce niewiernych. Nawet papież, tacy jak Paweł 111, Aleksander VI i Juliusz II, kiedy zaszła potrzeba, zwracali się o pomoc do Turków.

Ojcowie kazuiści i przedstawiciele szkół katolickich zadawali sobie pytanie, czy chrześcijańscy władcy popełnili grzech. Niemal wszyscy autorzy włoscy, niemieccy i hiszpańscy utrzymywali, że nie. Przyznali nawet, że chrześcijański władca może poprzeć niewiernych w walce z innym chrześcijańskim władcą.

- Ich opinia - mówił opat - opiera się na autorytecie i rozsądku. W Biblii, która jest dla nas autorytetem, czytamy, że Abraham walczył dla króla Sodomy, a Dawid przeciw synom Izraela. Nie mówiąc już o przymierzach Salomona z królem Hiramem i Machabeuszami z Lacedemonczykami i Rzymianami, którzy byli poganami.

Pomyślałem, że Melani zna jednak Biblię, zwłaszcza fragmenty dotyczące polityki.

- Rozsądek natomiast - ciągnął opat z przekonaniem - wynika z tego, że Bóg jest twórcą natury i religii, dlatego też nie można twierdzić, że to, co słuszne dla natury, nie jest słuszne dla religii, chyba że jakiś boski nakaz każe nam w to wierzyć. W przypadku wymienionych przeze mnie władców nie istnieją boskie nakazy, które potępiałyby takie przymierza, zwłaszcza jeśli są one konieczne. Prawo natury natomiast nakazuje nam uznać za słuszne wszystkie rozsądne rozwiązania, od których zależy nasze przetrwanie.

Zakończywszy swój wykład, opat Melani spojrział na mnie pytająco.

- Chce pan przez to powiedzieć, że król Francji może sprzymierzyć się z Osmanami w obronie własnej? - zapytałem z lekkim zdziwieniem.

- Oczywiście! Aby strzec swoich ziem i religii katolickiej przed cesarzem Leopoldem I, którego podle zamiary łamią prawa boskie i ludzkie. Leopold sprzymierzył się z heretycką Holandią, zdradzając prawdziwą wiarę, ale wtedy nikt nie protestował. Teraz wszyscy pomstują na Francję, która winna jest tylko tego, że broni się przed Habsburgami i innymi władcami Europy. Ludwik XIV od początku swojego panowania walczy jak lew, żeby nie dać się zmiażdżyć.

- Kto miałby go zmiażdżyć?

- Przede wszystkim Habsburgowie: z jednej strony cesarstwo wiedeńskie, z drugiej Madryt, Flandria i hiszpańskie dominia we Włoszech. Z północy zagraża mu Anglia i potęga morską, jaką jest Holandia. Jak gdyby tego było mało, również papież jest jego wrogiem.

- Skoro tyle państw uważa, że Arcychrześcijański Król stanowi zagrożenie dla wolności w Europie, to chyba musi być w tym trochę prawdy. Sam pan mówił...

- To, co powiedziałem o królu, nie jest teraz ważne. Nigdy niczego nie przesądza, staraj się rozpatrywać każdy przypadek oddzielnie. Pamiętaj, że w stosunkach między państwami nic nie jest jednoznaczne. W konflikcie winę ponoszą najczęściej obydwie strony, a oprawcy w jednej chwili mogą stać się ofiarami i na odwrót. Pamiętaj o tym, w przeciwnym razie staniesz się igraszką mamony.

Opat zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym głęboko westchnął.

- Nie ma sprawiedliwości na tym świecie mówił dalej ze smutnym uśmiechem. - Kiedyś dowiesz się, jak bardzo jest zwodnicza. Jedyne Bóg jest sprawiedliwy. Strzeż się władcy, który utrzymuje, że jest uczciwy i miłosierny, a swoich przeciwników oskarża o służenie szatanowi. Taki król jest tyranem i despotą, nie kieruje się Ewangelią, lecz nienawiścią.

- Niestety, bardzo trudno to rozpoznać! zawołałem niepocieszony.

- Trudniej, niż myślisz. Jak już mówiłem, kruki fruwały stadami, a orzeł samotnie.

- Czy znajomość tych wszystkich prawd pomoże mi w pracy kronikarza?

- Przeciwnie, będzie przeszkodą.

Szliśmy dalej w milczeniu. Zastanawiałem się nad maksymami opata, które wprawiły mnie w osłupienie. Zaskoczyło mnie zwłaszcza zdecydowanie, z jakim Melani bronił Arcychrześcijańskiego Króla, mimo że kiedy opowiadał o Fouquecie, przedstawił Ludwika XIV jako władcę despotycznego i aroganckiego. Podziwiałem Atta, choć młody wiek nie pozwolił mi w pełni zrozumieć jego cennych nauk.

- Trzeba ci też wiedzieć - dodał opat Melani - że król Francji nie musi spiskować przeciw Wiedniowi, bo jeśli cesarstwo padnie, winę za to poniesie tchórzliwy cesarz Leopold. Kiedy Turcy podeszli pod Wiedeń, zbiegł o zmroku niczym złodziej. Zdesperowany lud okładał pięściami jego karetę. Brenozzi wiedział o tym. Świadkiem tej haniebnej sceny był bowiem ambasador Wenecji w Wiedniu. Możesz przyznać Brenozziemu rację, nie zapominaj jednak, że kiedy papież Odescalchi wezwał państwa Europy do walki z Turkami, na jego apel nie odpowiedziała Francja i... Wenecja!

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zarzuty, które Brenozzi wysuwał przeciw Francji, Atto Melani zrećcznie wykorzystał przeciw Leopoldowi I i Wenecji, domyślił się też, o co podejrzewał go wenecki rzemieślnik. Nie miałem jednak czasu, żeby dłużej zastanawiać się nad przenikliwością mojego towarzysza, dotarliśmy bowiem do miejsca, gdzie wczoraj czyhali na nas Ugonio i Ciacconio. Po kilku minutach, zgodnie z umową, pojawili się obaj poszukiwacze relikwii.

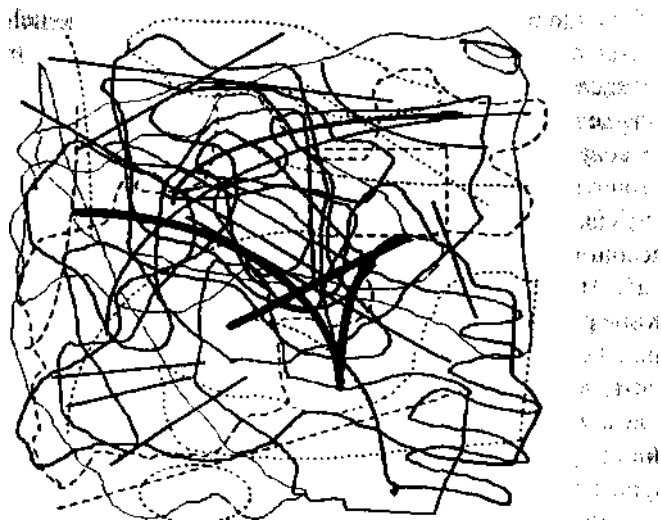
Jak miałem okazję przekonać się jeszcze kilkakrotnie, trudno było ustalić, skąd nadchodzi. Ich przybycie zapowiadał ostry kozi odór, woń spleśniałego jedzenia, mokrego siana - mieszanina zapachów, typowych dla żebraków krążących po ulicach Rzymu. Po chwili z ciemności wynurzały się ich pochylone sylwetki. W pierwszej chwili Ugonio i Ciacconio jawili się jak istoty z piekła.

- I ty to nazywasz mapą?! - wykrzyknął zniecierpliwiony opat Melani. - Jesteście osłami, niczym więcej! Chłopcze, weź ten papier i podrzyj nim tyłek Pellegrina!

Wszyscy czterej usiedliśmy właśnie wokół lampy, aby sfinalizować umowę zawartą poprzedniej nocy. Opat był wściekły. Podał mi karteczkę, którą wręczył mu Ciacconio. Kiedy przyjrzałem się rysunkowi, nie potrafiłem ukryć rozczarowania.

Zgodnie z układem, jaki zawarliśmy z poszukiwaczami relikwii, mieli-





śmy im zwrócić ich upragnioną stronę z Biblii, jeśli dostarczą nam dokładny plan podziemnych korytarzy Rzymu, poczynszy od lochów pod gospodą. Gotowi byliśmy wywiązać się z umowy (także dlatego, że zdaniem Atta poszukiwacze relikwii mogli nam się jeszcze przydać) i oddać zaplamioną krwią kartkę, ale nie za ten brudny strzęp, który dawno temu był papierem, przedstawiający gmatwaninę linii, bez początku i końca. Rysunek był zupełnie nieczytelny, a papier pogięty i tak zniszczony, że w każdej chwili mógł się rozsypać. Atto kipiał ze złości. Rozmawiał ze mną, jakby dwaj osobnicy siedzący naprzeciw nas w ogóle nie istnieli.

- Mogliśmy się tego spodziewać. Kto ryje cały czas pod ziemią, jak zwierzę, nie nadaje się do niczego innego. Teraz będziemy potrzebowali ich pomocy, żeby nie zgubić się w tych korytarzach.

- Gfrrrlulbh! - zaprotestował Ciacconio, urażony.

- Milcz, głupcze! A teraz posłuchajcie! Odzyskacie stronę z Biblii wtedy, gdy uznam to za stosowne! Przyjaźnię się z kardynałem Cybo, papieskim sekretarzem stanu. Mogę sprawić, że wasze relikwie nie otrzymają świadectwa autentyczności i nikt tych śmieci, które tu gromadzicie, od was nie kupi. Będziecie nam służyć, z Malachiaszem czy bez niego. Teraz pokażcie nam, którędy wychodzi się na zewnątrz.

Poszukiwacze relikwii wystraszyli się nie na żarty. Ciacconio stanął na czele naszej czwórki i wskazał jakiś bliżej nieokreślony punkt w ciemnościach.

- Zupełnie nie wiem, jak oni to robią - szepnął mi do ucha Atto Melani, widząc mój niepokój - ale zawsze znajdują drogę po ciemku, bez lampy, jak szczury. Chodźmy za nimi! Nie bój się!

Wyjście z lochu pod Piazza Navona, które odnaleźliśmy z pomocą poszukiwaczy relikwii, znajdowało się na drugim końcu placu, po przeciwnej stronie schodów, którymi zeszlśmy do podziemi. Aby przedostać się do wyjścia, musieliśmy przycisnąć się przez tak niski tunel, że Ugonio i Ciacconio, i tak już pochyleni z powodu garbów, musieli się niemal czołgać. Atto złościł się i przeklinał, bo pobrudził sobie rękawy i piękne czerwone pończochy wilgotną ziemią.

Opat, bez względu na to, czy znajdował się w swoim pokoju, czy w podziemiach gospody, zawsze miał na sobie elegancki strój. Nosił ubrania uszyte z kosztownych tkanin - genueńskiej satyny, serży, hiszpańskiej ratyny, wielbłądziej wełny, sukna z Irlandii - zdobionych kunsztownymi haftami, koronkami, lamówkami, falbankami, frędzlami, pomponami, kokardkami, naszywkami i wstążkami. W swoich kufrach nie miał zwykłego ubrania, zmuszony był więc skazać te piękne wyroby na tak żałosny koniec.

Przycisnęliśmy się przez otwór i znaleźli w korytarzu podobnym do tych, które odchodziły od „Donzella”. W chwili gdy znalazłem się po drugiej stronie przejścia (co przyszło mi łatwiej niż innym), zaczęła mnie nurtować pewna wątpliwość. Opat Melani wykazał szczerą chęć schwytania złodzieja kluczy i pereł, który miał prawdopodobnie coś wspólnego ze śmiercią pana de Mourai. Później jednak wyznał mi, że przybył do Rzymu, żeby rozwiązać zagadkę obecności Fouqueta w mieście. Zastanawiałem się, czy ten pierwszy powód w wystarczającym stopniu tłumaczy jego zapał do naszych nocnych eskapad. Skłaniałem się raczej ku drugiej przyczynie. Tak bardzo się cieszyłem, że mogę obcować z osobą równie wyjątkową jak okoliczności, w których ją poznałem, że roztrząsanie tych wątpliwości postanowiłem odłożyć na później.

Przeszliśmy kilkadziesiąt metrów i natrafiliśmy na nowy tunel, odbijający w lewo, tej samej szerokości co główny korytarz. Kilka kroków dalej znajdował się następny tunel, a z prawej strony otwierało się coś w rodzaju pieczary, której końca nie mogliśmy dostrzec.

- Gfrrrlulbh - oznajmił Ciacconio, przerywając milczenie.
- Przetłumacz - powiedział oschle Atto, zwracając się do Ugonia.
- Ciacconio powiedziawszy, że można też wyjść tędy.
- W porządku. Dlaczego więc nie wychodzimy?

- Ciacconio nie wie, czy chcecie wydestawczy się tędy, czy zaryzykować i wydestawczy się tamtędy.

- Pytasz, czy wolimy wyjść tędy, czy jakimś innym wyjściem? Skąd mogę wiedzieć? Zrobimy tak: najpierw trochę się tu rozejrzemy, a potem zdecydujemy. Chyba nie jest trudno zorientować się w tych tunelach?

- Gfrrrlulbh? - zapytał swojego kompana zaciekawiony Ciacconio.

- Ciacconio wątpiwszy, czy właściwie zrozumiałwszy - przetłumaczył Ugonio.

- Powiedziałem, żebyśmy rozejrzeli się trochę w tych tunelach, które nie są chyba zbyt skomplikowane. Wszyscy się zgadzają?

Usłyszawszy słowa opata, Ugonio i Ciacconio wybuchnęli gromkim, demonicznym śmiechem. Turlali się po ziemi i tarzali w błocie, pochrząkując i głośno puszczając wiatry. Groteskowego obrazu dopełniały łyżki płynące im z oczu. Zupełnie nie potrafili nad sobą zapanować.

- Bardzo śmieszne skomentował cierpko opat Melani, domyślając się, podobnie jak ja, że ten zwierzęcy wybuch radości był zemstą za to, jak zareagowaliśmy na plan rzymskich podziemi, który dla nas sporządzili.

Kiedy łowcy relikwii przestali się turlać po ziemi i w końcu się uspokoiłi, udzielili nam wyjaśnień.

W barwnym, typowym dla siebie narzeczu Ugonio wytłumaczył nam, że jemu i jego kompanowi bezsensowna wydała się propozycja, aby *breviter el commoditer* zbadać podziemia pod Piazza Navona czy wręcz pod całym miastem. Od wielu, wielu lat poszukiwacze relikwii starali się bowiem dociec, czy korytarze podziemnego miasta mają jakiś logiczny układ i czy w razie zabłądzenia można znaleźć wyjście z tego labiryntu. Oto dlaczego ciągnął Ugonio - powinniśmy z wdzięcznością przyjąć sporządzony przez nich plan podziemnego Rzymu. Nikt dotąd nie wykonał podobnej mapy, nikt też nie zna sieci korytarzy i jaskiń tak dobrze jak oni. Skoro nic potrafiliśmy docenić ich doświadczenia (niedostępnego innym - podkreślił Ugonio), więc...

Atto i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Gdzie jest ten plan? - zapytaliśmy jednocześnie.

- Gfrrrlulbh - odparł cicho Ciacconio, rozkładając ręce.

- Ciacconio przypomina, że wasze wielmożności zezłościwszy się i wyrzuciwszy plan - oznajmił poważnie Ugonio. Jego towarzysz pochylił głowę, głośno czknął i wypluł na dłoń obrzydliwą papkę, w której można było dostrzec niestrawione strzępki planu.

Oniemieliliśmy.

- Kiedy Ciacconiowi lub komu innemu coś się nie podobawszy, czasami to zjadawszy - wyjaśnił Ugonio.

Byliśmy bezradni. Plan (którego wagę dopiero teraz doceniliśmy) trafił do żołądka Ciacconia, który, jak twierdził jego kolega, miał zwyczaj pochłaniać wszystko, co nie podobало się jemu lub jego znajomym. Ważny rysunek, niemal całkowicie strawiony, przepadł na zawsze.

- Czy on jada coś innego? - zapytałem oszołomiony.

- Gfrrrlulbh - odparł Ciacconio, wzruszając ramionami i dając nam tym samym do zrozumienia, że nie przywiązuje zbytnej wagi do swego menu.

Jak powiedział nam Ciacconio, drugie rozwidlenie, które zaczynało się od niewielkiej groty i skręcało w prawo, prowadziło wprawdzie na powierzchnię, ale spory kawałek stąd. Atto uznał, że warto zbadać korytarz skręcający w lewo. Zawróciliśmy więc i zagłębiliśmy się w tunel. Po kilkudziesięciu metrach Ugonio złapał opata za łokieć.

- Ciacconio wyczuwszy czyjaś obecność.

- Te dwa potwory sugerują, że ktoś jest w pobliżu - poinformował mnie półgłosem Atto.

- Gfrrrlulbh - potwierdził Ciacconio, wskazując korytarz, którym przyszliliśmy.

- Zapewne ktoś nas śledzi. Ja i Ciacconio zostaniemy tutaj, w ciemnościach - postanowił opat Melani. - Wy dwaj pójście powoli naprzód z zapalonymi lampami. Złapiemy go, kiedy zacznie iść za światłem.

Bez entuzjazmu przyjąłem polecenie opata. Melani i Ciacconio pozostali w ciemnościach, a ja z bijącym sercem podążyłem za Ugoniem.

Przeszliliśmy około dwudziestu-trzydziestu metrów i zatrzymaliśmy się, nasłuchując. Panowała kompletna cisza.

- Ciacconio wyczuwszy czyjaś obecność i jakiś liść - szepnął mi do ucha Ugonio.

- Chciałeś powiedzieć: jakiś liść?

Ugonio przytaknął skinieniem głowy.

W tunelu pojawiła się jakaś postać. Naprężyłem wszystkie mięśnie. Nie wiedziałem, czy powinienem zaatakować, czy - co bardziej naturalne - uciekać. Odetchnąłem, gdy w zbliżającej się postaci rozpoznałem Atta. Dał nam znak, żebyśmy do niego podeszli.

- Nie śledzi nas - rzekł, gdy znaleźliśmy się blisko niego. - Idzie w innym kierunku. Wszedł do głównego tunelu, tego, który zaczyna się

zaraz za ciasnym przejściem. Chodźmy za nim. Prędej, bo stracimy go z oczu.

Wróciliśmy do Ciacconia, który stał nieruchomo jak posąg, z uniesioną głową, jakby węszył.

- Gfrrrlulbh.

- Młodzian zdrów i przerażon - przetłumaczył Ugonio.

- Młody mężczyzna, zdrowy, przestraszony - przełożył Atto.

Skręciliśmy w lewo, ponownie zagłębiając się w korytarz główny i przyświecając sobie jedną lampą. Po kilku minutach ujrzelśmy w oddali słabe światło. Atto dał mi znak, bym zgasił lampę. Szliśmy teraz na palcach, bezszelestnie.

Podążaliśmy za światłem tajemniczego wędrowca, jego samego nie widząc, ponieważ tunel lekko skręcał w prawo. Utrzymywaliśmy stały dystans. Gdybyśmy podeszli za blisko, mógłby nas zobaczyć i umknąć.

Nagle pod moją stopą coś zaszeleściło. Okazało się, że nadepnąłem na zeschnięte liście.

Zatrzymaliśmy się, wstrzymując oddech. Tajemnicza postać również stanęła. W tunelu panowała całkowita cisza. Po chwili usłyszeliśmy jakiś szelest, który stawał się coraz bliższy. Od ściganego odłączył się jakiś cień i zmierzał w naszą stronę. Przygotowaliśmy się do ataku. Poszukiwacze relikwii stali nieruchomo, z głowami ukrytymi w kapturach. W półcieniu spostrzegłem, że Atto trzyma w dłoni błyszczący przedmiot. Zapominając o strachu, uśmiechnąłem się: to była z pewnością fajka.

Za zakrętem ujrzelśmy na ścianie tunelu cień potwora. Dostrzegliśmy zarys podłużnej czaszki porośniętej sierścią. Ciało było bezkształtne i nieproporcjonalne. Przerazająca istota, którą chcieliśmy schwycić, zbliżała się groźnie w naszą stronę. Zdrętwieliśmy ze strachu. Potwór był coraz bliżej. Nagle zatrzymał się.

- Precz stąd! - syknął opat.

Podskoczyliśmy wylęknieni, a ja omal nie zemdlałem. Któryś z nas krzyknął. Olbrzymi cień na ścianie zmalął, przyjmując normalne proporcje. Naszym oczom ukazała się żywa istota - monstrualnie wielki szczur. Zamiast czmychnąć na widok ludzi (jak szczur, na którego natrafiliśmy podczas pierwszego wypadu do podziemi) zbliżał się niepewnie w naszą stronę. Wyglądał na chorego.

- Obrzydliwa gadzina! Przestraszyłeś mnie! - powiedział nieznajomy.

Światło lampy zaczęło się oddalać. Zanim ponownie ogarnęły nas ciemności, wymieniliśmy z Attem spojrzenia. Podobnie jak ja rozpoznał głos Stilone Priasa.

Ominąwszy zdychającego szczura, kontynuowaliśmy pościg. Na skutek zaskakującego odkrycia gubiłem się w domysłach. Niewiele wiedziałem o Priasie. Podawał się za poetę, choć z pewnością nie utrzymywał się wyłącznie z pisania wierszy. Mimo że nie nosił drogich ubrań, wyglądał na człowieka dobrze sytuowanego, zarabiającego więcej niż przeciętny wierszokleta. Od samego początku podejrzewałem, że ma inne źródło dochodów. Teraz, gdy ujrzałem go niespodziewanie w podziemiach, moje wątpliwości nasiliły się.

Idąc za Priasem, dotarliśmy do wąskich schodów prowadzących w górę. Wokół nas panowały całkowite ciemności. Wchodziliśmy po schodach gęsiego: na przodzie Ciacconio, tuż za nim ja. Garbus informował mnie o zmianie trasy lekkim uderzeniem w ramię.

W pewnej chwili zatrzymał się, ale zaraz podjął marsz. Stopnie skończyły się. Poczułem na twarzy powiew wilgotnego powietrza. Słyszając echo naszych kroków, domyśliłem się, że dotarliśmy do dużego pomieszczenia. Ciacconio zawahał się. Atto poprosił mnie, żebym zapalił lampę. Kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do światła, rozejrzałem się wokoło. Znajdowaliśmy się w olbrzymiej sali, której ściany pokryte były treskami. Pośrodku znajdował się jakiś duży marmurowy przedmiot, ale dokładnie go nie widziałem. Ugonio i Ciacconio również wyglądali na zaskoczonych tym nieznanym miejscem.

- Gfrrrlulbh - poskarżył się Ciacconio.
- Smród świadczy o czyjejś obecności - wyjaśnił Ugonio.

Miał na myśli ostry zastarzały odór uryny unoszący się w powietrzu. Atto patrzył z podziwem na ściennie malowidła, wśród których można było dostrzec podobizny ptaków, kobiecych twarzy, atletów, kunsztowne motywy roślinne i barwne fryzy.

- Nie mamy czasu - powiedział po chwili. - Nie pozwólmy mu uciec!

Z sali były dwa wyjścia. Ciacconio, kierując się powonieniem, wskazał nam drogę. Szybkim krokiem poprowadził nas przez labirynt sal, których nie mogliśmy obejrzeć zarówno z powodu pośpiechu, jak i słabego oświetlenia. Brak okien, świeżego powietrza i ludzi świadczył o tym, że nadal znajdujemy się pod ziemią.

- To rzymskie ruiny - rzekł Atto podniecony. - Chyba jesteśmy pod Palazzo della Cancellaria.

- Dlaczego pan tak sądzi?
- Znajdujemy się w dużym labiryncie, co wskazuje na budowlę po-

każnych rozmiarów. Weź pod uwagę, że na budowę tego pałacu wyburzono połowę Koloseum i cały łuk Jordana.

- Był pan tam kiedyś?

- Oczywiście! Dobrze znałem wicekanclerza, kardynała Barberiniego, któremu wyświadczyłem nawet kilka przysług. Pałac jest olbrzymi, sale wspaniałe, a elewacje z trawertynu całkiem niebrzydkie, choć...

Tu opat musiał przerwać swoją opowieść, Ciacconio bowiem zaczął wspinać się po stromych schodach bez poręczy. Szliśmy gęśiego za nim. Schody wydawały się nie mieć końca, wreszcie znaleźliśmy się w dużym i ciemnym pomieszczeniu.

- Gfrrrlulbh! - wykrzyknął radośnie Ciacconio, otwierając drzwi wychodzące na ulicę.

W tej samej chwili, półżywi ze strachu i zmęczenia, znaleźliśmy się na zewnątrz. Z przyjemnością nabrałem powietrza w płuca. Po pięciu dniach zamknięcia w gospodzie „Donzello” mogłem w końcu odetchnąć pełną piersią.

Ucieszyłem się, że wiem, gdzie się znajdujemy. Często przychodziłem tu z panem Pellegrinem po artykuły żywnościowe do gospody. Z radością rozpoznałem łuk dęgli Acetari, niedaleko Campo di Fiori i Piazza Farnese. Ciacconio znowu zadarł głowę do góry, złapał wiatr w nozdrza i bezbłędnie poprowadził nas w stronę placu.

Zaczął padać drobny deszczyk. Na placu dostrześliśmy jedynie dwójkę zebraków, siedzących na ziemi z całym swoim nędznym dobytkiem, oraz chłopca, który pchał wózek. Kiedy dotarliśmy do małej uliczki po drugiej stronie placu, Ciacconio wskazał niewielki pałacyk. Nazwy tej uliczki nie mogłem sobie przypomnieć.

Okna pałacyku były ciemne. Mimo że na ulicy nikogo nie było, Ugonio i Ciacconio dla bezpieczeństwa wzięli nas w środek. Podeszliśmy do niedomkniętej bramy, zza której dochodziły przytłumione głosy. Gdy ją ostrożnie otworzyłem, ujrzeliśmy schody prowadzące w dół, gdzie za kolejnymi drzwiami znajdowało się oświetlone pomieszczenie, w którym ktoś rozmawiał.

Atto zszedł pierwszy, ja tuż za nim. Kiedy znaleźliśmy się na dole, poculiśmy pod stopami prawdziwy dywan z katek papieru. Atto schylił się, by podnieść jedną z nich. W tej samej chwili głosy zbliżyły się i dobiegały tuż zza drzwi.

- ...w sumie czterdzieści skudów - powiedział jeden z rozmówców.

Wbiegliśmy po schodach i wyszliśmy na zewnątrz, zamykając za sobą

bramę, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Z Ugoniem i Ciacconiem ukryliśmy się za rogiem pałacyku.

Zobaczyliśmy, jak z bramy wychodzi Stilone Priaso. Rozejrzawszy się wokoło, udał się szybkim krokiem w kierunku łuku degli Acetari.

- Co teraz? - zapytałem.

- Teraz zastawimy sidła - odparł Atto. Szepnął coś do ucha Ugoniowi i Ciacconiowi, którzy odpowiedzieli przytłumionym śmiechem i truchtem pobiegli za Stilone Priasem.

- A my?

- Wracamy. Ugonio i Ciacconio będą na nas czekać w podziemiach, ale najpierw załatwią pewną sprawę.

Wracaliśmy dłuższą drogą, żeby nie przechodzić środkiem Campo di Fiori, gdzie ktoś mógłby nas zobaczyć. Znajdowaliśmy się niedaleko ambasady francuskiej i jak słusznie zauważył Melani, mogliśmy się natknąć na nocne strażę. Ze względu na późną porę stróże z ambasady woleliby zapewne nas okraść i poderżnąć nam gardła niż zatrzymać.

- Jak ci chyba wiadomo, w Rzymie istnieje niezależność dzielnic. Papiescy szpicle i ludzie z Bargello nie mogą nikogo aresztować w pobliżu ambasad. Ostatnio ten system staje się zbyt wygodny dla złodziei i zbiegłych morderców. Oto dlatego strażnicy nie bawią się w subtelności. Mój brat Aleksander, który jest kapelmistrzem kardynała Pamfilego, przebywa teraz, niestety, poza Rzymem, w przeciwnym razie dałby nam eskortę.

Wróciliśmy do podziemi. Dzięki Bogu lampy były całe, więc zagłębiliśmy się w labirynt korytarzy w poszukiwaniu sali ozdobionej freskami. Już myśleliśmy, że zgubiliśmy drogę, kiedy nagle z jakiegoś niewidocznego korytarzyka wynurzyli się poszukiwacze relikwii.

- Czy rozmowa przebiegła pomyślnie? - zapytał Atto.

- Gfrrrlulbh! - odparł Ciacconio z uśmiechem zadowolenia. .

- Co im powiedzieliście? - zapytałem zaniepokojony.

- Gfrrrlulbh.

Czknięcie Ciacconia uspokoiło mnie. Odniosłem dziwne wrażenie, że powoli, jakimś cudownym sposobem, zaczynam rozumieć mowę łowcy relikwii, brzmącą zawsze jednakowo.

- Ciacconio trochę go postraszywszy - wyjaśnił Ugonio.

- Wyobraź sobie, że nigdy wcześniej nie widziałeś naszych dwóch przyjaciół - rzekł Atto - a oni nagle cię atakują z krzykiem, w ciemno-



ściach, w jakimś podziemnym tunelu. Jeśli poprosiliby cię o przysługę, obiecując, że z chwilą gdy ją spełnisz, pozostawią cię w spokoju, co byś uczynił?

- To, o co proszą.

- Słusznie! Oni spytali po prostu Stilone Priasa, co robił dzisiejszej nocy.

Ugonio streścił nam rozmowę z Priasem i oto czego się dowiedzieliśmy: nieszczęsny Stilone Priaso udał się do człowieka o nazwisku Komarek, który w dzień pracował w drukarni Kongregacji Propaganda Fide, a nocą wykonywał pokątnie prace zleczone, żeby sobie dorobić. Drukował gazety, listy anonimowe, pozycje z *Indeksu ksiąg zakazanych* i inne zabronione pisma, za co kazał sobie słono płacić. Stilone Priaso, na prośbę przyjaciela z Neapolu, zlecił mu wydrukowanie kilku listów z przepowiedniami politycznymi. Właśnie dlatego przebywał w Rzymie.

- Drukowali też Biblię? - spytał Atto.

- Nie - powiedział Ugonio o Biblii Stilone nic nie wiedział, niczego też nie wziął z drukarni Komarka, ani jednej kartki.

- Zatem to nie on zgubił w podziemiach kartkę ze śladami krwi. Czy jesteście pewni, że powiedział prawdę?

- Gfrrrlulbh - odparł ze śmiechem Ciacconio.

- Ze strachu się posusiał - oznajmił wesoło Ugonio.

Łowcy relikwii przeszukali Stilone Priasa i znaleźli maleńką, zniszczoną broszurkę, którą prawdopodobnie stale nosił przy sobie. Atto zaczął czytać w świetle lampy:

## TRAKTAT ASTROLOGICZNY'

O tym, jak gwiazdy na niebie działają  
na korzyść i szkodę rzeczy niższych w roku 1683  
SPORZĄDZONY WEDŁUG DŁUGOŚCI I SZEROKOŚCI  
najjaśniejszego miasta Florencji  
PRZEZ BARTOLOMMEA ALBIZZINI FIORENTINO  
i przez niego samego dedykowany  
Wielmożnemu i Czcigodnemu Panu  
G10:CLAUDIO BUONVISI  
Ambasadorowi Najjaśniejszej Republiki Lukki  
z woli Najjaśniejszego Kosima III, Wielkiego Księcia Toskanii

- Popatrz! Popatrz! Gazeta astrologiczna! – wykrzyknął i zanucił wzbudzając pełne podziwu chrząknięcia Ciacconia:

Son faci le Stelle  
che spirano ardore...\*

- Uuuhh, ładny głos! - rzekł z uznaniem Ugonio.

- Kronikarz, rozumiem - ciągnął Atto, nie zwracając uwagi na poszukiwaczy relikwii - ale żeby Stilone Priaso parał się astrologią sądową, tego się nie spodziewałem.

- Jak pan się domyślił, że Stilone jest kronikarzem?

- Intuicja. W każdym razie z pewnością nie wyglądał na poetę. Poeci są melancholikami, a jeśli nie popiera ich jakiś książę czy kardynał, od razu można ich rozpoznać, ponieważ szukają pretekstu, żeby przeczytać ci swoje wycieczki. Poza tym źle się ubierają i próbują wprosić się na obiad czy kolację. Stilone natomiast ma wygląd, wymowę i oczy osoby o pełnym brzuchu. Jednocześnie jest powściągliwy jak Pompeo Dulcibeni i nie gada od rzeczy jak Robleda.

- Co to jest astrologia sądowa?

- Chyba wiesz, czym zajmują się astrologowie?

- Mniej więcej. Czytają przeszłość w gwiazdach.

- Na ogół tak, ale nie tylko. Dobrze zapamiętaj to, co ci teraz powiem, jeśli chcesz zostać kronikarzem. Istnieją dwa rodzaje astrologów: zwyyczajni i sądowi. Wszyscy zgadzają się co do jednego, mianowicie, że gwiazdy i planety, oprócz wytwarzania światła i ciepła, mają tajemnicze właściwości i wywierają wpływ na ciała niższe.

Szliśmy tym samym tunelem, w którym przeraził nas cień szczura.

- Astrologowie sądowi idą jednak dalej, prowadząc niebezpieczną grę - mówił opat Melani. - Nie zadowolają się stwierdzeniem, że gwiazdy i planety mają wpływ na przyrodę, ale rozciągają ten wpływ na ludzi. Znajac miejsce i datę urodzenia danej osoby, przewidują całe jej życie: charakter, zdrowie, dobry i zły los, dzień śmierci i tak dalej.

- Co to ma wspólnego z kronikarzami?

- Bardzo wiele, ponieważ niektórzy astrologowie są zarazem kronikarzami i z układu gwiazd tworzą przepowiednie polityczne. Podobnie jak Stilone Priaso, który lekkomyślnie nosi przy sobie broszurkę z horoskopami, a nocą drukuje polityczne prognostyki.

- Czy to jest zabronione?

Świetliste są Gwiazdy / co żar wznecają...

- Ależ oczywiście! Wielu astrologów sądowych lub ich przyjaciół, także duchownych, surowo ukarano. Kilka lat temu interesowałem się tym zagadnieniem i trochę na ten temat czytałem. Na przykład papież Aleksander III na rok zawiesił w obowiązkach księdza, który zajmował się astrologią, aby odnaleźć przedmioty skradzione z kościoła.

Słuchałem z przejęciem słów opata, obracając w rękach broszurkę Priasa i oglądając ją w świetle lampy.

- Widziałem dziesiątki almanachów - stwierdził Atto - które dla niepoznaki zatytułowane są *Żarty astrologiczne* albo *Fantazje astrologiczne*, aby nikt nie podejrzewał, że chodzi o astrologię sądową, zdolną wpływać na decyzje polityczne. Na pierwszy rzut oka są to zwyczajne kalendarze zawierające porady i przepowiednie na bieżący rok. Nasz Stilone nie wykazał się zbytnią inteligencją - zaśmiał się opat - skoro wykonując tak niebezpieczny zawód, odwiedza tajne drukarnie i nosi przy sobie tego typu broszury.

Przestraszyłem się i oddałem opatowi książeczkę.

Ty nie musisz się obawiać. Możesz ją zatrzymać - uspokoił mnie. Wiedziony ostrożnością, schowałem broszurkę do kieszeni spodni i zakryłem koszulą.

Pana zdaniem astrologia może być ludziom pomocna? - zapytałem.

- Nie sądzę. O ile wiem, wierzy w nią jednak wielu lekarzy. Słyszałem, że Galen napisał książkę pod tytułem *De diehus chriticis* o leczeniu chorych w zależności od układu planet. Nie jestem astrologiem, ale niektórzy z nich twierdzą, że woreczek żółciowy należy leczyć wtedy, gdy Księżyc znajduje się w znaku...

- Raka.

Ku naszemu najwyższemu zaskoczeniu powiedział to Ugonio.

- Kiedy Księżyc jest w znaku Raka, w trygonie z Merkurem - ciągnął łowca relikwii, niewyraźnie bełkocząc - oczyszcza się z powodzeniem żółć; w trygonie ze Słońcem usuwa flegmę, w aspekcie Jowisza leczy melancholię. W znaku Smoka, Koziorożca, Barana, czyli w znakach przeżuwalcy, im bliżej układu Północnego czy Południowego, tym częściej podrażnieniu ulega żołądek, gdyż występuje wtedy duża obfitość zepsutych soków, a akwilony przez impresję i kompresję pobudzają fluksję i destylację, ale nie należy wtedy oczyszczać organów przepelnionych płynami. Zachodzi zatem konieczność obserwowania aspektów gwiazd i planet, żeby nie być wiejskim konowałem i przynosić chorym pożytek, a nie szkodę, być bardziej ojcem niż ojcobójcą i mieć spokojne sumienie, albowiem przez wypełnienie obowiązku przynosi się chrześcijaninowi ra-

dość, zmniejszając jego obawy, żeby nie powiększać obaw, i stosując odpowiednie, skromne środki, jak na przykład precypitat z jalapy. Zaniemówiliśmy z wrażenia.

- Nie wiedziałem, że wśród nas jest specjalista w zakresie astrologii medycznej - oznajmił opat po chwili milczenia. - Gdzie zdobyłeś tę cenną wiedzę?

- Gfrrrlulbh - wtrącił Ciacconio.

- Przeczytawszywielokartki.

- Wielokartki? - zdziwił się Atto.

Ciacconio wskazał palcem książeczkę, którą trzymałem w dłoni.

- Rozumiem, chciałeś powiedzieć: książki. No, chłopcze, ruszamy! Obawiam się, że Cristofano niedługo zacznie swój obchód. Trudno byłoby nam wytłumaczyć naszą nieobecność.

- Stilone Priaso także był nieobecny.

- Zapewne już wrócił. Po spotkaniu z naszymi straszidłami czmychnął do „Donzella”.

Stilone Priaso - mówił Atto - przybył do Rzymu w związku ze swoim zawodem astrologa sądowego, w podejrzanym interesach. Musiał zatem opuścić gospodę niepostrzeżenie, pod osłoną nocy. Najwidoczniej znał już podziemną trasę, ponieważ, jak sam powiedział, w przeszłości zatrzymywał się w „Donzellu”.

- Myśli pan, że Stilone ma coś wspólnego z zabójstwem pana de Mourai i kradzieżą moich pereł?

- Za wcześnie, żeby to stwierdzić. Musimy przyjrzeć mu się dokładnie. Na pewno, w przeciwieństwie do nas, już wielokrotnie przechodził tunelami. Do licha! Gdybyśmy mieli plan sporządzony przez Ugonia i Ciacconia! Był wprawdzie niechlujny i chaotyczny, ale mógłby nam pomóc.

Na szczęście mieliśmy przewagę nad Stilone Priasem, gdyż wiedzieliśmy, że był w podziemiach, podczas gdy on nie wiedział o naszej tam bytności.

- Po powrocie - dodał opat - zanim pójdziesz spać, rzuć na niego okiem. Nie ufam zbyt tym osobnikom - oznajmił, odwracając się i wskazując na poszukiwaczy relikwii, którzy szli za nami.

Wróciliśmy tunelem do wąskiego przejścia prowadzącego do ruin stadionu Domicjana, pod Piazza Navona. Atto pożegnał się z Ugoniem i Ciacconiem, wyznaczając im spotkanie na następną noc, na godzinę po zachodzie słońca, i obiecał zapłatę.

- Gfrrrlulbh--zaprotestował Ciacconio.

Łowcy relikwii domagali się zwrotu kartki z Biblii. Atto postanowił ją zatrzymać, ponieważ jeszcze nie wiedzieliśmy, skąd pochodziła, co więcej, oddał mijana przechowanie. Melani zaproponował poszukiwaczom, że zapłaci za mapkę.

- Bogiem a prawdą, narysowaliście przecież ten plan - powiedział uprzejmie, wyjmując pieniądze.

Nagle otworzył szeroko oczy. Schylił się, wziął garść ziemi i rzucił nią w Ciacconia, który osłupiał ze zdumienia. Następnie czystą kartkę przyłożył do pleców Ciacconia, w miejscu, które przed chwilą zabrudził ziemią.

- Przekłete łajdaki! - wykrzyknął, patrząc na poszukiwaczy relikwii z pogardą.

Na kartce odbił się ślad przypominający gęsty labirynt o znajomym kształcie.



- Nigdy więcej mi czegoś podobnego nie róbcie! Nigdy więcej!

To powiedziawszy, schował do kieszeni pieniądze, które przygotował dla Ugonia i Ciacconia.

- Rozumiesz? - spytał mnie później, kiedy rozstaliśmy się już z łowcami relikwii. - Chcieli nas nabrać jak idiotów! Przyłożyli kartkę papieru do kozłej skóry, którą się okrywają, dorysowali kilka bohomazów i w ten

sposób powstał „cenny” plan podziemi Rzymu. Forma pośrodku rysunku ma dokładnie taki sam kształt jak łata na plecach Ciacconia. Oto jak odkryłem ich oszustwo!

W milczeniu, zmęczeni, dotarliśmy do gospody. Był środek nocy.

Pożegnałem się z opatem i zacząłem wchodzić po schodach. Na drugim piętrze dostrzegłem słabe światło dochodzące z pokoju Stilone Priasa. Przypomniałem sobie, iż opat Melani prosił mnie, żebym rzucił okiem na młodego neapolitańczyka. Podszedłem do drzwi i przez lekko uchylone drzwi zajrzałem do środka.

- Kto tam? - zapytał Priaso drżącym głosem.

Odpowiedziałem, że to ja, i wszedłem do pokoju. Siedział skulony na łóżku, błąd na twarzy, w zabłoconym ubraniu. Udałem, że niczego nie zauważyłem.

- Jeszcze nie śpisz, chłopcze?

- Mój pryncypał musiał się załatwić - skłamałem. - A pan dlaczego nie śpi?

- Przyśnił mi się... straszliwy koszmar. W ciemnościach napadły na mnie dwa potwory, ukradły mi książki i wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie.

- Pieniądze też? - upewniłem się. Pamiętałem, że Ugonio i Ciacconio nie wspomnieli o ograbieniu poety.

- Tak, a potem pytały... torturowały mnie, nie dawały mi spokoju.

- To straszne! Musi pan odpocząć.

- Nie mogę, ciągle je widzę - odparł, drżąc na całym ciele i wpatrując się w jakiś niewidoczny punkt w ciemnościach.

- Mnie też przyśniły się ostatnio dziwne sny - powiedziałem, żeby podtrzymać go na duchu - których znaczenia zupełnie nie rozumiem.

- Znaczenia... - powtórzył Stilone Priaso w zamyśleniu - nie rozumiesz znaczenia snów. Przydałby ci się specjalista od snów, nie jakiś szarlatan czy dziwka, która chce cię oskubać z pieniędzy.

Zaczerwieniłem się, słysząc te słowa, i szybko zmieniłem temat rozmowy.

- Jeśli nie chce się panu spać, mogę dotrzymać panu towarzystwa. Ja też nie czuję się senny - zaproponowałem z nadzieją, że uda mi się porozmawiać z neapolitańczykiem i wyciągnąć z niego informacje, które mogłyby pomóc w śledztwie opata Melaniego.

- Będzie mi miło. Prosiłbym cię też, żebyś przy okazji wyczyścił mi ubranie, a ja tymczasem się umyję.

To powiedziawszy, Stilone wstał z łóżka, rozebrał się i podszedł do mi-ski, w której umył ręce i zabłocone włosy. Kiedy podszedłem do łóżka, gdzie leżało ubranie i szczotka, zauważyłem notatnik. Na jego kartkach wyrysowane były dziwne znaki. Obok leżało kilka starych książek, no-szących takie tytuły, jak *Mywthecium*, *Protolwne Chimico echeggiante*, *Antilucerna fisica oroscopante*.

- Interesuje się pan alchemią i horoskopami? - zapytałem, pozostając pod wrażeniem tych dziwnych tytułów.

- Ależ nie! — wykrzyknął Stilone. - Napisane są wierszem, więc czerpię z nich inspirację. Chyba wiesz, że jestem poetą?

- Tak, tak udałem, że mu wierzę, i zabrałem się do czyszczenia ubrania. - A poza tym, o ile wiem, astrologia jest zakazana.

- Niezupełnie - odparł zniecierpliwiony Stilone. - Tylko astrologia sądowa.

Nie chcąc wzbudzać jego podejrzeń, udałem całkowitą ignorancję w tej materii. Stilone Priaso, wycierając energicznie włosy, powtórzył to-nem znawcy to, co usłyszałem wcześniej z ust Melanigo.

- Mniej więcej pół wieku temu powiedział na zakończenie - papież Urban VIII wydał walkę astrologom sądowym, którzy przez trzydzieści lat cieszyli się uznaniem kardynałów, książąt i prałatów, spragnionych ko-rzystnych prognostyków. Nastąpiło prawdziwe trzęsienie ziemi, do lego stopnia, że kto dziś odczytuje przyszłość z gwiazd, ponosi olbrzymie ry-zyko.

- Szkoda! Dobrze byłoby wiedzieć, co czeka mieszkańców gospody. Czy pomrzemy w jakimś lazarecie, czy wyjdziemy stąd cali i zdrowi? - prowokowałem mojego rozmówcę.

Stilone Priaso nie odpowiedział.

- Z pomocą astrologa moglibyśmy dowiedzieć się, czy pan de Mourai zmarł na dżumę, czy został otruty, jak sugeruje Cristoiano - spróbowałem jeszcze raz. - To mogłoby nas uchronić od innych zagrożeń, nie tylko od zabójstwa.

- To niemożliwe! Trucizna, bardziej niż każda inna zabójcza broń, ukrywa się przed czujnym okiem gwiazd. Jest silniejsza od wszelkich przepowiedni i wróżb. Jeśli chciałbym kogoś zabić, wybrałbym truciznę, bo miałbym pewność, że ujdzie mi to na sucho.

Zbladłem, słysząc te słowa. Stilone Priaso zaczął budzić moje podej-rzenia.

Astrolog i trucizna: nagle przypomniałem sobie rozmowę, jaką w dniu zamknięcia „Donzella” wiedli nasi goście nad ciałem nieszczęsnego pana de Mourai. Czy ktoś wtedy nie stwierdził, że najlepszymi znawcami trucizn są astrologi i wytwórcy perfum? A Stilone Priaso - pomyślałem przerażony - jest nie tylko kronikarzem, ale i astrologiem.

- Naprawdę? - zapytałem, udając niewinne zainteresowanie. - Czy znane są panu przypadki śmierci przez otrucie, których nie można było wcześniej wyczytać w gwiazdach...?

- Oczywiście! Na przykład przypadek opata Morandiego - przerwał mi Stilone. - Swego czasu wiele o nim mówiono.

- Kim był opat Morandi? - zapytałem, nie kryjąc zaniepokojenia.

- Zakonnikiem i najwybitniejszym rzymskim astrologiem - odparł krótko Priaso.

- Jak to możliwe, żeby zakonnik trudnił się astrologią? - udałem niedowierzanie.

- Nie tylko on. U schyłku ubiegłego wieku biskup Luca Gaurico był oficjalnym nadwornym astrologiem czterech papieży. Cudowne czasy! Niestety, należą już do przeszłości... - powiedział z westchnieniem.

Zauważyłem, że Priasowi stopniowo rozwiązywał się język.

- Jak to było z opatem Morandim? - nalegałem.

- Trzeba ci wiedzieć, że mniej więcej sześćdziesiąt lat temu ojciec Orazio Morandi, opat klasztoru Świętej Praksedy, miał najlepszą bibliotekę astrologiczną w Rzymie. Korzystali z niej wszyscy znani astrologi. Opat korespondował z wybitnymi literatami z Rzymu, Mediolanu, Florencji, Neapolu i innych miast, również spoza Italii. Wielu pisarzy i uczonych pytało go o opinię na temat różnych gwiazd. Gdy do Rzymu przyjechał nieszczęsny Galileusz, opat gościł go u siebie.

Opat Morandi - ciągnął Stilone - miał wówczas pięćdziesiąt lat. Był rozmowny, zawsze skory do żartów, wysokiego wzrostu, nosił bujną kasztanową brodę. Włosy przyprószyła już siwizna. W owych czasach astrologia cieszyła się dużym uznaniem. Wydawano dekrety zakazujące posługiwania się tą wiedzą, ale nikt ich nie przestrzegał. O opacie Morandim krążyły różne plotki. Podejrzewano, że jest kronikarzem wykorzystującym liczne znajomości poza Rzymem. Na dworze papieskim rozprawiano anonimowe broszury z poufnymi informacjami na temat dostojników kościelnych. Panowała opinia, że ich autorem jest Morandi, który żywo interesował się rozgrywkami politycznymi w pałacu watykańskim. Nikt jednak nie próbował mu tego dowiedzieć. Nie tylko dlatego, że w istocie trudno było ustalić ich autorstwo, ale również dlatego, że dzia-



łałność kronikarzy i kopistów, choć zabroniona, w rzeczywistości była tolerowana. Niezwykle rzadko urządzano polowania na autorów ogłoszeń i broszur. Poza tym wszystko wskazywało na to, że źródłem informacji ojca Morandiego mogły być tylko subtelne umysły sekretarzy ksiąząt i kardynałów, albo nawet ich zwierzchników.

Sława Orazia Morandiego sięgnęła szczytu, kiedy (był rok 1630) opat ogłosił, że papież Urban VIII Barberini umrze przed końcem roku. Swoją przepowiednię oparł oczywiście na obliczeniach astrologicznych. Zanim podał ją do publicznej wiadomości, konsultował się z wybitnymi badaczami gwiazd, którzy powtórzyli obliczenia i doszli do tego samego wniosku.

Innego zdania był jedynie ojciec Raffaello Visconti, który wykładał matematykę w Rzymie. Według niego papież miał umrzeć kilkanaście lat później, w 1643 lub 1644 roku, o ile nie będzie się narażał na niebezpieczeństwa. Opinia profesora nie zyskała jednak uznania kolegów, którzy zgodni byli co do tego, że śmierć papieża Barberiniego nastąpi wkrótce.

Przepowiednia opata od Świętej Praksedy z prędkością błyskawicy obiegła Rzym i stolice innych krajów. Z Hiszpanii przybyło kilku kardynałów, którzy pośpieszyli się, by wziąć udział w konklawe. Kiedy wieść dotarła do Francji, kardynał Richelieu poprosił dwór papieski, aby położył kres tej niestosownej sytuacji.

Plotka dotarła do samego papieża, który wcale nie był zadowolony, kiedy dowiedział się, i to w taki sposób, o swojej rychłej śmierci. Trzynastego lipca papież Urban VIII nakazał wszczęcie procesu przeciwko opatowi Morandiemu. Dwa dni później osadzono go w więzieniu w Tor di Nona, a jego gabinet i pokój przeszukano i opieczętowano.

- W trakcie przeszukania niespodziewanie okazało się, że w bibliotece opata były wprawdzie traktaty astrologiczne, ale ani śladu broszur i przepowiedni, które mogłyby posłużyć za dowód oskarżenia. Opat Morandi był przewidujący, a papież ośmieszył się przed całą Europą - zaśmiał się Stilone Priaso.

- Co było potem? - zapytałem zniecierpliwiony, z nadzieją, że wreszcie dowiem się czegoś istotnego dla naszego śledztwa.

- Później wkroczył na scenę adwokat. Kto może zniszczyć najostrożniejszego i najbardziej przezornego z ludzi? Jego adwokat. Zapamiętaj, chłopcze: zawsze tak było i będzie.

Dostojny adwokat Teodoro Amayden - ciągnął Stilone z ironią w głosie - od dłuższego czasu prawnik klasztoru Świętej Praksedy, pośpieszył z pomocą papieżowi. W kilka dni po aresztowaniu Morandiego udał się do księgarni „Luna” przy Piazza Pasquino i z niewinną miną poinformo-

wał zebrane tam osoby, że podczas przeszukania gabinetu opata niczego nie znaleziono tylko dlatego, że wcześniej dostali się tam tajnym przejściem, ukrytym za deskami w ścianie (co adwokat dokładnie opisał), zakonnicy i wynieśli pisma, które mogłyby zaszkodzić Morandiemu. Część z nich spalili, a resztę ukryli. Adwokat dodał, że o wszystkim powiedział mu służący opata. Wprawiwszy słuchaczy w osłupienie, zarówno niezwykłymi wiadomościami jak i swoją zuchwałością, adwokat spokojnie wyszedł z księgarni.

Wieść natychmiast dotarła do sędziego, który kazał aresztować dwunastu zakonników z klasztoru Świętej Praksey i w trybie pilnym wezwał Amaydena.

- Adwokat, ta źmija - mówił Stilone zde gustowany - miał czelność potwierdzić w trakcie przesłuchania, że publicznie wyjawiał tajemnicę sekretnego przejścia do gabinetu: „Dwa dni po uwięzieniu opata Morandiego przybył do mojego domu Aleksander, służący wyżej wspomnianego opata, informując mnie, że ojcowie dostali się tajnym przejściem do gabinetu, zabrali stamtąd pisma i niektóre spalili”. Powiedział, że dwór papieski niczego nie znajdzie przeciw opatowi, spalono bowiem podejrzone druki - mówił Stilone przez nos, naśladując głos adwokata zdrajcy.

To był koniec. Wkrótce wszyscy zakonnicy przyznali się do zniszczenia broszur, a Morandi do opracowania horoskopu papieża i do tego, że jest kronikarzem. Naciskany przez sędziego, wyjawiał imiona kolegów i przyjaciół, którzy z kolei pogrążyli następne osoby.

- I tak zakończył się proces - podsumowałem.  
- Przeciwnie - zaprotestował Stilone Priaso - sprawy zaczęły się komplikować.

Wśród oskarżonych o współudział znalazło się kilka ważnych osobistości. Ujawnienie nazwisk kardynałów, ich sekretarzy i krewnych groziło kompromitacją. Kiedy dowiedzieli się o przepowiedni głoszącej rychłą śmierć Urbana VIII, próbowali wyczytać w gwiazdach, czy mają szansę na zdobycie tiary. Już na pierwszym przesłuchaniu Morandi rzucił swoim oskarżycielom kilka nazwisk. Zbiorek satyr, który podarował mu sekretarz konsystorza, trafił do rąk nauczyciela ze Świętego Pałacu Watykańskiego. Z kolei mowę w formie listu, autorstwa papieża, opat podarował bibliotekarzowi Jego Ekscelencji kardynała Medyceusza. Mowę tę przepisał od ojca Raffaella Viscontiego, czytał ją także sekretarz, i krewny kardynała Antonia Barberiniego...

Papież od razu zrozumiał, że sprawa grozi skandalem, który mógłby

okryć hańbą jego rodzinę i cały konsystorz. Szukając ratunku, Urban VIII polecił pominąć w protokołach z przesłuchań nazwiska papieży, kardynałów, prałatów, a nawet osób świeckich i zastąpić je gwiazdkami.

Jeśli przesłuchania szły za daleko, wprowadzano *omissi*, które życzył sobie papież.

- Wyglądało to tak: „Znam wielu ludzi zajmujących się astrologią. Moim nauczycielem był Vincenzo Bottelli. Powiedział mi, że wiele osób w Pałacu Watykańskim zna się na astrologii, na przykład kardynałowie \*\*\*, \*\*\* i \*\*\*, następnie \*\*\*, \*\*\*, \*\*\*, a także \*\*\* i \*\*\*”. W protokołach występowali niemal sami kardynałowie! - wykrzyknął Stilone. - Słyszac tyle wybitnych nazwisk, sędzia doskonale wiedział, że horoskopy układano na zlecenie samych purpuratów. Gdyby ich służący się wygadali, kardynałowie okryliby się hańbą. A wtedy żegnaj, nadziejo na zdobycie godności papieża.

- Jak to się skończyło? zapytałem zniecierpliwiony, bo chciałem w końcu usłyszeć, co ta historia ma wspólnego z trucizną.

- O wszystkim zdecydowała... opatrność - odparł Stilone z tajemniczą miną. - Siódmego listopada tysiąc sześćset trzydziestego roku opat Morandi został znaleziony martwy w swojej celi. Leżał na łóżku, ubrany w swój skromny habit i sandały.

- Zamordowany!

- Śmierć opata stwierdził jeden z zakonników, który nie miał wątpliwości co do jej przyczyny. Oświadczył, że nie widział „żadnych śladów mordu”, Morandi zmarł więc „śmiercią naturalną, czyli od gorączki, wiem o tym, bo byłem jego asystentem, kiedy przebywał w więzieniu”. Ze słów zakonnika wynikało, że w ostatnich dniach opat chorował.

Sześć dni później lekarz z więzienia w Tor di Nona napisał w raporcie, że Morandi zmarł po dwunastu dniach choroby. Najpierw dostał zwykłej gorączki, która przerodziła się w gorączkę złośliwą, a następnie w śmiertelną. „Nie stwierdziłem otrucia” - oświadczył na piśmie medyk, którego poparli dwaj koledzy lekarze. Przemilczano jednak fakt, że dwa dni wcześniej po takich samych cierpieniach zmarł inny więzień, osadzony razem z Morandim. Obaj zjedli kawałek ciasta niewiadomego pochodzenia. Przez wiele miesięcy krążyły pogłoski o otruciu i wątpliwości, których nikt nie potrafił rozstrzygnąć.

Czy to miało jakieś znaczenie? Ojciec Morandi nie żył. Zabrał do grobu straszliwy ciężar występków całego papieskiego dworu. Wszyscy poczuli ulgę w chwili, gdy zasłona, którą nieostrożnie podniesiono, z powrotem opadła.

Urban VIII własnoręcznie spisany aktem nakazał sędziemu zawieszenie procesu, nie ukarał kopistów, astrologów ani zakonników i zarządził, by wstrzymano dalsze postępowanie karne w stosunku do nich.

Stilone Priaso zamilkł i spojrzął na mnie, oczekując mojej reakcji na swoją opowieść.

A zatem w przypadku opata Morandiego, podobnie jak pana de Mourai - pomyślałem, odkładając wyczyszczone ubranie na krzesło — trucizny nie wykryto, mylnie stwierdzając chorobę.

- Czy winy za całe zamieszanie nie ponosili też inni? - spytałem, zastanawiając się nad tym, co usłyszałem.

- Oczywiście! Kopiści przepisali przepowiednię, zakonnicy ukryli dowody, astrologdy ułożyli horoskop, a kardynałowie udzielili Morandiemu poparcia. Zasługiwali zatem na karę, ale w tym wypadku należałoby ogłosić wyrok - zauważył Stilone Priaso - który narobiłby szumu. Tego papież chciał uniknąć.

- Urban VIII zmarł zatem tamtego roku.

- Nie. Morandi pomylił się.

- Kiedy zmarł?

- W roku tysiąc sześćset czterdziestym czwartym.

- Zgodnie z wyczeniem matematyka Viscontiego.

- Właśnie - potwierdził Stilone Priaso. - Gdyby opat klasztoru Świętej Praksey posłuchał swojego przyjaciela profesora, nie pomyliłby się w swoich przypuszczeniach. Przewidział natomiast własną śmierć.

- Co się stało z astrologami po śmierci Morandiego? - zapytałem, przygnębiony tym stwierdzeniem.

- Galileusz zmuszony był odwołać swoje poglądy, Argolego skazano na wygnanie, Campanella zbiegł, Centini został spalony na stosie. Wszystko to nastąpiło w przeciągu kilku zaledwie lat.

Stilone zamilkł, jakby chciał uczcić pamięć tych osób.

- Astrologia ugięła się pod ciężarem papieskich dekretów - dodał.

- Gdyby Morandi przeczuł niebezpieczeństwo, mógłby się uratować? - zapytałem, zapominając o śledztwie, w związku z którym sprowokowałem Priasa do rozmowy.

- Pytasz, czy można sprzeciwić się woli gwiazd. Trudne pytanie! Dominikanin Tommaso Campanella, człowiek wielkiej wiedzy i jeszcze większej odwagi, napisał traktat *De Fato Siderali vitando*, w którym uczył, w jaki sposób uniknąć wyroku gwiazd. W tym samym dziele Cam-

panella stwierdził też, że sami astrologowie nie mogą uciec przed przeznaczeniem.

- Jak to? Nawet ci, którzy potrafią odczytać z gwiazd swój los? A zatem woli gwiazd nie sposób się sprzeciwić! - wykrzyknąłem przerażony.

- Może tak, a może nie - odparł, uśmiechając się zagadkowo, Stilone Priaso.

- Po co zatem Nasz Pan przybył na ziemię? Skoro władza sfer niebieskich jest absolutna - drżałem, wypowiadając te słowa - odkupienie nie istnieje.

- Co powiesz na to, że nawet Zbawicielowi - zaśmiał się Stilone Priaso - ułożono horoskop?

Wyjaśnił, że tego dzieła podjęli się najpierw wielcy uczeni, tacy jak Alberto Magno, Pierre d'Ailly i Albumasar. Później bluźnierczym zadaniem zajęły się mniej subtelne umysły, jak na przykład Girolamo Cardano czy wiejscy księża.

- Co można wyczytać z horoskopu Chrystusa?

- Niemało, zapewniam cię. Jego horoskop jest naprawdę wspaniały. Według Girolama Cardana kometa, która pojawiła się w chwili Jego narodzin, oznacza blask wiecznej sławy; Jowisz zapowiada łagodność charakteru i sprawiedliwość; Kłos Dziewicy wdzięk, elokwencję i przezorność; ascendent łączący końce Wagi w ósmej i dziewiątej sterze oraz punkt jesiennego Ekwinokcjum przydają boskości. Zdaniem Campanelli natomiast gwiazdny wizerunek Mesjasza nie był aż tak wyjątkowy, znacznie ciekawiej prezentował się bowiem horoskop samego Campanelli.

- Jego własny? Czyżby Campanella stawiał się ponad Chrystusem?

- Mniej więcej. Inkwizycja oskarżyła go o porównywanie się z Mesjaszem, ponieważ utrzymywał, że w chwili narodzin jego i Jezusa układ planet był taki sam.

- Czy to oskarżenie było uzasadnione?

- I tak, i nie. O ile mi wiadomo, Campanella rzeczywiście podawał się za proroka, a kiedy był w więzieniu, popełnił błąd, mówiąc głośno o tym, że obecność siedmiu planet w ascendencie (wielu królów i cesarzy miało ich najwyżej trzy) była czymś wyjątkowym. Astrologowie żydowscy i nie-mieccy zapewniali go, że taki układ planet oznacza, iż Campanella wstąpi wkrótce do Monarchii Świata. Dość odważna przepowiednia, nie sądzisz?

- Jak to się skończyło?

- Inaczej, niż się spodziewał. Z powodu swoich przekonań Campanella spędził długie lata w więzieniu. Urban VIII złągodził mu nieco karę, bo

chciał skorzystać z jego umiejętności astrologa. Papież był wystraszony, dowiedziawszy się o przepowiedni opata Morandiego.

- A zatem papież także wierzył w astrologię, którą tak zaciekle zwalczał!

- Oczywiście! Mówiłem ci już, że wszyscy, dosłownie wszyscy składali hołd Pani Astrologii - zaśmiał się Stilone Priaso. - Nawet Galileusz, kiedy potrzebował pieniędzy, zniżał się do astrologicznych obliczeń.

Kiedy zaczęła krążyć pogłoska o jego rychłej śmierci, papież Barberini - mówił dalej Stilone - przeraził się nie na żarty. Mimo że publicznie potępiał przepowiednię opata Morandiego, w tajemnicy wezwał Campanellę, błagając go o zażegnanie niebezpieczeństwa. Dominikanin czynił, co mógł. Skrapiał papieża wonnościami i perfumami, aby odczynić zły urok, kazał nosić mu śnieżnobiałe szaty przeciw skutkom zaćmienia Słońca lub Księżyca, zapalał pochodnie symbolizujące siedem planet, i tak dalej.

- Szczęście zdawało się sprzyjać Campanelli. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane, a po śmierci opata Morandiego mógł liczyć na wdzięczność Urbana VIII. Wtedy jednak dała o sobie znać zła gwiazda Campanelli. Tajny manuskrypt traktatu *De Fato Siderali vitando* został bez wiedzy dominikanina wysłany jego zaufanemu drukarzowi we Francji. Zdrajcami byli dwaj dominikanie, zazdrośni o to, że ich brat miał zostać doradcą papieża. Francuski drukarz wpadł w pułapkę. Uwierzył, że Campanella (który w ostatnich latach więcej czasu spędził w więzieniu niż na wolności) nie zdołał dołączyć listu do przesyłki. Dzieło *De Fato Siderali vitando* zostało opublikowane.

- Czy ta księga nie naucza przypadkiem, jak uniknąć złego wpływu gwiazd?

- No właśnie! Była to kolejna klęska Campanelli, w traktacie opisał bowiem praktyki apotropaiczne - odwracające grożące zło - którym poddał papieża. W Rzymie mówiło się o nich od dawna, ale nie było dowodów. Zdaniem niektórych osób chodziło o rytuały sataniczne. *De Fato Siderali vitando* wydawało się napisane specjalnie po to, by sabotować Stolicę Apostolską. Aby zapobiec skandalowi i uspokoić papieża, Campanella opublikował kolejne dzieło, w którym dowodził, że podobne rytuały nie wynikały z przesądów czy paktów z diabłem, lecz były zgodne z filozofią sensualizmu. Dominikanin musiał zbiec do Francji, gdzie uniknął prześladowań i rozpoczął wykłady na Sorbonie. Królowa poprosiła go nawet o horoskop dla nowo narodzonego delfina.

- Czyli Ludwika XIV?
- Tak. Na szczęście Campanella nie pomylił się. Przepowiedział, że król będzie rządził długo, twardą ręką i odniesie sukcesy. Tak właśnie było. A teraz chciałbym się już położyć. Dzięki Bogu zachciało mi się spać.

Świtało. Poczułem ulgę, że nasza rozmowa dobiegła końca. Żałowałem, że nakłoniłem Stilone Priasa do zwierzeń, ponieważ nie dowiedziałem się niczego ani o otruciu de Mouraigo, ani o kradzieży pereł. Po rozmowie miałem jeszcze więcej wątpliwości niż przedtem.

Zastanawiałem się, czy mój wymarzony zawód kronikarza nie zapowiada się zbyt niebezpiecznie. Opat Morandi na przykład, który zamieszczał swoje przepowiednie w gazetach i obwieszczeniach, ryzykował, że zostanie uznany za astrologa albo nawet czarnoksiężnika czy heretyka.

Jednocześnie nie dawała mi spokoju pewna myśl: czy to sprawiedliwe, że opat klasztoru Świętej Praksedy został ukarany za grzech, któremu pobiłżali purpuraci, a nawet papież? Skoro astrologia była tylko niewinną igraszką, majaczeniem próżniaków, to dlaczego z taką zajadłością zwalczano Morandiego i Campanellę? Jeśli natomiast była grzechem zasługującym na surową karę, to dlaczego tyle osób z papieskiego dworu ją popierało?

Osobiście nie mógłbym skorzystać z nauki o planetach i konstelacjach. Do sporządzenia własnego horoskopu brakowało mi danych, których, będąc znajdą, nie znałem: daty i godziny moich narodzin.

## Dzień piąty

*15 września 1683 roku*

Pożegnawszy się ze Stilone Priasem, poszedłem, śmiertelnie zmęczony, do swojego pokoju. Nie wiem, skąd wziąłem siły, aby skreślić kilka słów w dzienniku. Przy okazji przejrzałem zapisane strony, powracając myślą do wyników śledztwa, któremu poddałem gości gospody. Co odkryłem? Praktycznie nic. Każda okazja, by się czegoś dowiedzieć, okazywała się fałszywym alarmem. Poznałem fakty i okoliczności, które niewiele miały wspólnego ze smutnym końcem pana de Mourai i jedynie pogłębiały moje wątpliwości.

Siedząc przy biurku, z głową wspartą na ramieniu, zastanawiałem się nad tym, co właściwie o nim wiem.

De Mourai był Francuzem, starym i schorowanym, prawie ślepym. Miał sześćdziesiąt-siedemdziesiąt lat. Towarzyszył mu młody francuski muzyk Devize i Pompeo Dulcibeni, wytwórca szkła. Wygląd bogatego arystokraty wyraźnie kontrastował ze złym stanem zdrowia, wskazującym na długie cierpienia w przeszłości.

Dlaczego człowiek o tak wysokiej pozycji zatrzymał się w „Donzelli”?

Pellegrino powiedział mi kiedyś, że w dzielnicy Ponte, w której znajdowała się nasza gospoda, nie ma dużych hoteli, takich jak w pobliżu Piazza di Spagna. W „Donzelli” zatrzymywały się na ogół osoby niezbyt zamożne i ludzie z wysokich sfer podróżujący incognito. Ale dlaczego?

De Mourai wychodził z gospody zawsze o zmierzchu na krótki spacer w okolicy, najdalej do Piazza Navona lub Piazza Fiammetta...

Piazza Navona, Piazza Fiammetta... Poczulem silny ból w skroniach, wstałem z krzesła i padłem jak nieżywy na łóżko.

Obudziłem się w tej samej pozycji następnego dnia późnym rankiem. Do drzwi pukał Cristofano, zły, że do tej pory nie zająłem się swoimi obowiązkami.



Z ociąganiem usiadłem na łóżku. Po kilku zaledwie godzinach snu nie czułem się wypoczęty. W kieszeni moich spodni nadal tkwiła broszurka z horoskopami, którą poszukiwacze relikwii ukradli Stilone Priasowi. Byłem jeszcze pod wrażeniem wydarzeń minionej nocy: wędrówki w tunelach pełnych niespodzianek, pościgu za Priasem, dramatycznych losów opata Morandiego i Campanelli, o których o świcie opowiadał mi neapolitańczyk. Odczucia zmysłowe i duchowe sprzed kilku godzin były we mnie wciąż żywe. Powoli otworzyłem gazetkę. Ponieważ bolała mnie głowa, nie mogłem oprzeć się pokusie, by się jeszcze na kilka minut położyć. W łóżku zacząłem przeglądać broszurkę.

Otwierała ją długa, uczona dedykacja adresowana do ambasadora Buonvisiego, po niej następował nie mniej elegancki fragment skierowany do czytelnika. Dalej zamieszczona był tablica zatytułowana *Obliczenia dotyczące wschodu Słońca*, którą pominąłem. Przerzuciłem kilka kartek i znalazłem *Dyskurs ogólny o roku 1683*:

*Rozpocznie się zgodnie ze zwyczajem Świętego Kościoła Rzymskiego w Piątek, pierwszego dnia Stycznia, i według dawnego stylu Astronomicznego, kiedy Słońce obiegnie krąg dwunastu znaków Zodiaku i znajdzie się ponownie w znaku Barana, ponieważ Fundamentum principale in revolutionibus annorum mundi est introitus Solis in primum punctum Arietis. Zatem na podstawie systemu Tycho...*

Zniecierpliwiony, opuściłem ten popis wiedzy astronomicznej. Nieco dalej przeczytałem, że w ciągu całego roku nastąpią cztery zaćmienia (żadne z nich nie będzie widoczne w Italii), a następnie natrafiłem na tabelkę z mnóstwem liczb, które mi nic nie mówiły, zatytułowaną *Wschodzenie ciała niebieskiego w Zimie*.

Straciłem zapał, gdyż to wszystko było dla mnie zbyt skomplikowane. Szukałem po prostu przepowiedni na bieżący rok, a w dodatku miałem mało czasu. W końcu dostrzegłem obiecujący tytuł: *Lunucje, Kombinacje i inne Aspekty Planet na cały rok 1683*. Nareszcie dotarłem do szczegółowych prognozyków, z podziałem na pory roku i miesiące. Przekartkowałem broszurkę i zatrzymałem się przy opisie czterech tygodni września:

*Rządzi Ósmym domem Saturna, który naraża stare osoby na śmiertelne niebezpieczeństwa.*

Zaniepokoiłem się. Przepowiednia odnosiła się do pierwszego tygodnia, a stary de Mourai zmarł 11 września. Przerzuciłem kilka stron w poszukiwaniu drugiego tygodnia. Mój wzrok padł na następujący fragment:

*Jeśli chodzi o choroby, to rządzi Szóstym domem Jowisza, który postara się przywrócić zdrowie wielu chorym. Ale Mars w znaku Ognia, przeciwnym do Księżyca, wskazuje na to, że wiele osób będzie cierpiało na złośliwą gorączką / ostre zatrucia, jako że o układzie tym napisano: Lunam opposito Martis morbos venenatos inducit, sicut in signis igneis, terminaturque cito & raro ad vitam. Rządzi Ósmym domem Saturna, który zagraża ludziom starym.*

Przepowiednia na ten tydzień mówiła o ludziach starych, którym ponownie zagraża Saturn. Gwiazdy przewidziały zatem śmierć pana de Mourai, a także cierpienia mojego pryncypała i Bedfordiego, dotkniętych „złośliwą gorączką” i „ostrymi zatruciami”. Wzmianka o zatruciu dotyczyła przede wszystkim starego Francuza.

Cofnąłem się o kilka linijek, do opisu pierwszego tygodnia. Postanowiłem przeczytać cały fragment, nawet gdyby Cristofano ponownie zapukał do drzwi.

*Wypadki, które zapowiada układ gwiazd na ten tydzień, ześle na nas Jowisz jako władca domu królewskiego, który zmierzając do Czwartego domu ze Słońcem i Merkurem, dokłada starań, by odkryć tajny skarb. Merkury, wspomagany przez Jowisza w znaku Ziemi, oznacza wzniesienie podziemnych ogni i trzęsień ziemi, czemu będzie towarzyszyć strach rodzaju ludzkiego, dlatego zostało napisane: Eo item in terrae cardine & in signo terreo fortunatis ab eodem cadentibus dum Mercurius investigat eumdem, terraemotus nunciat, ignes de terra producit, terrores & turbationes exauget, minieras & terrae sulphura corrumpit. Saturn w Trzecim domu, pan Tygodnia, zapowiada dużą śmiertelność wskutek walk i szturmów na Miasta, a ponieważ znajduje się w kwadrancie z Marsem, wskazuje na poddanie dużego placu, o czym mówią Ali i Leopold Austriacki.*

Zrozumiałem ten fragment, choć kosztowało mnie to niemało wysiłku (ze względu na aluzje do mistrzów doktryny astrologicznej), i przeraziłem się. W przepowiedni o „odkryciu tajnego skarbu” i „wzniesieniu podziemnych ogni i trzęsień ziemi, czemu będzie towarzyszyć strach rodzaju ludzkiego” rozpoznałem niedawne wydarzenia w „Donzelli”.

Czymże był „tajny skarb”, który miał zostać odkryty w początkach miesiąca, jeśli nie zagadkowymi listami ukrytymi w bibliotece Colberta, wykradzionymi przez Atta tuż przed śmiercią ministra 6 września? Wszystko było jasne, a zarazem przerażające z powodu swojej nieuchronności. Poza tym śmierć Colberta, który z pewnością nie umarł młodo, pasowała do „śmiertelnych niebezpieczeństw”, na które „narażeni byli ludzie starzy”.

„Podziemne ognie i trzęsienia ziemi” również były mi znajome. Przypomniał mi się potężny wybuch, który na początku miesiąca nastąpił w piwnicy. Straszliwy huk uznaliśmy za odgłos trzęsienia ziemi. Na szczęście spowodował jedynie pęknięcie ściany przy schodach na pierwszym piętrze. Niewiele jednak brakowało, by pan Pellegrino dostał zawału.

A „duża śmiertelność wskutek walk i szturmów na Miasta”, którą przewidzieli „Ali i Leopold Austriacki”? Któż nie rozpoznałby tu wojny z Turkami i oblężenia Wiednia? Już same imiona dwóch wybitnych astrologów przywołały na myśl cesarza Leopolda Austriackiego i wyznawców Mahometa. Bałem się czytać dalej, więc wróciłem do poprzednich stron. W lipcu, zgodnie z moimi przewidywaniami, znalazła się zapowiedź najazdu Turków i początku oblężenia:

*Słońce w Dziesiątym domu oznacza...* poddanie narodów, republik i sąsiadów silniejszemu władcy, czyli Alemu...

W tej samej chwili zapukał Cristofano.

Ukryłem gazetkę pod materacem i wybiegłem z pokoju. Przybycie lekarza było dla mnie wyzwoleniem, przerażała mnie bowiem trafność, z jaką autor broszury przewidział wydarzenia (zwłaszcza te tragiczne i nagłe).

Gotowałem w kuchni obiad, pomagałem Cristofanowi w przygotowaniu medykamentów dla Bedfordiego, ale myślami byłem gdzie indziej. Chciałem zrozumieć, dlaczego w pewnym sensie jesteśmy zakładnikami gwiazd, które prowadzą nas tam, dokąd wcale nie mamy ochoty iść, a nasze pełne ufności i troski modlitwy giną w otchłani ciemnych, pustych niebios.

- Ale masz podkrążone oczy, chłopcze! Czyżbyś nie mógł spać w nocy? - zapytał Cristofano. - Brak snu jest poważną sprawą. Jeśli serce i umysł nie mogą odpocząć, pory nie otwierają się i blokują ujście szkodliwym substancjom nagromadzonym w ciągu dnia.

Przyznałem, że ostatnio rzeczywiście niewiele sypiam. Cristofano tłumaczył się, że często potrzebował mojej pomocy, ale dzięki temu zdołał utrzymać gości gospody przy zdrowiu. Dodał również, że wszyscy są bardzo zadowoleni z mojej opieki. Słowa uznania niebywale polectały moją próżność.

Lekarz widocznie nie wiedział, że nie wykonałem jeszcze żadnego zabiegu Pompeo Dulcibeniemu, młodemu Devizemu, ani nawet Stilone Priasowi, chociaż spędziłem wtedy u niego niemalże całą noc. Osoby te zawdzięczały zatem zdrowie matce naturze, a nie zaordynowanej przez lekarza terapii.

Cristofano uparł się, że przygotuje mi preparat na sen.

- Sprowadza sen, leczy wiele dolegliwości fizycznych, a także wszelkiego rodzaju rany. Gdybym ci opowiedział, jakich cudów dokonałem, stosując ten środek, nie uwierzyłbyś - zapewniał Toskańczyk. Nazywa się *magnus*. Sporządza się go również w Wenecji w aptece dell'Orso przy placu Santa Maria Formosa.

Z uśmiechem wykladał z torby różne dziwne rzeczy na stół w kuchni i na końcu glinianą karafkę.

- Płyn *magnus* przygotowuje się na wiosnę. Dwadzieścia funtów zwykłego oleju gotuje się z dwoma funtami dojrzałego białego wina...

Cristofano, jak zwykle, z obsesyjną dokładnością wymieniał składniki i cudowne właściwości preparatu. Przestałem go słuchać i zatopiłem się w rozmyślaniach.

- ...a teraz, we wrześniu, dodaje się balsaminę i smaczną wódkę pana Pellegrina.

Na dźwięk nazwiska mojego pryncypała otrząsnąłem się z zamyślenia. Cristofano znów splądrował piwnicę w poszukiwaniu składników do sporządzenia leków.

- Chłopcze, cóż to tak zajmuje twoje myśli i serce? - zapytał, zauważwszy moje roztargnienie.

Wyjaśniłem, że tego ranka obudziłem się ze smutną myślą: skoro naszym życiem, jak niektórzy twierdzą, rządzą planety i gwiazdy, to wszystkie wysiłki nie mają sensu. Po co te medykamenty szykowane z takim trudem? Natychmiast przeprosiłem Cristofana, tłumacząc swoje bredzenie zmęczeniem.

Lekarz spojrział na mnie zmieszany i lekko zaniepokojony:

- Nie wiem, skąd przyszły ci do głowy te pytania, ale wcale nie bredziłeś. Przeciwnie, ja sam darzę astrologię szacunkiem. Wielu lekarzy wyśmiewa się z tej nauki. Odpowiadam im słowami Galena: *medici*

*Astrologiam ignorantes sunt peiores spiculatoribus et homicidis.* Nie mówiąc już o tym, co powiedzieli Hipokrates, Scoto i inni wybitni pisarze, do których moi koledzy lekarze odnoszą się sceptycznie.

Cristofano, zajęty sporządzaniem *magnusa*, przerwał na chwilę swoje zajęcie i oznajmił, że zdaniem wielu astrologów o epidemii czarnej dżumy zadecydowała koniunkcja Saturna, Jowisza i Marsa, która nastąpiła 24 marca 1345 roku, epidemię choroby francuskiej natomiast spowodowała koniunkcja Marsa i Saturna.

- *Membrum ferro ne percutito, cum Luna signum tenuerit, quod membro Uli dominatur* - zadeklamował. - Medyk nie powinien obcinać chorego członka, gdy Księżyc znajduje się w znaku zodiaku odpowiadającym temu organowi, zwłaszcza zaś wtedy, gdy Księżyc podlega wpływowi Saturna i Marsa, planet szkodliwych dla zdrowia. Przykład: jeśli horoskop chorego przewiduje zły obrót sprawy, należy poczekać i leczyć go w dniach, które gwiazdy uznają za korzystne.

- Każdej konstelacji zodiaku odpowiada zatem jakaś część ciała?

- Oczywiście! Jeśli Księżyc znajduje się w znaku Barana, w opozycji do Marsa i Saturna, należy zaniechać zabiegów w okolicy głowy, (warzy i oczu; w znaku Byka - w okolicy szyi, karku, gardła; w znaku Bliźniąt - barków, ramion i dłoni; w znaku Raka - klatki piersiowej, płuc i żołądka; w znaku Lwa serca, pleców, wątroby; w znaku Panny brzucha; w znaku Wagi - piszczeli, łądźwi, pępka i jelit; w znaku Skorpiona - pęcherza, łona, kręgosłupa i genitaliów; w Strzelcu - ud; w Koziorożcu - kolan; w Wodniku - nóg; w znaku Ryb, o ile się nie mylę, stóp i kostek.

Cristofano powiedział też, że środek przeczyszczający najlepiej podać, gdy Księżyc znajduje się w znaku Skorpiona lub Ryb. Nie należy go podawać, kiedy Księżyc usytuowany jest w znakach przeżuwczy, w koniunkcji z jakąś planetą w ruchu wstecznym, ponieważ pacjent może zwymiotować lekarstwo i ulec działaniom ubocznym.

- „Księżyc w znakach przeżuwczy, nietypowe przypadki chorób”, nauczał Hermes Trismegistos. Rok, w którym wiosną i jesienią wystąpią cztery planety w ruchu wstecznym, a trzy z nich w znakach przeżuwczy, szczególnie obfituje w tego rodzaju przypadki - podsumował.

- Czymże jest więc nasze życie, skoro rządzą nim planety?

- Nie, to nie tak. Z pomocą gwiazd i całego wszechświata człowiek może budować swoje szczęście lub sprowadzać na siebie klęski. Wszystko zależy od tego, czy potrafi odpowiednio spożytkować intuicję i rozum, które dał mu Bóg, oraz zdobytą wiedzę.

Cristofano, powołując się na swoje lekarskie doświadczenie, wyjaśnił,

że planety wskazują jedynie tendencję, dyspozycję, inklinację - nigdy obowiązującą drogę.

Jego interpretacja nie negowała wpływu gwiazd, ale podkreślała znaczenie ludzkiego rozumu, a przede wszystkim uznawała wyższość woli Boga. Rozmowa z Cristofanem podniosła mnie na duchu.

Skończyłem szykować obiad. Tym razem przygotowałem polewkę ryżową i wędzonego jesiotra z sokiem z cytryny i cynamonem. Ponieważ do posiłku brakowało kilku godzin, Cristofano pozwolił mi odejść. Przedtem jednak wręczył mi butelkę *magnusa* i zalecił, bym przed snem wypił kropelkę płynu i posmarował nim klatkę piersiową, zanim pójde spać, a także zastosował go do inhalacji.

- Pamiętaj, preparat doskonale leczy też rany, z wyjątkiem ran wywołanych chorobą francuską. Posmarowanie ich *magnusem* powoduje ostre bóle.

Kiedy wchodziłem po schodach, na wysokości pierwszego piętra usłyszałem dźwięki gitary. Devize grał swoje cudowne rondo, które bardzo lubiłem, ponieważ działało na wszystkich kojąco.

Na drugim piętrze usłyszałem, że ktoś szepcze moje imię. Zatrzymałem się w korytarzu. W głębi dostrzegłem czerwone pończochy opata Melaniego, który wyglądał przez uchylone drzwi pokoju.

- Daj mi trochę syropu! Poprzednim razem bardzo mi pomógł - powiedział głośno, na wypadek gdyby w pobliżu znajdował się Cristofano, i energicznym ruchem ręki zaprosił mnie do środka. Kiedy wszedłem do pokoju, okazało się, że nie o syrop chodzi, tylko o ważne nowiny.

Zanim Melani zamknął za mną drzwi, wystawił głowę na korytarz, by posłuchać dźwięków ronda.

- Ach! Ta magia muzyki! - westchnął w uniesieniu i szybkim krokiem podszedł do stolika. - Kolej na nas, chłopcze! Widzisz? Żeby napisać kilka stron, trzeba włożyć tyle wysiłku, że nawet sobie nie wyobrażasz!

Na stoliku leżał plik zapisanych kartek, których Atto nie chciał mi pokazać podczas mojej poprzedniej wizyty.

Opat wyjaśnił, że od jakiegoś czasu zajęty jest pisaniem przewodnika po Rzymie dla Francuzów. Jego zdaniem obecnie dostępne przewodniki nie odpowiadają potrzebom podróżników, pomijają wiele dzieł sztuki starożytnej i współczesnej, które można podziwiać w mieście papieży. Poka-

zał mi strony napisane ostatnio w Paryżu, zapełnione drobnymi literami. Był to rozdział poświęcony kościołowi Sant'Attanasio dei Greci.

- A więc? - zapytałem zdziwiony, siadając na krześle.

- Chciałem wykorzystać wolne chwile i ukończyć mój przewodnik. Dzisiaj rano, kiedy zasiadłem do pracy, doznałem olśnienia.

Opat opowiedział mi o dziwnym spotkaniu. Cztery lata temu, w roku 1679, podziwiał właśnie fasadę kościoła Sant'Attanasio, zaprojektowanego przez Martina Longhiego, a następnie wszedł do bocznej kaplicy, żeby obejrzeć piękne płótno Trabaldesiego. Nagle, przestraszony, zauważył obok siebie jakąś postać.

W półmroku dostrzegł zgarbioną postać starego księdza, który, sądząc po nakryciu głowy, był jezuitą. Ręce i tułów bezustannie mu drżały. Podpierał się laską, dwie młode opiekunki trzymały go pod ręce i pomagały ustać. Miał zadbaną białą brodę, okalającą twarz poraną zmarszczkami. Przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu świadczyło o bystrości umysłu i inteligencji.

- Pańskie oczy są... magnetyzujące - powiedział.

Zaskoczony opat rzucił pytające spojrzenie na opiekunki starego kapłana, ale one milczały, jakby nic śmiały odezwać się bez jego pozwolenia.

- Sztuka magnetyczna ma duże znaczenie w tym rozległym świecie - ciągnął jezuita. - A jeśli w dodatku jesteś mistrzem gnomoniki katoptrycznej, czyli nowej zegarografii lustrzanej, możesz oszczędzić sobie wszelkiego prodromu koptyjskiego.

Dwie służące milczały skonsternowane, jakby kłopotliwa sytuacja miała miejsce nie po raz pierwszy.

- Jeśli przedsięwzięłeś niebiański ekstatyczny iter - mówił starzec zachrypniętym głosem nie będą ci potrzebne maltańskie obserwatoria astronomiczne ani klasyfikacje Uzyczno-medyczne, ponieważ wielka sztuka światła i cienia, uwolniona od diatryby cudownych krzyży i nowej poligrafii, przyniesie ci całą wymaganą arytmologię, muzurgię i fonurgię.

Opat Melani słuchał w milczeniu.

- Sztuki magnetycznej nie można się nauczyć, gdyż jest ona częścią natury ludzkiej - wyjaśniał jezuita. - Magnes jest magnetyczny. Tak, to prawda. Ale *Vis Magnetica* uwalnia także od twarzy. I od muzyki, jak ci zapewne wiadomo.

- Ojciec mnie zna? - spytał Atto Melani. Pomyślał, że starzec słyszał kiedyś w przeszłości jego śpiew.

- Magnetyczna siła muzyki tkwi na przykład w tarantelach - ciągnął nieznamy, jakby nie słyszał pytania Atta. - Muzyka może wyleczyć człowieka ukąszonego przez tarantulę, a także z wielu innych chorób. Zrozumiałeś?

Nie czekając na odpowiedź Atta, zaniósł się głośnym śmiechem, który wstrząsał całym jego ciałem, aż młode opiekunki musiały go przytrzymać, żeby się nie przewrócił. Silny atak śmiechu zdawał się graniczyć z cierpieniem, wykrzywiającym twarz jezuity, po której płynęły łzy.

- Uważaj jednak! - upomniął starzec, nadal bredząc od rzeczy. - Magnes gnieździ się także w Erosie, gdzie może zrodzić się grzech, a ty masz magnetyzujące oko, ale Pan nie życzy sobie grzechu, o nie! - mówiąc to, uniósł laskę i zamierzył się nią na Melaniego.

Jedna z opiekunek zdołała powstrzymać starca, a druga zaczęła go uspokajać, prowadząc ku wyjściu. Kilku wiernych, przerwawszy modlitwę, z zaciekawieniem przyglądało się tej scenie.

- Dlaczego do mnie podszedł? - zapytał Atto.

Dziewczyna, przewyciężając nieśmiałość typową dla prostych ludzi, wyjaśniła, że starzec zaczepia nieznamych i zamęcza ich swoimi przemowami.

- Jest Niemcem. Napisał bardzo dużo książek, a teraz, kiedy postradał rozum, bez przerwy powtarza ich tytuły. Często myli zmarłych z żywymi, współbracia wstydzą się go i rzadko wypuszczają z klasztoru. Ale nie zawsze jest w takim stanie. Moja siostra i ja towarzyszymy mu podczas spaceru. Czasami powraca mu rozum. Pisze wtedy listy i daje nam do wysłania.

Opat Melani, którego początkowo zirytowała napaść starca, rozczulił się, słysząc tę smutną historię.

- Jak się nazywa?

- Ojciec Athanasius Kircher. W Rzymie jest bardzo znany.

Na dźwięk tego nazwiska zaniemówiłem z wrażenia.

- Kircher? Ten uczony jezuita, który odkrył tajemnicę dżumy?! - krzyknąłem przejęty. Przypomniałem sobie, że na początku kwarantanny goście gospody wiedli ożywioną dyskusję o Kircherze.

- Otóż to! - przyznał Atto. - Powinieneś wiedzieć, kim naprawdę był Kircher. W przeciwnym razie nie zrozumiesz dalszego ciągu historii.

Dowiedziałem się od Melaniego, że dawniej gwiazda Kirchera świeciła jasnym blaskiem. Wyjaśnił też, na czym polegała jego nauka i dlaczego przez długie lata każde jego słowo przyjmowano jak wyrocznię.



Ojciec Athanasius Kircher przybył do Rzymu na zaproszenie papieża Urbana VIII Barberiniego, do którego z uniwersytetów w Wurzburgu, Wiedniu i Awinionu docierały wieści o niespotykanej erudycji jezuitę. Kircher mówił dwudziestoma czterema językami, w większości wschodnimi. Przywiózł stamtąd do Rzymu manuskrypty arabskie i chaldejskie oraz teksty pisane hieroglifami. Miał rozległą wiedzę w dziedzinie teologii, metafizyki, fizyki, logiki, medycyny, matematyki, etyki, ascezy, prawa, polityki, interpretacji Pisma Świętego, polemiki, teologii moralnej, retoryki, kombinatoryki. Zwykł mówić, że nie ma nic piękniejszego niż znajomość wszystkich rzeczy. Z pokorą i *ad maiorem Dei gloriam* odkrył tajemnice gnomoniki, poligrafii, magnetyzmu, arytmologii, muzurgii i fonurgii, a dzięki znajomości symbolu i analogii zgłębił tajniki kabały i hermetyzmu, sprowadzając je do uniwersalnego wymiaru wiedzy początkowej.

Przeprowadzał eksperymenty z urządzeniami i maszynami, które sam konstruował. Umieścił je w założonym przez siebie muzeum przy Kolegium Rzymskim. Wśród eksponatów znalazły się: zegar słoneczny, maszyna, która zmienia cień rzucany przez światło świecy w kształty ludzkie i zwierzęce, wreszcie niezliczone maszyny katoptryczne, pojemniki parastatyczne, zasłony mezoptyczne i tablice ischiatyczne.

Uczony jezuita szczyił się wynalezieniem uniwersalnego języka, którym można się porozumiewać na całym świecie, tak prostego, że biskup z Vigevano zapewnił Kirchera w liście do niego, że nauczył się tego języka w godzinę.

Czcigodny profesor Kolegium Rzymskiego nakreślił kształt Arki Noego, ustalił gatunki i liczbę zwierząt, które się na niej schroniły, sposób rozmieszczenia klatek, koryt i żłobów, a nawet umiejscowienie drzwi i okien. Dowiódł *geometrice et mathematice*, że gdyby wieża Babel została wzniesiona, jej ciężar spowodowałby przechylenie kuli ziemskiej.

Napisał wiele dzieł, w których wyjaśnił między innymi pochodzenie religii. Przybliżył też nieznanne języki: chiński, japoński, koptyjski i egipski. Odczytał hieroglify na obelisku aleksandryjskim, stojącym pośrodku fontanny wzniesionej przez kawalera Berniniego, który odrestaurował cenny zabytek zgodnie z instrukcjami Kirchera. Historia obelisku była chyba najbardziej niezwykłą opowieścią związaną z osobą jezuitę. Kiedy wśród ruin Circus Maximus odnaleziono kamienny zabytek, natychmiast wezwano Kirchera. Na podstawie widocznych trzech boków obelisku przewidział, jakie symbole znajdują się na boku tkwiącym jeszcze w ziemi. Jego koncepcja sprawdziła się co do joty.

- Ale kiedy pan spotkał Kirchera, był... Jak by to powiedzieć...  
- Mów śmiało: zdziecinniały! - uściślił Atto. - To prawda. W ostatnich latach życia wielki geniusz zupełnie postradał rozum, a niedługo potem także życie, zmarł bowiem rok później. Szaleństwo może dotknąć każdego - i króla, i wieśniaka - ciągnął Melani i dodał, że po śmierci uczonego odwiedził kilka wpływowych osób, które potwierdziły stan umysłu Kirchera, mimo że jezuici starali się ukryć prawdę. - Przejdźmy jednak do istoty sprawy - rzekł. - Jak sobie zapewne przypominasz, w bibliotece Colberta znalazłem głównie listy z Rzymu, adresowane do nad-intendenta Fouqueta, napisane prawdopodobnie przez duchownego. Była w nich mowa o pewnej poufnej informacji.

- Pamiętam.

- Chodziło o listy Kirchera.

- Jest pan tego pewien?

- Rozumiem twoje wahanie, ale pozwól, że ci wyjaśnię, na czym polegało moje dzisiejsze olśnienie. Jestem tak poruszony, że nie mogę skupić myśli, a tymczasem musimy wszystko uporządkować. Mówiłem ci, że kiedy przeglądałem listy, w jednym z nich zauważyłem słowa *mumiarum domino*, których wówczas nie rozumiałem.

- Tak, przypominam sobie.

- *Mumiarum domino* oznacza „właścicielowi mumii” i odnosi się do Fouqueta.

- Co to są mumie?

- To ciała starożytnych Egipcjan zamknięte w sarkofagach, zabezpieczone przed rozkładem za pomocą bandaży i tajemniczych zabiegów.

- W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego Fouquet miałby być „właścicielem mumii”?

Opat wziął do ręki jakąś książkę, otworzył ją na stronie, gdzie było podkreślonych kilka linijek, i podał mi ją. Był to zbiór poezji La Fontaine'a, który w kilku swoich wersach chwalił śpiew Atta Melaniego.

*Je prendrai votre heure et la mienne.*

*Sijevois qu'onvous entretienne*

*J'attendrai fort paisiblement*

*En ce superbe appartement*

*Oii Von afait d'etrange terre*

*Depuispeu veniragrand-erre*

*(Non sans travail et quelquesfrass)*

*Des rois Cephrim et Kiopes*

*Le cercueil, la tombe ou la biere:  
Pour les rois, ils sont en poussieref?'*

*Je quittai donc la galerie,  
Fort content parmi mon chagrin,  
De Kiopes et de Cephrim,  
D'Orus et de tout son lignage  
Et de maint autre personnage. \**

- To wiersz dedykowany Fouquetowi. Zrozumiałeś treść?
- Raczej nie - odparłem zirytowany tym rozwlekłym i niezrozumiałym poematem.
- To proste. Cephrim i Kiopes to dwie egipskie mumie, które kupił nadintendent. La Fontaine, wielbiciel Fouqueta, ułożył na ten temat dowcipny wiersz. Kto w Rzymie interesował się starożytnym Egiptem?
- Kircher.
- Słusznie. Uczony jezuita oglądał mumie Fouqueta w Marsylii, dokąd przywieziono je na pokładzie statku. Wyniki swoich studiów zawarł w traktacie zatytułowanym *Oedipus Aegyptiacus*.
- Zatem Kircher i Fouquet znali się.
- Oczywiście. Pamiętam, że w traktacie był nawet rysunek obydwu sarkofagów, który na prośbę Kirchera wykonał jeden z jezuitów. Autor listów i Kircher to ta sama osoba. Dopiero dzisiaj poskładałem te fakty.
- Ja także zaczynam rozumieć. W jednym z listów Fouquet został nazwany *dominus mumiarum*, czyli „właściciel mumii”, ponieważ kupił dwa sarkofagi opisane przez Kirchera.
- Brawo! Trafiliś w sedno!

Sytuacja była zatem niezwykle skomplikowana. Opat Mclani odkrył, że Kircher kontaktował się z nadintcndentem Fouquetem w sprawie mumii, które ten ostatni nabył w Marsylii, a następnie przywiózł do Paryża. Spotykał się z Fouquetem i powierzył mu pewien sekret. Nie wiadomo,

Wezmę twoją i moja godzinę / jeśli zobacę, że one waszą ostoją, / będę czekał długo i cierpliwie / w tym wspaniałym mieszkaniu / które w tej dziwnej ziemi posiadaniu / Od nie- dawna przybyli tu naprędce / (Nie bez pracy i wysiłków) / Królowie Cephrim i Kiopes / Grób, trumna, czy grobowiec / dla nich to kurz pyłków. / Wyszedłem więc korytarzem, / Zadowolony mimo zadumania i pograżon w mych smutkach / O Kiopes, Cephrim, / o Horusie i o całej jego rodzinie / i o wielu innych przodkach.

o co dokładnie chodziło, ponieważ w korespondencji znalezionej przez Atta w domu Colberta widniała jedynie krótka wzmianka na ten temat.

- Przybył pan więc do Rzymu nie tylko po to, by odnaleźć Fouqueta, ale by dociec, co to za tajemnica.

Opat Melani zamyślił się przez chwilę, po czym powiedział:

- Początkowo nie miałem takiego zamiaru. Teraz jednak nie mogę zaprzeczyć, że cała ta historia bardzo mnie intryguje.

- I zatrzymał się pan w „Donzello” nie całkiem przypadkowo.

- Brawo! Jak do tego doszedłeś?

- Kiedy się nad tym dłużej zastanowiłem, przyszło mi do głowy, że zgodnie z treścią znalezionych przez pana listów szpiedzy Colberta widzieli nadintendenta na Piazza Fiammetta, w pobliżu kościoła SanfApolinare i na Piazza Navona, czyli niedaleko stąd.

- Wspaniale! Od początku wiedziałem, że jesteś bystry.

Zachęcony komplementem, odważyłem się zadać to pytanie, choć czułem, że głos mi drży:

- Pan de Mourai to Fouquet, prawda?

Atto Melani milczał, lecz wyraz jego twarzy wystarczył mi za całą odpowiedź. Wyjaśniłem, w jaki sposób to odkryłem, mimo że nie było to proste. Naprowadziło mnie kilka faktów, z pozoru nieistotnych. Fouquet był Francuzem, de Mourai również. De Mourai był stary, schorowany, niedowidział. Po dwudziestu latach więzienia stan zdrowia nadintendenta był identyczny. Obydwaj byli w tym samym wieku, około sześćdziesięciu-siedemdziesięciu lat. De Mourai miał młodego opiekuna, pana Devizego, który nie znał Italii tak dobrze jak Francji, poza tym interesowała go wyłącznie muzyka. Uciekinier potrzebował też osoby bardziej doświadczonej w zawiłościach życia, kogoś takiego jak Pompeo Dulcibeni. Stary szlachcic pewnymi stwierdzeniami (cena tkanin w Rzymie, podatek od zmielenia zboża, transport żywności z Agro Romano) dowiódł, że dobrze zna się na handlu.

To nie wszystko. Jeśli Fouquet rzeczywiście się ukrywał i bawił w Rzymie przejazdem, wołał nie oddalać się zbyt od gospody. Dlatego jego przechadzki ograniczały się do Piazza Navona lub Piazza Fiammetta, w pobliżu kościoła Sant’Apolinare. Dzisiaj rano, kiedy leżałem jeszcze w łóżku, doszedłem do wniosku, że gospoda „Donzello” była najwłaściwszym miejscem dla osób niezamożnych, albowiem nasza dzielnica, która kiedyś szczyciła się najlepszymi zajazdami, obecnie wyraźnie podupadła. Stary Francuz nie sprawiał jednak wrażenia człowieka bez gro-

sza, przeciwnie. Unikał osób swojego stanu z obawy, że mimo upływu lat mógłby zostać rozpoznany.

- Dlaczego nie powiedział mi pan prawdy? - zapytałem zmienionym głosem, starając się zapanować nad emocjami.

- Ponieważ nie było takiej potrzeby. Gdybym mówił ci o wszystkim, co wiem, rozbolełaby cię głowa - odparł oschle. - Muszę cię nauczyć jeszcze wielu rzeczy, z wyjątkiem dedukcji - powiedział bardziej życzliwym tonem.

Pierwszy raz miałem pewność, że opat Melani nie udaje, przeciwnie, jest szczerze zmartwiony smutnym losem przyjaciela. Z trudem powstrzymując łzy, powiedział, że nie przyjechał do Rzymu wyłącznie po to, by sprawdzić, czy pogłoski o pobycie Fouqueta w mieście są prawdziwe, czy fałszywe, rozgłaszane po to, by zaniepokoić Arcychrześcijańskiego Króla i całą Francję. Atto Melani odbył długą podróż z Francji do Włoch w nadziei, że spotka starego druha, o którym zachował bolesne wspomnienie. Jeśli Fouquet był rzeczywiście w Rzymie - pomyślał - grozi mu niebezpieczeństwo. Informator, który doniósł Colbertowi o obecności nadintendenta w Wiecznym Mieście, prędzej czy później otrzyma z Paryża rozkaz zatrzymania go lub zgładzenia.

Melani przybył do Rzymu miotany sprzecznymi uczuciami: nadzieją na odnalezienie przyjaciela, którego uznawał za zmarłego po długich latach więzienia, chęcią służenia królowi, wreszcie obawą, że po ewentualnym spotkaniu z Fouquetem zostanie wplątany w jakieś nieczyste rozgrywki.

- Co pan ma na myśli?

Wszystkim w Paryżu wiadomo, że król nienawidził nadintendenta. Na wieść o tym, że Fouquet nie umarł w Pinerolo, lecz żyje i przebywa na wolności, Ludwik XIV z pewnością wpadłby w szal.

Wyjazd Melaniego z Francji był utrzymywany w tajemnicy. Pomagał mu w tym, jak zawsze, pewien zaufany człowiek.

- Niezwykle utalentowany kopista, potrafi podrobić mój podpis. Nazywa się Buvat. Zawsze mogę na niego liczyć. Kiedy wyjeżdżam potajemnie z Paryża, prowadzi w moim imieniu korespondencję. Otrzymuję listy ze wszystkich dworów w Europie, a władcom należy odpowiadać natychmiast - rzekł z przechwałką w głosie.

- Skąd pański Buvat wie, co ma napisać?

- Zostawiłem mu instrukcje. Bieżące informacje na temat dworu zdobywa od służących - najlepszego źródła plotek, oplacając ich sownie.

Chciałem zapytać, w jaki sposób zdołał ukryć swój wyjazd przed samym królem, lecz Atto nie dał mi dojść do słowa. W Rzymie - powiedział - odnalazł Fouqueta w naszej gospodzie, ale tego samego ranka, kiedy dotarł do „Donzella”, osoba, którą nazywaliśmy panem de Mourai, zmarła. Dawny dobroczyńca skończył w jego ramionach.

- Rozpoznał pana?

- Niestety nie. Kiedy wszedłem do jego pokoju, konał, bełkocząc jakieś słowa. Starłem się go ratować, potrząsałem nim, mówiłem do niego, ale było już za późno. W twojej gospodzie zmarł wielki człowiek.

Opat Melani odwrócił głowę, by ukryć łzy. Drżącym głosem zaczął śpiewać smutną melodię:

Ma, quale pena infinita,  
sciolta hai ora la vita...\*

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Ogarnęło mnie wzruszenie. Atto usiadł w kącie pokoju i pogrążył się w smutnych wspomnieniach. Próbowałem przypomnieć sobie słowa pana de Mourai, jego gesty, zachowanie i dopasować do nieszczęsnej postaci nadintendenta, którego znałem z opowieści opata Melaniego. Wspominałem jego niebieskozielone, niewidzące oczy, bladą twarz, drżące ciało, popękane wargi, ale nie odnalazłem niczego, co odpowiadałoby przysłowiowej zwinności „wiewiórki”. Po chwili wyobraziłem sobie jednak drobną, przygarbioną sylwetkę de Mouraigo, szczupłą twarz o gładkich, pomimo wieku, policzkach, wąskie, ruchliwe dłonie... Tak, pan de Mourai istotnie przypominał wiewiórkę. Ale teraz nie wykona już żadnego gestu, nie przemówi, nie otworzy oczu, zasnął bowiem na wieki. Ostatkiem sił wy dostał się z więzienia. Łykając łzy, uznałem, że to było dla niego najważniejsze: umrzeć jako wolny człowiek.

Opat zwrócił ku mnie twarz zdradzającą głębokie wzaiszenie.

- Teraz mój przyjaciel siedzi po prawicy Boga, pośród sprawiedliwych i męczenników - rzekł w uniesieniu. - Matka Fouqueta z niepokojem śledziła karierę syna, który zdobył silną władzę, ale był słabego ducha. Codziennie modliła się do Boga, żeby odmienił jego los i sprowadził na drogę odkupienia i świętości. Kiedy wierny sługa La Foret przybył do niej z wieścią o aresztowaniu syna, uklękła i dziękowała Bogu, że tak się stało. „Teraz na pewno zostanie świętym!” - zawołała radosnym głosem.

Atto przerwał na chwilę, po czym mówił dalej ze ściśniętym gardłem:

Ale jaką niezmierną karę, / w wolnej godzinie masz ty życie...

- Przepowiednia tej szlachetnej kobiety spełniła się. Spowiednik Fouqueta utrzymywał, że lata odosobnienia odmieniły duszę więźnia. Podobno nawet opisał swoją duchową przemianę. W listach do żony pisał, że jest wdzięczny matce za modlitwę i cieszy się, że Bóg ją wysłuchał. - Opat załkał: - Och, Nicolas! Wszzechmocny wezwał cię do siebie i w swojej łaskawości uwolnił od nędznej ziemskiej chwały.

Po chwili, kiedy zapanowaliśmy nad wzruszeniem, zmieniłem temat:

- Nie wiem, czy pan się ze mną zgodzi, ale sądzę, że najwyższa pora przesłuchać Pompea Dulcibeniego i Devizego.

- Masz zupełną rację! - odparł z ożywieniem, zapominając o smutku. - Jeśli mają coś do ukrycia, rozmowa z nami ich zaniepokoi.

Wstał, żeby otrzeć łzy, przejrzał papiery i podał mi jakąś kartkę.

- Na razie musimy zająć się czymś innym i przyjrzeć się zebrany dotychczas dowodom. Pamiętasz, kiedy weszliśmy do tajnej drukarni Komarka, cała podłoga usłana **była** kartkami? Wziąłem kilka z nich. Co ci to przypomina?

### Czcionka Tekst Paragon Kursywa

#### LIBER JOSUE

#### HEBRAICE JEHOSHUA

#### Caput Primum

*Et factum est post mortem Moysi serri Domini, ut loqueretur Dominus ad Josue filium Nun, ministrum Moysi, & diceret ei; Moses seruus meus mortuus est surge & transi Jordanem istum tu & omnis populus tecum, in terram, quam ego dabo filiis Israel. Omnem locum, quem calcaverit vestigium pedis vestri, vobis tradam, sicut locutus sum Moysi. 4 deserto & Libano usque ad fluvium magnum contra Solis occasum erit terminus vester. Xul/ns poterit vobis resistere cunctis diebus vi tac Mae: sicut fui cum Moyse, ita ero tecum: non dimittam, nec derelinquam te. Confortare & esto robustus: tu enim sorte divides populo huk terram...*

- Wygląda na fragment Biblii.
- Co jeszcze?

Odwróciłem kartkę.

- Druk znajduje się tylko po jednej stronie.

- Słusznie. Rodzi się zatem pytanie: czy w Rzymie zapanowała moda na drukowanie Biblii jednostronnie? Myślę, że nie, trzeba by wówczas zużyć podwójną ilość papieru. Książki ważyłyby więcej, także cena byłaby dwa razy wyższa.

- A zatem?
- Zatem nie są to strony Biblii.
- Tylko co?
- Popis umiejętności, rzecz można.
- Próbką drukarską?

- Nie tylko. Przykład tego, co drukarz może zaoferować klientowi. Pamiętasz, co powiedział Stilone Priaso poszukiwaczom relikwii? Komarek potrzebuje pieniędzy. Poza pracą w drukarni Kongregacji Propaganda Fide wykonuje też inne pokątne usługi. Chce sobie przy tym zapewnić stałych klientów. Być może wystąpił już o zezwolenie na prowadzenie własnej drukarni. Przygotował próbkę dla przyszłych zleceniodawców, żeby pokazać im jakość swojej pracy, a do tego celu w zupełności wystarczy jedna strona.

- Chyba ma pan rację.

- Też tak sądzę. Zaraz ci to udowodnię. Co jest napisane w pierwszej linijce? „Czcionka Tekst Paragon Kursywa”. Nie jestem ekspertem, ale według mnie „Paragon” to krój czcionki zastosowanej w tym tekście. Na stronie poplamionej krwią, dokładnie w tym samym miejscu, napisane było „nda”. Być może chodzi o krój pisma *xo\wnda*.

- Oznacza to, że głównym podejrzanym jest Stilone Priaso? - zapytałem podekscytowany.

- Możliwe. Ale chcąc znaleźć złodzieja, musimy odszukać zleceniodawcę Komarka, a jest nim z pewnością Stilone Priaso. Poza tym złodziej pereł nie ma z pewnością gór złota, podobnie jak nasz kronikarz, który w dodatku pochodzi z Neapolu, skąd Fouquet wyruszył do Rzymu? Dziwne, prawda? Ale...

- Ale?

- Wszystko jest zbyt oczywiste. Zabójca mojego przyjaciela jest natomiast przebiegły i doświadczony. Na pewno zadbał o to, by nikt go nie podejrzewał. Czy twoim zdaniem mógłby to być wiecznie niespokojny Stilone Priaso? Jeśli rzeczywiście jest mordercą, to czy nie wyjdaje ci się



dziwne, że chodzi z broszurą astronomiczną pod pachą? Najemny zabójca z pewnością nie podawałby się za astrologa. Nie parzyłby się też złodziejstwem, kradnąc twoje perły...

Pomyślałem, że Stilone Priaso chyba naprawdę był astrologiem. Napomknąłem Melanieniu, z jakim smutkiem Priaso opowiedział mi historię opata Morandiego. Kiedy wychodziłem z pokoju, zadałem opatowi pytanie, które dręczyło mnie już od dawna:

- Panie Atto, czy pana zdaniem istnieje jakiś związek między tajemniczym złodziejem a śmiercią nadintendenta?

- Nie wiem.

Byłem pewien, że opat kłamie. Podałem gościom obiad, po czym położyłem się do łóżka. Zatopiony w rozmyślaniach, odniosłem wrażenie, że pomiędzy opatem a mną zawisła jakaś ciężka, zimna kurtyna. Melani ukrywał coś przede mną, tak jak zataił obecność Fouqueta pod przybranym nazwiskiem, a jeszcze wcześniej listy skradzione z gabinetu Colberta. I z jaką pewnością siebie opowiadał mi historię nadintendenta! Mówił o Fouquecie, jakby nie widział go od lat, choć niedawno razem z panem Pellcgrinem był przy jego śmierci (wyobraziłem sobie tę scenę). Miał też czelność insynuować, że Dulcibcni i Devize ukrywają coś na temat de Mourai *alias* Fouquet. I to on o tym mówił! Jakimż kłamliwym kapłanem i mistrzem udawania był opat Melani! Przeklinałem siebie za to, że zlekceważyłem rozmowę Cristofana, Devizego i Stilone Priasa, którą podsłuchałem w kuchni. Przeklinałem się też za to, że czerpałem przyjemność z jego pochlebstw, kiedy chwalił mnie za spostrzegawczość.

Byłem w najwyższym stopniu rozdrażniony. Pragnąłem zmierzyć się z Melanim, dowieść umiejętności przewidywania jego ruchów, wykryć jego przeoczenia, zrozumieć przemilczenia, wykorzystać jego elokwencję.

Jakby kołysany głęboką urazą do Melaniego, zmęczony po nieprzespanej nocy, z wolna pogrążyłem się we śnie. Zapadając w senne odretwienie, z niechęcią odpędziłem myśl o Cloridii.

Po raz drugi tego dnia obudził mnie Cristofano. Spałem cztery godziny. Czułem się bardzo dobrze, nie wiem, czy za sprawą długiej drzemki, czy dzięki *magnusowi*, którym natarłem klatkę piersiową, a niewielką jego ilość wypilem. Lekarz upewnił się, czy doszedłem do siebie, po czym spokojnie się oddalił. Przypomniałem sobie, że mam podać go-

ściom leki przeciw dżumie. Ubrałem się i wziąłem torbę z medykamentami. Na początek miałem zamiar zaaplikować Brenozziemiu odtrutkę żołądkową i syrop z dąbrówki, okadzić wonnym zieleń Stilone Priasa, następnie zejść na pierwsze piętro do Devizego i Dulcibeniego. Poszedłem do kuchni, aby podgrzać w kociołku trochę wody.

Od weneccjanina starałem się wyjść jak najszybciej. Nie znośłem tych jego natarczywych, nieuprzejmych pytań, na które zresztą sam sobie odpowiadał, nie dopuszczając mnie do głosu. Irytował jego wstrętne nawyk ciągłego szczypania się w przyrodzenie, jak to mają w zwyczaju czynić młodzieńcy, którzy choć utracili niewinność, nie nabrali jeszcze życiowego doświadczenia i pilnie kontrolują swojego ptaszka. Zauważyłem, że Dulcibeni nie tknął jedzenia, ale nic nie powiedziałem w obawie, że zasypie mnie pytaniami.

Następnie zapukałem do drzwi neapolitańczyka. Zaprosił mnie do środka, a kiedy rozkładałem swoje przybory, spostrzegłem, że on również nie tknął obiadu. Zapytałem, czy dobrze się czuje.

- Wiesz, skąd pochodzę? - rzekł, nie udzieliwszy mi odpowiedzi.

- Tak, panie-odparłem zmieszany. - Z Królestwa Neapolu.

- Byłeś tam kiedyś?

- Niestety nie. Od dnia narodzin nie widziałem żadnego innego miasta oprócz Rzymu.

- Wiedz zatem, że dla żadnej innej ziemi niebiosa nie są tak łaskawe jak dla Neapolu, i to o każdej porze roku - mówił z emfazą. - Neapol, uroczyste miasto, stolica dwunastu prowincji, rozciąga się nad samym morzem, niczym majestatyczny amfiteatr otoczony malowniczymi wzgórzami i dolinami. W pobliżu miasta, wzniesionego przez syrenę Partenope, znajduje się nizina Poggio Reale, z niezliczoną ilością drzew owocowych, źródłami czystej wody, słynnym koprem i innymi gatunkami warzyw, które zupełnie słusznie wprawiają wszystkich w zdumienie. Na żyznej równinie Chiaia, podobnie jak na wzgórzach Posillipo, uprawia się kalafiory, zielony groszek, kard, karczochy, rzodkiewki, korzenie, wyborną sałatę i owoce. Wątpię, czy istnieje żyzniejsze i bardziej uroczyste miejsce niż pełne powabu wybrzeże Mergelliny, pieszczone łagodnymi powiewami zefiru, jedyne miejsce godne nieśmiertelnych prochów wielkiego Marone i niezrównanego Sannazzara.

Pomyślałem, że Stilone Priaso nie bez przyczyny podawał się za poetę. On tymczasem mówił dalej spod prześcieradła, którym przykryłem mu głowę, aby mógł wdychać balsamiczne opary:

- Nieco dalej znajduje się zabytkowe miasto Pozzuoli, obfitujące

w szparagi, kalafior, groszek i dojrzewające w marcu winogrona, które budzą powszechny zachwyt, owoce Procidy, białoczerwony głóg Ischii, nie mówiąc o bażantach, których jest tam pod dostatkiem. Capri słynie z dorodnych jałówek i doskonałych przepiórek, Sorrento z wieprzowego mięsa, Vico z dziczyzny, CastelTa Marę ze słodkiej cebuli, Torre del Greco z cefali, Granatiello z barwen, Monte di Somma, zwane dawniej Wezuwiuszem, z białego wina. Nie sposób pominąć arbuzów i serwołatek z Orty, win z Noli, nugatów z Aversy, melonów z Cardito, serów z Arienzo i Acerry, kardu z Giugliano, minóg z Capui, oliwek z Gaety, roślin strączkowych z Venafro, wreszcie pstrągów, win, oleju i dziczyzny z Sory... W końcu zrozumiałem, do czego pije.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że nie przypadła panu do gustu moja kuchnia?

Stilone wstał i spojrzał na mnie nieco zakłopotany.

- Szczerze mówiąc, podaje się tu wyłącznie zupy. Ale nie o to chodzi... - powiedział, z trudem dobierając słowa. - Ta twoja mania dodawania cynamonu do wszystkich zup, lur, pomyj i spalenizn dokona dzieła zagłady, której obawiamy się z powodu dżumy! - oznajmił, wybuchając śmiechem.

Byłem zaskoczony i upokorzony. Poprosiłem Priasa, żeby nic nie mówił pozostałym gościom gospody. Było jednak za późno. Jego śmiech usłyszał mieszkający obok Brenozzi, dotarł też do pokoju ojca Robledy. Obaj wyszli na korytarz. Śmiejąc się, Stilone Priaso dołączył do nich, choć błagałem go, by tego nie czynił. Wszyscy trzej szydzili ze mnie, zaśmiewając się do łez z moich rzekomo obrzydliwych dań, które stawały się jadalne tylko dzięki dobroczynnemu wpływowi muzyki Devizęgo.

Powstrzymywali się od wyjawienia mi tej gorzkiej prawdy wyjaśnił neapolitańczyk - do chwili, gdy dowiedzieli się od Cristofana, że Pellegrino odzyskał przytomność. Liczyli na to, że właściciel gospody szybko powróci do zdrowia i sam będzie przygotowywał posiłki. Mieli już dość cynamonu, którym bez umiaru przyprawiałem każdą potrawę. Poczulem się urażony. Widząc to, Priaso położył mi dłoń na ramieniu:

- Daj spokój, chłopcze! Nie obrażaj się!

Przeprosiłem Priasa, że torturowałem go cynamonem, spakowałem do torby preparaty, pożegnałem się i wyszedłem z pokoju. Byłem wściekły i nieszczęśliwy, ale nie dałem tego po sobie poznać.

Zszedłem na pierwsze piętro i skierowałem się do pokoju Devizęgo. Zatrzymałem się pod drzwiami, nasłuchując. Z wnętrza dochodziły prze-

rywane dźwięki gitary. Muzyk stroił instrument. Po chwili zaczął grać jakąś melodię, chyba ludową, później gawota, którego takt dziś rozpoznalbym bez trudu.

Postanowiłem najpierw złożyć wizytę Pompeo Dulcibeniemu, w pokoju obok. Jeśli szlachcic z Fermo zgodzi się, bym zrobił mu masaż, przy okazji będę mógł posłuchać gry Devizego. Dulcibeni przystał na moją propozycję. Przywitał mnie jak zwykle wyniośle.

- Wejź, mój drogi! Torbę połóż tutaj! - rzekł cichym, pewnym głosem, przesywając mnie spojrzeniem swych niebieskozielonych oczu.

Zawsze zwracał się do mnie w ten sposób. Tylko w jego obecności czułem się tak onieśmielony. Osoby niższego stanu traktował oschle. Polecenia wydawał tonem pozbawionym wszelkiej serdeczności, ze skrywanym zniecierpliwieniem, a nawet z pogardą. W jego towarzystwie każdy czuł się skrępowany i milkł. Z tego właśnie powodu, jak sądziłem, był zawsze sam. Kiedy roznosiłem posiłki, nigdy nie zatrzymał mnie, by porozmawiać. Sprawiał wrażenie, że dobrze się czuje we własnym towarzystwie. Mimo to na jego wąskim czole i zaczerwienionych policzkach dostrzegałem głębokie bruzdy, ślady cierpienia, typowe dla osób, które źle znoszą samotność. Dulcibeni przejawiał jedynie słabość do kuchni mojego pryncypała. Jedząc potrawy przygotowane przez Pellegrina, czasem się uśmiechał, a nawet rzucał jakąś dowcipną uwagę.

Zastanawiałem się, czy bardzo cierpiał z powodu nadmiaru cynamonu w daniach, które ja przyrządzałem, lecz szybko odpędziłem tę myśl.

Po raz pierwszy miałem okazję spędzić w jego towarzystwie co najmniej godzinę, co wprawiało mnie w zakłopotanie.

Wyjąłem z torby ampułki z medykamentami. Dulcibeni zapytał mnie o ich skład i sposób użycia, udając zainteresowanie. Po udzieleniu wyjaśnień poprosiłem go, by odkrył plecy i usiadł okrakiem na krześle.

Kiedy Dulcibeni zdjął czarne ubranie i dziwaczną starą kryzę, zauważyłem na jego szyi długą bliznę. Oto dlaczego - pomyślałem - nigdy nie zdejmował niemodnego kołnierza. Usiadł na krześle, tak jak prosiłem, a ja zacząłem nacierać mu plecy olejkami sporządzonymi przez Cristofana. Przez kilka minut rozmawialiśmy na błahe tematy, rozkoszując się dźwiękami melodii granych przez Devizego: almandy, gigi, ciaccony i menueta *en rondeau*. Przypomniały mi się słowa Robledy, który stwierdził, że Dulcibeni jest jakoby zwolennikiem jansenizmu.

W pewnej chwili Dulcibeni zapytał, czy może wstać. Wyglądał na cierpiącego.

- Złe się pan czuje? Przeszkadza panu zapach oleju?

- Nie, nie, mój drogi. Chciałem tylko zażyć tabaki.

Przekręcił klucz w zamku komody i wyjął trzy identyczne książeczki w przepięknej oprawie ze szkarłatnej skóry ozdobionej złotymi arabeskami. Następnie sięgnął po elegancką, intarsjowaną tabakierkę z czeresniowego drewna. Otworzył ją, wyjął szczyptę tabaki i dwa-trzy razy pociągnął mocno nosem. Odczekał chwilę i wciągnął głęboko powietrze. Spojrzał na mnie z życzliwszym wyrazem twarzy. Wyglądał na zadowolonego. Okazując szczere zainteresowanie, zapytał mnie o zdrowie pozostałych gości gospody. Później rozmowa zaczęła się rwać. Co pewien czas Dulcibeni brał głęboki oddech, zamykał oczy i przeciągał dłonią po białych włosach, które kiedyś były zapewne jasne.

Zastanawiałem się, czy Dulcibeni znał prawdę o zmarłym współlokatorze. Nie mogłem przestać myśleć o tym, czego niedawno dowiedziałem się od Atta o de Mouraim-Fouquecie. Miałem ochotę zapytać Dulcibeniego o starego Francuza, któremu towarzyszył w drodze z Neapolu (być może nie znając jego prawdziwej tożsamości). Możliwe też, że znali się od dawna i bywali u siebie, w przeciwieństwie do tego, co Dulcibeni powiedział lekarzowi i ludziom z Bargello. Jeśli tak było, szlachcic z Marche na pewno nie przyznałby się do tego. Pomyślałem więc, że może czegoś się dowiem, jeśli pod jakimś pretekstem nakłonię Dulcibeniego do mówienia. Postępowałem tak, z niewielkim wprawdzie skutkiem, z innymi gośćmi.

Dulcibeni, podobnie jak wszystkie starsze osoby, onieśmiał mnie. Uznałem, że najlepszym sposobem będzie sprowokowanie go do wygłoszenia opinii o jakimś ważnym wydarzeniu. Poważnym tonem zapytałem, co myśli o oblężeniu Wiednia, przesądzającym o losach całego chrześcijaństwa, i czy według niego cesarz zdoła pokonać Turków.

- Cesarz Leopold Austriacki nikogo nie pokona, bo uciekł - odparł krótko i zamilkł, dając do zrozumienia, że rozmowę uważa za zakończoną.

Nie traciłem nadziei, że usłyszę jeszcze kilka słów, i rozpaczliwie szukałem sposobu na przedłużenie dialogu. Nic jednak nie wymyśliłem. Zapadło milczenie.

Zakończyłem zabieg i pożegnałem się. Dulcibeni milczał. Już miałem wychodzić, gdy nagle przyszło mi do głowy ostatnie pytanie. Pragnąłem się dowiedzieć, czy jemu również nie smakowały moje dania.

- Nie, mój drogi - odparł zmęczonym głosem. - Przeciwnie, myślę, że masz zadatki na dobrego kucharza.

Słowa Dulcibeniego dodały mi otuchy. Podziękowałem mu i już miałem wychodzić, gdy usłyszałem, że mruczy jakby nie swoim głosem:

- Gdyby nie te zupy z krowiego łajna i ten przekłety cynamon! Gdzie ci tam do gotowania, niedojdo!

To mi wystarczyło. Nigdy dotąd nie czułem się tak poniżony. Wiedziałem już, co tak naprawdę myśli o mnie Dulcibeni. Mógłbym dwoić się i troić, a to i tak by nie wystarczyło, abym choć odrobinę zyskał w oczach innych, niestety także Cloridii. Poczułem przypływ złości, a zarazem dumy. Miałem wysokie aspiracje (by zostać kronikarzem), a jednocześnie nie potrafiłem wybić się z pozycji pomywacza na kucharza.

Kiedy tak rozmyślałem, zamknąwszy za sobą drzwi, usłyszałem jakiś szept. Nadstawiłem ucha i jakież było moje zdziwienie, gdy usłyszałem, że Dulcibeni z kimś rozmawia.

- Żle się pan czuje? Przeszkadza panu zapach oleju? - pytał ktoś z troską w głosie.

Zdziwiłem się, gdyż to samo pytanie sam zadałem Dulcibenieinu. Któż mógł schować się w pokoju i podsłuchiwać? I dlaczego powtarzał teraz to pytanie? Najdziwniejsze było jednak to, że głos należał do kobiety, ale nie do Cloridii.

- Cesarz Leopold Austriacki nikogo nie pokona, bo uciekł! - wykrzyknął Dulcibeni.

Przecież to samo powiedział do mnie! Zdziwiony nasłuchiwałem dalej, choć bałem się, że mnie ktoś zobaczy.

- Jest pan niesprawiedliwy! Nie powinien pan... - mówił nieśmiało kobiecy głos, który brzmiał jakoś dziwnie, chropowato i płaczliwie.

- Cisza! - wrzasnął Dulcibeni. - Jeśli Europa wyleci w powietrze, będziemy się tylko cieszyć.

- Nie mówi pan chyba poważnie?

- Posłuchaj! - powiedział Dulcibeni spokojniejszym tonem. - Te ziemie są jakby wspólnym domem, w którym mieszka jedna wielka rodzina. Do czego to dojdzie, jeśli żony braci będą siostrami, a dzieci kuzynami? Bez przerwy będą się kłócić, nienawidzić, obgadywać jedni drugich. Czasem zawrą jakieś przymierze, które okaże się nietrwałe. Ich dzieci złączą się w lubieżnym uścisku i spłodzą potomstwo szalone, słabe i zepsute. Na co może liczyć taka nieszczęsna rodzina?

- Nie wiem, może na to, że... ktoś ją pogodzi, a dzieci nie będą zenić się między sobą - odparł niepewnie kobiecy głos.

- Otóż to! Jeśli Turcy zdobędą Wiedeń - odparł Dulcibeni przez zaciśnięte zęby - może w końcu będziemy mieć trochę świeżej krwi na tronach Europy. Ale przedtem przelana zostanie krew stara.

- Proszę wybaczyć, ale nie rozumiem - zaprotestowała nieśmiało rozmówczyni.

- To proste! Obecnie królowie chrześcijańscy są ze sobą spokrewnieni.

- Jak to możliwe?

- Rozumiem, potrzebujesz jakiegoś przykładu, Ludwik XIV, Arcychrześcijański Król Francji, jest podwójnym krewnym swojej żony Marii Teresy, infantki Hiszpanii. Ich rodzice byli rodzeństwem. Matka Króla Słońce, Anna Austriaczka, była siostrą ojca Marii Teresy, króla Hiszpanii Filipa IV, a jego ojciec, Ludwik XIII był bratem matki Marii Teresy, Elżbiety Francuskiej, pierwszej żony Filipa IV.

Dulcibeni przerwał na chwilę. Słyszałem, jak wyjmuje z komody tabakierkę i miesza jej zawartość.

- Teściowie króla i królowej Francji - kontynuował - są ich rodzonymi wujami. Pytam cię więc: jak można być bratankami własnych teściów albo, jeśli wolisz, zięciami własnych wujów?

Nie mogłem zapanować nad ciekawością, musiałem się dowiedzieć, kim była rozmówczyni Dulcibeniego. Jak się dostała do gospody? Przecież z powodu kwarantanny jest zamknięta i strzeżona. Dlaczego Dulcibeni dyskutował z nią tak zapalczywie?

Po cichu uchyliłem drzwi, których nie domknąłem, wychodząc, i przyłożyłem oko do szpary. Dulcibeni stał z łokciami opartymi o komodę, zajęty tabakierką. Rozmawiając, zwracał się w prawą stronę, tam gdzie powinna znajdować się tajemnicza kobieta. Niestety, nic widziałem jej i nie mogłem szerzej otworzyć drzwi, bo Dulcibeni mógłby mnie zauważyć.

Dulcibeni zażył tabaki i wydał policzki.

- Królem Anglii jest Karol II Stuart - ciągnął. - Jego ojciec poślubił Henriettę, siostrę ojca Ludwika XIV. Zatem król Anglii jest podwójnie spokrewniony zarówno z królem Francji, jak i ze swoją hiszpańską żoną, a oni także, jak już mówiłem, są podwójnymi krewnymi. Nie mówiąc już o Holandii. Henrietta Francuska, matka Karola II, była ciotką Króla Słońce i babką ze strony matki młodego księcia holenderskiego Wilhelma Orańskiego, albowiem Maria, siostra króla Karola i księcia Jakuba, poślubiła w Holandii Wilhelma II Orańskiego. Z ich związku urodził się

książę Wilhelm III, który sześć lat temu ożenił się z pierworodną córką Jakuba, swoją krewną. Czterej władcy ośmiokrotnie wymieszali tę samą krew!

To powiedziawszy, Dulcibeni zażył tabaki. Następnie z zachmurzoną twarzą mówił dalej ochryplym głosem:

- Druga siostra Karola II poślubiła swojego krewnego, brata Ludwika XIV.

Dulcibeni dostał ataku kaszlu. Przyłożył chusteczkę do ust, jakby miał zwymiotować, i oparł się o komodę.

- Przejdźmy teraz do Wiednia - ciągnął nieco zasapany. - Francuscy Burbonowie i Habsburgowie hiszpańscy są spokrewnieni z Habsburgami austriackimi. Matka cesarza Leopolda I Austriackiego jest siostrą Ludwika XIV, a jednocześnie siostrą ojca jego żony Marii Teresy, czyli króla Hiszpanii Filipa IV, i córką siostry swojego teścia, zmarłego cesarza Ferdynanda III. Siostra Leopolda I poślubiła swojego wuja Filipa IV Hiszpańskiego. Z kolei Leopold I poślubił swoją siostrzenicę Małgorzatę Teresę, córkę Filipa IV i siostrę żony Ludwika XIV. Król Hiszpanii jest więc wujem, szwagrem i teściem cesarza Austrii. Trzy rody królewskie wymieszały tysiąc razy tę samą krew!

Dulcibeni podniósł głos i szeroko otworzył oczy.

- Co ty na to?! - krzyknął niespodziewanie. - Chciałabyś być ciotką i szwagierką własnego zięcia?

To powiedziawszy, ze złością strącił z komody na podłogę leżące na niej przedmioty (książkę i świecę). W pokoju zapanowała cisza. f

- Zawsze tak było? - zapytał po chwili kobiecy głos.

Dulcibeni ponownie przybrał pogardliwą minę i sarkastyczny ton:

- Nie, moja droga - odparł pouczająco. - Dawniej władcy zapewniali sobie zdrowe potomstwo, żeniąc swoich potomków z najlepszą szlachtą lenną. Każdy nowy król stanowił syntezę najczystszej krwi szlacheckiej z własnej ziemi. We Francji monarcha był najbardziej francuski spośród Francuzów, w Anglii najbardziej angielski spośród Anglików.

W tej samej chwili, wiedziony nadmierną ciekawością, niespodziewanie straciłem równowagę i pchnąłem drzwi. Cudem zdołałem oprzeć się o futrynę i nie wpaść do pokoju. Szpara w drzwiach nieco się poszerzyła. Dulcibeni nic nie usłyszał. Spocony i drżący ze strachu, rzuciłem okiem na prawo od szlachcica z Marche, gdzie spodziewałem się zobaczyć jakąś kobietę.

Upłynęło kilka minut, zanim otrząsnąłem się z zaskoczenia. W pokoju



nie było nikogo poza Dulcibeniem, który rozmawiał ze swoim odbiciem w lustrze.

Musiałem zastanowić się dłuższą chwilę, zanim zrozumiałem koligacje królów, ksiąząt i cesarzy, o których w przypiływie złości mówił Dulcibeni. Słuchałem wariata? Kto był rozmówcą Dulcibeniego?

Być może - myślałem - prześladowało go wspomnienie drogiej mu zmarłej osoby (siostry, żony), a smutna, żalonna scena świadczyła o głębokim cierpieniu. Zakłopotany, współczułem Dulcibeniemu, który wolał rozmawiać ze zmarłymi niż z żywymi.

- Co było potem? - ciągnął szlachcic, przedrzeźniając głos kobiety.

- Potem zwyciężyła żądza panowania i władcy zaczęli żenić się ze swoimi krewnymi. Weźmy na przykład królewski ród Austrii. Dzisiaj jego nikczemna krew hańbi groby wielkich przodków: Albrechta Mądrego, Rudolfa Wspaniałego, Leopolda Mężnego i jego syna Ernesta Żelaznego, Albrechta Cierpliwego i Albrechta Wielkiego. Ta krew zaczęła się psuć trzy wieki temu, kiedy panowali nieszczęsny Fryderyk o Pustych Kieszeniach oraz Fryderyk o Grubych Wargach i jego syn Maksymilian I, zmarli na skutek przejedzenia melonami. Oni to zapoczątkowali dążenie do zjednoczenia ziem Habsburgów, które Leopold Mężny podzielił między siebie i brata. Były to tereny, które nic mogły współistnieć - to tak jakby jakiś szalony chirurg chciał połączyć w jednym ciele trzy głowy, cztery nogi i osiem ramion. Aby zaspokoić swą żądzę władzy, Maksymilian I żenił się trzykrotnie. Żony wniosły w posagu Holandię i hrabstwo Frankonii oraz... wystający podbródek, charakterystyczny dla potomków tej linii Habsburgów. Jego syn Filip Piękny, żyjący zaledwie dwadzieścia osiem lat, anektował Hiszpanię przez ślub z Joanną Szaloną, córką i dziedziczką Ferdynanda Aragońskiego i Izabelli Kastyljskiej, a także matką Karola V i Ferdynanda I. Karol V zawiódł nadzieje dziadka Maksymiliana I, ponieważ abdykował i dokonał podziału królestwa, nad którym nigdy nie zachodziło słońce, między syna Filipa II i brata Ferdynanda I. Dzieląc królestwo, nie rozdzielił jednak krwi. Jego potomków ogarnęło szaleństwo: brat pożądał siostry, a później obydwójce pragnęli połączyć się z własnymi dziećmi. Syn Ferdynanda I, cesarz Austrii Maksymilian II, poślubił siostrę swojego ojca i z żoną-ciotką spłodził córkę Annę Marię Austriacką, która wyszła za króla Hiszpanii Filipa II, czyli swojego wujka, który był synem Karola V. Z tego haniebnego związku urodził się król Hiszpanii Filip III, który z kolei ożenił się z Małgorzatą Austriacką,

fcórką brata dziadka Maksymiliana II, i miał z nią syna Filipa IV i córkę Marię Annę Hiszpańską. Maria Anna poślubiła cesarza Austrii Ferdynanda III, syna brata matki, i wydała na świat obecnego cesarza Austrii Leopolda I i jego siostrę Marię Annę...

Ta kazirodcza orgia wywołała we mnie niesmak i przypawiła o zawrót głowy. Płatanina koligacji spowodowana małżeństwami między wujkami, ciotkami, siostrzeńcami, bratankami, teściami, szwagrami i dalszymi krewnymi pobudzała do mdłości. Odkrywszy, że Dulcibeni mówi do lustra, słuchałem go mniej uważnie, ale ta osobliwa przemowa zaintrygowała mnie i zarazem przepełniła wstrętem.

Dulcibeni, czerwony z gniewu, zamilkł, jakby złość odebrała mu mowę, i patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem.

- Zapamiętaj! - powiedział po chwili, zwracając się do nieistniejącej rozmówczyni - Francja, Hiszpania, Austria, Anglia i Holandia, od wieków rządzone przez odmienne rody, dzisiaj podporządkowane są jednemu plemieniu bez ziemi, niezwiązanemu żadną przysięgą. Jego krew jest *autadelphos*, po dwakroć bratnia, jak u dzieci Edypa i Jokasty, obca, a zarazem wspólna. Krew zdradziecka.

Zupy z krowiego łajna! Kiedy znalazłem się w kuchni, przypomniałem sobie, w jaki sposób Pompeo Dulcibeni podsumował moje kulinarne zmagania, przyprawione szlachetnym cynamonem.

Przezwycięwszy niesmak wywołany górnolotnym przemówieniem szlachcica, zdałem sobie sprawę, że sam nieświadomie pobudzałem do mdłości mieszkańców gospody moimi daniami. Postanowiłem jakoś temu zaradzić.

Zszedłem do piwnicy. Dotarłem na najniższy poziom, gdzie spędziłem prawie godzinę, ryzykując przeziębienie z powodu panującego tam przejmującego chłodu. Rozejrzałem się, oświetlając lampą wszystkie zakamarki, rzędy półek i skrzynie ze śniegiem. W dużej wnęce za dzbanami z winem i olejem, za warzywami, suszonymi pestkami, kandyzowanymi owocami, warzywami w słoikach, workami z różnymi rodzajami makaronu, znalazłem przykryte jutowymi płachtami i śniegiem mięsa solone, wędzone, suszone i w słojach. Pan Pellegrino ukrył tu, niczym zazdrosny kochanek, ozorki w rosole, pieczone prosięta, porcje sarniny, flaki wołowe, nóżki, cynaderki i mózdzki jeżozwierza, wymiona krowie i kozie,

ozorki jagnięce i dzicze, udźce kozicy i sarny, wątroby, łapy niedźwiedzia, boczek, żeberka i połędwice.

Odkryłem też tusze zajęcze, głąszce, indyki i indyczki, dzikie kogutki, kurczaki, gołębie, bażanty, kuropatwy, kszyki, bekasiki, cietrzewie, derkacze, bataliony, kwiczoły, pawie, kaczki, łyski, gęsi, przepiórki, turkawki, jarząbki, wróble, pokrzewki.

Wyobraziłem sobie, w jaki sposób przyrządziłby je mój pryncypał: gotowane, pieczone, w zupie, w bulionie, w sosie, w occie, z różną, smażoną, faszerowaną, zapiekane, w kruchym cieście, z owocami, z bukietem jarzyn.

Pod kolejnymi warstwami śniegu i juty odkryłem ryby w beczułkach z solą lub w wiązkach: barweny, cefale, ostroboki, pelamidy, błękitki, morszczuki, kielczaki, krewetki, małże, kraby, alozy, minogi, sole, ślimaki, śledzie, dorsze, czarniaki, włóczniki, karpie, żaby, sardynki, sardele, szproty, karmazyny, makrele, jesiotry, żółwie, rogowce.

Wiedziałem o tych produktach tylko tyle, że dostawy przyjmowane były kuchennymi drzwiami. Większość zapasów widziałem jedynie przełotnie, kiedy pryncypał wysyłał mnie (niestety rzadko) po coś do piwnicy, i później, kiedy towarzyszyłem Cristofanowi.

Zacząłem się zastanawiać, kiedy i komu Pellegrino miał zamiar podać całe to jadlo. Czyżby spodziewał się gościć orszak biskupa Armenii, który, jak wieść nosła, był chlubą „Donzella” w czasach świętej pamięci pani Luigii? Podejrzewałem, że zanim pryncypał stracił posadę pomocnika stolnika, przywłaszczył sobie część zapasów ze spiżarni kardynała.

Sięgnąłem po beczułkę z krowimi wymionami i wróciłem do kuchni. Oczyszcziłem je z soli i ugotowałem. Następnie część wymion pokroiłem na cienkie plasterki, obtoczyłem w mące i usmażyłem. Część ugotowałem w potrawce z ziołami. Część udusiłem w białym winie, z dodatkiem kwaśnych winogron, soku z cytryny, suszonych owoców, nasion sosny i plasterków szynki. Część pokroiłem w kostkę, polałem winem i bulionem z cukrem, wymieszałem z szynką i innymi wędlinami, miękiszem chleba i upiekłem w kruchym cieście z przyprawami. Resztę naszpikowałem goździkami, zawinąłem w siatkę i nadziałem na rożen.

Zwijąłem się jak w ukropie. Cristofano, który w tym momencie wszedł do kuchni, zastał mnie zlanego potem. Obejrzał stojące rzędem potrawy, powąchał je i spojrzął na mnie ojcowskim wzrokiem, wyraźnie zadowolony.

- Poroznoszę kolację po pokojach, a ty idź odpocząć!

Od próbowania tych wszystkich potraw czułem się najedzony. Wszed-

łem na poddasze, lecz nie od razu udałem się do pokoju. Przysiadłem na schodach i przez dobre pół godziny upajałem się swoim sukcesem. Korytarze „Donzella” rozbrzmiewały pobrzękiwaniem sztućców, pomrukami zadowolenia, siorbaniem i cmokaniem. Gdy z wypełnionych jedzeniem żołądków jednocześnie uszły gazy, podniosłem się, by zebrać naczynia.

Nie mogłem się doczekać komplementów ze strony gości „Donzella”. Pod drzwiami do pokoju opata Melaniego usłyszałem jego smutną, przejmującą pieśń. Zacząłem się przysłuchiwać:

Ahi, dunqu'e pur vero;  
dunque, dunqu'e pur vero...\*

Opat powtarzał strofę, nadając jej coraz to inne brzmienie.

Słowa wydały mi się dziwnie znajome. Nagle doznałem olśnienia i przypomniałem sobie. Pan Pellegrino mówił, że stary pan de Mourai, *alias* Fouquet, umierając, powiedział: „A więc to prawda” - fragment arii, którą w tej chwili śpiewał Atto.

Zastanawiałem się, dlaczego stary Fouquet wypowiedział swoje ostatnie słowa po włosku. Przypomniało mi się, że Pellegrino widział, jak Atto, pochylając się nad konającym starcem, rozmawiał z nim po francusku. Dlaczego więc Fouquet wyszeptał to zdanie w języku włoskim?

Tymczasem Melani śpiewał dalej:

Dunque, dunqu'e pur vero,  
anima del mio cor,  
che per novello Amor tu cangiasti, cangiasti  
pensiero...\*\*

Kiedy śpiew ustał, usłyszałem powstrzymany szloch. Owładnięty zakłopotaniem i współczuciem, nie śmiałem się poruszyć ani tym bardziej odezwać. Żal mi było tego niemłodego już eunucha, którego dziecięce ciało zostało okaleczone. Zachłanny ojciec zapewnił synowi sławę

A więc to prawda; / więc zatem to prawda..  
Więc zatem to jednak prawda, / dusza serca mego, / która miłością do nowego, / ty  
myśli zmieniłaś...

i zarazem skazał na samotność. Być może Fouquet nie miał z tym nic wspólnego - pomyślałem. Zdanie wypowiedziane przez nadintendenta w chwili śmierci mogło być zupełnie przypadkowe.

Opat zaczął śpiewać inną arię, jeszcze smutniejszą od poprzedniej.

Lascia speranza, ohime,  
ch'io mi lamenti,  
lascia ch'io mi quereli.  
Non ti chiedo merce,  
no, no, non ti chiedo merce...\*

Opat powtarzał z uporem ostatnie zdanie. Zastanawiałem się, co tak naprawdę sprawiało mu ból, kiedy swym cichym śpiewem dawał do zrozumienia, że nie prosi o litość. W tej samej chwili podszedł do mnie Cristofano, który właśnie skończył badać mieszkańców gospody.

- Biedaczek - szepnął mi do ucha. - Podobnie jak my wszyscy jest przygnębiony powstała sytuacją.

- To prawda - odparłem, myśląc o rozmowie Dulcibeniego z lustrem.

- Pozwólmy mu się wyżalić. Przyjdę później i przygotuję mu uspokajający napar.

Odeszliśmy, tymczasem Melani śpiewał dalej:

Lascia ch'io mi disper...\*\*

\* Porzuć nadzieję, biada mi, / mech się żalę, / pozwól mi płakać. / Nie proszę cię o litość, / nie, nie, nie, nie proszę cię o litość  
Pozwól mi stracić nadzieję

## Noc piąta

*z 15 na 16 września 1683 roku*

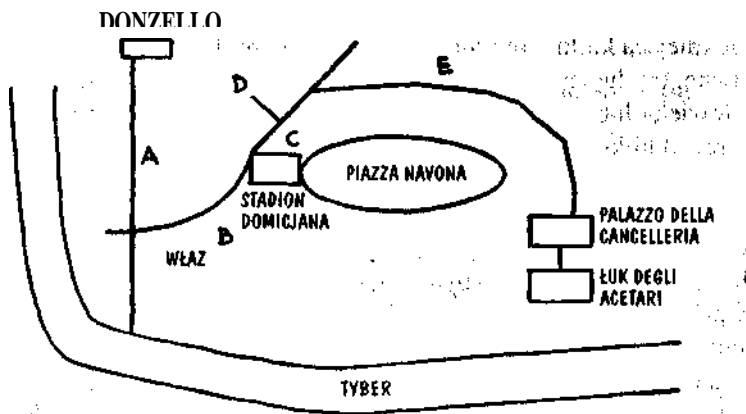
Kiedy wróciłem do pokoju, ogarnął mnie głęboki smutek. Po chwili przyszedł po mnie opat Melani, z którym miałem udać się do podziemi. Dania z krowich wymion poprawiły nastrój gościom gospody, ale niestety nie mnie. Czułem się przygnębiony tym, co usłyszałem o panu de Mourai i Fouquecie, jak również ponurymi refleksjami Dulcibeniego. Napisałem o tym kilka zdań w moim dzienniku, ale nie przyniosło mi to ulgi.

Kiedy szliśmy podziemnymi korytarzami, opat zauważył mój smutek. On też nie był zresztą zbyt wesoły, choć z pewnością pogodniejszy niż wtedy, gdy śpiewał arię. Wyglądał na człowieka, którego coś trapi. Podobnie jak ja był wyjątkowo milczący. Nastrój poprawiło nam spotkanie z Ugoniem i Ciacconiem.

Poszukiwacze relikwii czekali na nas w podziemiach pod Piazza Navona.

- Dzisiejszej nocy musimy trochę lepiej poznać podziemne miasto - oznajmił Melani. - Wyjął kartkę papieru i naszkicował kilka linii. Skoro ci dwaj nieszczęśnicy nie dali nam planu podziemi, musimy radzić sobie sami - wyjaśnił.

Mapka przedstawiała trasę, którą dotychczas przeszliśmy. Pierwszej nocy doszliśmy od „Donzella” do Tybru tunelem zaznaczonym literą A. W jego sklepieniu odkryliśmy właz, przez który przedostaliśmy się do korytarza prowadzącego do ruin stadionu Domicjana pod Piazza Navona. Korytarz ten Melani oznaczył literą B. Z Piazza Navona, niskim przejściem, w którym musieliśmy się mocno pochylać, doszliśmy do odcinka C. Tu, po prawej stronie, zaczynało się długie odgałęzienie (zaznaczone literą E), w którym śledziliśmy Stilone Priasa i dotarliśmy do sal ozdobionych freskami, znajdujących się prawdopodobnie pod Palazzo della Cancelleria. Stamtąd przedostaliśmy się do łuku degli Acetari. W lewo od punktu C odchodzi odcinek D.



- Wiemy, gdzie zaczynają się tunele B, C i D rzekł opat - ale nie mamy pojęcia, gdzie się kończą. Dobrze byłoby je zbadać, zanim przyjdzie nam kogoś ścigać. Tunel B stanowi odgałęzienie, do którego dociera się przez wjazd. Prowadzi prawdopodobnie w stronę Tybru, ale nie mamy pewności. Drugi tunel ciągnie się od Piazza Navona. Od niego odbija tunel D. Proponuję zacząć od niego.

Posuwaliśmy się ostrożnie do przodu, aż znaleźliśmy się w miejscu, gdzie poprzedniej nocy stałem z Ugoniem, a opat z Ciacconiem ścigali Stilone Priasa. Atto porównał naszą pozycję z mapką.

- Gfrrrlulbh - zagruchał Ciacconio, wskazując jakiś przedmiot leżący na ziemi.

Opat Melani nakazał nam pozostać na miejscu, sam zaś podszedł bliżej. Po chwili przywołał nas gestem. Na ziemi leżała gliniana ampułka, z której wyciekła strużka krwi (już zakrzepłej).

- To żaden cud! - wysapał opat.

Minęło trochę czasu, zanim Atto zdołał przekonać łowców relikwii, że ampułka nie jest jedyną rzeczą, której szukają. Ciacconio zaczął biegać w kółko, bełkocząc coś pod nosem. Ugonio usiłował wyrwać ampułkę Melanemu, który oganiał się od niego jak od natrętnej muchy. W końcu poszukiwacze relikwii uspokoili się i mogliśmy zastanowić się nad znale-

ziskiem. Nie była to z pewnością krew męczennika. Tunel D, w którym znaleźliśmy ampulkę, nie stanowił fragmentu katakumb, grobowca czy innego miejsca kultu - przypomniał opat Melani. Krew zakrzepła całkiem niedawno, trochę jej nawet wyciekło z ampulki. Należała zatem do żywego człowieka lub zmarłego kilka godzin temu, na pewno nie do męczennika sprzed kilku stuleci. Atto zawinął ampulkę w chusteczkę i wsunął ją do kieszeni kaftana, zacierając nogą ślady krwi na ziemi. Postanowiliśmy kontynuować poszukiwania, z nadzieją, że znajdziemy wyjaśnienie zagadki.

Melani milczał, ale łatwo było odgadnąć jego myśli. Kolejny raz znaleźliśmy przedmiot nieznanego pochodzenia. Kolejny raz pojawiła się krew.

Odniosłem wrażenie, że tunel skręca w lewo i łagodnie się wznosi.

- To dziwne - skomentował opat Melani. - Nie spodziewałem się tego.

Natrafililiśmy na kręte schody z kamiennymi stopniami. Poszukiwacze relikwii nie mieli ochoty wchodzić na górę. Byli w złym humorze, ponieważ najpierw opat zabrał im stronę z Biblii, a teraz sprzątnął sprzed nosa ampulkę.

- W porządku, zostanieie tu i poczekacie na nasz powrót - zgodził się niechętnie Melani.

Kiedy wchodziliśmy po schodach, zapytałem Melaniego, dlaczego zdziwił się, że tunel D skręca w lewo.

- Jeśli uważnie przyjrzyysz się mapce, przekonasz się, że wróciliśmy do punktu wyjścia, czyli w okolice gospody.

Weszliśmy powoli na górę. Nagle usłyszałem tępy odgłos i jęk opata, który uderzył głową o właz. Pomogłem mu podnieść drewnianą klapę, zamykającą otwór nad nami.

Po chwili znaleźliśmy się w wilgotnym pomieszczeniu wypełnionym nieprzyjemnym zapachem moczu i zwierząt. Byliśmy w wozowni.

Stał w niej dwukołowy powóz z podnoszoną płócienną budą, zabezpieczoną woskiem, u drzwiczek zamocowane były ozdobne gałki. Od środka był pomalowany na różowo, na siedzeniach leżały poduszki. Nieco dalej stała druga, większa karetka czterokołowa, z pokryciem ze skóry, a obok niej - dwa stare, zaniedbane konie, nieco podenerwowane naszą obecnością.

Przyświecając sobie lampą, zajrzałem do wnętrza karety. Dostrzegłem duży krucyfiks, wiszący nad tylnym siedzeniem. Z drewnianego krzyża zwieszała się niewielka żelazna klatka ze szklaną kulką wypełnioną bliżej nieokreśloną brunatną masą.



Atto również podszedł do karety i zajrzał do środka.

- To chyba jakaś relikwia - powiedział, podnosząc lampę. - Ale nie traćmy czasu!

Wszędzie wokół stały wiadra (o mały włos potknąłbym się o jedno z nich) do mycia pojazdów, grzebienie, zgrzebła i szczotki.

Nacisnąłem ostrożnie klamkę w drzwiach, prowadzących prawdopodobnie do wnętrza domu, ale były zamknięte.

Rozczarowany, odwróciłem się do Melaniego, który zastanawiał się, co dalej czynić. Nie mogliśmy wyłamać zamka, bo ktoś mógłby nas usłyszeć, a wtedy oskarżono by nas podwójnie: o ucieczkę z gospody i o próbę włamania.

Ledwie pomyślałem, że na szczęście do tej pory na nikogo się nie natknęliśmy, gdy na ramieniu opata spostrzegłem brudną rękę z długimi paznokciami. Powstrzymałem się, żeby nie krzyknąć, i w popłochu rozglądałem się za jakimś kijem, wiadrem - czymkolwiek nadającym się do obrony, gdy zorientowałem się, że to Ugonio. Atto, blady ze strachu, doznał zawrotu głowy i musiał na chwilę usiąść.

- Ty idioto! Śmiertelnie mnie przestraszyłeś! Mówiłem ci, żebyś został na dole!

- Ciacconio wyczuwszy czyjąś obecność. Czekawszy na instrukcje.

- W porządku! Już wracamy, ale... co tam masz?

Ugonio wyciągnął przed siebie ramiona z taką miną, jakby nie wiedział, o co Melanieniu chodzi. W prawej dłoni ścisnął krucyfiks z relikwią, który przed chwilą widzieliśmy we wnętrzu karety.

- W tej chwili odłóż to na miejsce! - nakazał Melani. - Nikt nie może się dowiedzieć, że tu byliśmy.

- Idź do Ciacconia i powiedz, że już wracamy. Tutaj i tak nic nie działyśmy - dodałem, wskazując ręką drzwi.

Ugonio niechętnie odniósł krucyfiks do karety, po czym podszedł do drzwi i przyłożył oko do dziurki od klucza.

- Nie trać czasu, głupcze! Nie widzisz, że drzwi są zamknięte, a za nimi jest ciemno? - skarcił go Atto.

- Te drzwi można otworzyć - rzekł zupełnie niezmiészany Ugonio, po czym jakimś cudownym sposobem wydobył spomiędzy łałd brudnego płaszcz wielkie żelazne koło, do którego doczepione były dziesiątki, a nawet setki kluczy przeróżnych kształtów i długości.

Ośłupieliśmy ze zdziwienia, tymczasem szpony Ugonia zacisnęły się na starym, na wpół zardzewiałym kluczu.

- Teraz Ugonio otworzy zamek, a nie będąc wiejskim konowalem,

spełni obowiązek i przyniesie chrześcijaninowi radość – powiedział ze śmiechem, obracając klucz w zamku.

W jednej chwili mechanizm ustąpił.

Nieco później poszukiwacze relikwii wyjaśnili nam i tę zagadkę. W wędrownkach podziemnymi tunelami często musieli przechodzić przez piwnice i magazyny, zamknięte na zamek lub kłódkę. Wiedzieli, że właściciele willi i domów z własnej woli nie udostępnią im kluczy, przekupowali więc służących i w zamian za relikwie zdobywali duplikaty kluczy. W handlu wymiennym Ugonio i Ciacconio uważali oczywiście, żeby nie pozbywać się najcenniejszych przedmiotów. Zdarzało się jednak, że musieli ponieść pewne wyrzeczenia. Za klucz do ogrodu, w którym znajdowało się wejście do katakumb przy via Appia, zapłacili fragmentem obojczyka świętego Piotra. Trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób transakcje dochodziły do skutku, zważywszy na bełkotliwą wymowę Ciacconia i akrobacje słowne Ugonia, niemniej jednak dysponowali kluczami do większości piwnic w mieście i otwierali nimi niemal wszystkie zamki.

Ugonio otworzył drzwi i znaleźliśmy się w obszernej kuchni. Zanim zgasił lampę, rozejrzeliśmy się wokoło. Na piecu stał jeden duży kocioł i trzy mniejsze kociołki. Na ścianie wisiały żelazne patelnie i miedziane rondle z żelaznymi rączkami. W otwartym kredensie z jasnego drewna stały misy i miseczki. W drugim, nieco mniejszym - dzbanki i czajniczki. Chciałbym mieć tak wyposażoną kuchnię w „Donzelli”.

Ostrożnie, uważając, żeby nie potknąć się o jakiś garnek i nie narobić hałasu, przedostaliśmy się do następnego pomieszczenia. W świetle lampy, którą na chwilę zapaliłem, osłaniając płomień ręką, dostrzegliśmy łóżko z baldachimem, przykryte satynową narzutą w żółto-czerwone pasy. Po jego obu stronach stały drewniane nocne stoliki, a w rogu - krzesło z siedziskiem pokrytym zniszczoną skórą. Zapach stęchlizny świadczył o tym, że pomieszczenia dawno nie używano.

Daliśmy znak Ugoniowi, żeby zawrócił i poczekał na nas w wozowni. W razie czego we dwóch łatwiej uciec niż we trzech.

Przystawiliśmy ucho do drzwi prowadzących w głąb domostwa. Głosy mieszkańców były ledwo słyszalne, postanowiliśmy więc zaryzykować i delikatnie otworzyliśmy drzwi. Znaleźliśmy się w czwartym z kolei pomieszczeniu. Mimo panujących w nim ciemności domyśliliśmy się, że

wejście główne znajduje się po naszej lewej stronie. Przed nami, na końcu małego korytarzyka, zaczynały się kręte schody, biegnące przy ścianie. Ze szczytu schodów dochodziło światło, które pomagało nam się poruszać.

Z największą ostrożnością podeszliśmy do schodów. Przytłumione odgłosy rozmów ustały. Atto zaczął wchodzić po stopniach, ja tuż za nim. Dziś oceniam to jako czyste szaleństwo.

W połowie schodów znajdował się podest i wejście do niewielkiego pokoju oświetlonego kandelabrem, wypełnionego pięknymi przedmiotami, które wzbudziły nasze zainteresowanie. Nigdy przedtem nie widziałem takich sprzętów, doszedłem więc do wniosku, że dom należy do bogatej osoby. Przy ścianie stał rzeźbiony stolik z orzecha, wyłożony zielonym sukniem. Nad nim wisiały rzędem obrazy: *Zwiastowanie*, *Pieta*, *Święty Franciszek z aniołami* w drewnianej, pozłacanej ramie, wizerunek świętego Jana Ewangelisty, rysunek w szylkretowej oprawie, wreszcie gipsowy ośmiokątny relief z przedstawieniem świętej Magdaleny. Dostrzegłem też elegancką toaletkę, chyba z drzewa gruszy, wykonaną niezwykle starannie. Nad nią wisiał krucyfiks z pozłacanej miedzi, z hebanowym krzyżem. W tym małym saloniku stał również stolik z jasnego drewna, z szufladkami, i dwa krzesła.

Weszliśmy na pierwsze piętro, które na pierwszy rzut oka wydawało się puste. Schody prowadziły jeszcze wyżej, na drugie piętro, gdzie prawdopodobnie znajdowali się w tym momencie mieszkańcy domu. Oświetlał je duży świecznik z czterema świecami, przymocowany do ściany.

Zatrzymaliśmy się na schodach, nasłuchując w milczeniu. Ponieważ nie doszedł do nas żaden odgłos, zaczęliśmy wchodzić wyżej. Nagle usłyszeliśmy odgłos otwieranych, a później głośno zamykanych drzwi na pierwszym piętrze. Do naszych uszu dobiegły niewyraźne głosy dwóch mężczyzn, a następnie odgłos kroków, które powoli zbliżały się do schodów. Spojrzeliśmy po sobie z przerażeniem, po czym szybko pokonaliśmy pięć stopni. Minąwszy świecznik, zobaczyliśmy drugi podest i mały salonik, do którego schroniliśmy się w nadziei, że nieznana osoba nie zacznie wchodzić po schodach, w kierunku naszej tymczasowej kryjówki. Mieliśmy szczęście, usłyszeliśmy bowiem, że ktoś zamyka jedne drzwi, potem drugie, po czym odgłosy kroków i rozmów ucichły.

Ukryci w saloniku, wymieniliśmy spojrzenia i jednocześnie westchnęliśmy z uczuciem ulgi. Do pomieszczenia docierało światło świec ze świecznika, więc rozejrzeliśmy się wokoło. Pod ścianami saloniku stały

eleganckie szafy biblioteczne, zapełnione równymi rzędami książek. Opat Melani sięgnął po jeden z tomów, spojrzął na okładkę i otworzył.

Były to *Dzieje błogosławionej Małgorzaty z Cortony*, nieznanego autora. Po chwili Atto zamknął książkę i odstawił na miejsce. Następnie obejrzał kolejne dzieła, między innymi pierwszy tom *Theatrum Vitae Humanae*, *Żywoć świętego Filipa Neri*, *Fundamentum Doctrinae motus gravium Fitali Iordani*, *Tractatus de Ordine Iudiciorum*, piękną edycję *Institutiones ac meditationes in Graecam linguam*, gramatykę francuską i książkę, której autor objaśniał *sztukę dobrego umierania*.

Po przekartkowaniu tej ostatniej, ciekawej pozycji o treści moralnej opat potrząsnął głową na znak zniecierpliwienia.

- Czego pan szuka? - spytałem najciszej, jak umiałem.

- To chyba jasne! Właściciela! Wszyscy podpisują dziś własne książki, przynajmniej te cenniejsze.

Włączyłem się do poszukiwań, przeglądając *De arte Gymnastica* Gerolama Mercurialiego, *Yocabularium Ecclesiasticum*, *Phaetra divini Amoris*, podczas gdy Atto, posapując, kartkował *Dzieła Platona*, *Teatro de Whuomo* Gaspare da Villa Lobos, *Bachusa w Toskanii* Francesca Rediego.

- Nie rozumiem - rzekł opat coraz bardziej zniecierpliwiony, odstawiając książkę na półkę. - Jest tu wszystko: historia, filozofia, doktryna chrześcijańska, języki klasyczne i współczesne, modlitewniki, różne ciekawostki, a nawet trochę astrologii. O, na przykład to: *Tajemnice gwiazd* Antonia Carnevalego czy *Ephemerides Andreae Argoli*. Na żadnej książce nie ma jednak nazwiska właściciela.

Biorąc pod uwagę, że jak do tej pory szczęście nam dopisywało, bo niewiele brakowało, a natknęlibyśmy się na pana domu, chciałem zaproponować Melanemu, żebyśmy już wracali, ale w tej samej chwili moją uwagę przykuła pewna książka medyczna. Z ciekawością przekartkowałem tom Vallesiusa *Medicina Septentrionalis*, a następnie *Anatomię praktyczną* Bonetusa, *Rzymskie Antidotarium*, *Liber observationum medicarum Ioannes Chenchi*, *O hipochondrii* Paola Tacchi, *Commentarium Ioannis Casimiri in Hippocratis Aphorismos*, *Enciclopedia Chirurgica Rationalis* Giovanniego Doleo i wiele innych wybitnych dzieł z dziedziny medycyny, chirurgii i anatomii. Znalazłem też cztery tomy z siedmiotomowego wydania prac Galena, w pięknej skórzanej oprawie w kolorze szkarłatnym, ze złotymi arabeskami. Pozostałych trzech tomów brakowało. Otworzyłem księgę. U dołu karty tytułowej, po prawej stronie, widniał odręczny napis: *Ioannis Tiracordae*. Szybko sprawdziłem pozostałe książki medyczne i we wszystkich znalazłem to samo nazwisko.

- Wiem - wyszeptalem podniecony. - Wiem, w<sup>f</sup> czyim domu jesteśmy!

Właśnie miałem powiedzieć opatowi o moim odkryciu, gdy usłyszeliśmy, że ktoś otworzył drzwi na pierwszym piętrze, a następnie rozległ się głos starego człowieka:

- Paradisa! Zejdź pożegnać się z naszym przyjacielem!

Kobieta na drugim piętrze odpowiedziała, że już schodzi.

Niebezpieczeństwo groziło nam zatem z dwóch stron: z góry, skąd schodziła kobieta, i z pierwszego piętra, gdzie czekał na nią pan domu z gościem. Biblioteka nie miała drzwi, poza tym była za mała, żeby się w niej ukryć.

W jednej sekundzie podjęliśmy decyzję i niczym dwie jaszczurki ześlizgnęliśmy się w dół po schodach. Mieliśmy nadzieję, że zdążymy zejść na parter przed mężczyznami. W przeciwnym razie nie będzie dla nas ratunku. Nadeszła chwila próby.

W ułamku sekundy pokonaliśmy kilka stopni, gdy zatrzymał nas głos pana domu.

- Niech pan nie zapomni przynieść mi jutro swojego likieru! - mówił wesolo półgłosem, zwracając się do swojego gościa.

Byliśmy zgubieni!

Za każdym razem, kiedy pomyślę o tych chwilach pełnych napięcia, powtarzam sobie w duchu, że tylko dzięki bożemu miłosierdziu zdołaliśmy uniknąć kary, na którą z pewnością zasługiwaliśmy. Myślę też, że gdyby nie opat Melani i przytomność jego umysłu, sprawy potoczyłyby się inaczej.

Atto zdmuchnął świece oświetlające odcinek schodów poniżej drugiego piętra, a my ponownie ukryliśmy się w saloniku. Nabraliśmy powietrza w płuca i zdmuchnęliśmy płomyki świec w kandelabrze. Kiedy pan domu wyrzwał na schody, były pogrążone w ciemnościach. Dzięki temu on i jego gość nie zauważyli nas. Przyświecając sobie lampą oliwną, zawrócili po świece. Wykorzystaliśmy tę krótką chwilę i po omacku zbiegliśmy ze schodów.

Kiedy znaleźliśmy się na parterze, pobiegliśmy przez opuszczoną sypialnię do kuchni, a stamtąd do wozowni. Z pośpiechu potknąłem się i upadłem jak długi na podściółkę, czym wystraszyłem jednego z koni. Atto czym prędzej zamknął za nami drzwi, a Ugonio przekręcił klucz w zamku.

Staliśmy w ciemnościach, ciężko dysząc i nasłuchując odgłosów z ze-

wnątrz. Usłyszeliśmy kroki kilku osób po wybrukowanym dziedzińcu, następnie zgrzyt otwieranej i zamykanej bramy. Pan domu odprowadził swojego gościa do bramy wychodzącej na ulicę, zawrócił i wszedł do domu. Zapanowała cisza. Oczekaliśmy kilka minut, ale wszystko wskazywało na to, że niebezpieczeństwo minęło.

Zapaliliśmy lampę i przeszliśmy przez właz. Kiedy drewniana kłapa zamknęła się za nami z cichym trzaskiem, mogłem w końcu opowiedzieć opatowi o moim odkryciu. Byliśmy w domu Giovanniego Tiracordy, papieskiego lekarza.

- Jesteś pewien? - zapytał Melani, kiedy schodziliśmy do podziemi.

- Oczywiście! - odparłem.

- Tiracorda! Cóż za zbieg okoliczności! - skomentował Atto z uśmiechem.

- Zna go pan?

- To naprawdę niebywały zbieg okoliczności! Tiracorda był lekarzem podczas konklawe, które wybrało papieża Klemensa IX Rospigliosiego, mojego krajana. Ja też tam wtedy byłem. Osobiście nigdy nie zamieniłem słowa ze starym medykem.

Tiracorda, lekarz dwóch papieży, był powszechnie szanowany. Nazywano go nadwornym lekarzem, mimo że pełnił jedynie funkcję zastępcy. Mieszkał w pałacyku należącym do księcia Salviatego, przy via dell'Orso, dwie bramy dalej od „Donzella”, na rogu ulicy, przy której znajdowała się Łaźnia Kobiet. Plan podziemi sporządzony przez Melaniego okazał się wiarygodny, idąc bowiem tunelami do wozowni Tiracordy, wróciliśmy prawie do punktu wyjścia. O papieskim lekarzu wiedziałem tylko tyle, że miał żonę (chyba tę Paradisę, którą wołał, kiedy byliśmy u niego w domu), dwie czy trzy służące pomagające w pracach domowych, i że pracował w szpitalu Santo Spirito in Sassia.

Tiracorda był tęgi, niewysoki, lekko zgarbiony, prawie pozbawiony szyi. Miał wystający brzuch, na którym często opierał skrzyżowane ręce, stając się niemal wcieleniem cierpliwości i tolerancji. Był człowiekiem flegmatycznym i nieśmiałym. Czasami widywałem go z okna gospody, kiedy szedł drobnymi kroczkami via dell'Orso. Zatrzymywał się czasem, żeby porozmawiać z którymś ze sklepikarzy, głaszcząc wąsiki i niewielką bródkę. Mimo łysiny nie nosił peruki, nie rozstawał się też z kapeluszem, który niezmiennie dzierżył w dłoni. Jego kanciasta czaszka połyskiwała w słońcu, które padało na niskie, pokryte zmarszczkami czoło i spiczaste uszy. Pewnego dnia spotkałem Tiracordę. Uderzyło mnie dobroduszne spojrzenie jego głęboko osadzonych oczu pod krza-

czastymi brwiami. Ten doświadczony lekarz przyniósł ulgę wielu cierpiącym.

Kiedy pokonaliśmy najtrudniejszy odcinek tunelu, opat Melani zapytał Ugonia, czy może zdobyć dla niego klucz, którym otworzył wozownię.

- Zapewniwszy waszą stanowczość, że nie omieszkawszy jej dostarczyć, mimo że będąc bardziej ojcem niż ojcobójcą, lepiej bywszy załatwiwszy to ubiegłej nocy.

- Mówisz, że lepiej było dorobić klucz zeszłej nocy? Gdzie?

Ugonio zdziwił się.

- Naturalnie na via dei Chiavari, gdzie pracowawszy Komarek.

Na te słowa Atto zmarszczył czoło, po czym wyjął z kieszeni stronę z Biblii. Przesunął po niej kilkakrotnie dłonią i zbliżył do lampy, którą trzymałem. Następnie uważnie obejrzał ją pod światło.

- Do licha! Jak mogłem tego nie zauważyć?! - wykrzyknął i wskazał palcem jakiś kształt pośrodku kartki. - Papier jest bardzo zniszczony, ale jeśli dobrze się przyjrzyysz - mówił podniecony - zauważysz zarys dużego klucza z podłużną główką, dokładnie taką jak w kluczu od schowka. O, tutaj, w miejscu, gdzie kartka pozostała gładka, po bokach natomiast jest pognieciona.

Czy to oznacza, że ktoś zawiął w tę kartkę klucz?

- Otóż to! A zdarzyło się to przy via dei Chiavari, gdzie mieszczą się sklepy z kluczami i zasuwami oraz tajna drukarnia Komarka, z którego usług korzysta Stilone Priaso.

- Już rozumiem! - wykrzyknąłem. - Stilone Priaso ukradł klucze, a potem poszedł na via dei Chiavari, obok Komarka, żeby dorobić duplikat.

- Nie, mój drogi. Jak sobie chyba przypominasz, powiedziałeś mi kiedyś, że kilku gości gospody mieszkało już w „Donzelli”.

- No tak. Stilone Priaso, Bedfordi i Angelo Brenozzi - potwierdziłem - mieszkali u nas w czasach świętej pamięci pani Luigii.

- Oznacza to, że Stilone Priaso już miał klucz od schowka, w którym znajduje się wejście do podziemi, a do Komarka udał się po to, by wydrukować kilka tajnych broszur. Nie musimy zatem szukać zleceniodawcy Komarka, tylko jeszcze jednego z naszych gości, kogoś, kto chciał dorobić klucz, który odebrał panu Pellegrinowi.

- Złodziejem jest ojciec Robleda! Napomknął o Malachiaszu, żeby zobaczyć moją reakcję. Może wiedział już, że zgubił w podziemiach stronę z proroctwem Malachiasza, i wymyślił sposób, żeby mnie zdemasko-

wać, godny najlepszych szpiegów, jak mówi Dulcibeni - podsumowałem, opowiadając następnie Melaniemu o przemowie Dulcibeniego na temat szpiegowskiego powołania jezuitów.

- No tak, być może złodziejem jest Robleda, również dlatego...
- Gfrrrlulbh - wtrącił grzecznie Ciacconio.
- Argumentacja jak najbardziej błędna - przetłumaczył Ugonio.
- A to dlaczego? - zdziwił się opat Melani.
- Ciacconio zapewniwszy, że fragment nie pochodzący z Malachiasza, za przeproszeniem waszej stanowczości, i zmniejszając obawy, żeby nie powiększać obaw, ma się rozumiały.

W tej samej chwili Ciacconio wyciągnął spod płaszcza niewielką Biblię. Była brudna i bardzo zniszczona, ale czytelna.

- Nosisz ją zawsze przy sobie?
- Gfrrrlulbh.
- Bywszy bardzo religijny, prawie bigot.

Otworzyliśmy Biblię, szukając w spisie treści prorocstwa Malachiasza. Była to ostatnia z dwunastu ksiąg proroków „mniejszych”, musiała więc znajdować się na końcu Starego Testamentu. Szybko przekartkowałem Biblię, znalazłem właściwy fragment i zacząłem czytać. Było to dość trudne z powodu bardzo drobnego druku:

PROPHETHIA  
MALACHIAE  
Caput I

Onus verbi Domini ad Israel in manu Malachiae.

Dilexi vos, dicit Dominus, & dixistis: in quo dilexisti nos? Nonne frater erat Esau Iacob, dicit Dominus, & dilexi Iacob, Esau autem odio habui? & posui montes ejus in solitudinem, & hereditatem ejus in dracones deserti.

Quod si dixerit Idumaea: Destructi sumus, sed revertentes aedificabimus quae destructa sunt: Haec dicit Dominus exercituum: Isti aedificabunt, & ego destruam: & vocabuntur terminis impietatis, & populus cui iratus est Dominus usque in aeternum.

Et oculi vestri videbunt: & vos dicetis: Magnificetur Dominus super terminum Israel.

Filius honorat patrem, & servus dominum suum: si ergo Pater ergo sum, ubi est honor meus? & si Dominus ego sum, ubi est timor meus? dicit Dominus exercituum ad vos, & sacerdotes, qui despicitis nomen meum, & dicitis: In quo despeximus nomen tuum?...



Przerwałem czytanie. Opat Melani wyjął z kieszeni kartkę znaną przez Ugonia i Ciacconia. Porównaliśmy obydwaj teksty. Na zniszczonej kartce, którą trzymał opat, widniały imiona Ochozjasza, boga Ekronu, i Belzebuba, lecz na stronie z Biblii ich nie było. Nie zgadzało się żadne słowo.

- To... jakiś inny tekst Malachiasza - zauważyłem po chwili wahania.
- Gfrrrlulbh - potwierdził Ciacconio, skinąwszy głową.
- Fragment, jak sugerowawszy waszej stanowczości Ciacconio, bardziej jak wróżbita niż wieszczek, bardziej jak doktor niż żebrak, pochodzi z Drugiej Księgi Królewskiej.

Ugonio wyjaśnił też, że ucięte słowo „Malachi”, widniejące na strzępku strony Biblii, nie pochodzi od „Malachiasza”, lecz od „Malachim”, co po hebrajsku znaczy „Królewska”. A to dlatego — tłumaczył cierpliwie Ugonio - że w niektórych wydaniach tytuł pisany jest zgodnie z wersją żydowską, która nie zawsze odpowiada wersji chrześcijańskiej. Żydzi nie zaliczają do Pisma Świętego między innymi dwóch Ksiąg Machabejskich. W związku z tym pierwotny tytuł księgi, nieczytelny z powodu plam krwi, zdaniem poszukiwaczy relikwii brzmi:

LIBER REGUM  
SECUNDUSMALACHIM  
*Caput primum*

„Liber Regum” znaczy zatem „Księga Królewska”, „Secundus Malachim” należy rozumieć jako „Druga Księga Królewska”, a nie „Malachiasza”. Zaczęliśmy przeglądać Drugą Księgę Królewską z Biblii Ciacconia. Tytuł i tekst dokładnie odpowiadały zarówno treści zniszczonej kartki, jak i wersji poszukiwaczy relikwii. Opat zmarszczył gniewnie czoło.

- Mam jedno pytanie: dlaczego nie powiedzieliście nam o tym wcześniej? - zapytał.
- Nie zaszczycał nas pytaniem - odparł Ugonio.
- Gfrrrlulbh - przytaknął Ciacconio.

Robleda nie miał zatem nic wspólnego z kradzieżą kluczy i pereł, nie zszedł do podziemi, nie zgubił kartki z Biblii, nic nie wiedział o via dei Chiavari ani o Komarku, jak również o de Mouraim, czyli Nicolasi Fouąecie. Innymi słowy, nie było powodu podejrzewać go bardziej niż

kogokolwiek innego, a jego długa przemowa o przepowiedni świętego Malachiasza była całkiem przypadkowa. Krótko mówiąc, znaleźliśmy się w punkcie wyjścia.

Odkryliśmy natomiast, że tunel D prowadził do dużego, przestronnego domu papieskiego lekarza. Tej nocy pojawiła się kolejna tajemnica. Oprócz strony z Biblii znaleźliśmy bowiem ampułkę z krwią, którą ktoś zgubił (albo zostawił umyślnie) w tunelu wiodącym do domu Tiracordy.

- Czy pana zdaniem ampułkę zgubił złodziej? - zapytałem opata Melaniego.

W tej samej chwili opat potknął się o kamień i upadł. Rzuciliśmy się mu na pomoc, ale on uparł się, że poradzi sobie sam. Rozzłoszczony, otrzepał odzienie z kurzu i zaczął wymyślać na budowniczych tuneli, dzumę, lekarzy, kwarantannę, wreszcie na dwóch poszukiwaczy relikwii, którzy poczuli się dotknięci niezasłużonymi obelgami i wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

Ten z pozoru banalny wypadek pozwolił mi zauważyć zmianę, jaka zaszła w opacie. O ile na początku wzrok Melaniego przeszywał na wskroś, o tyle teraz jego spojrzenie było zamyślane, jakby nieobecne. Kroki, dotąd pewne, stały się ostrożne, a gesty niezdecydowane. Stracił pewność siebie i coraz częściej ogarniały go wątpliwości. Wprawdzie zdołaliśmy wejść do domu Tiracordy, narażając się przy tym na niebezpieczeństwo, zapuściliśmy się też w nowe korytarze, zdając się raczej na węch Ciacconia niż na światło lampy, zauważyłem jednak, że opatowi chwilami drżała ręka i przymykał oczy w niemej modlitwie o ratunek.

Ta cecha Melaniego, która do tej pory ujawniała się niezwykle rzadko, w ostatnich godzinach znacznie się nasiliła. Nie potrafiłem wskazać przyczyny tej zmiany, nie wynikała bowiem z żadnego konkretnego zdarzenia, raczej z sumy dawnych i obecnych przeżyć, które teraz dały o sobie znać ze zdwojoną siłą. Nie potrafiłem zdefiniować zachowania Melaniego, choć jednym z jego źródeł był z pewnością strach.

Tunelem D doszliśmy do korytarza C, który bez wątplenia wymagał dokładnego zbadania. Teraz jednak, pozostawivszy po prawej stronie odgałęzienie E, prowadzące do Palazzo della Cancelleria, poszliśmy dalej prosto.

Opat Melani był zamyślony i milczący. Prawdopodobnie zastanawiał

się nad naszymi ostatnimi odkryciami. Wiedziony ciekawością, podobnie jak on kilka godzin wcześniej, postanowiłem zadać mu kilka pytań.

- Powiedział pan, że Ludwik XIV nienawidził nadintendenta Fouqueta.
- Zgadza się.
- I że rozzłościłby się, gdyby mu doniesiono, że Fouquet nie umarł w więzieniu, lecz żyje i spaceruje sobie po Rzymie.
- Z pewnością by tak było.
- Skąd w królu tyle nienawiści?
- To jeszcze nic w porównaniu z wściekłością, która go ogarnęła w dniach aresztowania i procesu Fouqueta.
- Czy królowi nie wystarczyło, że pozbył się nadintendenta?
- Wiele osób zadaje sobie to pytanie, ale jak dotąd nikt nie znalazł na nie odpowiedzi. Ja też nie. Przynajmniej na razie.

Tajemnica nienawiści Ludwika XIV do Fouqueta - wyjaśnił opat Melani - była w Paryżu przedmiotem nieustających dyskusji.

- Z braku czasu nie opowiedziałem ci jeszcze o wielu innych rzeczach.

Udałem, że mu wierzę. Wiedziałem jednak, że dopiero teraz, z powodu zmiany, jaka w nim zaszła, Atto gotów był zapoznać mnie z faktami, które przedtem przemilczał. Sprowokowany moim pytaniem, opowiedział o czasach, kiedy pętla spisku zacisnęła się na szyi nadintendenta.

Colbert zaczął knuć spisek przeciw Fouquetowi w dniu śmierci kardynała Mazzariniego. Dobrze wiedział, że musi działać pod pretekstem dobra państwa i chwały monarchii. Wiedział też, że ma niewiele czasu. Musiał się śpieszyć i wykorzystać brak doświadczenia króla w sprawach finansowych. Ludwik XIV nie orientował się w rozgrywkach Mazzariniego, doskonale znanych powiernikowi kardynała. Colbert znał tysiące jego tajemnic. „Wąż” przystąpił zatem do taśzowania dokumentów i innych dowodów, wykorzystując okazję, by wzbudzić w królu nieufność do nadintendenta. Jednocześnie schlebiał Fouquetowi, składając mu dowody wierności. Machinacje Colberta powiodły się. Na trzy miesiące przed otwarciem pałacu w Vaux król rozmyślał o tym, jak pozbyć się nadintendenta. Aby zrealizować swój zamiar, musiał pokonać jeszcze jedną przeszkodę, Fouquet bowiem, jako prokurator generalny, był chroniony immunitetem. „Wąż” namówił „wiewiórkę” do sprzedania urzędu, przekonując, że król potrzebuje dużej sumy pieniędzy.

Nieszczęsny Nicolas wpadł w pułapkę. Zdobywszy milion czterysta tysięcy liwrow, milion przekazał królowi w formie zaliczki.

- Po otrzymaniu pieniędzy król powiedział: „Sam sobie założył kajdanki” - oznajmił smutnym głosem Atto, strzepując kurz z rękawów i oglądając zabrudzony mankieta.

- To straszne! - wykrzyknąłem.

- Bardziej, niż myślisz, chłopcze. Młody król po raz pierwszy skosztował władzy i poczuł jej smak. Mógł tego dokonać, narzucając swoją wolę, czyli postępując niesprawiedliwie. Cóż to za król, który nagradza najlepszych, zasługujących na wyróżnienie? Prawdziwym władcą jest ten, kto dla zwykłego kaprysu na czele ludzi mądrych i dobrych stawia człowieka złego i głupiego.

- Fouquet niczego nie podejrzewał?

- To zagadkowa historia. Wiele osób mówiło mu o zagrożeniu, ale on nie przejmował się tym, wiedząc, że ma czyste sumienie. Pamiętam, że odpowiadał słowami swojego poprzednika: „Nadintendenci stworzeni są po to, by ich nienawidzić”. Są znienawidzeni zarówno przez królów, którzy domagają się coraz więcej pieniędzy na wojny i balety, jak i przez lud, zmuszony do płacenia podatków.

Fouquet - ciągnął Atto - wiedział, że coś ważnego wydarzy się w Nantes, gdzie potem zakuto go w kajdanki, ale nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. Był przekonany, że król nakaże aresztować Colberta.

Kiedy nadintendent przyjechał do Nantes, przyjaciele namówili go, by zamieszkał w domu z podziemiami. W razie niebezpieczeństwa mógłby dawnym akweduktem przedostać się na brzeg morza, wsiąść na statek i uciec. Fouquet zauważył, że z każdym dniem wokół jego domu pojawia się coraz więcej muszkietarów. Przejrzał na oczy, ale nie zmienił zdania. Oznajmił przyjaciółom: „Nie wierzę, że król pragnie mnie zniszczyć”.

- Fatalny błąd! - wykrzyknął Atto. - Nadintendent nie zorientował się, że jego czasy minęły i w polityce miejsce zaufania zajął podstęp. Od śmierci Mazzariniego wszystko się zmieniło.

- Jaka była Francja za życia Mazzariniego?

Opat Melani westchnął.

- Jaka była?... Była starą, dobrą Francją Ludwika XIII. Jak by ci tu powiedzieć? Była bardziej otwarta, w ciągłym ruchu. Wydawało się, że zawsze będą panować wolność słowa i sądu, odwaga i zdrowa moralność. Była to Francja salonów pani de Sevigne i jej przyjaciółki pani de la Fayette, dewiz pana de la Rochefoucauld i poezji Jeana de La Fontaine'a. Nikt nie spodziewał się, że nowy król wprowadzi absolutyzm.

„Wąż” zniszczył „wiewiórkę” w sześć miesięcy. Po aresztowaniu Fouquet gnił przez trzy miesiące w więzieniu, czekając na proces. Wreszcie

w grudniu 1661 roku powołano Izbę Sprawiedliwości, która miała go sądzić. Należeli do niej kanclerz Pierre Segurier, przewodniczący Lamoignon oraz dwudziestu sześciu członków parlamentów regionalnych i referendalnych.

Pierwsze posiedzenie sądu otworzył przewodniczący Lamoignon. Z emfazą opisał nędzę ludu francuskiego, zmuszonego do płacenia nadmiernych podatków, cierpiącego głód i choroby. W ostatnich latach sytuację znacznie pogorszyła klęska nieurodzaju. Mieszkańcy niektórych prowincji dosłownie umierali z głodu, ale drapieżni poborczy podatkowi nie znali litości.

- Jaki to miało związek z Fouquetem? - spytałem.

- Dość duży. Lamoignon pragnął udowodnić, że wieśniacy umierali z głodu, ponieważ Fouquet skandalicznie wzbogacił się, piastując państwowy urząd.

- To prawda?

- Oczywiście, że nie, bo, po pierwsze, Fouquet wcale nie był bogaty, a po drugie, odkąd znalazł się w więzieniu, bieda na wsi pogłębiła się. Ale słuchaj dalej!

Kiedy rozpoczął się proces, we wszystkich kościołach królestwa odczytano obwieszczenie, w którym namawiano ludność do denuncjowania nieuczciwych celników, poborców podatkowych i urzędników finansowych. W drugim obwieszczeniu przedstawicielom wymienionych profesji zabroniono opuszczać miejsce stałego pobytu, w przeciwnym razie zostaną oskarżeni o sprzeniewierzenie publicznych pieniędzy, czyli o przestępstwo karane śmiercią.

Efekt tej operacji był zaskakujący. Wszyscy urzędnicy finansowi zostali uznani przez lud za przestępców, a „bogacz” Nicolas Fouquet stał się automatycznie przywódcą bandyckiej szajki, która okradała wieśniaków.

- Nic bardziej fałszywego! Fouquet ostrzegał króla, niestety na próżno, że podatki są za wysokie. Kiedy jako intendent finansów został wysłany do Delfinatu z zadaniem wyciągnięcia od mieszkańców jak najwięcej pieniędzy, Mazzarini go przepędził. Po przeprowadzeniu dokładnych analiz Fouquet stwierdził, że podatki w tym regionie są zbyt wysokie, podjął więc w Paryżu starania o ich zmniejszenie. Parlamentarzyści Delfinatu masowo poparli Fouqueta.

Wydawało się jednak, że wszyscy zapomnieli o tych wydarzeniach. Podczas procesu odczytano dziewięćdziesiąt sześć punktów oskarżenia, które sędzia sprawozdawca rozsądnie zredukował do dziesięciu. Nadin-

tendenta oskarżano przede wszystkim o to, że przyznał królowi fałszywe pożyczki, z których miał jakoby czerpać zyski. Po drugie zarzucano mu, że bezprawnie użył pieniędzy króla do własnych celów. Po trzecie, że przyjął ponad trzysta tysięcy liwrow łąpówki. Po czwarte, że przywłaszczył sobie zyski z niektórych podatków. Po piąte, że w zamian za gotówkę puścił w obieg stare, nieważne weksle.

Na początku procesu lud dał upust swojej nienawiści do Fouqueta. Już nazajutrz po aresztowaniu eskortujący go strażnicy musieli omijać niektóre miejscowości, gdzie tłum gotów był zlinczować nadintendenta.

Fouquet, zamknięty w niewielkiej celi, odgradzony od świata, nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Zapadłszy na zdrowiu, poprosił o spowiednika. Wysłał petycję do króla, domagając się uniewinnienia. Czterokrotnie bezskutecznie prosił Ludwika o audiencję. Puścił w obieg list, w którym z dumą się bronił, żywiąc złudną nadzieję, że cała sprawa zakończy się pomyślnie. Kiedy wszystkie starania spełzły na niczym, Fouquet zrozumiał, że mur wrogości wzniesiony przez króla i Colberta wobec jego osoby jest nie do przebycia.

Tymczasem Colbert nadal działał w ukryciu. Zwołał członków Izby Sprawiedliwości przed oblicze króla, grożąc im i wywierając na nich presję. Zastraszył też świadków.

W tym momencie Ugonio przerwał opowieść opata. Wskazał nam włącz, odkryty przez nich kilka tygodni temu, prowadzący do tunelu, którym teraz szliśmy.

- Co jest po drugiej stronie włączu? - zapytałem.

- Podpanteon.

- Zapamiętaj, chłopcze! - powiedział Atto. - Ten włącz prowadzi, o ile dobrze rozumiałem, do podziemi pod Panteonem. Potem dochodzi się do jakiegoś prywatnego dziedzińca, otwiera się jednym z waszych kluczy furtkę i wychodzi na ulicę, czy tak?

Ugonio przytaknął z uśmiechem, uściślając, że nie zachodziła potrzeba użycia klucza, furtka bowiem jest stale otwarta. Zapoznawszy się z tymi nowościami, ruszyliśmy w dalszą drogę, a opat Melani kontynuował swoją opowieść.

Na procesie Fouquet bronił się sam, bez adwokata. Jego mowa obrończa była długa, argumenty przekonujące, wykazał się opanowaniem i doskonałą pamięcią. Wszystkie dokumenty nadintendenta skonfiskowano, wymazując z nich to, co mogło przemawiać na jego korzyść. Ale nadin-

tendent bronił się wspaniale. Na każde pytanie miał gotową odpowiedź, trudno było go przylapać na jakiegokolwiek nieścisłości.

- Jak już ci mówiłem, odkryto, że pewne dokumenty zostały podrobione przez Berryera, człowieka Colberta, a akta procesu (olbrzymia góra papierów) nie dowiodły żadnego z punktów oskarżenia przeciw Fouquetowi. Dowiedziono natomiast, że w sprawy finansowe zamieszany był Mazzarini, którego pamięć miała pozostać bez skazy.

Colbert i król, którzy wierzyli w szybkie wydanie wyroku po ich myśli, nie przewidzieli, że wielu sędziów z Izby Sprawiedliwości sprzyja Fouquetowi i nie pozwolą, żeby proces przerodził się w zwykłą formalność.

Między pierwszą a drugą rozprawą upłynęły trzy długie lata. Mowa obrończa Fouqueta stała się w Paryżu wielkim wydarzeniem. Pospółstwo, które w chwili aresztowania nadintendenta pragnęło go zlinczować, zmieniło do niego nastawienie. Colbert był gotów na wszystko, byle ściągnąć podatki. Pieniądze te przeznaczał na kolejne wojny i ukończenie budowy pałacu w Wersalu. Wieśniacy byli jeszcze bardziej ciemniejsi. „Wąż” zwiększył presję fiskalną na niespotykaną dotąd skalę. W wyniku inwentaryzacji dóbr Fouqueta okazało się, że miał on długi. Przepych, jakim się otaczał, służył jedynie wprowadzeniu w błąd wierzycieli, którym sam starał się stawić czoło, nie wiedząc, w jaki sposób sprostać wydatkom wojennym Francji. Osobiście zaciągnął pożyczkę w wysokości szesnastu milionów liwrów, oddając w zastaw swój majątek ziemski, domy i urzędy o wartości piętnastu milionów.

- To było nic w porównaniu z trzydziestoma trzema milionami netto, które Mazzarini pozostawił w spadku swojej rodzinie! - wykrzyknął podniecony Atto.

- Fouquet mógł się zatem uratować - zauważyłem.

- I tak, i nie - odparł opat, kiedy zatrzymaliśmy się, żeby dolać oliwy do lampy. - Colbert zadbał o to, by sędziowie nie mieli dostępu do rejestru dóbr Fouqueta. Nadintendent na próżno błagał ich o wgląd do dokumentów. Zaraz po aresztowaniu odkryto coś, co go zgubiło.

Wiązało się to z ostatnim punktem oskarżenia, który nie miał nic wspólnego z malwersacjami. Chodziło o dokument znaleziony podczas przeszukiwania domu Fouqueta w Saint-Mande. Był to list z 1657 roku, napisany na cztery lata przed aresztowaniem, adresowany do przyjaciół i krewnych. Nadintendent wyrażał w nim swój żal z powodu nieufności Mazzariniego i manipulacji nieprzyjaciół zmierzających do zniszczenia go. Ponadto zawarł w nim instrukcje na wypadek, gdyby Mazzarini kazał go wtrącić do więzienia. Nie było to nawoływanie do buntu, ale delikatna

agitacja polityczna, która miała na celu zaniepokoić kardynała i nakłonić go do negocjacji. Fouquet dobrze wiedział, że w obliczu kłopotów Mazzarini miał zwyczaj wycofywać się z raz obranej drogi.

Oskarżyciele uznali list za projekt zamachu stanu, coś w rodzaju Frondy, którą wszyscy Francuzi dobrze pamiętali. Zdaniem oskarżenia buntownicy mieli się schronić na ufortyfikowanej wyspie Belle-Ile u wybrzeży Bretanii, będącej własnością Fouqueta. Jako dowód winy miały służyć fortyfikacje, działa, magazyny prochu i amunicji.

- W jakim celu Fouquet ufortyfikował wyspę?

- Nadintendent był geniuszem strategii morskiej i pragnął stworzyć na Belle-Ile bazę pomocniczą w wojnie z Anglią. Myślał nawet o tym, żeby na wyspie wznieść miasto, naturalnie z portem, którego wyjątkowo korzystne położenie odebrałoby Amsterdamowi prymat w handlu morskim z Północą. W ten sposób pragnął oddać przysługę królowi i Francji.

Fouquet, oskarżony o sprzeniewierzenie państwowych pieniędzy, sądzony był jako wywrotowiec, ale na tym nie koniec. W Saint-Mande znaleziono też zamkniętą na kłódkę drewnianą skrzynkę, w której ukryta była tajna korespondencja nadintendenta. Komisarze królewscy znaleźli w niej nazwiska wszystkich zaufanych ludzi oskarżonego. Na wielu z nich padł strach. Większość listów przekazano królowi, następnie Colbertowi, który zachował sporą ich część, z zamiarem szantażowania Nicolasa. Resztę spalił, żeby nie zaszkodziły wymienionym w nich znanym osobistościom.

- Czy pana zdaniem - wtrąciłem - listy Kirchera, które znalazł pan w gabinecie Colberta, również mieściły się w tej skrzynce?

- Możliwe.

- Jak zakończył się proces?

Fouquet zażądał wyłączenia kilku sędziów, na przykład Pussorta, wuja Colberta, który uparcie nazywał „węża” swoją stroną. Pussort atakował Fouqueta z taką zajadłością, że nie dopuszczał go do głosu, wytrącając z równowagi pozostałych sędziów.

W ławach sędziowskich zasiadał też kanclerz Seguier, który w czasach Frondy stanął po stronie zbuntowanych przeciw Koronie. Fouquet sprzeciwił się więc, by Seguier sądził w sprawie o przestępstwo przeciw państwu. Następnego dnia cały Paryż chwalił inteligentne wystąpienie oskarżonego, ale wyłączenie sędziów nie doszło do skutku.

Paryżanie zaczęli głośno wyrażać niezadowolenie, nie było bowiem dnia, aby nie wysunięto przeciw Fouquetowi nowego oskarżenia. Prokuratorzy wyraźnie przeciągnęli strunę, za wszelką cenę chcąc go zniszczyć.



Zbliżał się koniec procesu. Król osobiście poprosił kilku sędziów, by nie zajmowali się już tą sprawą. Prokurator Talon, którego mowy oskarżycielskie były niezwykle płomienne, ale mało skuteczne, musiał ustąpić miejsca prokuratorowi generalnemu Chamillartowi. Czternastego listopada 1664 roku Chamillart przedstawił Izbie Sprawiedliwości własne wnioski. Zażądał skazania Fouqueta na szubienicę, a także zwrotu wszystkich bezprawnie przywłaszczonych pieniędzy. Następnie mowy wygłosili sędziowie sprawozdawcy. Sędzia Olivier d' Ormesson, na próżno zastrasżony przez Colberta, przemawiał pięć dni, ostro atakując fałszerza Berryera i jego mocodawców, na koniec wystąpił o najkorzystniejsze rozwiązanie dla Fouqueta, czyli o wygnanie z kraju. Drugi sędzia, Sainte-Helene, wygłosił znacznie krótszą mowę, żądając kary śmierci.

Proces był długi, wyczerpujący, niektórych sędziów doprowadził do ruiny. Sędzia Massenau, mimo ciężkiej choroby, przybył do sali sądowej i wyszeptał: „Lepiej umrzeć tutaj”. Głosował za skazaniem Fouqueta na wygnanie. Sędzia Pontchartrain nie uległ namowom i groźbom Colberta i również zagłosował za wygnaniem, rujnując karierę własną i swojego syna. Sędzia Roquesante zakończył karierę na wygnaniu, ponieważ nie głosował za karą śmierci.

Tylko dziewięciu z dwudziestu sześciu komisarzy wybrało karę śmierci. Fouquet ocalał życie. Kiedy ogłoszono wyrok, który przywracał mu wolność, co prawda za granicami Francji, cały Paryż świętował.

Ale w tym momencie wtrącił się Ludwik XIV. W przypiływie złości anulował wyrok Izby Sprawiedliwości, unicestwiając w ten sposób trzyletnie wysiłki sędziów. Podejmując bezprecedensową w dziejach Królestwa Francji decyzję, Arcychrześcijański Król skorzystał z przysługującego mu prawa i skazał Fouqueta na dożywotnie więzienie w twierdzy Pinerolo.

- Nikt nic potrafił zrozumieć gestu króla, który najwidoczniej czuł do Fouqueta skrytą, zagorzałą nienawiść - powiedział opat Melani.

Ludwikowi XIV nie wystarczyło, że usunął nadintendenta z urzędu, upokorzył go, odebrał mu cały majątek i wtrącił do więzienia. Kazał splądrować pałac w Vaux i rezydencję w Saint-Mande, wywieźć z nich wszystkie meble, dzieła sztuki, wyroby ze złota i arrasy. Włączył do biblioteki królewskiej trzystaście tysięcy cennych książek, zgromadzonych przez nadintendenta w latach studiów i potem podczas badań naukowych. Ich wartość wynosiła co najmniej czterdzieści tysięcy liwrow.

Dla wierzycieli Fouqueta, którzy naciągali ze wszystkich stron Francji, pozostały jedynie resztki. Jeden z nich, ślusarz o nazwisku Jolly, wtargnął do pałacu w Vaux i własnoręcznie zerwał skórzaną tapicerkę. Następnie wykopał nowoczesną instalację hydrauliczną z ołowiu, bez której fontanny w ogrodach w Vaux nie mogły funkcjonować. Setki innych drapieżnych rąk wykradły sztukaterie, ornamenty i żyrandole. Po dokonanej grabieży wspaniałe rezydencje Nicolasa Fouqueta przypominały puste muszle, a jedynym dowodem na to, że mieściły się w nich prawdziwe skarby, był rejestr urzędników przeprowadzających rewizję. Posiadłości Fouqueta na Antylach zostały rozkradzione przez podwładnych nadintendenta.

- Pałac w Vaux był tak piękny jak Wersal? - zapytałem.

- Zespół pałacowy w Vaux został wzniesiony pięć lat wcześniej - odparł Atto. - I w pewnym sensie był wzorcem dla budowniczych Wersalu. W komnatach Wersalu znalazły się obrazy, posągi i inne dzieła sztuki należące niegdyś do nadintendenta, który miał wyjątkowe poczucie smaku...

Opat zamilkł. Odniosłem wrażenie, że z trudem powstrzymuje łzy.

- Kilka lat temu pani de Sevigne udała się z pielgrzymką do Vaux - ciągnął Atto. - Podobno płakała nad ogromem zniszczeń i smutnym losem właściciela.

Męki Fouqueta stały się nie do zniesienia, kiedy zaostrzono rygor więzienny. Król wydał rozkaz, by uniemożliwić nadintendentowi pisanie listów. Nicolas mógł rozmawiać tylko ze współwięźniami, tym sposobem jego przemyślenia nie opuszczały murów więziennych. Jedynym człowiekiem gotowym go wysłuchać, za pośrednictwem strażników ma się rozumieć, był król. Ale Fouquet nie chciał rozmawiać ze swoim oprawcą i milczał.

Wiele osób w Paryżu zastanawiało się nad powodem tego milczenia. Gdyby Ludwik XIV chciał, żeby Fouquet zamilkł na zawsze, mógł kazać podać więźniowi odpowiednio doprawioną zupę...

Mijały lata, a Fouquet nadal żył. Być może sprawa była nieco bardziej skomplikowana. Może król pragnął dowiedzieć się czegoś, co uwięziony w zimnej celi nadintendent zachował dla siebie. Powszechnie sądzono, że któregoś dnia Fouquet, złamany ciężkimi warunkami odosobnienia, z pewnością przemówi.

W tej samej chwili Ugonio dał nam znak, żebyśmy się zatrzymali. Pochłonięci rozmową o nadintendencie, zapomnieliśmy, że kiedy byliśmy

w domu Tiracordy, Ciacconio wyczuł czyjaś obecność. Teraz nos łowcy relikwii znowu coś wywęszył.

- Gfrrrlulbh.

- Szedł tędy ktoś stary, spocony i przestraszony - wyjaśnił Ugonio.

- A może powie nam też, co ta osoba jadła na śniadanie? - zażartował Atto Melani.

- Gfrrrlulbh - odparł Ciacconio, zadzierając swój kulfoniasty nos.

- Ciacconio wyczuł zapach potrawy z krowiego wymienia - przetłumaczył jego towarzysz - z dodatkiem jaj, szynki, białego wina, rosółu i cukru.

Wymieniliśmy z Attem zdziwione spojrzenia. Takie danie przygotowałem ostatnio gościom „Donzella”. Ciacconio nie mógł o tym wiedzieć. Doszliśmy więc do wniosku, że jeśli powonienie nie myliło poszukiwacza relikwii, przed nami szedł jeden z mieszkańców gospody.

Opowieść o procesie Fouqueta trwała na tyle długo, że zdołaliśmy przejść większy odcinek tunelu C. Nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie jesteśmy ani jak bardzo oddaliliśmy się od Piazza Navona. Poza kilkoma łagodnymi zakrętami trasa pozbawiona była odgałęzień, przez cały czas szliśmy więc prosto przed siebie. W pewnej chwili jednak nastąpiła radykalna zmiana.

Teren stał się wilgotny i śliski, powietrze bardziej zagęszczone i ciężkie, z oddali dochodził jakiś szum. Posuwaliśmy się ostrożnie. Ciacconio cały czas kiwał głową, jakby zniecierpliwiony. W tunelu unosił się mdlący zapach, który wydawał mi się dziwnie znajomy.

- Ścieki - oznajmił Atto Melani.

- Gfrrrlulbh przytaknął rozszluszczony Ciacconio.

Ugonio wyjaśnił nam, że smród ścieków denerwuje jego kolegę, ponieważ przeszkadza mu w odróżnianiu innych zapachów.

Nieco dalej zaczynało się prawdziwe błoto, a stęchlizna stała się bardziej intensywna. W końcu dotarliśmy do źródła tych uciążliwości. W ścianie po lewej stronie tunelu widniał szeroki otwór, przez który wlewał się strumień czarnej, cuchnącej cieczy. Potok płynął dalej podziemnym korytarzem i ginął w ciemnościach. Kiedy dotknąłem przeciwległej ściany, okazało się, że jest wilgotna. Zaciekawili nas pewien szczegół. Przed nami leżał w wodzie duży szczur, niedający oznak życia.

- Wielce szkodliwy - zawyrokował Ugonio i kopnął martwe zwierzę.

Ciacconio wziął szczura za ogon i zaczął go oglądać. Z pyszczka zwierzęcia pociekła strużka krwi. Ciacconio przechylił głowę, ze zdumieniem obserwując dziwne zjawisko.

- Gfirrlulbh - powiedział po chwili namysłu.
  - Szkodliwy, bo chory - wyjaśnił Ugonio.
  - Skąd Ciacconio wie, że szczur był chory? - spytałem.
  - Ciacconio bardzo lubi te zwierzęta, prawda? - wtrącił opat Melani.
- Ciacconio przytaknął skinieniem głowy, odsłaniając w szerokim uśmiechu obrzydliwe żółte zęby.

Podjęliśmy marsz, mijając błotnisty odcinek korytarza. Wszystko wskazywało na to, że kanał ściekowy istniał od niedawna i w normalnych warunkach nie byłoby w nim śladu wody. Jeśli chodzi o szczura, to na jednym się nie skończyło, znaleźliśmy bowiem jeszcze trzy martwe gryzonia, takiej samej wielkości. Kiedy Ciacconio je obejrzał, okazało się, że wszystkim wyciekała krew z pyszczka, co zdaniem łowców relikwii było symptomem jakiejś nieznannej choroby. Kolejny raz natrafiliśmy na krew: najpierw zakrwawiona strona z Biblii, później ampulka, teraz szczury.

Na naszej drodze natknęliśmy się na jeszcze jedną niespodziankę. Tym razem nie było to ujście ścieków, lecz prawdziwy rwący strumień wody, który płynął korytarzem prostopadłym do naszego tunelu. Była to prawdopodobnie podziemna rzeka, częściowo zanieczyszczona odpadami, które zwykle są odprowadzane kanałami ściekowymi. Tym razem potokowi nie towarzyszył mdlący zapach, który tak przeszkadzał Ciacconiowi.

Ku naszemu niezadowoleniu musieliśmy się uznać za pokonanych. Nie dało się iść dalej, a poza tym upłynęło sporo czasu, odkąd opuściliśmy gospodę. Obawialiśmy się, że ktoś zauważy naszą nieobecność, postanowiliśmy więc zawrócić, tym bardziej że czuliśmy się zmęczeni.

Kiedy zmieniliśmy kierunek marszu, Ciacconio po raz ostatni podejrzliwie wciągnął nosem powietrze. W tej samej chwili Atto Melani kichnął.

## Dzień szósty

### 16 września 1683 roku

Powrót do „Donzella” był długi i męczący. Gdy tylko znalazłem się w swoim pokoju, wyczerpany padłem na łóżko i niemal natychmiast zasnąłem kamiennym snem. Rano obudziłem się w tej samej pozycji z silnym bólem w nogach. Podnosząc się, natrafiłem na jakiś szeleszczący, szorstki przedmiot, leżący obok mnie. Była to astrologiczna broszura Stilone Priasa, której lekturę przerwałem dwadzieścia cztery godziny temu, kiedy Cristofano wezwał mnie do kuchni.

Mimo dobrze przespanej nocy nie zapomniałem o dramatycznych wydarzeniach, które jakimś tajemniczym sposobem przewidział autor broszurki, takich jak śmierć Colberta i de Mouraigo (a właściwie Fouqueta!), trucizna, „złośliwa gorączka” i „ostre zatrucie” mojego pryncypała i Bedfordiego, „tajemniczy skarb” odkryty w pierwszych dniach miesiąca, czyli listy ukryte w gabinecie Colberta i wykradzione przez Atta, „podziemne ognie i trzęsienia ziemi” w piwnicy gospody, jak również oblężenie Wiednia, czyli „walki i szturm na miasta”, do których doprowadzili „Ali i Leopold Austriacki”.

Czy chciałbym dowiedzieć się, co wydarzy się w najbliższych dniach? Nie - pomyślałem, czując ucisk w żołądku - nie chciałbym, przynajmniej na razie. Przejrzałem natomiast poprzednie strony, rzucając okiem na ostatni tydzień lipca, począwszy od 22 do ostatniego dnia miesiąca.

*Rozkazy na ten tydzień pochodzą od Jowisza rządzącego domem królewskim. Kiedy Jowisz znajdzie się w Trzecim domu, wyśle kurierów, zapowiadających chorobę władcy, który na koniec odejdzie ze swojego królestwa.*

W końcu lipca umarł więc jakiś władca, ale ja nic o tym nie wiedziałem. Na szczęście w tej samej chwili przyszedł po mnie Cristofano. Postanowiłem więc zapytać go, czy wie coś o niedawnej śmierci któregoś z monarchów.

Cristofano zaprzeczył. Zapytał natomiast mnie, dlaczego tak bardzo interesuję się astrologią i losami władców. Dzięki Bogu zdążyłem ukryć broszurę pod materacem, zanim lekarz wszedł do pokoju. Po rozmowie z Cristofanem czułem się zadowolony, że w prognostyku z gazety odkryłem nieścisłość. Jedna z przepowiedni nie spełniła się, co oznaczało, że gwiazdy nie są nieomyłne. Odetchnąłem z ulgą.

Tymczasem Cristofano popatrzył z niepokojem na moje podkrążone oczy, po czym oznajmił mi, że młodość jest cudownym okresem w życiu każdego człowieka, rozbudza bowiem wszystkie jego siły, zarówno duchowe, jak i cielesne. Mimo to - dodał z emfazą - nie należy ich nadużywać i trwonić w niekontrolowany sposób. Rozwiążłość jest grzechem, podobnie jak zadawanie się z prostytutkami (tu wznosił oczy w kierunku wieżyczki Cloridii), od których można się zarazić chorobą francuską. Jako medyk dobrze zna tę chorobę, ponieważ wyleczył z niej wiele osób, stosując swoje niezawodne środki, takie jak maść *magnum* i święte drzewo. Jednakowoż dla zdrowia mniej zgubne jest zadawanie się z prostytutkami niż folgowanie zmysłom w samotności.

- Przepraszam - powiedziałem, chcąc sprowadzić rozmowę na inne tory - chciałbym pana o coś spytać. Czy wie pan, na jakie choroby chorują szczury i myszy?

Cristofano roześmiał się.

- Domyślam się, że w gospodzie pojawiły się myszy.

Uśmiechnąłem się nieśmiało, nie negując ani nie potwierdzając jego przypuszczenia.

- Pytam cię więc: czy w gospodzie są myszy?

- Boże święty! Przecież sprzątam bardzo dokładnie...

- Wiem, wiem. W przeciwnym razie, to znaczy gdybym znalazł jakiegoś martwego szczura lub mysz, osobiście bym wszystkich zaalarmował.

- Dlaczego?

- Mój biedny chłopcze, szczury roznoszą dżumę! Hipokrates zabraniał ich dotykać, podobnie jak Arystoteles, Pliniusz i Awicenna. Geograf Strabon pisał, że w starożytności pojawienie się chorych szczurów na ulicach zwiastowało epidemię. Wspominał też o tym, że w Italii i Hiszpanii wyznaczano nagrodę dla tego, kto zabije ich najwięcej. Filistyni ze Starego

Testamentu zauważyli, że gdy do siedzib ludzkich ciągnęły całe watahy myszy i szczurów, mieszkańców nękała dżuma atakująca jelita, skutkiem czego były wydalane. Poprosili o wyjaśnienie jasnowiedzów i wróżbiarzy, którzy odpowiedzieli, że szczury opanowały ziemię i aby uspokoić gniew Boga Izraela, należy podarować Mu wotum z rysunkiem odbytu i myszy. Z kolei Apollon, bóg, który w gniewie zsyłał dżumę, a kiedy się uspokoił, sprawiał, że epidemia wygasła, nazywany był w Grecji Apollonem Smintejskim, czyli Tępicielem Myszy. W *Iliadzie* to właśnie on dzieściatował Achajów oblegających Troję. Eskulapa natomiast podczas epidemii dżumy przedstawiano z martwą myszą u stóp.

- A zatem to gryzonie są źródłem dżumy! - wykrzyknąłem, mając na myśli martwe szczury, które widziałem nocą w podziemiach.

- Spokojnie, chłopcze! Tego nie powiedziałem, przedstawiłem ci tylko wierzenia starożytnych. Teraz jest na szczęście rok tysiąc sześćset osiemdziesiąty trzeci, a w medycynie dokonał się wielki postęp. Tchórzliwy szczur nie wywołuje dżumy, która -jak już wielokrotnie mówiłem - bierze się z zepsutych płynów naturalnych, a przede wszystkim z gniewu Boga. Prawdą jest natomiast, że myszy i szczury zapadają na dżumę i giną, podobnie jak ludzie. Nie należy ich więc dotykać, zgodnie z zaleceniem Hipokratesa.

- Po czym poznać szczura chorego na dżumę? - spytałem, z obawą czekając na odpowiedź.

- Osobiście nigdy nie widziałem zadżumionego szczura, ale wiem, że mają konwulsje, czerwone, zapuchnięte oczy, a kiedy konają, wydają piski.

- Skąd wiadomo, że nie chodzi o jakąś inną chorobę?

- To proste! Zadżumione szczury w krótkim czasie zdychają z upływu krwi, kręcąc się w kółko. A kiedy już zdechną, puchną, a ich wąsy sztywnieją.

Na te słowa zbladłem ze strachu. Wszystkim martwym szczurom, które widzieliśmy w podziemnym tunelu, ciekła z pyszczka krew. A Ciacconio wziął jednego z nich do ręki!

Nie bałem się o siebie, ponieważ byłem odporny na dżumę. Ciała martwych szczurów mogły jednak oznaczać, że w mieście szerzy się epidemia. Być może zamknięto też inne domy i gospody, których mieszkańcy podzielili nasz los. Nic na ten temat nie wiedzieliśmy z powodu odosobnienia. Zapytałem Cristofana, czyjego zdaniem zaraza się rozprzestrzenia.

- Nie obawiaj się! Niedawno pytałem o to jednego ze strażników. Odpowiedział, że w mieście nie odnotowano nowych zachorowań. Nie ma powodu, żeby mu nie wierzyć.

Kiedy schodziliśmy po schodach do kuchni, poradził mi, żebym po południu odpoczął, oczywiście po uprzednim nasmarowaniu się płynem *magnus*.

Cristofano postanowił dziś sam przygotować prosty, zdrowy obiad, martwi go bowiem stan zdrowia kilku gości, którym poprzedniego wieczoru, po zjedzeniu potraw z krowich wymion, bardzo długo się odbijało.

W kuchni na piecu stał duży szklany dzban z dzióbkiem, wypełniony olejem. Z niewielkiego rondelka wydobywał się silny zapach siarki. Lekarz wziął do ręki pękatą karafkę oblepioną gliną i delikatnie w nią popukał. Dał się słyszeć cichy, szklany dźwięk.

- Słyszysz? Doskonale uszczelniona! Służy do wypalania wotriolu, którego potrzebuję do leczenia obrzęków nieszczęsnego Bedfordiego. Mam nadzieję, że tym razem dojrzeją i pękną. Witriol jest bardzo mocny, ostry, oleisty i ciemny, o właściwościach ochładzających. Witriol rzymski, który na szczęście kupiłem przed kwarantanną, jest najlepszy, na bazie żelaza, nie tak jak witriol niemiecki, na bazie miedzi.

Niewiele z tego zrozumiałem, poza tym, że stan Bedfordiego nie uległ poprawie. Medyk mówił dalej:

- Pomożesz mi teraz przygotować powidełka lecznicze, które ułatwiają trawienie, wypróżnianie się, likwidują wszelkie niedyspozycje żołądkowe, oczyszczają owrzodzone rany, przywracają równowagę płynów w organizmie. Dobrze są też na katar i ból zębów.

Podał mi dwie butelki z rżniętego szkła, owinięte brązowym filcem.

- Są bardzo piękne - powiedziałem.

- Aby powidełka nie straciły swoich właściwości, aptekarze zalecają przechowywać je w pojemnikach ze szkła najlepszej jakości - wyjaśnił lekarz z dumą w głosie.

Jedna butelka wypełniona była piątą esencją Cristofana, zmieszaną z powidełkami z róży, w drugiej natomiast, jak mi powiedział, znajdowały się czerwone korale, szafran, cynamon i *lapis philosophorum Leonard*i w proszku.

- *Misce!* - polecił mi Cristofano. - Podaj wszystkim po dwie drachmy powidełek. Pośpiesz się, żeby od zażycia do obiadu upłynęły co najmniej cztery godziny!



Przygotowawszy powidełka lecznicze, przelałem je do butelki i zacząłem roznosić po pokojach. Na końcu miałem się udać do Devizego, jedynego gościa gospody, któremu nie zaaplikowałem jeszcze żadnych środków przeciw dżumie.

Kiedy podszedłem pod drzwi jego pokoju, z torbą medykamentów Cristofana przewieszoną przez ramię, usłyszałem ciche dźwięki muzyki. Bez trudu rozpoznałem mój ulubiony fragment, który francuski muzyk grał bardzo często. Zapukałem delikatnie do drzwi, a Devize uprzejmie zaprosił mnie do środka. Wyjaśniłem mu powód mojej wizyty, na co on skinął głową, nie przerywając gry. Nie mówiąc słowa, przykucnąłem obok wejścia. Devize odłożył gitarę i zaczął grać na innym, większym instrumencie, o szerokim, długim gryfie i wielu strunach. Muzyk wyjaśnił mi, że jest to teorban, na który skomponował kilka suit tanecznych, złożonych z preludium, almandów, gawotów, kurantów, saraband, menuetów, gig, passacaglii i ciaccon.

- Czy skomponował pan też tę melodię, którą tak często pan gra? Urzekła wszystkich mieszkańców gospody!

- Nie - odparł z roztargnieniem. - Nuty dała mi królowa, żebym ją dla niej zagrał.

- Zna pan osobiście królową Francji?

- Znałem. Królowa Maria Teresa Austriacka nie żyje.

- Przykro mi, ja...

- Często dla niej grałem - powiedział, nic przerywając gry - dla króla także. Dałem mu nawet kilka lekcji gry na gitarze. Król zawsze bardzo ją lubił.

- Kogo? Królową?

- Nie, gitarę - odparł zniecierpliwiony Devize.

- Zapomniałem, że król pragnął posłubić siostrzenicę Mazzariniego - wyrecytowałem, ale od razu tego pożałowałem, gdyż stało się jasne, że podsłuchiwałem rozmowy muzyka ze Stilone Priasem i Cristofanem.

- Widzę, że jesteś dobrze poinformowany - powiedział Devize. - Zapewne powiedział ci o tym opat Melani.

Słowa muzyka zaskoczyły mnie, ale zdołałem rozwiązać jego podejrzania.

- Na litość Boga! Mój panie! Od tego osobnika, proszę mi wybaczyć, że tak go nazywam, wolę trzymać się z daleka, odkąd... - mówiłem, udając zawstydzenie.

- Rozumiem, nie musisz nic mówić - przerwał mi Devize ze złośliwym uśmiechem. - Ja też nie lubię pederastów.

- Czy opat Melani również panu się naprzykrzał? – spytałem w myślach błagając opata o wybaczenie za podle oszczerstwo

Devize roześmiał się.

- Na szczęście nie! W Paryżu nigdy nie zamieniliśmy słowa. Mówią, że w czasach Luigiego Rossi i Cavallego Melani był doskonałym sopranem. Śpiewał dla królowej matki, która bardzo lubiła melancholijne głosy. Teraz już nie śpiewa, używa języka do kłamstw i donosów - powiedział muzyk stanowczym tonem.

Devize najwyraźniej nie lubił Atta i uważał go za intryganta. Udając naiwnego, zdołałem wkraść się w łaski francuskiego muzyka. Pomyślałem, że podczas masażu nakłonię go do mówienia i zdobędę jakieś informacje o Fouquecie. Ważne, żeby nadal traktował mnie jak zwykłego posługacza i myślał, że jestem głupi i mam krótką pamięć.

Wyjąłem z torby wonne esencje z drzewa sandałowego, goździków i aloesu. Zgodnie z przepisem mistrza Nicolò z Grotaria Calabrese wymieszałem je z kocankami, styraksem, laudanum, gałką muszkatołową, mastyksem, nardem, sokiem ze styrakowca i słabym, destylowanym octem. Powstałym balsamem nacierałem plecy muzyka, aż do całkowitego wchłonięcia. Podczas masażu Devize siedział okrakiem na krześle, z twarzą zwróconą do okna. Powiedział, że podziwianie światła dnia przynosi mu ulgę w tych trudnych chwilach. Zbyłem jego uwagę milczeniem i zacząłem podśpiewywać mój ulubiony motyw muzyczny.

- Powiedział mi pan, że nuty tego utworu podarowała panu królowa Maria Teresa. Czy to ona go skomponowała?

- Ależ skąd! Co ci przyszło do głowy? Jej Wysokość nie była kompozytorką. Rondo jest dziełem mojego mistrza Francesca Corbetty. Ułożył go podczas jednej ze swoich podróży i przed śmiercią podarował Marii Teresie.

- Pański mistrz był Włochem - skomentowałem. - Z jakiego miasta pochodził? O ile wiem, pan de Mourai pochodził z Neapolu, podobnie jak inny nasz gość, pan Stilone...

- Nawet taki zwykły posługacz jak ty - wtrącił Devize jakby w zamysleniu - wie o miłości Arcychrześcijańskiego Króla i siostrzenicy Mazzariniego. Wstyd i hańba! O królowej natomiast nikt nic nie wie, poza tym, że Ludwik ją zdradzał. Największą krzywdą, jaką można wyrządzić Marii Teresie, jest poprzestanie na tym.

Uderzyły mnie te słowa, wypowiedziane ze szczerym żalem. Pomyślałem, że osądzając kobiety, nie należy zadowalać się tym, co się dostrze-

ga na pierwszy rzut oka. Mimo że czułem się urażony ostatnią rozmową z Cloridią, zacząłem o niej myśleć. Przypomniałem sobie, jak bez żenady zarzuciła mi, że nie dałem jej pieniędzy, na które czekała. Czy jednak uwaga Devizego nie mogła odnosić się również do niej? Zadając sobie to pytanie, zawstydzilem się, że porównałem królową z kurtyzaną. Nagle zatęskniłem za Cloridią. Chwilowo nie mogłem temu zaradzić, postanowiłem więc dowiedzieć się czegoś więcej o małżonce Arcychrześcijańskiego Króla, której los, jak należało się domyślać ze słów Devizego, był tragiczny. Jednocześnie żywiłem cichą nadzieję, że opowieść muzyka w jakiś sposób pojedna mnie z przedmiotem moich westchnień.

- Wiele słyszałem o Jej Wysokości Marii Teresie powiedziałem, wymyślając na przynętę drobne kłamstwo - ale tylko od gości gospody. Może...

- Nie może, ale na pewno potrzebujesz bardziej wiarygodnych informacji przerwał mi niespodziewanie Devize. - Lepiej, żebyś zapomniał o tych plotkach, jeśli naprawdę chcesz się dowiedzieć, kim była Maria Teresa i czego dokonała dla Francji, a nawet dla całej Europy.

Młody muzyk połknął przynętę i zaczął snuć swoją opowieść.

Dowiedziałem się od Devizego, masując mu pachnącym balsamem łopatki, że wjazd do Paryża młodziutkiej infantki Hiszpanii był jednym z najwspanialszych wydarzeń w historii Francji. Ludwik i Maria Teresa przybyli do stolicy z Vincennes pewnego wrześniowego dnia 1660 roku. Młoda królowa zasiadała w wozie triumfalnym piękniejszym od wozu Apollona. Jej gęste, kręcone włosy błyszczały niczym promienie słońca, opadając na czarną suknię ozdobioną złoto-srebrnymi haftami i drogocennymi kamieniami. Srebrne ozdoby we włosach i białoróżowa karnacja doskonale harmonizowały z błękitem jej dużych oczu. Francuzi, którym niezwykle podobał się ten widok, w przyływie radości i oddania, na jakie stać jedynie wiernych poddanych, błogosławili Marię Teresę. Ludwik XIV, król Francji i Nawarry, dokładnie odpowiadał opisom poetów, przedstawiających śmiertelników wyniesionych do godności bóstw. Szaty króla utkane były w całości ze srebrno-złotych nici, a ich wspaniałość przewyższał jedynie majestat osoby, która je nosiła. Ludwik XIV jechał na przepięknym koniu, za nim podążali książęta. Pokój między Francją a Hiszpanią, uwiecznony tym wspaniałym ślubem, napełnił serca ludu nadzieją. Ci, którzy mieli okazję widzieć króla w dniu wesela, cieszyli się, że mają tak wspaniałego pana i władcę. Królowa matka Anna Austriaczka

przyglądała się orszakowi królewskiej pary z okna balkonu przy rue Saint-Antoine. Na jej twarzy malowała się radość. Królewska para połączyła się na chwałę obydwu królestw, nareszcie pogodzonych.

Kardynał Mazzarini triumfował, jego dzieło wytrawnego polityka, który pokojem pirenejskim przywrócił Francji spokój i dobrobyt, zostało bowiem ukoronowane w najwspanialszy z możliwych sposobów. Przez długie miesiące świętowano, wystawiano balety i inne dzieła muzyczne, a dwór królewski wypełniała radość.

- Co było potem? - spytałem zaciekawiony.

- Potem, potem... - podśpiewywał Devize.

Maria Teresa - opowiadał dalej muzyk - niemal od razu miała okazję przekonać się, jaki będzie jej los jako małżonki króla skłonnego do zdrady.

Początkowo król zaspokajał swoje młodzieńcze apetyty z dworkami Marii Teresy, która jeszcze dobrze nie знаła prawdziwej natury Ludwika. Poznała ją dzięki kolejnym schadzkom króla, raczej nie potajemnym, z panią La Valliere, damą do towarzystwa szwagierki Henrietty Stuart. Następnie przysłała kolej na panią de Montespan, która dała Ludwikowi siedmioro dzieci. Król zdradzał żonę tak ostentacyjnie, że lud nazywał Marię Teresę oraz panie La Valliere i de Montespan „trzema królowymi” Francji.

Król nie miał żadnych hamulców. Usunął z dworu, grożąc mu więzieniem, męża pani de Montespan, Louisa de Gondrin, który odważył się za protestować, zakładając czarne, żałobne ubranie i zdobiąc rogami swoją karetkę. Dla swojej kochanki natomiast Ludwik wzniósł dwa wspaniałe pałace z ogrodami i fontannami. Od 1674 roku markiza de Montespan praktycznie nie miała rywalek, Louise de La Valliere wstąpiła bowiem do klasztoru. Nowa faworyta podróżowała wraz ze swoją świętą żoną z kilkudziesięciu służących dwoma sześciokonnymi zaprzęgami, za którymi jechał wóz z zapasami. Racine, Boileau i La Fontaine upamiętnili markizę w swoich wierszach, a wszyscy dworzanie uznawali za zaszczyt goszczenie w jej komnatach, ograniczając hołdy dla królowej do wymaganego etykieta minimum.

Szczęście pani de Montespan skończyło się w chwili, gdy król ujrzał Marię Angelikę de Fontanges, piękną jak anioł, lecz głupią jak gęś. Maria Angelika, pozbywszy się rywalek, nie mogła zrozumieć ograniczeń wynikających z jej pozycji. Pragnęła pokazywać się publicznie u boku króla i nikomu się nie kłaniać, nawet królowej, mimo że należała do jej świty.

W końcu Ludwik wpadł w sidła guwernantki pani de Maintenon, po-

wierząc jej zarówno dzieci z prawego łoża, jak i dzieci nieślubne, które miał z trzema kochankami. Na tym jednak nie koniec afrontów, które musiała znieść Maria Teresa. Arcychrześcijański Król wolał dzieci nieślubne, lekceważąc delfina, pierworodnego syna zrodzonego ze związku z królową. Dał mu za żonę Marię Annę Wiktorię, córkę elektora Bawarii, brzydką i niezgrabną. Piękne kobiety zachowywał dla siebie. To powiedziawszy, Devize zamilkł.

- A królowa? - spytałem, chcąc usłyszeć, jaka była reakcja Marii Teresy na tak liczne grono kochanek króla.

- Znosiła wszystko w milczeniu - odparł muzyk ponuro. - Nigdy się nie dowiemy, jakie były jej prawdziwe uczucia.

Z czasem Maria Teresa nauczyła się odpowiadać uśmiechem na zdrady, ponizenia, złośliwe uśmieszki dworzan i pospólstwa. Kiedy król ją zdradzał, ona z tym większym zapalem oddawała się miłosiernym czynkom i tym skromniejsze wiodła życie. Kiedy król afiszował się ze swoimi nowymi faworytami, z tym większą żarliwością i oddaniem modliła się Maria Teresa. Kiedy król zalecał się do panny de Theobon lub de La Mothe, dam do towarzystwa własnej żony, Maria Teresa tylko się uśmiechała.

Za życia królowej matki Anny Austriaczki Maria Teresa miała śmiałość dąsać się na króla przez kilka dni. Było to naprawdę nic w porównaniu z doznanymi zniewagami. Mimo to musiały minąć całe tygodnie, żeby Ludwik zaszczycił ją ponownie spojrzeniem, i to tylko dzięki interwencji królowej matki, która dwoiła się i troiła, aby załagodzić sytuację. Już wtedy Maria Teresa wiedziała, że musi zaakceptować wszystko, co niesie jej małżeństwo, a zwłaszcza zło. Nie mogła też oczekiwać niczego poza tym, na co zgadzał się mąż.

Także w miłości Ludwik zwyciężył. A ponieważ znał i cenił sztukę odnoszenia zwycięstw, wymyślił sposób, aby uchodzić za dobrego męża. Traktował swoją żonę, królową Francji, z szacunkiem godnym jej pozycji. Spożywał z nią posiłki, spał w jednym łóżku, wypełniał wszystkie obowiązki rodzinne, rozmawiał z nią tak, jakby jego kochanki w ogóle nie istniały.

Maria Teresa była niezwykle religijna i często się modliła, rzadko odając się rozrywkom. Zatrudniała jedynie kilku błaznów, którym nadała przydomki: Chłopaczek, Serduszko i Synek. Z wielką czułością traktowała swoje małe pieski. Zabierała je ze sobą nawet na spacer. Pieski jechały osobno, w specjalnej karecie. Karły i czworonożni ulubieńcy często jadali przy jednym stole z królową.

- Czy nie mówił pan, że Maria Teresa była kobietą skromną? - spytałem nieco zdziwiony.

- Oczywiście, ale bez błaznów i piesków czułaby się jeszcze bardziej samotna.

Od ósmej do dziesiątej wieczór, przed kolacją z królem - mówił dalej Devize - Maria Teresa grała w karty. Księżniczki i księżne siadały półkołem przed królową, za nią ustawiali się przedstawiciele niższej szlachty, przejęci i podekscytowani. Ulubioną grą królowej był *hombre*, mimo że zawsze przegrywała. Czasami księżniczka d'Elbeuf poświęcała się i pozwalala się ograć Marii Teresie. Była to naprawdę smutna, żenująca scena. Z każdym dniem królowa czuła się coraz bardziej samotna, jak sama się zwierzała zaufanym osobom. Przed śmiercią wypowiedziała zdanie, w którym zawarła całe swoje cierpienie: „Król stał się dla mnie czuły dopiero w chwili, kiedy muszę odejść”.

Opowieść muzyka najpierw mnie wzruszyła, a później wytrąciła z równowagi, spodziewałem się bowiem usłyszeć od niego zupełnie co innego. Kiedy masowałem plecy Devizego, spojrzałem na stół znajdujący się opodal. Przez roztargnienie postawiłem kilka pojemniczków z lekami na tabulaturach muzycznych. Poprosiłem Devizego o wybaczenie, ale on natychmiast zerwał się z krzesła, aby sprawdzić, czy papiery nie zabrudziły się. Na widok tłustej plamy wpadł w złość.

- Nie jesteś posługaczem, tylko zwykłym osłem! Zniszczyłeś rondo mojego mistrza!

Przeraziłem się, że zaplamiałem kartkę z moim ulubionym utworem. Natychmiast posypałem plamę drobnym suchym proszkiem, z nadzieją, że wchłonie tłuszcz, tymczasem Devize przeklinał i wymyślał mi. Drżącymi rękami starałem się wyczyścić kartkę, na której zapisane były znane mi dźwięki. W pewnej chwili na górnym marginesie dostrzegłem dopisek: *a Mademoiselle*.

- To dedykacja miłosna? - wybełkotałem, zmieszany niefortunnym incydentem.

- Któż by kochał Mademoiselle!... Jediną kobietę na świecie, która była bardziej samotna i smutniejsza niż królowa!

- Kim była Mademoiselle?

- Kuzynką Jego Wysokości. Opowiedziała się po stronie Frondy, za co król kazał jej zapłacić wysoką cenę. Wyobraź sobie, że Mademoiselle poleciała, by strzelano z dział Bastylli przeciw królowi.

- Została skazana na szubienicę?

- Gorzej, na staropanieństwo - zaśmiał się Devize. - Król zabronił jej wyjść za mąż. Jak mawiał Mazzarini: „Te działa wykończyły jej męża”.

- Król nie ma litości nawet dla krewnych - podsumowałem.

- Otóż to! Wiesz, co powiedział Jego Wysokość po śmierci Marii Teresy w lipcu? „To pierwsza przykrość, jaką mi wyrządziła”. To wszystko. Pozostał niewzruszony nawet po śmierci Colberta, który wiernie mu służył przez dwadzieścia lat.

Devize mówił dalej, ale ja go nie słuchałem. W głowie utkwiło mi jedno słowo: lipiec.

- Powiedział pan, że królowa zmarła w lipcu?

- Słucham? Ach, tak! Trzydziestego lipca.

Nie spytałem muzyka o nic więcej. Skończyłem czyścić kartkę, wytarłem plecy Devizego z nadmiaru balsamu i podałem mu koszulę. Pożegnałem się, wyszedłem z pokoju, zamknąłem za sobą drzwi i drżąc z przejęcia, oparłem się o ścianę, żeby uspokoić myśli.

Władczyni, królowa Francji, zmarła wskutek choroby w ostatnim tygodniu lipca, dokładnie tak jak napisano w astrologicznej broszurze.

Słowa Devizego były dla mnie jakby upomnieniem. Wiadomość sprzed miesiący (której nie znałem tylko ja, ubogi posługacz) dowodziła nieomyślności astrologicznego pisma i nieuchronności wyroku gwiazd.

Cristofano zapewniał mnie, że astrologia nie jest zaprzeczeniem wiary, a medycynie jest nawet pomocna. W jednej chwili przypomniało mi się zagadkowe rozumowanie Stilone Priasa, smutne życie Campanelli i tragiczny los ojca Morandiego. Błagałem niebiosa, żeby dały mi jakiś znak, który uwolniłby mnie od strachu i wskazał drogę.

Kiedy tak rozmyślałem, usłyszałem dźwięki teorbenu, na którym Devize zaczął grać cudowne rondo. Złożyłem dłonie jak do modlitwy, zamknąłem oczy i stałem tak, przepełniony nadzieją i strachem, aż muzyka ucichła.

Wróciwszy do pokoju, upadłem na łóżko, pozbawiony jakiejkolwiek woli działania i entuzjazmu, rozmyślając o zdarzeniach, których sensu nie potrafiłem pojąć. Odrętwiały, zacząłem nucić melodię, którą przed chwilą słyszałem, jakby mogła mi ona pomóc w zrozumieniu przyczyny moich cierpień.

Obudziły mnie hałasy dochodzące z via delfOrso. Spałem zaledwie kilka minut. Od razu pomyślałem o broszurze Priasa, ale po chwili po-

czułem, jak wypełnia mnie słodko-gorzkie uczucie pożądania. Wiedziałem, gdzie znajdę ukojenie i ulgę.

Od kilku dni zostawiałem posiłki przed pokojem Cloridii, pukając do drzwi na znak, że dokonałem dostawy. Odwiedzał ją jedynie Cristofano, a teraz, wskutek rozmowy z Devizem, ja także zapragnąłem ją ujrzeć.

Wprawdzie obraziła mnie, kiedy zażądała ode mnie pieniędzy, ale z powodu dżumy, która krążyła wokół nas, mogła za dwa-trzy dni umrzeć - myślałem ze ściśniętym sercem. W trudnych chwilach duma jest złym doradcą. Nie brakowało mi pretekstów, żeby odwiedzić Cloridię. Miałem jej wiele do powiedzenia, o wiele rzeczy chciałem ją też zapytać.

- Mówiłam ci już, że nie znam się na astrologii - broniła się Cloridia, kiedy pokazałem jej broszurę, wyjaśniając, że wiele zawartych w niej przepowiedni się spełniło. - Umieję interpretować sny i liczby, czytać z ręki. Jeśli chodzi o gwiazdy, musisz iść do kogoś innego.

Wróciłem do swojego pokoju z mieszanymi uczuciami. Ale to było bez znaczenia. Liczyło się to, że skrzydlaty bożek ugodził mnie swą strzałą w serce. Nie przejmowałem się tym, że nie mogę liczyć na wzajemność Cloridii. Ona zdawała sobie sprawę z mojej namiętności i zapewne śmiała się ze mnie. Mimo wszystko miałem szczęście, gdyż mogłem widywać się i rozmawiać z Cloridia przynajmniej do końca kwarantanny. Dla biednego posługacza była to niepowtarzalna okazja, a wspaniałe chwile spędzone w jej towarzystwie mogłem wspominać i oplakiwać do końca mojego szarego życia. Obiecałem sobie, że niebawem znowu ją odwiedzę.

W pokoju czekał na mnie skromny posiłek przygotowany przez Cristofana. W miłosnym uniesieniu wypłem kilka łyków wina, które smakowało mi jak najczystszy nektar Erosa, zjadłem też trochę chleba i sera, niczym wyborną mannę, zrzucaną mi przez czułą boginię Afrodytę.

Kiedy się posiliłem, a słodki czar spotkania z Cloridia przysł, zacząłem zastanawiać się nad opowieścią Devizego. Nie zdołałem się niczego dowiedzieć o śmierci nadintendenta Fouqueta. Opat Melani miał rację, twierdząc, że Devize i Dulcibeni nie puszczą na ten temat pary z ust. Udało mi się natomiast nie wzbudzić podejrzeń młodego muzyka, przeciwnie, zadając mu niewinne pytania i plamiąc partyturę, zasłużyłem sobie w jego oczach na miano nieudacznika i cymbała.

Postanowiłem sprawdzić, jak się miewa mój pryncypał. Wyglądało na to, że jego stan nieco się polepszył. W pokoju Pellegrina był też Cristofa-



no, który właśnie skończył go karmić. Pryncypałowi powoli powracała mowa, najwyraźniej rozumiał też, co się do niego mówi. Oczywiście nie był jeszcze całkowicie zdrow, spał przez większą część dnia, ale - podsumował Cristofano - niewykluczone, że za kilka dni zacznie przechadzać się po gospodzie.

Po wizycie u Pellegrina i rozmowie z Cristofanem wróciłem do swojego pokoju i położyłem się spać. Spałem dość długo. Była już pora kolacji, kiedy się obudziłem i zająłem gotowaniem. Na początek przygotowałem gorzkie pomarańcze z cukrem dla zaostrenia apetytu, następnie bulion po mediolańsku z żółtkami, muszkatelem, utartymi nasionami sosny, cukrem, odrobiną cynamonu (którego w końcu nie dodałem) i masła. Wszystkie składniki roztarłem w moździerzu, przesiałem przez sito, przełożyłem do rondelka z gorącą wodą i gotowałem aż do zgęstnienia. Na koniec dodałem kilka bergamotek.

Zaniosłem posiłek gościom, wróciłem do kuchni i przygotowałem pół dzbanka prażonej kawy. Następnie na palcach, żeby Cristofano nie usłyszał, wszedłem na wieżyczkę.

- Dziękuję! - wykrzyknęła radośnie Cloridia na widok dzbanka.
- Przygotowałem ją tylko dla pani - powiedziałem, rumieniąc się.
- Uwielbiam kawę! powiedziała, przymykając oczy i rozkoszując się jej aromatem, który wypełnił cały pokój.

W Holandii pija się dużo kawy?

- Nie. Ale kawa, którą przygotowałeś, z dużą ilością wody, bardzo smakuje. Przypomina mi moją matkę.

- Cieszę się. O ile dobrze pamiętam, pani nie znała matki.

- Właściwie tak - odparła pośpiesznie. - W ogóle nie pamiętam jej twarzy, jedynie zapach kawy, którą wyśmienicie przyrządzała.

- Była Włoszką, jak pani ojciec?

- Nie. Przyszedłeś tu, żeby zameczać mnie pytaniami? - rozzłościła się.

Wszystko zepsułem. Po chwili jednak spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się. Poprosiła, żebym usiadł, wskazując krzesło. Następnie wyjęła z komody dwie niewielkie filiżanki i placek anyżowy, po czym naląła mi trochę kawy. Usiadła naprzeciw mnie, na brzegu łóżka, popijając ciepły napój.

Nie miałem ochoty nic mówić, żeby wypełnić ciszę, wstydziłem się też, że zadałem Cloridii tyle pytań. Tymczasem ona zanurzyła kawałek ciasta w kawie, ugryzła go z wdziękiem, a zarazem dość łapczywie.

Patrząc na Cloridię, poczułem przyływ czułości. Oczy zasły mi łzami, kiedy wyobraziłem sobie, że wdycham zapach jej włosów i dotykam ustami czoła.

Po chwili Cloridia podniosła głowę i spojrzała na mnie z błyskiem zainteresowania w oczach.

- Już tyle razy ze sobą rozmawialiśmy, a ja nic o tobie nie wiem.

- W moim życiu nie ma nic, co mogłoby panią zainteresować, pani Cloridio.

- Nieprawda! Chciałabym wiedzieć, skąd pochodzisz, ile masz lat, jak tu trafiłeś.

Opowiedziałem jej więc o moim dzieciństwie, studiach pod okiem zakonniczki i o łaskawości pana Pellegrina.

- Otrzymałeś więc wykształcenie. Domyśliłam się tego z twoich pytań. Miałeś dużo szczęścia. Ja natomiast straciłam w wieku dwunastu lat ojca i musiałam radzić sobie sama, wykorzystując tę niewielką wiedzę, którą zdążył mi przekazać - oznajmiła z uśmiechem.

- A zatem to ojciec nauczył panią włoskiego. Mówi pani doskonale.

- Nie, nie tylko ojciec. Mieszkaliśmy w Rzymie. Kiedy zostałam sama, włoscy kupcy zabrali mnie ze sobą do Holandii.

- To musiał być smutny okres w pani życiu.

- Z tego właśnie powodu jestem dziś tutaj. W Amsterdamie ciągle płakałam, wspominając, jak bardzo szczęśliwa byłam w Rzymie. Wiele czytałam i sama się uczyłam w chwilach wolnych od...

Nie musiała kończyć zdania. Z pewnością miała na myśli cierpienia, których życie nie szczędzi osieroconym dziewczynkom, a gdy podrosną, sprowadza je na drogę nierządu.

- Ale zdołałam się uwolnić - dodała, jakby odgadując moje myśli - i nareszcie mogłam realizować to, co miałam zapisane w liczbach.

- W liczbach?

- No tak, nie znasz się na numerologii - oznajmiła z ostentacyjną uprzejmością, wprawiając mnie w lekkie zakłopotanie. - Zaraz ci to wyjaśnię. W niektórych liczbach, takich jak data urodzin lub daty innych istotnych dla nas wydarzeń, ukryte jest całe nasze życie. Grecki filozof Pitagoras twierdził, że za pomocą liczb wszystko da się wyjaśnić.

- Data urodzin sprowadziła panią do Rzymu? - spytałem z niedowierzaniem.

- Nie tylko: ja i Rzym jesteśmy ze sobą związani. Nasze losy są od siebie uzależnione.

- Jak to? - zdziwiłem się.

.....

- Liczby mówią jasno. Urodziłam się pierwszego kwietnia **tysiąc sześćset** sześćdziesiątego czwartego roku, a urodziny Rzymu...

- Miasto może obchodzić urodziny?

- Oczywiście! Nie znasz historii Romulusa i Remusa, wilczycy i początków Rzymu?

- Owszem.

- Rzym został założony konkretnego dnia, dwudziestego pierwszego kwietnia siedemset pięćdziesiątego trzeciego roku przed Chrystusem. Zsumowane cyfry z daty moich urodzin i założenia Rzymu dają ten sam wynik, pod warunkiem że zapisze się je poprawnie z numerologicznego punktu widzenia, licząc od marca, kiedy zaczyna się wiosna, a wraz z nią nowe życie. Ten sam system stosowali Rzymianie, a dziś występuje on w kalendarzu astrologicznym, który zaczyna się od Barana.

Zrozumiałem, że Cloridia porusza się po grząskim gruncie, gdzie linia oddzielająca od herezji i czarów staje się niezwykle cienka.

- Kwiecień jest zatem drugim miesiącem roku - ciągnęła Cloridia, sięgając po papier i atrament - a obydwie daty należy zapisać tak: 1/2/1664 i 21/2/753. Najpierw musisz dodać cyfry pierwszej daty:  $1 + 2 + 1 + 6 + 6 + 4 = 20$ , następnie drugiej:  $2 + 1 + 2 + 7 + 5 + 3 = 20$ . Rozumiesz? Otrzymasz taki sam wynik.

W milczeniu popatrzyłem na cyfry zapisane pośpiesznie na kartce. Zbieżność była rzeczywiście zaskakująca.

- To nie wszystko mówiła dalej Cloridia, zanurzając pióro w atramencie i kontynuując obliczenia. - Gdy zsumuję dzień, miesiąc i rok, a nie cyfrę po cyfrze,  $21+2 + 753 = 776$ , a następnie dodam do siebie cyfry sumy,  $7 + 7 + 6$ , ponownie otrzymam liczbę 20. Suma  $1 + 2 + 1664$  wynosi 1667, dodając cyfry tej sumy, znowu otrzymam 20. Wiesz, co oznacza liczba 20? Rozum, największe Arkanum Tarota, czyli zadośćuczynienie za doznane krzywdy i sprawiedliwy sąd potomnych.

Cloridia była świetnie przygotowana. Niewiele zrozumiałem z jej prooczych wyliczeń, nie wiedziałem też, dlaczego wywołują w niej taki entuzjazm. Stopniowo jednak wyzbywałem się podejrzliwości i podziwiałem jej biegłość w liczeniu. Byłem oczarowany kobietą, która łączyła w sobie wdzięk Wenus z inteligencją Ateny.

- Przybyła pani zatem do Rzymu, żeby otrzymać zadośćuczynienie za doznaną krzywdę? — spytałem.

- Nie przerywaj mi! - rzekła stanowczo. - Numerologia uczy, że zadośćuczynienia za krzywdy doczekam się od potomnych. Nie pytaj mnie, co to znaczy, bo sama nie wiem.

- Czy w liczbach było też napisane, że zamieszka pani w „Donzel-  
lu”? - spytałem z nadzieją, że spotkanie z Cloridią było mi przeznaczone.

- Nie, nie w liczbach. Kiedy przyjechałam do Rzymu, wybrałam tę gospodę, idąc za *virga ardens*, gorejącą różdżką, albo lepiej: sterczącą. Wiesz, o czym mówię? - Wstała i przyłożyła wyprostowany palec do swojego krocza.

Gest Cloridii i nieprzyzwoita aluzja wprawiły mnie w osłupienie.

- Jeśli chcesz, porozmawiamy o tym, ale następnym razem - oznaj-  
miła z uśmiechem, który wydał mi się dwuznaczny.

Wyszedłem od Cloridii z mieszanymi uczuciami. Zbierając naczynia po kolacji, zastanawiałem się, co miała na myśli, wykonując ten nieprzy-  
zwoity gest. A może było to po prostu zaproszenie nierządnic do rozpusty? Nie byłem taki głupi, dobrze wiedziałem, że jako zwykły posługacz nie mogę nawet marzyć o tym, żeby Cloridią dostrzegła we mnie kogoś więcej niż biednego służącego. Z drugiej strony, wiedziała przecież, że nie mam grosza przy duszy. Może myślała, że ukradnę pieniądze Pelle-  
grinowi? Z przerażeniem odpędziłem od siebie tę myśl. Cloridią mówiła coś o krzywdzie związanej z powrotem do Rzymu. Nie, nie mogło jej chodzić o prostytucję, chyba źle zrozumiałem.

Ucieszyłem się, że gościom smakowała kolacja. Kiedy zapukałem do drzwi pokoju Pompea Dulcibeniego, pił zimny już bulion, cmokając z za-  
dowolenia.

- Siadaj, mój drogi! Wybacz, ale dopiero teraz poczułem się głodny.

Czekałem w milczeniu, aż skończy kolację. Rozejrzałem się po poko-  
ju. W pewnej chwili mój wzrok padł na przedmioty leżące na komodzie, wśród których dostrzegłem trzy tomy w szkarłatnej oprawie, ozdobionej złotymi arabeskami. Są bardzo piękne - pomyślałem - ale chyba gdzieś już je widziałem.

Dulcibeni przyglądał mi się z zaciekawieniem. Właśnie skończył bu-  
lion i podał mi miseczkę. Z niewinnym uśmiechem zebrałem pozostałe talerze i wyszedłem ze spuszczoneymi oczami.

Zamiast zejść do kuchni pobiegłem z brudnymi naczyniami na drugie piętro. Ciężko dysząc, zapukałem do pokoju Atta Melaniego.

- Pompeo Dulcibeni?! - wykrzyknął z niedowierzaniem opat, kiedy opowiedziałem mu całą historię.

Poprzedniego dnia udałem się do pokoju Dulcibeniego, żeby go na-

smarować leczniczą maścią. Musiałem przerwać na chwilę zabieg, ponieważ chciał zażyć tabaki. Dulcibeni wysunął szufladę komody i szukając w niej intarsjowanej tabakierki z drzewa wiśni, wyjął trzy księgi w pięknych szkarłatnych okładkach w złote arabeski, z napisem *Galeni opera* na grzbiecie. Bez wątpienia były to brakujące tomy z siedmiotomowego wydania *opera omnia* Galena z biblioteki Tiracordy.

- Możliwe - myślał głośno opat - że Dulcibeni i Tiracorda widzieli się przed kwarantanną. Wtedy Tiracorda wypożyczył mu trzy woluminy.

Jednak - ciągnął opat - sami byliśmy świadkami, że ktoś odwiedził papieskiego lekarza w środku nocy. Dziwna pora, jak na składanie wizyty! Na tym nie koniec, obaj mężczyźni wyznaczili sobie bowiem spotkanie następnego dnia o tej samej porze. Tajemniczy gość Tiracordy krążył więc po mieście mniej więcej o tej samej porze, kiedy i my wymknęliśmy się z „Donzella”. Tym gościem musiał zatem być Dulcibeni.

- Ciekawe, skąd oni się znają.

- Zastanawiasz się nad tym, bo brakuje ci pewnej informacji: Tiracorda pochodzi z Marche.

- Dulcibeni też!

- Co więcej, Dulcibeni pochodzi z Fermo i Tiracorda, o ile dobrze pamiętam, też.

- Są zatem krajanami.

- Otóż to! W Rzymie przebywa wielu wybitnych lekarzy z tego starego, słynnego miasta, między innymi Romolo Spezioli, osobisty lekarz królowej Szwecji Krystyny, nadworny lekarz Giovan Battista Benci, a także Cesare Macchiati, który podobnie jak Tiracorda był lekarzem podczas konklawe. Wszyscy przybysze z Fermo mieszkają w tej samej dzielnicy, w pobliżu kościoła San Salvatore in Lauro, gdzie skupia się ich arcybractwo.

- Tiracorda mieszka blisko „Donzella” i na pewno wie, że jesteśmy objęci kwarantanną. Czy nie obawia się zarazić od Dulcibeniego?

- Widocznie nie. Może Dulcibeni powiedział mu, że Cristofano wyklucza dżumę? Prawdopodobnie nie powiedział mu też o chorobie Bedfordiego i dziwnej przypadłości twojego pryncypała.

- A zatem to Pompeo Dulcibeni ukradł klucze panu Pellegrinowi! Właśnie on, taki bezkompromisowy człowiek!

- Nie można ufać pozorom. Być może to Pellegrino wskazał mu drogę do podziemi.

- A ja niczego nie zauważyłem! To niesłychane!...

Noi siam tre donzelle  
semplicette semplicette,  
oh, oh, senza fallo...\*

Opat stanął w śmiesznej pozie i drwił sobie ze mnie, podśpiewując cienkim głosem.

- Obudź się, chłopcze! Pamiętaj, iż tajemnice są po to, żeby je sprzedawać. Pellegrino za pieniądze otworzył Dulcibeniemu przejście do podziemi. Potem zachorował i wypadł z gry. Dulcibeni musiał więc ukraść klucz, żeby dorobić duplikat. Uczynił to u rzemieślnika przy via dei Chiavari, niedaleko miejsca, gdzie, jak mówi Ugonio, drukowawszy Komarek.

- Czy Komarek ma coś wspólnego z całą sprawą?

- Absolutnie nie, już ci to mówiłem. To zwykły zbieg okoliczności, który wywiódł nas w pole.

- No tak - powiedziałem, zmartwiony, że nie nadążam za tymi wszystkimi odkryciami, poszlakami i fałszywymi tropami, których sporo nabierało się w ostatnich dniach. - Dlaczego jednak Pellegrino nie dał Dulcibeniemu tego klucza?

- Prawdopodobnie dlatego, żeby zarobić za każdym razem, kiedy któryś z gości zechce zejść do podziemi. Właśnie z tego powodu nikomu nie udostępnia klucza.

- Dlaczego więc Stilone Priaso ma własny klucz?

- Nie zapominaj, że kiedy był tu poprzednim razem, żyła jeszcze świętej pamięci pani Luigia. Dostał klucz od niej albo ukradł.

- Nie rozumiem, dlaczego Dulcibeni ukradł też moje perły. Nie wygląda na biednego - zauważyłem.

- Mam jeszcze trudniejsze pytanie: jeśli to on jest tajemniczym złodziejem, którego z takim trudem ścigamy, jak to się dzieje, że działa sto razy szybciej od nas, zacierając za sobą ślady?

- Zapewne lepiej od nas zna podziemne tunele. Teraz jednak nie będzie mógł iść tak szybko. Właśnie sobie przypomniałem, że dwa dni temu dostał ataku rwy kulszowej. Cristofano powiedział, że jeszcze przez jakiś czas będzie odczuwał ból przy chodzeniu.

- Nie zapominajmy, że Dulcibeni nie jest już młodzieniaszkiem, i przy

My jesteście trzy panienki,  
niewinne panienki,  
tak, tak, niezawodnie...

swojej tuszy szybko dostaje zadyszki. Jak on, do licha, daje radę co noc podciągnąć się na linie do włazu? - zastanawiał się Atto.

Opowiedziałem Melaniemu o tym, czego dowiedziałem się ostatnio o Pompeo Dulcibeni. Wyjaśniłem też, że zdaniem ojca Robledy szlachcic z Marche należy do sekty jansenistów. Streściłem słowa, które Dulcibeni wypowiedział na temat szpiegowskiej działalności jezuitów, jak również jego płomienny monolog przeciw małżeństwom między krewnymi, do których od wieków dochodzi w królewskich rodzinach. Dulcibeni - zauważyłem - był tak zgorzony tą praktyką, że głośno wyraził życzenie - wyobrażając sobie, że rozmawia z jakąś kobietą, którą miało być jego lustrzane odbicie - by Turcy zwyciężyli pod Wiedniem. Tym sposobem, jego zdaniem, panującym przybyłoby trochę świeżej, niezepsutej krwi.

- Przemowa, *pardon*, monolog iście jansenistyczny. Przynajmniej częściowo - skomentował opat McLani, w zamyśleniu marszcząc czoło. — Pragnąc inwazji tureckiej ze złości na Burbonów i Habsburgów to jednak za wiele nawet dla najbardziej fanatycznego zwolennika jansenizmu.

Wracając do mojego odkrycia podsumował Atto - powinniśmy ponownie udać się do domu Tiracordy. Jak słyszeliśmy poprzedniej nocy, wybierał się tam również Dulcibeni.

## Noc szósta

*z 16 na 17 września 1683 roku*

Zaczekaliśmy, jak zwykle, aż wszyscy goście, włącznie z Cristofanem, położą się spać, po czym zeszedliśmy do szybu prowadzącego do podziemnych labiryntów pod gospodą.

Bez przeszkód dotarliśmy do miejsca, w którym byliśmy umówieni z Ugoniem i Ciacconiem, pod Piazza Navona. Kiedy się spotkaliśmy, Atto Melani musiał stawić czoło burzliwej wymianie zdań i pewnym żądaniom ze strony poszukiwaczy relikwii.

Dwaj dziwni osobnicy, z powodu przygód, w które ich wciągnęliśmy, narzekali, że nie mogą dalej prowadzić swojej działalności. Skarżyli się, że przeze mnie stracili kilka cennych relikwii w postaci kości męczenników, gdy przez nieuwagę potrąciłem ułożony stos. Przedstawione przez nich okoliczności były jak najbardziej wiarygodne, ale Ciacconio, chcąc przekonać opata, zaczął wymachiwać mu przed nosem dużą, cuchnącą kością z resztkami mięśni, twierdząc, że uległa zniszczeniu wskutek wypadku. Atto, nie mogąc znieść widoku i odoru kości, nie protestował.

- W porządku, zgoda. Ale nie chcę już słyszeć o waszych problemach.

Wyjął z kieszeni kilka monet i wręczył Ciacconiowi. Łowca relikwii natychmiast schwycił pieniądze w szponiaste dłonie, omal nie raniąc Melaniego.

- Nie cierpię ich! - szepnął Atto zdegustowany, masując sobie rękę.

- Gfrrrlulbh, gfrrrlulbh, gfrrrlulbh... - powtarzał półgłosem Ciacconio, przekładając monety z ręki do ręki.

- Liczy pieniądze - szepnął mi do ucha Ugonio z obrzydliwym uśmiechem. - To straszny sknera.

- Gfrrrlulbh - powiedział zadowolony Ciacconio, wrzucając pieniądze do brudnego, zatłuszczonego woreczka. Spadły z brzękiem, co mogłoby świadczyć, że zbiór był pokaźny.



- Szczerze mówiąc, nasze dwa potwory bardzo nam pomagają - powiedział mi później Melani, podczas gdy Ugonio i Ciacconio znikali w ciemnościach. - Ta obrzydliwa kość, którą Ciacconio wymachiwał mi przed nosem, była w rzeczywistości odpadem z rzeźni, a nie relikwią. Czasami jednak lepiej zbytnio nie wnikać i zapłacić, w przeciwnym razie zniechęcą się i przestaną współpracować. Zapamiętaj: w Rzymie należy wygrywać, ale nie pokonywać. To święte miasto szanuje mocarzy, ale cieszy się ich klęską.

Po otrzymaniu zapłaty poszukiwacze relikwii przekazali Melaniemu to, czego potrzebowaliśmy: duplikat klucza do wozowni i kuchni w domu Tiracordy. Przeszliśmy przez właz do wozowni, po czym bez trudu znaleźliśmy się w części mieszkalnej. Ponieważ było późno, należało przypuszczać, że tylko gospodarz nie spał, czekając na gościa.

Przeszliśmy przez kuchnię, później przez nieużywaną sypialnię z łóżkiem pod baldachimem i dotarliśmy do przedsionka. Poruszaliśmy się w ciemnościach, zdając się na pamięć i słabe światło księżyca. Następnie weszliśmy po krętych schodach, oświetlonych z góry dużymi świecami, które Atto musiał poprzedniego wieczoru zgasić, żebyśmy mogli niepostrzeżenie opuścić dom. Minęliśmy pierwszy gabinet na półpiętrze, gdzie znajdowały się piękne przedmioty, które podziwialiśmy podczas pierwszej wizyty. Weszliśmy na pierwsze piętro, pogrążone w ciemnościach. Tym razem jednak drzwi prowadzące na piętro były otwarte. W domu panowała cisza. Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia i skierowaliśmy się w stronę otwartych drzwi. Poczulem przyływ sił i jakiejś bezsensownej odwagi. Poprzedniej nocy - pomyślałem - wszystko poszło gładko, teraz także powinno się nam udać.

Nagle rozległ się głośny stuk, dobiegający z parteru. Ze strachu serca stanęły nam w gardłach. Ktoś trzykrotnie zapukał do bramy wejściowej. Instynktownie wbiegliśmy na stopnie między pierwszym a drugim piętrem, w pobliżu gabinetu mieszczącego bibliotekę.

Usłyszeliśmy w górze jakiś szelest, w dole natomiast odgłos kroków. Kolejny raz niebezpieczeństwo groziło nam z dwóch stron. Atto już szykował się do zdmuchnięcia świec (co tym razem mogło wzbudzić podejrzenia gospodarza), kiedy do naszych uszu doszedł głos Tiracordy:

- Nie facytuj się, Paradisa! Ja otworzę!

Usłyszeliśmy, jak Tiracorda schodzi po schodach, przechodzi przez przedsionek, otwiera bramę i wydaje okrzyki radości. Gość wszedł, nie powiedziawszy słowa.

- Witam, pytając, co powiesz - powiedział dobrodusznym tonem Tiracorda, zamykając bramę. - Wiesz, witając, pytam, po co.

- Niech mi pan wybaczy, Giovanni, mam dziś nie najlepszy humor. Ktoś mnie śledził i musiałem skorzystać z innego przejścia.

- Proszę, proszę, niech pan wejdzie, drogi przyjacielu.

Tymczasem my, przylepieni do schodów jak dwa ślimaki, wstrzymaliśmy oddech. Ta krótka rozmowa wystarczyła, żebyśmy rozpoznali głos Pompea Dulcibeniego.

Tiracorda zaprowadził gościa na pierwsze piętro. Usłyszeliśmy odgłos oddalających się kroków i zamykanych drzwi. Kiedy tylko zostaliśmy sami, wyszliśmy z ukrycia i zajrzeliśmy do dużego salonu na pierwszym piętrze. Chciałem zadać opatowi tysiące pytań, ale musieliśmy zachować milczenie, żeby nie zdradzić naszej obecności.

Weszliśmy do dużego pokoju, gdzie w półmroku dostrzegłem dwa łóżka i kilka innych mebli. Z oddali dobiegała przyciszona rozmowa Tiracordy z Dulcibenim. Mało brakowało, a potknąłbym się o skrzynię. Ale kiedy wzrok przyzwyczał się do ciemności, ze zgrozą dostrzegłem dwie posępne, nieruchome twarze, zwrócone w naszą stronę.

Ochłonawszy ze strachu, zrozumiałem, że były to dwa popiersia, jedno z miedzi, drugie zaś z kamienia, stojące na wysokich postumentach. Obok nich widniały gipsowe podobizny Herkulesa i gladiatora.

Skręciliśmy w lewo i przez przedpokój, z rzędem krzeseł przy ścianie, dostaliśmy się do drugiego, większego przedpokoju, w którym panowały zupełne ciemności. Z pokoju obok dochodziły głosy Tiracordy i jego krajana. Z największą ostrożnością podeszliśmy do szpary w uchylonych drzwiach i zaczęliśmy przysłuchiwać się dziwnej rozmowie.

- Witam, pytając, co powiesz. Wiesz, witając, pytam, po co -- Tiracorda powtórzył słowa wypowiedziane przy powitaniu.

- Witając pytam, pytając witam... - powtórzył Dulcibeni.

- Proszę się spokojnie zastanowić! Czy nie po to pan przyszedł?

Lekarz wstał i zniknął z pola widzenia. Dulcibeni siedział na krześle, odwrócony tyłem do drzwi.

Pokój oświetlony był dwiema dużymi świecami z połączanego wosku, stojącymi na stole, przy którym siedzieli mężczyźni. Pierwszy raz w życiu widziałem takie piękne sprzęty. Obok świec stał srebrny koszyczek z owocami z wosku. W pomieszczeniu były też dwa duże kandelabry,

z których jeden stał na stoliku z drzewa granatowca, drugi zaś na hebanowej sekretarce z czarnymi drzwiczkami i okuciami z połączanej miedzi. Ściany pokrywała bogato zdobiona karmazynowa satyna. Wszędzie wisiały obrazy z przedstawieniem pejzaży, zwierząt, kwiatów i ludzi. Dostrzegłem między innymi *Madonnę z Dzieciątkiem*, *Pietę*, *Zwiastowanie*, wizerunek świętego Sebastiana, a także *Ecce Homo*.

Pośrodku ściany naprzeciw drzwi wisiał duży portret Jego Świątobliwości Innocentego XI, w złoczonej ramie, ozdobionej arabeskami, motywami roślinnymi i kryształowymi festonami. Pod nim, na stojaku, dostrzegłem ośmiokątny relikwiarz z połączanej i posrebrzanej miedzi, który zapewne zawierał święte szczątki. Po lewej stronie pokoju stało łóżko i niewielkie krzesło, obite czerwoną brokatelą. Ostatni szczegół wskazywał na to, że pokój był najprawdopodobniej gabinetem Tiracordy, w którym przyjmował pacjentów.

Usłyszeliśmy, że lekarz otworzył i zamknął jakieś drzwi, po czym wrócił na środek pokoju.

- Ale ze mnie dureń! Położyłem ją gdzie indziej.

Poszedł w prawo, wzdłuż ściany z portretem Jego Świątobliwości. Ku naszemu zdumieniu Tiracorda otworzył drzwi znajdujące się naprzeciw nas, pokryte takim samym karmazynowym obiciem jak ściana. Ukryte drzwi prowadziły do schowka, w którym gospodarz domu przechowywał narzędzia lekarskie - szczypce, nożyce, noże chirurgiczne - pojemniki z ziołami leczniczymi, kilka książek i pliki kartek, zapewne z notatkami z konsyliów lekarskich.

- Są tam jeszcze? - spytał Dulcibeni.

- Są, są, i mają się dobrze - odpowiedział Tiracorda z wnętrza schowka. — Szukam kartek, na których zanotowałem coś zabawnego. O, są!

Wyszedł ze schowka, machając plikiem pożółkłych kartek, po czym zamknął sekretne drzwi, usiadł i zaczął czytać.

- Proszę posłuchać! Jeśli ojciec ma siedem córek...

W tej samej chwili, ku mojemu zaskoczeniu, Atto Melani zakrył sobie usta dłońmi. Zamknął oczy, wspiął się na palce i zrobił się czerwony na twarzy. Następnie pochylił się do przodu i zasłonił twarz ramieniem. Przestraszyłem się, ponieważ nie wiedziałem, czy opata coś zabolalo, czy może dostał ataku śmiechu lub złości. Ale kiedy spojrzałem mu w oczy, w których malowały się strach i bezsilność, zrozumiałem, że zachciało mu się po prostu kichać.

W ostatnich dniach opat Melani często dostawał napadów kichania. Tym razem, na szczęście, zdołał się powstrzymać i niebezpieczeństwo zo-

stało zażegnane. Przez chwilę obawiałem się, że kichając, straci równowagę i wpadnie na uchylone drzwi.

Zdarzenie to odciągnęło naszą uwagę od rozmowy Tiracordy z Dulcibenim. Kiedy opatowi minęła chęć kichania, ponownie zacząłem się im przysłuchiwać, lecz słowa obydwu mężczyzn były tak samo niezrozumiałe jak na początku.

- Czernaście? - zapytał Dulcibeni zduszonym głosem.

- Osiem! Wie pan, dlaczego? Jeden brat jest bratem ich wszystkich. Ha, ha, ha, ha, ha!

Tiracorda dostał ataku astmatycznego, niepohamowanego śmiechu, który nie udzielił się Dulcibeniemu. Kiedy lekarz opanował się, jego gość próbował zmienić temat.

- Jak on się dziś czuje?

- Nieszczęśliwie. Jeśli nie przestanie się zadrećcać, jego stan się nie polepszy. Może należałoby dać sobie spokój z pijawkami i spróbować jakiegoś innego sposobu - powiedział Tiracorda, wycierając chusteczką nos i łzy wywołane śmiechem.

- Ach tak? Myślałem...

- Ja też wolałbym stosować wypróbowane sposoby - przerwał lekarz, wskazując na sekretne drzwi za swoimi plecami - ale teraz nie jestem już tego pewien.

- Wprawdzie nie jestem lekarzem - wtrącił Dulcibeni - ale pozwolę sobie zauważyć, że wszystko wymaga czasu.

- Wiem, wiem, zobaczymy, jak to się potoczy... - odparł Tiracorda w zamyśleniu. - Monsinior Santucci jest już, niestety, stary i nie może zająć się pacjentem jak dawniej. Proponowano mi nawet, żebym go zastąpił, ale ja też nie czuję się już na siłach. Na szczęście są inni lekarze, którzy mogliby to uczynić, na przykład młody Lancisi. Jestem gotów zrobić wszystko, żeby mu pomóc.

- On także pochodzi z Marche?

- Nie, urodził się w Rzymie, ale można powiedzieć, że go adoptowałem. Najpierw uczył się w naszym kolegium w Marche, później uczyniłem go swoim asystentem w szpitalu Santo Spirito in Sassia.

- Postanowił pan zatem zmienić sposób leczenia?

- Zobaczymy, może wystarczy trochę zdrowego, wiejskiego powietrza. A propos! - powiedział, zabierając się do czytania jednej z poślódkowych kartek. - W pewnym folwarku...

- Giovanni, proszę posłuchać! - przerwał mu Dulcibeni z ożywieniem. - Dobrze pan wie, jak lubię nasze spotkania, ale...

- Znowu śniła się panu córka? - spytał Tiricorda zmartwiony. - To nie pańska wina! Mówiłem to panu tysiąc razy.

- Nie, nie o to chodzi, tylko że...

- Rozumiem, trapi pana sprawa kwarantanny. Mówiłem, że to głupstwo! Jeśli wygląda to tak, jak mi pan opowiedział, nie istnieje groźba zarażenia, a tym bardziej przeniesienia do lazaretu. Ma rację pański przyjaciel, ten... jak on się nazywa? Cristogeno.

- Cristofano, nazywa się Cristofano. Chodzi mi o coś innego. Mam wrażenie, że ktoś mnie śledził, kiedy szedłem do pana tunelami.

- Bez wątpienia, mój przyjacielu! Śledził pana jakiś okazały szczur, ha, ha, ha! A propos, wczoraj znalazłem jednego szczura w wozowni. Był taki wielki! - oznajmił Tiracorda, rozkładając szeroko ramiona.

Dulcibeni zamilkł i choć nie widzieliśmy jego twarzy, odniosłem wrażenie, że się zniecierpliwiał.

- Wiem, wiem powiedział lekarz - przejmuję się pan jeszcze tamtą historią. Nic rozumiem tylko, dlaczego nadal się pan tym zadrecza, po tylu latach?! Czy to pańska wina? Nie! Doskonale pan o tym wie. Ach, gdybym służył innemu panu! Ach, gdybym tak został malarzem, stolnikiem, poetą, kowalem, stajennym! Byle nie kupcem!

- To prawda, czasami tak myślę - przyznał Dulcibeni.

- Wie pan, co panu powiem? Gdyby tak się stało, nie miałby pan okazji poznać matki pańskiej córki Marii.

- Słusznie. Ale wystarczyłoby, żeby nie spotkał na swojej drodze Francesca Feroniego.

- Znowu! Jest pan pewien, że to on zawinił?

- Poparł ohydne zamysły tego drania Huygensa.

- Powinien był pan donieść o tym władzom, zażądać śledztwa...

- Śledztwa? Już panu mówiłem: kto by szukał bękarta, córki tureckiej niewolnicy? W trudnych sytuacjach pomocy należy szukać nie u żandar-mów z Bargello, lecz u więźniów i szubrawców.

- A ci szubrawcy powiedzieli panu, że nic nie da się zrobić?

- Otóż to! Nic! Feroni i Huygens wywieźli ją do tego nieszczęśnika. Widzi pan ten stary czarny kaftan? Mam go od tamtej pory i nigdy nie przestanę nosić. Kupiłem go w sklepie portowym, kiedy byłem u kresu sił i nadziei. Szukałem jej wszędzie, opłaciłem informatorów i szpiegów niemal na całym świecie - wszystko na próżno. Dwóch z nich, najlepszych, powiedziało mi w końcu, że Maria zaginęła bez śladu. Została sprzedana albo, czego się najbardziej obawiam, nie żyje.

Mężczyźni zamilkli. Spojrzeliśmy po sobie i w oczach Atta wyczytałem zaskoczenie podobne do mojego.

- Jak już panu mówiłem, to beznadziejna sprawa - podjął smutnym głosem Dulcibeni. - Kropelkę tego, co zwykle? - spytał, wyjmując małą płaską buteleczkę, którą postawił na stole.

- Z największą przyjemnością! - odparł Tiracorda z rozpromienioną twarzą.

Wstał, otworzył ukryte drzwi i wszedł do schowka. Stał na palcach, wyciągnął ramiona i z najwyższej półki zdjął dwa zielonkawe kieliszki.

- To cud! Paradisa jeszcze nie odkryła mojej tajnej kryjówki - wyjaśnił, zamykając za sobą drzwi. - Gdyby znalazła kieliszki, zrobiłaby mi awanturę. Ma prawdziwą obsesję na punkcie wina... Wracając do pańskich spraw: co się stało z matką Marii? - spytał Tiracorda.

- Już panu mówiłem, została sprzedana tuż przed uprowadzeniem Marii. Po niej także ślad zaginął.

- Nie mógł pan się temu sprzeciwić?

- Należała do Odescalchich, nie do mnie, podobnie jak moja córka, niestety!

- Trzeba było ją poślubić...

- No tak, ale przy mojej pozycji... ślub z niewolnicą... -jąkał się Dulcibeni.

- Otrzymałby pan władzę rodzicielską nad córką.

- To prawda, ale sam pan rozumie...

W tej samej chwili rozległ się odgłos tłuczonego szkła. Dulcibeni cicho zaklął.

- Och, przepraszam! Najmocniej przepraszam! - sumitował się Tiracorda. - Miejmy nadzieję, że Paradisa niczego nie słyszała. Matko Boska! Ale ze mnie niezdara!

Odsuwając świecę stojącą na stole, lekarz potracił buteleczkę Dulcibeni, która spadła na podłogę i roztrzaskała się na drobne kawałki.

- Nic nie szkodzi! Powinienem mieć jeszcze jakiś zapas w gospodzie - uspokajał Dulcibeni.

- Ostrożnie, bo się pan pokaleczy! Zaraz przyniosę ścierkę - rzekł Tiracorda. - Niech się pan nie męczy, jak w czasach, kiedy był pan na służbie u Odescalchich, ha, ha, ha!

Lekarz, zaśmiewając się, skierował się do drzwi, za którymi staliśmy.

Nie mieliśmy czasu na zastanowienie. Kiedy Tiracorda wychodził z pokoju, przyglęliśmy do ściany po obu stronach drzwi. Staliśmy sztywno

wyprostowani, wstrzymując oddech. Przemierzywszy cały przedpokój, Tiracorda wyszedł drzwiami po przeciwnej stronie.

Niezawodny opat wykazał się przytomnością umysłu i zimną krwią w chwili zagrożenia. Na jego znak pobiegliśmy cicho jak myszy w stronę drzwi, którymi wyszedł Tiracorda, i przywarliśmy do ściany po obu stronach wejścia, ale tym razem zasłaniały nas skrzydła drzwi.

- Otóż i ona! - usłyszeliśmy głos Tiracordy, który zapewne znalazł ścierkę.

Lekarz wrócił do pokoju, do swojego gościa. Gdybyśmy zostali po drugiej stronie sali, wszedłby prosto na nas i z pewnością by nas zauważył.

Kiedy zamykał za sobą drzwi, dostrzegłem Dulcibeniego, nadal siedzącego na swoim miejscu. W chwili gdy gospodarz wszedł do środka, gość odwrócił się do tyłu i, zmarszczywszy brwi, popatrzył w stronę ciemnego przedpokoju, bezwiednie zatrzymując spojrzenie na mojej przerażonej twarzy.

Przez dłuższą chwilę staliśmy bez ruchu, nie odważyłem się nawet wytrzeć potu z twarzy. Dulcibeni oświadczył, że czuje się bardzo zmęczony i pragnie już wrócić do „Donzella”. Wskutek niedoszętego toastu jego wizyta jakby straciła sens. Usłyszeliśmy, że obaj mężczyźni wstali. Nie pozostało nam nic innego, jak pobiec do pokoju przy schodach i ukryć się za gipsowymi popiersiami. Tiracorda i Dulcibeni przeszli obok nas, nieświadomi naszej obecności, mimo że Dulcibeni oświetlał sobie drogę lampą. Tiracorda ciągle go przeproszał za stłuczenie buteleczki i zepsuty wieczór.

Po chwili zeszli schodami do przedsionka. Nie usłyszeliśmy jednak odgłosu zamykanej bramy.

- Na pewno - szepnął mi do ucha Atto - Dulcibeni wróci do „Donzella” podziemiami.

Niedługo potem Tiracorda wrócił i wszedł na drugie piętro. W domu panowały kompletne ciemności. Jak najciszej zeszliśmy do kuchni, a następnie do wozowni. Śpieszyliśmy się, by nie zgubić Dulcibeniego.

- Nie ma obawy - uspokajał Atto. - Nie umknie nam jak Stilone Priaso.

Sprawy potoczyły się jednak inaczej. W odcinku D dostrzegliśmy światło lampy Dulcibeniego. Tęgi szlachcic z Marche szedł spokojnym krokiem. Niespodzianka nastąpiła przy skrzyżowaniu z korytarzem C, za-

miast bowiem skrócić w prawo, w kierunku „Donzella”. Duleibem poszedł w lewo.

- Dokąd on idzie? - zdziwił się opat Melani.

Szliśmy za nim aż do potoku przecinającego tunel. Dalej panowały ciemności, jakby Dulcibeni zgasił lampę. Nie mieliśmy żadnego punktu odniesienia i szliśmy po omacku.

W pewnej chwili zwolniliśmy w obawie, że natkniemy się na naszą ofiarę, i nadstawiliśmy uszu. Słysząc było tylko szum podziemnej rzeki. Postanowiliśmy iść naprzód.

Opat Melani potknął się o kamień i upadł, ale na szczęście nic sobie nie zrobił.

- Do licha! Podaj mi tę przeklętą lampę! - złościł się.

Kiedy zapalił lampę, struchleliśmy. Tunel kończył się, przecięty w poprzek potokiem. Dulcibeni zniknął.

- Od czego zaczniemy? - spytał poirytowany Atto, kiedy szliśmy z powrotem. Próbował odnaleźć logiczny sens ostatnich wydarzeń. Streściłem zatem wszystko, czego się do tej pory dowiedzieliśmy.

Pompeo Dulcibeni kilkakrotnie odwiedził Giovanniego Tiracordę, papieskiego lekarza i krajana z Fermo, żeby porozmawiać z nim o czymś, czego nie potrafiliśmy zrozumieć. Tiracorda napomknął coś o braciach, folwarkach i innych niejasnych sprawach. Martwił go stan pacjenta, którego leczył. Nie tracił jednak nadziei, że pomoże mu wrócić do zdrowia.

Zdobyliśmy natomiast wiele nowych informacji o samym Dulcibenim. Miał córkę o imieniu Maria (która według niego nic żyła). Jej matka była niewolnicą, ale stracił ją z oczu, ponieważ została sprzedana.

Córkę Pompea Dulcibeniego porwał niejaki Huygens, prawa ręka Feroniego (to nazwisko chyba już gdzieś słyszałem), który dopomógł w porwaniu. Dulcibeni nie mógł temu zapobiec i utrzymywał, że jego córka nie żyje.

- Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa - zauważyłem, wzruszony tymi faktami - kobietą, którą wyobrażał sobie Dulcibeni, stojąc przed lustrem, była porwana córka.

Ale opat mnie już nie słuchał.

- Francesco Feroni - wyszeptał. - Znam go ze słyszenia. Wzbogacił się na handlu niewolnikami do hiszpańskich kolonii w Nowym Świecie, później wrócił do Florencji i wstąpił na służbę u wielkiego księcia Cosima.



- Handlarz czarnych niewolników.
- Tak. To człowiek pozbawiony skrupułów. We Florencji ma jak najgorszą opinię. Właśnie sobie przypominałem zabawną historyjkę, którą opowiadano o nim i tym Huygensie - powiedział Atto z uśmiechem. - Feroni bardzo chciał wydać swoją córkę za mąż za florenckiego arystokratę, tymczasem ona, jedyna spadkobierczyni, straciła głowę dla Huygensa. Problem polegał na tym, że Huygens był zaufanym człowiekiem Feroniego i prowadził jego interesy.
  - Feroni go wyrzucił?
  - Przeciwnie, nie chciał go stracić. Huygens nadal pracował w rodzinnym przedsiębiorstwie, a Feroni, nie licząc się z kosztami, spełniał każdą zachciankę młodego pomocnika. Żeby wybić mu z głowy swoją córkę, sprowadzał dla niego najpiękniejsze kobiety, nawet te najdroższe.
    - Jak to się skończyło?
    - Nie wiem, ale to bez znaczenia. Obawiam się, że nieszczęsna córka Dulcibeniego dostała się wtedy w ręce Huygensa i Feroniego - westchnął Atto.

Dulcibeni -- podjąłem - był w przeszłości kupcem w służbie Odescalchich - rodu, z którego wywodził się papież. Było to niezwykle zaskakujące odkrycie.

- Teraz przejdź do pytań - zaproponował Melani, przewidując, że miałem ich bardzo wiele.

- Pierwsze pytanie - powiedziałem, gdy dotarliśmy do tunelu D - brzmi: na czym polegała praca Dulcibeniego u Odescalchich?

- Istnieje wiele możliwości - odparł Atto. - Dulcibeni powiedział „kupiec”. Ale ten termin jest nieodpowiedni, kupiec bowiem pracuje na swoim, a on miał chlebodawcę. Może był sekretarzem, księgowym, skarbnikiem lub prokuratorem. Może odbywał podróże w sprawach służbowych. Odescalchi od dawna handlowali zbożem i tkaninami w całej Europie.

- Słyszałem od ojca Robledy, że udzielali też pożyczek na procent.

- Rozmawiałeś o tym z ojcem Robledą? Brawo, chłopcze! To prawda, z czasem wycofali się z handlu i zajęli udzielaniem pożyczek. Później, o ile mi wiadomo, kupowali urzędy publiczne i obligacje.

- Panie Atto, kim jest pacjent, o którym mówił Tiracorda?

- To najłatwiejsze pytanie. Zastanów się! Choroba tego pacjenta ma pozostać tajemnicą, a Tiracorda leczy papieża.

- Wielkie nieba! A więc... - Przerwałem, bo zabrakło mi tchu. - Chodzi o Jego Świątobliwość Innocentego XI!

- Myślę, że tak. Muszę jednak przyznać, że mnie to zaskoczyło. Na ogół, kiedy papież choruje, wieść roznosi się lotem błyskawicy. Tymczasem Tiracorda pragnie to ukryć. Watykan najwidoczniej uznał, że to nie najlepszy moment, bo nie wiadomo, kto zwycięży pod Wiedniem. Gdyby mieszkańcy Rzymu dowiedzieli się, że papież niedomaga, mogłyby wybuchnąć zamieszki. Taka wiadomość mogłaby podnieść morale Turków i przygnębić chrześcijan. Zdaniem Tiracordy największym problemem jest to, że stan papieża nie polepsza się, dlatego zastanawia się nad zmianą kuracji. A o tym nikt nie powinien się dowiedzieć.

- Ale przecież Tiracorda powiedział o wszystkim Dulcibeniemu - zauważyłem.

- Widocznie jest przekonany, że jego przyjaciel potrafi trzymać język za zębami. Poza tym Dulcibeni, podobnie jak my, siedzi zamknięty w gospodzie z powodu kwarantanny, nie ma więc komu zdradzić sekretu. Zastanawia mnie jednak coś innego.

- Co takiego?

- Dulcibeni podróżował z Fouquetem. Teraz składa wizyty papieskiemu lekarzowi, żeby rozmawiać z nim o bardzo dziwnych rzeczach, folwarkach, braciach, siostrach, czyjejs wizycie... Chętnie przyjrzałbym się temu z bliska, żeby zrozumieć, o czym mówili.

W drodze powrotnej do „Donzella” spotkaliśmy poszukiwaczy relikwii, którzy krzżeli się w swoim „archiwum” pod Piazza Navona.

Zauważyłem, że ponownie ustawili obrzydliwy stos kości, który sprawiał wrażenie wyższego niż ten poprzedni. Łowcy relikwii nie zareagowali na nasze przybycie, zajęci kłótnią.

Ciacconio wyrwał z ręki Ugoniowi pęk zeschniętych liści i ze służalczym uśmiechem podał opatowi Melaniemu.

- Co to takiego? - spytał Atto. - Nie będę ci płacić za takie śmieci.

- To niespotykane listowie - powiedział Ugonio. - Ciacconio znalazłszy je obok zdechłych szczurów.

- Dziwne... Obok zdechłych szczurów, powiadasz. Ciekawe - skomentował Atto.

- Ciacconio mówi, że dziwnie pachną- ciągnął Ugonio - i mają właściwości pobudzające... Krótko mówiąc, bardziej na pożytek niż na szkodę, przekazuję je wam. Spełniając obowiązek, przynosiwszy chrześcijaninowi radość.

Atto Melani przyjrzał się liściom w świetle lampy. :

- Wydaje mi się - powiedziałem - że ja również widziałem w podziemiach zeschnięte liście.

- Coś podobnego! Okazuje się, że jest tu pełno liści. Jak to możliwe? Przecież pod ziemią nie rosną drzewa.

Wyjaśniłem, że kiedy śledziliśmy Stilone Priasa, nadepnałem na zeschnięte liście. Przestraszyłem się nawet, że Stilone usłyszał szelest.

- Ale z ciebie głuptas! Powinieneś być mi o tym powiedzieć. W podobnych sytuacjach nie należy niczego lekceważyć.

Wyjąłem z pęku jeden kruchy liść i uważnie mu się przyjrzałem. Ponieważ nie potrafiłem pomóc Melanieniu w rozszyfrowaniu tego, o czym Tiracorda dyskutował z Dulcibenim, chciałem przynajmniej odgadnąć, o jaką roślinę tu chodzi. Gdybyśmy to wiedzieli, moglibyśmy odkryć, kto rozsypał liście w podziemnych korytarzach.

Pożegnaliśmy się z poszukiwaczami relikwii i ruszyliśmy w drogę. W pewnej chwili przypomniałem sobie, że nie opowiedziałem jeszcze opatowi o rozmowie z Devizem. W natłoku ostatnich wydarzeń zupełnie o tym zapomniałem, tym bardziej że nie uzyskałem od muzyka żadnych istotnych informacji. Streściłem Melanieniu rozmowę, pomijając oczywiście to, że oszkalowałem go, aby zdobyć zaufanie gitarzysty.

Nic ważnego, mówisz?! wykrzyknął opat, nie dając mi skończyć. - Twoim zdaniem to mało istotne, że królowa Maria Teresa utrzymywała kontakt ze słynnym Franceskiem Corbettą i Devizein?

Byłem zaskoczony reakcją Melaniego, który najwyraźniej wpadł w panikę. Kiedy snułem swoją opowieść, co chwila zatrzymywał się, otwierał szeroko oczy i prosił, żebym powtórzył ostatnie zdanie, po czym w milczeniu szedł dalej. Po kilku krokach znowu przystawał, pogrążony w myślach. Na koniec kazał mi jeszcze raz wszystko opowiedzieć.

Powiedziałem mu więc, że kiedy szedłem zrobić masaż Devizemu, usłyszałem fragment rondo, które muzyk często grywał i które urzekło wszystkich gości gospody jeszcze przed kwarantanną. Spytałem go, czy sam skomponował ten utwór, a on na to, że jego mistrz, niejaki Corbettą, usłyszał rondo podczas jednej ze swoich podróży. Nieco je poprawił i podarował królowej, która z kolei przekazała tabulaturę Devizemu, a on dokonał kolejnych poprawek. Krótko mówiąc, nie wiadomo, kto jest

prawdziwym autorem tego dzieła, ale za to wiadomo, przez czyje ręce przeszło.

- Czy wiesz, kim był Corbetta? - spytał opat, cedząc słowa. Jego oczy zwięzły się z przejęcia.

Włoch Francesco Corbetta - wyjaśnił Atto - był wybitnym gitarzystą. Mazzarini sprowadził go do Francji, żeby nauczył grać na tym instrumencie młodego Ludwika XIV. W krótkim czasie Corbetta stał się sławny. Król Anglii Karol II (także miłośnik gitary) zabrał muzyka do Londynu, znalazł mu żonę i wyniósł do godności para. Corbetta był jednak nie tylko utalentowanym muzykiem, ale też znakomitym szyfrantem, o czym prawie nikt nie wiedział.

- Pisał zaszyfrowane listy?

- Nie tylko. Komponował zaszyfrowane utwory muzyczne, w których ukryte były tajne informacje.

Corbetta, niepospolity, fascynujący i intrygujący człowiek, często był zamieszany w skandale. Większą część życia spędził w podróży. Był w Wenecji, Mantui, Bolonii, Brukseli, Hiszpanii i Holandii. Zmarł dwa lata temu, w wieku sześćdziesięciu lat.

- Być może, jako bywały w świecie muzyk, uprawiał też zawód... doradcy?

- To prawda. Był wplątany w wiele afer politycznych, o których ci wspomniałem - powiedział Atto Melani, sugerując, że Corbetta prowadził też działalność szpiegowską.

- W tym celu używał tabulatur muzycznych?

- Tak, ale nie był to oczywiście jego wynalazek. Słynny angielski muzyk John Dowland, lutnista królowej Elżbiety, zapisywał swoje utwory w taki sposób, żeby jego zleceniodawcy mogli odczytać z nich tajne informacje.

Atto Melani długo tłumaczył mi, że notacja muzyczna może przekazywać znaczenia zupełnie niezwiązane ze sztuką dźwięków. Zawsze tak było. Zarówno władcy świeccy, jak i papieże od wieków posługiwali się kryptografią muzyczną. Zagadnienie to znane było wszystkim wtajemniczonym. Sposoby szyfrowania pisma muzycznego i przekazywania w ten sposób wiadomości przedstawił Della Porta w swym dziele *DefurtMs litterarum notis*. Stosując odpowiedni klucz, można dopasować daną literę alfabetu do określonej nuty muzycznej. Nuty zapisane na pięciolinii odpowiadają zatem określonym słowom lub całym zdaniom.

- Istnieje jednak problem *saltus indecentes*, czyli nieprzyjemnych dysonansów i enharmonii, które już *ictu oculi* mogą wzbudzić podejrzenia

osoby przypadkowo czytającej pięciolinię. Wymyślono zatem bardziej wyrafinowane sposoby.

- Kto na przykład?

- Kircher w *Musurgia universalis*. Zamiast przypisywać każdej nucie odpowiednią literę przemyślał je w zapisie nutowym madrygału czy utworu na orkiestrę, dzięki czemu łatwiej mu było panować nad materią muzyczną i uczynić muzykę przyjemniejszą dla ucha. W obszerniejszym materiale ryzyko przechwycenia informacji stawało się mniejsze. Tekstem i nutami można manipulować na wiele sposobów. Nuta fa, la lub re może również oznaczać sylabę w zaszyfrowanym tekście. Albo ukrywa się wiadomość w słowach pieśni. Corbetta niewątpliwie znał innowację Kirchera.

- Czy pańskim zdaniem Corbetta, oprócz gry na gitarze, nauczył Devizego także... sztuki tajemnego komunikowania się?

- Na dworze paryskim mówi się, że tak. Tym bardziej że Devize był nie tylko ulubionym uczniem Corbetta, ale także jego dobrym przyjacielem.

Myśląc o Dowlandzie, Melanim, Corbetcie, jak również Devizem, zaczęłam podejrzewać, że muzyka wiąże się nieodłącznie ze szpiegostwem.

Nie mówiąc o tym - ciągnął opat Melani - że Corbetta, zanim w tysiąc sześćset sześćdziesiątym roku wyemigrował do Londynu, był gitarzystą na dworze Mazzariniego i dobrze znał Fouqueta. Później często przyjeżdżał do Paryża, gdzie osiadł na stałe mniej więcej dziesięć lat później.

- A zatem stwierdziłem ze zdziwieniem w rondzie, które Devize tak często gra, może być ukryta jakaś wiadomość.

- Spokojnie! Pomyślmy! Z twoich słów wynika, że Corbetta podarował rondo królowej Marii Teresie, a ona dała je Devizemu. To bardzo cenna informacja. Nie wiedziałem, że królowa znała obydwu gitarzystów.

- Zważywszy - przerwałem - że Maria Teresa żyła niemal jak zakonnica...

Streściłem opatowi długi monolog Devizego, opisujący upokorzenia, jakich Maria Teresa doznała od męża.

- Jak zakonnica? - powtórzył Atto, kiedy skończyłem mówić. - Nie użyłbym tego określenia - wymruczał.

Devize - powiedział opat - nakreślił zbyt wyidealizowany portret zmarłej królowej Francji. W Wersalu mieszka młoda Mulatka, dziwnie podobna do syna Marii Teresy. Aby wyjaśnić tę tajemnicę, należało cofnąć się

o dwadzieścia lat, kiedy na dworze gościli ambasadorzy jednego z krajów afrykańskich. W dowód oddania dla małżonki Ludwika XIV podarowali jej czarnego pazia imieniem Nabo. Dziewięć miesięcy później, w roku 1664, Maria Teresa urodziła dorodną dziewczynkę... o ciemnej skórze. Felix, nadworny chirurg, przysięgał królowi, że kolor skóry noworodka jest spowodowany trudnym porodem. Mijały dni, a skóra dziecka nie jaśniała. Królewski chirurg powiedział więc, że podczas ciąży królowa zapatrzyła się na Murzyna, pozostającego w służbie dworu.

„Zapatrzyła się? - zdziwił się król. - Spojrzenie musiało być zaiste bardzo przenikliwe!”

Ludwik XIV kazał dyskretnie uśmiercić pazia Nabo.

- A Maria Teresa?

- Nie powiedziała słowa. Nie płakała ani nie uśmiechała się. Przez jakiś czas w ogóle się nie pokazywała. W każdym razie od królowej można było usłyszeć jedynie słowa dobroci i przebaczenia. Zawsze o wszystkim królowi opowiadała, żeby dowieść mu swojej wierności, mimo że Ludwik miał kochanki wśród jej dworek. Maria Teresa była postacią bezbarwną, jakby pozbawioną osobowości i woli działania. I stanowczo za dobrą.

Przypomniały mi się słowa Devizego: błędem było osądzać Marię Teresę wyłącznie po pozorach.

- Myśli pan, że się maskowała? - spytałem.

- Wywodziła się z rodu Habsburgów, a jednocześnie była Hiszpanką. Łączyła w sobie dumną krew śmiertelnych wrogów męża. Jak twoim zdaniem mogła się czuć Maria Teresa Austriacka znieważana na ziemi francuskiej? Ojciec bardzo kochał córkę, ale zgodził się ją oddać w zamian za zawarcie pokoju pirenejskiego. Byłem na Wyspie Bażanciej, chłopcze, kiedy Francja i Hiszpania podpisały traktat pokojowy i podjęto decyzję o zaślubinach Ludwika z Marią Teresą. Kiedy król Hiszpanii Filip rozstał się z córką, wiedział, że już nigdy jej nie ujrzy. Ucałował ją i zalał się łzami. Rozpacz króla wprawiła wszystkich w zakłopotanie. Podczas przyjęcia, które odbyło się po podpisaniu traktatu, jeden z najpotężniejszych władców, jakich widziałem, nie tknął jedzenia. Wieczorem, przed pójściem spać, płakał. „Chcę umrzeć” - mówił i inne tego rodzaju głupstwa.

Słowa Melaniego wprawiły mnie w zdumienie. Nigdy bym nie przypuszczał, że potężni władcy, decydujący o losach Europy, mogą tak cierpieć po rozstaniu z bliską osobą.

- A Maria Teresa?

- Na początku udawała, że jest zadowolona. Dawała do zrozumienia

że narzeczony jej się podoba. Uśmiechała się, rozmawiała i wyglądało na to, że cieszy się z wyjazdu. W nocy jednak słyszeliśmy, jak rozpaczała: *Ay, mipadre, mi padre.*

- Czyli jednak symulowała?

- Otóż to! Udawała nienawiść, miłość, litość, wierność. Dlatego też nie można się dziwić, że nikt nie wiedział o wymianie tabulatur muzycznych między Marią Teresą, Corbettą i Devizem. Być może wszystko odbywało się na oczach króla!

- Myśli pan, iż królowa Maria Teresa posłużyła się gitarzystami, żeby w ich utworach zaszyfrować jakieś informacje?

- Niewykluczone. Kilka lat temu czytałem o tym w pewnej holenderskiej gazecie. Było to pismo pośledniego gatunku, wydawane w Amsterdamie, ale po francusku. Jedynym jego celem było szkalowanie Arcychrześcijańskiego Króla. Artykuł był poświęcony młodemu służącemu paryskiego dworu o imieniu Belloc, o ile dobrze pamiętam, który był autorem utworów do recytacji, dołączanych do baletów. Wersy zawierały zaszyfrowane skargi królowej na zdrady króla, a ich zleceniodawczynią była Maria Teresa.

Panie Atto, kim jest Mademoiselle? - spytałem.

- Skąd znasz to imię?

- Było wypisane na marginesie tabulatury, którą widziałem u Devizego. Mimo że światło lampy było słabe, zauważyłem, że opat pobladał. W jego oczach dostrzegłem strach, podobnie jak przed dwoma dniami.

Opowiedziałem więc Melaniemu o dalszym ciągu spotkania z Devizem: o tym, jak przez nieuwagę zatłuściłem tabulatwę z rondem, a starając się ją wyczyścić, spostrzegłem dedykację: *a Mademoiselle*. Powtórzyłem mu też słowa Devizego, z których wynikało, że Mademoiselle była kuzynką króla, skazaną przez niego na staropanieństwo za buntowniczą przeszłość.

- Kim jest Mademoiselle, panie Atto? - spytałem ponownie.

- Nieważne, kim jest, ale kogo poślubiła.

- Poślubiła? Przecież za karę miała zostać starą panną.

Atto wyjaśnił mi, że cała ta historia była nieco bardziej skomplikowana, niż to wynikało ze słów Devizego. Mademoiselle naprawdę nazywała się Annę Marie Louise i była księżną Montpensier, a przy tym najbogatszą kobietą we Francji. Pieniądze jednak jej nie wystarczały, pragnęła zostać żoną jakiegoś króla, a Ludwik XIV zniszczył jej życie, zabraniając wstępować w jakikolwiek związek małżeński. Po pewnym czasie Mademoiselle zmieniła zdanie, twierdząc, że nie chce zostać królową i skoń-

czyć jak Maria Teresa, która musiała poddać się woli ojca i żyć z niekochanym mężem. W wieku czterdziestu czterech lat zakochała się w panicyku z prowincji, biednym jak mysz kościelna gaskońskim kadecie, który na niczym się nie znał, ale zdołał zaskarbić sobie sympatię króla, który mianował go hrabią Lauzun.

Lauzun był zwykłym uwodzicielem - powiedział Atto z pogardą w głosie - ometał więc Mademoiselle, licząc na jej pieniądze. Arcychrześcijański Król zgodził się na ich ślub. Pyszałek Lauzun pragnął urządzać wesele godne króla, na wzór „zaślubin koronowanych głów”, jak mówił do przyjaciół, przepełniony dumą. Ludwik XIV zmienił jednak zdanie. Narzeczeni błagali go, zaklinali, straszili, ale nic nie wskórali i musieli pobrać się potajemnie. Gdy król odkrył prawdę, rozsierdzony wtrącił Lauzuna do więzienia w twierdzy, daleko od Paryża.

- Twierdza? - powtórzyłem. Zaczynałem rozumieć.
- W Pinerolo - dokończył opat.
- Razem z...
- Fouquetem.

Do tego momentu - wyjaśnił Atto - Fouquet był jedynym więźniem olbrzymiej twierdzy. Znał Lauzuna, który towarzyszył królowi w drodze do Nantes, żeby aresztować nadintendenta. Kiedy Lauzuna przywieziono do Pinerolo, Fouquet gnił w celi od dziewięciu długich lat.

- Ile lat Lauzun siedział w więzieniu?
- Dziesięć.
- To bardzo długo!
- Mogło być gorzej. Król nie wyznaczył kresu kary i mógł go tam trzymać, jak długo chciał.
- Dlaczego więc po dziesięciu latach Lauzun został uwolniony?

To tajemnica - powiedział Atto Melani. Dziwnym zbiegiem okoliczności Lauzun odzyskał wolność kilka miesięcy po śmierci Fouqueta.

- Panie Atto, nic już nie rozumiem - oznajmiłem, drżąc na całym ciele. Brudni i zmarznięci zbliżyliśmy się do gospody.
- Biedny chłopcze! - rzekł ze współczuciem opat. - W kilka zaledwie nocy poznałeś połowę dziejów Francji i Europy. Ale wszystko może się przydać! Gdybyś już teraz był kronikarzem, miałbyś zajęcie na trzy lata.
- Ale pan też pogubił się już w tych wszystkich tajemnicach - odparłem znużony. - Im bardziej staramy się zrozumieć, tym bardziej sprawy się komplikują. Pan pragnie się dowiedzieć tylko jednego: dlaczego



dwadzieścia lat temu Arcychrześcijański Król wtrącił do więzienia pańskiego przyjaciela Fouqueta, tymczasem moje perły przepadły na dobre.

- Wszyscy dzisiaj chcą rozwikłać zagadki z przeszłości - powiedział surowym tonem opat - ponieważ dzisiejsze tajemnice budzą zbyt wiele obaw. Ale my rozwiązujemy i jedne, i drugie. Obiecują ci to!

Łatwo mówić - pomyślałem. Streściłem opatowi to, czego dowiedzieliśmy się przez sześć dni przymusowego odosobnienia w „Donzelli”. Przed kilkoma tygodniami nadintendent Fouquet przybył do naszej gospody w towarzystwie dwóch mężczyzn. Pierwszy z nich, Pompeo Dulcibeni, znał rozkład podziemnych tuneli, którymi udawał się do domu swojego krajana - lekarza Tiracordy, opiekującego się chorym papieżem. Dulcibeni miał z pewną niewolnicą córkę, którą porwał niejaki Huygens przy współudziale niejakiego Feroniego w czasach, kiedy Dulcibeni był na służbie u papieskiego rodu Odescalchich.

Drugim towarzyszem Fouqueta był Roberto Devize, gitarzysta, którego łączyły jakieś niejasne stosunki z królową Francji Marią Teresą. W przeszłości muzyk był uczniem intrygującego Francesca Corbetty, który napisał rondo i przed śmiercią podarował je Marii Teresie. Devizę często grał ten utwór w gospodzie. Na tabulaturze ronda widniała dedykacja *a Mademoiselle*. Mademoiselle była kuzynką Arcychrześcijańskiego Króla i żoną hrabiego Lauzuna, który przez dziesięć lat siedział w więzieniu w Pinerolo razem z Fouquetem. Gdy nadintendent umarł...

- Chciałeś powiedzieć „ucieł” - sprostował opat - bo zmarł tutaj, w gospodzie.

- Słusznie. Poza tym...

- Poza tym jest też jezuita, zbiegły weneccjanin, prostytutka, gospodarz pijak, neapolitański astrolog, angielski uchodźca i toskański lekarz, który znęca się nad bezbronnymi ludźmi, jak wszyscy jego koledzy po fachu.

- Jeszcze dwaj poszukiwacze relikwii - dodałem.

- Racja, jeszcze te dwa potwory, no i my dwaj. W gospodzie ktoś choduje na dżumę, w podziemiach znajdujemy poplamioną krwią kartkę z Biblii, ampulkę wypełnioną krwią i szczury, które broczą krwią... Stanowczo za dużo tej krwi.

- Co to wszystko znaczy, panie Atto?

- Dobrze pytanie! Ile razy mam ci powtarzać? Pomyśl o krukach i o orle, a potem zachowuj się jak orzeł.

Kiedy opat mówił te słowa, wchodziliśmy po schodach prowadzących do tajemnego schowka w „Donzelli”. Niedługo potem pożegnaliśmy się, wyznaczając sobie spotkanie na następny dzień.

## Dzień siódmy

17 września 1683 roku

W tych dniach pełnych napięcia przychodziła mi niekiedy na myśl stara zasada, wpajana mi w dzieciństwie przez kobietę, która wzięła mnie na wychowanie: nie porzucaj książki w połowie lektury.

Właśnie pod wpływem tej mądrej reguły, jak sądzę, następnego ranka postanowiłem przeczytać do końca astrologiczną broszurę Stilone Priasa. Moja dawna nauczycielka nie myliła się, ponieważ lepiej w ogóle nie czytać książki niż przeczytać tylko jej część i mieć jedynie niejasne wyobrażenie o całości. Miałem nadzieję, że lektura kolejnych stron broszury pomoże mi wyrobić sobie właściwy pogląd na tajemne siły, które wpłynęły na los wielu ludzi.

Po przebudzeniu czułem się mniej zmęczony niż w minione ranki, ponieważ udało mi się pospać nieco dłużej. Nie miałem ochoty zastanawiać się nad skomplikowanymi związkami łączącymi Tiracordę z Dulcibenim, który przed nami znał tajemne przejście korytarzem C do domu papieskiego lekarza, przede wszystkim zaś nad rolą Devizego (i jego tajemniczego ronda) w życiu Marii Teresy.

Wyciągnąłem spod materaca broszurę, którą poszukiwacze relikwii ukradli Stilone Priasowi. Autor prognostyków dokładnie przewidział wydarzenia ostatnich miesięcy. Teraz natomiast chciałem się dowiedzieć, co szykowała nam przyszłość.

Zacząłem czytać przepowiednie na trzeci tydzień września, czyli na dni, które miały nadejść.

*Proroctwa na ten tydzień pochodzą w pierwszym miejscu od Merkurego, który znajdując się w Trzecim domu w koniunkcji ze Słońcem, zapowiada podróże książąt, wymianę korespondencji i królewskie poselstwa.*

*Jowisz w koniunkcji z Wenus stara się połączyć z trygonem ognistym zespół ważnych osobistości, celem zawiązania ligi **lub** podpisania traktatu pokojowego o wielkim znaczeniu.*

Moją uwagę przykuły słowa „podróże książąt i wymiana korespondencji” oraz „królewskie poselstwa”. Nie miałem żadnych wątpliwości, że chodzi o listy informujące o sytuacji pod Wiedniem.

Już niedługo całe zastępy posłańców, być może wysyłanych przez władców i książąt biorących udział w walkach, przemierzają Europę, by w trzy dni dostarczyć wieść o pokoju do Warszawy, w pięć do Wenecji, w osiem lub dziewięć do Rzymu i Paryża, nieco później do Londynu i Madrytu.

Kolejny raz autor broszury trafnie przewidział nie tylko wielką bitwę, ale także entuzjastyczne w tonie informacje o pokoju zawartym nazajutrz po rozstrzygającej bitwie.

A czy „traktat pokojowy o wielkim znaczeniu”, który miały podpisać „ważne osobistości”, nie oznaczał pokoju zawartego pomiędzy zwycięzcami i pokonanymi?

Z kolei przeszedłem do opisu czwartego i ostatniego tygodnia września:

*W czwartym tygodniu niedobre wieści dla chorych, jako że Szóstym domem rządzi Słońce, które troszczy się o Saturna. Częste będą przekrwienia, puchlina wodna, obrzęki, ischias, podagra i bóle spowodowane kamieniami moczowymi. Za sprawą Jo wiszą w Ósmym domu wielu chorych wyzdrowieje.*

Miały też wystąpić inne dolegliwości: gorączki, zaburzenia krążenia, nadmiar wody w żołądku, bóle kości, nóg i wnętrzości.

Według autora broszury wszystkie te dolegliwości będą groźne, ale uleczalne. Najgorsze miało dopiero nadejść:

*Bardzo gwałtowne mogą być pierwsze zapowiedzi tego tygodnia, ponieważ ześle je Mars jako Ascendent, który znalazłszy się w Ósmym domu, przyniesie śmierć ludzi na skutek trucizn, żelaza lub broni palnej. Saturn w Szóstym domu, rządzący domem Dwunastym, zapowiada śmierć kilku uwięzionych szlachciców.*

Kiedy przeczytałem ostatnie słowa, zabrakło mi tchu. Odrzuciłem gazetę daleko od siebie i zaciskając pięści, błagałem niebiosą o litość. Żadna inna lektura w życiu nie wstrząsnęła mną tak bardzo jak tych kilka zagadkowych wierszy.

Czekały nas zatem „gwałtowne” wydarzenia, takie jak „śmierć ludzi na skutek trucizn, żelaza lub broni palnej”. Poza tym mieli umrzeć „uwięzie-

ni szlachcice", a przecież wśród gości gospody byli przedstawiciele szlachty, „uwięzieni" z powodu kwarantanny!

Oto miałem niezbity dowód, że broszura (diabelskie dzieło!) przewidywała rzeczy prawdziwe, mówiła bowiem o nas, mieszkańcach „Donzella", odosobnionych z powodu dżumy, oraz o śmierci kilku szlachciców.

Zastanawiałem się, czy nadintendent Fouquet nie zmarł na skutek trucizny.

Wiedziałem, że dobry chrześcijanin nie pograża się w rozpacz, nawet w obliczu wielkiego nieszczęścia. Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że te niesłychane odkrycia przyjąłem z męską godnością. Po raz pierwszy w moim życiu znalazłem uwierzyłem w wolę gwiazd, które przed wiekami zadecydowały o moim losie.

Przerażony i zrozpaczony, sięgnąłem po różaniec, który podarowała mi moja pobożna opiekunka, ucałowałem go i odmówiłem trzy razy *Ojciec nasz*, z prośbą o wybaczenie, że z lęku przed wyrokami gwiazd zwątpiłem w boską opatrność, na którą zdaje się każdy pobożny chrześcijanin. Odczuwałem palącą potrzebę oczyszczenia duszy i pocieszenia, jakie niesie wiara. Zapragnąłem wypowiadać się przed Bogiem. Na szczęście w gospodzie był człowiek, który mógł mi udzielić tego sakramentu.

- Zgoda, chłopcze, wejdź! Dobrze postępujesz, oczyszczając duszę w tych trudnych chwilach - zaprosił mnie uprzejmie Robleda do swojego pokoju.

Zrobiło mi się lżej na duszy, przystąpiłem więc do sakramentu spowiedzi z radością i zapałem.

Robleda, udzieliwszy mi rozgrzeszenia, zapytał o powód mojego poczucia winy.

Nic nie mówiąc o broszurze astrologicznej, przypomniałem jezuicie, że jakiś czas temu opowiadał mi o przepowiedniach dotyczących anielskiego papieża i ta właśnie opowieść skłoniła mnie do refleksji o przeznaczeniu. Myślałem o tym, że zdaniem wielu osób wpływ gwiazd na sprawy ziemskie można przewidzieć. Wiedziałem, że Kościół odrzuca tę tezę, a nawet ją potępia. Medyk Cristofano zapewnił mnie zaś, że astrologia może wiele zdziałać dla medycyny, jest zatem dziedziną praktyczną i potrzebną. Postanowiłem spytać ojca Robledę o zdanie na ten temat.

- Brawo, chłopcze! Kiedy dręczą nas wątpliwości dotyczące naszego istnienia, zawsze powinniśmy się zwracać do Kościoła Świętego. Mieszkając tu, w gospodzie, gdzie zatrzymuje się wielu podróżnych, zapewne

słyszałeś o różnej maści magach, astrologach i czarnoksiężnikach, którzy wykorzystując niewiedzę i naiwność prostaczków, wmawiają im rozmaite bzdury. Nie powinieneś jednak tego słuchać. Wiedz bowiem, że istnieje dwa rodzaje astrologii: fałszywa i prawdziwa. Pierwsza przepowiada przyszłość na podstawie daty urodzenia danej osoby. Ta astrologia jest kłamstwem i herezją, została też, jak ci wiadomo, zakazana. Natomiast prawdziwa astrologia obserwuje gwiazdy i naturę w celu poznania, a nie przepowiadania przyszłości. Gwiazdy mają wpływ na sprawy tego świata, to pewne.

Robleda, popisując się swoją wiedzą, opowiedział mi o znaczeniu Księżyca dla przyływów i odpływów morza, o metalach powstających za sprawą gwiazd w głębi Ziemi, gdzie nie dochodzi światło ani ciepło słoneczne, i wielu innych zjawiskach (Robleda mógłby je wymienić *ad abundantiam*), które trudno wytłumaczyć inaczej niż wpływem ciał niebieskich. Jak pisze Cyzeron w *De divinatione*, nawet tak skromna roślina jak mięta polaj kwitnie tylko w dzień przesilenia zimowego, najkrótszy w roku. Kolejne przykłady wpływów gwiazd pochodzą z dziedziny meteorologii. Na przykład, kiedy wschodzą lub zachodzą gwiazdy usytuowane w głowie konstelacji Byka, które starożytni Grecy nazywali Hiadami, na Ziemi padają obfite deszcze. Nie mówiąc już o zwierzętach. Powszechnie wiadomo, że kiedy Księżyc zachodzi lub powiększa się, ostrygi, kraby i inne tego rodzaju zwierzęta tracą siły życiowe. Prawdą jest to, co powiedział Cristofano: już Hipokrates i inni doświadczeni lekarze wiedzieli, że podczas przesilenia i równonocy dochodzi do mutacji wielu chorób. Z tą tezą zgadza się też święty Tomasz<sup>^</sup> Arystoteles w traktacie *Meteore* oraz wielu innych filozofów i pisarzy, takich jak Domenico Soto, Iavello, Domenico Bagnes, Capreolo. Tej samej tematyce poświęcone jest dzieło *La vera e falsa astrologia* {*Astrologia prawdziwa i fałszywa*) jezuita Giovanniego Battisty Grassettiego, opublikowane przed kilkoma miesiącami.

- Jeśli zatem dobra astrologia nie wchodzi w konflikt z doktryną kościelną - zaproponowałem - powinna też istnieć astrologia chrześcijańska.

- I istnieje - odparł Robleda, wyraźnie zadowolony ze swojej głębokiej wiedzy. - Szkoda, że nie mam tu *Zodiaco Cristiano locupletato ovvero i dodici segni delia Divina Predestinazione* (*Zodiak chrześcijański wzbogacony, czyli dwanaście znaków Boskiego Przeznaczenia*), doktrynalnej księgi jezuita Geremii Drexelia, wydanej w Rzymie czterdzieści lat temu.

W tym dziele - wyjaśnił Robleda - dwanaście znaków zodiaku zostało

zastąpionych taką samą liczbą symboli prawdziwej, jedynej religii, którymi są: płonąca świeca, ludzka czaszka, złote cyborium, ołtarz pozbawiony ozdób, różany krzew, figowiec, liście tytoniu, cyprys, dwie włócznie połączone wieńcem oliwnym, różga, kotwica i cytra.

- I to mają być symbole chrześcijańskie? - spytałem, nie kryjąc zdziwienia.

- Nie tylko, każdy z nich jest też symbolem wiary. Płonąca świeca symbolizuje wewnętrzne światło nieśmiertelnej duszy, jako że zostało napisane: *Lucerna pedibus meis verbum tuum et lumen semitis meis*. Czaszka nakłania do medytacji nad śmiercią, złote cyborium nawiązuje do spowiedzi i komunii, ołtarz... O, coś ci wypadło!

Kiedy wyjmowałem z kieszeni różaniec, razem z nim wysunęły się liście, które znaleźli Ugonio i Ciacconio.

- Och, to nic takiego - skłamałem. - Jakaś przyprawa, którą przed kilkoma tygodniami dał mi ktoś na targu na Piazza Navona.

- Pokaż! - powiedział Robleda. Wziął ode mnie liście i zaczął im się przyglądać. - Ciekawe - dodał po chwili - w jaki sposób tu trafiły.

- Dlaczego?

- Dlatego, że ta roślina nie rośnie w Europie, ale bardzo daleko stąd, w Indiach i w Peru.

- Jak się nazywa?

- Mamacoca. ..

Ojciec Robleda opowiedział mi historię mamacoki, niezwyklej rośliny, która w późniejszych wydarzeniach miała odegrać ważną rolę.

Dowiedziałem się, że kiedy zdobyto Indie zachodnie i pokonano dzikusów (wyznawców fałszywych religii i bluźnierców), a jezuicy misjonarze zainicjowali święte dzieło ewangelizacji, natychmiast przystąpiono do badania niezliczonych gatunków roślin Nowego Świata. Jest ich naprawdę bardzo wiele. Podczas gdy grecki lekarz Dioskurides w dziele *De materia medica* wymienił ich trzysta, Hiszpan Francisco Hernandez w siedemnastotomowej *Historia natural de las Indias* - ponad trzy tysiące.

Wspaniałe odkrycia kryły w sobie jednak groźne niespodzianki. Kolonizatorzy nie potrafili odróżnić roślin leczniczych od roślin trujących i narkotyków, co do tubylców natomiast, to nie umieli oni odróżnić lekarzy od szamanów. W wioskach było wielu czarowników, którzy zaklinali

się, że przy użyciu różnych roślin i korzeni potrafią wywoływać duchy lub odgadywać przyszłość.

- Jak astrolodzy! - wykrzyknąłem, mając nadzieję, że w opowieści Robledy doszukam się jakiegoś związku z wydarzeniami w „Donzelli”.

- Ależ nie! Astrologia nie ma tu nic do rzeczy - odparł Robleda. - Mówię o znacznie poważniejszych sprawach.

Według czarowników każda roślina mogła być użyta na dwa sposoby: w leczeniu chorób lub żeby zobaczyć diabła. W Indiach przeważało podobno to drugie zastosowanie.

Uważano, że dzięki donanacalowi (zdaje się, że ojciec Robleda w ten sposób wymówił tę egzotyczną nazwę), nazywanemu przez tubylców cudownym grzybem, człowiek mógł połączyć się z szatanem. Podobne właściwości miały ziarna roślin oleistych i grzyb o nazwie peyote. Roślina zwana pate służyła czarownikom do wysłuchiwania zwodniczych wyroczni piekieł.

Inkwizycja nakazała spalić podejrzane rośliny, a także kilku czarowników. Ale pola uprawne były zbyt rozległe, a czarownicy zbyt liczni.

- Zaczęto się obawiać o los doktryny chrześcijańskiej - powiedział ojciec Robleda smutnym głosem, wymachując mi przed nosem liściem macacoki, jakby chciał ostrzec mnie przed diabłem.

Przez te rośliny - ciągnął Robleda - nawet ochrzczone dzikusy bluźniły przeciw świętym imionom doktorów kościoła. Zdaniem wielu z nich święty Bartłomiej udał się do Ameryki tylko po to, by znaleźć rośliny o cudownych właściwościach, a święty Tomasz głosił kazania także w Brazylii, gdzie znalazł drzewa, których liście były śmiertelną trucizną, ale on wypalił je w ogniu i zmienił w skuteczne lekarstwo. Tubylcy nawróceni na naszą wiarę zażywali podczas modłów silne narkotyki, czego religia oczywiście zabrania. Po pewnym czasie powstały nowe, niebezpieczne herezje.

- Zdarzało się też, że ktoś nauczał nowych ewangelii - powiedział Robleda drżącym głosem. Po chwili oddał mi liść, krzywiąc się z obrzydzenia, jakby roślina była zadzumiona. - W tych bluźnierczych ewangeliach - ciągnął, robiąc znak krzyża - mówiono, że Chrystus musiał uciekać, bo diabły zaatakowały go, żeby porwać jego duszę. Kiedy Maria wróciła do domu i nie zastała syna, wsiadła na osiołka i zaczęła go szukać. Zablądziła jednak w lesie i tam z głodu i zmęczenia zasłała. Jezus odnalazł matkę odpoczywającą pod krzewem macacoki i pobłogosławił go. Osiołkowi tak posmakowały liście rośliny, że nie chciał od niej odejść. Maria zrozumiała, że krzew został pobłogosławiony również dla niej.

Kiedy zjadła kilka liści, przestała odczuwać głód i zmęczenie. Ruszyła w dalszą drogę. W wiosce, do której dotarła po długiej wędrówce, kobiety poczęstowały ją jedzeniem, ale ona podziękowała, mówiąc, że nie jest głodna, i podarowała im nasiona mamacoki. „Zasiejcie je - powiedziała - a urosną z nich nowe krzewy”. Kobiety uczyniły, jak powiedziała. Po czterech dniach wyrósł krzew pokryty owocami. Właściwości listków mamacoki są cenione do dziś.

- To potworne! - wykrzyknąłem. - Jak można tak bluźnić przeciwko Marii i Panu Naszemu Jezusowi Chrystusowi i twierdzić, że żywili się roślinami czarowników...

- Masz rację, to potworne - zgodził się Robleda, wycierając pot z czoła i policzków. - Ale na tym nie koniec.

Zakazanych gatunków było tak wiele, że kolonizatorzy (także jezuici - dodał Robleda z rezygnacją) zupełnie się pogubili. Nie potrafili rozróżnić roślin oleistych, donanacalu, peyote, cocoby, pate, coli, iopo, matę, guarana i mamacoki.

- Mamacoki także używano podczas modlitwy?

- Ależ nie - zaprzeczył Robleda, lekko zakłopotany - stosowano ją do innych celów.

Liście tej niewinnie wyglądającej rośliny - powiedział jezuita - miały nadzwyczajną moc usuwania uczucia zmęczenia i głodu oraz wprowadzania w stan euforii i pobudzenia. Jezuici zauważyli też, że mamacoca łagodzi bóle, przyspiesza zrastanie się połamanych kości, rozgrzewa członki i leczy trudno gojące się rany. Po spożyciu liści mamacoki (co zdaniem Robledy było chyba najważniejsze) robotnicy i niewolnicy mogli pracować całymi godzinami, nie odczuwając zmęczenia.

Konkwistadorzy postanowili wykorzystać roślinę, zamiast ją niszczyć. Mamacoca dawała tubylcom odporność na zmęczenie, a jezuickie misje w Indiach stale potrzebowały siły roboczej.

Spożycie mamacoki zostało więc zalegalizowane. Robotnikom płacono liśćmi tej rośliny, które były dla nich cenniejsze niż pieniądze, srebro, a nawet złoto. Duchowieństwo otrzymało pozwolenie na pobieranie podatków od upraw, a renty wielu kapłanów i biskupów pochodziły ze sprzedaży mamacoki.

- Ale czyż nie było to narzędzie szatana? - spytałem zdziwiony.

- Hmm... - mruknął Robleda. - Sytuacja była bardzo skomplikowana, należało zatem dokonać wyboru. Zgoda na spożycie mamacoki pozwalała jezuitom zakładać nowe misje, cywilizować tubylców, krótko mówiąc - zdobywać nowych wyznawców Chrystusa.



Skruszyłem liść i powąchałem. Pachniał zwyczajnie.

- Jak liście trafiły do Rzymu? - spytałem.

- Może jakiś hiszpański statek przywiózł ładunek macacoki do Portugalii, skąd trafiła ona do Genui i Flandrii. Nic na ten temat nie wiem. Rozpoznałem tę roślinę, ponieważ kiedyś pokazał mi ją jeden z moich współbraci, a później widziałem jej rysunek w listach misjonarzy z Indii. Może więcęj wie osoba, od której ją dostałeś.

Już miałem się zegnać, kiedy przypomniałem sobie, że chciałem Robledę o coś spytać.

- Mam jeszcze jedno pytanie, ojczu. W jaki sposób spożywa się macacokę?

- Na litość boską, chłopczu! Chyba nie masz zamiaru tego zrobić!

- Nie, ojczu, pytam z ciekawości.

- Dzikie plemiona na ogół żują liście. Nie jest jednak wykluczone, że istnieje jakiś inny sposób.

Zanim zszedłem do kuchni, żeby przygotować obiad, wstąpiłem na krótko do opata Melaniego i streściłem mu opowieść Roblady.

- Bardzo ciekawe, bardzo - rzekł w zamyśleniu. -- Nie wiem tylko, do czego nas to zaprowadzi. Musimy się zastanowić.

W kuchni zastałem Cristofana, który jak zwykle krążył między piecem kuchennym a piwnicą. Właśnie przygotowywał lek przeciw dżumie dla Bedfordiego. W tych dniach często uczestniczyłem w aptekarskiej działalności sienneńskiego medyka, który próbował już niemal wszystkiego. Widziałem, jak sięgał do zapasów dziczyzny pod pretekstem, że mogła się zepsuć. Twierdził, że usuwanie złego zapachu przyprawami korzennymi, jak czynił Pellegrino, było zwyczajem zabójczym dla zdrowia. Wyjął ze spiżarni kuropatwy, gołębie, jarzabki i bekasy, następnie nafaszerował je śliwkami i wiśniami, włożył do płóciennego białego worka i przecisnął przez prasę. Miał nadzieję, że uzyskany w ten sposób płyn zdoła postawić na nogi nieszczęsnego Anglika. Jak do tej pory wszystkie wysiłki Cristofana zmierzające do odnalezienia *remedium* spełżyły na niczym. Dzięki Bogu młody Bedfordi zdołał to wszystko przeżyć.

Cristofano powiedział, że pozostali goście są raczej zdrowi, z wyjątkiem Domenica Stilone Priasa i Pompea Dulcibenięgo. Neapołitańczyk obudził się z pierwszymi oznakami opryszczki na wardze, natomiast stary szlachcic z Fermo dostał ataku hemoroidów, spowodowanego niewątpli-

wie daniem z krowich wymion. Obaj pacjenci potrzebowali tego samego środka.

- Kaustyk pomaga w leczeniu między innymi wrzodów, opryszczki i rumienia - wyjaśnił Cristofano. - *Recipe* mocny ocet - polecił mi.

Następnie wymieszał ocet z arsenikiem krystalicznym, salmiakiem i ręcią. Powstała papkę podgrzał w niewielkim naczyniu.

- W porządku. Teraz trzeba zaczekać, aż wyparuje połowa octu. Później pójdę do Stilone Priasa, żeby przetrzeć mu pęcherzyki opryszczki. W tym czasie mógłbyś przygotować obiad. Przyniosłem ci z piwnicy kilka indyjskich kurczaków. Upiecz je na złoty kolor z dodatkiem kilku pietruszek i podaj z bułką tartą.

Zabrałem się do pracy. Kiedy kaustyk był gotowy, Cristofano wydał mi ostatnie polecenie:

- Pomożesz mi przy Dulcibenim. Razem poroznosimy posiłek do pokojów, to pójdzie ci szybciej. Zauważyłem, że nasi goście lubią wdawać się z tobą w dłuższe rozmowy - powiedział znacząco.

Po obiedzie poszliśmy nakarmić Bedfordiego, następnie zajęliśmy się moim pryncypałem, któremu wyraźnie nie podobała się woń nieapetycznej, szarawej papki, którą Cristofano nazywał posiłkiem wzmacniającym i przygotował sam osobiście. Pellegrino czuł się już lepiej. Polepszenie nastąpiło zwłaszcza w ostatnich godzinach i była nadzieja na jego całkowite wyzdrowienie. Pryncypał powąchał papkę, spojrzał na mnie wymownie i kilka razy podniósł do ust dłoni zaciśniętą w pięść z wyprostowanym kciukiem. Gest ten miał oznaczać, że Pellegrino ma ochotę napić się wina.

Już miałem powiedzieć mu, żeby zachował rozsądek i poczekał cierpliwie kilka dni, gdy odezwał się Cristofano.

- No widzisz? Powraca do zdrowia. Dajmy mu pół kieliszka czerwonego wina.

- Przecież upijał się nim regularnie, dopóki nie zachorował!

- Otóż to! Wino pite z umiarem wzmacnia organizm, przyspiesza trawienie, uspokaja, rozwesela i dodaje energii. Idź zatem do piwnicy i przynieś trochę czerwonego wina, mój chłopcze - powiedział Cristofano, lekko zniecierpliwiony. - Kieliszeczek trunku dobrze mu zrobi.

Kiedy schodziłem na dół do piwnicy, zawołał za mną:

- Ale musi być zimne! Odkąd w Mesynie zastosowano śnieg do chłodzenia wina i żywności, ustały groźne gorączki spowodowane zatkaniem żył głównych. Od tamtej pory każdego roku umiera o tysiąc osób mniej!

Uspokoilem Cristofana, mówiąc, że oprócz chleba i bułaków z wodą do gospody regularnie dostarczany jest sprasowany śnieg.

Wróciłem z piwnicy z karafką wina i napełniłem kieliszek. Cristofano wyjaśnił, że mój pryncypał pił stanowczo za dużo wina, a kto nie zna miary i upija się, staje się głupi, porywczy, zdolny nawet do zabójstwa. Umiarkowanymi konsumentami wina byli August i Cezar, natomiast prawdziwymi opojami - Klaudiusz Tyberiusz Neron i Aleksander, który po pijaństwie spał niekiedy dwa dni z rzędu - powiedział Cristofano i jednym haustem wypił ponad połowę zawartości dużego kieliszka.

- Całkiem niezłe, aromatyczne i łagodne - oświadczył, wachając resztkę wina i obserwując jego rubinowy kolor. - Jak już mówiłem, wino zmienia ludzkie przywary w ich przeciwieństwo, dlatego też człowiek bezbożny staje się religijny, skąpcowi przybywa szczodrości, zarozumialec pokorniej, leń zaczyna przejawiać chęć do pracy, nieśmiały staje się odważny, a małomówny - elokwentny.

Dopił wino, napełnił kieliszek ponownie i wypił jednym haustem.

- Nie należy pić wina po załatwieniu potrzeb fizjologicznych lub po stosunku płciowym - upomniał lekarz. Jedną dłonią wytarł sobie usta, a drugą nalał trzeci kieliszek. - Wskazane jest natomiast napić się wina po zjedzeniu gorzkich migdałów, kapusty, pigwy lub marmolady z pigwy, owoców mirtu i innych rzeczy powodujących zatwardzenie.

Wypił trzeci kieliszek i nalał wreszcie wina nieszczęsnemu Pellegrinowi.

Udaliśmy się z kolei do Dulcibeniego, który był wyraźnie niezadowolony, że towarzyszę Cristofanowi. Po chwili zrozumiałem powód jego niechęci, lekarz bowiem kazał mu zdjąć spodnie. Stary szlachcic spojrzął na mnie spod oka i zaczął coś mamrotać. Zrozumiałem, że wprawiam go w zakłopotanie, więc odwróciłem się do niego plecami. Cristofano zapewnił Dulcibeniego, że jego nie musi się wstydzić. Następnie poprosił, żeby położył się na łóżku w odpowiedniej pozycji, ponieważ zaaplikuje mu środek na hemoroidy. Pacjent wykonał polecenie, acz niechętnie, nie rozstając się jednak ze swoją tabakierką. Cristofano kazał mi przytrzymać go za ramiona, po czym przystąpił do smarowania hemoroidów kaustykiem. Musiał przy tym uważać, żeby nie rozlać płynu na przyrodzenie pacjenta. Na znak dany przez lekarza Dulcibeni zażył szczyptę tabaki, starając się powstrzymać drżenie ciała.

Cristofano przystąpił do dzieła. Na początku, jak należało się spodziewać, Dulcibeni wił się z bólu, żałośnie pojękiwał. Aby odwrócić uwagę pacjenta od nieprzyjemnego zabiegu, lekarz zabawiał go rozmową, py-

tając, z jakiego miasta pochodzi, po co przybył do Rzymu z Neapolu, i tak dalej. Zadawał Dulcibeniemu pytania, których do tej pory przez delikatność nie postawił. Szlachcic (zgodnie z przewidywaniami Melaniego) odpowiadał monosylabami, ucinając rozmowę, tym samym nie dostarczył mi żadnych istotnych informacji. W końcu lekarz nawiązał do najbardziej aktualnego tematu, jakim było oblężenie Wiednia, i zapytał, co mówi się o tym w Neapolu.

- Nie wiem - odparł lakonicznie szlachcic.

- Od kilku miesięcy mówi się o tym w całej Europie! Kto pańskim zdaniem zwycięży: wierni czy niewierni?

- Jedni i drudzy, a właściwie nikt - odparł, nie kryjąc zniecierpliwienia.

Zastanawiałem się, czy po naszym wyjściu z pokoju Dulcibeni będzie prowadził monolog na temat, który teraz wydawał się go nużyć.

- Co pan ma na myśli? - nalegał Cristofano, mimo że Dulcibeni głośno jęknął z bólu. - Na wojnie nie zawiera się traktatów, zwykle jest zwycięzca i pokonany.

Pacjent poruszył się gwałtownie, musiałem go więc przytrzymać. Ból zirytował Dulcibeniego do tego stopnia, że tym razem zaczął przemawiać nie do lustrzanego odbicia, ale do rozmówcy z krwi i kości.

- Co pan o tym wie? Bez przerwy mówi się o chrześcijanach i Osmanach, katolikach i protestantach, wiernych i niewiernych, jakby ci wierni i niewierni naprawdę istnieli. Tymczasem wszyscy w takim samym stopniu sięją nienawiść wśród członków kościoła: tutaj wyznawcy rzymskokatolicy, tam zwolennicy gallikanizmu i tak dalej. Ale wszystkimi kieruje zachłanność i żądza władzy, bez względu na wiarę.

- Wypraszam sobie! - zaprotestował Cristofano. - Twierdzenie, że Turcy i chrześcijanie są tacy sami, to już przesada... Ciekawe, co by na to powiedział ojciec Robleda.

Ale Dulcibeni nie słuchał. Rozzłoszczony, zażył tabaki i rozgadał się na dobre. Chwilami podnosił głos, jakby w odpowiedzi na bolesne pieczenie spowodowane zabiegiem. Przytrzymywałem nieszczęśnika za ramiona, starając się nie patrzeć mu w oczy, co nie było łatwe, zważywszy na pozycję, w jakiej się znajdowaliśmy.

Dulcibeni rzucał inwektywy na Burbonów, Habsburgów, Stuartów i władców orańskich, zupełnie jak wtedy, gdy mówił o ich kazirodczych związkach. Lekarz, jako dobry Toskańczyk, próbował bronić Burbonów (spokrewnionych z wielkim księciem Toskanii), co jeszcze bardziej rozdrażniło Dulcibeniego, który całą swoją złość skupił na Francji.

- Co stało się z dawną szlachtą feudalną, chlubą tego narodu? Kim są,

pańskim zdaniem, dzisiejsi szlachcice w Wersalu, jeśli nie bękartami króla? Conde, Conti, Beaufort, księżęta Maine, Vendôme i Tuluzy...? Nazywa się ich książętami krwi. Ale jakiej krwi? Prostytutek, które przespały się z Królem Słońce albo z jego dziadkiem Henrykiem z Nawarry.

Ten drugi - ciągnął Dulcibeni - ruszył na Chartres tylko dlatego, że pragnął zdobyć Gabrielę d'Estrees, która zanim oddała się królowi, zażądała, aby mianował jej ojca gubernatorem miasta, a brata - biskupem. D'Estrees sprzedała się królowi za złoto, a wcześniej sypiała z Henrykiem III (stary d'Estrees zarobił na tym sześć tysięcy skudów), z bankierem Zamętem, książętami Guise'em, Longueville'em i Belleguarde'em. Nie przeszkodziła jej nawet zła sława babki, która była kochanką Franciszka I, papieża Klemensa VI i Karola de Valois.

- Nie powinno zatem nikogo dziwić - mówił Dulcibeni - że wielcy lennicy Francji zapragnęli wyczyścić królestwo z tych brudów i zasztyletowali Henryka z Nawarry. Ale było już za późno! Od tamtej pory królowie, zaślepieni nienawiścią do wasali, zaczęli ich grabić i bezlitośnie niszczyć.

- Myślę, że pan przesadza - zaoponował Cristofano, przyglądając się uważnie zdenerwowanemu pacjentowi.

Ja również uważałem, że Dulcibeni przesadza. Z całą pewnością cierpiał z powodu bolesnego zabiegu, ale uwagi lekarza, wypowiedziane spokojnym tonem, nie zasługiwały na tak gwałtowny wybuch złości. Drżenie ciała wskazywało jednak na to, że Dulcibeni popadł w stan nadmierne go pobudzenia nerwowego. Nie pomagało mu nawet zażywanie tabaki. Postanowiłem jak najszybciej opowiedzieć o wszystkim opatowi Melanemu.

- Twierdzi pan zatem - dodał po chwili Cristofano - że ani w Wersalu, ani na żadnym innym dworze nie dzieje się nic dobrego.

- Niech pan nawet nie wspomina Wersalu, gdzie codziennie znieważa się szlachetną krew naszych ojców! Co się stało z dawnymi rycerzami? Skupili się wokół Arcychrześcijańskiego Króla i tego lichwiarza Colberta. Trwonią majątki na bale i polowania, zamiast bronić posiadłości walczących przodków.

- Ale w ten sposób Ludwik XIV położył kres spiskom - zaprotestował Cristofano. - Dziadek króla został zasztyletowany, ojciec otruty, a jemu samemu, kiedy był dzieckiem, zagrażali zbuntowani szlachcice Frondy!

- Nie przeczę. Ale król zagarnął ich majątki. Nie rozumiał, że szlachcice, dawniej rozsiadani po całej Francji, zagrażali władcy, ale jednocześnie stanowili jego najlepszą ochronę.

- Co pan chce przez to powiedzieć?  
- Władcy mogą sprawować kontrolę nad swoimi królestwami tylko wtedy, gdy mają oddanych wasali w każdej prowincji. Arcychrześcijański Król postąpił odwrotnie - całą arystokrację zgromadził w jednym miejscu. Kiedyś nadejdzie dzień zapłaty. Lud nie zna litości.

- Co pan opowiada?! To zupełnie niemożliwe - rzekł Cristofano stanowczym tonem. - Lud Paryża nie podniesie ręki na arystokrację. Król...

Dulcibeni mówił dalej, jakby nie słyszał, co powiedział Cristofano.

- Historia - wykrzyknął, aż się przeraziłem - osądzi okrutnych ciemiężycieli zniewolonego ludu, którzy karmią się ludzką krwią i dopuszczają się dzieciobójstwa, wpadają w morderczy szał, podsycany kazirodczą namiętnością, i wzniecają bezsensowne wojny!

Dulcibeni wyraźnie wymawiał każdą sylabę, posiniały z gniewu, z nosem pobrudzonym tabaką.

Cristofano zrezygnował z dalszej dyskusji, pacjent bowiem sprawiał wrażenie szalonego. W milczeniu skończył bolesny zabieg, wsunął kawałek delikatnego płótna między pośladki Dulcibeniego, który z westchnieniem ulgi położył się na boku. Pozostawał w tej pozycji, gdy wychodziliśmy z pokoju.

Opowiedziałem opatowi przemowę Dulcibeniego.

- Ojciec Robleda miał rację: szlachcic z Fermo jest jansenistą - wynioskował Atto.

- Skąd ta pewność?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, janseniści nienawidzą jezuitów, czego dowodem są słowa Dulcibeniego o Towarzystwie Jezusowym, które mi przytoczyłeś kilka dni temu. Jezuici to szpiedzy, zdrajcy, protegowani papieża i tak dalej, zwyczajna propaganda przeciwko zakonowi świętego Ignacego.

- Pana zdaniem to nieprawda?

- Wręcz przeciwnie, wszystko to prawda, ale tylko janseniści mają odwagę głośno o tym mówić. Dulcibeni niczego się nie boi, tym bardziej że jedynym jezuitą w pobliżu jest tchórzliwy Robleda.

- A janseniści?

- Janseniści twierdzą, że Kościół był początkowo czysty niczym kryształ. Ich zdaniem niektóre prawdy Ewangelii nie są już tak oczywiste jak dawniej. Aby powrócić do pierwotnego Kościoła, należy przejść pokutę,

ukorzyć się i wyrzec dóbr doczesnych, a w trudnych chwilach **modlić się** do Boga, odsunąć się od świata i poddać bożej miłości.

- Ojciec Robleda mówił, że janseniści lubią samotność.

- To prawda. Skłaniają się ku ascezie, surowym, czystym obyczajom. Zauważyłeś, jak Dulcibeni złości się na widok Cloridii? - zaśmiał się. - Janseniści nienawidzą jezuitów za to, że pozwalają sobie na zbytnią swobodę obyczajów. O ile wiem, w Neapolu jest ich bardzo wielu.

- Może właśnie dlatego Dulcibeni tam osiadł?

- Możliwe. Z powodów o charakterze teologicznym, których nie będę ci teraz tłumaczył, janseniści od początku oskarżani byli o herezję.

- Tak, Dulcibeni mógłby uchodzić za heretyka.

- W tej chwili to bez znaczenia. Przejdźmy do drugiego zagadnienia.

- To znaczy?

- Nienawiści do władców. To typowe dla jansenistów. Dulcibeni ma obsesję na tym punkcie. Według niego królowie dopuszczają się kazirodztwa, poślubiają prostytutki, płodzą bękarty, a arystokraci zdradzają swoje wysokie pochodzenie i niedołączniają. Takie myślenie może doprowadzić do buntu i wywołać zamęt.

- Jaki stąd wniosek?

- Żaden. Zastanawiam się tylko, skąd się biorą takie opinie. O Dulcibenim wiemy wiele, ale ciągle za mało.

- Może mają one coś wspólnego z tą dziwną rozmową Dulcibeniego z Tiracordą?

- Możliwe, przekonamy się o tym dzisiejszej nocy.

## Noc siódma

*z 17 na 18 września 1683 roku*

Z gabinetu sączyło się drżące światło świec. Dulcibeni postawił na stole butelkę z zielonkawym płynem, a Tiracorda przyniósł kieliszki, które poprzednim razem pozostały nienapełnione.

Podobnie jak wczorajszej nocy przyczailiśmy się z Attem w ciemnym pokoju obok. Do domu Tiracordy dostaliśmy się bez trudu, musieliśmy tylko trochę poczekać w wozowni, aż służąca skończy porządki w kuchni. Kiedy stamtąd wyszła, odczekaliśmy jeszcze kilka minut, żeby mieć całkowitą pewność, iż nikt nie kręci się już po domu. W pewnej chwili usłyszeliśmy pukanie. Gospodarz otworzył bramę i zaprowadził Dulcibeni do gabinetu na pierwszym piętrze, gdzie teraz ich obserwowaliśmy.

Nie słyszeliśmy początku rozmowy, natomiast w chwili, gdy zaczęliśmy podsłuchiwać, wypowiadali jakieś niezrozumiałe dla nas zdania.

- Powtarzam - powiedział Tiracorda, popijając zielonkawą napój. - Białe pole, czarne ziarna, pięciu sieje, a para prowadzi. To bardzo proste.

- Nie wiem, poddaję się - rzekł Dulcibeni.

- Powiem panu zatem - oznajmił Tiracorda. - To pismo.

- Pismo?

- Oczywiście! Białe pole to kartka, ziarna to litery, pięciu siewców to palce, a prowadząca para to oczy. Niezłe, co? Ha, ha, ha, ha! Ha, ha, ha, ha! - Stary lekarz wybuchnął gromkim śmiechem.

- Całkiem dobre - przyznał Dulcibeni.

Zrozumiałem, o co chodzi: Tiracorda i Dulcibeni zabawiali się rozwiązywaniem zagadek. Tajemnicze zdania, które słyszeliśmy poprzedniej nocy, stanowiły część tej niewinnej rozrywki. Kiedy spojrzałem na Atta, w jego oczach wyczytałem podobne rozczarowanie. Kolejny raz łamaliśmy sobie głowę na próżno. Dulcibeni najwyraźniej nie lubił zagadek do tego stopnia, że próbował zmienić temat, podobnie jak podczas naszej poprzedniej wizyty.



- Brawo, Giovanni! - powiedział, ponownie napełniając kieliszki. Proszę mi jednak powiedzieć, jak on się dzisiaj czuje.

- Niestety, bez zmian. A pan dobrze spał zeszłej nocy?

- Nie bardzo - odparł Dulcibeni poważnym tonem.

- Rozumiem - powiedział Tiracorda, opróżniając kieliszek i napełniając go ponownie. - Wszystkiemu winne nerwy - ciągnął. - Nie powiedział mi pan jeszcze paru rzeczy. Przepraszam, że powracam do tego smutnego tematu, ale dlaczego w sprawie córki nie zwrócił się pan o pomoc do Odescalchich?

- Uczyniłem to - odparł Dulcibeni - już panu o tym mówiłem. Ale oświadczyli mi, że są bezsilni. A potem...

- No, tak, a potem doszło do tego okropnego wypadku... - przypomniał Tiracorda.

- To nie był wypadek, pobili mnie i zrzucili z drugiego piętra. Cudem ocalałem - okazał lekko zniecierpliwiony Dulcibeni, kolejny raz napełniając kieliszek przyjaciela.

- Przepraszam, powinienem był o tym pamiętać. Od tamtej pory nosi pan krezę zakrywającą bliznę na szyi - tłumaczył się Tiracorda.

- Nie musi się pan tłumaczyć. Ale proszę posłuchać! Kolej na pana. Mam kilka zagadek.

Dulcibeni wyjął z kieszeni niewielką książeczkę i zaczął czytać

Wszystko wam powiem, od A do Z,

o wszystkim dowiedzie się wnet.

Choć głos w wielu sprawach zabieram,  
przemijam i z dymem umieram.

Najważniejsze są dla mnie dzieci,  
dla nich to mój grzbiet ze starości świeci.

Dowiedzcie się też, nauczyciele,  
że jestem i waszym przyjacielem-

Szlachec z Fermo przeczytał jeszcze dwa czy trzy wierszyki, czyniąc krótką przerwę po każdym z nich.

- No i co pan powie, panie Giovanni?

Odpowiedzią było ciche pochrapywanie. Tiracorda zasnął.

W tym momencie nastąpiło coś, co nas zaskoczyło. Dulcibeni, zamiast obudzić przyjaciela, który najwyraźniej wypił trochę za dużo, włożył książeczkę do kieszeni i na palcach podszedł do sekretnych drzwi. Otworzył je i zaczął czegoś szukać na półkach. Sięgnął po słoik z ceramiki, na

którym namalowane było jezioro, rośliny wodne i dziwne, trudne do rozpoznania zwierzęta. W kilku miejscach naczynia widoczne były otworki, przepuszczające powietrze do wewnątrz. Dulcibeni zbliżył stoik do świecy, podniósł pokrywkę, zajrzał do środka, po czym odstawił go do schowka, który ponownie zaczął przeszukiwać.

- Giovanni!

Od strony schodów dał się słyszeć kobiecy głos, piskliwy i nieprzyjemny. Nadchodziła groźna żona Tiracordy. Dulcibeni zamarł z przerażenia, Tiracorda natomiast, który zdawał się głęboko uspiiony, wzdrygnął się i otworzył oczy. Stary szlachcic zapewne zdołał zamknąć drzwi schowka i zanim lekarz się obudził, wrócił na swoje miejsce. Nie mogliśmy się o tym przekonać, ponieważ znowu byliśmy osaczeni z dwóch stron. W popłochu rozejrzeliśmy się wokół.

- Giovanni! - zawołała zniecierpliwiona Paradisa.

W gabinecie Tiracordy zapanowała panika. Usłyszeliśmy odgłos odsuwanych od stołu krzesel, brzęk kieliszków i zamykanych drzwi. Lekarz zacierał ślady alkoholowej libacji.

- Giovanni - powtórzyła Paradisa groźnym głosem. Była już w przedpokoju. Opat Melani i ja błyskawicznie wsunęliśmy się pod stojące rzędem krzesła, twarzą do ziemi.

- Grzesznicy! Dusze potępione! - wykrzykiwała Paradisa, wchodząc dostojnym krokiem do gabinetu.

- Droga żono, siedzimy sobie tu właśnie z przyjacielem Dulcibenim...

- Milcz, synu szatana! - wrzasnęła Paradisa. - Węch mnie nie myli.

Jak mogliśmy się zorientować, zaczęła przeszukiwać gabinet. Szurała krzesłami, otwierała i zamykała drzwi szafy i szuflady, przesuwała bibeloty. Tiracorda i Dulcibeni zapewniali, że pili tylko wodę.

- Chuchnij! - rozkazała mężowi, a gdy odmówił, zaczęła krzyczeć jeszcze głośniejsze.

Skorzystaliliśmy z zamieszania, cichutko wydostaliśmy się spod krzesel i w pośpiechu wymknęliśmy z domu Tiracordy.

- Ach, te kobiety! A my jeszcze gorsi - komentował Atto, gdy znaleźliśmy się w podziemiach.

- Już wiem, co oznaczały tajemnicze słowa Tiracordy i Dulcibeniego wczorajszej nocy. Pamiętasz? Chodziło o to, żeby odgadnąć, co mają wspólnego wyrażenia „witam, pytając” i „pytam, witając”. To anagram.

- Anagram?

- Oczywiście. Jeśli przestawi się litery lub sylaby jakiegoś wyrazu, otrzyma się zupełnie inny wyraz. Druga zagadka była testem na inteligencję: jeśli ojciec ma siedem córek, a każda z córek ma jednego brata, to ile dzieci ma w sumie ojciec?

- Siedem razy dwa równa się czternaście.

- Ależ nie! Ośmioro! Tak jak mówił Tiracorda. Brat jednej córki jest zarazem bratem wszystkich córek. Ten idiotyczny wierszyk zaczynający się słowami: „Wszystko wam powiem, od A do Z...” to po prostu słownik.

- A pozostałe zagadki?

- Nie mam pojęcia i nie obchodzi mnie to. Zastanawiam się natomiast nad tym, dlaczego Dulcibeni upił Tiracordę i czego szukał w schowku. Poznalibyśmy odpowiedź na te pytania, gdyby nie Paradisa.

Uświadomiłem sobie, że nigdy dotąd nie słyszałem o tej kobiecie. W świetle tego, co widzieliśmy w gabinecie Tiracordy, należało się domyślać, że w ogóle nie wychodziła z domu.

- Co teraz zrobimy?

- Rozsądek nakazuje pójść do pokoju Dulcibeniego i trochę się tam rozejrzeć.

Musieliśmy działać szybko. Uspokajała nas myśl, że stary szlachcic porusza się dość wolno. Zanim pożegna się z Tiracordą i wróci do gospody, będziemy mieli dość czasu, żeby przeszukać jego pokój.

- Proszę wybaczyć, panie Atto - odezwałem się po kilku minutach szybkiego marszu. Co spodziewa się pan znaleźć' w pokoju Pompea Dulcibeniego?

- Nie zadawaj głupich pytań. Mamy do czynienia z jedną z największych tajemnic w dziejach Francji, a ty pytasz, co znajdziemy. Nie mam pojęcia! Może odkryjemy, o co w tym wszystkim chodzi. Dulcibeni jest przyjacielem Tiracordy, Tiracorda lekarzem papieża, papież wrogiem Ludwika XIV, Devize uczniem Corbety, Corbetta przyjacielem Marii Teresy i Mademoiselle, Ludwik XIV wrogiem Fouqueta, Kircher przyjacielem Fouqueta, Fouquet przyjacielem Dulcibeniego i moim, Fouquet podróżuje z Devizem... Wystarczy?

Z potoku słów wywnioskowałem, że Melani dawał upust swoim emocjom. - Chciałem ci też przypomnieć, że Dulcibeni dzielił pokój z nadin-tendentem. - Nie dając mi dojść do słowa, dodał: - Biedny Nicolas! Przeszukują jego rzeczy nawet po śmierci!

- Co pan ma na myśli?

- Ludwik XIV kazał stale przeszukiwać celę Fouqueta w Pinerolo, przez długich dwadzieścia lat.

- Ciekawe, czego tam szukał - powiedziałem w zamyśleniu.  
Melani zatrzymał się i zanucił smutną arię mistrza Rossiego:

Infelice pensier,

chi ne conforta?

Ohime!

Chi ne consiglia?...\*

- Ja też chciałbym to wiedzieć - rzekł smutnym głosem. - Najpierw jednak muszę ci o czymś opowiedzieć.

W takich okolicznościach poznałem ostatni rozdział tragicznej historii Nicolasa Fouqueta.

Po procesie zakończonym skazaniem na dożywotnie więzienie, 27 grudnia 1664 roku Fouquet na zawsze opuścił Paryż, żegnany przez pograżonych w smutku mieszkańców stolicy. Pod eskortą muszkietera D'Artagnana został odwieziony do twierdzy w Pinerolo w Piemencie, na rubieżach królestwa. Dlaczego tak daleko? Król obawiał się, że przyjaciele Fouqueta zechcą pomóc mu w ucieczce, a odległe Pinerolo, niebezpiecznie sąsiadujące z ziemiami należącymi do książy Sabaudii, to niemożliwi.

Strażnikiem nadintendenta został jeden z muszkieterów pilnujących go podczas procesu, Benigne d'Auvergne, pan Saint-Mars, którego osobiście polecił królowi D'Artagnan. Do pomocy przy pilnowaniu więźnia przydzielono Saint-Marsowi osiemdziesięciu ludzi. D'Auvergne podlegał bezpośrednio ministrowi wojny Le Tellierowi, markizowi de Louvois.

Więźniowi stworzono bardzo ciężkie warunki. Fouquet nie mógł się komunikować ze światem zewnętrznym - ani pisać listów, ani przyjmować wizyt. Nie wychodził na spacer. Mógł jedynie czytać, ale tylko książki z listy, którą zaakceptował król. Przeczytaną książkę Saint-Mars przeglądał kartka po kartce, żeby sprawdzić, czy nie ma w niej notatek lub podkreśleń. Najbardziej dolegliwy był zakaz pisania. Pilnowano też, by do celi nie dostało się nic, co mogłoby posłużyć Fouquetowi do pisania. Ubranie wymieniano nadintendentowi z początkiem nowej pory roku.

W Piemencie panuje surowy klimat. Fouquet, trzymany w nieogrzewa-

Nieszczęśliwa myśli, / któż mnie w niej pocieszy? / Biada! / Któż mi poradzi?...

nej celi, pozbawiony ruchu, w krótkim czasie podupadł na zdrowiu. Ponieważ nie wpuszczono do więzienia Pecqueta, osobistego lekarza nadintendenta, by udzielił mu pomocy, sam leczył się ziołami. Wyrażono natomiast zgodę, aby w celi z Fouquetem znaleźli się jego dwaj paziowie, którzy z własnej woli postanowili dzielić los swojego pana.

Ludwik XIV doskonale wiedział, jak silną indywidualnością jest Fouquet. Wprawdzie pozwolił mu przystępować do spowiedzi, ale kazał często zmieniać spowiednika, żeby nadintendent nie przeciągnął księdza na swoją stronę i nie uczynił zeń swojego pośrednika w kontaktach ze światem zewnętrznym.

W czerwcu 1665 roku podczas burzy w twierdzę trafił piorun, powodując eksplozję prochowni. Kiedy waliły się mury więzienia, Fouquet i jego paziowie zdołali wyskoczyć przez okno. Wprawdzie skok z wysokości dawał małą szansę przeżycia, ale więźniowie ocalili. Zostali jednak złapani. Na wieść o tym zdarzeniu w Paryżu mówiło się o cudzie. Zdaniem mieszkańców stolicy Bóg chciał oszczędzić nadintendenta i dać królowi dowód swojej woli. Wiele osób zaczęło się domagać uwolnienia Fouqueta. Ale król nie uległ presji, przeciwnie, zaczął prześladować największych krzykaczy.

Ponieważ trzeba było odbudować twierdzę, Fouqueta przeniesiono najpierw do domu komisarza wojny w Pinerolo, później do innego więzienia.

Podczas prac remontowych Saint-Mars odkrył, do czego zdolny był Fouquet. De Louvois i królowi wysłano dowody pomysłowości nadintendenta, odnalezione w jego celi. Były to niewielkie bileciki, zapisane czerwonym winem zmieszanim z sadzą, jako atramentem. Więzień nie miał pióra, posłużył się więc ostrym końcem złamanej kostki kapłona. Był też w posiadaniu atramentu sympatycznego, a liściki przechowywał w skrytce wydrążonej w oparciu krzesła.

—O czym pisał? - spytałem zdumiony, a zarazem wzruszony tymi budzącymi litość fortelami.

- Nie wiadomo - odparł Atto. - Bileciki w największej tajemnicy dostarczono królowi.

Od tej pory król kazał codziennie przeszukiwać celę Fouqueta. Więźniowi pozostało wyłącznie czytanie książek. Dostarczono mu Biblię, historię Francji, kilka książek włoskich, francuski słownik rymów i dzieła świętego Bonawentury (odmówiono mu natomiast sprowadzenia pism świętych Hieronima i Augustyna). Nadintendent zaczął uczyć jednego z paziów łaciny i podstaw farmakologii.

Przez cały czas działał z niezwykłym sprytem i pomysłowością, niczym wiewiórka. Saint-Mars, zachęcony przez Louvois, który dobrze znał nadintendenta i nie wierzył, aby mógł się on poddać, oglądał dokładnie nawet jego osobistą bieliznę. Podczas kontroli odkrył na tasiemkach i na podszewce kaftana drobne pismo Fouqueta. Król natychmiast rozkazał, by ubranie i bielizna były wyłącznie w czarnym kolorze. Obrusy i serwetki natomiast miały być ponumerowane, żeby więzień ich sobie nie przywłaszczył.

Dwaj oddani paziowie Fouqueta nie dawali spokoju Saint-Marsowi, domagając się rzeczy, które mogłyby ulżyć niedoli Fouqueta.

Mijały lata, a król nadal obawiał się, że Fouquet w jakiś sposób zdoła uciec. Nie mylił się, w ostatnich bowiem miesiącach 1669 roku podjęto nieudaną próbę uwolnienia więźnia. Nie wiadomo, kto za tym stał. Wieść niosła, że zamieszane w to były panie de Sevigne i de Scudery oraz wierny sługa Fouqueta La Foret, który po aresztowaniu nadintendenta towarzyszył mu do Nantes. Po zatrzymaniu pana godzinami zwodził muszkieterów, aby dostać się do najbliższej stacji dylżansów, skąd pojechał konno do Paryża i powiadomił o aresztowaniu matkę Fouqueta. La Foret, pragnąc pożegnać się z nadintendentem, czekał przy drodze na karetę jadącą pod eskortą do Pinerolo. Na widok wiernego sługi więźnia D'Arctagnan wzruszył się i zatrzymał konwój, pozwalając, aby obaj mężczyźni ze sobą porozmawiali.

La Foret jako jedyny nie stracił nadziei na uwolnienie swojego pana. W przebraniu przybył do Pinerolo i zdołał porozumieć się z Fouquetem przez okno. Próba uwolnienia pana została jednak odkryta, a nieszczęśny sługa powieszony. Od tej pory pobyt w więzieniu stał się dla nadintendenta jeszcze bardziej uciążliwy, zamknięto bowiem okiennice w jego celi, uniemożliwiając mu oglądanie nieba.

Po jakimś czasie Fouquet wyraźnie podupadł na zdrowiu. W 1670 roku z rozkazu króla Louvois osobiście przyjechał do Pinerolo. W wyniku inspekcji, po sześciu latach odmów i zakazów, Ludwik skonsultował się z dawnym lekarzem nadintendenta Pecquetem.

- Czyżby król nie chciał śmierci Fouqueta?
- Dokładnie nie wiadomo, lecz od tej pory wszystko wskazywało na to, że Ludwik przejmował się zdrowiem „wiewiórki”. Przyjaciele nadintendenta, którzy nie popadli w niełaskę króla, między innymi de Pomponne (świeżo mianowany sekretarzem stanu), Turenne, Chequi, Bellefonds i Charost, przypuścili atak, wysyłając petycje do Arcychrześcijańskiego Króla. Ale przełom w tej sprawie miał dopiero nastąpić.

W 1671 roku do twierdzy w Pinerolo przybył drugi specjalnie strzeżony więzień, książę Lauzun.

- Który potajemnie poślubił kuzynkę króla, Mademoiselle - wtrąciłem, bo przypomniałem sobie poprzednią opowieść opata.

- Brawo! Widzę, że masz dobrą pamięć. Od tej chwili cała historia staje się naprawdę ciekawa.

Trudno zrozumieć, dlaczego król, który skazał Fouqueta na dożywotnie odosobnienie, w pewnej chwili przydzielił mu towarzysza. Cela Lauzuna znajdowała się tuż obok celi Fouqueta, mimo że w twierdzy było bardzo dużo miejsca.

Lauzun był dość oryginalną osobą. Był kadet i pyszałek zdobył sympatię króla, kiedy Ludwik był jeszcze bardzo młody, stając się jego kompanem zabaw. Mimo że był raczej miernym uwodzicielem, zdołał zbałamucić czterdziestoczteroletnią Mademoiselle, bogatą i brzydką kuzynkę króla.

Więzień Lauzun sprawiał wiele kłopotów. Był porywczy, krzykliwy, łatwo wpadał w gniew. Ledwie znalazł się w więzieniu, podpalił celę. Pożar zniszczył belkę w celi Fouqueta. Aby znaleźć sposobność do ucieczki, symulował choroby, a nawet obłąd. Wobec ataków furii Lauzuna Saint-Mars nazwał Fouqueta, dotąd swojego jedyne podopiecznego, łagodnym barankiem.

W krótkim czasie (ale o tym dowiedziano się później) Lauzun znalazł sposób porozumiewania się z Fouquetem: rozmawiał z nim przez otwór, który wydrążył w ścianie.

- I nikt tego nie zauważył? — zdziwiłem się. - Przecież Fouqueta bardzo dobrze strzeżono!

- Ja też się nad tym zastanawiałem - zgodził się opat Melani.

Minął kolejny rok. W październiku 1672 roku Jego Wysokość zezwolił na korespondencję między Fouquetem a jego żoną, ale najpierw list czytał król i decydował, czy można go przekazać adresatowi, czy należy zniszczyć. Na tym nie koniec. Po upływie dwunastu miesięcy król bez wyraźnej przyczyny polecił dostarczyć Fouquetowi książki na temat aktualnej sytuacji politycznej we Francji. Niedługo potem Louvois wysłał na ręce Saint-Marsa list do nadintendenta, z adnotacją, że jeśli więzień zechce napisać odpowiedź, należy mu udostępnić papier listowy. Tak też się stało. Fouquet napisał dwa długie listy, których adresatem był Louvois.

- O czym pisał?

- Nikt nie wie. Podobno Louvois odesłał je Fouquetowi z informacją, że król nie przejawiał zainteresowania korespondencją.

Trudno zrozumieć zachowanie króla - skomentował Melani. Po pierwsze dlatego, że jeśli listy nie były mu potrzebne, mógł je po prostu wyrzucić, po drugie zaś dlatego, że było praktycznie niemożliwe, aby Fouquet nie udzielił jakiejś dobrej rady królowi.

- Może chcieli go jeszcze raz upokorzyć? - wyraziłem przypuszczenie.
- Albo król oczekiwał od Fouqueta czegoś innego.

Tymczasem Ludwik szedł na coraz większe ustępstwa. W 1674 roku pozwolił małżonkom pisać do siebie dwa razy w roku, choć listy nadal przechodziły przez jego ręce. Ponieważ stan zdrowia Fouqueta stale się pogarszał, król przestrzaszył się nie na żarty. W dalszym ciągu zabraniał mu opuszczać celę, ale przysłał z Paryża lekarza. W listopadzie 1677 roku zezwolił nadintendentowi na godzinny spacer na świeżym powietrzu. W czym towarzystwie? Oczywiście Lauzuna, co więcej, obaj więźniowie mogli ze sobą rozmawiać, pod warunkiem że rozmowie będzie się przysłuchiwać Saint-Mars i słowo w słowo powtórzy królowi.

Król zgodził się na kolejne ustępstwa. Fouquetowi dostarczano „Mercurie Galant” i inne gazety, tak jakby Ludwik chciał, żeby nadintendent był informowany o bieżących wydarzeniach we Francji i w innych krajach Europy. Louvois polecił Saint-Marsowi, by zachęcił więźnia do rozmów na temat wojennych sukcesów Arcychrześcijańskiego Króla.

W grudniu 1678 roku Louvois poinformował Saint-Marsa, że pragnie nawiązać korespondencję z Fouquetem, a ponieważ miała być ona otoczona tajemnicą, Saint-Mars musiał ograniczyć się do przekazywania listów.

Zaledwie miesiąc później zdumionemu więźniowi doręczono memoriał napisany przez króla, dotyczący warunków dalszego odbywania kary. Od tej chwili więźniowie Fouquet i Lauzun mogli spotykać się i rozmawiać do woli, a także spacerować nie tylko w obrębie murów więzienia, ale w obrębie całej twierdzy. Mogli czytać, co chcieli, strażnicy natomiast mieli dotrzymywać im towarzystwa tylko wtedy, gdy sobie tego zażyczą. Król zezwalał im także na różnego rodzaju gry, na przykład w karty.

Po kilku miesiącach Fouquet mógł korespondować z całą swoją rodziną.

- W Paryżu wszyscy byliśmy bardzo radzi - powiedział Atto Melani - i niemal pewni, że prędzej czy później nadintendent zostanie wypuszczony z więzienia.

W maju 1679 roku - ciągnął Atto - otrzymaliśmy kolejną radosną wiadomość: król zezwolił rodzinie Fouqueta na odwiedziny. Przyjaciele byli w siódmym niebie. Minał rok. Każdego dnia oczekiwaliśmy uwolnienia



nadintendenta, które jednak nie następowало. Myśleliśmy, że coś temu przeszkodziło, zapewne za sprawą Colberta.

Ułaskawienie nie nadeszło - opowiadał opat - natomiast spadła na nas nieoczekiwanie wieść o nagłej śmierci Fouqueta w celi w Pinerolo. Doniesiono nam, że zmarł 23 marca 1680 roku, w ramionach swojego syna.

- A Lauzun? - spytałem, wchodząc do pionowego szybu prowadzącego do gospody.

- Lauzun przebywał w więzieniu jeszcze kilka miesięcy. Później został uwolniony.

- Wynika z tego, że Lauzuna wsadzono do więzienia tylko po to, aby znalazł się blisko Fouqueta.

- Otóż to! Tylko w jakim celu?

- Może po to, żeby sprowokować nadintendenta do mówienia? Być może król chciał się czegoś dowiedzieć...

- Wystarczy! Już chyba rozumiesz, dlaczego udajemy się do pokoju Dulcibeniego?

Przeszukanie pokoju było łatwiejsze, niż myśleliśmy. Ja stanąłem na czatach w korytarzu, a Atto wszedł do pokoju, przyświecając sobie lampą. Słyszałem odgłosy poszukiwań, przerywane chwilami ciszy. Po kilku minutach dołączyłem do opata, wiedziony ciekawością pomieszaną ze strachem, że ktoś nas zobaczy.

Atto obejrzał już większość prywatnych rzeczy Dulcibeniego, takich jak ubrania, książki (między innymi trzy tomy z biblioteki Tiracordy), paszport uprawniający do przekraczania granicy między Królestwem Neapolu i Państwem Kościelnym, kilka gazet. W jednej z nich był artykuł pod tytułem: *Relacja z wojny między wojskami cesarskimi a Turkami osmańskimi, z dnia 10 lipca 1683 roku*. To o oblężeniu Wiednia - rzekł Atto.

Pozostałe gazety, których było około tuzina, poświęcone były temu samemu tematowi. Skończyliśmy przeszukiwanie pokoju, nie znalazłszy niczego ciekawego. Już miałem zaproponować, żebyśmy wyszli, kiedy spostrzegłem, że Atto stoi pośrodku pokoju i w zamyśleniu drapie się po brodzie.

Nagle podbiegł do szafy, otworzył ją i dosłownie zanurkował w znajdującym się w niej pojemniku na brudną bieliznę. Po chwili wyłonił się z parą muślinowych kalesonów w rękę. Zaczął je dokładnie sprawdzać, aż jego palce natrafiły na rulonik ukryty w pasku.

- Znalazłem! Śmierdziały, ale warto było się potrudzić - oznajmił zadowolony.

Rozprostował zwitek i zaczął czytać, przyświecając sobie lampą.

Wszystko, co wydarzyło się potem, zapadło mi głęboko w pamięć.

W pośpiechu, niemal sobie wyrывая, czytaliśmy list złożony z kilku kartek. Napisany był po łacinie, litery zaś były nieco rozchwiane i niewyraźne.

- *Optimo amico Nicolao Fouquet... mumiarum domino... tributum extremum... secretum pestis... secretum morbi... ut lues debelletur...* Niewiarygodne, naprawdę nie do uwierzenia - wyszeptał Melani.

Niektóre słowa brzmiały dziwnie znajomo. Opat poprosił, żebym wyjrzał na korytarz i sprawdził, czy nie idzie Dulcibeni. Wysunąłem więc głowę za drzwi, obserwując schody. Atto czytał dalej, mamrocząc słowa zdziwienia i niedowierzania.

Później nastąpiło jednak to, czego się obawiałem. Zakrywając usta i nos dłonią, wytrzeszczając oczy, opat wybiegł z pokoju i podał mi list. Cały się skręcał w rozpaczliwej próbie powstrzymania kichnięcia.

Przebiegłem wzrokiem końcową część listu, której Melani zapewne nie zdążył przeczytać. Niewiele jednak zrozumiałem z powodu zdenerwowania i piruetów opata, zmagającego się z atakiem kichania. Pod słowami *mumiarum domino* odcyfrowałem podpis: *Athanasius Kircher I.H.S.*

Opat polecił mi wsunąć zwitek z powrotem w pasek kalesonów. Nie mogliśmy zabrać listu, gdyż Dulcibeni z pewnością by to zauważył. Kilka sekund później, kiedy wyszliśmy z pokoju i zamknęli drzwi na klucz, Atto Melani kichnął rozgłośnie. Drzwi pokoju Cristofana nagle się otworzyły, a ja uciekłem po schodach do piwnicy. Usłyszałem, jak lekarz strofuje opata:

- Co pan tu robi?

Melani musiał się sporo natrudzić, żeby wymyślić jakieś wytłumaczenie. Właśnie szedł do Cristofana - powiedział - żeby dał mu jakiś lek na te nagłe ataki kichania.

- Ach, tak? To dlaczego ma opat takie zabłocone buty? - zapytał podejrzliwie.

- Pobrudziły mi się w czasie podróży z Paryża... Od tamtej pory ich nie czyściłem. Zapomniałem o tym z powodu ostatnich wydarzeń - tłumaczył się Atto. - Nie mówmy już o tym, bo obudzimy Bedfordiego.

Co było bardzo prawdopodobne, bo Anglik spał w pokoju obok.

Medyk bąknął coś pod nosem. Usłyszałem odgłos zamykanych drzwi. Widocznie Cristofano zaprosił opata do siebie. Po kilku minutach Melani wyszedł.

- Nie podoba mi się ta historia. Zaraz się przekonamy, kto tu jeszcze jest nocnym markiem - powiedział Cristofano, pukając do drzwi sąsiedniego pokoju.

Z wnętrza odpowiedział zaspany głos Devizego.

- Przepraszam, zwykła kontrola - wyjaśnił Cristofano.

Oblałem się zimnym potem, lekarz bowiem zbliżał się do pokoju Dulcibeniego. Zapukał i drzwi otworzyły się.

- Słucham?

Uff! Pompeo Dulcibeni wrócił na czas.

Gdy na piętrze uspokoiło się, wróciłem do swojego pokoju, oczekując Atta Melanigo. Stało się to, czego się obawialiśmy. Cristofano odkrył, że opat kręci się po gospodzie, a co gorsza, świadkiem nocnego zamieszania był też Dulcibeni. Był już zapewne w swoim pokoju, kiedy Atto rozmawiał z Cristofanem. Ja w tym czasie znajdowałem się na schodach do piwnicy, nie słyszałem więc kroków Dulcibeniego powracającego od Tiracordy. Szlachcic z Marche musiał bardzo cicho zejść po stopniach dzielących schowek od jego pokoju na pierwszym piętrze, poruszając się w ciemnościach. Było to zdarzenie dość zaskakujące, choć możliwe.

Niepojęte było natomiast to, jak Dulcibeni zdołał wrócić na czas, odbywszy długi marsz podziemnymi korytarzami. Musiał przedostać się przez właz, iść w całkowitych ciemnościach i na koniec wdrapać na strome schody. Byłem pełen uznania dla Dulcibeniego, który mimo starszego wieku wykazał się znakomitą kondycją.

Opat Melani nie kazał długo na siebie czekać. Był wyraźnie zmartwiony tym, że w tak naiwny, śmieszny sposób daliśmy się zaskoczyć Cristofanowi, wzbudzając jednocześnie podejrzenia Dulcibeniego.

- A jeśli Dulcibeni ucieknie?

- Nie sądzę, aby to uczynił. Cristofano zaraz wszcząłby alarm. Strażnicy z Bargello, szukając drogi jego ucieczki, mogliby się natknąć na podziemne przejście i właz prowadzący do domu Tiracordy. Odkrycie pokrzyżowałoby jego tajemnicze plany. Bez względu na to, co Dulcibeni zamierza, sądzę, że po tym, co zdarzyło się dzisiejszej nocy, zacznie się śpieszyć. Musimy być czujni.

- Przyzna pan jednak, że dokonaliśmy wielkiego odkrycia, znajdując list ukryty w kalesonach - stwierdziłem z zadowoleniem. - A propos, jak pan wpadł na to, gdzie szukać?

- Zastanów się! W czyim towarzystwie Dulcibeni przybył do gospody?

- Devizego i Fouaueta.

- No właśnie. Gdzie Fouquet ukrywał swoje bileciki, kiedy przebywał w więzieniu?

Pomyślałem o opowieści Melaniego sprzed godziny.

- W oparciu krzesła, pod podszewką i w bieliźnie!

- Otóż to!

- Ale to oznacza, że Dulcibeni wie wszystko o Fouauecie.

Opat przytaknął skinieniem głowy.

- Zatem tego dnia, kiedy nas zamknięto, Dulcibeni nie powiedział prawdy ludziom z Bargello. Twierdził, że starego Francuza zna od niedawna - powiedziałem zdumiony.

- Właśnie! W rzeczywistości Dulcibeni i nadintendent znali się od dłuższego czasu. Nie zapominaj, że Fouquet po dwudziestu latach więzienia był w opłakanym stanie. Nie sądzę, żeby wiele podróżował, zanim osiadł w Neapolu. Jest więc bardzo prawdopodobne, że szukał pomocy u jansenistów, zaciekłych wrogów Ludwika XIV, których w tym mieście nie brakuje.

- Tam też poznał Dulcibeniego, któremu wyjawił swoją prawdziwą tożsamość - podsumowałem.

- Ich przyjaźń trwała zatem od trzech lat, a nie od dwóch miesięcy, jak twierdzi Dulcibeni. A teraz, z bożą pomocą, musimy w końcu wyjaśnić całą sprawę.

Wyznałem opatowi, że niewiele zrozumiałem z listu, który znaleźliśmy w pokoju Dulcibeniego.

- Biedny chłopcze! Trzeba ci zawsze wszystko podpowiadać. Ale to nieważne, wszystko się zmieni, kiedy zostaniesz kronikarzem.

Atto przypomniał mi, że cztery lata temu, kiedy spotkał Kirchera, uczony był już dotknięty starczą demencją. List, który przed chwilą znaleźliśmy, pochodził prawdopodobnie z tamtego okresu. Zaadresowany był do nadintendenta finansów Nicolasa Fouaueta, jakby nieszczęsnemu Fouaquetowi nic się nie przytrafiło.

- Stracił poczucie czasu - oznajmił Atto - jak starcy, którym wydaje się, że są dziećmi, i pytają, gdzie jest mama.

Treść listu nie pozostawiała jednak żadnych wątpliwości. Kircher przeczuwał, że wkrótce rozstanie się z ziemskim padolem, więc napisał do

swojego przyjaciela Fouqueta pożegnalny list, aby mu jeszcze raz za wszystko podziękować. Fouquet - podkreślił jezuita - jest jedynym człowiekiem, któremu wyjawiał swoją teorię *secretum pestis*.

- Już wiem! - wykrzyknąłem. - List to traktat Kirchera o dżumie! Dulcibeni opowiadał o nim na początku kwarantanny. Uczony twierdził, że przyczyną zachorowań na dżumę są nie miazmaty czy niezdrowe ciecze, ale maleńkie stworzonka *vermiculi animati*, czy coś w tym rodzaju. Może sekret dżumy polega właśnie na tych niewidzialnych *vermiculil*

- Mylisz się - odparł Atto. - Teoria *vermiculi* nie jest nowa, Kircher bowiem opublikował ją trzydzieści lat temu w *Scrutinium phisico-medicum contagiosae luis quae pestis dicitur*. W liście będącym w posiadaniu Dulcibeniego jest więcej - Kircher oświadcza w nim, że potrafi *praevenire, regere i debellare*.

- Czyli zapobiegać, panować i pokonać dżumę.

- Brawo! Na tym właśnie polega *secretum pestis*. Dla pamięci wynotowałem sobie najważniejsze zdania.

Opat odczytał łaćniński tekst, pośpiesznie skreślony na kartce

*secretum morbi  
morbus crescit sicut mortales  
augescit patrimonium  
senescit ex abrupto  
per vices pestis petit et regreditur  
ad infinitum renovatur  
secretum vitae arcanae obices celant*

- Zdaniem Kirchera - wyjaśnił Atto - dżuma rodzi się, starzeje i umiera podobnie jak ludzie. Ale żywi się ich kosztem. Kiedy jest młoda i silna, powiększa swój majątek, niczym okrutny książę wykorzystujący swoich poddanych. Początkowo liczba ofiar ciągle wzrasta. Później epidemia słabnie i traci siłę, jak ludzie na starość, na koniec umiera. Epidemia przebiega cyklicznie: atakuje i zamiera, by po latach spokoju znowu zaatakować, i tak *ad infinitum*.

- Jest to coś w rodzaju... no, coś, co się kręci w kółko.

- Otóż to! Łańcuch na trybach koła zębatego.

- Wobec tego nigdy nie będzie można jej pokonać, wbrew temu, co zakładał Kircher.

- Nieprawda! Cykl można zmodyfikować, korzystając z *secretum pestis*.

- Na czym on polega?
- Czytałem, że dzieli się na dwa rodzaje: *secretum morbi*, który służy do zarażania, i *secretum vitae*, do leczenia.
- Czyli przyczyna dżumy i jej antidotum!
- Właśnie.
- Ale jak to działa?
- Nie wiem. Kircher tego nie wyjaśnił. Najwięcej uwagi poświęcił innemu zagadnieniu. W końcowej fazie cyklu dżumy tkwi coś nieoczekiwanego, tajemniczego, obcego doktrynie medycznej. Kiedy bowiem choroza osiągnie punkt kulminacyjny, *senescit ex abrupto*.
- To wszystko wydaje mi się bardzo dziwne - stwierdziłem. - Dlaczego Kircher nie opublikował swoich odkryć?
- Być może obawiał się, że ktoś uczyni z nich niepożądany użytek. Gdyby przekazał rękopis do druku, ktoś mógłby wykorzystać tę cenną wiedzę w niewłaściwy sposób. Wówczas całemu światu groziłoby niebezpieczeństwo.
- Widocznie Kircher bardzo szanował Fouqueta, skoro zwierzył się tylko jemu.
- To prawda. Kto choć chwilę rozmawiał z nadintendentem, od razu ulegał jego urokowi. Kircher dodaje też, że *secretum vitae* przysyłają *arcanae obices*.
- *Arcanae obices*? To znaczy „tajemne przeszkody”? Co on miał na myśli?
- Nie mam pojęcia. Być może jest to wyrażenie z żargonu alchemików i magów. Kircher znał się na religiach, obrzędach, przesądach i diabelskich sztuczkach całego świata. Może *arcanae obices* stanowi zaszyfrowaną informację, którą potrafił odczytać tylko Fouquet.
- Przecież Fouquet nie mógł otrzymać tego listu - zaproponowałem - bo siedział w więzieniu w Pinerolo.
- Słuszna uwaga. Mimo to ktoś mu dostarczył ten list, skoro był wśród rzeczy Dulcibeniego. Stało się to zapewne za sprawą osoby, która kontrolowała korespondencję więźnia... - Atto zawiesił głos, jakby przestraszony własnym odkryciem.
- Milczałem.
- ...z Jego Wysokością królem Francji - wywnioskował Atto, przełykając z przejęcia ślinę.
- Zatem... - zawahałem się - *secretis pestis*...
- ...było tym, czego król chciał od Fouqueta - dokończył opat.

A to historia! - pomyślałem. Gdy Atto wymówił imię króla, wydało mi się, że w gospodzie powiał lodowaty wiatr, który z woli Arcychrześcijańskiego Króla i Pierworodnego Syna Kościoła miał wymieść wszystko, co zostało po Fouquecie.

- *Arcanae obices, arcanae obices* - powtarzał w zamyśleniu Melani, bębniąc palcami po stole.

- Panie Atto - przerwałem mu - czy pańskim zdaniem Fouquet wyjawiał królowi *secretum pestis*?

- *Arcanae...* co mówisz? Nie wiem, naprawdę nie wiem.

- Może Fouqueta wypuszczono z więzienia, bo wszystko wyznał - powiedziałem z wahaniem.

- Wieść o jego ucieczce rozniosłaby się bardzo szybko. Tymczasem sprawy miały się tak: kiedy Fouquet został aresztowany, znaleziono przy nim listy tajemniczego prałata, w których była mowa o dżumie. Przejął je zapewne Colbert. Gdybym miał więcej czasu podczas przeszukiwania jego gabinetu, z pewnością znalazłbym je.

- Co było potem?

- Później zaczął się proces Fouqueta. Wiemy już, że król i Colbert sprzeciwiali się skazaniu Fouqueta na wygnanie, ponieważ chcieli wydobyc od niego *secretum pestis*. Nie wiedząc, kim był tajemniczy duchowny, musieli zwrócić się do nadintendenta. Gdyby wiedzieli, że był nim Kircher...

- Na co był im potrzebny sekret dżumy?

- To jasne - rzekł Atto z ożywieniem.

Kontrola nad dżumą - mówił - pozwoliłaby Ludwikowi XIV raz na zawsze rozprawić się z wrogami. Od stuleci marzono o wykorzystaniu dżumy do celów wojskowych. Tukidydes pisał, że kiedy Ateny zdzięsiątkowała zaraza, mieszkańcy miasta podejrzewali, iż powodem epidemii było zatrucie studni przez Peloponezyjczyków. W bliższych nam czasach Turcy próbowali zdobywać (z nikłym rezultatem) oblężone miasta, szerząc w nich zarazę poprzez katapultowanie zadżumionych trupów za mury obronne.

Fouquet miał w ręku tajną broń, za pomocą której Arcychrześcijański Król mógł przywołać do porządku Hiszpanię i Cesarstwo, a także pokonać Holandię Wilhelma Orańskiego.

Król osadził nadintendenta w twierdzy po to, by zmusić go do mówienia i mieć pewność, że nikomu nie przekaże tajemnicy. Dlatego zabronił mu pisać listy i nie pozwolił na odwiedziny. Ale Fouquet nie ugiął się.

- Czy dobrze postąpił? - zastanawiał się głośno opat Melani. - Oczywiście, bo nie zdradzając sekretu, mógł być spokojny o swoje życie.

Być może Fouquet całymi latami zaprzeczał, jakoby wiedział, w jaki sposób wywołać epidemię dżumy. A może posługiwał się jedynie półprawdami, aby zyskać na czasie i zapewnić sobie złagodzenie warunków więzienia?

- Dlaczego zatem go zwolniono?

- Z Paryża nadszedł list od starego Kirchera i Fouquet nie mógł dłużej milczeć, w obawie o życie własne i swojej rodziny. Być może nadintendent w końcu obiecał królowi zdradzić *secretum pestis* w zamian za uwolnienie. Później jednak nie dotrzymał obietnicy. Oto dlaczego tropili go ludzie Colberta.

- Mogło też być odwrotnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Może to król nie dotrzymał słowa.

- Wystarczy! Nie pozwalam, żebyś mówił, iż Jego Wysokość...

Atto nie skończył zdania i popadł w zamyślenie. Duma nie pozwalała mu zgodzić się z moją hipotezą, że oto król obiecał nadintendentowi uwolnienie w zamian za sekret, z zamiarem usunięcia go zaraz po jego wyjawieniu. Nie doszło do tego, ponieważ Fouquet, jak sądziłem, przejrzał króla i uniknął zasadzki. Ale może za bardzo fantazjowałem. Spojrzałem na opata. Ze wzrokiem utkwionym przed siebie snuł podobne rozważania, byłem o tym przekonany.

- Jedno jest pewne - oświadczył Melani, przerywając milczenie.

- Co takiego?

- Że w ucieczkę Fouaueta i *secretum pestis* zamieszane są inne osoby. Na przykład Lauzun, którego wysłano do Pinerolo, żeby nakłonił Fouaueta do zwierzeń. Może w nagrodę obiecano Lauzunowi szybki powrót do Mademoiselle, bogatej żoneczki. Również Devize ma coś wspólnego z tą sprawą, jako że towarzyszył Fouquetowi w drodze do „Donzella”. I nauczyciel Devizego, Corbetta, który podobnie jak jego uczeń był oddany królowej Marii Teresie i znał się na kryptografii. Nie należy zapominać, że *secretum vitae* zostało w jakiś sposób zatajone przez *arcanae obices*. Devize od początku kłamał. Pamiętasz jego opowieść o weneckich teatrach? Dulcibeni, zaufany człowiek Fouaueta, ukrył w kalesonach list mówiący o *secretum pestis*. Dulcibeni jest niby zwykłym kupcem, ale mówi o dżumie z takim znawstwem, jakby czytał prace Paracelsusa.

Melani zamilkł, żeby chwilę odpocząć. Zaschło mu w gardle.

- Myśli pan, że Dulcibeni zna *secretum pestis*!



- Możliwe. Ale zrobiło się późno. Porozmawiamy o tym następnym razem.

- Cała ta historia wydaje mi się niedorzeczna - stwierdziłem. - Czy nie gubi się pan przypadkiem w domysłach?

- Jak już mówiłem, aby zrozumieć sprawy państwa, należy przyglądać się faktom inaczej niż zwykle. Nie jest ważne, co myślisz, ale jak. Nikt nie wie wszystkiego, nawet królowie. A jeśli czegoś nie wiesz, musisz nauczyć się stawiać hipotezy, nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydają się one absurdalne. Nieco później dojdiesz do wniosku, że wszystko jest tragicznie prawdziwe.

Opat z zachmurzonym czołem wyszedł na korytarz, spojrzął najpierw w prawo, potem w lewo, jakby bał się zasadzki. Ale strach opata Melaniego, który ujawnił się w całej pełni, nie był dla mnie zaskoczeniem. Nie zazdrościłem mu już tajnej misji, znajomości na dworach, doświadczenia człowieka czynu i intryg.

Przybył do Rzymu, żeby służyć królowi Francji i odkryć tajemnicę. Teraz wiedział, że chcąc tego dokonać, musi przeprowadzić dochodzenie w sprawie króla.

## Dzień ósmy

18 września 1683 roku

Kiedy obudziłem się następnego ranka, odczuwałem silne podenerwowanie. Mimo długich nocnych rozmów z Attem i niewyspania byłem czujny i gotowy do działania. Niezbyt dobrze wiedziałem, czego mógłbym tak naprawdę dokonać. Tajemnicze zdarzenia, które miały miejsce w gospodzie, wydawały się nie mieć jak *nA* razie zakończenia. Życie mieszkańców gospody było odtąd związane z wielkimi postaciami (Ludwik XIV, królowa Maria Teresa, Kircher). Nadal groziła nam zaraza, a niektórzy goście „Donzella” od jakiegoś czasu zachowywali się podejrzanie. Jakby tego było mało, broszura Stilone Priasa zapowiadała na następne dni tragiczne i groźne wydarzenia.

Kiedy schodziłem do kuchni, usłyszałem smutny śpiew Melaniego:

Infelice pensier, chi ne conforta?  
Ohime! Chi ne consiglia?--

Pomyślałem, że Melani także czuje się zagubiony i przybity. O wiele bardziej niż ja! Szybko otrząsnąłem się ze smutnych refleksji.

W przygotowaniu i roznoszeniu posiłku pomógł mi, jak zwykle, Cristofano. Tym razem przyrządziłem morskie ślimaki, które najpierw ugotowałem, a następnie podsmażyłem na oleju z czosnkiem, posypałem miętą, natką pietruszki i przyprawami oraz skropiłem sokiem z cytryny. Danie wszystkim bardzo smakowało.

Pracowałem z zapalem, jakby wstąpił we mnie nowy duch. Moje starania zostały uwieńczone przyjemną niespodzianką.

- Clordia pytała o ciebie - oznajmił Cristofano po obiedzie. - Prosiła, żebyś do niej zajrzał.

Powód zaproszenia (Cristofano o tym wiedział) był niezwykle błahy. Kiedy wszedłem do pokoju w wieżycy, pochylona nad miską myła

włosy. Wnętrze wypełniał przyjemny zapach. Byłem oszołomiony. Cloridia poprosiła, żebym polał jej głowę wodą z octem. Jak się dowiedziałem, ocet sprawia, że włosy stają się lśniące.

Wykonałem polecenie. Z buteleczki stojącej na toaletce wlałem do garnuszka z wodą kilka kropli octu i tym roztworem polałem głowę Cloridii. Nie wiem dlaczego, przy tej czynności przypomniały mi się słowa, które wypowiedziała podczas naszego ostatniego spotkania. Mówiąc o nadzwyczajnej zbieżności daty swoich urodzin z datą założenia Rzymu, napomknęła o krzywdzie związanej z powrotem do Wiecznego Miasta. Powiedziała, że przybyła do „Donzella”, idąc za *virga ardens*, sterczącą różdżką. Wykonała przy tym dwuznaczny gest, który wziąłem za nieprzyzwoitą aluzję. Postanowiłem wtedy, że dowiem się, o co chodziło Cloridii. Nieoczekiwanie ona sama stworzyła ku temu okazję, wzywając mnie do swojego pokoju.

- Podaj mi ręcznik! Nie, nie ten, tamten mniejszy, Iniany - poleciła mi, wykręcając mokre włosy.

Uczniłem, o co prosiła. Cloridia owinęła głowę ręcznikiem.

Mógłbyś rozczesać mi włosy? - spytała słodkim głosem. - Są takie splątane, że sama nie dałabym sobie rady.

Byłem szczęśliwy, że mogę oddać Cloridii tę przysługę. Usiadła tyłem do mnie, w rozwiązanym gorsecie, i poinstruowała, żebym najpierw rozczesał końce włosów. Korzystając ze sposobności, poprosiłem Cloridię, aby opowiedziała mi, w jaki sposób znalazła się w „Donzelli”.

- Co to jest ta różdżka, panno Cloridio? - spytałem.

- „Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza” - wyrecytowała. - Psalm dwudziesty trzeci.

Odetchnąłem z ulgą.

- Nic wiesz, co to jest? Zwykła gałąź orzecha, rozdwojona na końcu, mniej więcej półmetrowej długości, gruba na palec, suszona przez rok. Nazywana też bywa włócznią Ateny, kaduceuszem Merkurego, różdżką Kirke, laską Aarona lub Jakuba. Włosi pracujący w kopalniach rtęci w Trydencie i Tyrolu nazywają ją też laską boską, błyszczącą, sterczącą, transcendentną, upadającą, najwyższą. Bywa porównywana z różgą liktorską, z laską Mojżesza, którą uderzył w skałę, by trysnęła z niej woda, z berłem Aswerusa, króla Persów i Medów. Kiedy żona króla Estera ucałowała jej koniec, otrzymała wszystko, czego pragnęła.

Cloridia mówiła dalej, udzielając mi szczegółowych wyjaśnień. Nie była przecież zwykłą prostytutką, ale kurtyzaną, która łączyła doświadczenie w sztuce miłości z erudycją.

- Jak wiadomo, od dwustu lat używa się różdżki do wykrywania metali, a od stu - źródeł wody. Od niepamiętnych czasów używa się jej też w celu wskazania kryjówek zbiegłych zbrodniarzy. Z powodzeniem stosowano ją w wielu dalekich krainach, takich jak Edom, Sarmacja, Getulia, Gocja, Recja, Hibernia, Silesta, Marmarika, Mancjana, Konfluencja, Aleksandria, Argentone, Frisingia, Gajetta, Kuspija, Liwonia, Kasperia, Serika, Briksja, Trapezonda, Suria, Sycylia, Mutina, Arabia, Malinez w Brabancji, Liburnia, Schiawonia, Ossiana, Panfilia, Garamanza i wreszcie Lidia, która nazywała się *olim* Meonia, gdzie płyną rzeki Hermes i Pattolo, wysławiane przez poetów. W Gedrocji pewien morderca był ścigany na lądzie i na morzu, aż w końcu został złapany. Wytropiono go dzięki różdżce. Łóżko, w którym spał, było jeszcze ciepłe, a na stole stały niesprzątane po kolacji naczynia i talerze.

Cloridia wyjaśniła mi, na czym polega działanie różdżki. Wszystkie ciała wykazują ciągłą emanację niewidocznych drobinek, niezwykle aktywnych, zwanych też cząstkami materii, atomami, materią subtelną. Cząstki te są niezwykle tajemnicze. Mogą stanowić emanację substancji, z której powstają, albo są trzecią substancją, która przenosi materię promienistą ku materii wchłaniającej. Zwierzęta na przykład posiadają trzecią materię, którą mózg (będący jej zbiornikiem) rozprowadza do nerwów, a stamtąd do mięśni, wprawiając je w ruch. Cząstki mogą też unosić się w powietrzu, w pobliżu materii promienistej, która poprzez powietrze przedostaje się do materii wchłaniającej.

- W ten sposób działa, na przykład, dzwon. Jego serce, uderzając w dzwon, wprawia w ruch cząstki powietrza, które nasze ucho odbiera jako dźwięk - wyjaśniła Cloridia.

Te same cząstki wywołują też sympatię i antypatię, a także miłość.

- Poszukiwanie złodzieja lub zabójcy opiera się na antypatii. Na targu w Amsterdamie widziałam stado świń, które na widok rzeźnika zaczynały chrząkać, i mimo że były uwiązane, próbowały się na niego rzucić. Świnie wyczuły bowiem cząstki innych świń, dopiero co zarżniętych przez rzeźnika. Cząstki przylgnęły do ubrania tego człowieka, działając na powietrze wokół niego i na stado świń.

Z tego właśnie powodu, jak dowiedziałem się od Cloridii, krew zabitego lub zranionego człowieka (albo zgwałconej kobiety) wprawia się w ruch i cieknie z rany w stronę złoczyńcy. Duchy i cząstki wypływające z krwią ofiary przylegają do oprawcy i zaczynają się gwałtownie poruszać wskutek strachu, który wzbudził ten okrutny człowiek. Tym samym ułatwiają wytropienie go.

ń Ale nawet wówczas, gdy zbrodni dokonano w sposób pośredni lub na odległość, na przykład na zlecenie, albo na skutek czynów czy decyzji, które doprowadziły do śmierci drugiego człowieka lub zgwałcenia, ródźka pomoże w odnalezieniu sprawcy, gdy tylko tropiący wyruszy z miejsca zbrodni. Duch zbrodniarza wprawiony zostaje w ruch w wyniku przerażenia, jakie budzi jego czyn, oraz wskutek odwiecznego strachu przed karą śmierci, który, jak mówi Pismo, nigdy nie opuszcza duszy nikczemnika.

- *Fugit impius nemine persequente* — zacytowała Cloridia. Jej erudycja była naprawdę zaskakująca.

Zasada antypatii wyjaśnia również, dlaczego woły nie mogą jeść, jeśli na ścianie obory zawiesi się wilczy ogon, winorośl nie rośnie w sąsiedztwie kapusty, cykuta obok ruty, a także dlaczego sok z cykuty, będący silną trucizną, nie szkodzi, jeśli popije się go sokiem z ruty. Podobnie silna antypatia dzieli skorpiona i krokodyła, słonia i świnię, Iwa i koguta, kruka i sowę, wilka i owcę, ropuchę i łąsicę.

- Ale jak już mówiłam, cząstki wywołują też sympatię i miłość - powiedziała Cloridia i wyrecytowała:

Sympatie i więzy tajemnicze,  
słodkie akordy, których tu nie wyliczę.  
Kiedy dwie osoby się kochają,  
czemuś nieznanemu ulegają.

Tym, czego nic potrafimy nazwać powiedziała - są właśnie cząstki. Według Giobatty Porty istnieje ogromna sympatia pomiędzy palmą żeńską i męską, winoroślą i drzewem oliwnym, figowcem i mirtem. To właśnie wskutek sympatii rozwścieczony byk uspokaja się, jeśli przywiąże się go do pnia figowca, a słoń ucisza się na widok barana. Trzeba ci też wiedzieć - powiedziała Cloridia swoim łagodnym głosem - że według Cardana jaszczurka darzy sympatią człowieka, lubi mu się przyglądać i pić jego ślinę.

Schwyciła moją dłoń i przyciągnęła do siebie.

- Tkliwość lub tajemniczy pociąg, który czujemy do niektórych osób od pierwszego wejrzenia, mają to samo źródło -- oznajmiła i puściła moją rękę. - Duchy lub cząstki tych osób trafiają do naszego oka i nerwów, a następnie do mózgu, wywołując przyjemne uczucie.

Drżącymi rękami rozczesywałam jej włosy na skroniach.

- Wiesz? - ciągnęła. - Pociąg ten sprawia, że przedmiot naszych pragnień staje się w naszych oczach doskonały.

Zapanowałem nad silnym wzruszeniem. Ze smutkiem pomyślałem, że mnie nikt nigdy nie uzna za doskonałego.

Cloridia oparła głowę o moją pierś i westchnęła.

- Rozczesz mi teraz włosy na karku, ale uważaj, żeby za mocno nie ciągnąć, bo to delikatne miejsce.

Kazała mi usiąść naprzeciw siebie, na wysokim łóżku, i położyła głowę na moich kolanach, z twarzą skierowaną w dół i odsłoniętą szyją. Byłem zupełnie oszołomiony, gdy poczułem ciepło jej oddechu w pachwinach. Rozczesywałem kręcone włosy Cloridii z zupełną pustką w głowie.

- Nie powiedziałaś ci jeszcze, w jaki sposób używa się różdżki - powiedziała Cloridia, przyjmując wygodniejszą pozycję. - Musisz wiedzieć, że o ruchu różdżki decyduje wyłącznie natura. Na początek należy zanurzyć koniec różdżki w jakiejś wilgotnej, cieplej materii (jak krew lub inna ciecz), która ma coś wspólnego z przedmiotem poszukiwań. Różdżkę trzyma się na wysokości brzucha i powoli zmierza przed siebie. Badany teren należy przejść tam i z powrotem, aż różdżka się podniesie. Kąt nachylenia różdżki, podobnie jak igły w busoli, zależy od przyciągania magnetycznego. Nie wolno wykonywać gwałtownych ruchów, żeby nie przeoczyć poszukiwanego miejsca, które wskaże różdżka. Od czasu do czasu dobrze jest przytrzymać za rozwidlone końce, ale niezbyt mocno. Należy przy tym uważać, żeby dłonie zwrócone były wierzchem do podłoża, a różdżka nieco uniesiona od poziomu. Różdżka nie porusza się jednak w rękach wszystkich ludzi. Trzeba mieć do tego pewien szczególny dar i dużo doświadczenia. Nie porusza się na przykład w rękach osób, które silnie się pocą, wówczas bowiem cząstki potu zakłócają strumień oparów. Czasami nie działa nawet w rękach rasowych różdżkarzy. Na szczęście mnie się to jeszcze nie zdarzyło. Jakiś składnik powietrza może wytwarzać kwaśne, cierpkie sole, ciężka praca, nocne czuwanie lub nauka mogą wywołać nadmierne pocenie rąk, które powoduje zakłócenia w działaniu różdżki i w przepływie strumienia oparów. Różdżka działa bowiem jak katalizator niewidocznych cząstek. Ale kiedy w końcu różdżka doprowadza...

Cloridia przerwała swoją opowieść. Po chwili rozległo się pukanie.

- Wydawało mi się, że ktoś krzyczał. Wszystko w porządku? - zapytał Cristofano, zaspany od wbiegania po schodach.

- Oczywiście. Nasz mały pomocnik uderzył się, kiedy mi pomagał, ale to drobiazg. Żegnam pana, panie Cristofano, i dziękuję za troskę - odparła Cloridia wesoło.

Krzyczałem, a teraz leżałem na łóżku Cloridii, wyczerpan rozkoszą i zawstydzony.

Nie pamiętam, kiedy i w jaki sposób pożegnałem się z Cloridią. Pamiętam tylko jej uśmiech i to, że przed rozstaniem pieszczotliwie pogłaskała mnie po głowie.

Targany sprzecznymi uczuciami, pobiegłem do mojego pokoju przebrać się. Nie mogłem ryzykować, żeby Cristofano zobaczył mnie z kompromitującą plamą na spodniach.

Było przyjemne, chłodne popołudnie. Na wpół rozebrany położyłem się na łóżku i zasnąłem.

Obudziłem się po godzinie. Rześki i wypoczęty, udałem się do opata Melaniego. Chciałem go zapytać, czy czegoś nie potrzebuje. Ciągłe myślałem o jego smutnym śpiewie, który słyszałem tego dnia rano, współczułem mu i nie chciałem, żeby był sam. Niespodziewanie znalazłem go w dobrym humorze.

A petto ch'adora  
e solo un bel guardo.  
E solo un bel guardo!...\*

Podśpiewywał, witając się ze mną. Patrzyłem na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Dzisiaj rano słyszałem, jak... cierpiałeś. Czy wiesz, że wystraszyłeś Cristofana? Właśnie staliśmy w drzwiach mojego pokoju, kiedy nagle usłyszeliśmy twój krzyk w wieżycze Cloridii...

- Chyba nie sądzi pan, że... - tłumaczyłem, czerwieniąc się - panna Cloridią nie...

- Ależ skąd! - powiedział opat poważnym tonem. - Jasnowłosa Cloridią niczego nie zrobiła, „kochającemu sercu” wystarczy czarujące spojrzenie, jak powiedział mój mistrz *seigneur* Luigi.

Zawstydzilem się i wyszedłem. Nienawidziłem opata z całego serca.

W kuchni zastałem Cristofana. Był bardzo blady i smutny.

- Anglik źle się czuje. Bardzo źle - oznajmił na mój widok,

Ta pierś, którą wielbi, / to tylko piękne spojrzenie. / To tylko piękne spojrzenie!...

- Ale przecież tak się pan o niego troszczy.

- Moje cudowne *remedia* nie odniosły skutku. Rozumiesz? Bedfordi umiera. Nigdy stąd nie wyjdziemy. Jesteśmy zgubieni! Wszyscy - powiedział załamującym się głosem.

Spojrząwszy na lekarza, dostrzegłem jego przerażone spojrzenie i ciemne sińce pod oczami. Sprawiał wrażenie człowieka, który stracił zdolność mówienia i potrafi jedynie niewyraźnie sylabizować słowa.

Stan zdrowia Anglika rzeczywiście nie polepszył się, nadal nie odzyskiwał przytomności. Rozejrzałem się dookoła: w kuchni wszystko było wywrócone do góry nogami. Na meblach, stołach, krzesłach, w każdym rogu pomieszczenia, nawet na podłodze, porozstawiane były dzbanki, butelki, aparatura destylacyjna i wszelkiego rodzaju czarki. W kominku stały dwa kociołki i kilka innych garnków. Przeraziłem się, gdy dostrzegłem gotujące się na ogniu najlepsze zapasy tłuszczu, mięsa, ryb i suszonych owoców z piwnicy, wymieszane z cuchnącymi preparatami alchemicznymi. Na kredensie, na komodzie i na półkach otwartej szafki widniały rzędy miseczek z olejami i kupki wielobarwnych proszków. Obok każdej miseczki i kupki proszku leżała karteczka z napisem: ostrzyż plamisty, rutwica lekarska, pieprz długi, pieprz okrągły, nasiona bylicy, kora cedru, szałwia, bazylija, majeranek, liście wawrzynu, mięta polej, gencjana, czyścica, liście czarnego bzu, róża czerwona, róża biała, nard, pieprz kubeba, rozmaryn, mięta, cynamon, aromatyczne narośle, camedrios, sticados, camepiteos, meleghette, maris, thuris albi, aloes, nasiona bylicy piołunu, aloes drzewiasty, kardamon, olej laurowy, galban, bluszcz pospolity, kadzidło, goździki, ostróżeczka polna, gałka muszkatołowa, imbir, dyptam jesionolistny, żółty wosk, popiół.

Odwróciłem się, by poprosić lekarza o wyjaśnienie, ale nie uczyniłem tego, widząc, że Cristofano, błądy na twarzy, z nieprzytomnym spojrzeniem, chodzi po kuchni, wykonując kilka czynności naraz.

- Musisz mi pomóc. Spróbujemy jeszcze raz. Przekłete obrznięcia Bedfordiego nie zniknęły, nie dojrzały nawet. Musimy więc, ciach! Przeciąć je i już!

- Nie! - wykrzyknąłem, wiedząc, że wycięcie niedojrzałych obrznięć może być zabójcze dla pacjenta.

- Musimy zaryzykować - stwierdził lekarz stanowczym tonem. - A oto mój plan: po pierwsze, musi zwymiotować, ale nie podam mu już tabletek piżmowych, tylko coś silniejszego, na przykład mój diaromatyk. Można go stosować zarówno wewnętrznie, jak i zewnętrznie. Podam Bedfordiemu dwie drachmy na pusty żołądek, na pewno zwymiotuje. Ten



środek oczyszcza organizm, uspokaja, powoduje wymioty, krótko mówiąc, zwalcza wszelkie dolegliwości. *Recipe!* - krzyknął niespodziewanie, aż podskoczyłem. - Cukier, sproszkowane perły, piżmo, szafran, aloes drzewiasty, cynamon i kamień filozoficzny. *Misce* i uformuj tabletki, które nie psują się i są doskonałym medykamentem na dżumę. Zmniejszają ilość zepsutych soków w organizmie, powodujących obrzęki, uspokajają żołądek i wzmacniają serce.

Współczuję Bedfordiemu - pomyślałem. Z drugiej strony jednak nie mieliśmy wyboru. Poza Panem Bogiem jedynie Cristofano mógł ocalić Anglika.

Zdenerwowany lekarz wydawał mi polecenia, nie dając czasu na ich wykonanie, i wciąż powtarzał receptury, które znał zapewne z ksiązek medycznych.

- Punkt drugi: *elixir vitae* na wzmocnienie. Olbrzymi sukces tu, w Rzymie, w czasie epidemii dżumy w tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym roku. Jest bardzo skuteczny, leczy wiele rodzajów groźnych chorób. Z łatwością przenika do organizmu, ma działanie wysuszające, leczy miejsca zmienione chorobowo. Utrzymuje w dobrym stanie wszystkie rzeczy podatne na zepsucie, leczy katar, kaszel, niewydolność płuc i temu podobne. Leczy wszelkiego rodzaju gnijące wrzody, łagodzi cierpienia spowodowane wyziębieniem, *et cetera*.

W pewnej chwili Cristofano zachwiał się, więc podbiegłem, żeby go podtrzymać, ale mówił dalej:

Punkt trzeci: pigułki na dżumę mistrza Alessandra Cospio z Bolseiny. Imola, rok tysiąc pięćset dwudziesty siódmy, wielki sukces. Kaolin, glinaka, kamfora, pięciornik, aloes, po cztery drachmy każdego z nich. Wszystko wymieszać z sokiem z kapusty i dodać odrobinę szafranu. Punkt czwarty: medykament doustny mistrza Roberta Cocalino z Formigine. Wybitny lekarz działający w Reggio w Lombardii w tysiąc pięćsetnym roku. *Recipe!* - wrzasnął Cristofano.

Polecił mi wykonać odwar z ciemiernika, sjeny i rzewienia.

- Doustny środek mistrza Cocalina podamy Bedfordiemu przez odbyty. Właśnie tak! Tym sposobem spotka się w pół drogi z pigułkami mistrza Cospia. Razem stawimy czoło tej przebrzydłej dżumie i zwyciężymy!

Następnie poszliśmy do pokoju Anglika, który był już bliski śmierci. Pomogłem Cristofanowi wykonać wszystko, co zamierzył, choć napało mnie to przerażeniem.

Kiedy zakończyliśmy okrutne czynności, pokój przypominał rzeźnię. Wszystko zabrudzone było cuchnącymi wymiocinami, krwią i kałem.

Przystąpiliśmy do przecinania obrzęków, smarując rany syropem octowym z dodatkiem oleju *philosophorum*, który zdaniem lekarza miał uśmierzyć ból.

- Na koniec przyłożyć plaster *gratiadei* - oznajmił Cristofano, głośno dysząc.

Słusznie - mówiłem sobie w duchu - bardzo nam się przyda *gratia dei*, albowiem młody Anglik w żaden sposób nie zareagował na terapię. Zobojętniał na wszystko i nawet nie jęknął z bólu. Wpatrywaliśmy się w niego, czekając na jakąkolwiek reakcję, dobrą lub złą.

Cristofano dał mi znak, żebym poszedł z nim do kuchni. Mokry od potu, mruczając coś pod nosem, utarł w moździerzu garść aromatycznych ziół. Następnie przesypał je do szklanego naczynia, zalał wódką i zagotował na wolnym ogniu.

- Teraz otrzymamy wodę, olej i flegmę, każdą z osobna! - oświadczył uroczyście.

Po chwili w naczyniu pojawiła się biaława parująca woda, a następnie zrobiła się jasnożółta. Cristofano przelał część białej cieczy do butelki i szczelnie zamknął.

- Na początek balsam! - wykrzyknął, potrząsając pojemnikiem z przesadną, groteskową wesołością.

Następnie zwiększył ogień pod szklanym naczyniem z pozostałą cieczą, która zmieniała barwę na czarną jak smoła.

- Matka balsamu! - oświadczył Cristofano, przelewając połowę do butelki.

Zwiększył ogień i wlał resztkę płynu do kolejnej butelki.

- Likier balsamiczny o cudownym działaniu! - cieszył się jak dziecko, wręczając mi wszystkie trzy butelki.

- Mam je zanieść Bedfordiemu?

- Ależ nie! - wykrzyknął. Uniósł palec wskazujący, jakby mi groził, i zmierzył wzrokiem od stóp do głów.

Patrzył na mnie szeroko otwartymi, mocno zaczerwienionymi oczami.

- Nie, chłopcze, to nie dla Bedfordiego, lecz dla nas. Dla nas wszystkich. Trzy doskonałe likiery, najlepszej jakości.

Podał mi szklane naczynie, jeszcze ciepłe, po czym z wyraźnym zadowoleniem wychylił kieliszek pierwszego likieru.

- Po co mamy to pić? - zapytałem nieśmiało.

Nie udzielając mi odpowiedzi, Cristofano nalał sobie drugiego płynu i wypił.

- Żeby pokonać pieprzony strach, ha, ha, ha! - powiedział.

Wypił trzeci rodzaj likieru i ponownie napełnił kieliszek. Następnie kazał mi wnieść toast pustym naczyniem, które trzymałem w ręku.

- Kiedy zawiozą nas do lazaretu, nawet tego nie zauważymy, ha, ha, ha!

Orzucił kieliszek za siebie i kilka razy głośno beknął. Chciał zrobić krok do przodu, ale nogi mu się zaplątały i osunął się na podłogę. Przerażliwie zbladł i stracił przytomność.

Przestraszyłem się i chciałem wołać o pomoc. Powstrzymałem się jednak, mógłbym bowiem wywołać panikę i w gospodzie zapanowałyby kompletny chaos. Pobiegłem do opata Melaniego. Bardzo ostrożnie (i z dużym trudem) zanieśliśmy lekarza do jego pokoju na pierwszym piętrze, starając się nic robić hałasu. Opowiedziałem opatowi o agonii Anglika i zaburzeniach umysłowych Cristofana, który leżał nieruchomo na łóżku, głośno sapiąc.

- Czy on rzezi, panie Atto? - zapytałem ze ściśniętym gardłem.

- Nie, chrapie - odparł rozbawiony opat. - Od dawna podejrzewałem, że te jego mikstury mają coś wspólnego z Bachusem. Ostatnio dużo pracował. Pozwólmy mu spać, ale musimy nad nim czuwać. Ostrożności nigdy za wiele.

Usiedliśmy obok łóżka. Melani przyciszonym głosem wypytywał mnie o Bedlordiego. Wyglądał na zmartwionego. Perspektywa lazaretu stawała się coraz bardziej realna. Zastanawialiśmy się nad ucieczką przez podziemia, lecz stwierdziliśmy, że prędzej czy później i tak by nas złapano.

Posmutniałem i starałem się myśleć o czymś innym. Przypomniałem sobie, że trzeba posprzątać pokój Bedfordiego. Powiedziałem Melaniemu, że będę w pokoju Anglika, po czym wykonałem niewdzięczne zadanie. Kiedy wróciłem, Atto smacznie spał na krześle ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i nogami ułożonymi na drugim krześle, na którym wcześniej siedziałem. Nachyliłem się nad Cristofanem, żeby sprawdzić, jak się czuje. Lekarz twardo spał, jego twarz lekko się zaróżowiła.

Uspokoilem się nieco, po czym przysiadłem na brzegu łóżka. W pewnej chwili usłyszałem ciche mamrotanie. To Atto, półleżąc niewygodnie na dwóch krzesłach, mówił coś przez sen. Głowa opadła mu na piersi, a skrzyżowane przedramiona wsunął w wykończone koronką rękawy koszuli. Rytmiczne mruczenie przypominało głos zagniewanego dziecka, które skarcili rodzice.

Nadstawiłem ucha. Atto, ciężko oddychając, jakby za chwilę miał się rozplakać, mówił po francusku.

- *Les baricades, baricades...* -jęczał przez sen.

Przypomniałem sobie, że Melani, w wieku zaledwie dwudziestu lat, podczas zamieszek wywołanych przez frondystów musiał uciekać z Paryża z rodziną królewską i swoim mistrzem Luigim Rossim. Teraz bełkotał coś o barykadach. Widocznie śniły mu się rozruchy uliczne.

Zastanawiałem się, czy go nie obudzić, uwalniając w ten sposób od złych wspomnień. Podniosłem się ostrożnie z łóżka i nachyliłem nad opatem. Po raz pierwszy miałem okazję patrzeć na niego z tak bliskiej odległości, nie narażając się na jego uważne, krytyczne spojrzenie. Patrząc na opuchniętą twarz opata, poczułem wzruszenie. Obwisłe, gładkie policzki świadczyły o samotności i smutku eunucha, a kapryśny, wyraźnie zaznaczony dołeczek w brodzie zdawał się domagać szacunku dla dyplomaty Jego Arcychrześcijańskiej Wysokości. Serce ścisnęło mi się z żalu, ale od smutnych refleksji oderwały mnie słowa:

- *Baricades... misterieuses, misterieuses. Baricades. Misterieuses. Les baricades...* - mamrotał Atto Melani.

Majaczył, ale te słowa w jakiś niewytłumaczalny sposób zaniepokoiły mnie. O jakich "barykadach" mówił Melani? Barykady *misterieuses*, tajemnicze. Te dwa słowa coś mi przypominały, nie były mi obce...

W tej samej chwili Atto obudził się. Humor wyraźnie mu się poprawił. Na mój widok uśmiechnął się i zaczął raźnie podśpiewywać:

Chi giace nel sonno  
non speri mai Fama.

Chi dorme codardo  
e degno che mora...\*

- Tak zaśpiewałby mój mistrz *seigneur* Luigi - zażartował, przeciągając się i drapiąc. - Coś przegapiłem? Jak się ma lekarz? - spytał, widząc, że się zamyśliłem.

- Bez zmian, panie Atto.

- Winien ci jestem przeprosiny, chłopcze - oznajmił po chwili.

- Za co?

- Nie powinienem był żartować sobie z ciebie z powodu tej historii z Cloridią.

Odparłem, że nie musi mnie przepraszać, choć szczerze mówiąc, byłem zaskoczony, a zarazem zadowolony z wyznania opata. Odzyskaw-

\* Kto spoczywa we śnie / nie ma nadziei na Sławę. / Kto śpi tchórzliwie / jest godzinę śmierci...

szy dobry nastrój, opowiedziałem Melanieniu, czego dowiedziałem się od Cloridii, a zwłaszcza o numerologii, za pomocą której można odgadnąć własne przeznaczenie. Wyjaśniłem mu, na czym polega moc różdżki.

- O ile dobrze rozumiałem, jest to pasjonujące zagadnienie - skomentował opat - na którym Cloridia bardzo dobrze się zna.

- Właśnie umyła sobie włosy i posłała po mnie, żebym pomógł je rozczesać - powiedziałem, odpierając złośliwą uwagę Atta.

O biondi tesori  
inanellati,  
chiome divine, cori,  
labirinti dorati...\*

- zaśpiewał cicho Atto, docinając mi. Zaczerwieniłem się ze złości i wstydu, ale po chwili uległem urokowi tej pięknej arii, pozbawionej jakichkolwiek złośliwych akcentów.

...tra i vostri splendori

m'e dolce smarrire  
la vita e morire...\*\*

Pod wpływem pięknej melodii zacząłem snuć rozważania o miłości. Wyobraziłem sobie ciemne loki Cloridii, wspominałem słodki dźwięk jej głosu. Zastanawiałem się, co przywiodło Cloridię do „Donzella”. Jak sama stwierdziła, przyszła tu za gorejącą różdżką. Ale powiedziała też, że różdżka porusza się na skutek „antypatii” lub „sympatii”. Na czym polegała zatem tajemnica tej kobiety? Przybyła do gospody, idąc śladami osoby, która wyrządziła jej krzywdę i na której chciała się zemścić? A może przywiódł ją tu ów magnetyzm miłości, na który różdżka zapewne silnie reaguje? Marzyłem o tym, żeby w grę wchodziła ta druga ewentualność.

Su tutto allacciate,  
legate, legate  
gioir e tormento!...\*\*\*

Śpiew Atta, wychwalający lśniące loki mojej czarnowłosej kurtyzany, pełnił funkcję kontrapunktu do moich rozmyślań.

Z drugiej strony - myślałem - chwile... odprężenia Cloridia podar-

Ach blond skarby / kręcone, / boskie sploty, chóry, / labirynty złożone...  
...wśród waszego przepychu / jakże cudownie mi zatracić / życie i umrzeć...  
Wszystkie związane, / splećcie, / splećcie / radość i cierpienie !...

wała mi zupełnie bezinteresownie, nie czyniąc żadnych aluzji do pieniędzy, jak to miało miejsce (niestety!) podczas spotkania w sprawie interpretacji snów.

Kiedy tak rozmyślałem, a Melani rozśpiewał się na dobre, Cristofano otworzył oczy.

Spojrzał na opata spod zmarszczonych brwi, nie przerywając mu. Kiedy Atto umilkł, medyk podziękował mu za udzielenie pomocy. Westchnąłem z ulgą, ponieważ spojrzenie i cera lekarza wskazywały na to, że czuł się dobrze. Ale uspokoiłem się dopiero wtedy, kiedy Cristofano zapewnił nas, że był to tylko przejściowy kryzys.

- Ma pan jeszcze wspaniały głos, opacie Melani - rzekł lekarz, wstając z łóżka i poprawiając ubranie. - Mam jednak nadzieję, że nie słyszeli pana inni goście na tym piętrze. Dulcibeni i Devize mogliby się zastanawiać, co pan robi w moim pokoju.

Cristofano jeszcze raz podziękował opatowi za udzielenie mu pomocy, po czym razem ze mną udał się do pokoju obok, żeby zobaczyć, jak się czuje Bedfordi. Melani wrócił do swojego pokoju na drugim piętrze.

Bedfordi leżał nieruchomo na łóżku. Lekarz pokiwiał głową.

- Sądzę, że nadszedł czas, by powiadomić gości gospody o stanie tego nieszczęśnika. Gdyby umarł, mogłaby wybuchnąć panika, musimy więc temu zapobiec.

Postanowiliśmy uprzedzić przede wszystkim ojca Robledę, żeby mógł udzielić Bedfordiemu ostatniego namaszczenia. Nie powiedziałem Cristofanowi o tym, że jezuita już raz odmówił udzielenia Anglikowi tego sakramentu, w obawie przed zarażeniem dżumą, a także dlatego, że młodzieniec był protestantem, czyli osobą wyklętą.

Zapukaliśmy do drzwi jezuitę. Przewidywałem reakcję strachliwego Robledy, który dowiedziawszy się o rychłej śmierci Anglika, przestraszy się, zacznie bełkotać i rozgniewa się na Cristofana. Wbrew moim oczekiwaniom nic takiego nie miało miejsca.

- Czy próbował pan leczyć Bedfordiego za pomocą magnetyzmu? - spytał Robleda, gdy tylko lekarz wyjaśnił mu przyczynę naszej wizyty.

Cristofano zaniemówił ze zdziwienia. Robleda wytłumaczył mu więc, że Kircher napisał książkę, w której wyjaśnia to zjawisko. Kircher stwierdził, że świat nie jest niczym innym, jak tylko olbrzymim łańcuchem magnetycznym, pośrodku którego znajduje się Bóg, pierwszy i jedyny Magnes Pierwotny, przyciągający do siebie wszystkie przedmioty i stwo-

rzenia. Również miłość (zarówno boska, jak i ludzka) powstaje na skutek przyciągania magnetycznego, podobnie jak innego rodzaju fascynacje. Planety i gwiazdy podlegają wzajemnemu magnetyzmowi, a wewnątrz ciał niebieskich działa siła magnetyczna.

- Na tej samej zasadzie opiera się działanie busoli - wtrącił Cristofano.

- ...która pomaga żeglarzom i podróżnikom orientować się w nieznanym terenie - podchwycił Robleda. - Ale to nie wszystko.

Istnieje bowiem magnetyzm, który przejawia się działaniem Słońca i Księżyca na wodę, co widać na przykładzie morskich przyływów i odpływów. Także w roślinach można stwierdzić występowanie uniwersalnej *vis attractiva*, o czym świadczą żyłki liści i słoje drzew, rozwijające się pod wpływem sił zewnętrznych. Dzięki magnetyzmowi rośliny czerpią korzeniami pokarm z gleby, a siła ta dotyczy też rośliny o nazwie boramez, o której lekarz - stwierdził Robleda - z pewnością słyszał.

- Tttak, rzeczywiście... - zawahał się Cristofano.

- Co to takiego? - spytałem.

- Jest to roślina - powiedział jezuita ojcowskim tonem rosnąca na ziemiach Tatarów. Dzięki magnetyzmowi boramez wyczuwa obecność pasących się w pobliżu owiec i wydaje kwiaty w kształcie tych zwierząt.

Analogicznie zachowują się rośliny heliotropiczne, obracające się w kierunku Słońca (jak na przykład słonecznik, który posłużył Kircherowi do skonstruowania nadzwyczajnego zegara heliotropicznego), oraz rośliny selenotropiczne, śledzące pozycję Księżyca. Zwierzęta także są magnetyczne. Pomijając drętwe plamistą czy żabnicę, które przyciągają i paraliżują zdobycz, można posłużyć się przykładem *anguis stupichis*, olbrzymiego węża amerykańskiego. Żyje on pod ziemią, przyciągając zwierzęta, takie jak jelenie, które oplata i dusi, po czym zjada razem z rogami. Zasadę magnetyzmu wykorzystują też antropomorficzne ryby, na przykład syreny, które wabiają pechowych marynarzy i wciągają w morskie głębiny.

- Rozumiem - odparł Cristofano nieco zmieszany - ale wróćmy do Bedfordiego.

- Zapewniam pana, że medykamenty również działają z wykorzystaniem siły magnetycznej - oświadczył Robleda z powagą.

- Nigdy nie słyszałem, żeby kogoś w ten sposób wyleczono - zauważyłem z powątpiewaniem.

- Tę terapię stosuje się wówczas, gdy zawiodą inne środki - bronił się Robleda. - Przede wszystkim należy stale mieć na uwadze prawa magnetyzmu. *Primum*, chorobę trzeba leczyć takim zieleń, kamieniem, meta-

lem, owocem czy nasieniem, które kształtem, kolorem, właściwościami *et cetera* przypomina chory organ. Należy przestrzegać powiązań z gwiazdami, wybierając rośliny heliotropiczne dla osób radosnych, promiennych, a rośliny księżycowe dla kapryśnych, o zmiennych humorach. Trzeba wziąć też pod uwagę *principium similitudinis*. Kamienie nerkowe na przykład leczy się kamieniami z pęcherza moczowego świni lub zwierząt żyjących na podłożu kamienistym, jak ostrygi czy skorupiaki. To samo dotyczy roślin. Kondrylla, której korzenie mają guzy i narośle, doskonale nadaje się do leczenia hemoroidów. Poza tym rośliny trujące mogą służyć jako odtrutka, podobnie jak miodem leczy się użądlenie pszczoły, a odnóża pająka stosuje do okładów w razie ugryzienia pająka...

- Rozumiem - skłamał Cristofano - ale w dalszym ciągu nie wiem, jaką terapię magnetyczną miałbym zastosować w leczeniu Bedfordiego.
- To proste, musi pan zastosować muzykę.

Ojciec Robleda nie miał w tym względzie żadnych wątpliwości, według Kirchera bowiem sztuka dźwięków również wchodziła w zakres magnetyzmu uniwersalnego. Starożytni wiedzieli, że skałe muzyczne zdolne są magnetycznie pobudzać duszę. Skała dorycka skłaniała do wstrzemięźliwości i umiarkowania, skała lidyjska wywoływała wzruszenie i płacz, skała miksolidyjska pobudzała do współczucia, litości, eolska lub jońska niosła sen i zobojętnienie. Jeśli potrzeć brzeg kieliszka wilgotnym palcem - wyjaśnił Robleda - naczynie wyda dźwięk, który rozchodzi się magnetycznie do innych identycznych kieliszków w pobliżu, wywołując rezonans. *Magnetismus musicae* ma też silne właściwości terapeutyczne, które uwidaczniają się zwłaszcza w leczeniu tarantyzmu.

- Tarantyzmu? - powtórzyłem, niepewny, czy dobrze usłyszałem. Cristofano przytaknął skinieniem głowy.

- W mieście Taranto w Królestwie Neapolu - ciągnął Robleda - występują niezwykle groźne pająki zwane tarantulami.

Ich ugryzienie -- tłumaczył jezuita - wywołuje straszliwe skutki. Najpierw ofiara zaczyna śmiać się do rozpuku, skręcając się i turlając po ziemi. Następnie wstaje, wyciąga prawe ramię w górę, jakby dzierżyła szpadę, niczym gladiator szykujący się do walki, po czym wykonuje kilka dziwaczknych gestów i ponownie tarza się po ziemi ze śmiechu. Później staje w pozie kondotiera. Ugryziony czuje silne pragnienie, a gdy poda mu się wodę, pije ją jak wróbel, gdy myje się przy fontannie. Wdrapuje się na drzewo i pozostaje tam nawet kilka dni. Na koniec schodzi na zie-



mię wyczerpany, opada na kolana, jęczy, wzdycha i bije pięściami w ziemię, jak epileptyk lub lunatyk, błagając o wymierzenie mu kary.

- To straszne! - wykrzyknąłem osłupiały. - Wszystko z powodu zwykłego ugryzienia tarantuli?

- Oczywiście! - potwierdził Robleda. - Nie mówiąc już o innych magnetycznych skutkach. Ugryzienie czerwonej tarantuli sprawia, że ofiara staje się czerwona na twarzy, tarantule zielone powodują, że ludzie zielenieją, podobnie rzecz się ma z tarantulami w paski. Tarantule wodne wywołują pragnienie, a te, które żyją w miejscach ciepłych - złość.

- Jak się leczy tarantyzm?

- Doskonaląc prymitywne metody wieśniaków z okolic Taranto - powiedział Robleda, po czym otworzył szufladę i wyjął z niej kartkę. - Ojciec Kircher opracował antidotum.

### TONUMFRIGIUM

Stu pettu e fatti Cimbalu d'Amuri  
Tasti li sensi mobili, et accorti  
Cordi li chianti, sospiri, e duluri  
Rosa e lu Cori miu feritu a morl i  
Strali e lu ferru, chiai só li miei arduri  
Marteddu e lu pensieri, e la mia sorti  
Mastra e la donna mia, ch'a tutti l'huri  
Cantando canta leta la mia morti\*.

Przeczytaliśmy niezrozumiałe słowa, spoglądając nieufnie na Robledę, który zrozumiał nasze zakłopotanie.

- Nie, nie chodzi tu o magię. Jest to wiersz, który wieśniacy mają zwyczaj śpiewać, grając na różnych instrumentach, aby magnetycznie zneutralizować działanie jadu tarantuli. Odtrutką jest nie treść, ale muzyka zwana tarantelą, czy coś w tym rodzaju. Ojciec Kircher, po długich poszukiwaniach, znalazł odpowiednią melodię.

To powiedziawszy, Robleda pokazał mi kawałek poźółkłej, zniszczonej kartki, z pięciolinia i nutami.

Wiersz w dialekcie z okolic Taranto w wolnym przekładzie: To serce stało się klawesynem miłości, którego klawisze są zmysłami, a zwinne struny to płacz, westchnienia i ból; moje serce jest różą śmiertelnie zranioną żelaznymi strzałami, namiętność jest jak gwoździe, a myśl jak młotek; moim przeznaczeniem jest kobieta, nauczycielka, która całymi godzinami śpiewa radośnie o mojej śmierci.

- Na jakich instrumentach gra się tę melodia?
- Wieśniacy z Taranto grają na bębenku, lirze, cytrze, cymbałkach i flecie. No i oczywiście na gitarze, jak Devize.
- Innymi słowy - wtrącił Cristofano - chce ojciec powiedzieć, że Devize mógłby uzdrowić Bedfordiego, grając tę melodię.
- Ależ nie! Stosuje się ją tylko w przypadku ugryzienia tarantuli. Trzeba spróbować czegoś innego.
- Innego rodzaju muzyki? - spytałem.
- Należy popробować różnych sposobów, pozostawmy decyzję Devizemu. Pamiętajcie jednak, dzieci, że w beznadziejnych przypadkach jedyną pomoc niesie Bóg, jako że - dodał Rt bleada - nikt jeszcze nie wymyślił lekarstwa na dżumę.
- Ma ojciec rację - przyznał Cristofano, ja tymczasem przypomniałem sobie o *arcanae obices*. - Ja również pokładam nadzieję w teorii ojca Kirchera.

Lekarz, jak sam przyznał, nie wiedział już, ?o robić. Ufając, że w wyniku zastosowanej przez niego terapii Bedfordi poczuje się lepiej, nie chciał pozbawiać pacjenta tej ostatniej, rozpaczliwej próby uzdrowienia. Oznajmił więc, że na razie nie będziemy informować pozostałych gości o ciężkim stanie Anglika.

Później, kiedy roznosiłem kolację, Cristofano powiedział mi, że wyznaczył Devizemu spotkanie na następny dzień. Francuski muzyk, który mieszkał obok Bedfordiego, miałby po prostu usiąść w drzwiach jego pokoju i zagrać na gitarze.

- A zatem do jutra rana, panie Cristofano.
- Nie, spotkamy się tuż przed obiadem. To najlepsza pora. Słońce jest wysoko, więc energia drgań muzycznych będzie się znakomicie rozprze-strzeniać. Dobranoc, chłopcze.

## Noc ósma

*z 18 na 19 września 1683 roku*

- Do licha! Ktoś go zamknął!

To było do przewidzenia - pomyślałem - kiedy Atto Melani mocował się z zamkniętym włazem, prowadzącym do wozowni. Już kiedy szliśmy podziemiami, w towarzystwie Ugonia i Ciacconia, którzy mruczeli coś pod nosem, czułem, że kolejny nocny wypad do domu Tiracordy zakończy się fiaskiem. Duicibeni domyślił się, że mamy go na oku. Być może nie wiedział, że obserwowaliśmy go w gabinecie Tiracordy, ale z pewnością nie chciałby, żeby ktoś go widział, kiedy załatwia jakieś dziwne sprawy ze swoim starym przyjacielem (lub przeciw niemu). Z tego właśnie powodu, kiedy znalazł się w domu krajana, zamknął za sobą właz.

- Proszę mi wybaczyć, panie Atto - powiedziałem, kiedy opat otrzępywał nerwowo dłonie - ale może tak jest lepiej. Jeśli Duicibeni dzisiejszej nocy, podczas rozwiązywania zagadek z Tiracordą, nie zauważy niczego podejrzanego, może jutro nie zamknie włazu.

- Nie sądzę - odparł oschle Atto. - Już wie, że jest obserwowany. Jeśli więc planuje jakiś ruch, będzie się śpieszył i uczyni go dzisiejszej noc, najpóźniej jutro.

- A zatem?

- Zatem musimy znaleźć jakiś sposób, by dostać się do domu Tiracordy, choć naprawdę nie wiem, jaki. Przydałby się...

- Gfrrrlulbh - przerwał mu Ciacconio, występując naprzód.

Ugonio spojrzał na niego karcąco.

- Nareszcie mamy ochotnika - rzekł z zadowoleniem opat Melani.

Rozdzieliliśmy się: Atto, Ugonio i ja poszliśmy korytarzem C, w kierunku podziemnej rzeki. Ciacconio natomiast wyszedł na powierzchnię przez szyb, prowadzący z tego samego korytarza na Piazza delia Roton-da, w pobliżu Panteonu. Nie chciał nam powiedzieć, w jaki sposób zamierza dostać się do domu Tiracordy. Opisał mi w najdrobniejszych

szczegółach, jak wygląda dom lekarza, ale łowca relikwii z rozbrajającą szczerością przyznał, że nasze informacje nie są mu potrzebne. Daliśmy Ciacconiowi nawet szkic domu, ale zaledwie się z nim rozstaliśmy, usłyszeliśmy krótkie mlaśnięcie. Żywoć naszej mapki był bardzo krótki.

- Myśli pan, że sobie poradzi? - spytałem opata.

- Nie mam pojęcia. Mówiliśmy mu aż do znudzenia o każdym zakamarku domu, ale zachowywał się tak, jakby wszystko wiedział. Nie cierpię tych dwóch potworów.

Rozmawiając, doszliśmy do potoku, gdzie dwie noce wcześniej straciliśmy z oczu Dulcibenię. Minęliśmy cuchnące martwe szczury i usłyszeliśmy szmer podziemnego strumienia. Tym razem byliśmy dobrze wyposażeni. Na prośbę Atta poszukiwacze relikwii przynieśli mocny sznur, gwoździe, młotek i kilka długich kijów. Wszystkie te rzeczy miały nam się przydać podczas ryzykownego przedsięwzięcia, które Atto pragnął za wszelką cenę zrealizować: przedostać się przez potok na drugi brzeg.

Dziś wydał nam się ciemniejszy, groźniejszy i bardziej cuchnący niż poprzednio. Przeszedł mnie dreszcz strachu, kiedy wyobraziłem sobie, że wpadam do tej brudnej wody. W milczeniu pomodliłem się do Boga, by dodał mi odwagi.

Tymczasem Atto oddalił się od nas i uważnie przyjrzał się ścianie tunelu, następnie przesunął po niej dłonią.

- Co pan robi? - spytałem wystraszony, gdy mocno wychylił się w stronę rzeki.

- Bądź cicho! - syknął Melani, macając ścianę, jakby czegoś szukał.

Już miałem go przytrzymać, na wypadek gdyby stracił równowagę, ale nagle wycofał się z niebezpiecznej pozycji, trzymając coś w lewej dłoni. Było to ciężko kotwiczne, jakiego używają rybacy do cumowania łodzi na Tybrze. Atto ciągnął linę do siebie, zwijając w kłębek. Gdy zaczęła stawiać opór, opat poprosił mnie i Ugonia, żebyśmy poszli na brzeg rzeki i rozejrzeli się. Po chwili w słabym świetle świecy naszym oczom ukazała się łódź.

- Teraz już chyba wszystko rozumiesz - powiedział nieco później opat, kiedy płynęliśmy unoszeni prądem.

- Szczerze mówiąc, nie - przyznałem. - W jaki sposób odkrył pan tę łódź?

- To proste. Aby przedostać się na drugi brzeg, Dulcibeni potrzebował łodzi, zacumowanej na skrzyżowaniu dwóch tuneli. Kiedy tu dotarliśmy, po łodzi nie było śladu, a nawet gdyby była, z pewnością uniósłby ją prąd rzeki.

- Gdyby była przywiązana liną - dodałem - nurt popchnąłby ją w kierunku tunelu po naszej prawej stronie, jako że rzeka płynie od lewej do prawej, po czym wpada do Tybru.

- Otóż to! Ciężno kotwiczne musiałyby być zatem przymocowane w jakimś miejscu po prawej stronie w stosunku do tunelu C, to znaczy zgodnie z nurtem rzeki. W przeciwnym wypadku ciężno znajdowałyby się na wprost nas, a lina rozciągałaby się od lewej do prawej, do łodzi. Właśnie dlatego szukałem go po prawej stronie. Przymocowane było do żelaznego haka, wbitego w ścianę.

Kiedy rozmyślałem o kolejnym dowodzie mądrości opata, Ugonio wiosłował dwoma wiosłami, które znalazł na pokładzie. W świetle lampy wylaniał się ponury, monotony widok. Plusk wody rozpryskującej się o naszą łódź odbijał się echem o kamienne beczkowe sklepienie.

- Nie był pan jednak całkowicie pewien, że Dulcibeni używał łodzi - stwierdziłem po chwili. - Powiedział pan przecież: „gdyby była”.

- Czasami, aby poznać prawdę, należy ją z góry założyć.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Dotyczy to także spraw państwowych. Wobec nielogicznych, niewytłumaczalnych faktów należy wyobrazić sobie konieczny warunek ich zaistnienia, nawet najbardziej niewiarygodny.

- Nie rozumiem.

- Najbardziej absurdalne prawdy, mój chłopcze, które są zarazem najk bardziej mroczne, nie pozostawiają po sobie śladów. Pamiętaj o tym!

- Czy to znaczy, że nigdy nie zostaną odkryte?

- Nie jest powiedziane. Istnieją dwie możliwości. Pierwsza z nich zakłada, że ktoś o czymś wie, ale brakuje mu dowodów.

- Co wtedy? - spytałem, niewiele rozumiejąc z wyjaśnień opata.

- Wtedy sam tworzy dowody, starając się, by prawda wyszła na jaw - odparł Atto spokojnie.

- Czy to znaczy, że można natrafić na fałszywe dowody faktów, które rzeczywiście miały miejsce? - spytałem zdumiony.

- Brawo! Nie jest to takie dziwne. Nie powinieneś popełniać tego samego błędu co wszyscy i w momencie, gdy zostanie dowiedzione, że jakiś dokument czy dowód jest fałszywy, uznawać za fałszywą również jego treść, twierdząc, że prawdą jest jej przeciwieństwo. Pamiętaj o tym,

kiedy zostaniesz kronikarzem. Często najgorsze, najstraszliwsze prawdy kryją się w sfalszowanych dokumentach.

- A jeśli nie ma się do dyspozycji nawet takich dowodów?
  - Wówczas, i to jest ta druga możliwość, nie pozostaje nam nic innego, jak snuć przypuszczenia, a następnie sprawdzić, czy nasze rozumowanie było słuszne.
  - Trzeba zatem przyjąć tę zasadę, żeby wyjaśnić *secretum pestis*.
  - Nie tak od razu - odparł Melani. - Najpierw należy zrozumieć rolę poszczególnych osób, przede wszystkim zaś komedię, która jest odgrywana. Myślę, że odkryłem jej cel.
- Spojrzałem na opata w milczeniu, nie kryjąc ciekawości.
- Chodzi o spis przeciw Arcychrześcijańskiemu Królowi - oznajmił uroczyście Atto.
  - Któż mógłby go zawiązać?
  - To jasne. Jego żona, królowa.

Widząc moje niedowierzanie, Atto odświeżył mi nieco pamięć. Ludwik XIV uwięził Fouqueta, żeby zmusić go do wyjawienia sekretu dżumy. Wokół nadintendenta skupiły się osoby, które, podobnie jak on, zostały poniżone lub zniszczone przez króla. Przede wszystkim Lauzun, osadzony w Pinerolo w roli szpiega. Była jeszcze Mademoiselle, bogata kuzynka Jego Wysokości, której władca zabronił poślubić Lauzuna. Devize, który przywiózł Fouqueta do „Donzella”, był oddany królowej Marii Teresie, która od Ludwika XIV doświadczyła lekceważenia i wszelkiego rodzaju zniewag.

- Ale to nie wystarczy, by twierdzić, że wszystkie te osoby wzięły udział w spisku przeciw Arcychrześcijańskiemu Królowi - wtrąciłem z powątpiewaniem.
- To prawda, ale zastanów się: król pragnął zdobyć sekret dżumy Fouquet nie chciał mu go wyjawić, utrzymując zapewne, że o niczym nie wie. Kiedy list Kirchera, który znaleźliśmy w bieliźnie Dulcibieniego, dotarł do rąk Colberta, Fouquet nie mógł się dalej wykręcać, w obawie o życie swojej rodziny i własne. W końcu zawarł układ z królem i wyszedł z Pinerolo w zamian za *secretum pestis*. Zgadza się?
- Zgadza.
- W tym momencie król triumfował. Twoim zdaniem Fouquet był zadowolony po dwudziestu latach więzienia i utracie całego majątku?

- Nie.
- Byłoby zatem rzeczą ludzką odegrać się w jakiś sposób na królu?
- No tak.
- Wyobraź sobie, że twój bardzo wpływowy wróg zmusza cię do zdradzenia tajemnicy dżumy. Pragnie ją poznać za wszelką cenę, bo chce być jeszcze silniejszy. Nie wie jednak, że znasz także sekret antidotum, *secretum vitae*. Jeśli nie możesz użyć go osobiście, co czynisz?
- Przekazuję go komuś innemu... na przykład wrogowi mojego wroga.
- Doskonale. Fouquet miał pod dostatkiem takich ludzi, gotowych zemścić się na Królu Słońce. Począwszy od Lauzuna.
- Dlaczego pańskim zdaniem Ludwik XIV nie domyślił się, że Fouquet zna też sekret antidotum przeciw dżumie?
- Jak sobie zapewne przypominasz, w liście Kirchera napisane było: *secretum vitae arcanae ohices celant*, czyli że sekret życia ukryty jest w tajemnych przeszkodach, a sekret zarażenia dżumą nie. Fouquet nie mógł zanegować, że zna *secretum morhi*, ale zachował dla siebie sekret antidotum, tłumacząc się, że Kircher mu go nie wyjawiał. Przyszło mu to z łatwością, jako że król pragnął wiedzieć, jak wywołać dżumę, a nie jak ją zwalczyć.
- Wydaje mi się to trochę zawile.
- Ale wszystko się zgadza. Czy wiesz, komu Ludwik XIV mógłby zaszkodzić, znając sekret dżumy?
- Przede wszystkim cesarstwu - odparłem, myśląc o tym, co mi powiedział Brenozzi.
- Doskonale. A także Hiszpanii, która przez wiele wieków prowadziła wojny z Francją, czy tak?
- Możliwe - przyznałem, choć nie pojmowałem, do czego Atto zmierza.
- Zarówno cesarstwo, jak i Hiszpania są w rękach Habsburgów. Z jakiej dynastii wywodzi się królowa Maria Teresa?
- Z Habsburgów.
- Otóż to! Powinniśmy zatem założyć, że Maria Teresa zdobyła lub użyła *secretum vitae* przeciw Ludwikowi XIV. Fouquet mógł wyjawić *secretum vitae* Lauzunowi, który przekazał go Mademoiselle, a ona - królowej.
- Królowej, która skrycie działała przeciw mężowi - myślałem głośno. - To niebywałe!
- Mylisz się - odparł Atto - ponieważ zdarzył się swojego rodzaju precedens.

W 1637 roku - powiedział Atto - na rok przed narodzinami Ludwika XIV, tajne służby korony francuskiej przechwyciły list ambasadora Hiszpanii w Brukseli. List adresowany był do Anny Austriaczki, siostry króla Hiszpanii Filipa IV i żony króla Ludwika XIII, czyli do matki Króla Słońce. Jak wynikało z listu, Anna Austriaczka prowadziła tajną korespondencję ze swoją dawną ojczyzną, i to w czasie, gdy Francja i Hiszpania prowadziły ze sobą wojnę. Król i kardynał Richelieu zlecili rzecz dokładnie i dyskretnie zbadać. Szpiegzy odkryli, że królowa często odwiedzała pewien paryski klasztor, oficjalnie po to, żeby się pomodlić, w rzeczywistości jednak wymieniała tam listy z Madrytem i hiszpańskimi ambasadorami w Anglii i we Flandrii.

Anna zaprzeczyła, jakoby zajmowała się szpiegostwem. Richelieu wezwał ją na prywatną rozmowę, podczas której oświadczył królowej, że grozi jej więzienie, ale zwykła spowiedź może ją ocalić. Ludwik XIII był gotów jej wybaczyć w zamian za szczegółowe streszczenie informacji, które poznała dzięki tajnej korespondencji z Hiszpanami. Listy Anny Austriaczki nie dotyczyły bowiem codziennego życia na paryskim dworze (gdzie Anna, podobnie jak później Maria Teresa, nie czuła się szczęśliwa). Królowa Francji wymieniała z Hiszpanami cenne informacje natury politycznej, mając zapewne nadzieję, że zdoła przyśpieszyć koniec wojny. Tym samym jednak działała na szkodę Francji. W końcu Anna wszystko wyznała.

- W roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym dziewiątym, podczas negocjacji pokojowych na Wyspie Bażanciej - ciągnął Atto - Anna zobaczyła się ze swoim bratem, królem Hiszpanii Filipem IV. Nie widzieli się od czterdziestu pięciu lat. Rozstali się, kiedy Anna miała zaledwie szesnaście lat i na zawsze wyjechała do Francji. Po długiej rozłące Anna uściśkała serdecznie brata, ale Filip odsunął się od siostry, patrząc jej prosto w oczy. Spytała więc: „Wybaczysz mi, że stałam się dobrą Francuzką?”. „Szanuję cię za to” - odparł brat. Odkąd Anna przestała dla niego szpiegować, Filip przestał ją kochać.

- Przecież była królową Francji, nie mogła...

- Wiem, wiem — przerwał Atto. - Opowiedziałem ci tę historię tylko po to, żebyś zrozumiał, jacy są Habsburgowie. Także wtedy, gdy poślubiają obcego władcę, nadal pozostają Habsburgami.

- Czarna woda burzy się.

Naszą rozmowę przerwał Ugonio, wyraźnie zaniepokojony. Podziemna rzeka zmieniła się nagle w rwący potok. Poszukiwacz relikwii wiosłował



z zapalem, ale tak, aby zmniejszyć szybkość naszej łodzi. Wiosłując pod prąd, złamał wiosło o twarde koryto rzeki. Właśnie dotarliśmy do miejsca, w którym potok się rozwił. Jedna odnoga była dwukrotnie szersza od drugiej. Plusk i szybkość wody znacznie się zwiększyły.-

- W prawo czy w lewo? - zapytał Ugonia.

- Zmniejszając obawy, żeby ich nie powiększać, raczej dla pożytku niż dla szkody, wybrał inny kierunek - powiedział Ugonio, ale opat nie wyglądał na zadowolonego.

- Zostań w szerszym odgałęzieniu, nie skręcaj - powiedział Atto. - Węższa odnoga może się okazać ślepa.

Ugonio jednak wpłynął do węższej odnogi, gdzie nurt nie był już taki szybki.

- Dlaczego mnie nie posłuchałeś? - rozżoślił się opat.

- Mały tunelik przepustowy przynosząc chrześcijaninowi radość, a duży śmierdziawszy.

Atto potarł oczy, jakby poczuł silny ból głowy, ale nie starał się dociekać sensu odpowiedzi Ugonia i zamilkł.

Wkrótce nadarzyła się okazja, by opat Melani mógł wyładować swoją złość. Po kilku minutach spokojnego żeglowania sklepienie tunelu obniżyło się.

- To zwykły kanał ściekowy. Do licha z tobą i twoim ptasim mózdzkiem! powiedział Atto.

- Ale za to nie śmierdziawszy, jednakowoż ażalż drugie ramię cuchnąwszy odparł Ugonio niespeszony.

- Co to znaczy? zapytał, widząc, że tunel staje się jeszcze niższy.

Nie cuchnie, bo się zwęża - wyjaśnił Atto.

Przestaliśmy zastanawiać się nad słownymi hieroglifami Ugonia, także dlatego, że tunel stał się tak niski, iż musieliśmy mocno się pochylić. Ugonio wiosłował z wielkim trudem, Atto nadawał kierunek kijem, którym odpychał się od dna. Fetor czarnej wody stawał się nic do zniesienia z powodu ciasnoty otaczającej nas przestrzeni. Zatęskniłem za Cloridią, za przekleństwami Pellegrina, za słońcem i za własnym łóżkiem.

W pewnej chwili usłyszeliśmy plusk dochodzący z prawej strony łodzi. Jakieś żywe, nieznanne istoty płynęły obok nas.

- To myszozzczury — oznajmił Ugonio.

- Obrzydliwość! - skomentował opat Melani.

Sklepienie tunelu obniżyło się jeszcze bardziej. Ugonio musiał wciągnąć wiosło na pokład. Atto, siedząc na rufie, kierował łodzią za pomocą

kija, którym odpychał się od dna. Woda była teraz prawie nieruchoma. Do naszych uszu dochodziły złowieszcze piski szczurów, dziwnie kontrastujące z rytmicznymi ruchami wiosel w rękach opata.

- Gdybym nie wiedział, że żyję, powiedziałbym, że to Styks - oznajmił Atto, posapując z wysiłku. - Oczywiście, o ile się nie mylę co do pierwszego punktu.

Leżeliśmy na pokładzie łodzi, przyciśnięci jeden do drugiego. W pewnej chwili usłyszeliśmy, że akustyka w tunelu zmieniła się, jakby stał się on większy. Spoglądając w górę, ku naszemu zdziwieniu dostrzegliśmy ognisty krąg. Odnieśliśmy wrażenie, że żółtoczerwone płomienie za chwilę nas dosięgną.

W kręgu stali trzej magowie, nieruchomi i złowieszczy. Mieli na sobie karmazynowe komże z długimi, stożkowymi kapturami. Patrzyli na nas chłodnym spojrzeniem złych, błyszczących oczu. Jeden z magów dzierżył w dłoni czaszkę.

Niecodzienny widok wprawił nas w osłupienie. Wtem poczuliśmy mocne szarpnięcie. Łódź zbczyła z kursu i ustawiła się w poprzek tunelu. Uderzając dziobem i rufą o ściany kanału, zaklinowała się dokładnie pod ognistym kołem.

Jeden z trzech magów (a może byli to strażnicy piekieł?) pochylił głowę, przyglądając się nam nieprzychylnie, a zarazem z ciekawością. Trzymał w ręku pochodnię, którą kilkakrotnie zakołysał, starając się lepiej oświetlić nasze twarze. Jego towarzysze mówili coś półgłosem.

- Chyba jednak pomyliłem się co do pierwszego punktu - wyszeptał Atto.

Po chwili wychylił się ku nam drugi mag, który dzierżył w ręku dużą białą świecę. Ugonio krzyknął z przerażenia i zaczął kręcić się jak szalony, dając mi niechcący kopniaka w brzuch i uderzając w nos opata Melaniego. Obaj zareagowaliśmy z niewybaczalną nieostrożnością, miotając się i broniąc przed uderzeniami. Na skutek naszych gwałtownych ruchów łódź wyprostowała się i zaczęła się kołysać. Usłyszałem głośny plusk, a właściwie dwa.

Świat nagle zniknął i wszystko stało się czarne i zimne. Z diabelskich otchłani wydobywały się jakieś stworzenia, ocierały się o moją twarz i pokrywały ją obrzydliwym plugastwem. Krzyknąłem raz i drugi.

Nie wiem, jak długo (sekundy, może godziny?) trwał koszmar w podziemnym kanale. Wiem tylko, że uratował mnie Ugonio, który zręcznie

wyciągnął mnie z wody i jak psiaka rzucił na twarde dno łodzi, omal nie łamiąc mi karku.

Śmiertelnie przerażony, nie mogłem sobie niczego przypomnieć. Prawdopodobnie poniósł mnie nurt wody - pomyślałem. Oddaliłem się od łodzi, chwilami brodząc w wodzie (sięgałem dna, stojąc na czubkach palców), chwilami unosząc się na powierzchni, aż w końcu przyszedł mi z pomocą Ugonio. Teraz leżałem na pokładzie łodzi, która znowu płynęła prosto.

Bolały mnie plecy, drżałem z zimna i strachu. Usiadłem, rozejrzałem się dookoła, nie mogąc uwierzyć, że wyszedłem cało z opresji.

- Powinniście mi obaj podziękować - powiedział Atto. - Jeśli, wpadając do wody, zgubiłbym lampę, stalibyśmy się pokarmem dla szczurów.

W słabym świetle lampy widok podziemnego świata był niezwykły. Znajdowaliśmy się pośrodku rozległego jeziora. Nad naszymi głowami otwierała się olbrzymia czelusć. Wszędzie wokół tylko ciemna, groźna woda. Na szczęście byliśmy cali i dopływaliśmy do jakiejś wyspy.

- Bardziej dla pożytku niż szkody, będąc bardziej ojcem niż ojco-bójcą, wyczuwam sprawcę tego śmierdzącego spektaklu. To obrzydliwy przestępca!

-- Masz rację. Kimkolwiek był, to potwór - powiedział Atto, po raz pierwszy zgadzając się z Ugoniem.

Zbadanie wyspy, na którą trafiliśmy zrządzeniem losu (albo raczej wskutek braku rozwagi i bojaźni bożej), nie przedstawiało większych trudności. Mały skrawek ziemi można było przemierzyć w kilka minut, gdyż był on niewiele większy od powierzchni skromnego kościółka Santa Maria in Posterula.

Zainteresowanie Atta i Ugonia wzbudził środek wysepki, gdzie zgromadzone były przedmioty różnej wielkości, których z łodzi dobrze nie widziałem.

Drżałem z zimna, *moje* ubranie było całkowicie *przemoczone*. Postanowiłem trochę się poruszać i rozgrzać, więc wysiadłem z łódki, stawiając stopy na szarym gruncie wyspy. Podszedłem do Atta i Ugonia, którzy rozglądali się wokół z zamyślnym, a zarazem zde gustowanym wyrazem twarzy.

- Muszę przyznać, chłopcze, że masz prawdziwy talent do omdleń - oznajmił Atto. - Jesteś bardzo błądy. Widzę, że niedawne spotkanie przeraziło cię nie na żarty.

- Kim byli ci ludzie? Wyglądali jak...

- Nie, to nie byli strażnicy piekieł, ale członkowie Towarzystwa Modlitwy i Śmierci.

- Tego pobożnego bractwa, które grzebie porzuconych zmarłych?

- Właśnie. Przyszli też pod gospodę po ciało nieszczęsnego Fouqueta, pamiętasz? Zapomniałem, że na czas procesji zakładają komże, kaptury, niosą pochodnie, czaszki i tym podobne rzeczy. Są dość oryginalni.

- Ugonio też się wystraszył - zauważyłem.

- Spytałem go, dlaczego tak się przeraził, ale nie chciał mi powiedzieć. Mam wrażenie, że poszukiwacze relikwii niczego tak się nie boją jak Towarzystwa Modlitwy i Śmierci. Członkowie towarzystwa przemierzali korytarz, w którym znajduje się właz prowadzący do kanału. Znaleźli się przy włazie dokładnie wtedy, kiedy byliśmy tuż pod nim. Usłyszeli nas i spojrzeli w dół, przez otwór, a strach splątał nam brzydkiego psikusa. Wiesz, co było potem?

- Niestety... nic nie pamiętam - odparłem.

Atto streścił mi przebieg wydarzeń. On i Ugonio wpadli do wody, a łódka zachwiała się i wywróciła do góry dnem. Znalazłem się pod nią i dlatego moje krzyki były stłumione, jak z wnętrza beczki. Zamieszanie wystraszyło kanałowe szczury, które wdrapały się na mnie i uwaląły ekskrementami.

Dotknąłem swojej twarzy i przekonałem się, że to prawda. Wytarłem ją przedramieniem. Z obrzydzenia chwyciły mnie mdłości.

- Miałeś szczęście - ciągnął Melani - że razem z Ugoniem zdołaliśmy uwolnić cię od tych obrzydliwych stworzeń.

- Myszoszczurów - uściślił Ugonio, wpatrując się w coś w rodzaju klatki leżącej u naszych stóp.

- Myszy, szczury, wszystko jedno! Krótco mówiąc - kontynuował opat - wydostaliśmy ciebie i łódź z kanału i znaleźliśmy się na tym podziemnym jeziorze. Trzej zakapturzeni ludzie nie poszli za nami, zostawiając nas na szczęście w spokoju. Odwagi, chłopcze! Nie tylko tobie jest zimno. Spójrz na mnie. Ja również jestem przemoknięty i zablocony. Kto by pomyślał, że zniszczę tyle ubrań, mieszkając w twojej gospodzie. Chodź ze mną!

To powiedziawszy, wskazał jakąś dziwną konstrukcję pośrodku wyspy.

Na dwóch dużych blokach białego kamienia leżały dwie płyty z ciemnego, przegniłego drewna. Na jednej z nich dostrzegłem przeróżne narzędzia, takie jak szypce, małe i duże noże, nożyce i kilka ostrzy bez trzonka. Przyświeciwszy sobie lampą, zauważyłem, że wszystkie te przed-

mioty nosiły ślady zakrzepłej krwi różnego koloru, od czerwonego po czarny. Prowizoryczny stół potwornie cuchnął padliną. Wśród noży stały dwie na wpół wypalone świece. Opat Melani zapalił je.

Podszedłem do drugiego prowizorycznego stołu, na którym leżały inne, bardziej tajemnicze przedmioty: ozdobny dzban z ceramiki z pokrywką, z kilkoma otworkami po bokach (to naczynie wydało mi się dziwnie znajome), ampulka z przezroczystego szkła (również skądś mi znana), gliniana pomarańczowa miseczka w kształcie odwróconego stożka, o średnicy około trzydziestu centymetrów, z przymocowanym pośrodku dziwnym metalowym przyrządem. Było to coś w rodzaju niewielkiej szubienicy: na szerokiej podstawie zamocowany był pionowo drążek, zakończony dwoma zakrzywionymi ramionami, które za pomocą śruby mogły być dowolnie zaciskane, jakby po to, by udusić jakiegoś nieszczęsnego małego człowieczka. Naczynie wypełnione było do połowy wodą, która całkowicie zakrywała szubieniczkę (wysokości zwykłego dzbanka), z wyjątkiem wierzchołka, przeznaczonego do duszenia.

Obok stołu zobaczyłem najdziwniejszy przedmiot tajemniczego laboratorium - metalową klatkę wysokości małego dziecka, z gęsto osadzonymi prętami, taką, w jakiej więzi się małe ruchliwe stworzenia motyle albo kanarki. W klatce coś się poruszyło. Z małej drewnianej budki wyłożonej słomą wyrzało szare, wystraszone zwierzątko.

Atto przybliżył lampę, żebym mógł dokładniej obejrzeć to, co obaj z Ugoniem już rozpoznali. Okazało się, że była to zwykła mysz, jedyny więzień na wyspie, wyraźnie wystraszona naszą obecnością.

Wokół klatki zgromadzone były inne groźnie wyglądające przedmioty, wzbudzające nasze obrzydzenie i zarazem ciekawość: urny wypełnione żółtawym proszkiem, cieczą, wydzielinami, żółcią, flegmą, śluzem, dzbanki z tłuszczem zwierzęcym (czy ludzkim?) wymieszanym z popiołem, kawałkami skóry i innymi ohydnyimi składnikami, retorty, aparaty destylacyjne, karafki, wiadro pełne zwierzęcych kości (które Ugonio uważnie oglądał), zgniłego mięsa, spleśniałych skórek owoców, łupin orzechów, gliniany dzban z kosmykami włosów, słój z węzami w spirytusie, siatka na ryby, piecyk z miechem, drewno opałowe, zbutwiałe kartki papieru, węgiel, kamienie, wreszcie para brudnych czerwonych rękawic i sterta poplamionych szmat.

- To jaskinia czarownika - stwierdziłem zdumiony.

- Gorzej - powiedział Atto, rozglądając się po tej aptece szaleńca. - To laboratorium Dulcibeniego, gościa twojej gospody.

- Do czego mu to wszystko? - przeraziłem się.
- Nie wiem. Zapewne robi jakieś doświadczenia na szczurach.

Poszukiwacz relikwii przyglądał się w zamyśleniu rzeźniczej płycie, zupełnie nie zważając na bijący od niej fetor.

- Więziwszy, dusiwszy, tnąwszy nożem... ale co potem? - zastanawiał się Ugonio.

- Wielkie dzięki, tyle to i ja wiem - odparł Atto. - Najpierw chwytą szczury siatką na ryby i wsadza je do klatki. Później odprawia nad nimi jakieś dziwne czary, dusi na tej szubienicy i ćwiartuje. Co dalej, nie wiadomo - powiedział Atto ze złośliwym uśmiechem. - W każdym razie przestrzega zaleceń jansenistów z Port Royal. Mysz w klatce jest chyba jedyną ocalałą ofiarą.

- Panie Atto - powiedziałem, czując mdłości na widok tego całego plugastwa. - Czy nie wydaje się panu, że niektóre z tych rzeczy już gdzieś widzieliśmy? - Wskazałem ampułkę leżącą obok miniaturowej szubienicy.

Atto bez słowa wyjął z kieszeni jakieś zawiniątko, rozwinął i pokazał mi kawałki stłuczonej ampułki, którą znaleźliśmy w korytarzu D.

- Są identyczne! - wykrzyknąłem zaskoczony.

Obydwie ampułki miały ten sam kształt i kolor.

- Widzieliśmy też ozdobny słój z pokrywką - powiedziałem. - Jeśli się nie mylę, znajdował się w...

- ...schowku Tiracordy - dokończył Atto.

- Właśnie!

- Masz na myśli słój, który oglądał Dulcibeni, kiedy jego przyjaciel zasnął. Ale ten jest większy i ma więcej rysunków. Motywy dekoracyjne i otworki po bokach są niemal identyczne, zapewne słój wykonał ten sam rzemieślnik.

Ten na wyspie również miał otworki wentylacyjne i ozdobiony był rysunkiem szuwarów i małych stworzeń wodnych, prawdopodobnie kijanek, pływających między roślinami. Zdjąłem pokrywkę, przybliżyłem naczynie do lampy i zajrzałem do środka. W dzbanie był jakiś szary płyn, na powierzchni unosiły się kawałki cienkiego białego płótna.

- Pan Cristofano mówił, że niebezpiecznie jest dotykać szczurów podczas epidemii dżumy.

- Wiem. Myślałem o tym, kiedy znaleźliśmy zdechłe szczury z zakrwawionymi pyszczkami. Dulcibeni najwidoczniej nie podziela naszych obaw.

- Okropna wyspa, niebędąca sprzyjająca - oznajmił Ugonio poważnym tonem.

- Wiem, wiem, zaraz wracamy. Zamiast narzekać mógłbyś przynajmniej powiedzieć, gdzie jesteśmy, bo przecież dotarliśmy tu dzięki tobie.

- Istotnie - dodałem - gdybyś w miejscu rozwidlenia kanału wybrał drugą odnogę, nie odkrylibyśmy wyspy Dulcibeniego.

- Mimo że niebędącą sprzyjającą, jest tu ołtarz zdobijący rzecz zachwycającą.

- Dzisiaj przyszła mu ochota na końcówkę *-aca* - mruknął pod nosem opat Melani, wnosząc oczy ku niebu, jakby szukał tam ratunku. Zamilkł na chwilę, po czym wykrzyknął: - Może ktoś mi w końcu powiedząca, czym, do licha, jest ta wyspiąca!

Okrzyk opata rozniósł się echem po całej grocie, po czym nastąpiła cisza. Ugonio zaprosił mnie gestem, żebym za nim poszedł. Gdy to uczyniłem, pokazał mi drugą stronę kamiennego bloku, będącego podstawą stołu. Pokiwał głową, chrząkając z zadowolenia, jakby w odpowiedzi na wyzwanie Melaniego.

Po chwili dołączył do nas Atto. Na kamieniu widniała płaskorzeźba przedstawiająca postacie ludzi i zwierząt. Podeszedłszy bliżej, Melani zaczął niecierpliwie przesuwając dłońią po powierzchni kamienia, jakby szukał potwierdzenia tego, co widzi.

- Nadzwyczajne! To mitreum - wyszeptał. - Spójrz tutaj! .lak w pod ręczniku, jest wszystko, co trzeba: byk, skorpion...

Znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie dawno temu wznosiła się podziemna świątynia, w której starożytni Rzymianie oddawali cześć bogu Mitrze. Było to bóstwo Słońca ze wschodu wyjaśnił Atto - niemal tak popularne jak Apollon. Opat był najzupełniej pewien, że to mitreum. Świadczyła o tym wyrzeźbiona scena, typowa dla kultu Mitry, przedstawiająca boga, który zabija byka, i skorpiona chwytającego szczypcami jądra zwierzęcia. Przypuszczenie Atta potwierdzało usytuowanie świątyni w podziemiach (zakładając, że tak było od samego początku).

- Znaleźliśmy tylko dwa kamienie świątynne - powiedział Atto - zapewne dlatego, że resztę budowli pochłonęły wody jeziora.

- Jak mogło do tego dojść?

- Od czasu do czasu podziemne rzeki zmieniają swój bieg, wydrążają nie tylko nowe tunele, ale także groty, jaskinie i olbrzymie jamy. Podmyte mury starożytnych rzymskich budowli zawałyły się, a rzeka wydrążyła sobie inne koryto. Taka jest natura *urbs subterranea*. Materiał z zawałonych obiektów został wykorzystany do wznoszenia nowych budynków.

Mimo woli pomyślałem o pęknięciu w ścianie gospody, które pojawiło się po podziemnym wybuchu.

Tymczasem Ugonio znowu się niecierpliwił. Postanowiliśmy spuścić łódź na wodę i wracać. Atto nie mógł się doczekać spotkania z Ciacconiem, by dowiedzieć się, jak przebiegła jego wizyta w domu Tiracordy. Wsiadliśmy na pokład naszej skromnej łodzi (która na szczęście nie poniosła żadnych szkód) i popłynęliśmy z powrotem.

Ugonio był najwyraźniej w złym humorze. Kiedy dopływaliśmy do środka jeziora, nagle wyskoczył z łodzi i rozchlapując wodę na wszystkie strony, brodził w stronę wyspy.

- Ugonio! - zawołałem w przypływie zdumienia.

- Zaraz wróci - uspokoił mnie Atto, który najwidoczniej zrozumiał, o co chodzi łowcy relikwii.

I rzeczywiście: po kilku sekundach Ugonio wskoczył do łódki. Wyglądał na zadowolonego.

- Wyspa niesprzyjająca - mruknął pod nosem. Zanim wrócił do łodzi, wypuścił mysz z klatki.

Powrót dusznym kanałem dopływającym do jeziora przebiegł w sposób mniej dramatyczny, ale równie męczący jak podróż w tamtą stronę. Przeciwny prąd rzeki, choć słaby, utrudniał nam wiosłowanie. Wszyscy milczeliśmy. Atto i Ugonio stali na rufie, odpychając łódź kijami, ja natomiast, dla przeciwwagi, siedziałem na dziobie i oświetlałem drogę lampą.

W pewnej chwili zapragnąłem przerwać tę męczącą ciszę, zakłócaną jedynie pluskiem wody.

- Panie Atto, kiedy mówił pan o ruchach podziemnych rzek, o czymś sobie przypomniałem.

Opowiedziałem Melaniemu o broszurze astrologicznej Stilone Priasa, w której wyczytałem, że na wrzesień zapowiadano trzęsienia ziemi i tym podobne zjawiska. Przed kilkoma dniami w gospodzie dał się słyszeć potężny wybuch dochodzący z piwnicy, po czym w ścianie nad schodami pojawiło się pęknięcie. Czy w grę wchodziło wyłącznie udane proroctwo? A może autor gazetki po prostu wiedział, że we wrześniu zwykle występują tego typu naturalne zjawiska?

- Osobiście nie wierzę w te bzdury - oznajmił opat Melani z pogardliwym uśmiechem. - W przeciwnym razie udałbym się do astrologa, żeby przepowiedział mi przyszłość. Mimo że urodziłem się trzydziestego pierwszego marca, nie sądzę...

- Znak Barana - wymamrotał Ugonio.



Atto i ja spojrzeliśmy po sobie.

- Zapomniałem, że znasz się na tym - powiedział Atto, tłumiąc śmiech.

Poszukiwacz relikwii, zupełnie niespeszony, stwierdził, że zdaniem wybitnego astrologa Arcandama człowiek urodzony w znaku Barana jest porywczy i łatwo wpada w gniew. Włosy ma rude lub koloru blond, bardzo gęste, mocny zarost, znamię na plecach lub na lewej nodze, ładne oczy i nos, białe zęby, wydatne szczęki. Jest dobrym obserwatorem, elokwentny, skłonny do rozrzutności. Rzadko choruje, jedynie czasem boli go głowa. Typ samotnika, choć ma wielu przyjaciół. Bywa kapryśny i zmienny w nastrojach. Obmyśla podstępny i często podejmuje się niebezpiecznych przedsięwzięć. Ma naturę odkrywcy. Jest inteligentny, potrafi kojarzyć fakty i analizować je. Dobry negocjator. Szczęście go nie opuszcza.

Młody Baran bywa kłótlivy i porywczy, ale nie gniewa się długo, zwodzi, oszukuje, słodkimi słówkami pokrywa kłamstwo. Mówi jedno, czyni drugie, nie dotrzymuje obietnic. Lubi pieniądze, kupuje i sprzedaje z zyskiem, ale nie przywiązuje wagi do majątku. Jest zawistny, łatwo się irytuje, wzbudza zazdrość, ma więc wielu wrogów. Co do pecha, z każdego niepowodzenia potrafi wyciągnąć korzyść. Łatwo traci to, co zdobył, i równie łatwo odzyskuje. Wiele bogactw otrzymuje w prezencie.

Dużo podróżuje, wyjeżdża z kraju, opuszcza rodziców. W wieku dwudziestu trzech lat osiąga dobrą pozycję i obraca dużymi pieniędzmi. W wieku czterdziestu lat staje się bogaty i zdobywa sławę. We wszystkim dochodzi do perfekcji. Jest ceniony i otaczany powszechnym szacunkiem. Nie poślubia pierwszej kobiety, którą pokocha, ale inną, i ma z nią wspańnięte dzieci. Prowadzi rozmowy z ludźmi Kościoła. Jeśli urodził się za dnia, bywa szczęśliwy i szanowany przez księżąt i władców. Przeciętnie żyje osiemdziesiąt siedem lat i trzy miesiące.

Zamiast żartować sobie ze słów Ugonia słuchaliśmy go z najwyższą uwagą. Opat Melani przestał nawet kierować łodzią. Zadanie to wziął na siebie poszukiwacz relikwii.

- Zastanówmy się - powiedział Atto. - Bogaty, to prawda. Zdolny negocjator, też prawda, podobnie jak to, że zanim osiwałem, miałem jasne włosy. Podróżnik, dobry obserwator. Mocny zarost, piękne oczy, białe zęby, wydatne szczęki, zgadza się. Elokwentny, czytany, obdarzony zmienną i energiczną naturą, bez wątplenia. Co jeszcze? Aha, szacunek księżąt, rozmowy z dostojnikami Kościoła, bóle głowy. Nie mam pojęcia, skąd Ugonio wziął ten opis osoby spod znaku Barana, ale wiele cech odpowiada prawdzie.

Nie ośmieliłem się spytać Atta, czy cechuje go również skąpstwo, porywczosć, przebiegłość, czy jest zawistny, posługuje się kłamstwem i groźbą, o czym wspominał horoskop. Nie spytałem też Ugonia, dlaczego pominął taką cechę Barana jak próżność. Powstrzymałem się od komentarza na temat małżeństwa i potomstwa, które w wypadku opata nie wchodziły w grę.

- Widzę, że znasz się na astrologii - pogratulowałem Ugoniowi, pamiętając jeszcze o jego długim *excursus* na tematy medyczne sprzed kilku dni.

- Przeczytałem, posłuchałem, zapamiętałem.

- Trzeba ci wiedzieć, chłopcze - zwrócił się do mnie opat - że w tym świętym mieście każdy dom, mur, kamień przesiąknięty jest magią, przesądem, mroczną tajemnicą. Nasze dwa potwory przeczytały zapewne jakiś poradnik astrologiczny. Ukazuje się sporo tego typu książek, choć nikt o tym głośno nie mówi. Gorszą się tylko naiwni, przypomnij sobie historię opata Morandiego.

W tej samej chwili usłyszeliśmy głośny szum wody. Dopływaliśmy do kanału głównego.

- Łapmy się za wiosła - polecił opat, gdy nasza łódź wpłynęła w rwący nurt podziemnej rzeki.

Spojrzelśmy po sobie w milczeniu.

- Wiosła? Chyba je zgubiliśmy, kiedy zobaczyliśmy członków Towarzystwa Śmierci.

Atto popatrzył z wyrzutem na Ugonia, jakby domagał się wyjaśnień.

- Baran jest też roztrzepany - bronił się Ugonio, starając się wmówić opatowi, że to z jego winy zgubiliśmy wiosła.

Łódka niesiona wartkim prądem wody zaczęła płynąć coraz szybciej. Na nic się zdały próby wyhamowania jej biegu za pomocą kijów, które wbijaliśmy w dno.

Jakiś czas dryfowaliśmy, kiedy z lewej strony wlała się do kanału wysoka fala dopływu. Musieliśmy przytrzymać się burty, żeby nie wypaść z łodzi. Szum wody stał się głośniejszy, ściany kanału nie dawały żadnego punktu zaczepienia. Żaden z nas nie był w stanie wykrztusić słowa.

Ugonio chciał zaczepić sznur, który zabrał ze sobą, o jakiś występ w murze, ale kamienie i cegły były zupełnie gładkie.

Przypomniałem sobie, że gdy płynęliśmy w tamtą stronę, łowca relikwii wyjaśnił, wprawdzie dość enigmatycznie, powód, dla którego nie chciał płynąć szerszą odnogą rzeki.

- Powiedziałaś, że szersze ramię rzeki śmierdzi? - spytałem.

- Drugie odgałęzienie cuchnące - potwierdził Ugonio.

Niespodziewanie znaleźliśmy się pośrodku czegoś w rodzaju skrzyżowania wód. Z obydwu stron wpadały do rzeki z impetem dwa identyczne dopływy.

W tym właśnie miejscu nastąpił początek końca. Łódka zaczęła zachowywać się jak pijana, kręcąc się wokół własnej osi, najpierw powoli, później coraz szybciej. Uczepiliśmy się burty i siebie nawzajem. Wskutek wirowania łodzi straciliśmy orientację, tak że przez chwilę miałem dziwne wrażenie, że płyniemy rzeką pod prąd, ku ocaleniu.

Tymczasem ogłuszający szum wody stawał się coraz bliższy. Naszym jedynym punktem odniesienia była lampa, której Atto nie wypuszczał z rąk, jakby od tego zależały losy świata. Wokół jasnego płomienia wszystko wirowało jak szalone. Kręciło mi się w głowie i wydawało, że fruniemy.

Po chwili rzeczywiście znaleźliśmy się w powietrzu. Woda pod łodzią zniknęła, jakby jakaś nadprzyrodzona siła uniosła nas, żeby złożyć litościwie na zbawiennej mieliźnie. Przez myśl przemknęły mi słowa Robleidy o uniwersalnym magnetyzmie Kirchera, pochodzącym od Boga i jednoczącym wszystkie rzeczy świata.

W jednej sekundzie jakaś ślepa, potworna siła wyrzuciła nas w górę. Wokół nastały ciemności. Znalazłem się w wodzie, w samym środku lodowatych wirów i brudnej, cuchnącej piany, krzycząc z przerażenia i rozpacz.

Spadliśmy z kaskady do innej rzeki, jeszcze brudniejszej i bardziej cuchnącej od tamtej. W następstwie uderzenia łódź wywróciła się, a lampa wpadła do wody. Od czasu do czasu wyczuwałem pod stopami dno, zapewne były to sterczące głazy. W przeciwnym razie z pewnością bym utonął. Wokół mnie unosiła się odrażająca woń, utrudniająca oddychanie. Poprzez szum kaskady usłyszałem w ciemnościach głos opata:

- Żyjecie?

- Tak - odparłem, wymachując rękami, żeby utrzymać się na powierzchni.

Nagle jakiś kanciasty przedmiot uderzył mnie boleśnie w klatkę piersiową, aż mi dech zaparło.

- Przytrzymajcie się łodzi! Jest tutaj, między wami! - krzyknął Atto.

Cudem zdołałem chwycić się burty, broniąc się przed wirem wody, który próbował mnie wessać.

- Ugonio! - zawołał Atto. - Gdzie jesteś?

Zostaliśmy sami. Straciwszy nadzieję na ocalenie, uczepiliśmy «ią łpdki, która dryfowała wśród nieczystości i cuchnących odpadków.

- Śmierdzi... teraz rozumiem - powiedział IVlelani.

- Co pan rozumie?

- Że to nie jest zwykły kanał, tylko Cloaca Maxima, największy kanał ściekowy w Rzymie, zbudowany w starożytności.

Woda płynęła coraz szybciej, a przytłumiony odgłos wskazywał, że znajdujemy się w szerokim kanale o niskim sklepieniu, w którym z trudem mieściła się przewrócona łódź. Zrobiło się ciszej, co oznaczało, że oddaliliśmy się od kaskady.

Nagle łódka zatrzymała się. Sklepienie kanału było za niskie, nasza szalupa, odwrócona do góry dnem, zaklinowała się. Z trudem utrzymałem się na powierzchni. Uniosłem ramię do góry i z przerażeniem stwierdziłem, że sklepienie jest tuż nad moją głową. Fetor był nie do zniesienia.

- I co teraz? - wysapałem, starając się utrzymać usta nad powierzchnią wody.

- "Nie możemy zawrócić. Musimy płynąć z prądem rzeki.

- Ale ja nie umiem pływać.

- Ani ja. Chodzi tylko o to, by utrzymać się na wodzie. Połóż się na plecach i trzymaj głowę prosto - powiedział Melani. - Od czasu do czasu odepchnij się rękami, ale niezbyt gwałtownie, bo pójdziesz na dno.

- A co potem?

- Gdzieś dopłyniemy.

- A jeśli kanał okaże się ślepy?

Opat nie odpowiedział.

Ostatkiem sił odwróciliśmy się na plecy i pozwolili nieść się prądowi rzeki (a raczej cuchnącego błota) do chwili, gdy spełniło się moje proroctwo. Nurt gwałtownie przyspieszył, jakbyśmy dopływali do jakiejś pochylności. Powietrze było tak rozrzedzone, że nie miałem czym oddychać i brakowało mi tchu. Od niezdrowych wyziewów doznawałem silnych zawrotów głowy i zbierało mi się na wymioty. Miałem wrażenie, że kłębiąca się kipiela nas pochłonie.

W pewnej chwili uderzyłem głową o sklepienie kanału. Prędkość nurtu wzrastała, nasz koniec był bliski.

Ostatnie, co usłyszałem, to załamujący się głos Atta:

- A więc to prawda.

## Dzień dziewiąty

*19 września 1683 roku*

- Spójrz! Ten drugi jest młody - usłyszałem.

Zajmowały się mną jakieś litościwe istoty. Dotarłem do kresu długiej podróży. Nie żyłem, a moje ciało było daleko stąd. Rozkoszowałem się przyjemnym ciepłem, które spływało z nieba.

Poczułem delikatny dotyk dłoni anioła. Z wolna zaczęły do mnie docierać ciche, niezrozumiałe szepty, aż wreszcie z rozmowy niebiańskich istot wychyciłem słowa:

- Zajmij się tym drugim.

Po pewnym czasie, który wydał mi się wiecznością, zrozumiałem, że skrzydlaci posłańcy mnie opuścili. Zapewne nie wymagałem ich miłosiernej opieki. Podałem się działaniu boskiego światła, które dobre niebo roztaczało wokół mnie i innych nieszczęsnych zagubionych dusz.

Wbrew pierwszemu wrażeniu miałem oczy do patrzenia, uszy do słuchania i ciało. Na twarzy poczułem chłodny powiew. Kiedy uniosłem powieki, ujrzałem boski symbol Naszego Pana, stosowany przed wiekami przez chrześcijan - srebrzystą rybę, która patrzyła na mnie ze współczuciem.

Odwróciłem głowę i spojrzałem w stronę źródła światła. Jego blask był tak silny, że musiałem zasłonić oczy.

Był dzień, a ja leżałem na plaży, w pełnym słońcu.

Żyłem, choć nie byłem w najlepszym stanie. Na próżno starałem się odszukać wzrokiem dwa anioły (lub inne istoty), które się mną zaopiekowały. Bolała mnie głowa, światło drażniło oczy. Wstałem, ale ledwotrzymałem się na nogach i drżały mi kolana. Omal się nie przewróciłem.

Mrużąc oczy, rozejrzałem się dookoła. Znajdowałem się na brzegu Tybru. Był świt, rybacy spuszczaali łodzie na wodę. Po drugiej stronie rzeki

widniały ruiny starego mostu, z prawej strony wylaniała się Isola Tiberina, od wieków obmywana wodami Tybru. Z lewej wznosiło się wzgórze Santa Sabina, odcinające się na tle bezchmurnego nieba. Wiedziałem już, gdzie jestem. Trochę w prawo usytuowane było ujście Cloaca Maxima, przez które Atto i ja wydostaliśmy się na brzeg. Na szczęście nurt Tybru nie poniósł nas dalej. O ile dobrze pamiętałem, wyszliśmy z wody i bez sił osunęliśmy się na piasek. Cudem przeżyliśmy. Gdyby to wszystko wydarzyło się w zimie - pomyślałem - z pewnością oddałbym duszę Bogu.

Tymczasem cieszyłem się wrześnieowym słońcem na pogodnym niebie, choć byłem brudny, obolały i drżałem z zimna.

- Zostaw mnie, łajdaku! Precz stąd! Ratunku!

Głos dochodził gdzieś z tyłu, obejrzałem się i ujrzałem opata Melaniego leżącego na ziemi. Podobnie jak ja cały był ubłocony. Przestał krzyzczeć, ponieważ zaczął wymiotować. Dwaj mężczyźni, a właściwie dwa podejrzane typy, pochylali się nad nim, ale zaledwie mnie zobaczyli, zerwali się do ucieczki i wkrótce zniknęli za niewielkim wzniesieniem. Prawdopodobnie żaden z rybaków płynących po rzece nie widział całej sceny.

Atto, wstrząsany gwałtownymi konwulsjami, wyrzucał z siebie wodę, której opił się w kanale. Przytrzymałem mu głowę, żeby się nie udławił. Po krótkiej chwili był w stanie mówić i normalnie oddychać.

- Łajdaki...

- Niech pan lepiej nic nie mówi!

- ...Złodzieje! Już ja im pokażę!

Nie przyznałem się opatowi, że w tych dwóch złodziejach dostrzegłem anioły, które się mną zaopiekowały. Oni tymczasem chcieli nas okraść. Srebrzysta ryba, która leżała obok mnie, nie była niebiańską wizją, lecz odpadkiem.

- I tak nic nie znaleźli - oznajmił Atto, spluwając. - Wszystko, co miałem, zgubiłem w Cloaca Maxima.

- Jak pan się czuje?

- Jak mam się czuć po tym, co przeszliśmy? W moim wieku... - odparł, rozpinając zabłocony kaftan i koszulę. - Dobrze by było posiedzieć trochę w słońcu, żeby wyschnąć, ale nie mamy na to czasu.

Uświadomiłem sobie, że niedługo Cristofano rozpocznie swój poranny

Oddaliśmy się z plaży, odprowadzani spojrzeniami zaciekawionych rybaków, którzy dopływali do brzegu.

? Przeszliśmy uliczką równoległą do rzeki, zostawiając po prawej stronie Monte Savello. Spotkaliśmy po drodze kilku przechodniów, którzy osłupiali na widok dwóch brudnych mężczyzn w oplakanyim stanie. Ponieważ zgubiłem buty, szedłem boso, kulejąc, a do tego stale pokasywałem. Atto sprawiał wrażenie starszego o trzydzieści lat, a jego ubranie przypominało łachmany. Przeklinał półgłosem swój reumatyzm i bóle mięśni, spowodowane niedawnymi zmaganiem w kanale i wilgocią. Właśnie zmierzaliśmy ku portykowi *Oktawii*, kiedy nagle opat skręcił.

- Tutaj mam zbyt wielu znajomych.

Przeszliśmy zatem przez Piazza Montanara, następnie przez Piazza Campitelli. Spotykaliśmy coraz więcej osób.

W labiryncie wąskich, krętych i ciemnych uliczek, pozbawionych bruku, unosił się zapach błota, kurzu, słysząc było gwar rozmów. Świnie różnej wielkości ryły w śmieciach rozrzuconych wokół dymiących kociołków z makaronem i dużych patelni ze smażącymi się rybami.

Atto wymruczał coś ze złością i grymasem niesmaku, ale hałas przejeżdżającego wozu zagłuszył jego słowa.

Kiedy zapanowała cisza, powiedział:

- Czy to możliwe, że jak świnie musimy szukać spokoju w gnojówce, pogody ducha w śmieciach, odpoczynku na brudnych, hałaśliwych ulicach? Po co mamy mieszkać w mieście takim jak Rzym, skoro musimy poruszać się jak zwierzęta, a nie ludzie? Błagam cię. Ojcie Święty, wyciągnij nas z tego łajna!

Popatrzyłem na opata pytająco.

- Te słowa powiedział Lorenzo Pizzati z Pontremoli - wyjaśnił Melani. - Pasożyt na dworze papieża Rospigliosiego. Miał jednak rację, kiedy mniej więcej dwadzieścia lat temu napisał Jisi z *tym życzeniem* do Klemensa IX.

- Rzym zawsze taki był? - spytałem zdziwiony, ponieważ inaczej wyobrażałem sobie Wieczne Miasto w przeszłości.

- Jak już mówiłem, znam Rzym od dawna. Zapewniam cię, że już wtedy niemal codziennie naprawiano (źle) ulice. Kopano kanały ściekowe, wszędzie leżały jakieś rury, o które potykali się przechodnie. Żeby nie wpaść w błoto lub do rynsztoku, nawet w sierpniu trzeba było nosić wysokie buty. Pizzati miał rację: Rzym upodobnił się do wieży Babel,

dział opat, akcentując ostatnie słowo.

- Papież Rospigliosi nie uczynił niczego, żeby poprawić wizerunek miasta?

- Wręcz przeciwnie, mój chłopcze. Sam wiesz, jak uparci są rzymianie. Zaproponowano im, by selekcjonowali odpady, zamiatali ulicę przed domem, zwłaszcza latem. Wszystko na próżno.

Nagle opat szarpnął mnie gwałtownie i obaj przywarliśmy do muru w wąskiej uliczce. Tuż obok nas, w odległości jednej piędzi, przemknęła duża elegancka kareta. Melani wpadł w jeszcze gorszy humor.

- Karol Boromeusz mawiał, że aby odnieść sukces w Rzymie, potrzebne są dwie rzeczy: miłość do Boga i kareta - rzekł ponuro. - Wiesz, że w Rzymie jest ponad tysiąc karet?

- Pewnie one są powodem tego hałasu, który dobiega do gospody z oddali, zwłaszcza nocą - powiedziałem. - Dokąd oni jeżdżą tymi karetami?

- Właściwie donikąd. Po prostu arystokraci, ambasadorzy, lekarze, sławni adwokaci i rzymscy kardynałowie poruszają się wyłącznie karetami, nawet na krótkie odległości. Jeżdżą też nimi na spacer, często w kilka pojazdów.

- Mają liczne rodziny?

- Ależ nie! - zaśmiał się Melani. - Niektórzy uważają, że w ten sposób dodają sobie splendoru. Podczas oficjalnych wizyt kardynałowie i ambasadorzy jadą na czele nawet trzystu karet. Tym samym blokują ruch i wzbudzają tumany kurzu.

- Teraz rozumiem, jaki był powód kłótni - wtrąciłem - której byłem świadkiem jakiś czas temu na placu przy kościele. Stangreci kłócili się o miejsce do postoju, obrzucając się wyzwiskami.

Atto ponownie skrzył za róg.

- Ktoś mógłby mnie rozpoznać - wyjaśnił. - Mieszka tu pewien młody kanonik... Pójdziemy w stronę Piazza San Pantaleo.

Byłem bardzo zmęczony, zacząłem więc narzekać na to ciągle kłuczenie.

- Bądź cicho, bo w końcu ktoś zwróci na nas uwagę! - powiedział Atto, nieoczekiwanie poprawiając sobie włosy. - Całe szczęście, że dotąd nie spotkaliśmy nikogo znajomego - rzekł, po czym dodał kokieterynie: - Nie cierpię być w takim stanie.

Atto wiedział, że w naszej sytuacji rozsądniej będzie zgubić się w tłumie na Piazza Navona niż iść pustym placem Madama czy ulicą Parione.

- Musimy jak najszybciej dotrzeć do domu Tiracordy - oznajmił. - Ale tak, żeby nie zobaczyli nas strażnicy z Bargello, którzy stoją naprzeciw gospody.



- Co potem?
- Spróbujemy dostać się do wozowni»\*i?aiiitaaitąd do podziemi.
- To będzie bardzo trudne. Ktoś **możnas** rozpoznać.
- Wiem. Masz lepszy pomysł?

Przyśpieszyliśmy kroku i wmieszali się w tłum na Piazza Navona. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy okazało się, że na placu nie odbywa się targ. Nie ma stoisk z owocami i warzywami, sprzedawców ani tłumy kupujących. Wokół niewielkiego podium zgromadziła się grupka ludzi. Stali na nich brodaci, spoceni mówcy, którzy coś wykrzykiwali, wymachując rękami.

- Do licha! Przecież dzisiaj jest niedziela - powiedzieliśmy niemal jednocześnie.

W niedzielę nie było targu, ulice były prawie wyludnione. Na skutek kwarantanny i ostatnich przeżyć straciliśmy rachubę czasu.

Jak zwykle w niedzielę na placach pojawiali się księża, kaznodzieje i wygłaszali kazania. Wśród słuchaczy byli ciekawscy, studenci, próżniaki, żebracy i złodzieje, korzystający z okazji, by kogoś okraść. Wesoły harmider ustąpił miejsca atmosferze powagi i skupienia. Niebo, jakby pod wpływem tego nastroju, pokryło się chmurami.

Szliśmy przez plac, zmierzając w stronę lewej pierzei. Odnosiliśmy wrażenie, że wszyscy na nas patrzą. W pewnej chwili jakieś dziecko pokazało nas palcem mężczyźnie, zapewne swojemu ojcu. Spojrzał na nas, ale na szczęście nie wzbudziliśmy jego zainteresowania, bo odwrócił głowę w drugą stronę.

- Ktoś nas w końcu rozpozna. Dołączmy do tamtych ludzi - powiedział Atto, wskazując grupkę osób stojących opodal.

Wmieszaliśmy się w skupisko ludzi, zgromadzonych wokół kaznodziei, którego nie mogliśmy dostrzec.

Znajdowaliśmy się o dwa kroki od fontanny Quattro Fiumi mistrza Berniniego, pośrodku placu. Cztery olbrzymie posągi wodnych bóstw o ludzkich kształtach, monumentalne i budzące lęk, zdawały się współtworzyć atmosferę powagi tego miejsca. Miałem wrażenie, że kamienny lew przygląda mi się z uwagą. Pośrodku fontanny wznosił się obelisk ozdobiony hieroglifami i zwieńczony niewielką złożoną piramidą, która w naturalny sposób skierowana była w stronę Najwyższego. Ktoś mi mówił, iż hieroglify na obelisku odczytał Kircher. W pewnej chwili tłumek ciasniej otoczył kaznodzieję, żeby lepiej słyszeć jego słowa.

Jego postać mogłem dostrzec tylko chwilami, zza gęstego lasu głów,

ramion i pleców. Sądząc po kształcie kapelusza, był jezuitą. Trójgraniaste nakrycie głowy, wyraźnie za duże, opadało mu na czoło. Dość tęgi, czerwony na twarzy, swoją płomienną mowę kierował do pokaźnej gromadki osób.

- Jak wygląda pobożne życie? - zapytał. - Powiadam wam: mało mówić, dużo płakać, znosić z godnością biedę, choroby, zniewagi, kłopoty finansowe. Czy takie życie może być szczęśliwe? Powiadam wam, że tak!

Wśród zgromadzonych dał się słyszeć szmer niedowierzania.

- Wiem! - mówił z zapalczywością kaznodzieja. - Ludzie uduchowieni przyzwyczajeni są do tych niedogodności, co więcej, pragną znosić je z własnej woli. Sami ich szukają!

Przez tłum przeszedł szmer powątpiewania.

- Jak Szymon z Cyreny, który udawał szalonego, żeby lud mógł z niego szydzić. Jak Bernard z Chiaravalle, który choć słabego zdrowia, wybrał trudy i niedogodności życia w pustelni! Nie musieli tego czynić! Czy dlatego uważacie ich za nędzników? O nie, posłuchajcie, co ma wam do powiedzenia wielki prałat Salviano...

Opat szturchnął mnie, mówiąc:

- Myślę, że nic nam nie grozi. Idziemy!

Przemykaliśmy w stronę uliczki, która z placu wiodła do gospody, z nadzieją, że nie przytrafi nam się żadna niemiła niespodzianka.

- Niech wielki prałat SaWiano mówi, co chce! Nie mogę się doczekać, żeby zmienić ubranie - wysapał Atto.

Odniosłem wrażenie, że ktoś nas śledzi, ale nie miałem odwagi się obejrzeć.

Już dochodziliśmy do końca placu, kiedy wydarzyło się coś niespodziewanego. Atto szedł przede mną, wzdłuż ściany pałacu. Nieoczekiwanie z bramy wysunęły się czyjeś ręce, schwyciły go i wciągnęły do środka. Przerażony stanąłem jak wryty. Nie wiedziałem, czy uciekać, czy wołać o pomoc. W obu przypadkach groziło mi, że zostanę rozpoznany i aresztowany.

Nagle usłyszałem znajomy głos, który dochodził zza moich pleców i jak nigdy wydał mi się niebiańsko piękny:

- Ty też się schowaj.

Mimo że opat Melani gardził poszukiwaczami relikwii, tym razem, choć starał się to ukryć, był im naprawdę wdzięczny za ocalenie. Ugonio nie tylko w cudowny sposób przeżył, ale zdołał odnaleźć Ciacconia. Wy-

bawili nas z opresji w dość niewyszukany sposób. To Ciacconio wciągnął opata do bramy przy Piazza Navona, a Ugonio zajął się mną.

Z bramy łowcy relikwii niezwłocznie poprowadzili nas do jakichś drzwi, za którymi były strome schody. Zeszliśmy nimi do wąskiego, ciemnego korytarzyka bez okien. Ciacconio wyjął spod swojego brudnego płaszcza zapaloną już lampę. Nasz wybawca był tak samo przemoczony jak my, ale nie bacząc na nic, truchtał jak zwykle szybkim, śmiałym krokiem.

- Dokąd nas prowadzicie? - spytał Atto zaskoczony, po raz pierwszy nie będąc panem sytuacji.

- Piazza Navona niebezpieczna - odparł Ugonio. - Będąc bardziej ojcem niż ojcobójcą, lepiej skryć się pod Pantenonem.

Przypomniało mi się, że kiedy któreś nocy szliśmy korytarzem C, poszukiwacze relikwii wskazali nam wyjście prowadzące na dziedziniec pałacu za Panteonem, przy Piazza delia Rotonda. Przez dobry kwadrans prowadzili nas teraz z jednej piwnicy do drugiej, przez niezliczone drzwi, schody, magazyny i tunele. Ugonio otwierał i zamykał drzwi kluczem, który dobierał z wielkiego pęku. Atto i ja byliśmy u kresu sił, szliśmy popychani przez naszych przewodników.

Na koniec dotarliśmy do dużej drewnianej bramy, która ze skrzypieniem otworzyła się na dziedziniec. Światło dnia poraziło nas. Przeszliśmy przez dziedziniec i zaułek. Ugonio pchnął bramkę (nie była zamknięta) i znaleźliśmy się na pustym podwórzu.

- Wejście do tunelu - wyjaśnił, wskazując właz.

Uniósł drewnianą klapę. U szczytu wąskiego, ciemnego szybu ujrzelśmy żelazny pręt ze zwieszającym się z niego grubym sznurem, po którym ześlizgnęliśmy się w dół. Domyśliliśmy się, że tunel prowadził do podziemi pod „Donzellem”.

Chciałem zapytać Ugonia, jak udało mu się wydostać z Cloaca Maxima, ale nie było na to czasu. Kiedy wsuwałem się do włazu, nasze spojrzenia skrzyżowały się na krótką chwilę. Miałem dziwną pewność, że Ugonio odgadł moje myśli. Zanim zasunąłem pokrywę włazu, dostrzegłem zakapturzone sylwetki Ugonia i Ciacconia, oddalające się w promieniach słońca. Byłem szczęśliwy, że przeżyli.

Gdy dotarłem do swojego pokoju, w pośpiechu przebrałem się i ukryłem brudne, zabłocone ubranie. Następnie udałem się do pokoju Cristofana z zamiarem wyjaśnienia powodu mojej nieobecności. Chciałem po-

wiedzieć lekarzowi, że z samego rana musiałem zejść do piwnicy. Byłem zbyt zmęczony, żeby przejmować się, jak na to zareaguje, ale przygotowałem sobie odpowiedzi na jego pytania.

Cristofano spał. Widocznie wydarzenia poprzedniego dnia bardzo go zmęczyły, bo położył się spać, nie zamknawszy drzwi do pokoju. Leżał na łóżku w ubraniu.

Nie miałem zamiaru go budzić. Słońce było jeszcze nisko, więc miałem czas, żeby się przespać przed spotkaniem z Cristofanem i Devizem w pokoju Bedfordiego.

Wbrew moim oczekiwaniom sen mnie nie pokrzepił, ponieważ przysniły mi się dramatyczne wydarzenia ostatniej nocy: spotkanie z członkami Towarzystwa Śmierci, zatopienie łodzi, wyspa z przerażającym laboratorium i mitreum, wreszcie koszmar w Cloaca Maxima, gdzie o mało nie zginąłem. Z tego właśnie powodu, kiedy Cristofano zapukał do drzwi, obudziłem się bardziej zmęczony niż wtedy, gdy się kładłem.

Lekarz także nie był w najlepszej formie, miał sińce pod oczami i nieobecne spojrzenie. Zwykle energiczny i gadatliwy, teraz był osowiały i milczący. Nie powiedział słowa na powitanie, nie zadawał też (dzięki Bogu!) żadnych pytań na temat zeszłej nocy.

Tym razem to ja przypomniałem Cristofanowi, że musimy zająć się przygotowaniem posiłku dla gości. Przedtem jednak należało załatwić pilniejszą sprawę i wprowadzić w czyn teorię ojca Robledy, próbując wyleczyć Bedfordiego muzyką. Powiadomiłem jezuitę, że za chwilę przystąpimy do dzieła, po czym wezwaliśmy Devizego i razem z nim udaliśmy się do pokoju nieszczęsnego Anglika.

Młody muzyk wziął ze sobą taboret, na którym miał siedzieć, grając na gitarze. Postawił go na korytarzu, pod drzwiami pokoju Bedfordiego, aby nie zbliżać się zbyt blisko chorego i nie narażać swojego zdrowia. Drzwi pozostały otwarte, żeby dobroczynne (jak się spodziewaliśmy) dźwięki gitary dotarły bez przeszkód do środka. Cristofano usiadł u wezłowania chorego, żeby obserwować jego ewentualne reakcje.

Ja pozostałem na korytarzu, obok muzyka. Devize usiadł na stołku, przyjął wygodną pozycję i nastroił gitarę. Na początek zagrał almandę, następnie kuranta i sarabandę. Na chwilę przestał grać, żeby poprawić brzmienie instrumentu, i spytał Cristofana o stan chorego.

- Bez zmian.

W dalszej części koncertu Devize zagrał gawota i gige.

- Nadal nic. Mam wrażenie, że nawet nie słyszy - powiedział zniechęcony i zniecierpliwiony lekarz.

Wreszcie rozbrzmiały dźwięki, na które czekałem: chwytające za serce cudowne rondo, skomponowane przez Francesca Corbettę dla królowej Francji Marii Teresy.

Devize zagrał rondo aż trzy razy, dając do zrozumienia, że on także, z jakichś nieznanych powodów, ukochał te słodkie, przepiękne dźwięki. Milczeliśmy w uniesieniu. Słyszeliśmy tę melodię wiele razy, ale nigdy nie mieliśmy jej dość.

Kiedy słuchaliśmy ronda po raz czwarty, przysłała mi do głowy pewna niezwykła myśl. Podczas refrenu zastanawiałem się nad tym, co powiedział mi Devize kilka dni temu. Otóż kolejne kuplety ronda zawierają obce elementy harmoniczne, sprzeczne z tradycyjną kompozycją tego utworu. Kiedy dźwięki ronda osiągną swoje apogeum, nieoczekiwanie opadają w dół.

Opat Melani przeczytał w liście Kirchera, że dżuma także przebiega cyklicznie, a w końcowej fazie zawiera coś nieoczekiwanego, tajemniczego, obcego doktrynie medycznej. Osiągnąwszy swoje apogeum, *senescit ex abrupto*, nagle zaczyna słabnąć.

Słowa Devizego na temat ronda brzmiały niemal identycznie jak te, które Kircher powiedział o dżumie...

Kiedy ucichły dźwięki gitary, spytałem Devizego o to, co od dawna chciałem wiedzieć:

- Czy to rondo ma jakiś tytuł?

- Tak, *Les baricades misterieuses* - odparł muzyk.

Zamilkłem.

- Co oznacza: tajemnicze barykady - dodał, jakby chciał przerwać ciszę.

Nadal milczałem, oniemiały ze zdziwienia.

Tajemnicze barykady, *les baricades misterieuses*, czyż nie te właśnie słowa mówił przez sen Atto Melani ostatniego popołudnia?

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, zacząłem rozmyślać o tajemniczych barykadach i *arcanae obices* z listu Kirchera...

Nie mogłem się skupić, gdyż na skutek łańciskich słów odżyły moje wątpliwości i podejrzenia. Nagle zrozumiałem. Wstałem i pobiegłem do swojego pokoju, odprowadzany zdumionymi spojrzeniami Cristofana i Devizego, który znowu grał ten sam motyw.

Zamknąłem za sobą drzwi, przygnieciony ciężarem ostatniego odkrycia i jego wszystkich następstw, które spadły na mnie niczym lawina.

Straszliwy sekret *arcanae obices* Kirchera, tajemnicze przeszkody które przysłały *secretum vitae*, nabrały realnego kształtu.

Musiałem to jeszcze raz przemyśleć w samotności. Nareszcie wszystko stało się dla mnie jasne, nie wiedziałem tylko, z kim mogłem podzielić się moimi przemyśleniami.

Wspólnie z Attem byliśmy na tropie *arcanae obices*, czyli tajemniczych barykad, które miały moc zwalczania dżumy. Kircher pisał o nich w liście do nadintendenta Fouqueta. Później słyszałem te słowa z ust śpiącego Melaniego, który nazywał je po francusku *baricades misterieuses*. Teraz, pytając Devizego o tytuł rondo, w odpowiedzi ponownie usłyszałem *Les baricades misterieuses*. Pewna osoba wiedziała więcej, niż się mogło wydawać.

- Niczego nie rozumiesz! - wykrzyknął opat Melani.

Przed chwilą wyrwałem go z głębokiego snu, żądając wyjaśnień, na co zareagował dość nerwowo. Poprosił mnie, żebym jeszcze raz wszystko mu dokładnie opowiedział. Powtórzyłem więc, że Devize grał rondo, którym miał nadzieję uzdrowić Bedfordiego, i z największym spokojem poinformował mnie, że utwór nosi tytuł *Les baricades misterieuses*.

- Wybacz, ale muszę się chwilę zastanowić - powiedział opat, przytłoczony ostatnimi nowinami.

- Domagam się wyjaśnień.

- W porządku, zgoda, ale teraz pozwól mi trochę pomyśleć.

Opuściłem pokój Melaniego, by powrócić do niego trochę później. Z bystrego, czujnego spojrzenia opata wywnioskowałem, że wcale nie spał.

- Właśnie teraz, kiedy jesteśmy bliscy odkrycia prawdy, postanowiłeś zostać moim wrogiem - powiedział smutnym głosem.

- Nie chcę być pańskim wrogiem - zaprzeczyłem. - Musi pan jednak zrozumieć...

- Daj spokój! - przerwał mi. - Zastanów się!

- Proszę wybaczyć, panie Atto, ale zastanawiałem się wystarczająco długo. Jak to się stało, że zna pan tytuł rondo, który jest zresztą tłumaczeniem łacińskiego *arcanae obices*!

Rozpierała mnie duma, że zdołałem przyprzeć do muru tego przebiegłego człowieka. Spojrzałem na niego z wyrzutem i podejrzliwością.

- Skończyłeś?
- Tak.
- W porządku - powiedział. - Pozwól, że ci coś powiem. O ile dobrze zrozumiałem, słyszałeś, jak mówiłem przez sen: *baricades misterieuses!*
- Tak.
- Jest to niezbyt dokładne tłumaczenie łacińskiego *arcanae obices*.
- Właśnie, chciałbym więc, żeby mi pan powiedział, skąd pan to wie...
- To bez znaczenia, nie rozumiesz?
- Ale...
- Zaufaj mi jeszcze raz. Kiedy usłyszysz, co chcę ci powiedzieć, zmienisz zdanie.
- Panie Atto, mam już dość tych pańskich tajemnic...
- Nie ma żadnych tajemnic. Dotarliśmy do prawdy. Sekret *arcanae obices* jest tutaj i chyba należy bardziej do ciebie niż do mnie.
- Co pan ma na myśli?
- To, że wiele razy go widziałeś, a właściwie słyszałeś.
- **Czyli...**
- Tak, *secretum vitae*, które chroni przed dżumą, zawarte jest w tym rondzie.

Tym razem to ja potrzebowałem czasu, żeby uspokoić się po tym, co usłyszałem. W moim ulubionym rondzie kryło się wyjaśnienie tajemnicy Kirchera, Fouqueta, Króla Słońce i Marii Teresy.

Atto dał mi czas, bym ochłonął z wrażenia. Po chwili powiedziałem nieśmiało:

- A ja myślałem, że... Nic, to niemożliwe.
- Na początku też tak sądziłem, ale jeśli dobrze się zastanowisz, zrozumiesz. Jak ci kiedyś mówiłem, Corbetta, mistrz Devizeg0j w swoich utworach przesyłał zaszyfrowane wiadomości.
- Tak, pamiętam.
- Devize natomiast powiedział ci, że rondo *Les baricades misterieuses* zostało skomponowane przez Corbettę, który przed śmiercią podarował je królowej Marii Teresie.
- Zgadza się.
- Jak sam widziałeś, rondo nosi dedykację *a Mademoiselle*. Chodzi o żonę Lauzuna, który siedział w więzieniu z Fouquetem. Fouquet znał sekret dżumy, gdyż otrzymał go od Kirchera. Kiedy Fouquet był jeszcze nadintendentem, w porozumieniu z Kircherem polecił Corbettcie, by za-

szyfrował w utworze muzycznym *secretum vitae*, czyli *arcanae obices* czyli tajemnicze barykady chroniące przed dżumą.

- Ale przecież Kircher także potrafił szyfrować wiadomości.

- Oczywiście. Nie wykluczam więc, że Kircher dostarczył Fouquetowi *secretum vitae*, zaszyfrowane w tabulaturach muzycznych. Pamiętasz, co powiedział Devize? Corbetta skomponował rondo, dokonując przeróbki istniejącego już utworu. Jestem pewny, że miał na myśli dzieło Kirchera. Ale na tym nie koniec. Devize, grając rondo wielokrotnie, udoskonalił je, w wyniku czego jeszcze trudniej się domyślić, że dźwięki kryją zaszyfrowaną informację. Niebywałe, prawda? Mnie samemu trudno w to uwierzyć.

- Tak więc nadintendent przechowywał *secretum vitae* w utworze muzycznym.

- Otóż to! Tabulatury jakimś cudem ocalały z tragedii, jaka spotkała mojego nieszczęsnego przyjaciela Nicolasa.

- A w Pinerolo Fouquet...

- ...wyjawiał wszystkim Lauzunowi. Wiesz, co myślę? Że to Lauzun naniósł dopisek *a Mademoiselle*, a później dał kartki swojej żonie, aby tym sposobem trafiły do królowej Marii Teresy.

- Ale Devize powiedział mi przecież, że rondo było darem Corbetty dla królowej.

- Kłamstwo bez znaczenia. Prawda jest taka, że rondo skomponowane przez Corbettę, zanim stało się własnością Marii Teresy, przeszło przez ręce Fouqueta, Lauzuna i Mademoiselle.

- Coś mi się tu nie zgadza. Czy nie powiedział pan, że Lauzun został osadzony w więzieniu, żeby nakłonić Fouqueta do wyjawienia sekretu?

- Być może Lauzun działał na dwa fronty. Zamiast śledzić i zdradzić nadintendenta wolał mu o wszystkim powiedzieć, widząc, że ma do czynienia z bardzo bystrym człowiekiem. W zamian za *secretum morbi* Lauzun pomógł Fouquetowi uzyskać zgodę króla na uwolnienie. Nie wyjawiał jednak Arcychrześcijańskiemu Królowi, co dobrze o nim świadczy, że Fouquet był też w posiadaniu *secretum vitae*, czyli ronda. Co więcej, razem z Mademoiselle skorzystał z okazji, żeby zemścić się na królu, przekazując tajemnicę cennego antidotum w ręce wrogów Jego Wysokości. Z przykrością muszę powiedzieć, że jednym z nich była królowa Maria Teresa, niech Bóg mają w opiece!

Milczałem, rozmyślając o wyjaśnieniach Atta.

- Istotnie, jest coś dziwnego w tej muzyce - zauważyłem, łącząc w myślach wszystkie wątki. - Sprawia wrażenie, jakby... przyplýwała



i odpływała, za każdym razem identyczna, a jednocześnie inna. Nie potrafię tego dokładnie wytłumaczyć, ale przypomniały mi się słowa, które Kircher napisał na temat dżumy, stwierdzając, że choroba ta oddala się i powraca, oddala i powraca, a osiągnąwszy swoje apogeum, ginie. Podobnie dzieje się z tą melodią.

- Ja również dostrzegłem w tym rondzie coś dziwnego, tajemniczego.

Zajęty rozmową, zupełnie zapomniałem o powodzie mojej wizyty u opata. Już miałem go ponownie spytać, skąd zna słowa, które wypowiedział przez sen, kiedy Atto nagle oznajmił:

- Dwie sprawy pozostają niewyjaśnione. Po pierwsze: komu potrzebne było *secretum vitae*, antidotum przeciw *secretum morbi*, a więc przeciw Arcychrześcijańskiemu Królowi; po drugie: co kombinował Dulcibeni, towarzysz podróży Devizego i Fouqueta, zanim mój biedny przyjaciel - tu głos Atta załamał się ze wzruszenia - zmarł w gospodzie?

Chciałem przypomnieć opatowi, że musieliśmy też odkryć, kto lub co spowodowało dziwną śmierć Fouqueta i co stało się z moimi perłami, ale w tej samej chwili Melani, unosząc mi ojcowskim gestem podbródek, powiedział:

- Gdybym wiedział, kto mógłby mi pomóc w odnalezieniu *arcanae obices* Kirchera, czy traciłbym czas na nocne wędrówki z tobą?

- Chyba nie.

- Na pewno nie. Zmusiłbym Devizego do wyjawienia sekretu ronda, choć może on sam dokładnie nie wie, co kryje się w *Les baricades misterieuses*. I rozstałbym się wreszcie z Corbettą, Lauzunem, Mademoiselle i zakończył tę skomplikowaną sprawę.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się.

- Nie, chłopcze, szczerze ci powiem, że jesteś dla mnie bardzo cenny, ale nigdy nie miałem zamiaru cię oszukiwać. Teraz jednak opat Melani musi prosić cię o jeszcze jedną, ostatnią przysługę. Co ty na to?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo w tej samej chwili usłyszeliśmy głośny krzyk Cristofana.

Pożegnawszy się z opatem, pobiegłem szybko do pokoju Bedfordiego.

- Zwycięstwo! Cud! - wykrzykiwał podniecony lekarz, czerwony na twarzy, trzymając rękę na sercu i opierając się o ścianę, żeby nie upaść.

Młody Anglik Eduardus Bedfordi siedział na łóżku i głośno kaszłał.

- Mogę prosić o szklankę wody? - spytał zachrypniętym głosem, jakby obudził się z długiego snu.

Kwadrans później wszyscy goście gospody stłoczyli się wokół Devizego. Stojąc w korytarzu przed pokojem Bedfordiego na pierwszym piętrze, cieszyli się z radosnej nowiny, wznosili okrzyki zdziwienia i zadawali pytania, na które nie spodziewali się uzyskać odpowiedzi. Nie mieli odwagi podejść do wskrzeszonego Anglika ani do Cristofana, zajętego badaniem pacjenta. Po chwili lekarz oświadczył:

- Jest zdrow, całkiem zdrow. Do licha! Chyba nigdy nie czuł się lepiej.

To powiedziawszy, wybuchnął radosnym śmiechem, który udzielił się zgromadzonym na korytarzu gościom.

W przeciwieństwie do pana Pellegrina Bedfordi całkowicie odzyskał przytomność. Pytał, co mu się przytrafiło i dlaczego leży w bandażach, z obolałymi członkami. Przecinanie obrzmień i upuszczanie krwi pozostawiło ślady na całym jego młodym ciele.

Niczego nie mógł sobie przypomnieć. Na wszystkie pytania, które zadawał mu głównie Brenozzi, reagował zmieszaniem, otwierał szeroko oczy i kiwał smutno głową.

Kiedy przyjrzałem się dokładnie gościom gospody, zauważyłem, że nie wszyscy mieli jednakowy humor. Radości ojca Robledy, Brenozzi, Stilone Priasa i mojej Cloridii (która obdarzyła mnie pięknym uśmiechem) towarzyszyło milczenie wzruszonego Devizego i woskowa bladeść Dulcibenięgo. Spostrzegłem, że zamyślony opat szepnął coś do Cristofana, po czym opuścił pokój i wszedł po schodach na górę.

Wreszcie, wśród ogólnego zamieszania, Bedfordi zrozumiał, że chorował na dżumę i kilka dni leżał nieprzytomny. Anglik zbladł z wrażenia.

- A więc to była wizja! - wykrzyknął.

- Jaka wizja? - spytali wszyscy chórem.

- Zdawało mi się... że byłem w piekle.

Z okresu choroby pamiętał tylko to, że najpierw długo spadał w ciemność, potem smażył się w ogniu, a następnie pojawił się Lucyfer. Diabeł o zielonej skórze, z wąsami i bródką (taką samą jak u Cristofana - powiedział Bedfordi, wskazując na lekarza), wbił m» w gardło czerwone szpony, z których wychodziły języki ognia, i próbował wyrwać duszę. Wymachując widłami, wbił je w jego wycieńczone ciało i wrzucił do wrzącej smoły. Bedfordi przysięgał, że wszystko wydawało mu się bardzo realne, zwłaszcza ból. Zanurzony w smole, cierpiał straszliwe męki. Prosił Boga, by wybaczył mu wszystkie grzechy i słabą wiarę. Błagał Najwyższego, aby wyrwał go z tego piekielnego Hadesu. Potem nastąpiła ciemność.

Słuchaliśmy Anglika w nabożnym milczeniu, a gdy skończył opowiadać, orzekliśmy, że stał się cud. Ojciec Robleda, który podczas opowieści raz po raz czynił znak krzyża, podszedł do Bedfordiego z ręką uniesioną w geście błogosławieństwa. Niektórzy goście ukłękli i przeżegnali się.

Zauważyłem, że Cristofano sposepniał. Dobrze wiedział, podobnie jak ja, skąd się wzięła wizja Bedfordiego. Było to po prostu wspomnienie okrutnej terapii, jakiej Cristofano poddał umierającego Anglika. Diabelskie szpony wyrrywające duszę były palcami, którymi medyk wpychał pacjentowi do gardła pastylki piżmowe na sprowokowanie wymiotów. W widłach rozpoznaliśmy przyrząd do upuszczania krwi, za dymiącą smołę natomiast nieszczęsny Bedfordi uznał parę dobywającą się z kotła, na którym go posadziliśmy.

Anglik powiedział, że czuje głód i pieczenie w żołądku. Cristofano polecił mi więc, żebym podgrzał trochę rosółu z dzikich gołąbków, który miał pokrzepić Bedfordiego i złagodzić dolegliwości żołądkowe. Nie musiałem się śpieszyć z wykonaniem tego zadania, ponieważ Anglik zasnął.

Postanowiliśmy dać mu odpocząć i zesłaliśmy do sali na parterze. Nikt jakoś nie przejmował się, że opuścił własny pokój bez zgody lekarza, a i Cristofano zapomniał, że powinien nas zbesztać i kazać przestrzegać jego zaleceń. Dżuma już nam nie zagrażała. Skończyła się przymusowa izolacja, nikt nawet nie wspomniął o tej strasznej chorobie.

Ponieważ mieszkańcy „Donzella” zgłodnieli, zszedłem do piwnicy po produkty. Miałem zamiar ugotować coś tłustego i smacznego, żeby uczcić wyzdrowienie Bedfordiego. Kiedy dosłownie nurkowałem w skrzyniach ze śniegiem, wyjmując z nich dziczyznę, flaczki cielęce, porcje jagnięcia i indyczki, do głowy przychodziły mi przeróżne myśli. Jak to możliwe, że Bedfordi wyzdrowiał? Za namową ojca Robledy Devize zagrał dla niego na gitarze, może więc teoria jezuita o magnetyzmie muzyki była prawdziwa? Ale Bedfordi obudził się dopiero po usłyszeniu *Les baricades mi.sterieuses...* Czy rondo kryło w sobie zaszyfrowane *secretum vitae*, jak przypuszczał opat Melani? Wyglądało na to, że ta melodia ma właściwości uzdrawiające... Nie, nie potrafiłem odnaleźć sensu w całej tej historii. Musiałem jak najszybciej porozmawiać z opatem.

Kiedy wchodziłem na górę, usłyszałem głos Cristofana. W sali siedzieli wszyscy mieszkańcy gospody, do których dołączył Melani.

- Nie wiem, co powiedzieć - mówił lekarz, zwracając się do niewielkiej publiczności. - Nie mam pojęcia, czy sprawił to magnetyzm muzyki, jak mówi ojciec Robleda, czy moje zabiegi. Nie wiadomo, dlaczego dżuma nagle zniknęła. Stan Bedfordiego był bardzo poważny, pacjent umie-

rał, miałem nawet zamiar was poinformować, że nie ma już dla niego żadnej nadziei.

Robleda skinął głową, jakby na potwierdzenie słów lekarza.

- Mogę tylko powiedzieć - ciągnął Cristofano - że to nie pierwszy taki przypadek. Jeśli chodzi o tajemnicze uzdrowienia, to zdaniem niektórych lekarzy dżuma może zniknąć w ciągu jednej nocy. Byłem w Rzymie podczas epidemii w tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym roku. Pamiętam, że zarządzono wtedy post. Podczas procesji ludzie szli boso, w pokutnych workach, i błagali Boga o wybaczenie grzechów. Ósmego maja Bóg zesłał świętego Michała Archanioła, który ukazał się mieszkańcom Rzymu nad zamkiem, z zakrwawionym mieczem w dłoni. Od tej chwili epidemia ustała i nic nie było skażone dżumą, ani ubrania, ani domy, które na ogół są źródłem zakażeń. Ale to nie wszystko. Starożytni historycy opowiadają o podobnych zjawiskach. W pięćset sześćdziesiątym siódmym roku świat dotknęła epidemia groźnej dżumy alpejskiej, którą przeżyła jedynie czwarta część ludności. Choroba niespodziewanie ustąpiła, nie pozostawiając śladu. W roku tysiąc trzysta czterdziestym ósmym wybuchła zaraza czarnej dżumy i trwała trzy lata. W Mediolanie zmarło sześćdziesiąt tysięcy osób. W Wenecji zaraza pozostawiła po sobie straszliwe spustoszenie.

- Podczas epidemii w tysiąc czterysta sześćdziesiątym ósmym roku - wtrącił Brenozzi - w Wenecji zmarło ponad trzydzieści sześć tysięcy ludzi, w Brescii około dwudziestu tysięcy, a wiele miast zupełnie się wyludniło. Ale i tamtym razem dżuma nieoczekiwanie ustała, nic pozostawiając po sobie śladu. W tysiąc czterysta osiemdziesiątym piątym roku zaraza powróciła do Wenecji, zabijając wielu przedstawicieli szlachty, a także dożę Giovanniego Mocenigo. Ponownie zaatakowała w tysiąc pięćset dwudziestym siódmym roku, a w roku tysiąc pięćset pięćdziesiątym szóstym kolejny raz dotknęła Wenecję i jej okolice. Jak wytłumaczyć to, że we wszystkich tych przypadkach choroba w pewnym momencie ustąpiła, nie pozostawiając na niczym śladu? - podsumował uroczyście Brenozzi, czerwony na twarzy.

- Do tej pory milczałem, ponieważ nie chciałem zwiastować nieszczęścia - dodał Stilone Priaso poważnym tonem. - Zdaniem astrologów, z powodu szkodliwego wpływu gwiazdy Syriusza w dwóch ostatnich tygodniach sierpnia i pierwszych trzech tygodniach września, wszystkie osoby chore na dżumę umrą po dwóch-trzech dniach, a nawet w ciągu pierwszej doby od zarażenia chorobą. Podobno w Londynie w tysiąc sześćset sześćdziesiątym piątym roku między pierwszą a trzecią nad ra-

nem zmarło ponad trzy tysiące osób. U nas, w tym samym czasie, nic podobnego nie miało miejsca.

Dreszcz strachu przeszedł po zebranych. Robleda zajrzał do kuchni, zwabiony słodką wonią pieczonego mięsa. Dla zaspokojenia pierwszego głodu podałem rosół ze szparagami.

- Byłem młodym lekarzem - powiedział Cristofano - gdy w tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym roku szalała w Rzymie dżuma. Któregoś dnia odwiedził mnie kolega, oznajmiając, że zaraza zaczyna się uspokajać. Na to ja zauważyłem, że w tym samym tygodniu liczba zmarłych okazała się najwyższa w całym roku. Spytałem go więc, skąd bierze się jego optymizm, na co udzielił mi zaskakującej odpowiedzi. „Sądząc z liczby osób, które w tej chwili chorują”, powiedział, „gdyby zaraza była tak silna jak dwa tygodnie temu, zmarłych byłoby trzykrotnie więcej. Wówczas zabijała w dwa lub trzy dni, teraz natomiast daje osiem, dziesięć dni czasu. Poza tym piętnaście dni temu jedna osoba na pięć powracała do zdrowia, obecnie takich osób jest trzykrotnie więcej. Może pan być pewien, że w przyszłym tygodniu liczba zmarłych zmaleje, a wyzdrowień będzie więcej. Choroba straciła szkodliwy charakter i mimo że liczba zadżumionych jest olbrzymia, przypadków śmiertelnych zaczyna ubywać”.

- I tak rzeczywiście było? - spytał Dcvizć /, wyraźnym zaciekawieniem.

- Tak. Dwa tygodnie później liczba zmarłych zmniejszyła się dwukrotnie, choć nadal było ich dużo. Jednocześnie odnotowano wzrost wyzdrowień.

W następnych tygodniach okazało się - wyjaśnił Cristofano - że jego kolega miał rację. Po miesiącu liczba zmarłych spadła, mimo że nadal były ich dziesiątki tysięcy.

Choroba straciła swój groźny charakter - powtórzył lekarz - nie stopniowo, ale dokładnie w momencie największego rozwoju, kiedy wszyscy byliśmy w rozpacz. Właśnie tak jak zareagowaliśmy na chorobę Anglika.

- Tylko ręka Boga może przerwać rozwój epidemii tak szybko - stwierdził wzruszony jezuita.

Cristofano przytaknął skinieniem głowy i powiedział:

- Lekarstwa okazały się nieskuteczne, śmierć zbierała swoje żniwo. Gdyby taka sytuacja potrwiała jeszcze dwa-trzy tygodnie, w Rzymie nie pozostałaby żywa dusza.

Straciwszy na sile - kontynuował lekarz — dżuma zabijała tylko niewielką część chorych. Sami lekarze dziwili się, widząc, że pacjenci zdro-

więją, nie mają gorączki ani bólów głowy, obrzmienia na ich ciałach dojrzewają, a krosty nie są już zaognione. Także bardziej sceptyczni lekarze musieli w końcu przyznać, że spadek gwałtowności epidemii miał nadprzyrodzony charakter.

- Ulice zapełniły się wyleczonymi ludźmi, z bandażami na głowie i szyi, kulejącymi z powodu blizn po obrzmieniach w pachwinie. Wszyscy bardzo się cieszyli, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Robleda wstał z krzesła, wyjął z kieszeni sutanny krzyż, uniósł go nad głowami słuchaczy i rzekł uroczyście:

- Panie! Dokonałeś cudu! Wczoraj byliśmy pogrzebani żywcem, a Ty nas wskrzesiłeś!

Uklękliśmy, przepelnieni uczuciem wdzięczności, i pod kierunkiem jezuity odśpiewaliśmy hymn pochwalny do Boga. Następnie podałem obiad, który wszyscy goście zjedli z wielkim apetytem.

Przez cały czas myślałem o słowach Cristofana. Wynikało z nich, że dżuma przebiegała zgodnie z naturalnym cyklem: osiągnąwszy apogeum, gwałtownie słabła, tracąc swoje śmiertcionośne działanie, po czym znikła bez śladu. Odchodziła równie tajemniczo, jak się pojawiała. *Morbus crescit sicut mortales, senescit ex abrupto...* Czyż nie te słowa opat Melani przeczytał w liście ojca Kirchera, znalezionym w kalesonach Dulcibeneo?

W pośpiechu zjadłem posiłek przy stole w kuchni, a następnie, stojąc w drzwiach jadalni, odszukałem wzrokiem Atta. Spojrzeniem dał mi do zrozumienia, żebym przyszedł do niego możliwie jak najszybciej.

Zaniosłem obiad panu Pellegrinowi, którego stan znacznie się poprawił. Do pokoju pryncypała przyszedł też Cristofano. Powiedział, że sam zanieśie rosół młodemu Anglikowi.

- A może by tak Devize zagrał też mojemu pryncypałowi, żeby szybciej przywrócić mu zdrowie?

- Niestety, nie sądzę, żeby to było możliwe, mój chłopcze. Pellegrino tak prędko nie wyzdrowieje. W ostatnich dniach dokładnie mu się przyjrzałem i jestem pewien, że w jego przypadku nie chodzi ani o wybroczyzny krwotoczne, ani o dżumę.

- Co mu zatem dolega? - wyszeptalem, patrząc na Pellegrina.

- Na skutek upadku ze schodów w jego mózgu utworzył się skrzep, który wchłonie się, ale zanim to nastąpi, sądzę, że do tej pory wszyscy zdążymy stąd wyjść zdrowi jak ryby. Nie musisz się jednak obawiać, przecież twój pryncypał ma żonę, prawda?

<sup>1</sup> To powiedziawszy, wyszedł z pokoju. Karmiąc Pellegrina, z bolącym sercem pomyślałem o tym, jak zareagowałaby żona pryncypała, gdyby zobaczyła go w tym stanie.

- Pamiętasz, co czytaliśmy? - spytał Atto, ledwie wszedłem do jego pokoju. - Według Kirchera dżuma rodzi się, rozwija, starzeje i umiera, podobnie jak ludzie. Pod koniec przybiera na sile, osiąga apogeum, po czym natychmiast wygasa.

- Dokładnie tak, jak mówił Cristofano.

- Otóż to! Wiesz, co to oznacza?

- Że Bedfordi wyzdrowiał sam, a nie dzięki muzyce? - zaryzykowałem odpowiedź.

- Zawiodłem się na tobie, chłopcze. Naprawdę nie rozumiesz? Dżuma w gospodzie była w fazie początkowej. Gdyby rozwijała się nadal, z pewnością zebrałaby śmiertelne żniwo. Tak się jednak nie stało. Nikt poza Anglikiem nie zachorował. Wiesz, co o tym myślę? Odkąd zamknięty w pokoju Deviz zaczął grać rondo, czyniąc to później wielokrotnie, dźwięki tej melodii ustrzegły nas przed zarazą.

- Naprawdę myśli pan, że to muzyka uratowała nas przed dżumą? - spytałem bez przekonania.

- Wiem, że to wydaje się nieprawdopodobne, ale zastanów się: odkąd sięgamy pamięcią, zamknięcie się w pokoju nikogo nie ustrzegło przed zarazą. Podobnie rzecz się ma z medykamentami Cristofana, o których lepiej nie mówić - zaśmiał się opat. - Fakty mówią za siebie. Lekarz codziennie badał Bedfordiego, zaraz potem wszystkich pozostałych, lecz ani on, ani nikt inny nie zachorował. Jak to wytłumaczysz?

Istotnie, pomyślałem. Wprawdzie ja byłem odporny na dżumę, ale nie można było tego powiedzieć o Cristofanie.

- To nie wszystko - ciągnął Atto. - Kiedy konający Bedfordi usłyszał dźwięki ronda, nagle oprzytomniał, a choroba dosłownie rozpląnęła się.

- Czyli... ojciec Kircher odkrył sekret, który przyspiesza rozwój choroby, prowadząc następnie do jej wygaśnięcia, ludzi zdrowych natomiast strzeże przed zarażeniem!

- Brawo! W końcu zrozumiałeś. Tak właśnie działa *secretum vitae* ukryte w rondzie.

To powiedziawszy, Atto powtórzył, że Bedfordiego wskreszyła muzyka, którą zagrał dla niego Devize, a pomysł ten podsunął ojciec Robleda,

przekonany o uzdrawiającym magnetyzmie muzyki. Na początku muzyk grał różne utwory, ale nie odniósł żadnego skutku.

- Jak zapewne zauważyłeś, kiedy Bedfordi ozdrowiał, rozmawiałem z lekarzem. Cristofano powiedział mi, że Anglik zaczął dawać oznaki życia dopiero po usłyszeniu ronda. Zastanawiam się, co kryje się w tych przeklętych *baricades misterieuses*.

- Ja też o tym myślałem. Ta melodia ma tajemniczą moc...

- Otóż to! Jakby Kircher ukrył w niej sekret o cudownym działaniu, któremu ulega się, po prostu słuchając ronda. Rozumiesz?

Przytaknąłem skinieniem głowy, choć bez całkowitego przekonania.

- A może spróbowalibyśmy rozszyfrować rondo? - zaproponowałem. - Przecież pan zna się na muzyce! Mógłbym wykraść Devizemu tabulatury. Może zdołamy dowiedzieć się czegoś od niego samego?...

Opat przerwał mi w pół słowa:

- Devize nie wie więcej niż my - odparł z uśmiechem. - Prawdziwym sekretem jest moc muzyki. Przez ostatnie dni i noce bez przerwy rozmawialiśmy, chcieliśmy wszystko zrozumieć, wyjaśnić, ja pierwszy. Jak mówi poeta:

Jak geometra wykreśla rysunek

Na kwadraturę koła i zestawia  
Z nieupewnionych danych swój rachunek,  
Tak mnie zjawienie nowe zastanawia\*.

- Czy są to słowa pańskiego mistrza Luigiego?

- Nie, mojego boskiego krajana sprzed kilku wieków, który dziś już jest niemodny. Chciałem powiedzieć, że dużo myśleliśmy, ale nie zajrzeliśmy do naszych serc.

- Zatem pomyliliśmy się?

- Nie. To, co odkryliśmy, wyczuliśmy i wydedukowaliśmy, jest słuszne, ale niepełne.

- To znaczy?

- W rondzie zaszyfrowana jest formuła Kirchera przeciw dżumie. Ale uczony jezuita chciał nam powiedzieć coś jeszcze. *Secretum vitae*, sekret życia, jest czymś więcej, czymś, czego nie można znaleźć w słowach ani w liczbach, tylko w muzyce. To właśnie chciał powiedzieć Kircher.

Dante, *Boska komedia*, w przekładzie Edwarda Porębowicza, PIW, Warszawa 1975, (przyp. tłum.).



leniu ponad moją głową.

Byłem rozczarowany odpowiedzią opata, która nie zaspokoila mojej ciekawości.

- Nie ma żadnego sposobu, żeby rozszyfrować *bañcades misterieuses!* Poznalibyśmy w końcu tajemniczą recepturę, która chroni przed dżumą - nalegałem.

- Zapomnij o tym! Moglibyśmy spędzić całe wieki nad tymi kartkami i nic z nich nie zrozumieć. Pozostaje nam to, co zobaczyliśmy i usłyszeliśmy dzisiaj. Słuchanie ronda ratuje przed dżumą. To musi nam wystarczyć. Nie dane nam jest zrozumieć, w jaki sposób działa ta muzyka. „Dalej fantazja moja nie nadaży” powiedział opat, cytując poetę krajaną, i dodał: - Ten szaleniec Athanasius Kircher był wybitnym uczonym i głęboko wierzącym człowiekiem, a swoją teorią o leczniczym działaniu ronda udzielił nam lekcji pokory. Nie zapomnij o tym, chłopcze!

Leżąc w łóżku, czekałem na sen. Czulem się zmęczony ciągłym rozmyślaniem, ostatnimi przeżyciami. Po rozmowie z Attcem zrozumiałem, na czym polega magia ronda. Nie bez powodu nosiło ono tytuł *Le.s bañcades misterieuses*. Próba zrozumienia go nie mogła się powieść. Melani, podobnie jak Kircher, udzielił mi lekcji. Zrozumiałem bowiem, że dumny i podejrzliwy opat potrafił się również ukorzyć. Długo jeszcze zastanawiałem się nad tajemnicą *bañcades*, próbując zanucić tę wzruszającą melodię.

Poczułem wzruszenie, kiedy opat zwrócił się do mnie po ojcowsku, mówiąc: „mój chłopcze”. Kiedy tak o tym rozmyślałem, zapadając w sen, przypomniałem sobie, że opat, od którego usłyszałem wiele pięknych słów i zapewnień o przyjaźni, do tej pory nie wyjaśnił mi, skąd zna słowa *bañcades misterieuses*, które wypowiedział przez sen.

Spałem kilka godzin. Kiedy otworzyłem oczy, w „Donzelli” panowała zupełna cisza. Ucichł zgiełk, gospoda wydawała się pogrążona w letargu. Zacząłem nasłuchiwać, ale nie usłyszałem ani gry Devizego, ani rozmów Brenozziego, który miał zwyczaj nachodzić pozostałych gości. Nie przyszedł też do mnie Cristofano.

Było jeszcze za wcześnie, żeby szykować kolację, mimo to postanowiłem zejść do kuchni. Chciałem ponownie uczcić ozdrowienie Bedford-

diego i powrót nadziei pod dach „Donzella”. Zamierzałem przygotować wyborne kwiczoły.

Na schodach spotkałem Cristofana, spytałem go więc o zdrowie Anglika.

- Ma się bardzo dobrze - odparł zadowolony. - Jest tylko trochę obołały z powodu ran po przeciętych obręczkach - dodał z nutą zakłopotania.

- Przygotuję na kolację kwiczoły. Czy mogę je podać także Bedfordiemu?

Na te słowa lekarz aż cmoknął z zadowolenia.

- Oczywiście! Mięso tych ptaków jest bardzo smaczne i pożywne, lekkostrawne, wskazane dla rekonwalescentów i osób osłabionych. Teraz jest na nie najlepsza pora, bo w zimie są za tłuste, żerują wtedy głównie w okolicach Spoleto i Temi, gdzie mają pod dostatkiem jałowca i mirtu. Gdy odżywiają się wyłącznie mirtem, ich mięso jest bardzo wskazane w leczeniu dyzenterii. Skoro chcesz je przygotować - powiedział Cristofano lekko zniecierpliwiony - weź się do pracy, bo zajmie ci to dużo czasu.

Kiedy zszedłem na parter, byli tam już wszyscy goście. Grali w karty, rozmawiali, przechadzali się. Nie chcieli wracać do pokojów, bojąc się zarażenia dżumą.

W pewnej chwili podeszła do mnie uśmiechnięta Cloridia.

- Odżyliśmy! - powiedziała wesołym tonem. - O ile się nie mylę, brakuje tylko Pompea Dulcibeniego - dodała, spoglądając na mnie pytająco.

Zasepiłem się. Cloridia ponownie przejawiała zainteresowanie starszym szlachcicem z Marche.

- Nie ma też opata Melaniego - odparłem sucho. Odwróciłem się i pospieszyłem do piwnicy po potrzebne składniki.

Kolacja bardzo wszystkim smakowała, bardziej niż potrawa z krowich wymion. Tym popisem sztuki kulinarnej zyskałem powszechne i - proszę wybaczyć mi nieskromność - zasłużone uznanie.

Przygotowałem kwiczoły według własnej receptury. Kilka ptaszków usmażyłem w panierce, obłożone plasterkami szynki i słoniny, a następnie przybrałem różyczkami brokułów ugotowanymi z dodatkiem tłuszczu, przyprawionymi sokiem z cytryny. Kilka kwiczołów nafaszerowałem pokrojoną wątróbką, winogronami, ziołami, szynką, przyprawami i posiekaną słoniną. Kilka upiekłem na ogniu, obłożone plasterkami kiełbasy i cytryny. Kilka ugotowałem z dodatkiem kopru włoskiego, ułożyłem na liściach sałaty i podałem z jajkami oraz sosem z winnego moszczu. Kilka upiekłem na rożnie, w sosie własnym albo z plasterkami słoniny i liściem laurowym, natarte olejem i posypane bułką tartą.

Przygotowałem też kwiczoły według przepisu Pellegrina, czyli nadziewane plasterkami słoniny i szynki, polane sosem królewskim z dodatkiem goździków lub zawinięte w liście dyni. Większe kwiczoły najpierw obgotowałem, przekroiłem na pół i usmażyłem. Podałem je z gotowanymi jarzynami, doprawionymi sokiem z cytryny z cukrem, bez cynamonu.

Półmiski z przyrządzonymi na różne sposoby kwiczołami ustawiłem na stole w jadalni, przy którym siedzieli już wygłodniali goście. Obsłużyli się sami, nakładając sobie na talerze porcje to z jednego, to z drugiego półmiska. Clordia podała mi talerz z dużą porcją kwiczołów przybranych natką pietruszki i ćwiartką cytryny. Zaczzerwieniłem się, a ona uśmiechnęła się do mnie i bez słowa usiadła przy stole.

Tymczasem do jadalni zszedł opat Melani, nie widziałem natomiast Cristofana. Poszedłem na górę, żeby spytać go, czy nie przynieść mu czegoś do jedzenia. Nie miałem jednak okazji widzieć się z nim, ponieważ odpowiedział mi przez drzwi, że nie jest głodny i chce być sam. Nie nalegałem. Kiedy odchodziłem spod drzwi pokoju Cristofana, usłyszałem znajomy krótki odgłos. Zapewne Dulcibeni sięgnął do swojej tabakierki i kichnął.

## Noc dziewiąta

*z 19 na 20 września 1683 roku*

- Niebezpieczne i świętokradcze - zapewniał nas Ugonio wzburzonym tonem.

- Świętokradcze? Co to znaczy? - zapytał opat Melani.
- Gfrrrlulbh - wyjaśnił Ciacconio, czyniąc znak krzyża.
- Ciacconio nazywa tak coś groźnego, uczynionego przez osobę dostojną, świętą, ważną dla Kościoła.

Atto i ja spojrzeliśmy po sobie zaskoczeni. Poszukiwacze relikwii byli wyraźnie podenerwowani, mówiąc nam coś na temat ważnego przedstawiciela kurii, którego się bali, a jednocześnie darzyli respektem.

Byliśmy bardzo ciekawi wyniku wyprawy Ciacconia do domu Tiracordy. Spotkaliśmy się z łowcami relikwii w „archiwum”, gdzie jak zwykle krzątali się przy stosie kości i odpadków. Przekładając na ludzką mowę chrząkanie Ciacconia, Ugonio ostrzegł nas, że w domu papieskiego lekarza działo się coś niebezpiecznego, co należało jak najszybciej udaremnić i co miało związek z jakąś ważną osobistością, być może prałatem, którego nazwiska nie znali.

- Powiedz mi najpierw, jak dostałeś się do domu Tiracordy - rzekł Atto.
- Gfrrrlulbh - odparł Ciacconio z chytrym uśmiechem.
- Wszedł przez komin - wyjaśnił Ugonio.
- Przez komin? Teraz rozumiem, dlaczego nie interesowało go, gdzie znajdują się okna. Pewnie cały się wysmarował... Ale cóż - skwitował Atto, przypomniawszy sobie, że brud był nieodłączną częścią egzystencji łowców relikwii.

Ciacconio bez większych trudności dostał się na parter przez komin w kuchni. Tam, idąc za odgłosami rozmowy, dotarł do gabinetu, gdzie Tiracorda i Dulcibeni rozmawiali o jakiś niezrozumiałych dla niego sprawach.

- Mówili coś o... nekromancji - wyjaśnił Ugonio - ale nie wiem, czy dobrze usłyszałem. Nie znam tego słowa.

- Gfrrrlulbh - potwierdził wyraźnie zaniepokojony Ciacconio, kiwając głową.

- Bez obawy! - wtrącił Atto z uśmiechem. - To tylko zagadki.

Ciacconio usłyszał zagadki, którymi Tiracorda zabawiał Dulcibeniego, i wziął je za tajemnicze wróżby kabalistyczne.

- Medyk powiedział, iż późną nocą wybiera się do Monte Cavallo, żeby leczyć jakąś świętą personę - dodał Ugonio.

- Rozumiem: dzisiejszej nocy pójdzie do Monte Cavallo, czyli do pańskiego pałacu, żeby zająć się ważnym duchownym - zinterpretował Atto, spoglądając na mnie porozumiewawczo.

Co było potem?

- Potem medyk wytrąbiszy flaszencję *dulcis infungo* zasnawszy.

Zatem Duicibeni przyniósł ze sobą butelkę ulubionego likieru lekarza, który wypił go za dużo i zasnął.

W tym momencie Ciacconio przeszedł do najważniejszej części opowieści. Zaledwie Tiracorda odpłynął w świat snów, Duicibeni wyjął z szafy naczynie ozdobione dziwnymi malunkami, z dziurkami po bokach. Następnie wydobył z kieszeni niewielką ampułkę i wlał do naczynia kilka kropli jakiegoś płynu. Razem z Attem spojrzeliśmy po sobie z niepokojem.

- Kiedy wykonywawszy tę czynność, mruzcawszy: „Za nią”.

- „Za nią”... To ciekawe. I co dalej?

- Nastawszy koniec świata.

- Koniec świata? - wykrzyknęliśmy jednocześnie.

Okazało się, że do gabinetu Tiracordy wtargnęła rozwścieczona Paradisa i przyłapała ich na picciu znieawidzonego przez nią alkoholu.

- Bardzo się złościwszy i awanturowawszy - wyjaśnił Ugonio.

O ile dobrze zrozumieliśmy, Paradisa lżyła męża i rzucała w niego kieliszkami i narzędziami lekarskimi, które miała w zasięgu ręki. Tiracorda ratował się ucieczką pod stół, tymczasem Duicibeni odłożył na miejsce ozdobne naczynie, do którego wlał kilka kropli tajemniczego płynu.

- Okropny babsztyl, nie nadaje się dla medyka, który leczywszy, przynosząc więcej pożytku niż szkody - stwierdził Ugonio. Ciacconio kiwał ze zrozumieniem głową.

Jak wynikało ze słów Ciacconia, w tej właśnie chwili sprawa przyjęła nieoczekiwany obrót. Podczas gdy Paradisa wyładowywała swoją nienawiść do win i wódek, rzucając w Tiracordę czym popadnie, a Duicibeni czekał w kącie, aż kobiecie przejdzie furia, Ciacconio skorzystał z okazji,

by zaspokoić swoje niskie żądze. Zanim kobieta weszła do gabinetu, na jednej z półek wypatrzył interesujący go przedmiot.

- Gfrrrlulbh - chrząknął zadowolony Ciacconio, wyciągając spod płaszcza wspaniałą, lśniącą czaszkę, prawie nową, wraz z dolną szczęką. Tiracorda używał jej zapewne podczas zajęć ze studentami.

Kiedy Paradisa uniosła się gniewem, Ciacconio wszedł na czworakach do gabinetu, obszedł stół, pod którym schronił się Tiracorda, i przez nikogo niewidziany, schwycił czaszkę. Przypadek zrządził, że duży świecznik, którym Paradisa rzuciła w Tiracordę, rykoszetem trafił w Ciacconia. Wtedy on, w przypiływie bólu i złości, wskoczył na stół i odpowiedział na atak, wydobywszy z siebie jedyny dźwięk, na jaki go było stać, który tym razem zabrzmiał jak okrzyk wojenny.

Na widok brudnej, szpetnej istoty celującej w nią świecznikiem Paradisa zaczęła wrzeszczeć jak opętana. Dulcibeni pozostał oniemiały na swoim miejscu, a Tiracorda niemal rozpląszczył się pod stołem.

Na krzyk Paradisy nadbiegły służące, dokładnie w chwili gdy Ciacconio dopadł do schodów prowadzących do kuchni. Napotkawszy na swojej drodze trzy młode, świeżo wyglądające dziewczęta, łowca relikwii nie mógł oprzeć się pokusie, by nie dotknąć swoimi brudnymi łapskami tej, która przechodziła najbliżej niego.

Zaledwie biedaczka poczuła lubieżny dotyk w najbardziej delikatnym i miękkim miejscu, na krótką chwilę straciła przytomność. Druga służąca zaczęła histerycznie krzyczeć, trzecia zaś czym prędzej uciekła na drugie piętro.

- Chyba posusiawszy się ze strachu - stwierdził Ugonio, po czym obaj poszukiwacze relikwii zanieśli się grubiańskim śmiechem.

Chichocząc złośliwie z wulgarного żartu, Ciacconio dotarł do kuchni i przez komin, którym wszedł, wydostał się (w sposób zupełnie dla nas niezrozumiały) na dach domu Tiracordy, gdzie był nareszcie wolny.

- Niebypałe - skomentował Atto Melani - ci dwaj są zwinni niczym jaszczurki.

- Gfrrrlulbh - uściślił Ciacconio.

- Co on powiedział?

- Że w naczyniu nie było jaszczurek, tylko pijawki - wyjaśnił Ugonio.

- Słucham? Chcesz powiedzieć... - wyjąkał Melani.

- Pijawki - wtrąciłem. - To właśnie znajduje się w naczyniu Tiracordy, które tak interesuje Dulcibeniego...

Nagle zamilkłem, ponieważ do głowy przyszła mi niespodziewana myśl.

- Już wiem! Wszystko już rozumiem! - wykrzyknąłem, podczas gdy Atto wpatrywał się we mnie z niecierpliwością. - Dulcibeni... Och, mój Boże!

- O co chodzi? Mów! - błagał Melani, chwytając mnie za ramiona i potrząsając mną z całej siły, podczas gdy łowcy relikwii patrzyli na nas zaciekawieni.

- ...chce uśmiercić papieża - wykrztusiłem.

Wszyscy czterej usiedliśmy z wrażenia, przygnieceni ciężarem nowiny.

- Należałoby się zastanowić, co to za płyn Dulcibeni wlewa po kryjomu do naczynia z pijawkami - powiedział Atto.

- Coś, co sporządził w laboratorium na wyspie, gdzie ćwiartuje szczury - zasugerowałem.

- Otóż to! Najpierw je ćwiartuje, a potem upuszcza im krew. Są to chore szczury - dodał Atto. - Pamiętasz? Widzieliśmy kilka martwych gryzoni.

- Oczywiście, że pamiętam. Wszystkie krwawiły. Cristofano mówi, że takie są objawy u szczurów chorych na dżumę - odparłem podnieconym głosem.

- A zatem te szczury były zadżumione - potwierdził Atto. - Z ich krwi Dulcibeni sporządził trującą ciecz. Następnie poszedł do Tiracordy, uspił go likierem, po czym wlał truciznę do pojemnika z pijawkami, które tym sposobem stały się nosicielkami choroby. Dzisiejszej nocy Tiracorda przystawił je papieżowi Innocentemu XI - podsumował Atto głosem zachrypniętym z emocji - i zaraził go dżumą. Odkryliśmy to jednak zbyt późno.

- Od wielu dni byliśmy bliscy prawdy. Słyszeliśmy nawet, jak Tiracorda mówił, że leczy papieża pijawkami! - powiedziałem w podnieceniu.

- Na niebiosa! Masz rację - odparł Melani po chwili namysłu. - To było wtedy, gdy po raz pierwszy przysłuchiwałem się jego rozmowie z Dulcibenim. Jak mogłem to przeoczyć?

Przez dłuższy czas snuliśmy rozważania i domysły, uzupełniając stan naszej wiedzy na ten temat.

- Dulcibeni przeczytał wiele książek medycznych - stwierdził opat. - Można to wywnioskować z jego podejścia do przedmiotu. Wiedział zatem, że podczas epidemii dżumy chorują też szczury, i mógł uzyskać z nich, a właściwie z ich krwi, to, czego potrzebował. Poza tym towarzyszył w podróży Fouquetowi, któremu nieobce były tajniki dżumy. Znał też teorię Kirchera, wiedział, że dżuma rozprzestrzenia się nie poprzez

miazmaty czy nieprzyjemne wonie, ale za pośrednictwem *animalcula*, drobniotkich stworzonek, które mogą przechodzić z jednej istoty na drugą. Ze szczurów na papieża.

- Zgadza się! - wykrzyknąłem. - Kiedy na początku kwarantanny zastanawialiśmy się nad zagadką dżumy, Dulcibeni wyjaśnił teorię Kirchera w najdrobniejszych szczegółach. Znał ją doskonale. Sprawiał wrażenie osoby, która nie myśli o niczym innym, była to dla niego...

- ...prawdziwa obsesja. Otóż to! Od dawna nosił się z myślą o zarażeniu papieża. Ten pomysł przyszedł mu do głowy prawdopodobnie podczas rozmów z Fouquetem, w czasie trzyletniego pobytu nadintendenta w Neapolu.

- Fouquet darzył Dulcibeniego zaufaniem.

- Z pewnością. Dowodem na to jest list Kirchera, który znaleźliśmy w bieliźnie Dulcibeniego. W przeciwnym razie po cóż miałby opiekować się starym ślepcem? - rzekł sarkastycznym tonem opat.

- Skąd Dulcibeni wziął *animalcula* przenoszące dżumę? - zapytałem.

- Ogniska zakażenia są wszędzie, nawet jeśli nie zawsze przeradzają się w prawdziwą epidemię. Słyszałem, że w początkach roku stwierdzono je na granicy cesarstwa, w pobliżu Bolzano. Być może właśnie tam Dulcibeni zdobył krew zadżumionych szczurów i rozpoczął swoje eksperymenty. Kiedy uznał, że nadeszła pora, przyjechał do Rzymu i zatrzymał się w „Donzelli”, obok domu Tiracordy. Zarażał szczury w podziemiach, żeby mieć zapas zainfekowanej krwi.

- Krótko mówiąc, podtrzymywał ognisko dżumy w krwi szczurów.

- Otóż to! W pewnej chwili sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. W podziemnych tunelach zaczął się zbyt duży ruch: biegały zakażone szczury, Dulcibeni zgubił ampułkę z krwią, zorientował się, że ktoś go śledzi, prawdopodobnie mieszkaniec gospody... Niewidzialny zarazek *animalculum* dotarł do Bedfordiego i nasz młody Anglik rozchorował się. Mogło się to przydarzyć także tobie lub mnie.

- A choroba Pellegrina i śmierć Fouqueta?

- Dżuma nie ma z tym nic wspólnego. Niedyspozycja twojego pryncypała okazała się skutkiem upadku ze schodów. Fouquet natomiast, zdaniem Cristofana (i moim), został otruty. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że uczynił to Dulcibeni.

- O Boże! Zabił też Fouqueta? - zdziwiłem się. - Nie sądziłem, że Dulcibeni jest takim złym człowiekiem. Bardzo cierpiał po stracie córki, biedaczek. A do tego jest aż nazbyt skromny. Zdołał wkraść się w łaski starego Fouqueta, opiekował się nim i chronił go.



- Dulcibeni chce zabić papieża - stwierdził krótko Atto. - Pierwszy się tego domyśliłeś. Dlaczego więc miałby nie otruć swojego przyjaciela?

- Tak, ale...

- Wszyscy prędzej czy później popełniają błąd, obdarzając zaufaniem nieodpowiednią osobę - uciął z grymasem niezadowolenia. - Nadintendent zbyt ufał swoim przyjaciołom - dodał, wzdrygnąwszy się na własne słowa. - Jeśli jednak lubisz zagadki - ciągnął - zaraz wyjawię ci jedną z nich. Dzisiejszej nocy, podczas upuszczania krwi, papież zostanie zarażony dżumą. Dlaczego? Dlatego, że Odescalchi nie pomogli Dulcibeniemu w poszukiwaniach córki.

- Zatem?

- Nie wydaje ci się, że to za mało, aby skazać papieża na śmierć?

- Istotnie...

- To za mało, stanowczo za mało - powtórzył Atto. - Odnoszę wrażenie, że Dulcibeni musi mieć inne powody, żeby przeprowadzić to ryzykowne przedsięwzięcie. Ale na razie nic nie przychodzi mi do głowy.

Kiedy rozmawialiśmy o Dulcibenim, Ugonio i Ciacconio z zapałem o czymś dyskutowali. W pewnej chwili Ugonio wstał, dając nam do zrozumienia, że należy ruszyć dalej.

- A propos ryzykownych działań, jak zdołałeś wydostać się z Cloaca Maxima? - zapytałem łowcę relikwii.

- Sakrament ocalenia, tak jak czynił Baronio.

- Baronio? Kto to taki?

Ugonio popatrzył na nas znacząco, jakby pragnął wygłosić mowę.

- Zaraz teraz, a nie potem, poznawszy go osobiście - powiedział.

Jego towarzysz szturchnął mnie i opata w plecy, zachęcając do pójścia za nim. Poszukiwacze relikwii poprowadzili nas do korytarza C. Po kilku minutach zatrzymali się. Właśnie przemierzaliśmy pierwszy odcinek tunelu, kiedy usłyszałem jakiś szelest zbliżający się w naszym kierunku. Jednocześnie poczułem silną, wstrętną woń.

Ugonio i Ciacconio pokłonili się, jakby oddawali cześć jakiemuś niewidzialnemu bóstwu. Z gęstych ciemności wynurzyła się powoli grupa szarawych, nieforemnych postaci.

- Gfrrrlulbh - powiedział Ciacconio z powagą.

- Baronio to główny poszukiwacz relikwii, nasz przywódca i dowódca - oznajmił uroczyście Ugonio.

Jak mogliśmy się spodziewać, mroczna społeczność łowców relikwii była dość liczna. Nie przypuszczaliśmy jednak, że na jej czele stał przywódca, którego podwładni darzyli szacunkiem i wierzyli w jego cudotwórczą moc.

Mieliśmy więc okazję poznać tajemniczego Baronia. Wyszedł nam na przeciw w towarzystwie świty. Były to postacie dość barwne (o ile można użyć tego terminu dla różnych odcieni brązu i szarości), podobne do Ugonia i Ciacconia, ubrane w zniszczone, zakurzone płaszcze. Ich twarze ginęły w dużych kapturach, a ręce w zbyt długich rękawach. Akolici Ugonia, Ciacconia i Baronia tworzyli najbardziej odrażającą bandę, jaką można sobie wyobrazić. Ich nadejście poprzedzał intensywny odór.

Baronio, nieco wyższy od pozostałych łowców relikwii, wysunął się na czoło grupy. Zrobił krok w naszym kierunku, ale zaraz cofnął się i skrył w gromadzie łowców relikwii, wydających gniewne pomruki.

- Gfrrrlulbh — powiedział Ciacconio. Szeregi rozstały się.

- Przestraszyłeś Baronia. Myślał, że jesteś *daemunculuSt subterraneus* - wyjaśnił Ugonio - ale zapewniwszy, że dobry z ciebie kompan.

Przywódca wziął mnie za jednego z owych demunkulusów, którzy - zgodnie z dziwacznymi wierzeniami poszukiwaczy relikwii - zamieszkują mroczne podziemia. Baronio i jego grupa nigdy ich nie widzieli, ale są przekonani, że istnieją. Ugonio powiedział mi, że podziemne istoty dokładnie opisali Niceforo, Gasparre Schotto, Fortunio Liceto, Giovanni Eusebio Nierembergus, a nawet Kircher, który przedstawił naturę i obyczaje *daemunculi subterranei*, jak również cyklopów, olbrzymów, pigmejów, monopodów, trytonów, syren, satyrów, kynokefali i istot bezgłowych.

Mój rozmówca zapewnił mnie, że nie muszę się niczego obawiać, ponieważ obaj z Ciacconiem poręczyli za mnie i za Atta. Przedstawiono nam pozostałych łowców relikwii, których nietypowe imiona brzmiały następująco (o ile pamięć mnie nie zawodzi): Gallonio, Stellonio, Marroonio, Salonio, Plafonio, Scacconio, Grufonio, Polonio, Svetonio i Antonio.

- Jestem zaszczycony - rzekł dwornie Atto, z trudem kryjąc obrzydzenie.

Ugonio wyjaśnił nam, że Baronio i jego grupa przyszli mu z pomocą, kiedy nasza łódź wywróciła się w Cloaca Maxima. Także teraz przywódca poszukiwaczy w tajemniczy sposób wyczuł (zapewne dzięki cudownemu powonieniu, które posiadał też Ciacconio, albo wskutek innych nad-

zwyczajnych właściwości), że Ugonio pragnie się z nim zobaczyć. Właśnie dlatego wyszedł mu na spotkanie z głębokich podziemi, do których dostał się przez właz w pobliżu Panteonu.

Łowców relikwii łączyła więc braterstwa i chrześcijańskiej solidarności. Za pośrednictwem pewnego kardynała, który był miłośnikiem relikwii, nieoficjalnie zwrócili się do papieża o wydanie im zgody na utworzenie arcybractwa, ale Ojciec Święty dotąd nie udzielił im odpowiedzi (co było dość dziwne, jak stwierdził Ugonio).

- Kradną, oszukują, przemycają, a potem udają pobożnisiów - szepnął mi do ucha Atto.

Ugonio zamilkł, aby oddać głos Baroniowi. Jego podwładni w jednej chwili ucichli i przestali drapać się, pokasywac, jeść, chrupać, mlaskać i przeżuwać jakieś obrzydliwe świństwa.

Baronio wypiął pierś, podniósł palec wskazujący ze szponiastym paznokciem i powiedział:

- Gfirrlulbh!

- Nadzwyczajne! - odrzekł lodowatym tonem Atto Melani. - Mówimy tym samym językiem.

- To nie język, tylko śluby - wtrącił Ugonio nieco zagniewany, wyzywając, że Atto drwi sobie z przywódcy.

Tym sposobem dowiedzieliśmy się, że ograniczone możliwości słowne łowców relikwii nie wynikały z głupoty czy niedouczenia, ale ze złożonych ślubów.

- Dopóki nie znajdzie świętego przedmiotu, nie mówi normalnie - poinformował nas Ugonio, który był zwolniony ze ślubów, aby umożliwić kontakt społeczności poszukiwaczy z resztą świata.

- Ach, tak? Cóż to za święty przedmiot, którego poszukujecie?

- Ampułka z prawdziwą krwią Naszego Pana - oznajmił Ugonio, podczas gdy reszta grupy przeżegnała się.

- Szlachetny i zbożny cel - stwierdził Atto, uśmiechając się do Baronia.

- Módl się, żeby śluby nigdy nie zostały spełnione - szepnął mi Melani do ucha - w przeciwnym razie wszyscy mieszkańcy Rzymu będą mówić jak Ugonio.

- To niemożliwe - odparł nieoczekiwanie Ugonio. - Zapewniam was, jakem Germanin.

- Jesteś Niemcem? - zdziwił się Atto.

- Pochodzę z Windobony uściślił uroczystym głosem łowca relikwii.

- Urodziłeś się w Wiedniu - przetłumaczył opat. - To dlatego tak mówisz...

- Opanowałem język italski jak ojczysty - wyjaśnił pośpiesznie Ugonio. - Jestem wdzięczny waszej stanowczości za komplement, który przynosiwszy mi chlębę.

Ugonio wyjaśnił towarzyszom, że pewien podejrzany typ, gość naszej gospody, chce zamordować Jego Świątobliwość Innocentego XI, przedstawiając mu pijawki zakażone dżumą, podczas gdy w Wiedniu decydują się losy chrześcijaństwa. Morderczy plan ma być wprowadzony w życie tej nocy.

Poszukiwacze relikwii przyjęli nowinę z oburzeniem i niepokojem, po czym wszczęli ożywioną dyskusję, którą streścił nam Ugonio. Plafonio zaproponował, żeby się pomodlić i poprosić Boga o wstawiennictwo. Gallonio opowiedział się za rozwiązaniem dyplomatycznym: niech delegacja poszukiwaczy relikwii uda się do Dulcibeniego i odwiedzie go od okrutnego zamiaru. Stellonio obstawał przy tym, żeby pojmać Dulcibeniego i go zabić. Grufonio zauważył, że takie rozwiązanie przyniosłoby wiele nieprzyjemnych następstw, jak na przykład przybycie straży papieskiej. Marronio dodał, że wtargnięcie do gospody objętej kwarantanną ze względu na podejrzenie dżumy byłoby niezwykle ryzykowne. Svetonio stwierdził, że takie posunięcie nie zdałoby się na nic, ponieważ z chwilą gdy Tiracorda dotrze do papieża (na te słowa Grufonio przeżegnał się), nic się już nie da zrobić. Należy zatem za wszelką cenę powstrzymać Tiracordę. W tej samej chwili oczy wszystkich łowców relikwii zwróciły się w stronę Baronia, który powiedział znacząco:

- Gfrrrlulbh!

Podwładni Baronia zaczęli podskakiwać jak opętani, wojowniczo pochrzakując. Uformowali dwa rzędy, jak oddział żołnierzy, i powoli oddalili się do tunelu C, który prowadził do domu Tiracordy.

Przyglądaliśmy się z Attem tej scenie, bezsilni i zdezorientowani. Ugonio, który wraz ze swoim wiernym towarzyszem pozostał z nami, wyjaśnił, że Baronio z oddziałem postanowili uczynić wszystko, by uniemożliwić wyjazd Tiracordy do papieskiego pałacu w Monte Cavallo. Zamierzali przyczaić się w uliczkach obok domu lekarza i zatrzymać jego karetę.

- Co teraz zrobimy, panie Atto? - spytałem, pałając chęcią ukarania człowieka, który nastawał na życie namiestnika Chrystusa.

Ale opat mnie nie słuchał. Odpowiedział natomiast na wyjaśnienie Ugonia:

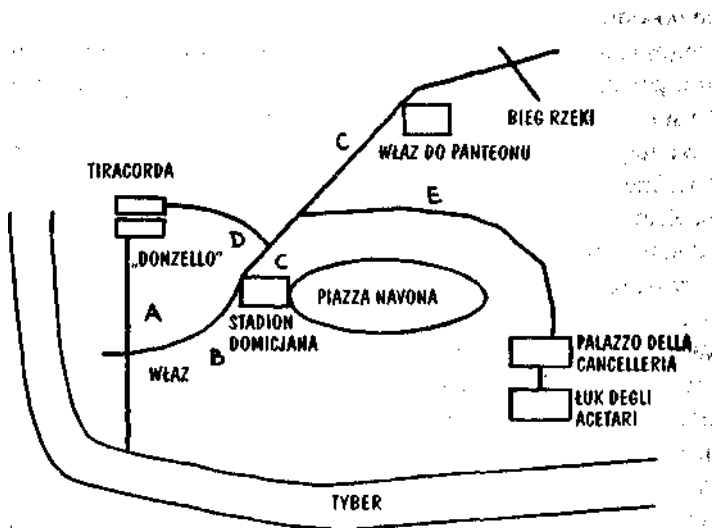
i - Ach, tak - powiedział bezbarwnym głosem.

Nie wydawał się zachwycony tym, że sytuacja wymknęła mu się spod kontroli.

- Co robić?

- Przede wszystkim powstrzymać Tiracordę - stwierdził Melani stanowczym tonem. - Podczas gdy Baronio i pozostali poszukiwacze relikwii wyjdą na powierzchnię, my będziemy szli podziemiami. Popatrzcie!

Pokazał nam zaktualizowaną wersję poprzedniej mapy tuneli, którą zgubiliśmy w Cloaca Maxima. Na nowym planie uwzględniony był też odcinek C, wraz z punktem przecięcia z podziemną rzeką, która dopływała do wyspy z laboratorium Dulcibeniego i wpadała do Cloaca Maxima. Widać było też przebieg tunelu D, aż do wjazdu prowadzącego do wozowni Tiracordy, tuż obok „Donzella”.



- Aby zlokalizować Tiracordę, nie wystarczy kontrolować teren w pobliżu via dell'Orso - oznajmił Atto. - Nie możemy wykluczyć, że lekarz zechce skorzystać z podziemi i przejdzie kolejno tunelami D, C, B i A na brzeg Tybru.

- Dlaczego?

- Mógłby na przykład przepłynąć jakiś odcinek łodzią i wysiąść na ląd w porcie Ripetta. Nadłożyłby drogi, ale trudno byłoby go śledzić. Mógłby też wydostać się na powierzchnię przez jakieś nieznanne nam wyjście. Mu-

simy się rozdzielić, wtedy będziemy przygotowani na wszelkie ewentualności. Ugonio i Ciacconio będą mieć na oku tunele A, B, C i D.

- Czy to nie za dużo na nich dwóch?

- Nie dwóch, tylko trzech, wliczając nos Ciacconia. My natomiast udamy się do tej części tunelu B, w której jeszcze nigdy nie byliśmy. Wówczas będziemy mieć pewność, że Tiracorda nie wymknie się nam.

- A Dulcibeni? - spytałem. - Nie obawia się pan, że on również będzie się kręcił po podziemiach?

- Nie. Zrobił już rzecz najważniejszą: zainfekował pijawki, które Tiracorda przystawi papieżowi.

Ugonio i Ciacconio wyruszyli natychmiast. Pobiegli korytarzem C, każdy w przeciwnym kierunku. My także ruszyliśmy w drogę. Nie mogłem się powstrzymać od zadania Melaniemu pytania, które dręczyło mnie od jakiegoś czasu:

- Jest pan agentem króla Francji, prawda?

Opat spojrział na mnie spod oka.

- Co z tego?

- Nie, nic... Tak sobie myślę, że papież nie sprzyja Arcychrześcijańskiemu Królowi, ale pan chce uratować Ojca Świętego, czy tak?

Opat zatrzymał się.

- Czy widziałeś, jak kat ścina skazańcowi głowę?

- Nie.

- Wiedz zatem, że kiedy głowa stacza się z szafotu, język jeszcze się rusza, a z ust wydobywają się słowa. Właśnie dlatego żaden książę nie jest zadowolony, kiedy umiera człowiek równy mu stanem. Boi się tej spadającej głowy i języka, który może wyjawić wiele niebezpiecznych rzeczy.

- A zatem władcy nikogo nie zabijają?

- Niezupełnie... Mogą to zrobić, o ile w grę wchodzi bezpieczeństwo Korony. Ale zapamiętaj, chłopcze: prawdziwa polityka polega na utrzymaniu stanu równowagi, nie na atakowaniu.

Kiedy ukradkiem przyjrzałem się opatowi, dostrzegłem bladeść jego twarzy i rozbiegane, przerażone oczy. Wbrew temu, co powiedział, zauważyłem jego wahanie. Poszukiwacze relikwii nie dali mu czasu do namysłu, przechodząc natychmiast do działania. Pragnąc uratować Innocentego XI, podjęli się heroicznego przedsięwzięcia, ubiegając Atta i wciągając go w wir wydarzeń. Teraz opat nie mógł się już wycofać. Próbował ukryć swoje zakłopotanie, wyprzedzając mnie i przyspieszając kroku.

Dotarliśmy do „archiwum”, ale na próżno szukaliśmy śladów obecności Ugonia i Ciacconia. Zapewne przygotowali już zasadzkę i ukryli się gdzieś.

- To my! Wszystko w porządku? - zapytał głośno Atto.

W odpowiedzi usłyszeliśmy chrząknięcie Ciacconia, dochodzące z jakiegoś niewidocznego ciemnego zakamarka.

Poszliśmy więc dalej, rozmawiając o ostatnich wydarzeniach.

Obaj zgodnie stwierdziliśmy, że wykazaliśmy się niewybaczalną ślepotą, nie umiając połączyć w jedną całość poszlak poznanych w ciągu ostatnich dni. Ale na szczęście nie było jeszcze za późno na odkrycie prawdy. Atto kolejny raz dokonał podsumowania odkrytych przez nas faktów:

- Dulcibeni pracował dla Odescalchich, prawdopodobnie jako księgowy. Miał córkę o imieniu Maria, zrodzoną ze związku z turecką niewolnicą. Dziewczynę porwali były handlarz niewolników Feroni i jego prawa ręka Huygens, zapewne po to, aby zaspokoić kaprys tego ostatniego. Marię wywieziono do jakiegoś dalekiego kraju na północy. Chcąc ją odnaleźć, Dulcibeni poprosił o pomoc Odescalchich, którzy mu *jej* odmówili. Pompeo znienawidził ich za to, a najbardziej wpływowego kardynała Benedetto Odescalchiego, który w tym czasie został papieżem. Po porwaniu córki zdarzył się dziwny wypadek. Otóż Dulcibeni został zaatakowany i wypchnięty przez okno. Ktoś chciał go zabić, zgadza się?

- Tak.

- To pierwsza zagadka: dlaczego ktoś, nasłany prawdopodobnie przez Feroniego lub Odescalchich, próbował zamordować Dulcibeniego?

- Może dlatego, żeby przeszkodzić mu w poszukiwaniach córki.

- Być może - odparł Atto bez przekonania. - Jak ci jednak wiadomo, wszelkie próby odnalezienia córki spęły na niczym. Sądzę raczej, że Dulcibeni stał się dla kogoś zagrożeniem.

- Dlaczego córka Dulcibeniego była niewolnicą?

- Nie słyszałeś, co mówił Tiracorda? Dulcibeni nie mógł poślubić jej matki właśnie dlatego, że była niewolnicą. Nie znam się na handlu niewolnikami, ale ze słów Dulcibeniego wynikało, że Odescalchi także jego córkę uznawali za niewolnicę. Nie rozumiem tylko, dlaczego Huygens i Feroni po prostu jej nie kupili.

- Może dlatego, że Odescalchi nie chcieli jej sprzedać.

- Ale za to sprzedali matkę. Nie, myślę, że to Dulcibeni sprzeciwił się sprzedaży córki, dlatego też została porwana, być może z pomocą Odescalchich.

- Chce pan przez to powiedzieć, że ten odrażający czyn był wspierany przez ród papieża? - spytałem przerażony.

- Oczywiście. Być może przez samego kardynała Benedetta Odescalchiego, obecnego papieża. Nie zapominaj, że Feroni był bardzo bogatym i wpływowym człowiekiem, któremu się nie odmawia. To wyjaśniałoby, dlaczego Odescalchi nie chcieli pomóc Dulcibeniemu.

- W jaki sposób Dulcibeni mógł przeciwstawić się sprzedaży córki, skoro była ona własnością Odescalchich?

- Właśnie: w jaki sposób? Musiał posłużyć się jakąś bronią, Odescalchi mieli związane ręce i nie pozostało im nic innego jak pomóc Feroniemu w porwaniu, a później na zawsze zamknąć Dulcibeniemu usta.

Miałem ochotę powiedzieć opatowi, że słyszałem już kiedyś nazwisko Feroni, ale ponieważ nie wiedziałem dokładnie, gdzie i kiedy, więc milczałem.

- Broń przeciw Odescalchim... Może to jakiś sekret?... - mruzczał pod nosem opat, w którego oczach pojawiły się złe błyski.

Zrozumiałem, że Atto Melani, agent Arcychrześcijańskiego Króla, oddałby życie za poznanie sekretu dotyczącego przeszłości papieża.

- Do licha! Musimy rozwikłać tę zagadkę! - wykrzyknął opat na zakończenie swoich rozważań. - Ale najpierw powtórzmy jeszcze raz: w głowie Dulcibeniego zrodziła się myśl o zgładzeniu papieża. Był przekonany, że papież nie udzieli mu audiencji, podczas której mógłby go spokojnie zasztyletować. W jaki sposób można kogoś zabić na odległość? Na przykład przez otrucie, ale raczej trudno byłoby dostarczyć truciznę do papieskiej kuchni. Dulcibeni obmyślił sposób o wiele bardziej wyrafinowany. Przypomnił sobie, że jego stary przyjaciel Giovanni Tiracorda jest lekarzem papieża. Dulcibeni postanowił wykorzystać sytuację. W tym czasie Innocenty XI podupadł na zdrowiu, a jego stan pogorszył się na skutek zamartwiania się o losy chrześcijańskich oddziałów pod Wiedniem. Lekarz postanowił upuścić papieżowi krwi, czego dokonuje się, jak wiadomo, za pomocą pijawek. Co zrobił Dulcibeni? Zabawiając się z Tiracordą w rozwiązywanie zagadek, częściej napełniał likierem jego kieliszek niż swój. Żona lekarza, Paradisa, jest zwariowaną bigotką, według której picie alkoholu prowadzi do potępienia duszy. Tiracordą pił więc po kryjomu i prawie zawsze bez umiaru. Teraz też upił się i zasnął. Dulcibeni zainfekował pijawki zatrutym płynem. Kiedy pijawki przysną się do ciała Innocentego XI, zarażą go dżumą.

- To straszne! - skomentowałem.

- Oto do czego może być zdolny człowiek zaślepiiony nienawiścią. Pa-



miętasz naszą pierwszą wyprawę do domu Tiracordy? Dulcibeni zapytał go: „Jak się miewają?”, mając na myśli pijawki, które zamierzał zainfekować. Tiracorda stłukł niechcący butelkę z likierem, zrobiło się zamieszanie, do pokoju wpadła Paradisa i Dulcibeni musiał odłożyć swój zamiar. Ale ubiegłej nocy wszystko poszło gładko. Kiedy zarażał pijawki, powiedział: „Za nią”, mając na myśli swoją córkę.

- Potrzebował spokojnego miejsca, w którym mógłby wszystko zaplanować i przygotować - zauważyłem.

- Brawo! A przede wszystkim po to, by jakimś nieznanym nam sposobem wyhodować zarazki dżumy. W tym celu łapał szczury, zamykał je w klatce na wyspie, po czym je infekował, a z ich krwi wytwarzał zatruty płyn. To z pewnością Dulcibeni zgubił w podziemiach kartkę z Biblii.

- Czy to on ukradł moje perły?

- A któż by inny? Posłuchaj dalej! - rzekł podniecony Atto. - Kiedy rozpoczęła się kwarantanna - ciągnął - a twój pryncypał zachorował, Dulcibeni, który musiał mieć swobodny dostęp do podziemi i wyspy z mitrum, wykradł Pellegrinowi klucz, poszedł do ślusarza i zrobił sobie duplikat. Zawinął go w stronicę wyrwaną z Biblii, którą wydrukował Komarek. Ponieważ Dulcibeni stale był zajęty szczurami, pijawkami i ampułkami, przypadkowo zabrudził kartkę krwią.

- Na wyspie znaleźliśmy naczynie podobne do słoja, w którym Tiracorda przechowuje pijawki - zauważyłem - poza tym różne narzędzia...

- Naczynie było mu potrzebne zapewne do tego, żeby wyhodować kilka pijawek i upewnić się, czy po wypiciu zainfekowanej krwi nie zdechną. Gdy zorientował się, że ktoś go śledzi, pozbył się ich. W obawie, że mogłyby zdradzić jego morderczy zamiar. Aparatura i przyrządy, o których wspominałeś, posłużyły Dulcibeniemu nie tylko do eksperymentów na szczurach, ale też do przygotowania zainfekowanego płynu. Te wszystkie aparaty destylacyjne i palniki przypominały laboratorium alchemika...

- Do czego służyła mała szubieniczka?

- Być może do unieruchomienia szczurów podczas upuszczania im krwi.

Wiedzieliśmy już, dlaczego w podziemiach znaleźliśmy zdychające szczury. Być może przeżyły eksperymenty Dulcibeniego i zdołały uciec. Natomiast ampułka z krwią, którą znaleźliśmy w tunelu D, wypadła zapewne Dulcibeniemu, kiedy podjął się nieudanej próby zainfekowania pijawek Tiracordy krwią szczurów.

- A liście mamacoki? - wtrąciłem.

- Tego właśnie nie potrafię wyjaśnić - przyznał opat Melani. - Nie mają nic wspólnego z dzumą ani z zamiarem Dulcibeniego. Trudno mi też uwierzyć, żeby stary Dulcibeni mógł biegać, wiosłować, wdrapywać się po stromych schodach i uciekać przed nami jak mały chłopiec, w dodatku nocą. Stąd wniosek, że ktoś mu pomagał.

Kiedy tak rozmawialiśmy, dotarliśmy do wjazdu nad skrzyżowaniem kanałów B i A. Celem naszej trzeciej wyprawy poznawczej było zbadanie lewej odnogi korytarza B.

Zazwyczaj z tunelu B do korytarza A dostawaliśmy się przez wjazd i wracaliśmy do „Donzella”. Dzisiaj było inaczej. Szliśmy dalej przed siebie, w kierunku rzeki, mając po prawej stronie gospodę, po lewej zakole Tybru.

Trasa nie kryła w sobie żadnych niespodzianek do chwili, gdy natrafiliśmy na kamienne czworokątne schody, podobne do tych, które z tajnego schowka w „Donzelli” prowadziły do podziemi i były nam dobrze znane.

- Wyjdziemy na via dell'Orso - powiedziałem, kiedy wchodziliśmy po stopniach.

- Raczej bardziej na południe, na via Tor di Nona.

Schody biegły w czymś w rodzaju szybu wyłożonego ceglami, podobnego do tego, którym wielokrotnie wydostawaliśmy się z gospody.

Nad naszymi głowami dostrzegliśmy (a także wyczuliśmy przez dźwięk) pokrywę z żelaza lub ołowiu. Próbowaliśmy ją podnieść, ale nawet nie drgnęła. Musieliśmy jednak to uczynić, żeby przekonać się, dokąd dotarliśmy. Zaparliśmy się nogami o ostatni stopień i wspólnymi siłami zdołaliśmy ją unieść i przesunąć z łoskotem na tyle, byśmy mogli wydostać się na powierzchnię.

Szliśmy ulicą pogrążoną w nocnych ciemnościach. W pewnej chwili zauważyliśmy karetę z zatkniętymi po bokach dwiema pochodniami, oświetlającymi ją w dziwny, złowrogi sposób. Stangret, wydając przytłumione okrzyki, walczył z kilkoma osobnikami. Jeden z napastników trzymał za uzdę konie, które nerwowo rżały i parskały. Z karety wyslizgnał się jakiś człowiek, dzierżący w dłoni (tak mi się przynajmniej wydawało) duży przedmiot. Bez wątplenia byliśmy świadkami napadu.

Mimo że po długim marszu w podziemiach byłem nieco oszołomiony, zorientowałem się, że znajdujemy się na via Tor di Nona, która biegnie równoległe do Tybru i prowadzi do via dell'Orso. Opat Melani nie mylił się.

- Szybko! Chodźmy! - wyszeptał Atto, wskazując karete.

Scena przemocy, która rozegrała się na naszych oczach, wprawiła mnie w osłupienie. Przypomniałem sobie, że niedaleko, na krańcach mostu SanfAngelo, stoją zazwyczaj straż. I choć obawiałem się, że możemy zostać oskarżeni o udział w napadzie, podążyłem za opatem, który ostrożnie zbliżał się do miejsca zdarzenia.

- Pompeo, pomocy! Straże! Ratunku! - wołał ktoś z wnętrza karety. Nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, że słaby, zdławiony głos pasażera należy do Giovanniego Tiracordy.

W mgnieniu oka wszystko zrozumiałem. Człowiekiem, który walczył z napastnikami, chrapliwie pokrzykując, był nie stangret, lecz Pompeo Dulcibeni. Tiracorda poprosił go zapewne, żeby towarzyszył mu do pańskiego pałacu w Monte Cavallo. Lekarz, który miał do spełnienia delikatną, tajną misję, był zbyt stary, żeby powozić karetą, i wołał, żeby odwiózł go przyjaciel. Poszukiwacze relikwii, przyczajeni w pobliżu, wypatrzyli powóz i w kilka sekund go zatrzymali. Obezwładnili Dulcibeniego, wyciągnęli bagaż z karety i uciekli. Przebiegli obok nas i pomknęli w kierunku wjazdu, przez który wyszliśmy z podziemi.

- Na pewno zabrali pijawki - powiedziałem w podnieceniu.

- Pst! - nakazał mi opat.

Zrozumiałem, że Melani nie ma zamiaru uczestniczyć w zdarzeniu. W oknach okolicznych domów pojawiły się głowy zaciekawionych odgłosami bójki mieszkańców. W każdej chwili mogli nadbiec strażnicy.

Z wnętrza karety dochodziły biadania Tiracordy. Dulcibeni uspokajał przyjaciela.

W tej samej chwili wydarzyło się coś niewiarygodnego. Od wjazdu zawrócił łowca relikwii i zaczął biec z powrotem w stronę karety. Pod pachą trzymał duży przedmiot, który ukradł nieszczęsnemu Tiracordzie.

- Ty łotrze, nie! Tylko nie krucyfiks! Jest w nim relikwia...

W ciemnościach dał się słyszeć błagalny głos lekarza. Poszukiwacz relikwii wypadł z karety po przeciwnej stronie. Popełnił fatalny błąd. Wpadł prosto na Pompea Dulcibeniego, który smagnął go batem po nogach i powalił. Kiedy niezgrabnie podnosił się z ziemi, rozpoznałem po garbatej sylwetce Ciacconia.

Podeszliśmy bliżej, ryzykując, że ktoś nas rozpozna. Usłyszeliśmy drugie smagnięcie, potem trzecie i pochrząkiwanie protestującego Ciacconia.

- Przebrzydłe psy! - wrzasnął Dulcibeni.

Włożył odebrany Ciacconiowi przedmiot do karety, zamknął drzwiczki, wskoczył na kozioł i zaciął konie batem.

Szybki rozwój wypadków sprawił, że zapomniałem o ostrożności i wbrew zdrowemu rozsądkowi, a przede wszystkim wbrew bojaźni bożej, poddałem się woli Melaniego i pozwoliłem pociągnąć w stronę odjeżdżającej karety. Nie bez znaczenia był odważny plan ratowania życia naszego pana Innocentego XI.

- Teraz albo nigdy - powiedział Melani, gdy wskakiwaliśmy na stopień z tyłu karety.

Zaledwie przytrzymałem się uchwytów, na stopień obok mnie wskoczyła jeszcze jedna osoba, omal mnie z niego nie zwałając. Kiedy odwróciłem się oszołomiony, zobaczyłem przed sobą szkaradny uśmiech bezzębego, diabolicznego Ciacconia, który trzymał w dłoni krucyfiks z przyczepionym do niego wisiorkiem.

W pewnej chwili kareta, wioząca trzech dodatkowych pasażerów, skręciła.

- Przebrzydłe psy! Wszystkich was pozabijam! - wykrzykiwał Dulcibeni, smagając batem konie.

Powóz skręcił w lewo, w via di Panico. Po przeciwnej stronie ulicy stała grupa poszukiwaczy relikwii. Zapewne dlatego wyszli z podziemi, że niepokoili się o Ciacconia. Pobiegli za kareta, która tymczasem skręcała w prawo, w stronę kanału Santa Lucia, na wysokości placu przy Monte Giordano. Z powodu napadu Dulcibeni nie pojechał prosto na Monte Cavallo, ale inną drogą.

- Nie mogłeś się opanować, ośle?! - krzyknął opat do Ciacconia.

Kareta jechała coraz szybciej.

Gfffrlulbh - tłumaczył się Ciacconio.

- Wiesz, co on zrobił? - zwrócił się do mnie Atto. - Nie wystarczyło mu, że zdobył to, co chciał, wrócił do karety po krucyfiks z relikwią, który Ugonio próbował zwędzić podczas naszej pierwszej wyprawy do domu Tiracordy. Przy okazji Dulcibeni odzyskał naczynie z pijawkami.

Łowcy relikwii nie rezygnowali z pościgu za kareta, choć odległość między nami zwiększyła się. W pewnej chwili (właśnie skręciliśmy kolejny raz w lewo) usłyszeliśmy drżący, przerażony głos Tiracordy, który wychylił się przez okno:

- Pompeo! Ktoś nas ściga!

Dulcibeni nie odpowiedział. Nagle usłyszeliśmy silny huk i spowiała nas chmura czarnego dymu. Do naszych uszu doszedł przejmujący, głośny gwizd.

- Uwaga! Ma pistolet! - krzyknął Atto, pochylając się.

Schyliłem głowę, a kareta znowu przyspieszyła. Konie, które już raz

przestraszyły się atakiem poszukiwaczy relikwii, na odgłos wystrzału spłoszyły się i pędziły teraz galopem.

Ciacconio, zamiast siedzieć cicho z tyłu karety, wdrapał się na jej dach i przytrzymując się gładkiej, rozhuśtanej powierzchni, zbliżył się na czworakach do Dulcibeni. Smagnięcie biczem zniechęciło go do skoku na woźnicę.

Właśnie przejeżdżaliśmy z via del Pellegrino na Campo di Fiore, kiedy Ciacconio odczepił wisiorek z relikwią i rzucił krucyfiksem w Dulcibeni. Lekki uskok karety w bok był dowodem na to, że nie chybił. Przechodził się po dachu do przodu, z zamiarem zaatakowania Dulcibeni, zanim naładuje on pistolet.

- Jeśli Dulcibeni nie zatrzyma koni, roztrzaskamy się o mur! - powiedział Atto, przekrzykując ogłuszający łoskot kół.

Usłyszeliśmy smagnięcie biczem i kareta przyśpieszyła. Na szczęście trasa, którą jechaliśmy, była niemal zupełnie pozbawiona zakrętów.

- Na litość boską, Pompeo! Niech pan zatrzyma karete! - dał się słyszeć płaczliwy głos Tiracordy, przytłumiony odgłosem końskich kopyt.

Minęliśmy Piazza Mattei, następnie Piazza Campitelli. Szalona nocna jazda (kareta znajdowała się teraz na wysokości Monte Savello) wydawała się straceńcza i pozbawiona logiki. Przypadkowi przechodnie, owinięci płaszczami i oświetleni promieniami księżyca, przyglądali się w osłupieniu pojazdowi, który mknął z łoskotem jak strzała, zostawiając za sobą podwójną smugę iskier sypiących się z pochodni. Niezatrzymywani przejechaliśmy obok nocnego patrolu.

- Pompeo, błagam! - wołał Tiracorda. - Niech pan zatrzyma konie!

- Dlaczego jedziemy cały czas prosto?! - krzyknąłem do Atta.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez Piazza della Consolazione, nie słychać było już ani uderzeń bicia, ani chrząkania Ciacconia. Wysunęliśmy ostrożnie głowy i co zobaczyliśmy? Dulcibeni i Ciacconio, stojąc na dachu karety, kopali się i okładali pięściami. Żaden z nich nie trzymał lejców.

- O mój Boże! - wykrzyknął Atto. - To dlatego w ogóle nie skręcamy.

Wjechaliśmy na rozległy, czworokątny Campo Vaccino z pozostałościami Forum Romanum, Łukiem Septymiusza Sewera po lewej stronie i ruinami świątyni Jowisza Statora z prawej, wejściem do Ogrodów Farnazyjskich w głębi i Łukiem Tytusa.

Kareta podskakiwała na zniszczonej, nierównej nawierzchni Campo Vaccino i tylko cudem udało nam się ominąć dwie zabytkowe kolumny leżące na ziemi. Przejechaliśmy pod Łukiem Tytusa i z ogromną prędko-

ścią popędziliśmy stromą ulicą w dół. Z dachu karety dobiegały wściekłe okrzyki Dulcibeniego:

- Przebrzydły psie! Idź do diabła!
- Gfrrrlulbh! - zwymyślał go w odpowiedzi Ciacconio.

W chwili gdy wyczerpani wjeżdżaliśmy na szeroki plac, nad którym od szesnastu wieków góruje imponująca, surowa sylweta Koloseum, Ciacconio stoczył się z dachu karety, zepchnięty przez Dulcibeniego.

W pobliżu amfiteatru usłyszeliśmy suchy trzask. Na skutek szaleńczej jazdy w tylnym kole pękła oś i kareta niebezpiecznie przechyliła się na prawą stronę. Nie czekając, aż się przewróci, z głośnym okrzykiem zeskoczyliśmy ze stopnia i potoczyli po ziemi. O mały włos nie zmiażdżyło nas toczące się urwane koło. Kareta wraz z dwoma pasażerami przewróciła się na bok i z impetem sunęła jeszcze kilka metrów.

Zamroczony, podniosłem się z ziemi. Byłem w opłakanym stanie, ale nie odniosłem żadnych ran. Kareta leżała na boku, koła nadal się kręciły. Pasażerowie musieli być niezłe poturbowani. Zgaszone pochodnie dymiły.

Naszą uwagę przykuły otwarte drzwiczki karety, zwrócone heroicznie ku niebu. Porozumieliśmy się bez słów i czym prędzej podeszliśmy bliżej. W środku leżał pojękujący, półprzytomny Tiracorda. Uprowadziwszy Atta, wyrwałem z rąk lekarza ciężki skórzany kuferek z metalowymi okuciami, ten sam, który Ciacconio najpierw ukradł, a potem odniósł. Kuferek służył do transportowania pijawek.

- Mam go! - krzyknąłem. - Uciekajmy!

Nie zdążyłem zrobić kroku, gdy jakaś silna ręka odepchnęła mnie od karety. Przewróciłem się na twardy bruk i potoczyłem jak tobołek. Dulcibeni oprzytomniał i próbował mi go odebrać, ale ja trzymałem z całych sił. Dulcibeni złapał za uchwyt kuferka i szarpał, unosząc mnie razem z nim, ale nie zdołał nas rozdzielić. Niemal zmiażdżył mnie swoim ciężarem, i robiąc mi bolesne siniaki. Opat Melani próbował go powstrzymać. Jego starania spełzły jednak na niczym, Dulcibeni miał bowiem siłę stu mężczyzn. Toczyliśmy się po ziemi wszyscy trzej, tworząc rozszalałą płataninę ciał.

- Puść mnie, Melani! — wrzasnął Dulcibeni. - Nie wiesz, co robisz!

- Chcesz zabić papieża z powodu córki? Tego murzyńskiego bękarta?

- Nie możesz... - wyrzucił Dulcibeni, kiedy jedną ręką Atto wykręcił mu ramię, a drugą złapał za szyję, tamując janseniście oddech.

- Posunąłeś się do tego przez wzgląd na córkę tureckiej niewolnicy? - sztychł Atto, ale w tej samej chwili dostał ataku kaszlu i musiał puścić ramię Dulcibeniego.

Pompeo uderzył opata pięścią w nos. Melani jęknął z bólu i padł na ziemię na wpół omdlały.

Teraz Dulcibeni odwrócił się do mnie. Nadal obejmowałem kuferek, przyciskając go mocno do siebie. Sparaliżowany strachem, nie śmiałem się poruszyć. Pompeo schwycił mnie mocno za nadgarstki i prawie je miażdżąc, zmusił do zwolnienia uścisku. Wyrwał mi kuferek i pobiegł do karety. Śledziłem wzrokiem jego postać, dobrze widoczną w świetle księżyca.

- Podaj mi ten drugi! Tak, jest tam z tyłu - powiedział, zwracając się do siedzącego w środku Tiracordy.

O ile mnie wzrok nie mylił, trzymał w ręku pistolet. Zamiast ładować pierwszy pistolet zaopatrzył się w drugi egzemplarz, gotowy do strzału. Tymczasem Atto podniósł się z ziemi i biegł w stronę karety.

- Opacie Melani - powiedział Dulcibeni groźnym głosem, w którym pobrzmiwała drwina - ponieważ lubisz śledzić ludzi, umożliwię ci to.

Odwrócił się i pobiegł w stronę Koloseum.

- Stój! — krzyknął za nim Atto.

- Niech pan uważa! Dulcibeni... - ostrzegłem opata.

- ...ma broń, wiem - odparł Melani, pochylając się przezornie. - Ale to nie znaczy, że pozwolę mu uciec.

Uderzyło mnie zdecydowanie Atta. W okamgnieniu zrozumiałem, jak bardzo musiał się denerwować i dlatego bez chwili wahania wskoczył na stopień karety Tiracordy, gotów z narażeniem życia śledzić Dulcibeniego.

Naturalna zdolność Atta do wplątywania się w podejrzone intrygi, jak również głęboka duma, jaka przepelniała go, gdy odkrywał spiskowców, a także wszystkie inne odczucia i cechy jego osobowości do tej pory nie zostały zaspokojone. Prawda o Dulcibenim, odkryta jedynie w połowie, wzbudziła ciekawość Melaniego, a teraz nie mógł, ani nie chciał, rezygnować z dalszych poszukiwań. Pragnął wiedzieć wszystko, poznać każdy szczegół. Atto nie ścigał Dulcibeniego, żeby odebrać mu zainfekowane pijawki, ale żeby rozszyfrować jego sekret.

Kiedy podobne myśli i obrazy przebiegały mi przez głowę z prędkością tysiąckrotnie większą, niż poruszała się kareta Tiracordy, Dulcibeni uciekał w stronę Koloseum.

- Idziemy za nim. Schyl się, na wypadek gdyby zaczął strzelać - poradził Atto.

Bez słowa protestu, świadomy powagi zadania, którego się podjęliśmy, przeżegnałem się.

Dulcibeni zniknął w ciemnej kolumnadzie Koloseum. Atto pociągnął mnie w prawo, z zamiarem pokonania tej samej trasy, co Pompeo, ale od zewnątrz.

- Musimy go dopaść, zanim załaduje pistolet - wyszeptał.

Idąc zygzakiem, dotarliśmy do łuków Koloseum. Zbliżwszy się do jednej z potężnych kolumn nośnych, przywarliśmy do niej niczym liście bluszczu. Zerknęliśmy do środka kolumnady, ale po Dulcibenim nie było śladu.

Szliśmy tak kilka chwil, nadstawiając uszu. Drugi raz w życiu znalazłem się w ruinach Koloseum, ale wiedziałem, że oprócz sów i nietoperzy grasują tu złodzieje i wszelkiego rodzaju przestępcy, którzy uciekali przed sprawiedliwością lub prowadzili swoje ohydne interesy. W ciemnościach prawie nic nie było widać. Od czasu do czasu w słabym świetle księżycy pojawiały się fragmenty budowli.

Posuwaliśmy się ostrożnie wśród kolumn, uważając, by nie zawadzić nogą o kamienną płytę wystającą z ziemi, i wypatrując zbiega. Odgłosy naszych kroków odbijały się echem od sklepienia kolumnady i muru po prawej stronie, który oddzielał wnętrze amfiteatru od kolumnady. W murze w regularnych odstępach widniały pionowe otwory, pozwalające dostrzec olbrzymią arenę. Nie było słyhać nic oprócz naszych kroków. Aż podskoczyliśmy, kiedy w ciszy dał się słyszeć wyraźny, silny głos:

- Biedny Melani, niewolnik króla.

Atto zatrzymał się.

- Dulcibeni, gdzie jesteś?

Cisza.

- Idę od nieba, chcę z bliska zobaczyć Boga - powiedział Dulcibeni z jakiegoś nieokreślonego miejsca, które wydawało się bliskie i zarazem odległe.

Rozejrzeliśmy się dookoła, ale nigdzie go nie było.

- Pokaż się! Porozmawiajmy! - zaproponował Atto. - Jeśli to uczynisz, nie doniesiemy na ciebie strażom.

- Zgoda. Ale najpierw znajdź mnie!



Dulcibeni oddalił się. Nie było go w kolumnadzie ani tym bardziej na zewnątrz Koloseum.

- Jest w środku - wywnioskował Atto.

Znacznie później dowiedziałem się, że mur oddzielający wnętrze amfiteatru i arenę od kolumnady był systematycznie niszczone. Legalnie na arenę można było wejść wyłącznie przez duże drewniane bramy, usytuowane na przeciwnych krańcach budowli i zamykane na noc. Nocą jednak schodzili się tu mężczyźni i kobiety z marginesu społecznego, przedostając się przez dziury w murze, które władze Rzymu nakazywały naprawiać niezwykle rzadko.

Dulcibeni wydostał się z pewnością przez jedno z takich przejść, którego poszukiwał teraz opat Melani, uważnie oglądając mur.

- Chodź, Melani! - szydził Dulcibeni, a jego głos coraz bardziej się oddalał.

- Do licha! Nie widzę... O, jest! - wykrzyknął Atto.

Nie był to wyłom w murze, ale poszerzony istniejący już otwór. Przeciśkałem się przez niego, gdy poczułem na ramieniu czyjąś rękę. Zadrżałem ze strachu. W panice pomyślałem o jednym z wielu rzeźmieszków, którzy nocą grasowali w Koloseum. Już miałem krzyknąć, kiedy usłyszałem znajomy głos:

- Gfrrrlulbh.

Odnalazłszy nas, Ciacconio przedostał się za mną przez dziurę w murze i dołączył do poszukiwań. Westchnąłem z ulgą i" podzieliłem się nowiną z Attem.

Opat rozpoczął zwiad. Znajdowaliśmy się w jednym z licznych korytarzy między pasem murów a centralnym placem, na którym przed wiekami piasek mieszał się z krwią gladiatorów, lwów i chrześcijańskich męczenników, mordowanych ku radości tłumów na trybunach.

Szliśmy gęsiego wśród kamiennych spadzistych murów okalających arenę, na których kiedyś - jak można się było domyślić - opierały się schody przeznaczone dla publiczności. Nocna pora, starożytne mury, łuki, na wpół zrujnowane pomosty, widoczne w poświacie księżyca, i szelest przelatujących nietoperzy tworzyły niesamowitą atmosferę. Odór pleśni i ekskrementów był tak silny, że Ciacconio, obdarzony nadzwyczajnym powonieniem, nie potrafił wyczuć zapachu Dulcibeniego. Łowca relikwii raz po raz unosił swój olbrzymi nos i głęboko wdychał powietrze, ale bez skutku. I tylko światło księżyca, padające na białe kamienie najwyższych

partii Koloseum, uspokajało nas nieco i pozwalało znaleźć drogę. Bez lampy mogliśmy wpaść w którąś z licznych rozpadlin wśród ruin.

Na razie poszukiwania były bezowocne. Zniecierpliwiony Atto zatrzymał się.

- Dulcibeni, gdzie jesteś?! - zawołał.

Odpowiedziała mu cisza.

- Może się rozdzielimy? - zaproponowałem.

- Wykluczone - odparł Atto. - A tak przy okazji, gdzie się podzieli twoi przyjaciele? - zwrócił się do Ciacconia.

- Gfrrrlulbh - odparł, gestykulując i dając do zrozumienia, że reszta towarzystwa niedługo nadejdzie.

- To dobrze. Potrzebujemy pomocy, żeby złapać...

- Sługo Korony, nie przyjdiesz po mnie?

Dulcibeni przywołał nas do rzeczywistości. Jego głos dochodził gdzieś z wysokości.

- Głupi jansenista - skomentował po cichu Atto, wyraźnie poirytowany prowokacją, po czym krzyknął: - Chodź tu, Pompeo! Chcę z tobą porozmawiać!

W odpowiedzi usłyszeliśmy gromki śmiech.

- W porządku, już do ciebie idę - oznajmił Atto.

Jak się okazało, łatwiej było powiedzieć niż zrobić. Koloseum, znajdujące się między areną a ścianą zewnętrzną, stanowiło labirynt walących się murów, połamanych architrawów i kolumn, wśród których nietrudno było zabłądzić.

Przed wiekami Koloseum popadło w ruinę, kolejni papieże wykorzystywali jego marmury i kamienie do budowy kościołów (co było jak najbardziej słuszne). Wspominałem już, że ze starych, opadających w stronę areny schodów pozostały jedynie mury oporowe, wznoszące się promieniście w górę. Równoległe do nich biegły wąskie przejścia, łączące koncentryczne korytarze, które na kilku poziomach obiegały widownię. Wszystko razem tworzyło zagmatwany labirynt, w którym się teraz znajdowaliśmy.

Przeszliśmy kawałek takim korytarzem w stronę miejsca, skąd usłyszeliśmy głos Dulcibeniego. Atto spozjrzał pytająco na Ciacconia, który ponownie wciągnął powietrze w rozszerzone nozdrza, ale bez skutku.

Dulcibeni musiał odgadnąć, że mamy trudności, ponieważ zawołał:

- Opacie Melani! Zaczynam tracić cierpliwość!

Echo rozchodzące się wśród ruin nie pozwalało ustalić miejsca, z którego dochodziły drwiące słowa. Zaledwie przebrzmiały, wydało mi się, że słyszę krótki, charakterystyczny świst.

- Słyszał pan?-zapytałem cicho.-Zdaje się... że zażywa tabaki. SffeSI  
- Dziwne - odparł Atto. - W takiej chwili...  
- Słyszałem, że zażywał jej także dzisiajszego wieczoru, kiedy nie zszedł na kolację.

- Czyli na chwilę przed wyruszeniem do Tiracordy - zauważył opat Melani.

- Właśnie. Zażywał tabaki także przed monologami na temat królów - dodałem - zdemoralizowanych władców i tak dalej. Zauważyłem, że po zażyciu tabaki stawał się bardziej energiczny i bystry, jakby używka pomagała mu w myśleniu... albo dodawała sił.

- Chyba już rozumiem - szepnął Atto do siebie.

Ciacconio zaczął szarpać nas za rękawy i ciągnąć w stronę areny. Na wolnej przestrzeni łatwiej mógł wyczuć woń Dulcibeniego. Dotarliśmy na środek placu i Ciacconio pociągnął nosem.

Gfrrrlulbh - powiedział, wskazując punkt wśród olbrzymich, niedostępnych murów obwodowych Koloseum.

- Jesteś pewien? - spyaliśmy jednocześnie.

Ciacconio przytaknął skinieniem głowy, ruszyliśmy więc we wskazanym przez niego kierunku.

Mury obwodowe amfiteatru składały się z trzech kondygnacji arkad. Punktem, do którego zmierzaliśmy, był łuk w arkadzie środkowej, położony znacznie wyżej niż gospoda „Donzello”.

- W jaki sposób tam wejdziemy? - zapytał opat Melani.

- Niech ci pomogą te twoje potwory! - zawołał Dulcibeni, usłyszawszy pytanie, Atto bowiem zapomniał ściszyć głos.

- Masz rację, to dobry pomysł! - krzyknął. - Nie myliłeś się - powiedział do Ciacconia - głos dochodzi stamtąd, z góry.

Tymczasem Ciacconio szybkim krokiem przemierzał labirynt. Poprowadził nas do jednej z dwóch drewnianych bram, które w ciągu dnia były otwarte, umożliwiając wejście do amfiteatru. Tuż przed bramą wznosiły się wysokie, strome schody, prowadzące do wnętrza majestatycznych murów Koloseum.

- Wszedł tędy - szepnął Melani.

Schody prowadziły na pierwsze piętro budowli, a na drugi poziom arkad. Weszliśmy po nich i znaleźli się w szerokim, kolistym korytarzu obiegającym cały amfiteatr. Byliśmy wysoko ponad widownią, w miejscu, do którego docierało więcej księżycowego światła. Pod nami rozciągał się wspaniały widok na arenę i ruiny widowni, powyżej wznosiły się potężne mury obwodowe, odcinające się majestatycznie na tle nieba.

Zdyszani po wspinaczce, zatrzymaliśmy się, aby podziwiać piękno budowli, zapominając przez chwilę o naszym zadaniu.

- Jesteś już blisko, królewski szpiegu! - zawołał Dulcibeni. Ochryply głos dobiegał z prawej strony.

Nagle rozległ się huk. Instynktownie przywarliśmy do ziemi. Dulcibeni strzelił i odrzucił pistolet. Po chwili nastąpiła seria suchych trzasków. Podpełzłem kawałek na czworakach i znalazłem pistolet Dulcibeniego.

- Nie trafiłem, jaka szkoda! Odwagi, Melani, teraz obaj mamy broń.

Podąłem pistolet opatowi.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedział w zamyśleniu.

Ja również nie wszystko rozumiałem. Wątpliwości nękały mnie już wtedy, kiedy wchodziliśmy po stromych schodach. Dlaczego Dulcibeni sprowokował nas do tego dziwnego pościgu w świetle księżycy, wśród ruin Koloseum, tracąc cenny czas i ryzykując, że złapią go strażę? Dlaczego tak bardzo chciał zwabić Melaniego na górę, obiecując, że wyjawia mu całą prawdę?

Kiedy zdyszani wchodziliśmy po stopniach zniszczonych zębem czasu, słyszeliśmy dalekie echo krzyków nawołujących się żandarmów i strażników.

- Wiedziałem - rzekł Melani, ciężko dysząc. - Gnając na oślepie karetą, Dulcibeni nie mógł przejechać niezauważony przez strażę.

Ciągłymi prowokacjami Pompeo ułatwił nam poszukiwania, ale od początku wiedzieliśmy, że trudno będzie go dopaść. Dulcibeni wdrapał się na sam szczyt muru podtrzymującego schody. Z korytarza, w którym się znajdowaliśmy, widać było, że mur biegnie ukośnie i sięga okienka niemal na samym szczycie Koloseum.

Siedział teraz w oknie, oparty plecami o ścianę, z kuferkiem w ramionach. Zdziwiła mnie sprawność, z jaką wszedł tak wysoko. Pod pochyłym murem, na którego szczyt się wdrapał, widniało niebezpieczne urwisko. Gdyby runął w dół, czekała go pewna śmierć, ale Dulcibeni nie wydawał się tym przejęty. Wokół niego rozciągały się trzy przerażające, a zarazem wspaniałe światy: rozległa arena Koloseum, straszliwa przepaść od strony elewacji zewnętrznej i rozgwieżdżone niebo, stanowiące majestatyczną, tragiczną scenerię tej nocy.

Tymczasem przed Koloseum zaczęli gromadzić się żandarmi. Od Dulcibeniego dzieliła nas w tej chwili odległość równa szerokości ulicy.

- Oto oni, wybawcy lichwiarza bez tiary, nienasyconej bestii z Como! wykrzyknął Pompeo i wybuchnął szyderczym śmiechem.

Atto spojrział pytająco na mnie i Ciacconia. Dulcibeni zażył raz i drugi tabaki.

- Już wszystko rozumiem - oświadczył Melani.

- Co takiego, Melani? Powiedz, co rozumiesz! - wykrzyknął Dulcibeni z okna.

- To nie jest zwykła tabaka...

- Bravo! Wiesz, co ci powiem? Masz rację, wiele rzeczy nie jest tym, czym się wydaje być.

- Wąchasz te dziwne suche liście... Jak one się nazywają? - ciągnął Atto.

- Mamacoca! - zawołałem.

- Cóż za inteligencja! Wyrazy uznania - sztychował Dulcibeni.

- Dzięki niej nie męczą cię nocne wyprawy - powiedział opat. - Jesteś od niej uzależniony. Wdychasz ją, a potem wygłaszasz dziwaczne monologi do lustra, wyobrażając sobie, że mówisz do córki. A kiedy zaczynasz te swoje szaleńcze mowy o władcach i królestwach, rozpalasz się do tego stopnia, że nikt nie jest w stanie ci przerwać. Mamacoca wzmacnia ciało, ale zaćmiewa umysł i pozbawia trzeźwości sądu. Mam rację?

- Widzę, że zabawiasz się, ucząc chłopaka zawodu szpiega, zamiast pozostawić go jego własnemu losowi - odparł Dulcibeni i wybuchnął śmiechem.

Prawdą było bowiem, że podsłuchiwałem pod drzwiami jego pokoju, a później opowiadałem o wszystkim opatowi.

Po chwili Dulcibeni zgrabnie wskoczył na pochyły mur, nie bacząc na otwierającą się pod nim przepaść, i wdrapał się (mimo że zawadzał mu kuferek) na sam szczyt elewacji, szeroki na trzy kroki.

Stał teraz ponad naszymi głowami. Niedaleko niego, po prawej stronie, wznosił się duży drewniany krzyż, wysokości człowieka, zatknięty na Koloseum ku czci chrześcijańskich męczenników.

Dulcibeni spojrział w dół, na zewnątrz budowli.

- Odwagi, Melani! Za chwilę nadejdą posiłki. Widzę już oddział żandarmów.

- Zanim przyjdą, powiedz mi - rzekł Atto - dlaczego pragniesz śmierci Innocentego XI?

- Zastanów się! — zawołał Dulcibeni, czyniąc krok do tyłu, podczas gdy Melani wchodził na wąski murek prowadzący na mur obwodowy.

- Co on ci zrobił? - zapytał Atto ściszym głosem. - Zhańbił wiarę chrześcijańską? Okrył ją wstydem? Tak właśnie myślisz, prawda? Przyznaj się, Pompeo, jesteś szalony jak wszyscy janseniści. Nienawidzisz świata.

Dulcibeni nie odpowiedział. Tymczasem Atto, czepiając się kamieni, wspinał się coraz wyżej.

- Eksperymenty na wyspie - mówił, kurczowo przytrzymując się muru - wizyty u Tiracordy, noce spędzone w podziemiach... Uczyniłeś to wszystko dla tego pogańskiego bękarta, ty głupcze! Powinieneś dziękować Huygensowi i temu śliniącemu się Feroniemu, że ją wypatroszyli przed wrzuceniem do morza.

Oniemiałem, słysząc okrutne słowa, które opat Melani nieoczekiwanie wypowiedział. Po chwili zrozumiałem, że Atto prowokuje Dulcibeniego, co mu się zresztą udało.

- Milcz, kastracie, obrazo boska! Każ sobie wypatroszyć tyłek! - zawołał z wysoka. - Wiem, że lubisz nurzać się w gównie, ty odmóżdżony eunuchu!

- Stary Feroni - ciągnął Atto - chciał kupić twoją córkę?

W odpowiedzi Dulcibeni wykrzyknął:

- Dalej, dalej, jesteś na właściwym tropie!

- Pomyślmy - powiedział Atto, zdyszany od wspinaczki. - Huygens prowadził interesy Feroniego i często pertraktował z Odescalchimi, a więc i z tobą. Pewnego dnia ujrzał twoją córkę i przyszła mu na nią chętka, a ten zidiociał Feroni chciał mu ją za wszelką cenę dać. Poprosił więc Odescalchich, żeby sprzedali mu dziewczynę, z zamiarem zwrócenia jej, kiedy znudzi się Huygensowi. Dostał ją zapewne od Innocentego XI, który był wówczas kardynałem.

- Od niego i jego przekłętego krewniaka Livia - uściślił Dulcibeni.

- Nie mogłeś się temu sprzeciwić - ciągnął Atto - ponieważ oficjalnie nie byłeś jej ojcem. Nie poślubiłeś jej matki, nieszczęsnej tureckiej niewolnicy. Twoja córka należała więc nie do ciebie, ale do Odescalchich. Znalazłeś jednak sposób: przypomniałeś sobie o hańbie, jaką okrył się niegdyś ród Odescalchich, i zacząłeś ich szantażować.

Dulcibeni milczał. Widocznie tak właśnie było.

- Brakuje mi tylko daty - powiedział Atto. - Kiedy porwano twoją córkę?

- W tysiąc sześćset siedemdziesiątym szóstym roku - odparł oziębłe Dulcibeni. - Miała zaledwie dwanaście lat.

- Na krótko przed konklawe, prawda? - powiedział Melani, posuwając się krok do przodu.

- Myślę, że wszystko rozumiałeś.

- Szykowano się do wyboru nowego papieża. Wszystko wskazywało na to, że zwycięży kardynał Benedetto Odescalchi, który o mały włos nie

wygrał poprzedniego konklawe. Ale ty trzymałeś go w szachu: gdyby pewna wiadomość dotarła do uszu kardynałów, zrobiłby się skandal i Odescalchi musiałby pożegnać się z papieskim tronem. Mam rację?

- Oczywiście - przyznał Dulcibeni, nie kryjąc zdziwienia.

- Co wywołałoby ten skandal? Czego dopuścił się ród Odescalchich?

- Najpierw skończ swoją historyjkę - rzekł Dulcibeni drwiącym tonem.

Owiewał nas wieczorny wiatr, na tej wysokości znacznie silniejszy niż na dole. Nie bardzo wiedziałem, czy drzę z zimna, czy ze strachu.

- Z przyjemnością - oświadczył Atto. - Szantażem chciałeś przeszkodzić w sprzedaniu córki, a tymczasem podpisałeś wyrok śmierci na siebie. Feroni, zapewne przy współudziale Odescalchich, porwał twoją córkę, zamykając ci usta na czas konklawe. Benedetto Odescalchi został wybrany na papieża, a ty rozpocząłeś poszukiwania.

- Przemierzyłem całą Holandię, wzdłuż i wszerz. Bóg mi świadkiem, że nie mogłem uczynić więcej! - zawołał Dulcibeni.

- Nie odnalazłeś córki, a w dodatku przytrafił ci się dziwny wypadek: ktoś wypchnął cię z okna, czy coś w tym rodzaju. Ale wyszedłeś cało z opresji.

Miałem szczęście, bo pod oknem rosły krzaki - wyjaśnił Dulcibeni. - Mów dalej!

Atto zawahał się, a ja zastanawiałem się, skąd czerpał tyle energii.

- Uciekłeś z Rzymu. Byłeś przerażony, ponieważ cię ścigano - ciągnął Melani. - Nawróciłeś się na jansenizm, a w Neapolu spotkałeś Fouqueta. Ale nie rozumiem jednej rzeczy: dlaczego mścisz się po tylu latach? Może dlatego, że... O Boże, już wiem! - klepnął się w czoło w geście zrozumienia.

Tymczasem w wyniku śmiałych akrobacji zdołał wspiąć się wyżej i zbliżyć do Dulcibeniego.

- Walki pod Wiedniem trwają. Gdybyś zabił papieża, koalicja chrześcijańska rozpadłaby się, Turcy zajęliby i zniszczyli Europę. Czyż nie tak?! - wykrzyknął Atto.

- Europa już dawno została zniszczona przez królów odparł Dulcibeni.

- Nieszczęsny szaleńcze! - zawołał Atto. - Chciałbyś... chcesz... - Melani kilka razy głośno kichnął i omal nie spadł z muru. - Do licha! - zawołał rozzłoszczony. - Dawniej atak kichania wywoływały u mnie tylko holenderskie tkaniny. Od kiedy zamieszkałem w tej przeklętej gospodzie, ciągle kicham.

Domyśliłem się, że powodem były stare holenderskie ubrania Dulcibeni. Przypomniałem sobie, że czasami Atto kichał także wtedy, kiedy się spotykaliśmy. Być może dlatego - pomyślałem - że chwilę przedtem byłem w pokoju jansenisty, albo...

Musiałem przerwać moje rozmyślenia. Dulcibeni, stojący na szczycie fasady, przesunął się w lewo, później w prawo, cały czas obserwując kareteę Tiracordy.

- Ty coś jeszcze ukrywasz, Pompeo! - zawołał Atto, kiedy minął mu atak kichania i odzyskał równowagę. - Czym szantażowałaś Odescalchich i trzymałaś w szachu kardynała Benedetta?

- Nic więcej nie powiem - uciął Dulcibeni, ponownie spoglądając na kareteę.

- A tak nawiasem mówiąc, historia twojej córki jest mało przekonująca, żeby z tego powodu nastawać na życie papieża. Nie poślubiłaś jej matki, a teraz robisz wszystko, żeby pomścić córkę? Nie, to nie ma sensu. Poza tym papież sprzyja jansenistom. Mów, Pompeo!

- Nie mam zamiaru.

- Nie możesz...

- Nic więcej nie powiem szpiegowi Arcychrześcijańskiego Króla.

- W porządku, ale tymi pijawkami sam oddałyś mu przysługę, za jednym zamachem uwalniając króla od papieża i problemu Wiednia.

- Naprawdę myślisz, że Ludwik XIV pokona Turków? - zapytał Dulcibeni nienawistnym tonem. - Łudzisz się. Osmanowie pozbawią głowy także króla Francji. Dla zdrajców nie ma litości - to dewiza zwycięzców.

- A więc na tym polega twój plan palingenezy, nadzieja powrotu do czystej wiary chrześcijańskiej, prawdziwy jansenisto? - zadrwił Atto. - W porządku, usuńmy Kościół rzymski i chrześcijańskich władców, spalmy ołtarze! W ten sposób powrócimy do czasów męczenników, będziemy silniejsi wiarą, choćby Turcy mieli nas wszystkich pozabijać. I ty w to wierzysz? Który z nas się łudzi?

Podczas wymiany zdań między Attem a Dulcibenim oddaliłem się od nich i podszedłem do niewielkiego tarasu niedaleko schodów, którymi weszliśmy na pierwsze piętro. Ponieważ stamtąd mogłem dostrzec to, co się działo w Koloseum, zrozumiałem, dlaczego Dulcibeni z takim zainteresowaniem spoglądał w dół.

Kilku zandarmów kręciło się wokół przewróconej karety, z której dochodził głos Tiracordy. Niektórzy z nich obserwowali nas, więc byłem pewien, że niedługo po nas przyjdą.



Nagle zadrzałem, ale bynajmniej nie na skutek wieczornego chłodu, lecz krzyku, a właściwie zwierzęcego wrzasku rozlegającego się na placu przed Koloseum, wśród głośniego trzasku rzucanych kamieni i kawałków drewna.

Horda łowców relikwii (którzy z pewnością dobrze zaplanowali całą akcję) uzbrojonych w drągi i kije wtargnęła z bojowymi okrzykami na plac, nie dając ludziom z Bargello czasu na zastanowienie. Doskonale widziałem całą scenę, oświetloną pochodniami, które żandarmi zatknęli w różnych miejscach.

Atak był błyskawiczny i bezlitosny. Jedna grupka napastników nadeszła od strony Łuku Konstantyna, druga spuściła się z muru otaczającego ogrody obok ruin Curia Hostilia, trzecia natomiast wyszła spomiędzy ruin świątyni Izydy i Serapidy. Z wojennym okrzykiem łowcy relikwii ruszyli do ataku. Ich przewaga była druzgocząca.

Dwóch żandarmów, nieco oddalonych od grupy, strach dosłownie sparaliżował. Wykorzystali to trzej poszukiwacze relikwii, nadciągający spod Łuku Konstantyna i zaczęli ich okładać kijami i pięściami, kopali, gryźli i drapali. Starcie przybrało formę ulicznej bijatyki. Ofiary, dotknięte pobite, wycofały się w popłochu w kierunku ulicy, przy której wznosi się kościół San Giovanni. Dwaj inni strażnicy (ci, którzy biegli do środka Koloseum, żeby nas aresztować), przerażeni atakiem łowców relikwii, nie podjęli walki, czmychnęli w stronę drogi wiodącej do San Pietro in Vincoli. Ścigała ich czwórka hałaśliwych napastników, wśród których rozpoznałem charakterystyczną sylwetkę Ugonia.

Inaczej sprawy się miały z dwoma żandarmami, którzy znaleźli się w pobliżu karety Tiracordy. Jeden z nich bronił się szablą, nie dopuszczając do siebie trójki łowców relikwii. Tymczasem jego towarzysz, jedy-ny, który jechał konno, wciągnął na siodło grubego, niezgrabnego człowieka, z torbą zawieszoną na szyi (o ile wzrok mnie nie mylił). Był to Tiracorda, którego żandarm najwidoczniej uznał za ofiarę nocnego napadu i chciał ratować. Koń z dwoma mężczyznami oddalił się w kierunku Monte Cavallo, a żandarm, ten z szablą, uciekł i zniknął w ciemnościach. W Koloseum zapanowała cisza.

Odszukałem wzrokiem Atta i Dulcibeniego, którzy tak jak ja obserwowali walkę.

- To koniec, Melani - powiedział Pompeo. - Zwyciężyłeś ty i te podziemne potwory, z tą twoją manią szpiegowania, kombinowania, z niezdrową chęcią płaszczenia się przed władcą. Zaraz otworzę torbę i dam ci jej zawartość, której mały posługacz pragnie chyba bardziej niż ty.

- Tak, to koniec - powtórzył Atto i westchnął zmęczony.

Dotarł już niemal do końca muru i znajdował się o kilka kroków od Dulcibeniego. Niebawem miał dostać się na zewnętrzną ścianę Koloseum i stanąć twarzą w twarz ze swym antagonistą.

Nie podzielałem jednak opinii opata, moim zdaniem to nie był koniec. Przez wiele nocy śledziliśmy Dulcibeniego, goniliśmy go, rozmyślaliśmy. Wszystko po to, by odpowiedzieć na pytanie: kto i w jaki sposób zamordował Nicolasa Fouqueta? Zdziwiłem się, że Atto nie zadał go Dulcibeniu. Skoro nie uczynił tego on, postanowiłem ja to zrobić.

- Dlaczego pragnął pan śmierci nadintendenta? - ośmieliłem się zapytać.

Dulcibeni otworzył szeroko oczy ze zdziwienia i wybuchnął ponurym śmiechem.

- Spytaj o to swojego ukochanego opata, chłopcze! - zawołał. - Zapytaj go, dlaczego jego najlepszy przyjaciel Fouquet źle się poczuł po umyciu nóg. Poproś Melaniego, żeby ci powiedział, dlaczego tak się zdenerwował i zamęczał tego nieszczęśnika pytaniami, nie dając mu umrzeć w spokoju. Spytaj go też, co było w wodzie do mycia nóg, jaka trucizna potrafi zabić tak podstępnie.

Spojrzałem odruchowo na Atta, który nie odzywał się, jakby zaskoczony.

- Ale ty... - wtrącił nieśmiało.

- Zanurzyłem w tej wodzie mysz - ciągnął Dulcibeni. - Po pewnym czasie zdechła w potwornych męczarniach. To bardzo silna, zdradziecka trucizna, opacie Melani! Rozpuszcza się w wodzie, przenika przez skórę i zatrzuwa organizm, nie pozostawiając śladu. Prawdziwy majstersztyk, popisowe dzieło francuskich producentów perfum.

Przypomniałem sobie, że kiedy Cristofano drugi raz oglądał ciało Fouqueta, zauważył na podłodze rozlaną wodę, choć ja tego samego ranka dokładnie ją wytarłem. Pobierając próbkę wody z miski, Dulcibeni rozlał jej trochę na podłogę. Zadrzałem na myśl, że dotykałem śmiercionośnego płynu. Na szczęście było go za mało, żebym odczuł jakieś dolegliwości.

Następnie, zwracając się do Atta, Dulcibeni powiedział:

- Czyżby Arcychrześcijański Król powierzył ci jakieś specjalne zadanie? Coś straszego, na co musiałeś się zgodzić? Dowód najwyższego odnania królowi?

- Wystarczy, nie pozwalam ci tak mówić! - zaprotestował Atto, wdrapując się na szczyt muru obwodowego Koloseum.

- Jakich to podłych kłamstw o Fouquecie naopowiadał ci Arcychrze-

ścijański Król, kiedy kazał ci go zamordować? - nalegał Dulcibeni. - A ty, nędzny sługo, usłuchałeś go. Kiedy nadintendent umierał w twoich ramionach, wyszeptał słowa, których nie spodziewałeś się usłyszeć, napomknął o jakichś mrocznych sekretach. Ale to wystarczyło, żeby zrozumieć, kto był pionkiem w tej grze.

- Majaczysz, Dulcibeni, ja nie... - próbował przerwać mu Atto.

- Nie musisz nic mówić! Tych kilka słów na zawsze pozostanie tajemnicą twoją i Fouqueta! - zawołał Dulcibeni, przekrzykując wzmagający się wiatr. - Ale w tamtej chwili zrozumiałeś, że król skłamał i posłużył się tobą. Ogarnął cię strach o własne życie. Postanowiłeś dowiedzieć się wszystkiego o gościach gospody. Staraleś się poznać prawdziwy powód, dla którego zlecono ci zabić przyjaciela.

- Jesteś szalony, Dulcibeni! Oskarżasz mnie, żeby ukryć swoje winy, jesteś...

- A ty, chłopcze - przerwał mu Pompeo, zwracając się do mnie - spytaj opata, dlaczego Fouquet powiedział przed śmiercią: „A więc to prawda?” Czyż nie są to również słowa arii, słynnej w złotych czasach nadintendenta? Na pewno ją rozpoznałeś, opacie Melani, wszak tyle razy ją śpiewałeś! Fouquet pragnął przypomnieć ci te słowa, kiedy umierał i cierpiał z powodu twojej zdrady. Jak Juliusz Cezar, kiedy wśród zabójców dostrzegł swojego przybranego syna Brutusa.

Atto nic nie odpowiedział. Stał teraz naprzeciw Dulcibeniego. Milczenie opata wynikało jednak z czego innego: Pompeo miał zamiar otworzyć kuferek z pijawkami.

- Zawsze dotrzymuję obietnic - oznajmił Dulcibeni. Zawartość tego kufereka należy do ciebie.

Otworzył kuferek i odwrócił do góry dnem. Okazało się, że był pusty (co i ja mogłem stwierdzić, choć byłem dość daleko).

Dulcibeni roześmiał się.

- Nieszczęsny głupcze! - powiedział. - Naprawdę myślałeś, że wdrapałem się tutaj, aby wysłuchiwać twoich obelg?

Odruchowo spojrzeliśmy z Attem po sobie, domyślając się, że Dulcibeni zwabił nas na górę tylko po to, żeby zyskać na czasie. Pijawki zostały w karecie.

- Teraz jadą do papieża - oznajmił drwiącym tonem, potwierdzając nasze przypuszczenia - i nic już tego nie zmieni.

Atto, wyczerpany długą wspinaczką, usiadł. Dulcibeni wypuścił z rąk kuferek. Po kilku sekundach usłyszeliśmy głuchy odgłos, gdy uderzył o ziemię.

Dulcibeni, korzystając z chwili spokoju, wyjął z kieszeni tabakierkę i zażył solidną porcję mamacoki, po czym zamachnął się i cisnął tabakierkę w przepaść pod nogami. Zachwiał się, przechylił się w prawo, w stronę drewnianego krzyża. Złapał się za głowę, jakby poczuł przejmujący ból, i próbując zachować równowagę, uderzył się o krzyż, którego - pomyślałem - najwidoczniej nie zauważył.

Uderzając o drewniany symbol, stracił do reszty równowagę i spadł z muru, w kilka sekund pokonując odległość równą wysokości kilku mężczyzn, stojących jeden na drugim. Na szczęście zsunął się po pochyłej podporze, dzięki czemu ocalał życie. Wylądował na dużej kamiennej płycie.

Z pomocą łowców relikwii podnieśliśmy bezwładne ciało Pompea, który po chwili odzyskał przytomność. :

- Nie czuję nóg - powiedział.

Poszukiwacze relikwii pod wodzą Baronia znaleźli w pobliżu mały ręczny wózek, porzucony zapewne przez sprzedawcę owoców. Wózek był stary i zniszczony, ale sprawny. Wspólnymi siłami ułożyliśmy na nim obolałego Dulcibeniego. Mogliśmy porzucić ранego w ruinach Koloseum, lecz uznaliśmy, że byłby to przejaw zbytniego okrucieństwa. Prędzej czy później ktoś by go odnalazł, a poza tym byłby nieobecny podczas sprawdzania listy obecności w gospodzie, co wzbudziłoby podejrzenia zarówno Cristofana, jak i strażników.

Powrót do „Donzella” trwał dość długo i odbywał się w nastroju przygnębienia. Kluczyliśmy, idąc skrótami, żeby nie natknąć się na żandarmów. Poszukiwacze relikwii trwali w milczeniu, poirytowani, że pozwolili Tiracordzie wymknąć się z pijawkami. Ze smutkiem myśleliśmy zarówno o doznanej porażce, jak i o niebezpieczeństwie grożącym papieżowi. Ze względu na opłakany stan Dulcibeniego nie mieliśmy jednak zamiaru go denuncjować, a dzika napaść łowców relikwii na żandarmów skłaniała nas do zachowania ostrożności i milczenia. Dla wszystkich byłoby lepiej, aby stróżowie porządku zachowali o tej nocy jedynie wspomnienie.

Kilku poszukiwaczy relikwii pożegnało się z nami. Zbyt liczna grupa była łatwiejsza do wytropienia. Pozostało zatem siedem osób: Ugonio, Ciacconio, Polonio, Grufonio, Atto, Dulcibeni (wieziony na wózku) i ja.

Szliśmy przed siebie, pchając na zmianę wózek. Znajdowaliśmy się

w pobliżu kościoła Gesu, niedaleko Panteonu, gdzie mieliśmy zejść do podziemi prowadzących do „Donzella”. Zauważyłem, że Ciacconio w pewnej chwili zwolnił i pozostał w tyle. Zorientowałem się, że z trudem powłóczy nogami. Powiadomiłem moich towarzyszy. Zaczekaliśmy, aż nas dogoni.

- Opadłszy z sił wskutek szybkiego marszu - tłumaczył kolegę Ugonio.

Wydawało mi się jednak, że Ciacconiowi coś dolega. Zaledwie nas dogonił, przytrzymał się wózka i osunął na ziemię, opierając się plecami o ścianę. Nie ruszał się, jego oddech był krótki i słaby.

- Ciacconio, co ci jest? - zapytałem zmartwiony.

- Gfrrrlulbh - odparł, wskazując na brzuch.

- Jesteś zmęczony czy coś cię boli?

- Gfrrrlulbh - odparł, wykonując ten sam gest i dając do zrozumienia, że nic więcej nie powie.

Odruchowo (lekceważąc fakt, że wszelki kontakt fizyczny z łowcami relikwii nie należał do przyjemności) dotknąłem Ciacconia w miejscu, które wskazywał. Odniosłem wrażenie, że jest mokre.

Kiedy rozsunąłem fałdy tkaniny, poczułem nieprzyjemny, znajomy zapach. Wszyscy nachyliłiśmy się nad Ciacconiem. Opat Melani, stojący najbliżej, dotknął płaszcza Ciacconia, po czym powąchał swoją dłoń.

- Boże święty, to krew! Poluźnijmy mu ubranie! - powiedział, nerwowo rozwiązując sznur, którym przewiązany był płaszcz Ciacconia. Na środku brzucha łowca relikwii miał głęboką ranę, która cały czas krwawiła, plamiąc ubranie. Zdziwiłem się, że do tej pory Ciacconio miał siłę maszerować.

- Potrzebuje pomocy, nie ma siły iść - powiedziałem z przejęciem.

Zapanowało długie milczenie. Łatwo było zgadnąć, o czym pomyśleli członkowie grupy. Ciacconio został nieumyślnie trafiony kulą z pistoletu Dulcibeniego.

- Gfrrrlulbh - powiedział Ciacconio, pokazując ręką drogę, którą szliśmy, dając znak, żebyśmy kontynuowali marsz.

Ugonio podszedł do towarzysza i ukląkł przy nim. Wymienili ze sobą kilka niezrozumiałych zdań, Ugonio podniesionym głosem, jakby pragnął przekonać Ciacconia do swoich racji. Ranny szeptał wciąż to samo, powtarzając swoje gfrrrlulbh, coraz słabszym głosem.

Atto, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, powiedział:

- Nie możemy go tutaj zostawić! Wezwij swoich przyjaciół - rzekł, zwracając się do Ugonia - niech po niego przyjdą, trzeba coś zrobić, wezwać medyka...

- Gfrrrlulbh - wtrącił Ciacconio szeptem, który był dla nas aż nazbyt jasny.

Ugonio położył dłoń na ramieniu towarzysza, po czym wstał, jakby ich rozmowa dobiegła końca. Po chwili do rannego podeszli Polonio i Grufonio, szepcząc mu coś do ucha. Uklękli i zaczęli się modlić.

- Nie! - zaszlochałem. - To niemożliwe!

Atto, który wielokrotnie okazywał brak sympatii do poszukiwaczy relikwii, nie potrafił opanować wzruszenia. Odszedł na bok, ukrył twarz w dłoniach, jego ramionami wstrząsał bezgłośny płacz, w którym dawał wreszcie ujście swojemu cierpieniu. Płakał z powodu Ciacconia, Fouqueta, Wiednia, siebie samego. Być może był zdrajcą, ale też zdrażonym, a nade wszystko samotnym człowiekiem. Kiedy zastanawiałem się nad tajemniczymi słowami Dulcibeniego o śmierci Fouqueta, czułem, że między mną a Attem gromadzą się gęste cienie.

Wszyscy uklękliśmy, zatapiając się w modlitwie. Tymczasem oddech Ciacconia stał się jeszcze krótszy i urywany. Grufonio oddalił się na krótko, aby o wszystkim powiadomić (tak przynajmniej pomyślałem) pozostałych poszukiwaczy relikwii, którzy po kilku minutach przybyli po ciało Ciacconia, aby mu urządzić godny pochówek.

Ostatnie, przejmujące sekundy życia Ciacconia dopełniły się na moich oczach. Wokół niego stanęli kręgiem wszyscy łowcy relikwii, podczas gdy Ugonio podtrzymywał głowę umierającego. Po chwili gestem nakazał milczenie i przerwanie modlitwy. W nocnej ciszy rozbrzmiały ostatnie słowa Ciacconia:

- Gfrrrlulbh.

Spojrzałem pytająco na Ugonia, który, szlochając, przetłumaczył:

|- Jak łyzy w deszczu.

(Nieszczęsny Ciacconio wydał ostatnie tchnienie.

Niepotrzebne były dalsze wyjaśnienia. W swoich ostatnich słowach łowca relikwii zawarł całe swoje życie, albowiem rzeczywiście jesteśmy niczym łyzy w deszczu, które giną w rwącym strumieniu rzeczy doczesnych.

Kiedy przyjaciele zabrali ciało Ciacconia, ruszyliśmy w drogę z sercami przepelnionymi głębokim bólem. Szedłem z opuszczoną głową. Nie miałem odwagi spojrzeć w oczy biednemu Ugoniowi, bałem się, że wybuchnę płaczem. Wspominałem pełne napięcia chwile, które przeżyliśmy z łowcami relikwii: wyprawy do podziemnych tuneli, śledzenie Stilone Priasa, wizyty w domu Tiracordy... Ugonia z Ciacconiem łączyło znac-

nie więcej niż mnie, zrozumiałe więc, że długo będzie opłakiwać przyjaciela.

Pograżony w żałobie po stracie Ciacconia, nie spostrzegłem, kiedy zeszlśmy do podziemi i przemaszerowaliśmy tunelami. Ocknąłem się, gdy przenosiliśmy Dulcibeniego do jego pokoju. W tym celu sporządziliśmy nosze, posłużywszy się deskami z wózka, którego używaliśmy na powierzchni. Chory majaczył w gorączce. Jego obrażenia były poważne i nieodwracalne.

Świtało już, kiedy poszukiwacze relikwii pożegnali się z nami, znikając w tajnym schowku. Bałem się, że Cristofano usłyszy odgłosy naszego orszaku, zwłaszcza w chwili, gdy przenosiliśmy Dulcibeniego do schowka, a później schodami na pierwsze piętro gospody. Kiedy przechodziliśmy obok pokoju lekarza, do naszych uszu doszło miarowe chrapanie.

Pożegnałem się z Ugoniem. Objął mnie mocno szponiastymi rękami, jakby przeczuwał, że już nigdy się nic spotkamy. Ja nie zejść do jego *mundus subterraneus*, on zaś wychodził stamtąd tylko pod osłoną nocy, kiedy uczciwi, biedni ludzie (tacy jak ja) śpią zmęczeni trudami dnia. Rozstaliśmy się z ciężkim sercem i rzeczywiście więcej go nie widziałem.

Śpieszyliśmy się do swoich pokoi, żeby choć trochę się przespać i odzyskać siły. Zbyt podniecony ostatnimi wydarzeniami, nie mogłem zasnąć. Postanowiłem skorzystać z okazji i uzupełnić mój dziennik.

Pożegnaliśmy się z Attem, wymieniając spojrzenia. Obaj myśleliśmy o tym samym, że przed kilkoma godzinami zainfekowane pijawki Dulcibeniego przyssały się do osłabionego ciała Innocentego XI.

Wszystko zależało teraz od tego, czy rozwój choroby będzie powolny, czy nagły.

Być może nowy dzień przyniesie wieść o śmierci papieża, jak również o wyniku bitwy pod Wiedniem.

## Wydarzenia, które nastąpiły między

20 a 25 września 1683 roku

Owej nocy po raz ostatni uzupełniłem swój pamiętnik. Wydarzenia, które miały miejsce w następnych dniach, nie dały mi czasu (ani chęci) na pisanie. Na szczęście okres odosobnienia w „Donzelli”, choć okrojony do podstawowych faktów, zapadł mi mocno w pamięć.

Następnego dnia zastaliśmy Dulcibeniego leżącego w łóżku we własnym moczu. Nie mógł się podnieść ani poruszyć dolnymi kończynami. Cristofano uprzedził nas o powadze sytuacji. Widział wiele podobnych przypadków; pewien chłopiec spadł z rusztowania, gruchnął plecami o ziemię i tak jak Dulcibeni stracił czucie w nogach. Do końca życia pozostał kaleką.

Można jednak żywić pewną nadzieję - podkreślił Cristofano - że Pompeo wróci do zdrowia. Zapewnienia medyka wydały mi się rozwlekłe i niejasne. Chory, trawiony gorączką, najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy ze swojego stanu.

Oczywiście groźny wypadek, któremu uległ Dulcibeni, sprowokował Cristofana do pytań. Lekarz nie był aż tak naiwny, żeby nie domyślić się, iż Pompeo (i osoby, które go przyniosły) opuścił gospodę, łamiąc zakaz.

Wyjaśnień wymagały też otarcia, zadrapania i skaleczenia, jakie odnieśliśmy z Attem, kiedy przewróciła się karetka Tiracordy. Kiedy Cristofano opatrywał nam rany swoim specjalnym balsamem i wodą z dodatkiem siarczanu miedzi, a stłuczenia smarował olejem *philosophorum* i powidelkami leczniczymi z prawosłazem, zmuszeni byliśmy przyznać, że tak Dulcibeni opuścił gospodę i przez tajny schowek dostał się do labiryntu. My dwaj obserwowaliśmy go już od dłuższego czasu, przejrzelśmy jego zamiary, wysłedzili i przyprowadzili do „Donzella”. W drodze powrotnej - mówiliśmy - Dulcibeni w pewnej chwili stracił równowagę, wpadł do szybu i dotkliwie się potłukł. Dlatego nie może ruszyć ręką ani nogą.



Dulcibeni nie był w stanie zaprzeczyć. Na drugi dzień po upadku dostał bardzo wysokiej gorączki i stracił zdolność kojarzenia. Od czasu do czasu, gdy odzyskiwał przytomność, narzekał na silny ból w plecach.

Zapewne ze względu na cierpienia Pompea Cristofano był dla nas zrozumiały. Nasza opowieść, pełna luk i niejasności, nie obroniłaby się w krzyżowym ogniu pytań ludzi z Bargello. Lekarz, biorąc zapewne pod uwagę wyzdrowienie Bedfordiego i bliski koniec kwarantanny, zadowolił się naszą wersją wydarzeń i nic nie powiedział strażnikom (którzy jak zwykle stali przed gospodą). Oświadczył, że po zakończeniu naszego przymusowego odosobnienia zadba o to, by Dulcibeni otrzymał należytą opiekę lekarską. Do wielkodusznej decyzji Cristofana przyczynił się prawdopodobnie świąteczny nastrój, jaki w tych dniach udzielił się całemu miastu.

Do Rzymu zaczęły nadchodzić wieści o wyniku bitwy pod Wiedniem. Pierwsze pogłoski dotarły 20 września, a we wtorek 2 \ w nocy (o szczegółach dowiedziałem się znacznie później) kardynał Pius otrzymał bilecik z Wenecji, informujący o ucieczce Turków spod Wiednia. Po dwóch dniach, również nocą, nadeszły listy z cesarstwa, w których była mowa o zwycięstwie chrześcijan. W mieście dały się zauważyć pierwsze nieśmiałe oznaki radości. Z upływem czasu wiadomości stały się dokładniejsze. Wiedeń, oblegany od długiego czasu, został w końcu wyzwolony.

Dwudziestego trzeciego września do Rzymu dotarła oficjalna informacja o zwycięstwie, dostarczona przez kuriera kardynała Buonvisiego, zgodnie z którą jedenaście dni wcześniej, 12 września, oddziały chrześcijan rozgromiły wojska nieprzyjaciół Boga.

Wszelkie szczegóły na ten temat pojawiły się nieco później w gazetach, ale w mojej pamięci opowieści o zwycięskiej bitwie mieszały się z wydarzeniami, które miały miejsce w chwili, gdy mieszkańcy Rzymu otrzymali wiadomość o wiedeńskiej wiktorii.

W rozgwieżdżoną noc z 11 na 12 września w obozie tureckim pod Wiedniem dały się słyszeć głośne modły.

Równie żarliwie modlili się chrześcijanie, tym bardziej że ich siły były zdecydowanie mniej liczne od tureckich. Dwunastego września o świcie ojciec kapucyn Marco d'Aviano, wybitny kaznodzieja, odprawił mszę w niewielkim klasztorze Kamedułów, usytuowanym na wzniesieniu o na-

zwie Kahlenberg, na prawym brzegu Dunaju. Po mszy oddziały chrześcijańskie stanęły w szyku bojowym, gotowe zwyciężyć lub zginąć.

Na lewym skrzydle znaleźli się Karol Lotaryński z margrabią Hermanem i młodym Ludwikiem Wilhelmem, hrabiowie von Leslie i Caprara, książę Lubomirski z nieustraszoną polską husarią oraz Mercy i Tafe, przyszli bohaterowie Węgier. Razem z dziesiątkami innych książąt szykował się do boju mało jeszcze znany Eugeniusz Sabaudzki, który, podobnie jak Karol Lotaryński, uciekł z Paryża przed Królem Słońce, aby później okryć się chwałą, szerząc chrześcijaństwo na wschodzie Europy. Swoje oddziały szykował też książę elektor Saksonii, z pomocą feldmarszałka Goltza, oraz książę elektor Bawarii z pięcioma Wittelsbachami. Pośrodku armii chrześcijańskiej, obok Bawarczyków, stały oddziały frankońskie i szwedzkie, księżęta i władcy Turyngii ze słynnych dynastii Welfów i Holsteinów oraz wybitni dowódcy, tacy jak margrabia Bayreuth, feldmarszałkowie i generałowie Rodolfo Baratta, Dunewald, Stirum, baron von Degenfeld, Karoly Palffy i inni bohaterscy obrońcy chrześcijaństwa. Prawe skrzydło zajmowali waleczni Polacy pod wodzą króla Jana III Sobieskiego i jego dwóch zastępców.

Na widok licznych sił sprzymierzonych oblegani mieszkańcy Wiednia dali wyraz swojej radości, oddając dziesiątki salw.

Również z obozu Kara Mustafy zauważono gotową do walki armię, ale kiedy Turcy zdecydowali się zareagować, było już za późno, ponieważ atakujący pędzili na złamanie karku w dół, po stoku Kahlenbergu. Wielki wezyr i jego ludzie wybiegli z namiotów i okopów, formując szyk bojowy. Pośrodku stanął Kara Mustafa z olbrzymią liczbą spahów, a u jego boku bezbożny kaznodzieja niewiernych Wani Efendi ze świętym sztandarem, z przodu natomiast Agha z oddziałami okrutnych janczarów. Prawą stronę, bliżej Dunaju, zajmowali wodzowie z Mołdawii i Wołoszczyzny, wezyr Kara Mehmet z Diyarbakiru i Ibrahim Pasza z Budy, lewą natomiast chan z Tatarami i dużą liczbą tureckich paszów.

Bitwa rozegrała się na zielonych, łagodnych, porośniętych winoroślą wzniesieniach pod Wiedniem. Pierwsze pamiętne starcie nastąpiło między chrześcijanami a janczarami pod Nussbergiem. Po długotrwałych walkach oddziały cesarskie i saksońskie zdołały przełamać opór wroga i w południe Turcy zostali zepchnięci w stronę Grinzing i Heiligenstadt. Tymczasem zastępy Karola Lotaryńskiego dotarły do Dóbling i podeszły pod obóz turecki, a austriacka kawaleria hrabiego Caprary i husaria Lubomirskiego, po ciężkich walkach, rozgromiły Mołdawów, spychając ich nad Dunaj. W tej samej chwili z Kahlenbergu nadciągnęła polska jazda

pod wodzą króla Jana III Sobieskiego. Drogę utorowała jej niemiecko-polska piechota, która w poszukiwaniu janczarów przetrząsała każdy dom, winnicę i stodołę, przepędzając ich z Neustift, Pótzleinsdorf, Dornbach.

Chrześcijanie zadrżeli, kiedy Kara Mustafa wykorzystał ruchy nieprzyjaciół i zajął luki w ich szeregach, ale nie utrzymał się długo. Karol Lotaryński posłał do walki swoich Austriaków, którzy w Dornbach przecięli drogę Turkom wycofującym się w stronę Dóbling- Tymczasem kawaleria polska kontynuowała natarcie, pokonując opór wroga i docierając do Hernals.

W środku, pod powiewającymi na wietrze proporcami zwycięskich Sarmatów, jechał wspaniały, nieustraszony król Polski, dzierżąc kopię zwieńczoną statuetką sokoła z uniesionymi skrzydłami. U jego boku podążali szesnastoletni, odważny książę Jakub i jeźdźcy w zbrojach bogato zdobionych drogimi kamieniami i ptasimi piórami- Na okrzyk: „W imię Boga!” husarzy króla Jana opuścili kopie i ruszyli do natarcia, pokonując tureckich spahów, wycofujących się w stronę namiotów Kara Mustafy.

Mustafa, obserwując starcie swoich oddziałów z polską kawalerią, odruchowo spojrział na zielony sztandar użyczający mu cienia. Kiedy pomyślał, że chrześcijanie za chwilę zdobędą świętą chorągiew, przestraszył się i postanowił się wycofać. Za nim podążyli najpierw paszowie, a następnie wszystkie oddziały. Po chwili załamał się też środek tureckich szeregów, pozostała część wojsk zaczęła w popłochu uciekać. Turcy ponieśli druzgocącą klęskę.

Mieszkańcy Wiednia odważyli się w końcu wyjść z miasta przez Bramę Szkotów. Turcy, salwując się ucieczką, porzucili obóz pełen cennych przedmiotów. Przedtem jednak pomordowali setki jeńców, a ogromne rzesze uprowadzili: sześć tysięcy mężczyzn, jednaście tysięcy kobiet, czternaście tysięcy dziewcząt i pięćdziesiąt tysięcy dzieci.

Chrześcijanie odnieśli zdecydowane zwycięstwo, nikomu więc nie przyszło do głowy, by ścigać uciekających. W obawie przed powrotem Turków żołnierze pozostali w rynsztunku bojowym przez całą noc.

Pierwszy do namiotu Kara Mustafy wszedł król Jan III Sobieski, a jego zdobyczą wojenną stał się koń pokonanego oraz liczne skarby i kosztowne przedmioty, którymi otaczał się rozwiązły, niewierzący satrapa.

Następnego dnia policzono straty. Turcy stracili dziesięć tysięcy ludzi, trzysta armat, piętnaście tysięcy namiotów i stopy broni. Chrześcijanie opłakiwali dwa tysiące zabitych, wśród których znaleźli się, niestety, generał de Souches i książę Potocki. Ale Wiedeń nie chciał się smucić,

chciał uczcić zwycięzców, którzy triumfalnie przekroczyli bramy miasta, ocalonego przed niewiernymi. Król Jan III Sobieski napisał pokorny list do papieża, stwierdzając, że zwycięstwo nad Turkami było prawdziwym cudem: *Fenimus, vidimus, Deus vicit*.

O wszystkich tych budujących szczegółach, jak już mówiłem, dowiedziałem się dopiero później. Ale wokół „Donzella” panował już nastrój wielkiej radości. Dwudziestego czwartego września we wszystkich kościołach Rzymu rozwieszono zawiadomienie, nakazujące grać na dzwonach Ave Maria, aby podziękować Bogu za pokonanie Turków. W oknach domów ustawiono lampy, a powszechnej radości towarzyszyły wystrzały i przeróżne formy barwnych fajerwerków. Do wnętrza gospody docierały nie tylko wesołe okrzyki ludzi, ale także głośne wybuchy sztucznych ogni, widocznych nad dachami ambasad, Castel SanfAngelo, Piazza Navona i Campo di Fiore.

Otworzyliśmy okiennice i z za krat w oknach przyglądaliśmy się, jak na ulicy, wśród ogólnej wesołości, palono kukły wezyra i paszy. Widzieliśmy całe rodziny, gromadki dzieci, grupy młodzieży i starców, którzy jak szaleni biegali tam i z powrotem z zapalonymi pochodniami, rozświetlając ciepłe wrześniowe noce. Ich śmiechom towarzyszyły srebrzyste dźwięki dzwonów.

Nawet osoby mieszkające obok gospody, które w minionych dniach nie podchodziły pod nasze okna w obawie przed zarazą, teraz dzieliły się z nami swoją radością, śmiejąc się i dowcipkując, jakby przeczuwały, że nadchodzi dla nas chwila uwolnienia. Mieliśmy wrażenie, że zwycięstwo wojsk chrześcijańskich pod Wiedniem stanowiło zapowiedź o wiele skromniejszego zwycięstwa nad dżumą w „Donzelli”.

Mimo że nadal byliśmy odizolowani, udzielił się nam świąteczny nastrój. Osobiście przekazałem dobrą nowinę każdemu z gości. Wszyscy zgromadziliśmy się w sali na parterze, wymieniając braterskie uściski; i wznosząc toast za zwycięstwo. Byłem w siódmym niebie. Plan Dulcibeneo, skierowany przeciw chrześcijańskiej Europie, nie powiódł się, martwiłem się jednak o zdrowie papieża.

Wśród wieści przekazywanych przez rozradowane pospólstwo odnotowałem dwie zaskakujące, godne zastanowienia informacje.

Od jednego ze strażników (którzy nadal pilnowali naszej gospody)

dowiedzieliśmy się, że zwycięstwo chrześcijan ułatwiły niewybaczalne błędy popełnione przez Turków.

Oddziały Kara Mustafy, dzięki słynnej technice min i okopów, zdołały osłabić pas murów obronnych Wiednia, a zdaniem samych zwycięzców mogły przypuścić decydujący atak przed przybyciem posiłków króla Jana III Sobieskiego. Kara Mustafa z nieznanых powodów nie podjął żadnych działań, tracąc cenny czas. Po drugie, Turcy nie starali się zdobyć wzgórza Kahlenberg, które mogłoby im dać przewagę taktyczną. Na tym nie koniec. Nie podjęli walki z nadciągającymi posiłkami chrześcijańskimi, pozwalając im przekroczyć Dunaj i zbliżyć się do oblężonych wiedeńczyków.

Nikt nie wiedział, dlaczego Turcy tak postąpili. Wydawało się, jakby na coś czekali... Coś, co miało im zapewnić zwycięstwo. Ale co by to być mogło?

Kolejna dziwna okoliczność polegała na tym, że ognisko dżumy, od miesięcy zagrażające miastu, niespodziewanie wygasło, bez wyraźnej przyczyny.

Zwycięzcy uznali tę serię cudów za znak od Boga. Podobnie też z woli Boga wyczerpani mieszkańcy Wiednia przetrwali oblężenie, a oddziały Jana III Sobieskiego odniosły zwycięstwo.

Najważniejsze uroczystości odbyły się w Rzymie 25 września, ale o tym opowiem później. Najpierw chciałbym opisać inne istotne fakty, które poznałem w ostatnich dniach kwarantanny.

Tajemnicze wygaśnięcie dżumy w Wiedniu dało mi wiele do myślenia. Epidemia, która przerażała oblężonych nie mniej niż armia wroga, zniknęła szybko i w niewytłumaczalny sposób. A przecież mogła zaważyć na losach bitwy. Gdyby zaraza zaczęła nękać ludność miasta, Turcy zwyciężyliby bez trudu.

Zastanawiałem się nad tym wszystkim, próbując połączyć te fakty z naszymi ostatnimi odkryciami. Ludwik XIV miał nadzieję na tureckie zwycięstwo pod Wiedniem, aby podzielić się z niewiernymi Europą. Pragnąc zrealizować swoje marzenia o potędze, Król Słońce chciał posłużyć się *secretum pestis*, czyli *secretum morbi*, które zdołał wydobyć od Fouqueta.

Tymczasem małżonka Arcychrześcijańskiego Króla, Maria Teresa, miała zupełnie inne zamiary. Jako dumna przedstawicielka dynastii Habsburgów, którzy zasiadali na cesarskim tronie, królowa Francji starała się skrycie pokrzyżować plany męża. Zgodnie z hipotezą wysuniętą przez

Atta Fouquet, za pośrednictwem Lauzuna i Mademoiselle (którzy nienawidzili Ludwika nie mniej niż Maria Teresa), przekazał królowej jedyne antidotum przeciw dżumie - *secretum vitae*, czyli rondo grane często przez Devizego w „Donzelli”, które najpewniej wyleczyło Bedfordiego.

Nieprzypadkowo odtrutka przeciw dżumie znalazła się w rękach Devizego. Rondo, skomponowane prawdopodobnie przez Kirchera, zostało następnie udoskonalone przez gitarzystę Francesca Corbette, mistrza w szyfrowaniu tajnych wiadomości za pomocą nut.

Tak uproszczona wersja wydarzeń była dość trudna do zaakceptowania. Jeśli jednak zastosowało się metodę, której nauczył mnie Atto Melani (kiedy nie jest się czegoś pewnym, należy to założyć), wszystko zaczynało się zgadzać. Chcąc wyjaśnić jakiś absurd, należało go dobrze przemyśleć.

Zastanawiałem się więc nad następującym problemem: jeśli Ludwik XIV nosił się z zamiarem zniszczenia potężnych Habsburgów, panujących w Austrii i Hiszpanii, a zwłaszcza zienawidzonego cesarza Leopolda, to gdzie wywołałby epidemię dżumy? Odpowiedź była niezwykle prosta: w Wiedniu.

Albowiem bitwa pod Wiedniem była decydująca dla losów chrześcijaństwa. Z rozmowy Brenoziego ze Stilone Priasem dowiedziałem się też, że Arcychrześcijański Król porozumiał się potajemnie z Turkami, chcąc zaatakować cesarstwo jednocześnie od wschodu i od zachodu.

Ale to nie wszystko, przed kilkoma miesiącami w Wiedniu stwierdzono bowiem ognisko dżumy, co wyraźnie zaniepokoiło bohaterskich obrońców oblężonego miasta. Po pewnym czasie ognisko choroby wygasło lub zostało w tajemniczy sposób stłumione za pomocą jakiegoś nieznanego czynnika, dzięki czemu miasto i inne państwa Zachodu ocalały.

Mimo że długo się nad tym zastanawiałem, trudno było mi pogodzić się z nasuwającymi się wnioskami. Dżumę w Wiedniu wywołali agenci Ludwika XIV lub najemni mordercy, którzy posłużyli się tajnym *secretum morbi*. Mimo że Wiedeń był dość łatwym celem, Turcy nie podejmowali żadnych działań, czekając na wybuch epidemii, do której przyczynił się ich tajny sojusznik - król Francji.

Niecny sabotaż uniemożliwiły równie potężne siły. Do Wiednia przybyli wysłannicy Marii Teresy, zastosowali *secretum vitae* i powstrzymali rozwój choroby. Nigdy nie dowiedziałem się, jak im się to udało. W każdym razie gra na zwłokę kosztowała Turków głowę Kara Mustafy.

Powyższe podsumowanie, choć poparte faktami, może się wydawać mało przekonujące, ale w zaistniałej sytuacji są to jedyne logiczne wnioski. Dziwnie splecione losy Kirchera, Fouqueta, Marii Teresy, Ludwika XIV, Lauzuna, Mademoiselle, Corbety i Devizego - całymi nocami odtwarzaliśmy z Attem Melanim, kawałek po kawałku, tę z pozoru bezsensowną układankę, która była dla mnie bardziej realna niż życie toczące się za murami „Donzella”.

Wyobraziłem sobie ponurych agentów Króla Słońce zarażających dżumą nieszczęsny wycieńczony Wiedeń, a z drugiej strony obrońców - ludzi Marii Teresy. Wszyscy oni wprowadzali w czyn tajne formuły zaszyfrowane w pięcioliniach Kirchera i Corbety, posługując się retortami, aparatami destylacyjnymi i innymi dziwnymi przyrządami (jak te, które znaleźliśmy na wyspie Dulcibeniego), wypowiadając niezrozumiałe zaklęcia w jakimś opuszczonym magazynie. Następnie jedni zatruli, a drudzy oczyścili wody, sady, ulice. W niewidzialnej walce między *secretum morbi* i *secretum vitae* zwyciężyła ta sama zasada życiowa, która wypełniła mój umysł i serce, kiedy słuchałem rondo w wykonaniu Devizego.

Od francuskiego muzyka z pewnością niczego bym się nie dowiedział. Wiedziałem jednak, na czym polegała jego rola, a nawet ją sobie wyobrażałem. Otóż Devize otrzymał z rąk królowej oryginalną wersję rondo *Barricades misterieuses*, z rozkazem udania się do Włoch, do Neapolu, gdzie miał odszukać starego podróżnika o podwójnej tożsamości... W Neapolu Devize odnalazł Fouqueta, któremu towarzyszył Dulcibeni. Zapewne pokazał nadintendentowi rondo, które przed wieloma laty Fouquet przekazał królowej za pośrednictwem oddanego Lauzuna. Niewidomy Nicolas wziął kartki w wychudzone dłonie, rozpoznał je i przytulił do piersi. Devize prawdopodobnie zagrał mu rondo i wśród łez wzruszenia rozplynęła się ostatnia niepewność nadintendenta, który ucieszył się, że królowej się udało, *secretum vitae* trafiło w dobre ręce, Europa nie zginie z powodu szalonego władcy. Na krótko przed śmiercią Maria Teresa, z pomocą Devizego, dodała Fouquetowi otuchy.

Devize i Dulcibeni wspólnie postanowili zawieźć starca do Rzymu, aby w mieście papieża uchronić go przed niebezpiecznymi wysłannikami Króla Słońce. Pompeo miał jednak inne zamiary... Kiedy Devize grał nam w „Donzelli” *Barricades misterieuses*, wiedział, że Maria Teresa wysłała z Paryża do Wiednia tajną formułę zaszyfrowaną w nutach, czyli *secretum vitae*. Sekret ten miał zgasić ognisko dżumy, która mogłaby pomóc Turkom w odniesieniu zwycięstwa.

Devize na pewno o niczym by mi nie powiedział. Jego szczerze oddanie dla Marii Teresy trwałoby z pewnością także po śmierci królowej. Gdyby odkryto, że muzyk spiskował przeciw Królowi Słońce, groziłaby mu śmierć. Stosując zasadę wpojona mi przez Atta Melaniego, postarałbym się wyręczyć Devizego w niebezpiecznym zadaniu i zamiast niego zabrałbym głos ja, skromny posługacz, na którego nikt nie zwraca uwagi. Powiedziałbym zaledwie kilka znaczących słów, wywnioskowanych nie z rozmów z Devizem, ale z jego milczenia.

Wkrótce nadarzyła się ku temu okazja. Muzyk poprosił mnie, bym późnym popołudniem przyniósł mu podwieczorek. Zaniósłem mu niewielki koszyczek z kilkoma kromkami chleba z salami, które zjadł z dużym apetytem. Zaledwie skończył jeść smaczną przekąskę, pożegnałem się i skierowałem ku drzwiom.

- Słyszałem - powiedziałem jakby od niechcenia - że w Wiedniu wszyscy dziękują królowej Marii Teresie za ocalenie od dżumy.

Devize zbladł.

- Mmm - wymruczał, przeżuując ostatnie kęsy jedzenia, i wstał, by poszukać czegoś do picia.

- Zakrzuszył się pan? Proszę się napić - powiedziałem, podając muzykowi dzbanek z wodą, którego celowo nie postawiłem na stole.

Devize zaczął pić wodę, kierując na mnie pytające spojrzenie szeroko otwartych oczu.

- Chce pan wiedzieć, kto mi o tym powiedział? Pompeo Dulcibeni, który z powodu tego nieszczęśliwego wypadku dostał wysokiej gorączki i majaczył. Przypadkiem wszystko słyszałem.

Kłamałem, ale Devize dał się nabrać.

- Co jeszcze... powiedział? - wybełkotał, wycierając ręką usta i podbródek i starając się zachować spokój.

- Wiele rzeczy, których nie rozumiałem. Wie pan, jak to jest... gorączka. O ile dobrze pamiętam, kilka razy wymienił nazwisko Fukke, czy coś w tym rodzaju, oraz Lozen - oznajmiłem, specjalnie przekręcając nazwiska. - Mówił o jakiejś twierdzy, dżumie, sekrecie dżumy, jakimś antidotum, o królowej Marii Teresie, Turkach, a nawet o spisku. Krótko mówiąc, majaczył. Cristofano bardzo się zmartwił, ale teraz Dulcibeni nie ma już gorączki i trzeba będzie zająć się jego nogami i plecami...

- Cristofano słyszał to wszystko?

- Tak, ale sam pan wie, że kiedy lekarz jest zajęty pacjentem, słucha, ale nie słyszy. Mówiłem o tym opatowi Melaniewi, ale...



- Komu?! - ryknął Devize.  
- Opatowi. Powiedziałem mu, że Dulcibeni ma gorączkę i majaczy.  
- I o wszystkim mu opowiedziałeś?  
- Już nie pamiętam, proszę pana - odparłem uprzejmie. - Wiem tylko, że pan Pompeo Dulcibeni był nieprzytomny, a opat Melani bardzo się tym przejął. A teraz, jeśli pan pozwoli... - powiedziałem i otworzywszy drzwi, wyszedłem.

Sprawdzając, co wie Devize, pozwoliłem sobie na małą zemstę. Strach, który ogarnął muzyka, dowodził, że wie on o wszystkim, a w dodatku, że brał w tym udział. Z niekłamaną przyjemnością wzbudziłem w nim straszliwe podejrzenie. Majaczenia Dulcibeniego (które w rzeczywistości nie miały miejsca) za moim pośrednictwem dotarły bowiem do uszu nie tylko Cristofana, ale także opata Melaniego. Jeśli Atto by chciał, mógłby oskarżyć Devizego o zdradę króla Francji.

Przez cały czas odczuwałem przykrość z powodu pogardy, jaką zawsze okazywał mi francuski muzyk. Dzięki kilku kłamstwom tej nocy mogłem wreszcie spać spokojnym snem pana, on zaś snem człowieka nędznego i poniżonego.

Przyznaję, że zawsze odczuwałem potrzebę i chęć, aby dzielić się z kimś własnymi przemyśleniami. Ale teraz było inaczej. Nie mogłem zaprzeczyć, że po spotkaniu z Dulcibenim w Koloseum mój stosunek do Atta Melaniego całkowicie się zmienił.

Wprawdzie opat zdemaskował zbrodniczy, bluźnierczy zamiar Dulcibeniego, ale w chwili prawdy zawahał się. Wszedł na mury Koloseum jako oskarżyciel, zszedł z nich jako oskarżony.

Zaskoczyło mnie jego niezdecydowanie w odpieraniu zarzutów i aluzji Dulcibeniego co do śmierci Fouqueta. Wielokrotnie widziałem, że opat waha się w obliczu niebezpieczeństwa. W stosunku do Dulcibeniego natomiast zachowywał się tak, jakby powodem jego braku pewności był nie lęk przed nieznanym, ale to, o czym doskonale wiedział i musiał to ukryć. Dlatego też oskarżenia Dulcibeniego (trucizna w wodzie do mycia nóg, rozkaz zabicia Fouqueta otrzymany od króla Francji), choć pozbawione dowodów, brzmiały bardziej przekonująco niż wyrok.

Zastanawiała mnie jeszcze jedna dziwna rzecz. Zgodnie z tym, o czym przypomniał Dulcibeni, Fouquet tuż przed śmiercią powiedział: „A więc to prawda”. Słowa te pochodzą z pieśni mistrza Luigiego Rossiego, którą opat zaśpiewał kiedyś w chwili przygnębienia. „A więc to prawda, że zmieniłaś zdanie”, tak kończyła się strofa, brzmiąca jak oskarżenie.

Te same słowa opat wyszeptał w chwili, gdy o mało nie zginęliśmy w Cloaca Maxima. Dlaczego także wtedy, w obliczu śmierci, przypomniały mu się te słowa?

Wyobraziłem sobie, że zdradzam przyjaciela, który z mojej winy ginie, a mnie dręczą później wyrzuty sumienia. Gdybym usłyszał jego ostatnie słowa, to czyż nie zapamiętałbym ich na całe życie, często powtarzając je na głos?

Kiedy Dulcibeni oskarżał Atta, powtarzając ten przejmujący smutny wers, zorientowałem się, że Melaniemu załamuje się głos jakby w poczuciu winy.

Atto Melani nie był tym samym człowiekiem, jakiego poznałem. Przeszedł być dla mnie mentorem i wodzem, stając się ponownie śpiewakiem kastratem - o czym dowiedziałem się, podsłuchując rozmowę Devizego, Cristofana i Stilone Priasa - opatem Beaubec z woli króla Francji, przebiegłym intrygantem, wielkim kłamcą, zdrajcą, szpiegiem, a być może także zabójcą.

Przypomniało mi się, że opat nigdy nie powiedział mi, skąd zna słowa, które wymknęły mu się kiedyś przez sen: *baricades misterieuses*. Doshedłem więc do wniosku, że usłyszał je z ust umierającego Fouqueta, kiedy potrząsał nim i -jak opowiadał Pellegrino - wykrzykiwał pytania, które pozostały bez odpowiedzi.

Zrobiło mi się żal opata, którego, jak powiedział Dulcibeni, oszukał jego własny król. Domyśliłem się, że Atto, opowiadając mi o przeszukiwaniu gabinetu Colberta, przemilczał pewien fakt, a mianowicie ten, że listy świadczące o obecności Fouqueta w Rzymie pokazał Ludwikowi XIV.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Atto zdradził byłego dobroczyńcę. Może pragnął w ten sposób udowodnić swoje oddanie dla Jego Arcychrześcijańskiej Wysokości? Podał królowi na srebrnym talerzu człowieka, którego przyjaźń kosztowała go, dwadzieścia lat wcześniej, wygnanie z Francji. Melani popełnił jednak niewybaczalny błąd, król bowiem odplacił wiernemu kastratowi kolejną zdradą. Ludwik XIV wysłał opata do Rzymu z poleceniem zamordowania Fouqueta, nie wyjawiając mu prawdziwych powodów strasznego rozkazu ani głębokiej nienawiści przepełniającej jego duszę. Nikt nie wie, jaką absurdalną historię król opowiedział Melaniemu ani jakimi kłamstwami splamił cześć starego nadintendenta.

Podczas ostatnich dni spędzonych w „Donzelli” prześladowała mnie myśl o opacie Melanim, który sprzedaje królowi nieszczęsnego nadinten-

denta, a później nie może się uchylić od wypełniania okrutnych rozkazów bezlitosnego despoty.

Zastanawiałem się, jak opat miał czelność odgrywać przede mną rolę złamanego przyjaciela. Musiał odwołać się do aktorskich umiejętności śpiewaka kastrata - myślałem ze złością. A może jego łzy były prawdziwe? Spowodowane wyrzutami sumienia?

Nie wiem, czy Atto płakał, gdy z rozkazu króla jechał do Rzymu zamordować Fouqueta, czy też posłusznie wykonał polecenie.

Ostatnie słowa umierającego nadintendenta musiały wstrząsnąć opatem. Dzięki zdaniom, które mówiły o tajemniczych barykadach i sekretach, oraz spojrzeniu matowych, niewinnych oczu Atto zrozumiał, że padł ofiarą kłamstw króla.

Było już za późno, by naprawić błąd, ale nie na to, by go zrozumieć. Właśnie z tego powodu opat rozpoczął śledztwo, z moją nieświadomą pomocą.

Wkrótce przestałem się nad tym wszystkim zastanawiać. Czułem niesmak na myśl o opacie Melanim. Nie miałem ochoty z nim rozmawiać. W wyniku moich refleksji rozwiąło się zaufanie, którym go dawniej darzyłem, i łącząca nas wcześniej zażyłość.

Nikt inny nie był jednak dla mnie nauczycielem i wzorem do naśladowania. Staralem się więc okazywać mu, przynajmniej pozornie, uprzejmość i troskę. W oczach i głosie brakowało mi jednak szczerości, typowej dla prawdziwej przyjaźni.

U Melaniego zauważyłem podobne zmiany. Staliśmy się sobie obcy i on o tym wiedział. Teraz, kiedy Dulcibeni leżał unieruchomiony w łóżku, a my znaleźmy jego podłe zamiary, opat Melani nie miał już wrogów, nie musiał urządzać zasadzek ani rozwiązywać zagadek. Nie było już żadnych pilnych zadań do wykonania, nie musiał się przede mną tłumaczyć, jak to dotąd czynił, słysząc moje częste narzekania. W ostatnich dniach stał się milczący i nieprzystępny, jak człowiek obciążony poczuciem winy.

Tylko raz, o poranku, kiedy gotowałem obiad, podszedł do mnie i wziął mnie za rękę, mówiąc smutnym głosem:

- Wyjedź ze mną do Paryża! Mam duży dom, zadbam o twoje wykształcenie. Będziesz moim synem.

Poczułem, że wsunął mi coś do ręki. Okazało się, że były to weneckie perły, które podarował mi Brenozzi. Mogłem się tego spodziewać! To

opat ukradł mi je, kiedy weszliśmy do schowka. W ten sposób chciał nakłonić mnie do pomocy w śledztwie.

Teraz oddawał mi perły, z własnej woli przyznając się do kłamstwa. A może próbował się ze mną pogodzić?

Po chwili namysłu spytałem:

- Mam zostać pańskim synem?

Po czym wybuchnąłem śmiechem na myśl o kastracie, który nie może mieć dzieci. Rozchyliłem dłoń, perły posypały się na podłogę.

Ta moja niewielka zemsta rozdzieliła nas ostatecznie. Razem z toczącymi się po ziemi perłami straciliśmy przyjaźń, zaufanie i wszystko to, co nas dotąd łączyło.

Nie wszystkie zagadki zostały jednak wyjaśnione. Brakowało odpowiedzi na jedno pytanie: jaki był powód śmiertelnej nienawiści Dulcibeniiego do Odescalchich, zwłaszcza do papieża Innocentego XI? Tłumaczyło ją z pewnością porwanie i zniknięcie córki, ale - jak słusznie stwierdził Atto - nie była to jedyna przyczyna.

Kiedy któregoś dnia zastanawiałem się nad tym pytaniem, nieoczekiwanie doznałem olśnienia, co w życiu przytrafia się niezwykle rzadko (z perspektywy czasu mogę to powiedzieć z całym przekonaniem).

Odtworzyłem w myśli słowa, które opat Melani powiedział Dulcibeniemu. Huygens i Francesco Feroni, handlarz niewolników, porwali i wywieźli do Holandii dwunastoletnią córkę Dulcibeniiego.

Gdzie obecnie przebywała córka Pompea? Czy żyła jako niewolnica w Holandii, jako że Huygens, prawa ręka Feroniego, zadurzył się w niej, czy też została sprzedana do innego kraju? Słyszałem, że niektóre najpiękniejsze niewolnice zdobywały wolność, oczywiście poprzez prostytucję, która na tych wydartych morzu ziemiach rozwijała się niezwykle pomyslnie.

Zastanawiałem się też, jak wyglądała. Jeśli żyła, miała teraz mniej więcej dziewiętnaście lat. Po matce Murzynce odziedziczyła zapewne ciemną karnację. Nie znałem jej, trudno mi było wyobrazić sobie twarz córki Dulcibeniiego. Z całą pewnością jednak była więziona i bita. Ślady od uderzeń z pewnością pozostały na jej ciele.

- Jak na to wpadłeś? - spytała Cloridia.

- Masz na nadgarstkach blizny. Zdradziły cię twoje opowieści o Holandii, włoskich kupcach, których tak nienawidzisz, o Feronim, o kawie przypominającej ci matkę, ciągle dopytywanie się o Dulcibenięgo. Masz odpowiedni wiek i kolor skóry. Przywiodła cię tu różdżka. Pamiętasz Arcanum Sądu? Zadośćuczynienie za doznane krzywdy, o którym mi wspomniałaś - odparłem. - Opat Melani jest uczulony na holenderskie tkaniny, które w tej gospodzie nosicie tylko ty i twój ojciec.

Cloridia nie zadowolila się tym wyjaśnieniem. Musiałem zaspokoić jej ciekawość i pokrótce opowiedzieć o wydarzeniach ostatnich dni. Na początku naturalnie nie wierzyła w moją opowieść, mimo że pominąłem fakty, które sam uznałbym za fantastyczne i nieprawdopodobne.

Trudno było mi przekonać Cloridię, że jej ojciec opracował plan zamordowania papieża. Pogodziła się z tym dopiero o wiele później.

Po moich długich, cierpliwych wyjaśnieniach, Cloridia uwierzyła w końcu w moją dobrą wolę i w większość opowiedzianych przeze mnie zdarzeń. Zadała mi tyle pytań, że odpowiedzi na nie trwały całą noc.

- Czy on się domyśla? - spytałem na koniec.

- Na pewno nie.

Porozmawiasz z nim?

- Chciałam to uczynić - odparła po chwili milczenia. - Tak długo go szukałam! Ale teraz zmieniłam zdanie. Po pierwsze dlatego, że mi nie uwierzy, po drugie - że się rozczaruje. A poza tym ciągle myślę o mojej matce.

- Zatem będziemy o tym wiedzieć tylko my - podsumowałem.

- Tak będzie lepiej.

- Żeby nikt inny o tym nie wiedział?

- Tylko ty - odparła, głaszcząc mnie po głowie.

Wszyscy czekaliśmy na jeszcze jedną ważną wiadomość. Cały Rzym cieszył się ze zwycięstwa pod Wiedniem. Wysiłki Dulcibenięgo zmierzające do unicestwienia prawdziwej religii w Europie spełzyły na niczym. Ale co z papieżem? Czy Tiracorda przystawił pijawki Jego Świątobliwości? Może sprawca zwycięstwa nad Turkami leży właśnie w gorączce, zarażony dżumą? Nie mogliśmy się o tym dowiedzieć. Ciągle tkwiliśmy w „Donzellu”, za zakratowanymi oknami. Niebawem jednak wydarzyło się coś, co doprowadziło do uwolnienia nas.

Jak już wielokrotnie wspominałem, na kilka dni przed kwarantanną w podziemiach gospody dał się słyszeć głośny wybuch, po którym pan Pellegrino zauważył pęknięcie w ścianie nad schodami, na wysokości pierwszego piętra. Incydent ten wzbudził nasz zrozumiały niepokój, który zszedł na dalszy plan po śmierci Fouqueta, rozpoczęciu kwarantanny i wielu innych wydarzeniach. W astrologicznej broszurze Stilone Priasa przeczytałem, że w tych dniach należało się spodziewać „trzęsień ziemi i podziemnych wybuchów”. Wszystko wskazywało na to, że przepowiednia się spełniła.

Myśl o tym zdarzeniu nie dawała mi spokoju, ilekroć wchodziłem na piętro i mój wzrok padał na szparę w ścianie nad schodami. Z każdym dniem wydawała się większa i głębsza, zapewne tylko w mojej wyobraźni.

Być może skutkiem podenerwowania obudziłem się w samym środku nocy z 24 na 25 września. Zaledwie otworzyłem oczy, wilgotna ciemność wypełniająca pokój wydała mi się bardziej głęboka i dusząca niż zwykle. Zastanawiałem się, co mogło mnie obudzić. Na pewno nie chęć oddania moczu ani głośny hałas, jak mogłem się przekonać. Usłyszałem natomiast dziwne, złowrogie trzeszczenie, którego przyczyny nie potrafiłem zrozumieć. Odgłos przypominał chrzęst rozdrabnianych kamieni.

W okamgnieniu znalazłem się na korytarzu, a następnie zbiegłem po schodach na parter, krzycząc na całe gardło. Gospoda groziła zaważeniem.

Cristofano, z godną pochwałą przytomnością umysłu, poprosił nocnego strażnika, aby pozwolił nam dla bezpieczeństwa wyjść na ulicę. Ewakuacja „Donzella”, której zaciekawieni i przejęci sąsiedzi przyglądali się z okien, była skomplikowana i ryzykowna. Trzeszczenie dochodziło od strony schodów. W ciągu kilku godzin pęknięcie w ścianie znacznie się powiększyło. Kilku najodważniejszych gości gospody (Atto Melani, Cristofano i ja) wyniosło bezwładne ciało Dulcibeniego na zewnątrz. Rekonwalescent Bedfordi sam sobie poradził z opuszczeniem pokoju. Pellegrino, choć oszołomiony, głośno przeklinał. Zaledwie wszyscy opuściliśmy gospodę, odnieśliśmy wrażenie, że groźba jej zaważenia minęła. Byłoby jednak nierozsądnie wrócić do środka, o czym przekonał nas głośny odgłos sypiącego się tynku, dochodzący z wnętrza. Cristofano postanowił zasięgnąć rady strażnika.

Żandarm poradził nam, abyśmy udali się do pobliskiego klasztoru Celestynów, którzy z pewnością udzielą nam gościny i pomocy.

Tak też się stało. Celestyni, obudzeni w środku nocy, przyjęli nas bez

entuzjazmu (zapewne z obawy przed zarazą), ale z pobożną wspaniałomyślnością. Umieścili nas w wolnych celach, gdzie znaleźliśmy godne schronienie.

W sobotę 25 września o świcie nadeszła wielka nowina. Miasto nadal świętowało zwycięstwo pod Wiedniem, ale kiedy wyjrzałem z celi na korytarz, przekonałem się, że ogólna radość udzieliła się też ojcom celestynom. Żaden z nich nie nadzorował nas, a jedyną osobą, która złożyła mi wizytę, był Cristofano. Lekarz spędził noc w celi Dulcibeniego, czuwając nad chorym. Zdziwiłem się nieco, kiedy powiedział mi, że właściwie nikt nas nie pilnował i teoretycznie moglibyśmy ulotnić się przez jedną z wielu bram klasztornych. Oznajmił mi też, że w najbliższych dniach ktoś z pewnością ucieknie. Cristofano nie spodziewał się, że pierwsza ucieczka nastąpi w ciągu najbliższych godzin.

Jak dowiedziałem się z rozmowy dwóch celestynów, którzy zatrzymali się pod drzwiami mojej celi, wieczorem w bazylice San Giovanni odbędzie się msza dziękczynna za zwycięstwo nad Turkami, podczas której zostanie odśpiewane *Te Deum*. W uroczystości miał wziąć udział Jego Świątobliwość papież Innocenty XI.

Prawie cały dzień spędziłem w mojej celi. Opuściłem ją tylko dwa razy, składając wizytę Dulcibeniemu i Cristofanowi oraz Pellegrinowi. O posiłki, obfite, ale niesmaczne, zadbali ojcowie celestyni. Mój biedny pryncypał cierpiał teraz nie tylko na ciele, ale także na duszy, ponieważ poinformowano go, że gospoda może w każdej chwili runąć. We wczesnych godzinach rannych zawałyły się schody, podesty i ściana od podwórza. Na tę wiadomość ja również zdrząłem, albowiem oznaczało to, że runął też schówek, przez który schodziło się do podziemi. Chciałem podzielić się tą informacją z opatem Melanim, ale nie było czasu.

Kiedy nadszedł wieczór, bez większego trudu wymknąłem się z celi, a następnie przez niewielkie drzwiczki wyszedłem z klasztoru. Pomógł mi w tym służący zakonników, który za drobną sumę pieniędzy (pochodzącą z oszczędności uratowanych podczas ewakuacji „Donzella”) obiecał, że otworzy mi wejście, kiedy będę wracał.

Nie uciekłem z klasztoru, pragnąłem tylko zrealizować pewien cel, a potem wrócić. Po długim marszu dotarłem do bazyliki San Giovanni, gdzie zgromadziło się już wielu ludzi. Z klasztoru Celestynów doszedłem najpierw do Panteonu, następnie do Piazza San Marco, stamtąd do Kolozeum. Kilka minut szedłem ulicą prowadzącą od amfiteatru do bazyliki, docierając na koniec do Piazza San Giovanni in Laterano. Znalazłem się

w rozradowanym tłumie, który rósł z minuty na minutę. Kiedy stanąłem przy wejściu do bazyliki, stwierdziłem, że przybyłem w samą porę, ponieważ w tym samym momencie w drzwiach świątyni pojawiła się Jego Świątobliwość.

Wyciągnąwszy szyję, żeby lepiej widzieć, poczułem uderzenie w ucho: jakiś starzec, stojący obok, przepychał się do przodu i potracił mnie łokciem.

- Uważaj, chłopcze! - powiedział nieuprzejmym tonem, jakby to on został uderzony.

Mimo tłoku zdołałem precyzyjnie się bliżej i dostrzec Jego Świątobliwość. Po wyjściu z bazyliki papież wsiał do karety, odprowadzany tysiącami uradowanych spojrzeń. Zobaczyłem go w chwili, gdy żegnał się z wiernymi, błogosławiąc ich. Udało mi się stanąć blisko papieża, mogłem więc dojrzeć jego twarz, blask oczu, a nawet bladą cerę.

Nie jestem lekarzem ani jasnowidzem, ale dzięki żądzy poznania wyostrzyłem zmysł obserwacji ponad przeciętność. Przyglądając się papieżowi, stwierdziłem, że nie wygląda na chorego. Miał twarz osoby, która wiele wycierpiała, ale było to cierpienie duszy, obawa o losy Wiednia. Jak dowiedziałem się z rozmowy stojących obok mnie duchownych, po otrzymaniu wiadomości o zwycięstwie Innocenty XI ukląkł i płakał jak dziecko, skrapiając łzami podłogę w swoim pokoju.

Z całą pewnością papież nie był chory. Świadczyło o tym pogodne spojrzenie, zaróżowione policzki i energiczne ruchy. Niedaleko dostrzegłem spokojną twarz Tiracordy, stojącego w otoczeniu młodych ludzi (prawdopodobnie jego studentów). Zanim odepchnęła mnie do tyłu silna ręka papieskiego strażnika, usłyszałem słowa Tiracordy:

- Dziękuję, ale jesteście zbyt łaskawi... To nie moja zasługa, ale opatrności. Po otrzymaniu szczęśliwej wiadomości nic nie musiałem robić.

W tym momencie zrozumiałem, że papież poczuł się lepiej, gdy usłyszał o zwycięstwie nad Turkami. Upuszczanie krwi było zatem niepotrzebne. Innocenty XI odzyskał zdrowie, plan Dulcibeniego nie powiódł się.

Wracałem do gospody w tłumie ludzi zdążających do swoich domów. Nie spotkałem opata Melaniego, ale go też nie wypatrywałem. Wszędzie wokół słyszałem komentarze na temat uroczystości, papieża i zwycięskie-



go czynu dla dobra chrześcijaństwa. Przypadkowo znalazłem się wśród uradowanych ojców kapucynów, którzy szli, machając wesoło pochodniami, przepelnieni szczęściem po odśpiewaniu *Te Deum*. Z ich rozmów wyłowilem kilka ciekawych szczegółów (których prawdziwość mogłem stwierdzić dopiero po kilku miesiącach) na temat oblężenia Wiednia. Zakonnicy odwoływali się do wiadomości przekazanych przez Marca d'Aviano, kapucyna, który dobrze przysłużył się lidze antytureckiej. Mówili, że król Polski Jan III Sobieski złamał rozkazy cesarza Leopolda i wkroczył uroczyście do Wiednia wśród wiwatów rozradowanych wiedeńczyków. Jak powiedział Marco d'Aviano, cesarz zazdrościł królowi Sobieskiemu nie triumfu, ale miłości poddanych. Mieszkańcy Wiednia wiedzieli, że Leopold pozostawił stolicę własnemu losowi i uciekł. Teraz witali obcego króla, który narażał życie swoje, swoich ludzi, a nawet pierworodnego syna, by pokonać Turków. Habsburg dał dowód swojego niezadowolenia, traktując Sobieskiego nieuprzejmie i chłodno. „Jestem zdumiony” miał się wyrazić polski król.

- Bóg zadbał jednak, żeby wszystko dobrze się skończyło - podsumował pojednawczo jeden z kapucynów.

- Tak, jeśli Bóg tak chce - wtrącił drugi zakonnik - wszystko dobrze się układa.

Przypomniały mi się te mądre słowa, kiedy następnego dnia Cristofano oznajmił mi, że kwarantanna skończy się za kilka dni. Wykorzystując nastroj powszechnej radości, lekarz zdołał przekonać władze, że zagrożenie zarażenia dżumą już nie istnieje. Opieki lekarskiej wymaga jedynie Pompeo Dulcibeni, który, jak wyjaśnił władzom Cristofano, potłukł się, spadając ze schodów w gospodzie, grozi mu nawet kalectwo. Cristofano miał się nim opiekować, dopóki nie wyjedzie do Wielkiego Księstwa Toskanii.

Zastanawiałem się z gorzkim uśmiechem, kto wtedy zadba o człowieka, który próbował zabić papieża.

## Wydarzenia roku 1688

Minęło pięć lat od wydarzeń w „Donzellu”. Pellegrino wyjechał z żoną do jej krewnych. Cloridia, Pompeo Dulcibeni i ja zamieszkaliśmy w skromnym domu za miastem, za Porta San Pancrazio, gdzie piszę te słowa. Przez cały ten czas zajmowaliśmy się uprawą niewielkiego pola i hodowlą zwierząt domowych, które kupiliśmy za oszczędności Dulcibeniego. Poznałem ciężką pracę na roli. Nauczyłem się odgadywać pogodę na podstawie wiatru i chmur na niebie, wymieniać się z innymi rolnikami owocami własnej pracy, układać się o cenę i strzec przed oszustami. Wieczorami natomiast spracowanymi rękami wieśniaka odwracałem kartki książek.

Razem z Cloridą żyliśmy *more uxorio*. Nikt nie czynił nam z tego zarzutu, gdyż na to odludzie nie docierali nawet księża z wielkanocnym błogosławieństwem.

Pompeo, pogodziwszy się z utratą czucia w nogach, stał się bardziej milczący i drażliwy. Przestał zażywać rozdrobnione liście mamacoki, peruwiański narkotyk, który sprowadzał niegdyś z Holandii. Dzięki temu nie popadał już w stany posępnej egzaltacji, pozwalającej mu lepiej znieść szaleńcze wyprawy do podziemi pod „Donzellem”.

Dulcibeni nie rozumiał, dlaczego wzięliśmy go do siebie, zapewniając mu schronienie i opiekę. Początkowo myślał, że uczyniliśmy to ze względu na jego niemałe oszczędności. Nie dowiedział się, kim naprawdę była Cloridia. Ona też nie chciała wyjawić Dulcibeniemu, że jest jego córką. W głębi duszy nigdy mu nie wybaczyła, że pozwolił sprzedać jej matkę.

Kiedy Cloridia oswoiła się ze wspomnieniami, opowiedziała mi, co wycierpiała po porwaniu. Huygens wmówił jej, że kupił ją od Dulcibeniego, kiedy była jeszcze dzieckiem. Więził, a kiedy się nią znudził, odsprzedał bogatym kupcom włoskim w Holandii, a sam wrócił do Toskanii, do Feroniego.

Przez te lata moja Clordia przechodziła z rąk do rąk. Jedni kupcy ją sprzedawali, inni kupowali. A stąd dzielił ją zaledwie krok od uprawiania najstarszego zawodu świata. Za zaoszczędzone pieniądze kupiła sobie wolność. Udało się jej zebrać okazałą sumkę, bogaty, liberalny Amsterdam był bowiem miastem, w którym kwitła prostytucja. W końcu jednak przeważało w niej pragnienie, by odszukać ojca i spytać o powód, dla którego ją opuścił. Posługując się numerologią i różdżkarstwem, dotarła do „Donzella”.

Pomimo doznanych cierpień i smutnych wspomnień, które niekiedy nie pozwalały jej zasnąć, Clordia opiekowała się Dulcibemim z oddaniem. Pompeo już nie odnosił się do niej z pogardą. Nigdy nie zadawał Clordii pytań na temat jej przeszłości. Nie musiała więc kłamać.

Pewnego dnia Pompeo poprosił mnie, żebym udał się do Neapolu po kufry z książkami, które tam zostawił. Gdy przywiozłem kufry, podarował mi książki, mówiąc, że z czasem docenię ich wartość. Od tej pory Dulcibeni stał się bardziej skory do rozmowy. Od dyskusji o ich treści przeszedł do wspomnień, a następnie do wykładów, zarówno teoretycznych, jak i praktycznych. Człowiek, który przez wiele lat zajmował się handlem w całej Europie, będąc w służbie rodu Odescalchich, miał wiele do powiedzenia. Zastanawiałem się jednak nad jedną, niewyjaśnioną dotąd sprawą: dlaczego Dulcibeni dokonał zamachu na życie papieża.

Miałem nadzieję, że któregoś dnia wyjawi mi tę tajemnicę. Postanowiłem, że sam nie będę o nic pytać, gdyż ze względu na swoją wrodzoną przekorną Dulcibeni i tak by mi nie odpowiedział. Musiałem zatem czekać.

Jesienią 1688 roku rzymskie gazety doniosły o poważnych, smutnych wydarzeniach. Heretycki książę Wilhelm Orański przepłynął wraz ze swoją flotą kanał La Manche i dobił do angielskiej miejscowości o nazwie Torbay. Jego wojska szły naprzód, prawie nie napotykając oporu. Książę uzurpował sobie prawo do tronu katolickiego króla Jakuba Stuarta, któremu dwa miesiące wcześniej druga żona urodziła upragnionego męskiego potomka. Syn Stuarta odebrał Wilhelmowi Orańskiemu nadzieję na objęcie tronu Anglii. Wskutek fortelu Wilhelma Anglia miała przejść w ręce heretyckich protestantów, na zawsze odcięta od religii Rzymu.

Kiedy przekazałem Dulcibeniemu te tragiczne wiadomości, nie ode-

zwał się ani słowem. Siedział w ogrodzie i głaskał kota, który siedział mu na kolanach. Wydawało się, że jest zupełnie spokojny. Po chwili zagryzł usta i odpedził kota, po czym uderzył drżącą ręką w stół.

- Co panu jest? - spytałem, zrywając się z miejsca. Myślałem, że źle się poczuł. - Przeklęty! Udało mu się! - wysapał rozszalony, zapatrzony w jakiś punkt ponad moją głowę.

Nie śmiałem o nic pytać. Po chwili Pompeo Dulcibeni z wolna przytknęła powieki i zaczął swoją opowieść.

Wszystko zaczęło się przed trzydziestu laty. Właśnie wtedy - mówił Dulcibeni - ród Odescalchich splamił się haniebnym czynem, jakim było niesienie pomocy heretykom.

W roku 1660 Wilhelm Orański był jeszcze dzieckiem. Jego rodzinie jak zwykle brakowało pieniędzy. Matka i babka Wilhelma zastawiły wszystkie rodowe klejnoty.

Sytuacja w Europie wskazywała na to, że wkrótce dojdzie do zbrojnego konfliktu Holandii z Anglią, a następnie z Francją. Do prowadzenia wojen potrzeba dużo pieniędzy.

W wyniku tajnych porozumień, których szczegóły były Dulcibeniemu nieznanne, księżę Oranii otrzymał pożyczkę od Odescalchich, jednego z najbogatszych rodów we Włoszech.

Tak więc wojny heretyckiej Holandii finansowała katolicka rodzina kardynała Odescalchiego, przysłego papieża Innocentego XI.

Pożyczki udzielono w sposób niezwykle ostrożny. Kardynał Benedetto Odescalchi mieszkał w Rzymie, a jego brat Carlo, który osobiście prowadził interesy rodziny - w Como. Pieniądze przeznaczone dla władcy Oranii zostały wysłane z Wenecji za pośrednictwem dwóch podstawionych zaufanych ludzi, niezwiązanych z rodziną Innocentego XI. Poza tym pożyczki nie udzielono bezpośrednio członkom domu orańskiego, ale tajnym pośrednikom, w osobach admirała Jeana Neufville'a, bankiera Jana Deutza, kupieckiego rodu Bartolottich, członka Rady Amsterdamu Jana Baptisty Hocephieda.

Oni to przekazali pieniądze Wilhelmowi Orańskiemu, w celu sfinansowania wojny z Ludwikiem XIV.

- A pan? - przerwałem Dulcibeniemu.
- Kursowałem tam i z powrotem między Rzymem a Holandią.

W imieniu Odescalchich sprawdzałem, czy przekazy dotarły, czy pieniądze zostały odebrane i wystawione pokwitowania. Pilnowałem, aby operacje przebiegały po kryjomu.

- Krótko mówiąc, pieniądze papieża Innocentego XI posłużyły sprowadzeniu heretyków do Anglii! - wykrzyknąłem zdumiony.

- W pewnym stopniu. Nim Wilhelm dobił do brzegów Anglii, ród Odescalchich pożyczał pieniądze holenderskim heretykom już od piętnastu lat.

- Jak to wytłumaczyć?

Otóż zdarzyła się dziwna rzecz - oznajmił Dulcibeni. W 1673 roku zmarł Carlo Odescalchi, brat przyszłego papieża. Ponieważ Benedetto nie mógł kierować z Rzymu interesami rodziny, postanowił zawiesić udzielanie pożyczek Holendrom. Gra stała się niebezpieczna, kardynał Odescalchi nie mógł ryzykować, żeby prawda wyszła na jaw. Jego wizerunek musiał pozostać bez skazy. Kardynał był przezorny. Trzy lata później zebrało się konklawe, które wybrało go na papieża.

- Mimo że pożyczał pieniądze heretykom? - zapytałem oburzony.

Posłuchaj dalej.

Po pewnym czasie dług rodu orańskiego osiągnął niebotyczną kwotę stu pięćdziesięciu tysięcy skudów. Gdy Benedetto został papieżem, w jaki sposób Holendrzy mieli zwrócić te pieniądze? Umowa wstępna przewidywała, że w razie niewypłacalności Odescalchi mieli prawo sięgnąć po prywatne dobra Wilhelma. Ale Benedetto Odescalchi jako papież był na oczach wszystkich, nie mógł więc zająć majątku heretyckiego księcia i ujawnić kwestii pożyczek. Groziłoby to skandalem. Dla zachowania pozorów Benedetto dokonał darowizny wszystkich swoich dóbr na rzecz bratanka Livia, choć w rzeczywistości nadal sprawował kontrolę nad majątkiem.

Był jeszcze jeden problem. Wilhelmowi zawsze brakowało pieniędzy. Jego holenderscy wierzyciele (czyli bogate rody Amsterdamu) trzymali w garści giełdę. Innocenty XI mógł więc nigdy nie odzyskać swoich pieniędzy.

Oto dlaczego - oświadczył Dulcibeni - Innocenty XI był zawsze wrogo nastawiony do Ludwika XIV: Arcychrześcijański Król Francji jako jedyny mógł zagrozić drogę Wilhelmowi i przeszkodzić w przejęciu tronu Anglii. Ludwik XIV był jedyną przeszkodą między Innocentym XI a jego pieniędzmi.

Odescalchim udało się zachować wszystko w tajemnicy. Ale w roku 1676, na krótko przed zwołaniem konklawe, zdarzył się pewien incydent. Huygens, prawa ręka handlarza niewolnikami Francesca Feroniego (który także prowadził interesy z Odescalchimi), zadurzył się w córce Pompea Dulcibeniego i tureckiej niewolnicy. Korzystając z poparcia Feroniego, zdobył dziewczynę. Dulcibeni nie mógł zaprotestować, ponieważ nie poślubił matki swojej córki. Dał więc do zrozumienia Odescalchim, że jeśli Feroni i Huygens nie zrezygnują ze swoich zamiarów, poda do publicznej wiadomości, że kardynał Benedetto Odescalchi udzielał oprocentowanych pożyczek holenderskim heretykom, a wówczas będzie musiał pożegnać się z tytułem papieża.

Dalszy ciąg już znałem. Dziewczynę porwano, Dulcibeni został wypchnięty z okna, cudem przeżył, ale zmuszony był się ukrywać, konklawe wybrało Benedetta Odescalchiego na papieża.

- Innocenty XI do dzisiaj nie odzyskał pożyczonych Wilhelmowi Orańskiemu pieniędzy. Jestem tego pewien, znam się na tych sprawach. Teraz jednak wszystko się zmieni - podsumował Dulcibeni.

- Z jakiego powodu?

- To jasne: Wilhelm zostanie królem Anglii i w jakiś sposób spłaci dług papieżowi.

Milczałem. W głowie miałem zamęt.

- Teraz rozumiem pańskie zamiary - powiedziałem po chwili. - Wizyty u Tiracordy, eksperymenty na wyspie... Opat Melani miał rację, chciał się pan nie tylko zemścić za porwanie córki, ale również ukarać papieża za zdradę...

- ...religii. Otóż to! Na papieżu, który sprzedał honor Kościoła i chrześcijaństwa. Zapamiętaj! Choroba ciała jest niczym w porównaniu z chorobą duszy. To ona jest prawdziwą dżumą.

- Pan jednak pragnął zniszczyć cały świat chrześcijański! Właśnie dlatego postanowił pan zarazić papieża podczas oblężenia Wiednia.

- Oblężenie Wiednia... Trzeba ci wiedzieć, że w sprawę pieniędzy Odescalchich zamieszany jest też cesarz.

- Cesarz?!-wykrzyknąłem.

Sprawa była prosta i także tym razem przeprowadzona w największej tajemnicy. Habsburgowie, prowadząc wojnę z Turkami, byli finansowani przez kamerę apostolską, jednocześnie cesarz Leopold zaciągał prywatne pożyczki u Odescalchich. Rodzina papieża otrzymywała jako porękę rękę wydobywaną w cesarskich kopalniach.

- Na cóż była im potrzebna rtęć?
- Odsprzedawali ją holenderskim heretykom, a ściślej - protestanckiemu bankierowi Janowi Deutzowi.
- A zatem Wiedeń został uratowany także dzięki heretykom?
- W pewnym sensie tak. Przede wszystkim jednak dzięki pieniądзом Odescalchich. Możesz być pewien, że zmuszą cesarza do okazania wdzięczności. Nie mówię wyłącznie o pieniądzech.
- Co pan chce przez to powiedzieć?
- Cesarz z pewnością odda jakąś polityczną przysługę papieżowi albo jego bratankowi. Livio jest jedynym spadkobiercą Innocentego XI. Poczekaj kilka lat, to zobaczysz.

## Wrzesień 1699

W chwili gdy kończę spisywać moje wspomnienia, od przybycia floty Wilhelma Orańskiego do brzegów Anglii upłynęło jedenaście lat. Heretycki władca króluje tam do dziś, odnosząc sukcesy. Innocenty XI sprzedał honor religii i angielskich katolików.

Papież Odescalchi nie będzie mógł powtórzyć tego haniebnego czynu. Zmarł dziesięć lat temu, po długiej, ciężkiej agonii. Sekcja zwłok wykazała, że miał chore jelita i kamienie w nerkach. Ktoś już zaproponował, aby wynieść go na ołtarze i ogłosić błogosławionym.

Pompeo Dulcibeni także odszedł z tego świata. Zmarł w tym roku, jako dobry chrześcijanin, który żarliwie się modlił i okazał szczerą skruchę za grzechy. Pewnej kwietniowej niedzieli, kiedy zjedliśmy trochę więcej niż zazwyczaj, Pompeo (który był zawsze czerwony na twarzy, a w ostatnich latach często pociągał z butelki) poprosił mnie, żebym pomógł mu się położyć. Zasnął i już się nie obudził.

Tego, co dziś wiem, dowiedziałem się w większości od niego. Stał się moim nowym nauczycielem, ale jakże różnym od opata Melaniego! Pompeo dożył późnego wieku, zdążył mi opowiedzieć o swoich cierpieniach i błędach, dając dowody szczerzej wiary i bojaźni bożej. Przeczytałem wszystkie książki, jakie mi podarował: historyczne, teologiczne, zbiory poezji, dzieła medyczne, z dziedziny handlu, którym zajmował się przez długie lata. Spisane tu wspomnienia przedstawiłem z perspektywy lat, przypisując młodemu, niewykształconemu posługaczowi słowa i przemyślenia, którymi Bóg obdarzył mnie dopiero dzisiaj.

Najwięcej zrozumiałem jednak nie dzięki książkom o treści politycznej czy etycznej, ale dzięki dziełom medycznym. Z ich pomocą odkryłem, że wcale nie byłem odporny na dżumę, jak utrzymywał Cristofano na początku kwarantanny. Nic nie chroniło mnie przed zarazą. Lekarz skłamał, zapewne po to, żebym mu pomagał. Wszystko zmyślił, począwszy od



bajki o afrykańskim homunkulusie, a na systematyce Gaspare Schotta, Fortunia Liceta i Giovanniego Eusebia Nieremebergiusa skończywszy. U żadnego z tych autorów nie ma mowy o odporności na dżumę. Cristofano doskonale wiedział, że wzrost człowieka nie ma żadnego związku z tą groźną chorobą. Z pewnością nie chroni mnie przed nią moja karła wysokość „ulubieńca książąt i widzów”, jak żartował sobie Dulcibeni.

Przez całe życie jednak będę wdzięczny Cristofanowi, dzięki bowiem jego małemu kłamstwu moja pierś pigmeja wypełniła się dumą. Zdarzyło się to tylko raz. Ze względu na upośledzenie zostałem porzucony w dzieciństwie, a później wyśmiewano się ze mnie, mimo że - jak zauważył Cristofano - zaliczam się do najszcześniejszych egzemplarzy mojej rasy, *mediocres* pod względem wzrostu, ale nie *minores* albo co gorsza *minimi*.

Kiedy pomyślę o wydarzeniach w „Donzelli”, przypomina mi się drwiący śmiech ludzi z Bargello wpychających mnie siłą do gospody, na początku kwarantanny, albo Dulcibeni, który nazwał mnie drwiąco łacińskim słowem *pomilio*, karzełek. Staje mi przed oczami Brenozzi z obrzydliwym nawykiem szczypania się w przyrodzenie. Myślę też o poszukiwaczach relikwii, którzy wzięli mnie za jednego z *daemunculi subterranei*, małych diabełków z ich nocnych koszmarów. Wyobrażam sobie też, jak prowadzę, jakby stworzony do podziemnego świata, Atta wąskimi tunelami pod gospodą.

W tamtych dniach z powodu karlego wzrostu cierpiałem nie mniej niż przez resztę życia. Wołałem jednak pominąć ten szczegół w dzienniku. Któż uwierzyłby człowiekowi, który różni się od dziecka jedynie zmarszczkami na twarzy?

Wkrótce opowieść Dulcibeniego znalazła potwierdzenie w faktach. Bratanek Innocentego XI Livio Odescalchi, jedyny spadkobierca papieża, odkupił od cesarza Leopolda za zaniżoną cenę węgierskie lenno Sirmio. W Rzymie mówiono, że sprzeciwiali się temu nawet cesarscy urzędnicy. Chcąc przydać blasku transakcji, cesarz mianował Livia księciem Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Ale jak wiadomo, każdy zbyt okazały prezent jest dowodem wdzięczności. Prawdą było zatem, że również cesarz był dłużnikiem rodu Odescalchich, a teraz zwrócił dług z procentami.

Livio Odescalchi nie wydawał się zawstydzony ani transakcją, ani swoją zachłannością. Po śmierci Innocentego XI posiadał półtora miliona skudów i lenno Ceri, a wkrótce miał w swoich rękach księstwo Braccia-

no, markizat Roncofreddo, hrabstwo Montiano i signorię Pało, jak również willę Montalto we Frascati. Chciał też kupić lenno Albano, ale kamera apostolska zdołała *in extremis* go ubiec. Po śmierci zwycięzcy spod Wiednia króla Jana III Sobieskiego, Livio próbował kupić tron Polski za osiem milionów florenów.

Trudno się temu dziwić, pieniądze bowiem - rzecz łakoma - nigdy nie przestały zatruwać Europy, splamiły niejednen honor i niejedną koronę.

Nie jestem już tym niewinnym chłopcem z czasów „Donzella”. To, co wtedy widziałem i słyszałem, a czego nie mogę nikomu wyznać, odcisnęło piętno na całym moim życiu. Wiara nigdy mnie nie opuściła, ale osłabło we mnie oddanie Kościołowi, które powinno cechować każdego dobrego chrześcijanina.

Przystępując do pisania dziennika, miałem nadzieję przezwyciężyć uczucie przygnębienia. Bardzo pomocna okazała się też modlitwa, obecność Cloridii i książki, które przeczytałem w ostatnim czasie.

Trzy miesiące temu nadarzyła się okazja, żebym zawarł związek małżeński z Cloridią, do naszej ubogiej dzielnicy przybył bowiem kwestarz.

Kilka dni temu sprzedałem trochę winogron śpiewakowi z Kaplicy Sykstyńskiej. Spytałem go, czy kiedykolwiek śpiewał arie Luigiego Rossiego.

- Rossi? - powtórzył, marszcząc brwi. - Chyba wiem, o kogo chodzi. To stare utwory, z czasów Barberinich. Dzisiaj nikt już o nich nie pamięta - dodał ze śmiechem. - Teraz cały Rzym zachwyca się Corellim.

W tej chwili uświadomiłem sobie, że minęło bardzo wiele czasu. Nie, nie znałem Corellego, ale nie zapomniałem nazwiska *seigneur*a Luigiego ani jego niemodnych już arii, które opat Melani często podśpiewywał.

Od czasu do czasu, często nawet we śnie, przypominam sobie głos i przenikliwe spojrzenie Atta Melaniego. Wyobrażam sobie jego zgarbioną postać w domu w Paryżu, gdzie pragnął, żebym z nim zamieszkał.

Na szczęście, zajęty pracą, nie mam czasu na tęsknotę. Nasze gospodarstwo powiększyło się i przybyło mi obowiązków. Sprzedajemy świeże zioła i owoce do pobliskiej willi rodu Spada, gdzie często jestem wzywany do innych prac.

W wolnych chwilach przypominam sobie słowa Atta, a zwłaszcza zdanie o samotnych orłach i stadach kruków, które często sobie powtarzam, mimo że wydaje mi się ono nierozważne i zbyt śmiałe.

Kilka razy byłem na via del'Orso, aby spytać lokatorów kamienicy stojącej na miejscu gospody (teraz są tu tylko mieszkania do wynajęcia), czy nie przysły do mnie listy z Paryża i czy ktoś nie pytał o dawnego posługacza. Za każdym razem, zgodnie z moimi przewidywaniami, odpowiedź była przecząca.

Czas pomógł mi wiele zrozumieć. Dziś już wiem, że opat Melani nie chciał zdradzić Fouqueta. To prawda, że przekazał Królowi Słońce listy skradzione Colbertowi, z których można było wywnioskować, że nadintendent ukrywał się w Rzymie. Ale już wcześniej król okazywał łaskawość Fouquetowi, złagodził mu więzienny rygor i wszyscy sądzili, że wkrótce go uwolni. Ponieważ zwolnienie Fouqueta opóźniało się, winą obarczono Colberta. Melanemu przyszło więc do głowy, żeby zanieść listy znalezione u Colberta królowi. Nie potrafił przewidzieć, co uczyni władca. Fouquet był w Rzymie z *secretum pestis*, zapewne chciał przekazać je papieżowi, który podtrzymywał opór Wiednia...

Ludwik XIV nie mógł dopuścić do tego, żeby jego zamiary spełzyły na niczym, i to w chwili, gdy jego porozumienie z Turkami doszło do skutku. Prawdopodobnie pożegnał się w pośpiechu z Artem, wszystko dokładnie przemyślał, po czym wezwał Melaniego i opowiedział mu jakąś historyjkę. Pod koniec rozmowy wydał Attowi rozkaz, którego wypełnienie miało być dowodem oddania Koronie.

Dzisiaj cała ta historia nie wydaje mi się już tragiczna. Niemal z rozczuleniem myślę o tym, iż Melani ukraść mi perły, żeby zmusić mnie do współpracy. Chciałbym cofnąć się w czasie, do ostatniego dnia, w którym widziałem opata, i powiedzieć mu: „Panie opacie, niech pan zaczeka, chciałem panu powiedzieć...”

Teraz to już niemożliwe. Rozdzieliły nas na zawsze moja chłopięca niewinność, rozczarowanie, niecierpliwość. Dzisiaj wiem, że popełniłem błąd, poświęcając przyjaźń w imię czystości, rozsądku, szczerości.

Nie można być przyjacielem szpiega, nie żegnając się z prawdą.

Sprawdziły się wszystkie przepowiednie. W pierwszych dniach kwarentanny przyśnił mi się Atto, który wręczał mi pierścień, i Devize grający na trąbce. W senniku Cloridii przeczytałem, że pierścień symbolizuje dobro i trudności, trąbka natomiast wiedzę tajemną, taką jak sekret dżumy.

We śnie widziałem zmartwychwstałego Pellegrina, zapowiedź trudów i cierpień, które później na nas spadły. Pojawiła się też rozsypana sól, symbolizująca zabójstwo (śmierć Nicolasa Fouqueta), gitara oznaczająca melancholię i skromne zajęcie (ja i Clordia nie wiedzieliśmy, że będziemy uprawiać pole). Tylko ostatni symbol był dla mnie pomyślny, Clordia dobrze o tym wiedziała. Mam na myśli kota, zwiastuna rozputy.

Również broszura Stilone Priasa wszystko przewidziała: zawalenie się gospody, uwięzienie grupy szlachetnie urodzonych osób (kwarantanna w „Donzellu”), oblężenie miasta (Wiednia), złośliwe gorączki i zatrucia (które przytrafiły się kilku osobom), śmierć władcy (Marii Teresy), podróże wysłanników (donoszących o sytuacji w Wiedniu). Tylko jedna przepowiednia nie sprawdziła się, mianowicie *baricades misterieuses* nie dopuściły do „śmierci odizolowanych szlachciców”.

Wszystkie te wydarzenia pomogły mi podjąć decyzję, a raczej odstąpić od szalonego zamiaru. Nie chcę już być kronikarzem, nie tylko dlatego, że mam wątpliwości (niedające się pogodzić z wiarą), czy kapryśne gwiazdy mają wpływ na nasz los. Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego zrezygnowałem z moich planów.

Po wydarzeniach w „Donzellu” przeczytałem bardzo wiele gazet, ale nie znalazłem w nich nic z tego, czego uczył mnie Atto. Nie mówię o faktach, gdyż dobrze wiem, że prawdziwe tajemnice władców i państw nigdy nie są opisywane w broszurach sprzedawanych na ulicach. Kronikarzom brakuje odwagi myślenia, żądy poznania, inteligencji. Gazety nie są bezużyteczne, warto je czytać, ale artykułów nie piszą ludzie poszukujący prawdy.

Przy moich skromnych umiejętnościach z pewnością nie zdołałbym nic zmienić. Osoba, która odważyłaby się zdradzić tajemnice Fouqueta, Kirchera, Marii Teresy, Ludwika XIV, Wilhelma Orańskiego i Innocentego XI, zostałaby natychmiast aresztowana, zakuta w łańcuchy i osadzona w więzieniu razem z wariatami.

Atto miał rację, prawda nie pomaga kronikarzom, przeciwnie, stanowi ich największą przeszkodę.

Milczenie jest jedynym ratunkiem człowieka, który wie.

Tym, czego nikt nie może przywrócić i czego mi bardzo brakuje, są nie słowa, lecz dźwięki. Potrafię przywołać jedynie niewyraźne, niekompletne wspomnienie *Baricades misterieuses* (niestety nie mam kopii utworu) sprzed szesnastu lat.

Rondo stało się dla mnie rodzajem samotnej rozrywki, zabawnej gry z własną pamięcią. Jak ono brzmiało? Jak się grało tamten pasaż, akord, tamtą śmiałą modulację?

W czasie letniej kanikuly, w poszukiwaniu ochłody dla ciała, siadam na ulubionym krześle Pompea Dulcibenięgo, pod dębem ocieniającym nasz skromny dom. Zamykam oczy i cicho nucę rondo Devizego, raz, potem drugi i trzeci, choć wiem, że moja wersja daleka jest od oryginału.

Kilka miesięcy temu napisałem list do Atta. Ponieważ nie miałem jego paryskiego adresu, wysłałem korespondencję do Wersalu, w nadziei, że ktoś mu ją przekaże. Byłem pewien, że na dworze wszyscy znają słynnego opata kastrata, doradcę Arcychrześcijańskiego Króla.

Napisałem, że jest mi niezmiernie przykro, iż rozstałem się z nim, nie wyraziwszy mojej głębokiej wdzięczności i szacunku. Zaofiarowałem mu swoją pomoc, błagając go, żeby uczynił mi łaskę i ją przyjął, przy czym nazwałem się jego uniżonym, wiernym sługą. Napomknąłem też o tym, że napisałem te wspomnienia jako uzupełnienie pamiętnika z tamtych dni, którego istnienia Atto nawet nie podejrzewał.

Niestety, do tej pory mi nie odpisał, dlatego też w mojej głowie zrodziła się straszliwa myśl. Co powiedział Atto Arcychrześcijańskiemu Królowi po powrocie do Paryża? Czy zdołał zataić przed królem, że odkrył jego tajemnice? A może ponaglany pytaniami dał mu do zrozumienia, że wie o jego nikczemnych czynach?

Wyobrażam sobie czasami napad w ciemnym zaułku, stłumiony krzyk, odgłos kroków najemnych morderców i ciało Atta leżące w kałuży krwi...

Nie poddaję się jednak. Walczę z moimi fantazjami i nie tracę nadziei, że nadejdzie list z Paryża. Czasem szepczę jakiś werset z arii dawnego mistrza Melaniego, *seigneur* Luigiego:

Speranza, al tuo pallore  
so che non speri piu.  
E pur non lasci tu  
di lusinganni ii core...

## *Addendum*

Drogi Alessio,

tak kończy się dzieło dwójki moich przyjaciół. Mam nadzieję, że zadbasz o to, by trafiło do rąk Ojca Świętego. Pisząc te słowa, modłę się, aby po przeczytaniu tych stron Duch Święty natchnął Cię do podjęcia odpowiedniej decyzji.

Minęło czterdzieści lat od chwili, gdy otrzymałem pocztą maszynopis, w którym utrwalona została historia „Donzella” i posługacza-karła. Na początku myślałem, że przeważa w niej fikcja, choć autorzy korzystali z historycznego dokumentu, jakim jest niepublikowany pamiętnik służącego z 1699 roku. Jako kapłan i uczonec doceniam historyczną wartość fragmentów dotyczących opata Morandiego, Campanelli, jansenistów, jezuitów, Towarzystwa Modlitwy i Śmierci, nieistniejącego już zakonu celestynów, jak również dziwnych osiemnastowiecznych opinii o sakramencie spowiedzi i ostatniego namaszczenia. Wiele przytoczonych tu wypowiedzi i cytatów łacińskich stanowi odwołanie do języka używanego w XVII wieku.

Co więcej, niektóre postacie naśladują język i terminologię barokowych traktatów, posługując się przesadnie napuszonym stylem.

Zastanawiam się, co oprócz tych nielicznych faktów zostało zmyślane. Moje wątpliwości zrodziły się w wyniku śmiałej, chwilami niezwyklej treści dzieła, ale też pod wpływem charakterystyki dwójki bohaterów, którzy -jak już powiedziałem - nazbyt dobrze przypominają tradycyjny duet detektywów, w osobach Sherlocka Holmesa i jego pomocnika-narratora Watsona lub Poirota i Hastingsa z książek Agathy Christie. Również oni prowadzą śledztwo w miejscach zamkniętych lub odizolowanych (w pociągach, na statkach, na wyspach), takich jak gospoda „Donzello”.

Także w szesnastowiecznej powieści *Żywot łazika z Tormesu* występuje analogiczna para nauczyciel i uczeń, starzec i młodzieniec. Nie mówiąc już o Dantem oraz jego mistrzu i przewodniku Wergiliuszu, który prowa-

dzi go w wędrówce po piekle, do złudzenia przypominającym podziemia „Donzella”.

Doszedłem do wniosku, że pamiętnik posługacza jest rodzajem *Bildungsroman*, jak by powiedział badacz literatury, za którego nie śmiem się uważać, czyli powieścią pedagogiczną w formie dziennika. Czyż pod wpływem opata Melaniego i jego nauk podczas nocnych wypraw do podziemi niewinny posługacz nie dojrzewa w przyspieszonym tempie?

Powyższe uwagi pobudzają do myślenia, ale nie odpowiadają na pytanie, kto jest autorem dzieła. Para moich przyjaciół czy posługacz?

Zastanawiałem się też, jaki utwór mógł posłużyć za wzorzec pamiętnika. Myślałem o twórczości Aretina, głównie zaś o *Dekameronie* Boccaccia, gdzie narrację podzielono na dni, a postacie - podobnie jak w „Donzelli” - zostały odizolowane z powodu dżumy i dla zabicia czasu snuły różne opowieści. Może ten właśnie model miał na myśli nieznaną posługacz?

„Książki zawsze opowiadają o innych książkach, a każda historia opowiada jakąś inną historię” -jak to ktoś powiedział. W którymś momencie przestałem snuć rozważania o ewentualnych inspiracjach autora.

Zauważyłem, że dziennik zawiera wiele zapożyczeń, podważających jego autentyczność, takich jak monolog Pompea Dulcibeniego na temat koronowanych głów, w którym szlachcic oskarża królów o nikczemność i kazirodztwo. Ten fragment stanowi uszczuploną wersję przemówienia Robespierre'a. Autorzy nawiązali do postaci francuskiego polityka również w miejscu, gdzie była mowa o Dulcibenim „bez spodni”, *sans-culottes*, czyli sankiulocie.

Dzieło obfituje też w dość ryzykowne passusy, jak te, w których pojawiają się niezwykle postacie Ugonia i Ciacconia, wzorowane na hienach cementarnych, również dzisiaj nękających nasz kraj. Ich imiona (podobnie jak Baronia i Gallonia) pochodzą od nazwisk znanych siedemnastowiecznych erudyty i badaczy katakumb. Nie mówiąc już o fragmencie, w którym kurtyzana Cloridia, słuchając i interpretując sen chłopca, każe mu położyć się na łóżku, a sama siada u wezglowia, w anachronicznej pozycji psychoanalitka.

Jeśli chodzi o Innocentego XI, to jego postać przedstawiona została w zdecydowanie niekorzystnym świetle. Moim zdaniem charakterystyka papieża stanowi niezręczną próbę sfalszowania prawdy historycznej. Będąc krajanem papieża, który również pochodził z Como, dobrze znałem jego osobę i dokonania. Znane mi były oszczerstwa, które rzucano na Innocentego XI jeszcze za jego życia, w celach politycznych. Ich odbiciem

są słowa ojca Robledy. Poważni historycy zaprzeczyli podobnym insynuacjom. Wśród nich wymienić należy Papasoglię, który w ponad trzytustronicowej monografii błogosławionego Innocentego XI, wydanej w połowie ubiegłego wieku, oczyścił go z wszystkich zarzutów. Nieco wcześniej uczynił to Ludwig Pastor, jeden z najwybitniejszych historyków Kościoła.

Kolejnym przekłamaniami jest historia nadintendenta Fouqueta.

W opowieści posługacza Fouquet zmarł w gospodzie „Donzello” 11 września 1683 roku, otruty przez Atta Melaniego. Ale nawet w podręcznikach szkolnych można przeczytać, że nadintendent zmarł w więzieniu w Pinerolo w 1680 roku, a nie w Rzymie w roku 1683! Niektórzy pisarze i historycy obdarzeni bujną fantazją wysunęli wprawdzie hipotezę, że Fouquet nie zmarł w więzieniu, ale według mnie to rzecz niewarta uwagi. Wolter, który rozmawiał z żyjącymi wówczas krewnymi nadintendenta, był zdania, że nigdy nie dowiemy się, kiedy i gdzie zmarł naprawdę Fouquet. Sądzę jednak, że dużą przesadą jest twierdzić, iż zmarł on w rzymskiej gospodzie, zamordowany na rozkaz Ludwika XIV, jak utrzymuje autor manuskryptu, który przysłali mi moi dawni przyjaciele.

Dopatrzwszy się nieścisłości, a właściwie manipulacji historycznej, gotów byłem wyrzucić powieść do kosza. Miałem przecież dowód, że to fałszerstwo. Po pewnym czasie odkryłem, że nie jest to takie proste.

Wszystko zaczęło się gmatwać, kiedy postanowiłem dokładniej przyjrzeć się postaci Fouqueta. Książki historyczne od wieków przedstawiają go jako złodzieja i przekupnego ministra. W przeciwieństwie do niego Colbert był modelowym mężem stanu. Zdaniem Atta Melaniego ucziwy Fouquet był niewinną ofiarą zawiści i wrogości przeciętnego Colberta. Początkowo potraktowałem to zaskakujące odwrócenie ról jako czysty wytwór fantazji, tym bardziej że doszukałem się w dzienniku echa starej powieści o Fouquecie pióra Paula Moranda. Wkrótce jednak musiałem zmienić opinię. W jednej z bibliotek znalazłem wybitny esej francuskiego historyka Daniela Desserta, który sześćdziesiąt lat temu, opierając się na dokumentach, przywrócił honor Fouquetowi, a także zdemaskował spiski i podłości Colberta. W swojej pracy Dessert szczegółowo omówił (i udowodnił) wszystko to, co w obronie nadintendenta Atto opowiedział posługaczowi.

Niestety, jak to często bywa z osobami podważającymi odwieczne prawdy, cenną pracę Desserta skazała na zapomnienie koteria historyków, których autor ośmielił się oskarżyć o lenistwo myślowe i ignorancję. Na



uwagę zasługuje to, że żaden z historyków nie odważył się zakwestionować słuszności wyводу Desserta.

Tragiczne losy Fouquet'a, przytoczone przez opata Melaniego, z całą pewnością nie były literackim wymysłem. Ale to nie wszystko. Prowadząc kwerendę źródłową, doszedłem do wniosku, że znajomość Kirchera i Fouquet'a była bardzo prawdopodobna, choć nieudokumentowana, jako że jezuita (jak pisał Anatole France w niewielkiej pracy o Fouquecie, a także Kircher we fragmentach swoich dzieł) naprawdę interesował się mumiami nadintendenta.

Jak wynika z przeprowadzonych przeze mnie badań, również zagadkowa historia odosobnienia Fouquet'a w twierdzy w Pinerolo okazała się prawdziwa. Król Słońce rzeczywiście więził nadintendenta w obawie przed tym, co wiedział Fouquet, ale nigdy nie poznamy powodu, dla którego król tak postąpił. Wiernie przedstawiona została też podejrzana postać hrabiego Lauzuna, którego osadzono na dziesięć lat w twierdzy w Pinerolo, gdzie w tajemniczy (i trudny do wytłumaczenia) sposób zdołał porozumieć się z Fouquet'em, a po śmierci nadintendenta został wypuszczony.

Dziennik zawierał więc kilka pewnych, udokumentowanych odwołań do prawdy historycznej.

A jeśli to wszystko prawda? - myślałem, kartkując maszynopis. , ;

Zadając sobie to pytanie, postanowiłem przeprowadzić dalsze poszukiwania w bibliotekach, w nadziei znalezienia jakiegoś istotnego błędu, który pomógłby mi dowieść fałszywości dzieła moich przyjaciół i definitywnie zamknąć całą sprawę. Muszę przyznać, że miałem poważne obawy.

Z niepokojem przystąpiłem do pracy. Kiedy przeglądałem słowniki, encyklopedie i ówczesne podręczniki, przebiegały mi przed oczami - dokładnie tak jak podczas lektury maszynopisu - opisy Rzymu, zasady kwarantanny, teorie dżumy, opisy epidemii w Londynie i Rzymie, medykamenty Cristofana, kulinarne przepisy posługacza, a także Ludwik XIV, Maria Teresa, weneccy wytwórcy luster, zagadki Tiracordy, rozkład podziemnych tuneli Rzymu.

Przychodziły mi na myśl różdżki, interpretacje snów, zasady numerologii i astrologii, legenda mamacoki (czyli kokainy), bitwa pod Wiedniem, sekrety francuskiej techniki oblężenia, które w niewyjaśniony spo-

sób poznali Turcy, jak również zagadkowe błędy strategiczne niewier-nych, przesądzające o ich druzgocącej klęsce.

Kiedy w rzymskiej Bibliotece Casanatense z niedowierzaniem patrzy-łem na oryginalną stronicę Biblii wydrukowanej przez Komarka, zmuszo-ny byłem się poddać. Wszystko, co przeczytałem, okazało się jak najbar-dziej prawdziwe, włącznie z najdrobniejszymi szczegółami.

Z prawdziwym żalem kontynuowałem badania. Zamiast błędów znaj-dowałem prawdziwe, dowiedzione fakty i okoliczności. Uznałem, że pad-łem ofiarą sprytnego fortelu, złośliwej pomyłki, sieci pajęczej, z której trudno się wyplątać.

Postanowiłem przyjrzeć się bliżej teoriom Kirchera. Wprawdzie zna-łem jego biografię i twórczość, ale nigdy nie słyszałem o *secretum pestis* ani o rzekomym *secretum vitae* zapobiegającym dżumie, ani o rondzie, w którym sekret ten był zaszyfrowany. Podobnie jak ojciec Robleda czy-tałem *Magnes, sive de arte magnetica* Kirchera, gdzie niemiecki jezuita mówi o terapeutycznych właściwościach muzyki, proponując słuchanie skomponowanej przez siebie melodii jako antidotum przeciw ugryzieniu tarantuli. Wiedziałem również, że w czasach nam współczesnych Kircher był oskarżany o szarlatanerię, gdyż w swoim traktacie o dżumie utrzymy-wał, że oglądał pod mikroskopem pałeczki dżumy. Dzisiejsi historycy protestują, twierdząc, że za życia Kirchera nie istniały tak silne szkła powiększające. A zatem wszystko zostało zmyślane?

Jeśli tak istotnie było, musiałem zebrać wszystkie konieczne dowody. Przed wszystkim zasięgnąłem informacji o słynnej chorobie, którą nazy-wamy dżumą. Jest to tak zwana dżuma dymienicza, wywołana przez pałeczkę *Yersinia pestis* i przenoszona przez pchły ze szczurów na czło-wieka. Nie ma ona nic wspólnego z dżumą zwierzęcą, czy też z dżumą płucną, której ogniska istnieją głównie w krajach Trzeciego Świata.

Ze zdziwieniem przeczytałem, że dżuma dymienicza od wieków nie występuje i nikt nie wie, dlaczego. W Europie (a więc i we Włoszech) ten rodzaj dżumy praktycznie zniknął na przełomie wieków XVII i XVIII - wtedy kiedy miały miejsce wydarzenia w „Donzelli”. Spodziewałem się tego.

Istnieje wiele teorii na temat zaniku dżumy, ale żadna z nich nie jest przekonująca. Zdaniem niektórych badaczy choroba zniknęła dzięki lecz-niczym środkom zapobiegawczym, które z upływem czasu stały się coraz bardziej skuteczne. Inni twierdzą, że nastąpiło to wraz z pojawieniem się w Europie *Rattus norvegicus* (szczura brunatnoszarego), który wyparł *Rattus rattus* (szczura śniadego) z pasożytującą na nim pchłą *Xenopsilla*

*cheopis*, przenoszącą pałeczki dżumy. Jeszcze inni uważają, że dżuma zniknęła, ponieważ domy z cegły i dachówek wyparły chaty z drewna pokryte strzechą i nie ma już zwyczaju przechowywania w domach zboża, wabiącego myszy. Niektórzy z kolei podkreślają rolę pseudotuberkulozy, niegroźnej choroby, która uodparnia organizm na dżumę dymieniczą.

Z akademickich dyskusji wypływa jeden wniosek: na przełomie XVII i XVIII wieku Europa w zagadkowy sposób uwolniła się od plagi dżumy, dokładnie tak, jak obiecał uczynić to Kircher za pomocą swoich sekretów.

Zbiegów okoliczności przybyło, kiedy rozmyślałem o zagadkowym rondzie *Baricades misterieuses*, w którym zawarte było *secretum \ itae*, podobnie jak w taranteli Kirchera mieściło się antidotum przeciw ugryzieniu tarantuli. Ale właśnie przy tej okazji, ku mojej największej satysfakcji (niech mi Bóg wybaczy!), doszukałem się poważnego błędu historycznego.

Przeglądając encyklopedię muzyczną, dowiedziałem się, że *Baricades misterieuses* nie były dziełem mało znanego gitarzysty i kompozytora Francesca Corbetty, jak przeczytałem w maszynopisie moich przyjaciół, ale Francois Couperina, słynnego kompozytora i klawesynisty francuskiego, żyjącego w latach 1668-1733. Rondo pochodzi z pierwszego zbioru *Pieces de C''avecin*, jest zatem utworem na klawesyn, a nie na gitarę. Najważniejsze jednak było to, że utwór opublikowany został w roku 1713, czyli trzydzieści lat po wydarzeniach w „Donzellu”. Nieścisłość, której dopuściła się dwójka młodych autorów, pozbawiła ich pracę nie tylko wiarygodności, ale też wszelkiego prawdopodobieństwa.

Odkrywszy tę rozbieżność, uznałem, że nie ma sensu prostować pozostałych błędów, ponieważ opracowanie, w którym jest tyle niedokładności, z pewnością nie zagraża dobremu imieniu błogosławionego Innocentego XI.

Przez jakiś czas, wieczorami, bez entuzjazmu przerzucałem strony maszynopisu, myśląc raczej o jego autorach niż o treści. Opowieść pełna plotek o papieżu, moim krajanie, wydała mi się zwykłą prowokacją, a nawet kpina. Na koniec zwyciężyła we mnie złość i naturalna nieufność (muszę to przyznać) do dziennikarzy.

Mijały lata. Niemal zupełnie zapomniałem o moich dawnych przyjaciółach i maszynopisie, który ukryłem przed niepowołanymi osobami w schowku.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że moja ostrożność była jak najbardziej uzasadniona.

Trzy lata temu, kiedy dowiedziałem się, że Jego Świątobliwość pragnie rozpocząć proces kanonizacyjny papieża Innocentego XI, nie pamiętałem nawet, gdzie złożyłem stertę pożółkłych kartek. Wkrótce jednak okazało się, że muszę sobie przypomnieć.

Zdarzyło się to w Como, w pewien deszczowy listopadowy wieczór. Ulegając namowom przyjaciół, wybrałem się na koncert zespołu muzycznego z mojej diecezji. Pod koniec pierwszej części na fortepianie grał wnuk mojego dawnego kolegi ze studiów. Miałem za sobą pracowity dzień, przysłuchiwałem się koncertowi z pewnym roztargnieniem, gdy moją uwagę zwrócił pewien motyw w barokowym tańcu, w aranżacji nawiązującej do Scarlattiego, Debussy'ego, Francka i Rameau. Jako miłośnik dobrej muzyki, mam pokaźny zbiór płyt, ale gdyby ktoś mnie zapytał, w którym wieku skomponowany został ten utwór, nie potrafiłbym odpowiedzieć.

Zajrzałem więc do programu i przeczytałem, że nosi on tytuł *Les barricades misterieuses*.

Kolejny raz miałem okazję przekonać się, że posługacz z gospody nie kłamał. Melodia, którą usłyszałem, miała jakąś dziwną moc, urzekała, fascynowała, przenikała duszę i umysł. Kto raz wysłuchał tego utworu, nie mógł się od niego uwolnić. Nie dziwiło mnie więc, iż chłopak był do tego stopnia urzeczony motywem, że po wielu latach potrafił go zanuć. Tajemnica *secretum vitae* kryła się w innej tajemnicy.

Oczywiście to nie wystarczy, by stwierdzić, że cała treść maszynopisu jest prawdziwa. Nie mogłem się jednak oprzeć pokusie i ponownie wszystko sprawdziłem.

Nazajutrz rano kupiłem płytę z nagraniem wszystkich *Pieces de clavecin* Couperina. Przesłuchałem ją bardzo wnikliwie i doszedłem do wniosku, że żaden z utworów nie jest podobny do *Baricades misterieuses*. Zajrzałem do wielu słowników muzycznych i encyklopedii, z których wynikało, że Couperin nie skomponował drugiego podobnego utworu. Suita francuskiego muzyka noszą opisowe tytuły, takie jak *Les Sentiments*, *La Lugubre*, *L'Anie en peine*, *La Yoluptueuse* i tak dalej. Są wśród nich także *La Raphaelae*, *L'Angelique*, *La Milordine* czy *La Castelane*, dedykowane damie dworu, której nazwisko próbują odgadnąć współcześni krytycy. Je-

dynie *Baricades misterieuses* brzmi tak po prostu. Jeden z muzykologów określił ten utwór jako „prawdziwie *misterieux*”.

Wszystko wskazywało na to, że rondo skomponował ktoś inny. Ale kto? Rondo *Les baricades*, wyróżniające się śmiałymi dysonansami i wyrafinowaną harmoniką, nie pasuje do powściągliwego stylu Couperina. Powracający jak refren motyw łączy cztery głosy polifonii w delikatnym, kunsztownym arpeggio. Jest to styl *brise*, który klawesyniści przejęli od lutnistów, lutnia natomiast przypomina gitarę...

Skłaniałem się ku przypuszczeniu, że *Les baricades misterieuses* skomponował Corbetta, tak jak twierdził posługacz. Wobec tego dlaczego Couperin opublikował utwór pod swoim nazwiskiem? W jaki sposób rondo znalazło się w jego rękach?

Rękopis *Les baricades* jest podpisany nazwiskiem włoskiego muzyka Francesca Corbetta, ale jego autorstwo nie jest wcale takie pewne, ponieważ jeszcze za życia tego kompozytora podważano autorstwo niektórych jego kompozycji, a on sam oskarżył jednego ze swoich uczniów o plagiat.

Przypuszczam, że Corbetta, jako mistrz i przyjaciel Devizęgo, wymieniał się z nim tabulatunami. W tamtych czasach utwór wydany drukiem należał do rzadkości, kompozytorzy sami przepisywali to, co ich interesowało.

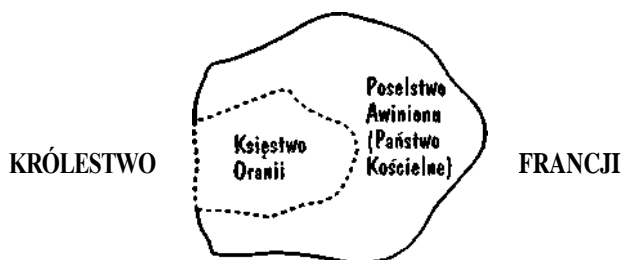
Kiedy w 1681 roku Corbetta zmarł, Robert Devize (lub De Visee, zgodnie z dzisiejszą pisownią) cieszył się sławą wirtuoza i wybitnego nauczyciela gry na gitarze, lutni i teorbanie. Ludwik XIV domagał się jego występów niemal każdego wieczoru. Devize był gościem arystokratycznych salonów, gdzie grywał w duecie ze znanymi muzykami, między innymi z klawesynistą Francois Couperinem.

Devize i Couperin znali się więc i często występowali razem, zapewne wymieniali też komplementy, spostrzeżenia, rady, może nawet zwierzali się sobie. Jak wiadomo, Devize chętnie grywał utwory Couperina (kilka tabulatur przetrwało do dziś). Nie można wykluczyć, że Couperin grał na klawesynie suity na gitarę skomponowane przez przyjaciela. Obaj muzycy z pewnością pożyczali sobie zeszyty i partytury. Być może któregoś wieczoru, gdy Devize zabawiał się rozmową z jakąś damą dworu, Couperin pożyczył sobie to piękne rondo o dziwnym tytule, z zamiarem, że odda mu je później.

Pod wpływem niebiańskiej melodii i tajemnicy, która się w niej kryła, ponownie przeczytałem całą opowieść, zapisując w notatniku okoliczności wymagające sprawdzenia. Byłem pewien, że tylko w ten sposób po-

zbędę się wątpliwości i wyjaśnię, czy ta dziwna historia była jedynie zręcznym wymysłem wypaczającym prawdziwy obraz wydarzeń.

Owoc trzyletnich poszukiwań zawarty jest na stronach, które za chwilę przeczytasz, drogi Alessio. Pragnę zauważyć, że dysponuję fotostatami dokumentów oraz cytowanych tekstów i w razie konieczności mogę Ci je udostępnić.



Nie dawała mi spokoju zwłaszcza zagadka zagrażająca procesowi kanonizacyjnemu błogosławionego Innocentego Odescalchiego. Był to wielki sekret Dulcibeniego, powód wszystkich jego nieszczęść, a zarazem prawdziwy motyw poczynań. Zastanawiałem się, czy Innocenty XI był naprawdę współnikiem Wilhelma Orańskiego.

Posługacz pisze o tym dopiero na ostatnich stronach, wyjaśniając tajemnicę Dulcibeniego, a para moich przyjaciół nie podała dokładniejszych danych na ten temat. Rozmyślałem nad tym, dlaczego dwójka dociekliwych dziennikarzy nie uznała, że należy uważniej zbadać tę kwestię. A może po prostu nie znaleźli żadnych informacji na niekorzyść papieża Odescalchiego?

Czułem się w obowiązku sprawdzić, napisać czarno na białym, rozwiązać wątpliwości i oczyścić z oszczerstw postać błogosławionego Innocentego. Ponownie przeczytałem końcowy fragment tekstu, w którym posługacz przytacza spostrzeżenia Pompea Dulcibeniego.

Jak powiedział jansenista, poręczeniem długu, który Wilhelm zaciągnął u papieża, był osobisty majątek księcia Oranii. Ale gdzie położone były jego posiadłości? Nie miałem pojęcia, gdzie znajdowało się lenno

Wilhelma. Może w Holandii? Wziąłem do ręki atlas, a kiedy w końcu zlokalizowałem Oranie, ogarnęło mnie zdumienie.

Księstwo Oranii leżało na południu Francji, w otoczeniu poselstwa Awinionu, które nie było niczym innym jak Państwem Kościelnym. Awinion należał do Państwa Kościelnego już w czasach średniowiecza, a poselstwo awiniońskie do Francji! Było to naprawdę dziwne: księstwo Oranii otaczały ziemie Ludwika XIV, wielkiego przeciwnika Innocentego XI.

Należało zatem szukać w Awinionie, a raczej w dokumentach dotyczących Awinionu. Załatwiłem sobie specjalne pozwolenie do korzystania z tajnego archiwum watykańskiego. Spędziłem kilka tygodni na przeglądaniu korespondencji dyplomatyczno-administracyjnej między Rzymem i Awinionem. Przeczytałem setki listów w nadziei, że znajdę jakąś wzmiankę o Oranii, Wilhelmie i pożyczkach pieniężnych. Długo nie nabrałem na nic ciekawego. Już miałem zrezygnować z dalszych poszukiwań, gdy w pliku zupełnie nieciekawych listów znalazłem luźne kartki, zapisane w ostatnich miesiącach 1689 roku, już po śmierci Innocentego XI, którego następcą został Aleksander VIII Ottoboni.

A oto treść kartek, zrozumiała jedynie dla wtajemniczonych:

22 76 18 1197 46 98 64 48 36  
71 37 81 18 73 67 14 38 69  
2610 48 46 31 22 14 76  
39071 487698 13 48 76  
39 37 71 44 22 41 67 14  
022 34 13 83 78 89 5  
77 44 0 64 0 39 93 14 11  
48 97 84 34 48 11 76 0  
2499055071 11 37 18 16  
34 73 93 39 0 29 22 76 18  
22 97 97 37 98 38 2575  
5 36 1434 0 76 13 84 18  
79 69 2347 94 18 22 19  
19 14 78 2316 97 48 94  
36 34 37 14 1871 71 73  
18 22 97 46 39 37 46  
88 48 71 19 34 37 76 16 37  
19 0 98 46 18 13 13 48 39  
93 0 34 94 20 97 14 77 76

37 14 38 69 2610 555  
48 2336 0 55 64 0 16  
37 71 73 39 0 16 44 48 16  
39 14 19 14 18 810 34 31  
22 18 16 73 34 48 79 71...

Liczby zapełniały dwanaście stron, tworząc w sumie dwadzieścia cztery kolumny. Był to zaszyfrowany list, na pierwszy rzut oka zupełnie dla mnie niezrozumiały.

Okazało się jednak, że autor listu użył tego samego kodu szyfrowego, który w tamtych latach stosował watykański sekretarz stanu. Kiedy porównałem kolumny z innymi rozszyfrowanymi już listami, zdołałem odtworzyć pierwsze zdanie:

WIERNYPODDANYSTOLICYAPOSTOLSKIEJZACNYSZLACHCICAWI  
NIOŃSKIPOKAZAŁMILISTKTÓRYNAPISAŁDONIEGOPODDANYKSIĘCI  
AORANII...

Zrekonstruowanie całego tekstu zajęło mi dwa dni. Dla kilku liczb nie znalazłem ich słownych odpowiedników. Na szczęście nie miało to znaczenia dla zrozumienia treści listu. Jego autor, monsinior Cenci, wicelegat papieski w Awinionie, pisał do Rzymu o dziwnych pertraktacjach:

„Wierny poddany Stolicy Apostolskiej, zacny szlachcic awinioński, pokazał mi list, który napisał do niego poddany księcia Oranii. Jak wynika z listu, mieszkańcy tego księstwa pragną poddać się Stolicy Apostolskiej...

Przekazuję słowo w słowo to, co usłyszałem od 2657. Wszystko wskazuje na to, że Orańczycy wyrażą zgodę.

Z racji mojego urzędu zobowiązany jestem informować o każdym szczególe związanym z tą sprawą. Załączam kopię wspomnianego listu, który pan Beaucastel, szlachcic z Courthezon, wysłał do pana Salvadora, audytora Świętej Roty Awiniońskiej..."

A oto co się stało: pan Beaucastel, szlachcic z miasteczka Courthezon, poddany księcia Orańskiego, nawiązał kontakt najpierw z księdzem z Awinionu, audytorem Świętej Roty Paolem de Salvador, następnie z wicelegatem Cencim. Beaucastel powiadomił ich o pewnej zaskakującej propozycji: księstwo Oranii chciało poddać się papieżowi. Nie rozumia-



łem powodu, dla którego poddani Wilhelma Orańskiego pragnęli przyjąć zwierzchnictwo papieża. Nie wiedziałem też, skąd mieli pewność, że Wilhelm zgodzi się na to.

Wśród korespondencji między Rzymem i Awinionem znalazłem kilka innych listów Cencięgo do watykańskiego sekretariatu stanu, a także pierwszy list Beaucastela do Salvadora. Z wyjątkiem pierwszego listu, który musiałem odczytać sam, do pozostałych była dołączona wersja rozszyfrowana. Wszystko wskazywało na to, że ze względu na jej wagę ktoś usunął rozkodowaną wersję... Ponadto list ten znajdował się osobno, poza plikiem z zaszyfrowaną korespondencją.

Pomimo trudności zdołałem odtworzyć niezwykley epizod, o którym nie wspominał dotąd żaden historyk.

Oranżyści pragnęli przejść pod zwierzchnictwo Watykanu z powodu ogromnych długów zaciągniętych przez Wilhelma Orańskiego u Innocentego XI. Poddani księcia, którzy już niejedną raz musieli zwracać długi papieżowi, pomyśleli, że rozwiążą swoje problemy, przyłączając się do Państwa Kościelnego. „Panuje powszechne przekonanie<sup>^</sup> - pisał monsignior Cenci - „że książę Orański winien był poprzedniemu papieżowi ogromne sumy pieniędzy, których spłata mogłaby osłabić państwo o tak niskim dochodzie”.

Z tego właśnie powodu wiciu mieszkańców Oranii protestowało, a Saint Clement, były skarbnik księstwa, mówił: „Daliśmy już wystarczająco dużo pieniędzy Kościołowi!”

W Rzymie zdecydowanie odrzucono propozycję Beaucastela. Sekretarz stanu kardynał Rubini i krewny nowego papieża, kardynał Ottoboni, polecili Cenciemu, aby odrzucił kłopotliwą propozycję. I słusznie, gdyż Aleksander VIII nic nie wiedział o długach księcia Wilhelma. „To niemożliwe” - pisał kardynał Rubini do Cencięgo - „aby papież Odescalchi pożyczal pieniądze heretyckiemu księciu...”

Byłem przygnębiony. Listy znalezione w tajnym archiwum w Watykanie potwierdzały to, o czym Dulcibeni mówił posługaczowi na temat Wilhelma i jego długów zaciągniętych u Innocentego XI. Co więcej, gdyby książę Oranii nie zapłacił, doszłoby do zajęcia jego dóbr osobistych. Poddani Wilhelma chcieli dobrowolnie poddać się papieżowi, przekonani, że nie udźwigną ciężaru spłaty długu.

Nie byłem zadowolony z wyników moich badań, ponieważ dotąd nie znalazłem potwierdzenia opinii mieszkańców Oranii. Musiałem więc dowiedzieć się czegoś więcej o samym Wilhelmie, a przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie, skąd czerpał pieniądze na wyprawy wojenne i kto sfinansował wyprawę na Anglię.

W pracach na temat *glorious revolution*, jak dziś zwykle się nazywać zamach stanu, w wyniku którego książę Oranii zdobył tron Anglii, pojawiają się niezmiennie te same frazesy: Wilhelm był dobry, silny, Wilhelm był bezinteresownym idealistą, który wcale nie chciał zostać królem!

Kiedy czyta się prace niektórych historyków, można wysnuć wniosek, że dzielny Wilhelm żył powietrzem. Ktoś przecież dawał Wilhelmowi pieniądze na walkę z oddziałami Ludwika XIV. Ktoś musiał przecież zapewnić mu środki na żywność, żołnierzy najemnych (którzy w tamtych czasach stanowili większość wojsk), armaty i kilku generałów godnych tej nazwy.

Wszyscy władcy europejscy prowadzący wojny zawsze poszukiwali źródeł finansowania. Książę Oranii miał jednak pewną przewagę. W XVII wieku w Amsterdamie krążyły ogromne sumy pieniędzy, powstawały też banki należące do Żydów. Stolica Zjednoczonych Prowincji Holandii była najbogatszym rynkiem finansowym w Europie, dokładnie tak, jak opowiadała posługaczowi z „Donzella” Clordia oraz inni goście gospody.

W jednej z książek z dziedziny historii ekonomii wyczytałem, że w czasach Wilhelma Orańskiego większość spekulantów w Amsterdamie stanowili Włosi. W mieście roiło się od ludzi noszących nazwiska Tensini, Verrazzano, Balbi, Quingetti, a także Burlamacchi i Calandrini, obecni także w Antwerpii (niemal wszyscy występują w opowieściach Clordii i Cristofana). Najczęściej pochodzili oni z Genui, Florencji i Wenecji, byli kupcami, bankierami, przedstawicielami księstw i republik włoskich. Najbardziej przedsiębiorczy dostali się do kręgów arystokratycznych Amsterdamu, inni parali się lukratywnym, choć niebezpiecznym handlem niewolnikami, jak Francesco Feroni.

Bolończycy Bartolotti, początkowo trudniący się wyrobem piwa, później handlem, na koniec bankierstwem, wżenili się w ród holenderski i przeszli na protestantyzm. W ciągu kilkudziesięciu lat tak się wzbogacili, że mogli finansować dynastię orańską i pożyczać pieniądze dziadkowi Wilhelma, a później jemu samemu. Pożyczki były niekiedy udzielane pod hipotekę posiadłości w Holandii i w Niemczech.

Zatem pieniądze za ziemię. Jak wynikało ze słów Dulcibeniego, dziw-

nym zbiegiem okoliczności podobny pakt z dynastią orańską zawarli Odescalchi.

Zdobywszy informacje o włoskich kupcach i wierzycielach domu orańskiego, postanowiłem zajrzeć do źródeł związanych z rodem Odescalchich.

Spędziłem wiele miesięcy w pałacowym archiwum Odescalchich i Państwowym Archiwum w Rzymie. Razem z młodym asystentem, zziębnięci, całymi dniami przeglądaliśmy zakurzone księgi. W poszukiwaniu wzmianki o Wilhelmie Orańskim przeczytaliśmy wszystkie dokumenty Innocentego XI: listy, kontrakty, rozporządzenia, sprawozdania, memoriały, dzienniki, księgi rachunkowe. Wszystko na próżno.

Po kilku miesiącach kwerendy miałem wrażenie, że utkwilem w martwym punkcie. Zastanawiałem się, czy nie zrezygnować z dalszych poszukiwań. Przypomniałem sobie jednak słowa Dulcibeniego, który powiedział, że pieniądze dla Holendrów nadchodziły z Wenecji, gdzie znajdowała się filia rodzinnego przedsiębiorstwa Odescalchich. Musiałem zatem skupić uwagę na tym fakcie.

Z testamentu Carla Odescalchiego, starszego brata Benedetta, dowiedziałem się, że dobra rodowe były zawsze *communi et indivisi*, czyli należały do obydwu braci. W świetle dokumentów papież był biedny, dopiero wzięwszy pod uwagę rachunki brata, można było stwierdzić, co rzeczywiście posiadał Innocenty XI.

Carlo Odescalchi, odpowiedzialny za stan majątkowy rodziny, zarządzał posiadłościami Odescalchich w Lombardii, z Mediolanu kierował filią w Wenecji, gdzie działali jego dwaj pełnomocnicy. Zacząłem szukać dwutomowego rejestru dóbr rodzinnych, o którym przeczytałem w testamencie Carla. Jeśli dołączona była do niego lista dłużników, natrafiłbym na imię Wilhelma Orańskiego. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że takiego rejestru nie było.

Zajrzałem więc do ksiąg rachunkowych Carla, wśród których znalazłem dwa ciężkie tomy w skórzanej oprawie, prowadzone przez brata błogosławionego Innocentego, a dziś przechowywane w rzymskim Archiwum Państwowym. Opisane w nich były transakcje opiewające na wiele milionów skudów. Niewielka część operacji dotyczyła transakcji handlowych, wpływów z cła wwozowego, czynszów. Po nich następowało to, co mnie najbardziej interesowało, czyli setki operacji finansowych, dokonanych przez pełnomocników Carla w Wenecji, Cernezziego i Rezzonica, którzy otrzymywali odpowiednie prowizje. Poczulem, jak krew pulsuje

mi w skroniach, kiedy przeczytałem, że większość operacji skierowana była do Holandii.

Bez większych trudności odtworzyłem historię transakcji. W latach 1660-1671 Carlo Odescalchi zlecił dokonanie przelewów w różnych walutach z Wenecji do Holandii na kwotę 153 000 skudów. W chwili gdy Benedetto został wybrany na papieża, suma ta była niemal równa gigantycznemu rocznemu deficytowi Państwa Kościelnego (173 000 skudów).

W latach 1660-1669 Odescalchi wysłali 22 000 skudów Janowi Deutzowi, właścicielowi jednego z największych banków holenderskich. Deutzowie posiadali nie tylko ogromny majątek, ale jako spokrewnieni z holenderską klasą panującą zajmowali również najważniejsze stanowiska w rządzie. Szwagrem Jana Deutza był wielki Jan de Witt, nauczyciel i wychowawca młodego Wilhelma III. Jan Deutz junior, syn i współnik bankiera, był członkiem rady miejskiej Amsterdamu w latach 1692-1719. Córki i wnuczki Deutza poślubiły holenderskich burmistrzów, generałów, kupców i bankierów.

Między czerwcem a grudniem 1669 roku Odescalchi wysłali około 6000 skudów pewnej spółce, której udziałowcem był Guglielmo Bartolotti, bankier Wilhelma Orańskiego. Dowodziło to niezbiecie, że Odescalchi wysłali pieniądze Bartolottiemu, a on pożyczał je Wilhelmowi, zatem pieniądze przechodziły z kasy przyszłego papieża do domu orańskiego.

Drażąc dalej, dowiedziałem się, że od listopada 1660 roku do października roku 1665 weneccy pełnomocnicy Odescalchich wysłali kolejnych 22 000 skudów niejakiemu Jeanowi Neufville'owi, który należał do bliskiego otoczenia Wilhelma. Córka Neufville'a poślubiła Hioba de Wildta, sekretarza admiralicji Amsterdamu, a następnie, z woli Wilhelma Orańskiego, naczelnego admirała. De Wildtowie od dawna związani byli z domem orańskim. Książę Maurycy Orański mianował Gillisa de Wildta, dziadka Hioba, członkiem rady miejskiej Haarlemu. Hiob de Wildt zebrał środki finansowe na inwazję w Anglii w 1688 roku, a kiedy Wilhelm zasiadł na tronie angielskim, pełnił funkcję jego osobistego przedstawiciela w Holandii.

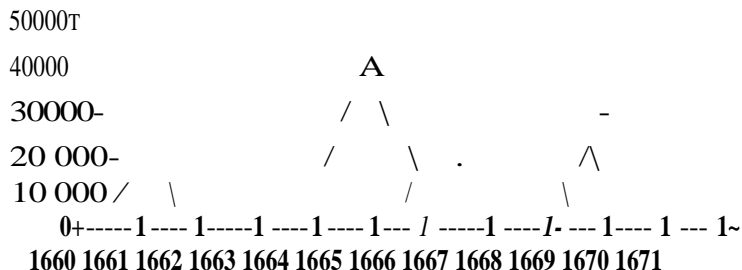
W październiku 1665 roku pełnomocnicy Odescalchich wysłali niewielką kwotę spółce Daniela i Jana Baptysty Hohepiedów. Pierwszy z nich był członkiem rady miejskiej Amsterdamu oraz dyrektorem do spraw handlu ze Wschodem, ważnym partnerem protestanckiej Holandii w sprawach finansowych.

tśi Dulcibeni nie kłamał zatem, kiedy opowiadał posługaczowi o Holendrach potajemnie finansowanych przez Odescalchich. Prawdą było też to, że dla zatarcia śladów pieniądze przeznaczone dla domu orańskiego wysyłali weneccy pełnomocnicy Odescalchich Cernezzi i Rezzonico. Carlo Odescalchi odnotowywał w księgach rachunkowych, że dana operacja miała być wykonana przez Cernezziego i Rezzonica, choć pieniądze należały do niego, a więc i do brata.

Odnalazłem też notatki o pożyczkach udzielonych w latach 1661-1671 Francescowi Feroniemu, opiewających na kwotę 24 000 skudów. Pobłażliwość Odescalchich w stosunku do kapryśków Feroniego, a zwłaszcza jego apetytu na córkę Dulcibeniego, świadczy o tym, że te pożyczki musiały przynieść duże zyski.

Odescalchi pożyczali pieniądze także genueńczykom Grillowi i Lomelliniemu, przyjaciółom i wierzycielom Feroniego, zajmującym się handlem niewolnikami.

Sprawdziłem, ile tysięcy skudów rocznie Odescalchi wysyłali do Holandii, i sporządziłem taki oto wykres:



Pieniądze przeznaczone były z pewnością na prowadzenie wojen, o czym świadczą daty. Na przykład w roku 1665, kiedy przekazy osiągnęły zawrotną kwotę 43 964 skudów, Holandia rozpoczęła wojnę z Anglią.

Gdybym mógł porównać księgi rachunkowe Carla Odescalchiego z jego korespondencją handlową, znacznie uprościłoby mi to badania, ale listy z lat 1650-1680, w których mógłbym znaleźć nazwiska holenderskich dłużników, zaginęły. Nie znalazłem ich ani w Państwowym Archiwum w Rzymie, ani w pałacowym archiwum Odescalchich, jedynych miejscach, gdzie przechowywane są dokumenty rodu.

Okazało się, że zaginęły nie tylko listy. Ludwik XIV opłacał szpie-

ga mieszkającego w Rzymie. Był nim kardynał Alderano Cybo, bliski współpracownik Innocentego XI. Cybo przekazał Francuzom bardzo cenną informację, że watykański sekretarz stanu Lorenzo Casoni utrzymywał tajne kontakty z księciem Oranii.

Niezależnie od tego, czy ta wiadomość była prawdziwa, w ostatnich latach XVIII wieku obfita korespondencja Casoniego, przechowywana w Watykanie, przypadła bez śladu.

Prawdziwe okazały się też pewne smutne, kłopotliwe szczegóły opowieści. Początkowo myślałem, że to niemożliwe, by Innocenty XI i jego rodzina traktowali Cloridię jak swoją własność, odstępując ją Feroniemu jak zwyczajni handlarze niewolników.

Po przeczytaniu kilku prac opatrzonych odnośnikami do materiałów źródłowych, musiałem zmienić zdanie. Rodzina Odescalchich, podobnie jak wiele patrycjuszowskich rodów, posiadała niewolników. Livio Odescalchi, bratanek papieża, był właścicielem piętnastoletniego Alego, urodzonego w Smirnie. Błogosławiony Innocenty XI miał na własność Selima, dziewięcioletniego Murzynka. Ale na tym nie koniec.

W 1887 roku emerytowany archiwista Giuseppe Bertolotti opublikował na łamach specjalistycznego pisma „Rivista di disciplina carceraria” szczegółowe studium na temat niewolnictwa w Państwie Kościelnym, kreśląc zaskakujący portret błogosławionego Innocentego, niespotykany w żadnej biografii papieża.

Do epoki baroku wszyscy papieże mieli niewolników, kupionych lub przejętych jako wojenny łup, których zatrudniali jako wioślarzy na galejach albo służących. Jak zauważył Bertolotti, z odrazą odnoszący się do „kontraktów handlarzy niewolników”, własnoręcznie podpisywanych przez papieży, Innocenty XI okazał się w tej materii najbardziej bezwzględny.

Po latach nieludzkiego wyzysku niewolnicy, którzy nie nadawali się już do pracy, domagali się wolności. W zamian za wyzwolenie papież Odescalchi żądał od nich zaoszczędzonych pieniędzy. Saleem Ali z Aleksandrii, chory na oczy i uznany przez lekarza za niezdolnego do pracy, chcąc uwolnić się z łańcuchów na papieskiej galerze, musiał zapłacić za wolność 200 skudów. Ali Mustafa z Konstantynopola, kupiony na Malcie za 50 skudów, cierpiący na „boleści i rwę kuluszową”, wpłacił do skarbcza Watykanu 300 skudów. Mamut Abdi z Toccado, lat 60, z czego dwadzie-

ścia dwa lata spędził w niewoli, zapłacił 100 skudów. Sześćdziesięcioletni schorowany Mamut Amurat znad Morza Czarnego wykupił się za 80 skudów.

Ten, kto nie miał pieniędzy, był niewolnikiem do śmierci. Niezdolnych do pracy zamykano w więzieniu. Do więziennych lekarzy trafiali więc ludzie wyniszczeni pracą, niedostatkiem, pokryci wrzodami i bliznami.

Byłem tak zaskoczony tym, co przeczytałem, że postanowiłem przejrzeć materiały źródłowe Bertolottiego, które on określił jako „łatwo dostępne”. Jak się okazało, one również zaginęły.

Dokumenty powinny znajdować się w rzymskim Archiwum Państwowym, wśród *Acta Diversorum* szambelana i skarbnika kamery apostołskiej, z roku 1678. Tomy obejmują dokumenty do 1677 roku, a następnie od roku 1679. Brakuje więc rocznika 1678.

Jeśli chodzi o skarbnika, to jedyny tom akt różnych obejmuje lata 1676-1683. Również tutaj nie było śladu rocznika 1678.

*Belua insatiabilis*, nienasycona bestia - czyż nie tak nazwano Innocentego XI w proroctwie Malachiasza?

Po miesiącach spędzonych wśród zakurzonych siedemnastowiecznych rękopisów wzięłem do ręki wydany drukiem *Epistolario Innocenziano*, zawierający sto trzydzieści sześć listów, które w ciągu dwudziestu lat Benedetto Odescalchi napisał do senatora Mediolanu i swojego krewnego, Antonia Marii Erba. Redaktor wydania, Piętro Gini z Como, w ferworze pracy nie zwrócił uwagi na to, co podał do druku.

Zbiór obejmuje prywatne listy papieża, w których jawi się on jako człowiek despotyczny i żądny pieniędzy. Jest w nich mowa o księgach katastralnych, ziemiach, spadkach, zastawach, odszkodowaniach, kwotach do wypłacenia, konfiskatach majątku dłużników. W każdym zdaniu, wersie, notatce z uporem powraca temat pieniądza, a tylko niewielkie fragmenty zawierają informacje o sporach rodzinnych i zdrowiu krewnych.

W *Epistolario Innocenziano* przeważają rady na zdobycie pieniędzy i wyegzekwowanie zwrotu długów. W jednym z listów z września 1680 roku papież stwierdza, że lepiej unikać sądów, ale jeśli chce się odzyskać pieniądze, należy jak najszybciej wytoczyć sprawę, na ugodę jest zawsze czas.

Krewni papieża byli zaniepokojeni jego żądzą pieniędzy. W odręcznej notatce sporządzonej przez bratanka Livia w 1676 roku czytamy: „Trzeba znaleźć osobę, która zajmie się korespondencją dotyczącą interesów rodzinnych, bo papież, chcąc wszystko kontrolować, może to przyplacić utratą zdrowia”.

Obsesyjna myśl o pieniądzach wyniszczała papieża.

Drogą Alessio, teraz wiem już wszystko. Opowieść posługacza z „Donzella” okazała się prawdziwa, podobnie jak fakty, które skłoniły Pompea Dulcibeniego do próby zabójstwa Innocentego XI.

Błogosławiony Innocenty był współnikiem protestanckich heretyków, wrogich katolikom. Pożyczył pieniądze Wilhelmowi Orańskiemu, umożliwiając mu zdobycie tronu Anglii.

Papież Odescalchi finansował też handel niewolnikami, sam posiadał niewolników i okrutnie traktował starych i umierających służących. Był czAo-wiekim ba-fdzo skąpym, niezdolnym wznreść s,vę poriad troski - mate-

rialne, opętany myślą o zysku i pieniądzech.

Postać i czyny Innocentego XI sławiono zatem niesłusznie, podając dowody fałszywe, błędne lub częściowe. Wiele z nich zatajono, jak na przykład rejestr dołączony do testamentu Carla Odescalchiego, listy i dokumentację handlową z archiwum Odescalchich z lat 1650-1680, korespondencję sekretarza stanu Casoniego, akta własnoręcznie podpisane przez papieża, zacytowane przez Bertolottiego, jak również inne pisma, które zaginęły.

Zatriumfowało zatem kłamstwo, a człowiek finansujący heretyków został okrzyknięty zbawcą chrześcijaństwa. Zachłanny kupiec stał się mądrym administratorem, a uparty polityk - wybitnym mężem stanu. Mściwość została nazwana dumą, zachłanność skromnością, ignorancja mądrością, zło przyjęło pozory dobra, a dobro, przez wszystkich zapomniane, zmieniło się w proch, dym, cień, nicość.

Teraz już rozumiem dedykację wybraną przez moich przyjaciół: „Pokonany”. Pokonany był Fouquet, Colbertowi przypadła w udziale sława, a jemu hańba. Pokonany był Pompeo Dulcibeni, który domagał się sprawiedliwości, ale jego plan nie powiódł siC- Pokonany był Atto Melani, zmuszony przez Króla Słońce do zamordowania swojego przyjaciela Fouqueta. Pomimo wielu wysiłków opat nie zdołał wydobyć od Dulcibe-



niego jego tajemnicy. Pokonanym był także posługacz, który wobec ogromu zła stracił wiarę i niewinność, niedoszły kronikarz poświęcił się ciężkiej pracy w polu. Pokonany został też jego pamiętnik, który, choć spisany z dużym trudem i dokładnością, przeleżał w zapomnieniu przez całe stulecia.

Wysiłki tych wszystkich osób okazały się nadaremne wobec zła i niesprawiedliwości, wpisanych w losy świata. Ich działania były zapewne ważne dla nich samych, służyły poznaniu i zrozumieniu tego, czego przez długi czas nikt inny nie miał sposobności poznać. Być może były przede wszystkim powodem cierpienia.

Tę książkę można zatem nazwać powieścią o daremności ludzkich działań.

Mam nadzieję, drogi Alessio, że wybaczysz mi ten przyływ szczerości. Uczyniłem wszystko, co mogłem. Teraz kolej na historyków, którzy odnajdą zapewne brakujące dokumenty i dokładnie sprawdzą źródła, okoliczności, szczegóły. Zanim to jednak nastąpi, Jego Świątobliwość oceni, czy pracę moich przyjaciół można opublikować, czy należy utrzymać ją w tajemnicy. Skutki jej wydania będą z pewnością różnorodne i nie będą dotyczyć wyłącznie Kościoła Rzymskiego. Jak to możliwe, że Brytyjczyki 12 lipca każdego roku defilują zuchwale ulicami Londynu i Belfastu, świętując rocznicę zwycięstwa pod Boyne, gdzie Wilhelm Orański ostatecznie rozgromił katolików? Jakiego znaczenia będą miały przejawy protestanckiego kstremizmu kiedy dowiedzą się, że zawdzięcza swoje życie papieżowi?

Jeśli dawne przepowiednie nie kłamią, Ojciec Święty podejmie właściwą decyzję. Zgodnie z prorocstwem św. Malachiasza, przypomnianym przez ojca Robledę, nasz ukochany i sędziwy papież będzie ostatnim, najświętszym z papieży - *De Gloria Olivae*.

Listę papieży, której autorstwo przypisuje się Malachiaszowi, przed laty uznano za fałszywą i sporządzoną nie w średniowieczu, lecz w wieku XVI. Żaden uczony nie potrafił jednak wyjaśnić, dlaczego imiona wszystkich papieży, włącznie ze współczesnymi, zgadzają się.

Ten wykaz mówi, że nasz czas dobiegł końca. Wszystkich 111 papieży wspomnianych w prorocztwie przekroczyło już Święty Próg, a wśród nich *Fides intrepida* (Pius XI), *Pastor angelicus* (Pius XII), *Pastor et nauta*

(Jan XXIII), *Flosflorum* (Paweł VI), *De Medietate Lunae* (Jan Paweł I), *De labore solis* (Jan Paweł II), na koniec *Gloria Olivae*. Ojciec Święty jest, być może, tym papieżem, który przygotowuje powrót Piotra na Ziemię. Nastąpi wtedy dzień sądu i naprawione zostaną wszelkie krzywdy.

Clordia wyznała posługaczowi, że przybyła do Rzymu, idąc za wskazówką zawartą w liczbach i w kartach tarota. Karta oznaczająca Arkanum Sądu zapowiadała „zadośćuczynienie za doznane krzywdy” i „sprawiedliwy sąd potomnych”. Jeśli proroctwo Malachiasza jest prawdziwe, nadszedł czas, w którym to nastąpi.

Wiele już razy historia była fałszowana, okaleczana, znieważana. Jeśli teraz nic się nie uczyni, nie powie całej prawdy, jeśli nie zostanie opublikowana praca moich przyjaciół, możliwe, że znikną lub zaginą kolejne dowody, jak na przykład listy Beaucastela i monsiniora Cenciego czy księgi rachunkowe Carla Odescalchiego.

Wiem, drogi Alessio, że jesteś osobą niezwykle sumienną. Właśnie dlatego żywię nadzieję, że niezwłocznie przekażesz te akta Ojcu Świętemu, aby mógł się z nimi zapoznać i ocenić, czy można opatrzyć je formułą *imprimatur*\*.

\* *Imprimatur* - z łac: niech będzie odbite. Fopnuła drujcpwana ną początku lub na końcu dzieła o treści religijnej, oznaczająca zezwolenie władzy i Cenzury ko&ielnej na jego publikację (przyp. red.).

### *Donzello*

Gospoda „Donzello” rzeczywiście istniała. Zlokalizowałem ją na podstawie dokumentów *Stati animarum* (spisu, który proboszcze Rzymu sporządzali każdego roku na Wielkanoc) kościoła parafialnego Santa Maria in Posterula, wznoszącego się niedaleko gospody przy placu o tej samej nazwie. W XIX wieku kościół wyburzono pod budowę wałów przeciwpowodziowych wzdłuż Tybru, a akta zostały przeniesione do archiwum wikariatu w Rzymie.

Do gospody, mieszczącej się w szesnastowiecznej kamienicy przy via delForso, pod dzisiejszymi numerami 87 i 88, wchodziło się przez piękną boniowaną bramę. Obok niej było wejście w kształcie ostrołuku. W 1683 roku prowadziło ono do jadalni, obecnie są w tym miejscu drzwi do sklepu antykwarycznego. Kilkadziesiąt lat temu budynek kupiła i przebudowała pewna rodzina, która do dziś w nim mieszka, odnajmując pozostałe lokale.

Jak dowiedziałem się z ksiąg katastralnych, po roku 1683 budynek przy via delForso przebudowano z zachowaniem jego pierwotnej struktury. W oknach na parterze i na pierwszym piętrze zlikwidowano kraty, poddasze przemieniono na taras. Okna wychodzące na zaułek zostały zamurowane. Wieżyczkę, w której mieszkała Clordia, rozbudowano i przekształcono w dodatkowe piętro. Na pozostałych piętrach zachowano ściany nośne, ściany działowe natomiast wielokrotnie przebudowywano. Nie zachował się schowek, w którym ukryte były schody do podziemi. Na jego miejscu wybudowano niedawno nowy pion mieszkalny.

Krótko mówiąc, gospoda przetrwała próbę czasu. Przy odrobinie wyobraźni pod zabytkowymi oknami można dziś usłyszeć zagniewany głos Pellegrina lub szepty ojca Robledy.

Ocalały także inne dokumenty, istotne dla moich badań. W kapitolinińskim archiwum historycznym znalazłem rejestr gości „Donzella” do roku 1682. Księga w pergaminowej okładce opatrzona jest tytułem napisanym niewprawną ręką: *Libro nel quale vi sta notato ciascheduno, che e venuto ad alloggiare alla Cammera Locanda delia sig.ra Luigia de Grandis Bonetti aWOrso (Księga, do której wpisany jest każdy, kto zechciał zamieszkać w gospodzie pani Lu-*

*igii de Grandis Bonetti przy via deWOrsó*). Wewnątrz rejestru widnieje notatka, która mówi o tym, że gospoda nosiła nazwę „Donzello”.

W wykazie gości gospody znaleźć można wiele zaskakujących informacji. Z opowieści posługacza wynika na przykład, że właścicielka „Donzella” pani Luigia zmarła w wyniku pobicia przez dwóch Cyganów.

Rejestr urywa się nagle na dacie 20 października 1682 roku. W tym samym czasie właścicielka gospody Luigia Bonetti rzeczywiście uległa poważnemu wypadkowi. Brakuje jednak dokładnych wiadomości na ten temat, wiadomo natomiast, że Bonetti zmarła 29 listopada (jak wynika z akt parafii Santa Maria in Posterula).

Ale to nie wszystko. Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy w rejestrze znalazłem znane mi nazwiska: dwudziestoosmioletniego Anglika Eduardusa Bedfordiego, dwudziestotrzyletniego Angela Brenozziego z Wenecji, Domenica Stilone Priasa, 30 lat, z Neapolu. Wszyscy trzej mężczyźni mieszkali w gospodzie w latach 1680-1681, byli zatem ludźmi z krwi i kości i zatrzymali się u pani Luigii przed przybyciem posługacza.

Szukałem też śladów posługacza, który niestety nie podał swojego imienia, oraz jego pryncypała Pellegrina de Grandis.

Posługacz twierdzi, że do pracy został przyjęty wiosną 1683 roku, kiedy Pellegrino przybył z Bolonii z żoną i dwiema córkami, zatrzymując się tymczasowo w pobliżu „Donzella”, w oczekiwaniu, aż „gospodę opuszczą przejezdni goście”.

Słowa posługacza odpowiadają prawdzie. W *Stali animarum* znalazłem informację o tym, że wiosną tego roku w „Donzelli” zatrzymało się kilku podróżnych. W jednym z sąsiednich domów mieszkał niejaki Pellegrino de Grandis z Bolonii, kucharz, z żoną Boną Candiotti i dwiema córkami. Rodzinnie towarzyszył dwudziestoletni służący Francesco. Czyżby to był karzeł z gospody?

Rok później w „Donzelli” zatrzymali się kolejni goście, co świadczy o tym, że gospoda zagrożona zawaleniem została odrestaurowana, ale Pellegrino nie był już jej właścicielem. Nie znalazłem żadnych innych informacji ani o nim, ani o młodym pomocniku.

### *Postacie i dokumenty*

Giovanni Tiracorda był jednym z najbardziej znanych lekarzy papieskich i często leczył Innocentego XI. Jak mogłem się przekonać (dzięki *Stati animarum* z kościoła Santa Maria in Posterula), rzeczywiście mieszkał przy via dell'Orso, obok gospody, razem z żoną Paradisą i trzema służącymi. Gruby, jowialny Tiracorda z opowieści posługacza dokładnie odpowiada karykaturze wykonanej przez Piera Leone Ghezzi, należącej obecnie do zbiorów Bi-

blioteki Watykańskiej. Również książki, meble, sprzęty i rozkład domu Tiracordy, opisane przez posługacza, zgadzają się w najdrobniejszych szczegółach z rejestrem majątku zamieszczonym w testamentie lekarza. Testament, który miałem okazję przeczytać, przechowywany jest w rzymskim Archiwum Państwowym.

Kapryśny charakter żony Tiracordy Paradisy także odpowiada prawdzie. W Archiwum Pio Sodalizio dei Piceni w Rzymie przechowywane są niektóre dokumenty Tiracordy, uratowane przed grabieżą przez żołnierzy napoleońskich. Znalazłem tam między innymi akta sądowe ze skargami wniesionymi przeciw Paradisie po śmierci męża. Jak wynika z ekspertyz, kobieta nie była w pełni władz umysłowych.

Informacje o osobach noszących nazwisko Dulcibeni znalazłem w miejscowości Fermo w regionie Marche. Niestety, wśród nich nie było nikogo o imieniu Pompeo, żyjącego w XVII wieku. Potwierdziła się natomiast wiadomość o istnieniu dużego koła jansenistów w Neapolu, zapewne tego, do którego należał Pompeo Dulcibeni z pamiętnika.

W Archiwum Medycejskim we Florencji mogłem sprawdzić historię Feroniego i Huygensa. Po powrocie z Holandii do Toskanii Francesco Feroni pragnął wydać córkę Caterinę za jednego z tokańskich arystokratów. Dziewczyna była jednak do szaleństwa zakochana we wspólniku ojca, Antoniu Huygensie z Kolonii. Z miłości dostała „atak febry, a później zachorowała na zimnicę”. Pomimo to Huygens nadal pracował dla Feroniego, kierując filią przedsiębiorstwa w Lworno. Wszystko wskazuje na to, że również ten wątek opowieści posługacza jest prawdziwy.

Co się tyczy lekarza Cristofana ze Sieny, znalazłem informacje tylko na temat jego ojca, znanego inspektora zdrowia Cristofana Ceffiniego, który rzeczywiście działał podczas epidemii dżumy w Prato w roku 1630. Był autorem *Libro della Sanita (Księgi zdrowia)* z zaleceniami dla lekarzy na wypadek wybuchu zarazy.

Luigi Rossi, mistrz opata Melanigo, przebywał między innymi w Rzymie i Paryżu, gdzie był przyjacielem i nauczycielem młodego Atta. Wszystkie wersy, które podśpiewuje Melani, pochodzą z utworów Rossiego. *Seigncur Luigi* (jak napisane jest we wszystkich oryginalnych partyturach rozsianych po bibliotekach całej Europy) nigdy nie publikował swoich kompozycji, cieszących się niezwykle popularnością wśród ówczesnych władców. Z tego właśnie powodu Luigi Rossi, mimo że uznawany za największego kompozytora siedemnastowiecznej Europy, został zapomniany już w początkach następnego stulecia.

W sprzedaży znalazłem tylko dwa komplety nagrań z pieśniami miłosnymi

Rossiego. Miałem jednak szczęście, gdyż były wśród nich te same utwory które śpiewał Atto.

Broszura astrologiczna Stilone Priasa, którą analizuje posługacz „Donzella”, została opublikowana w grudniu 1682 roku. Obecnie należy do zbiorów rzymskiej Biblioteki Casanatense. Byłem niezwykle zdumiony, że jej autor przewidział, iż odsiecz wiedeńska nastąpi we wrześniu 1683 roku. Przyznaję, że ta przepowiednia pozostaje dla mnie tajemnicą.

W Bibliotece Casanatense, dzięki uprzejmości i kompetencji jej pracowników, odnalazłem podręcznik astrologiczny, z którego Ugonio zasięgnął horoskop Barana, wygłoszony którejś nocy w podziemiach. Książkę wydano w 1625 roku w Lyonie, na rok przed narodzinami opata Melaniego. Jej tytuł brzmi: *Livre d'Arcandam Docteur et Astrologue traictant des predictions d'Astrologie*. W przypadku Atta Melaniego przepowiednie Arcandama sprawdziły się z niebywałą dokładnością. Astrolog przewidział, że Atto będzie żył osiemdziesiąt siedem lat, i tak istotnie było.

### *Atto Melani*

Wszystkie okoliczności życia Atta Melaniego zawarte w pamiętniku posługacza są autentyczne. Atto, śpiewak kastrat, dyplomata i szpieg, był najpierw w służbie Medyceuszy, później Mazzariniego i Króla Słońce, a także Fouqueta oraz bliżej niesprecyzowanej liczby kardynałów i rodów szlacheckich. Był rzeczywiście bardzo znanym śpiewakiem kastratem, a jego talent - jak sam opowiada posługaczowi - opiewali w swoich utworach Jean de La Fontaine i Francesco Redi. Nazwisko Atta cytowane jest w największych słownikach muzycznych, pojawia się też w korespondencji Mazzariniego i w pamiętnikach autorów francuskich.

Wizerunek Melaniego nakreślony przez posługacza także odpowiada prawdzie. Aby się o tym przekonać, wystarczy zobaczyć nagrobek, który spadkobiercy opata wzniesli na jego cześć w kaplicy Melanich w kościele San Domenico w Pistoii. Przyglądając się posągowi Atta, można dostrzec jego bystre oczy, drwiący uśmiech i zuchwały dołek w brodzie. Markiz de Grammont w swoich pamiętnikach nazwał Atta Melaniego człowiekiem „zabawnym i wcale niegłupim”. Wystarczy przeczytać liczne listy Atta, rozrzucone niczym *disiecta membra* po włoskich archiwach, aby przekonać się o jego dowcipie i poczuciu humoru.

W korespondencji odnaleźć można echa nauk udzielonych posługaczowi, począwszy od mądrego (choć dyskusyjnego) wywodu, który uzasadniał słuszność sojuszu chrześcijańskiego króla z Turkami.

Przewodnik po architektonicznych zabytkach Rzymu, który opat Melani pisał w swoim pokoju w „Donzelli”, również nie jest czystym wymysłem naratora. Przewodnik Atta jest bowiem niezwykle podobny do anonimowego rękopisu w języku francuskim, opublikowanego po raz pierwszy w 1996 roku przez niewielkie wydawnictwo rzymskie pod tytułem *Zwierciadło barokowego Rzymu*. Nieznany z nazwiska autor rękopisu był wykształconym, bogatym opatem, wytrawnym znawcą zagadnień politycznych, powiązany z dworem papieskim, a przy tym mizoginem i zwolennikiem Francji, zupełnie jak opat Melani. Przebywał w Rzymie w latach 1678-1681, podobnie jak Atto, który w 1679 roku spotkał tam Kirchera.

Tak jak przewodnik Atta, również *Zwierciadło barokowego Rzymu* pozostało nieukończone. Autor przerwał pracę w trakcie opisywania kościoła Sant'Atanasio dei Greci. Dziwnym zbiegiem okoliczności Atto Melani przerwał pisanie przewodnika dokładnie w tym samym miejscu, silnie przeżywając spotkanie z Kircherem. Czy był to czysty przypadek?

Jak wynika z opowieści posługacza, Atto znał Jeana Buvata, kopistę, który podrabiał w Paryżu korespondencję opata. Buvat istniał naprawdę, był kopistą Biblioteki Królewskiej, zdolnym kaligrafem, potrafił odczytywać stare pergaminy. Pracował także dla Atta, który wstawił się za nim do prefekta biblioteki (niestety nadaremnie), z prośbą o podwyższenie Buvatowi pensji (zob. *Memoire-journal de Jean Buvat*, w: *Revue des bibliothèques*, październik-grudzień 1900, str. 235-236).

Historia zgotowała Buvatowi lepszy los niż Melaniemu. Podczas gdy opat Melani odszedł w zapomnienie, Buvat odegrał znaczącą rolę w *Le chevalier d'Harmental* Aleksandra Dumasa ojca.

### *Atto i Fouquet*

Odnalazłem krótką biografię Atta (Archiwum Państwowe we Florencji, Zbiory Tordich, nr 350, str. 62), którą kilka lat po jego śmierci napisał krewny Luigi. Z życiorysu wynika, że Atto przyjaźnił się z Fouquetem, o czym można przeczytać w pamiętniku posługacza. Zdaniem autora nadintendent prowadził z Attem ożywioną korespondencję, ale żadnego listu nie znalazłem.

Jakie były zatem prawdziwe stosunki Atta i Fouqueta?

Kiedy aresztowano Fouqueta, Melani przebywał w Rzymie. Z pamiętnika posługacza wynika, że Atto uciekł przed gniewem wpływowego spadkobiercy Mazzariniego, księcia de La Meilleraye, który przyłapał opata na szpiegowaniu w swoim domu i poprosił króla o skazanie opata na wygnanie z kraju. Ale w Paryżu mówi się też o tym, że Atto był zamieszany w skandal Fouqueta.

Jesienią 1661 roku Atto napisał z Rzymu do Huguesa De Lionne, ministra Ludwika XIV, smutny list (który znalazłem w archiwum Ministerstwa Spraw Zewnętrznych w Paryżu, *Correspondence potitique*, Rzym 142, str. 227 i na-

stępne, oryginał francuski), wyróżniający się nieczytelnym pismem oraz błędami gramatycznymi i ortograficznymi, co świadczy dobitnie o niepokoju opata:

Rzym, ostatni dzień października 1661 roku

Powiedziałeś mi, Panie, że na moje troski nie ma rady i że Król jest nadal na mnie zły.

Te słowa zraniły mnie śmiertelnie. Wiedząc, że jestem niewinny, nie zadał Pan sobie trudu, żeby mnie pocieszyć, choć wie Pan doskonale, że uwielbiam Króla i przez cały czas wiernie mu służyłem.

Bóg mi świadkiem, że zawsze kochałem Króla i byłem do niego przywiązany bardziej niż do pana Fouqueta. Gdyby tak nie było, zasługiwałbym na karę, którą mi wymierzono, i nie miałbym prawa narzekać na swój los. Teraz jednak jestem najędźniejszym człowiekiem na świecie, albowiem nic nie jest w stanie mnie pocieszyć, ponieważ traktuję Króla nie jak wielkiego władcę, ale jak Osobę, którą darzyłem największą miłością. Moim jedynym marzeniem było służyć mu i być godnym jego łask. Moja miłość do Króla zawsze była bezinteresowna, w przeciwnym razie nie zatrzymałbym się we Francji na tak długo, jeszcze za życia kardynała Mazzariniego.

Nie czuję się na siłach, aby stawić czoło tak wielkiemu nieszczęściu. Nie śmiem narzekać, choć uważam, że Król wyrządza mi wielką krzywdę. Nie mogę też nic powiedzieć na swoją obronę, gdyż Król dowiedział się o mojej korespondencji z panem nadintendentem. Doniesiono mu, że wysyłam panu Fouquetowi brudnopisy listów skierowanych do Jego Wysokości i zupełnie słusznie uznał mnie za osobę fałszywą i przewrotną. Miał rację, potępiając moje zachowanie i słowa, które pisałem do pana Fouqueta.

Tak, mój drogi De Lionne, Król nie mylił się, mówiąc Panu, że się na mnie zawiódł, albowiem ręka, która zdradziła, zasługuje na to, aby ją obciąć. Moje serce jednak pozostaje niewinne, a moja dusza nigdy nie zbłądziła. Byłem zawsze wierny Królowi, jeśli zatem Król chce mnie skazać, niech skaze rękę, ale nie serce i duszę, albowiem ręka zbłądziła z nadmiaru miłości do Króla. Zbłądziła, ponieważ zbyt pragnąłem być blisko niego, a także dlatego, że cierpiałem niedostatek i samotność i sądziłem, że nadintendent był najlepszym, najwierniejszym ministrem i Króla, zawsze okazującym mi miłość.

Z tych właśnie powodów pisałem do pana Fouqueta. Moje listy nie zawierają ani jednego słowa, którego nie potrafiłbym uzasadnić. Jeśli więc Król zechce okazać mi tę łaskę, której nigdy nie odmówiono żadnemu więźniowi, proszę, aby przejrano wszystkie moje listy i aby mnie przesłuchano i osadzono w więzieniu, gdzie będę oczekiwał kary lub przebaczenia, o ile na nie zasługuję.



Listy do pana Fouqueta pochodzą z okresu, kiedy popadłem w niełaskę u Króla, i dowodzą, że wcześniej nie znałem nadintendenta.

Są też dowodem na to, że nie otrzymywałem od niego żadnej zapłaty.

Dzięki niektórym listom, jakie do mnie napisał, mogę dowieść całej prawdy, a także tego, że nadintendent obiecywał mi (nie wiem, czy naprawdę szczerze), że wstawi się za mną u Króla i zadba o moje interesy. Dołączam kopię ostatniego listu od Fouqueta, jedyne, jaki otrzymałem, odkąd jestem w Rzymie. Jeśli Pan sobie życzy, w każdej chwili mogę przesłać oryginał...

Atto wyznał więc, że pisząc listy do króla, po kryjomu wysyłał ich kopie nadintendentowi, przy czym chodziło tu o listy agenta Francji adresowane do władcy!

Melani twierdzi jednak, że nie czynił tego dla pieniędzy, a kontakt z Fouquetem nawiązał wtedy, gdy popadł w niełaskę u króla, czyli po tym, jak zirytował księcia La Meilleraye i poszukiwał schronienia (zgodnie z tym, co mówił Devize w pamiętniku posługacza).

Chcąc udowodnić, że mówi prawdę, Atto dołącza do listu kopię listu od Fouqueta. List napisany został 27 sierpnia 1661 roku, na kilka dni przed aresztowaniem nadintendenta, a więc jest jednym z ostatnich listów napisanych na wolności.

Fontainebleau, 27 sierpnia 1661 roku

Otrzymałem Pański list z pierwszego dnia tego miesiąca, razem z listem od kardynała N.

Nie mogłem odpowiedzieć Panu wcześniej, ponieważ byłem przeziębiony i przez dwa tygodnie leżałem w łóżku.

Pojutrze wyjeżdżam z Królem do Bretanii. Zadbam o to, by Włosi nie przechwycili naszych listów. Porozmawiam o tym z panem de Neaveaux, jak tylko dotrę do Nantes.

Przez cały czas dbam o Pańskie interesy i choć ostatnio choroba przeszkodziła mi widywać Króla, przekazałem mu, że nadal służy mu Pan z oddaniem.

Niniejszy list doręczy Panu opat Crecy, osoba godna zaufania. Dziękuję za przekazanie mi pozdrowień od kardynała N. i proszę, żeby zapewnił go Pan, iż zawsze jestem do jego usług. Proszę Pana również o pozdrowienie w moim imieniu pani N. oraz o zapewnienie jej, że zawsze gotów jestem jej służyć.

Przygotowania do wyjazdu zajmują mi trochę czasu, nie mogę więc dokładnie odpowiedzieć na wszystkie punkty Pańskiego listu. Proszę napisać mi, jaką część pensji powinien Pan jeszcze otrzymać. Zadbam o to, by ją Panu przekazano. Proszę przyjąć moje pozdrowienia i wyrazy największego szacunku.

Jeśli Fouquet rzeczywiście napisał te słowa do Atta (oryginał listu, niestety, zaginął), Melani nie powinien był pokazywać listu królowi, ponieważ powiązania kastrata z nadintendentem mogły wzbudzić podejrzenia władcy: przechwytywanie listów, nieznanymi kurierzy, kardynał N. (może chodziło o kardynała Rospigliosiego, przyjaciela Atta?), tajemnicza pani N. (być może Maria Mancini, krewna Mazzariniego i była kochanka króla, przebywająca w tym czasie w Rzymie).

Największe wątpliwości budziła jednak gra, jaką Atto i Fouquet prowadzili w stosunku do króla. Melani przekazywał własne listy do Ludwika XIV Fouquetowi, który z kolei rekomendował przyjaciela królowi. I jeszcze ta pensja, w sprawie której Fouquet obiecuje swoją pomoc.

Pomimo skandalu, jaki wybuchł wokół osoby nadintendenta, Fouquet nigdy nie zdradził przyjaciela. Podczas procesu odpowiadał wymijająco na pytania o ich znajomość, chroniąc Melaniego przed więzieniem. Świadczą o tym protokoły przesłuchań, o których Devize opowiadał gościom gospody.

### *Ostatnie lata życia Atta Melaniego*

W ostatnich latach życia opatowi Melaniemu musiała doskwierać samotność, gdyż zaproponował gościnę dwóm swoim krewnym o imionach Leopoldo i Domenico. Wydaje się zatem, że posługacz „Donzella” mówił prawdę, twierdząc, że opat pragnął zabrać go ze sobą do Paryża.

Przed śmiercią Atto polecił, by zapakować wszystkie jego dokumenty i ukryć w domu zaufanego przyjaciela. Obawiał się bowiem, że gdy umrze, dobiorą się do nich ciekawscy. Widocznie sądził po sobie, bo jak opowiada posługacz, sam kiedyś wkradł się do gabinetu mniej przezornego Colberta i szperał w jego dokumentach.

### *Dedykacja początkowa*

Rita i Francesco powiedzieli mi, że na pamiętnik posługacza natrafili wśród dokumentów Atta. Jak się tam znalazł? Aby to odkryć, należy ponownie przeczytać tajemniczą dedykację, czyli anonimowy list bez imienia nadawcy i odbiorcy, poprzedzający opowieść posługacza:

Panie, wysyłając Waszej Ekscelencji ten oto pamiętnik, który udało mi się  
w końcu odnaleźć, ośmielam się żywić nadzieję, że Wasza Ekscelencja potraktuje mój czyn jako wyraz najwyższego przywiązania i miłości. Możliwość okazania Waszej Ekscelencji tych uczuć jest dla mnie największym szczęściem.

Na ostatnich stronach pamiętnika posługacz, wiedziony wyrzutami sumienia, pisze do Atta, proponując mu ponownie swoją przyjaźń. W liście wspomina, że napisał pamiętnik i przedstawił szczegółowy opis wydarzeń w gospodarstwie.

Posługacz stwierdza, że Atto mu nie odpowiedział, obawia się więc o jego życie. Wiemy jednak, że Melani żył jeszcze długie lata, musiał zatem otrzymać ten list. Wyobrażam sobie, z jaką przyjemnością przeczytał te słowa. Później jednak przestraszył się i wysłał do Rzymu swojego człowieka, aby wykradł pamiętnik, zanim trafi on w niepowołane ręce. Strony dziennika zdradzały bowiem wiele sekretów i oskarżały go o najgorsze zbrodnie.

Anonimową dedykację napisał zatem wysłannik Atta po wypełnieniu swojego zadania. To wyjaśnia, dlaczego Rita i Francesco napisali mi, że pamiętnik posługacza znaleźli wśród dokumentów Melaniego.

Czy Atto i posługacz spotkali się jeszcze? Być może któregoś dnia opat Melani kazał swojemu lokajowi spakować podróżny kufer i wyruszył do Rzymu...

## Innocenty XI i Wilhelm Orański

### *Dokumenty*

#### *Historia, którą należałoby odczytać na nowo*

Odsiecz wiedeńska w 1683 roku, spory religijne między Francją a Stolicą Apostolską, zdobycie tronu Anglii przez Wilhelma Orańskiego w 1688 roku i upadek katolicyzmu w tym kraju, izolacja polityczna Ludwika XIV, sytuacja polityczna w Europie w drugiej połowie XVII wieku - wszystkie te wydarzenia należałoby odczytać w świetle dokumentów świadczących o potajemnych posunięciach papieża Odescalchiego i jego rodu. Aby tego dokonać, należy unieść zasłonę utkaną z hipokryzji i kłamstw.

Innocenty XI sfinansował wojnę z Turkami z funduszy Stolicy Apostolskiej. Z historycznego punktu widzenia nikt nie może temu zaprzeczyć. Ale jak wynika z ksiąg rachunkowych Carla Odescalchiego, prawdą jest także to, o czym pisał posługacz „Donzella” w roku 1699, a mianowicie: cesarzowi używał również prywatnych pożyczek ród Odescalchich. W zamian otrzymywali beczki rtęci, które odsprzedawali holenderskiemu bankierowi Janowi Deutzowi. 75% zysków trafiało do rąk Odescalchich, resztę otrzymywali Cernezzi i Rezzonico, dyskretnie kontrolujący całą operację z Wenecji. Chodziło więc o czyste interesy (zob. na ten temat: Archiwum Państwowe w Rzymie, Zbiory Odescalchich, XXII A 13, str. 265; XXIII A2, str. 52, 59, 105, 139, 168-169, 220, 234, 242; XXVII B6, nr 11; XXXIII A1, str. 194, 331).

Po śmierci Innocentego XI cesarz dał dowód swojej wdzięczności Odescalchim, pomagając Liviowi, bratankowi papieża, nabyć ziemie na Węgrzech po cenach komercyjnych. Operacja została jednak zablokowana, kamera cesarska uznała bowiem, że ceny zostały zbyt niskie (R. Gueze, *Livio Odescalchi e U ducato del Sirmio*, w: *Yenezia, Italia e Ungheria fra Arcadia e illuminismo*, pod redakcją B. Kopeczi i P. Sarkozy, Budapeszt 1982, str. 45-47). Cesarz sprzedał więc Liviowi za 336 000 florenów lenno Sirmio na Węgrzech. Czy była to korzystna transakcja? Chodziło o ziemie odebrane Turkom po zwycięstwie pod Wiedniem. Stolica cesarstwa została więc wyzwolona za pieniądze Stolicy Apostolskiej, a zysk z operacji trafił do rąk Odescalchich. Przypięczę-

towaniem transakcji było mianowanie Livia księciem Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

Powiązania cesarza z Odescałchimi nie uszły uwadze współczesnych historyków. Już w 1701 roku Francesco Valesio („Diario di Roma”, II 601) zauważył, że były pomocnik Livia Odescałchiego został „doradcą cesarza o szerokich uprawnieniach”.

Za pieniądze można kupić (prawie) wszystko. W końcowym fragmencie pamiętnika posługacz pisze o tym, że po śmierci papieża Livio Odescałchi nie oszczędził pieniędzy na zakup ziemi, pałaców i willi. Po śmierci króla Polski Jana III Sobieskiego, którego wojska przełamały oblężenie Wiednia, Livio wysłał do Warszawy olbrzymie kwoty, chcąc kupić tron polski (zob. np. Archiwum Państwowe w Rzymie, Zbiory Odescałchich, suplement 38, nr 1, 5, 9,13).

Jedynym wytłumaczeniem, że papież słał cesarzowi pieniądze nawet po odparciu Turków, było to, iż zyski miały trafić do rąk Odescałchich. Z tego samego powodu udzielił poparcia heretykowi Wilhelmowi Orańskiemu.

Papież kontynuował tę linię polityczną także w wyjątkowo trudnych momentach. Jak zauważył historyk Charles Gerin („Revue des questions historiques”, XX-1876, str. 428), kiedy Ludwik XIV i Jakub Stuart poprosili papieża o wstrzymanie finansowania Wiednia i wsparcie katolickich oddziałów Stuartów walczących w Irlandii z heretyckimi oddziałami Wilhelma Orańskiego, Innocenty XI odparł słowami, które dopiero dzisiaj można w pełni zrozumieć. Stwierdził mianowicie, że prowadzi w Wiedniu „ciągłą krucjatę”, w której, wzorem swoich poprzedników, „bierze osobisty udział”, dostarczając sojusznikom „galer, żołnierzy i pieniędzy” i broniąc nie tylko jednostki chrześcijańskiej Europy, ale też „własnych interesów świeckiego władcy i włoskiego księcia”.

### *Pożyczki Innocentego XI dla Wilhelma Orańskiego*

Atto Melani miał niestety rację, kiedy mówiąc o procesie Fouquet’a, stwierdził, że historię tworzą zwycięzcy. Ponieważ do dzisiaj zwyciężała historiografia oficjalna, nikt nie mógł (lub nie chciał) napisać prawdy o papieżu Innocentym XI.

Po raz pierwszy o pożyczkach papieża wspomniano w anonimowych broszurach, które Francuzi zaczęli rozprowadzać nazajutrz po wylądowaniu wojsk protestanckiego księcia w Anglii (zob. J. Orcibal, *Louis XIV contre Innocent XI*, Paryż 1949, str. 63-64 i 91-92). Z kolei z pamiętnika pani de Maintenon dowiadujemy się, że papież wysłał Wilhelmowi 200 000 dukatów na wyprawę do Anglii, ale autentyczność tego źródła jest wątpliwa. Należy dodać, że Francuzi celowo starali się oczernić papieża. Autorzy pamiętników rozpowszechniali podobne pogłoski, nie starając się ich udowodnić. ,

Do nieprzychylniej opinii o papieżu przyczynił się Pierre Bayle, autor słynnego *Dictionnaire historique et critique*, w którym przypomniał, że papież pochodzi z rodu bankierów i przytoczył treść paszkwilu, krążącego w Rzymie po wyborze kardynała Odescalchiego na papieża: *Invenerunt kominem in telonio sedentem*, wybrali na papieża lichwiarza siedzącego za stołem.

Tym razem nie była to plotka. Bayle'a, wybitnego uczonego i prekursora filozofii oświecenia (*Dictionnaire* został opublikowany w 1697 roku), nie można oskarżyć o stronniczość. Poza tym dobrze znał problematykę, o której pisał.

Żaden z historyków nie pokusił się o wyjaśnienie faktów i podjęcie wątku zainicjowanego przez tajne gazetki i Bayle'a. Opinię o Odescalchim ukształtowano na podstawie tajnych gazet i starego, zakurzonego słownika holenderskiego filozofa odstępcy (Bayle nawrócił się najpierw z kalwinizmu na katolicyzm, potem z katolicyzmu na kalwinizm, aż w końcu wyrzekł się wiary).

Tymczasem zatriumfowała hagiografia i Innocenty XI przeszedł do historii. Fakty wydawały się oczywiste: w 1683 roku Wiedeń został oswobodzony dzięki papieżowi, który zmobilizował katolickich władców i wysłał środki finansowe do Austrii i Polski. Innocenty XI został uznany za bohaterskiego papieża, który położył kres nepotyzmowi, uzdrowił finanse Kościoła, zabronił kobietom pokazywać się publicznie w sukniach bez rękawów, nie pozwolił urzędnikom karnawałowych szaleństw i pozamykał rzymskie teatry jako siedliska rozpusty...

Po śmierci Innocentego XI do Rzymu napłynęły setki listów z całej Europy, w których przedstawiciele rządzących dynastii domagali się jego beatyfikacji. Dzięki staraniom Livia Odescalchiego proces beatyfikacyjny rozpoczął się w 1714 roku. Przesłuchano świadków, zdobyto dokumenty, odtworzono życiorys papieża.

Proces napotkał jednak pewne trudności. Przypomniano sobie o francuskich broszurach i słowniku Bayle'a, jak również o złośliwych pismach i plotkach oczerniających imię Benedetta Odescalchiego. Podejrzewano, że we wszystko zamieszana była Francja, która niechętnym okiem przyglądała się uznaniu za błogosławionego swojego nieprzejednanego wroga. Proces beatyfikacyjny zwolnił tempo, zanosilo się na to, że zostanie wstrzymany.

Minęło wiele lat. O Innocentym XI zaczęło się mówić ponownie w 1771 roku, kiedy angielski historyk John Dalrymple opublikował *Memoirs of Great Britain and Ireland*. W swym dziele uczoney przedstawił hipotezę wyjaśniającą przyczyny opóźnienia procesu beatyfikacyjnego. Aby zrozumieć tezę Dalrymple'a, należy cofnąć się w czasie i przyjrzeć sytuacji politycznej w Europie w przeddzień zajęcia wybrzeży Anglii przez wojska Wilhelma Orańskiego.

W ostatnich miesiącach 1688 roku doszło do zaostrzenia sytuacji politycznej w Niemczech. Od pewnego czasu oczekiwano nominacji nowego arcybiskupa Kolonii, kandydata Francji, kardynała Fiirstenberga. Gdyby plan się

powiódł, Ludwik XIV zdobyłby wpływy w Europie środkowej, na co inni władcy nie mogli się oczywiście zgodzić. Innocenty XI, którego głos był decydujący, nie poparł kandydatury Fürstenberga. Tymczasem cała Europa z niepokojem obserwowała poczynania Wilhelma Orańskiego. Co zamierzał uczynić? Wystąpić zbrojnie przeciw Francuzom w sprawie urzędu kardynała Kolonii i wywołać konflikt w całej Europie? A może zająć Anglię?

Dalrymple wysunął tezę, że Wilhelm Orański przekonał papieża, że wystąpi przeciw Francuzom. Innocenty XI, który od dawna pragnął zaszkodzić Ludwikowi XIV, dał się zwieść obietnicy i pożyczył Wilhelmowi pieniądze na utrzymanie wojska. Księżę Oranii tymczasem przepłynął kanał La Manche, zdobył tron Anglii i wprowadził tam protestantyzm.

Dzięki pieniądзом Kościoła zatriumfowała herezja, a oszukany papież uzbroił protestanckiego księcia przeciw księciu katolickiemu.

Podobna hipoteza pojawiła się w anonimowych broszurach, które krążyły w czasach Innocentego XI i Ludwika XIV. Dalrymple przytoczył jednak niezbite dowody w postaci dwóch długich listów kardynała d'Estrees, nadzwyczajnego ambasadora Ludwika XIV w Rzymie, adresowanych do króla Francji i do ministra wojny Louvois.

Z listów wynikało, że bliscy współpracownicy Innocentego XI znali prawdziwy zamiar Wilhelma Orańskiego, jakim było zdobycie Anglii. W 1687 roku, czyli na rok przed zajęciem Anglii przez protestanckiego księcia, watykański sekretarz stanu Lorenzo Casoni był w kontakcie z jednym z holenderskich burmistrzów, tajnym wysłannikiem Wilhelma. Wśród służących Casoniego był jednak zdrajca, dzięki któremu przechwycono listy sekretarza stanu do cesarza Leopolda I. Dowiedziano się z nich, że papież przeznaczył duże sumy pieniędzy dla księcia Oranii i cesarza Leopolda I na wojnę z Francją, która miała wybuchnąć z powodu urzędu arcybiskupa Kolonii. Z listów Casoniego do cesarza wynikało, że celem Wilhelma nie była jednak wojna z Francją, ale zdobycie tronu Anglii, o czym doskonale wiedzieli ministrowie Innocentego XI.

Listy d'Estrees'go zdecydowanie zaszkodziły procesowi beatyfikacyjnemu. Nawet jeśli Innocenty XI naprawdę nie wiedział, że Wilhelm pragnie zwalczyć katolicyzm w Anglii, to jednak wspierał go finansowo, w dodatku zwrócił się przeciwko Arcychrześcijańskiemu Królowi.

W późniejszych latach historycy dokładnie zbadali listy opublikowane przez Dalrymple'a, szkodzące dobremu imieniu Benedetta Odescalchiego. Poza tym wysunęli wątpliwości doktrynalne, co dodatkowo utrudniło beatyfikację. Wyniesienie Innocentego XI na ołtarze stało się pod znakiem zapytania.

Upłynęło dużo czasu, zanim ktoś ponownie zajął się tą sprawą. W 1876 roku Charles Gerin opublikował artykuł, który całkowicie zmienił podejście do procesu beatyfikacji. Na łamach „Revue des Questions Historiques” Gerin wykazał, że listy d'Estrees'go opublikowane przez Dalrymple'a zostały sfa-

brykowane. Nieścistości, błędy, a zwłaszcza liczne anachronizmy pozbawiały je wszelkiej wiarygodności.

Poza tym Gerin udowodnił, że oryginały listów, które zdaniem Dalrymple'a miały znajdować się w archiwach Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu, są praktycznie nie do zdobycia. Jak zauważył francuski historyk, sam Dalrymple szczerze wyznał, że nigdy nie widział oryginałów i polegał na kopiach dostarczonych mu przez znajomego. Skutki artykułu Gerina, choć zawężone do środowiska historyków, były znaczne, albowiem bardzo wielu autorów (między innymi słynny Leopold von Ranke, wybitny historyk Kościoła) powoływało się na *Memoirs* Dalrymple'a, nie sprawdzając ich wiarygodności jako źródła.

Skoro źródła okazały się fałszywe, nieprawdziwe są też zawarte w nich fakty, a w świetle oskarżeń pochodzących z fałszywych dokumentów oskarżony staje się niewinny.

Do kwestii stosunków między Innocentym XI a Wilhelmem Orańskim, wydawało się definitywnie wyjaśnionej przez Gerina, w latach pierwszej wojny światowej powrócił niemiecki historyk Gustav Roloff. W artykule opublikowanym w 1914 roku na łamach „Preussische Jahrbücher” Roloff przytacza nowe dokumenty na temat papieża Innocentego i księcia Orańskiego. Z raportu dyplomaty z Brandenburgii Johanna von Górtza wynika, że w lipcu 1688 roku, na kilka miesięcy przed wyładowaniem wojsk Wilhelma Orańskiego u wybrzeży Anglii, Ludwik XIV poprosił potajemnie cesarza Leopolda I Austriackiego (katolika i tradycyjnego sojusznika Holendrów) o to, by nie interweniował, gdyby Francja zaatakowała Holandię. Ponieważ Leopold I wiedział, że książę Orański zamierza zająć Anglię, stanął wobec dramatycznego wyboru: wesprzeć katolicką Francję (znieawidzoną w całej Europie) czy heretycką Holandię.

Jak dowiadujemy się z raportu Górtza, wątpliwości cesarza rozwiął Innocenty XI. Papież powiadomił Leopolda, że nie popiera postępowania ani planów Ludwika XIV, ponieważ nie „wynikają one ze szczerego umiłowania religii katolickiej, ale z zamiaru zniszczenia całej Europy, a w konsekwencji także Anglii”.

Leopold, pozbywszy się obaw o charakterze religijnym, zawarł sojusz z Wilhelmem i poparł jego zamiar zdobycia Anglii. Ostateczna opinia Innocentego XI w tej sprawie dotarła do Wiednia, gdy Wilhelm przystąpił do realizacji swojego planu, o czym poinformował papieża jego przedstawiciel w Londynie, nuncjusz D'Adda. Jak zauważył Roloff, listu Innocentego XI adresowanego do Leopolda I nie znaleziono, należy zatem przypuszczać, że chodziło o krótką informację słowną, przekazaną przez watykańskiego nuncjusza w Wiedniu.

Roloff, którego nie zadowoliło to wyjaśnienie, podejrzewał, że w grę wchodziło jeszcze coś innego: „Gdyby Innocenty XI był papieżem renesansu, jego postawę można by wytłumaczyć jako polityczną opozycję wobec Francji, ale



w epoce wielkich wojen religijnych takie wyjaśnienie nie wysttttcJ»£. Postępowanie papieża musiało mieć zatem jakiś inny powód.

W 1926 roku niemiecki historyk Eberhard von Danckelman w artykule opublikowanym na łamach czasopisma „Quellen und Forschungen aus italie-nischen Archiven und Bibliotheken" podważył tezę Roloffa. Jego zdaniem Innocenty XI nie tylko wiedział o wyprawie Wilhelma Orańskiego, ale z niepokojem śledził rozwój wydarzeń w Anglii, o czym świadczą przytoczone przez historyka listy przedstawicieli Watykanu.

Danckelman wspomina też o tym, co najbardziej nas interesuje, a mianowicie, że w przeszłości wiele mówiło się o pożyczkach, które książę Orański zaciągnął u papieża. Były one tak wysokie, że Wilhelm zamierzał zrzec się księstwa Oranii na rzecz Innocentego XI. Danckelman precyzuje, że pożyczone pieniądze miały być przeznaczone na wyprawę do Anglii.

Również Saint-Simon w swoich *Memoires* wspomniął o tej hipotezie (którą Wolter uznał za nieprawdopodobną), jednak żaden z historyków współczesnych nie traktował poważnie poglądu, zgodnie z którym błogosławiony Innocenty udzielił Wilhelmowi Orańskiemu pożyczki na obalenie katolicyzmu w Anglii.

Roloff poprzestał na stwierdzeniu, że papież wiedział, iż książę Orański zamierza podbić Anglię, ale nie uczynił nic, żeby go powstrzymać. Niemiecki historyk nie wspomniął ani słowem o tym, jakoby Wilhelm był finansowany przez papieża. Tymczasem Danckelman nazwał po imieniu to „coś", co zgodnie z intuicją Roloffa wpływało na postawę papieża i skłaniało do popierania Wilhelma. Powodem były pieniądze.

Jak twierdzi Danckelman, hipoteza o finansowaniu wyprawy Wilhelma przez Innocentego XI opiera się na przesłance, że papież wiedział o rychłym wyładowaniu wojsk Wilhelma w Anglii (co udowodnił Roloff). Po objęciu tronu Anglii Wilhelm mógł spłacić zaciągnięte u papieża długi wraz z odsetkami.

Tymczasem Danckelman twierdzi, że papież o niczym nie wiedział. Nie oczekiwał od Wilhelma spłaty długów, ponieważ nic nie wiedział o wyprawie księcia Orańskiego na podbój Anglii. Dowodzi tego korespondencja, którą tuż przed wyładowaniem Wilhelma w Anglii prowadzili sekretarz stanu kardynał Alderano Cybo, nuncjusz wiedeński kardynał Francesco Buonvisi oraz nuncjusz w Londynie Ferdinando d'Adda. Z listów wynika, że papież był zaniepokojony manewrami wojskowymi księcia Orańskiego, ale nie pada w nich żadna aluzja do tajnych porozumień między Stolicą Apostolską i Wilhelmem.

Zdaniem Danckelmana, nawet gdyby papież udzielił pożyczki Wilhelmowi, pieniądze musiałyby siłą rzeczy przejść przez nuncjaturę w Londynie. Po dokładnym zbadaniu przelewów z Rzymu na rzecz nuncjatury w Londynie historyk stwierdził, że nie ma na nich śladu ewentualnej pożyczki udzielonej Wilhelmowi. Zbadane dokumenty „w pełni wyjaśniają tę kwestię". W efekcie

teza Roloffa została zbита i nikt nie może twierdzić, że papież pożyczył pieniądze księciu Orańskiemu, *quod erat demonstrandum*.

W 1956 roku nastąpiła beatyfikacja papieża Odescalchiego. Zdaniem niektórych historyków sprzyjała temu zimna wojna, Turcy bowiem stali się metaforą imperium sowieckiego, a ówczesny papież - kontynuatorem bohatera sprzed trzech wieków. Tak jak Innocenty XI uratował Zachód przed inwazją turecką, tak papież Pius XII uchronił go przed komunizmem.

Na odkrycie prawdy o papieżu należało poczekać. Z chwilą gdy przyjęła się oficjalna wersja wydarzeń, historycy powtarzali w nieskończoność to, co zostało już powiedziane, z obojętnością spoglądając na związek Wilhelma Orańskiego z największym papieżem XVII wieku.

Tymczasem mnożyły się monografie, eseje i prace magisterskie na temat depilacji w średniowieczu, życia codziennego głuchoniemych w *ancien régime* czy koncepcji świata wśród młynarzy z dolnej Galicji. Nikt jednak nie pokusił się o to, by rozwiązać wielki problem Historii, starannie zbadać dokumenty rodów Odescalchich i Beaucastelów w zakurzonych archiwach.

### *Papież najemnym żołnierzem*

Do tej pory nikt nie zadał sobie trudu, by powiedzieć prawdę o Innocentym XI. W rzymskiej Bibliotece Nazionale Vittorio Emanuele znalazłem ciekawą pracę hrabiego Giuseppe Della Torre Rezzonico z 1742 roku, zatytułowaną *De suppositiis militaribus stipendiis Benedicti Odescalchi*. Autor postawił sobie za cel obalenie pogłoski, zgodnie z którą papież w latach młodości miał walczyć jako żołnierz najemny w Holandii w szeregach armii hiszpańskiej i był nawet ranny w prawe ramię. Zdaniem Rezzonica młody Benedetto Odescalchi rzeczywiście był żołnierzem, ale oddziałów miasta Como.

Wielka szkoda, że autor pracy był krewnym owego Rezzonica, który reprezentował interesy Odescalchich w Wenecji i że ród Rezzonico był spowinowacony z rodziną Innocentego XI. Tą kwestią powinien zająć się historyk zupełnie niezwiązany z ówczesnymi wydarzeniami. Pewne fakty omówione w pracy Rezzonica przytoczone zostały także przez innych autorów. Pierre Bayle pisze na przykład, że młody Benedetto Odescalchi został ranny w prawe ramię, kiedy walczył jako żołnierz najemny w Hiszpanii. Dziwnym zbiegiem okoliczności z oficjalnych dokumentów medycznych wynika, że papież przez całe życie odczuwał bóle w prawej ręce.

Abstrahując jednak od tego szczegółu, uderza całkowity brak zainteresowania życiem papieża Odescalchiego. Kiedy wypożyczyłem pracę Rezzonica, znalazłem w niej wypełniony rewers innego czytelnika z podpisem: „Baron v. Danckelman, 16 kwietnia 1925”. Po nim nikt inny nie sięgnął po tę książkę.

## *Prawda i fałsz*

Atto Melani powiedział kiedyś posługaczowi, że nie zawsze sfalszowane dokumenty zawierają fałsz. Podobnie rzecz się ma z listami d'Estrees'go opublikowanymi przez Dalrymple'a, które choć są nieautentyczne, mówią prawdę. Z kolei inny list, tym razem autentyczny, opublikowany przez Gerina, napisany 16 listopada 1688 roku przez kardynała d'Estrees'go do Ludwika XIV, stanowi dowód na to, że hrabia Casoni utrzymywał kontakty z Wilhelmem Orańskim:

Kardynał Cybo [...] dowiedział się, że za pośrednictwem duchownego, który w ubiegłym roku przybył z Holandii, gdzie katolicy mieli uzyskać wolność wyznania, Casoni nawiązał kontakt z człowiekiem podległym księciu Orańskiemu. Człowiek ten rozmawiał z misjonarzem w przekonaniu, że książe Orański darzy papieża wielkim respektem i że gotów był wiele dla niego uczynić. Człowiek ten przekonany był też o tym, że ostatnimi czasy stosunki między papieżem i księciem umocniły się, a książe Orański majak najlepsze zamiary.

Okoliczność, o której opowiada d'Estrees, jest wiarygodna dlatego, że źródłem informacji był kardynał Cybo, czyli szpieg opłacany przez Ludwika XIV (Orcibal, *op. cit.*, str. 73, nr 337). Poirytowany król Francji tak odpowiedział d'Estrees'mu 9 grudnia:

Jeśli papież ma zamiar naprawić ze mną stosunki, powinien pozbyć się na zawsze Casoniego i zaniechać korespondowania z księciem Orańskim.

Nieautentyczne są też pamiętniki pani de Maintenon, w których jest mowa o pożyczkach udzielonych przez Innocentego XI Wilhelmowi Orańskiemu. Ale czyż nie mówią prawdy?

## *Misja Chamlais 'go*

Jak już mówiliśmy, rozgrywka między księciem Orańskim, Ludwikiem XIV i Innocentym XI toczyła się jesienią 1688 roku. Wilhelm trzymał Europę w niepewności, nie deklarując, czy zaatakuje Francuzów nad Renem z powodu wyboru arcybiskupa Kolonii, czy wyruszy na Anglię. Papież przyglądał się jego poczynaniom, udając, że nie wie, co się wydarzy. A Ludwik XIV?

Król Słońce, który nie był miłośnikiem pokoju za wszelką cenę, nie starał się przyspieszyć wydarzeń. Nicco wcześniej wysłał do Rzymu swojego agenta, pana de Chamlais'go (zob. *Recueil des instructions donnees aux ambas-*

*sadeurs...*, wyd. G. Hanotaux, Paryż 1888, XVII 7), na tajne spotkanie z papieżem. Misja była tak delikatna, że nie wiedzieli o niej nawet oficjalni przedstawiciele dyplomacji francuskiej i rzymskiej. Chamlais miał być przyjęty osobiście przez papieża, by porozmawiać z nim w imieniu jego zacieklego wroga Arcychrześcijańskiego Króla. Tematem rozmowy miało być osiągnięcie porozumienia w sprawie urzędu arcybiskupa Kolonii, powstrzymanie Wilhelma Orańskiego i uniknięcie wojny w Europie.

W Watykanie Chamlais'go przyjął Casoni, któremu wysłannik króla oświadczył, że chce rozmawiać z papieżem w cztery oczy. Casoni odesłał go jednak z kwitkiem, oświadczając, że w tak delikatnej sprawie Chamlais musi się porozumieć z kardynałem Cybem, pierwszym ministrem papieża. Chamlais przystał na propozycję, ale pod warunkiem, że nikt się nie dowie o jego rozmowie z Cybem.

Chamlais wrócił więc i przekazał Cybowi list Ludwika XIV do papieża. Dowiedział się, że ma przyjść za dwa dni po odpowiedź. Wysłannik Ludwika XIV przyszedł więc ponownie do Cyba, który poinformował go, że papież nie może go przyjąć i żeby o wszystkim opowiedział jemu jako przedstawicielowi Innocentego XI.

Innocenty XI doskonale wiedział, że rozkazy Ludwika XIV zabraniały Chamlais'mu rozmowy z kimkolwiek poza nim. Ludzie papieża przez kilka dni odsyłali z niczym królewskiego wysłannika, który na koniec wrócił do Francji, nie zdoławszy porozmawiać z Innocentym XI. Ludwik XIV był wytrącony z równowagi. Zatarg między Rzymem a Paryżem w kwestii arcybiskupa Kolonii nie został zażegnany, napięcie w Niemczech wzrosło, a oddziały Wilhelma Orańskiego szykowały się do wyprawy na Londyn.

Nie przyjąwszy Chamlais'go, papież nadal mógł udawać, że nic nie wie o tym, co grozi katolikom w Anglii. Po wylądowaniu wojsk księcia Orańskiego Innocenty XI zdradził się, wypowiadając słowa, które zacytował Leopold von Ranke (*Englische Geschichte*, Lipsk 1870, III 201): *Salus ex inimicis nostris*, ratunek przychodzi od wroga.

### *Rewolucja 1688 roku*

Aby w pełni docenić znaczenie *gloriam revolutionis*, a także postawę Innocentego XI. oddajmy głos Roloffowi::

Rewolucja 1688 roku, w wyniku której Wilhelm Orański obalił katolickiego króla Jakuba II miała epokowe znaczenie, podobnie jak Wielka Rewolucja Francuska w 1789 roku. Dla Anglii przybycie księcia Orańskiego oznaczało nie tylko przyjęcie ewangelicyzmu, ale też utrwalenie władzy parlamentu i otwarcie drogi, która przywiodła do Zjednoczonego Królestwa dynastii hanowerską, panującą do dziś. Supremacja parla-

mentu nad monarchią Jakuba II umożliwiła umocnienie się dwóch partii, które od wieków rządziły Anglią (torysów i wigów). Władza polityczna znalazła się w rękach arystokracji z urodzenia i majątku, która reprezentowała ogólne interesy handlowe.

Poza tym (co bardziej powinno obchodzić papieża) po zwycięstwie księcia Orańskiego znacznie zaostrzono prawa wykluczające katolików z życia publicznego. Za panowania Jakuba II w Anglii było 300 000 katolików, w roku 1780 natomiast ich liczba wynosiła zaledwie 70 000.

### *Długi Wilhelma*

W biografiach Wilhelma Orańskiego na ogół nie wspomina się o tym, skąd czerpał on środki na utrzymanie swoich wojsk w Holandii. Problem ten zainteresował zaledwie kilku historyków.

Zdaniem anglikańskiego biskupa Gilberta Burneta, przyjaciela Wilhelma, sytuacja materialna księcia Orańskiego już od dnia urodzin była „zdecydowanie niekorzystna [...]”. Jego prywatne interesy szły bardzo źle. Majątek księcia został pomniejszony o grunty przyznane matce i babce, nie mówiąc już o olbrzymim długu, który zaciągnął jego ojciec dla ratowania Korony angielskiej" (*Bishop Burnet? History o/his own time*, Londyn 1857, str. 212).

Burnet aktywnie uczestniczył w przygotowaniach do rewolucji 1688 roku i jako jeden z nielicznych wiedział o projekcie wyprawy na Anglię. Stał u boku Wilhelma w najtrudniejszych chwilach jego „zamachu stanu”, między innymi podczas marszu na Londyn. Mógł zatem przemilczeć pewne fakty, kłopotliwe dla Korony i anglikanizmu.

Niemiecki historyk Wolfgang Windelband przytoczył list Wilhelma do przyjaciela Waldecka, napisany po objęciu angielskiego tronu: „Gdybyś wiedział, Panie, jakie życie wiodę, z pewnością byś mnie pożałował. Pocięsza mnie jedynie to, że Bóg wie, iż nie kieruje mną ambicja" (w: Wolfgang Windelband, *Wilhelm von Oranien und das europäische Staatensystem*, w: *Von staatlichem Werden und Wesen. Festschrift Erich Marks zum 60. Geburtstag*, Aalen 1981).

Zdziwiony Windelband zastanawia się, jakim sposobem podobne słowa mógł powiedzieć człowiek, który zrealizował marzenie swojego życia. Moim zdaniem natomiast mógł powiedzieć je człowiek, który przez całe życie miał problemy finansowe.

Według angielskich poddanych nowy król nie grzeszył nadmierną skromnością. Jak zauważył von Ranke (*Englische Geschichte*, cit.), w 1689 roku, wzorem Stuartów, Wilhelm poprosił parlament o przyznanie mu stałej renty: „Dla większej pewności muszę dysponować pieniędzmi”. Parlament nie miał jednak zaufania do Wilhelma i przyznał mu rentę roczną opatrzoną klauzulą „nie

dłużej". Książę Oranii poczuł się urażony, ale nie miał żadnej możliwości, by przeciwstawić się decyzji parlamentu. W tym samym czasie trwały tajne negocjacje między Beaucastelem, Cencim i sekretariatem Watykanu.

Dzieje dynastii orańskiej obfitują w epizody, z których wynika, że jej przedstawiciele zawsze przywiązywali dużą wagę do pieniędzy. Zdaniem angielskiej historyk Mary Caroline Trevelyan „ambicje Wilhelma II (ojca Wilhelma III) bardzo by ucierpiały, gdyby jako Główny Kapitan Republiki Holenderskiej nie starał się utrzymać armii większej od tej, jaką był w stanie opłacić". Aby zdobyć pieniądze na obronę, Wilhelm II uciekł się do przemocy - w 1650 roku wsadził do więzienia pięciu deputowanych Stanów Holandii i przystąpił do oblężenia Amsterdamu (G.J. Renier, *William of Orange*, Londyn 1932, str. 16-17).

Jak podaje Trevelyan, w 1657 roku matka Wilhelma III zastawiła klejnoty w Amsterdamie, aby sprostać potrzebom swojego rodzeństwa. W 1661 roku zmarła w Anglii. W maju następnego roku babka Wilhelma, księżna Amalia Solms, wystąpiła o zwrot klejnotów. Jej sekretarz Rivet napisał do Huygensa, sekretarza Wilhelma, że młody książę „mówi tylko o tej sprawie" (Mary Caroline Trevelyan, *William the third and the defence of Holland 1672-1674*, Londyn 1930, str. 22). Dlaczego Wilhelma tak bardzo interesowały klejnoty, wśród których znajdował się 39-karatowy diament w srebrnej oprawie? Pragnął jak najszybciej wykupić zastaw czy może zastanawiał się, za ile mógłby go sprzedać?

Książęta Oranii potrzebowali dużych sum pieniędzy na prowadzenie wojen. Na kilka miesięcy przed wyprawą Wilhelma na Anglię papiescy agenci w Holandii doskonale orientowali się w sprawach finansowych księcia. W połowie października 1688 roku (pisze o tym Danckelman) sygnalizowali, że z powodu silnego wiatru dziesięć czy dwanaście okrętów z floty Wilhelma nie wypłynęło w morze, co bardzo niepokoiło księcia, ponieważ opóźnienie wyprawy kosztowało go 50 000 liwrów dziennie.

Potrzeba może czasem pchnąć władcę do czynów niegodnych, takich jak fałszerstwo czy zdrada. Według historyka numizmatyki Nicoló Papadopolego (*Imitazione delio zecchino yeneziano fatta da Guglielmo Enrico d 'Orange (1650-1702)* w: *Rivista italiana di Numismatica e scienze affini*, XXIII [1910], fasc. III), w XVII wieku mennica księstwa Oranii bezceremonialnie podrabiała cekiny weneckie. Kiedy w 1646 roku oszustwo wyszło na jaw, Najjaśniejsza Republika Wenecji toczyła wojnę z Turkami o Kandię, sprowadzając broń i oddziały z Holandii. Weneccjanie musieli więc pogodzić się z tym faktem. Książęta Oranii podrabiali prawdopodobnie także mundury noszone tradycyjnie w Holandii.

## *Sponsorzy wyprawy do Anglii*

Wilhelm Orański był więc biedny, stale tonął w długach i poszukiwał pieniędzy na prowadzenie wojen. Przyjrzyjmy się, kto go finansował, zaczynając od wierzycieli powszechnie znanych.

Działalność polityczno-wojskową Wilhelma Orańskiego, włącznie z wyprawą na Anglię, finansowały trzy grupy, żydowscy bankierzy, admiralicja miasta Amsterdam oraz rodziny patrycjuszy.

Bankierzy żydowscy zajmowali najważniejszą pozycję w życiu finansowym Amsterdamu i całej Holandii. Wśród nich wyróżniał się Francisco Lopes Suasso, który oprócz dyplomatycznego pośrednictwa między Madrytem, Brukselą i Amsterdamem hojnie wspierał Wilhelma. Zdaniem współczesnych księcia Orańskiego, Suasso pożyczył mu 2 miliony florenów bez żadnej gwarancji, komentując ten fakt słynnym zdaniem: „Jeśli dopisze Ci, Panie, szczęście, jestem pewien, że mi je zwrócisz, jeśli nie, zgadzam się na ich stratę”. Pomocy finansowej udzielali też Wilhelmowi *Provediteurs General* (jak zwykł ich nazywać sam Wilhelm) Antonio Alvarez Machado i Jacob Pereira, dwaj sefardyjczycy (zob. D. Swetschinski - N. Schoenduvc, *De familie Lopes Suasso, Jinanciers van Willem III*, Zwolle 1988).

Równie istotne dla Wilhelma było wsparcie ze strony admiralicji Amsterdamu, która zdaniem historyka Jonathana Israela dostarczyła 60% floty wojennej i ekwipunku podczas wyprawy na Anglię. Zgodnie z ówczesnymi szacunkami chodziło o 1800 ludzi, którzy w oczekiwaniu na lądowanie u wybrzeży angielskich służyli na zmianę dniem i nocą.

Wilhelm otrzymywał środki finansowe także od kilku rodów holenderskich, choć towarzyszyły temu pewne trudności. Jak stwierdza Israel, patrycjusze Amsterdamu starali się ukryć fakt finansowania Wilhelma, jakby wyprawa na Anglię była prywatną sprawą księcia, a nie Amsterdamu i Zjednoczonych Prowincji. To na nim miała spocząć odpowiedzialność i to on miał spłacić długi. Z tego właśnie powodu pieniądze zostały przekazane po kryjomu, tak aby w publicznych rachunkach nic było śladu tej transakcji. Pewna część środków została potajemnie oddzielona od 4 milionów florenów zebranych przez Zjednoczone Prowincje w lipcu, tuż przed lądowaniem w Anglii, i przeznaczona na ulepszenie fortyfikacji. To wyjaśnia, dlaczego wierzyciele Wilhelma mieli dostęp do jego dóbr, czyli do księstwa Oranii. Z drugiej jednak strony Wilhelm miał zostać królem Anglii, co gwarantowało mu spłatę zaciągniętych pożyczek (J. Israel, *The Amsterdam Stock Exchange and the English Revolution of 1688 w: Tijdschrift voor Geschiedenis* 103 [1990], str. 412-440).

## *Bartolotti*

Potajemnymi sponsorami Wilhelma Orańskiego był ród Odescalchich. Rodzina papieża nie finansowała bezpośrednio wyprawy na Anglię, ale pożyczala

pieniądze dynastii orańskiej tajnymi kanałami. Jednym z nich była rodzina Bartolottich, o których opowiadała posługaczowi Cloridia podczas ich pierwszej rozmowy. Bartolotti pochodzili z Bolonii, ale po jakimś czasie spowinowacili się z rodziną van den Heuvel, zachowując włoskie nazwisko z powodów spadkowych.

Bartolotii-van den Heuvel doskonale zintegrowali się z holenderską arystokracją i zajmowali wysokie urzędy, takie jak dowódca piechoty Amsterdamu, zarządca miast oraz kalwińscy pastory. Ukoronowaniem ich związków ze staniem panującym było małżeństwo Susanny, córki Costanzy Bartolotii, z Constantinem Huygensem, sekretarzem Wilhelma III Orańskiego (Johan E. Elias, *De vroedschap van Amsterdam*, Amsterdam 1963, 1 388-389).

Ale kariera na gruncie społecznym dozwolona była tylko dla tych, którzy posiadali duży majątek. Bartolotti w krótkim czasie stali się najbardziej wpływowymi bankierami, udzielającymi pożyczek władcom, między innymi rodowi orańskiemu. Guglielmo Bartolotti na przykład był jednym z organizatorów pożyczki w wysokości 2 milionów florenów na 4%, przeznaczonej dla Fryderyka Henryka Orańskiego, dziadka Wilhelma. Właśnie Guglielmowi Bartolottiemu babka Wilhelma, Amalia Solms, oddała w zastaw klejnoty rodowe.

Syn Guglielma Bartolottiego o tym samym imieniu udzielał oprocentowanych pożyczek i trudnił się handlem razem ze współnikiem Federickiem Rihelem (oba figurują w księgach rachunkowych Carla Odescalchigo, Archiwum Państwowe w Rzymie, Zbiory Odescalchich, Księgi rachunkowe, XXIII A2, str. 152). Młody Bartolotti odziedziczył po ojcu nie tylko pieniądze, ale także nieruchomości i listy kredytowe. W grudniu 1665 roku, po śmierci matki, Guglielmo Bartolotti junior stał się wierzycielem Wilhelma III Orańskiego, który miał wówczas zaledwie 15 lat. Książę Orański był winien Bartolottiemu 200 000 florenów, rozłożonych na dwie obligacje. Pierwsza obligacja, opiewająca na 150 000 florenów, wpisana została „na hipotekę miasta Veere i okolicznych *polders*”, czyli zmeliorowanych terenów nadmorskich, pozostała kwota natomiast „na hipotekę niektórych terenów w Niemczech”, należących do dynastii orańskiej (Elias, op. cit., I 390).

Najwyższe kwoty pieniędzy Odescalchi wysłali do Holandii, czyli do księcia Orańskiego, w roku 1665. Wilhelm miał wtedy 15 lat i dopiero w kwietniu 1666 roku Stany Generalne Holandii, zawsze nieufne w stosunku do władców dziedzicznych, postanowiły nadać mu tymczasowy tytuł infanta. Podczas dwuletniej wojny angielsko-holenderskiej, która wybuchła w 1665 roku, wymiana handlowa (a także transakcje finansowe) między Holandią i Włochami nasiliła się i być może to właśnie było powodem wzrostu pożyczek zaciągniętych u Odescalchich.

Pieniądze braci Odescalchich znalazły się w rękach kalwińskiej arystokracji Amsterdamu, popierającej Wilhelma w wyprawie na Anglię. W przypadku Bartolottich w grę wchodził strumień pieniędzy, który wypłynął od Odescalchich i docierał bezpośrednio do Wilhelma.



Nie należy zapominać, że Odescalchi udzielali pożyczek Holendrom do 1671 roku, kiedy Benedetto Odescalchi był już kardynałem i szykował się do objęcia tronu papieskiego.

Po roku 1665 kwoty pochodzące od Odescalchich niespodziewanie zmniejszyły się. Spowodowane to było zapewne ostrożnością lub ambicją. Co by się bowiem stało, gdyby wyszło na jaw, że kardynał Świętego Kościoła Rzymskiego słał pieniądze heretykom? Z pewnością skończyłoby się to skandalem. Benedetto Odescalchi nie mógł ryzykować, tym bardziej że w 1667 roku miał wziąć udział w konklawe, po raz drugi w swoim życiu. Tym razem jego imię znajdowało się wśród kandydatów na papieża. Gdyby odkryto, że bracia Odescalchi udzielali pożyczek Holendrom, na pewno nie zostałby wybrany.

### *Feroni, Grillo i Lomellini*

Lista tajnych dłużników Odescalchich była bardzo długa. W latach 1661-1671 również handlarz niewolnikami Feroni otrzymywał od nich pożyczki na ogólną sumę 24 000 skudów. Nie chodziło z pewnością o transakcje handlowe, wówczas bowiem Carlo Odescalchi odnotowałyby rodzaj zakupionego towaru, termin dostawy i wszystkie inne szczegóły. W przypadku Feroniego w grę wchodziły zwykłe pożyczki.

Feroni trudnił się handlem niewolnikami w latach 1662-1670. Kluczową datą był rok 1664, kiedy Korona hiszpańska zleciła dwóm genueńczykom zamieszkałym w Madrycie, Domenicowi Grillowi i Ambrogio Lomelliniemu, wywiezienie czarnoskórych niewolników do posiadłości hiszpańskich w Ameryce. Z powodu niekorzystnej sytuacji polityczno-ekonomicznej pośrednicy popadli w kłopoty finansowe, z których dwukrotnie wybawił ich Feroni. Toskański kupiec przekazał w ich imieniu, a także w imieniu króla Hiszpanii, 300 000 florenów cesarzowi austriackiemu, który potrzebował pieniędzy na walkę z Turkami. Cztery lata później, w roku 1668, Feroni ponownie pomógł Grillowi i Lomelliniemu, wypłacając Koronie hiszpańskiej 600 000 pesos na giełdzie w Antwerpii (P. Benigni, *Francesco Feroni empoiese negoziante in Amsterdam w. Incontri - Rivista di studi italonederlandesi* I 1985, 3, str. 98-121). Przypomnijmy, że w tych samych latach Feroni otrzymywał pieniądze od Odescalchich, którzy finansowali bezpośrednio także Grilla i Lomelliniego. W niewielkiej książce rachunkowej Odescalchich, datowanej 1699 i przechowywanej w Archiwum Państwowym w Rzymie, wśród dłużników figurują między innymi dwaj handlarze niewolnikami z Madrytu (Zbiory Odescalchich, XXIII A1, str. 216; zob. też XXXII E 3,8).

Feroni początkowo nie zajmował się handlem niewolnikami, swoją działalność rozpoczął bowiem od sprzedaży jedwabiu i likierów, pieniądze Odescalchich mógł zatem przeznaczać na mniej okrutne cele. W przypadku Grilla i Lomelliniego było inaczej, gdyż trudnili się oni wyłącznie handlem niewol-

nikami. Dzięki pieniądзом pożyczonym od Odescalchich i Feroniego dwaj genuęńczycy zdobyli kontrolę nad handlem ludźmi, odbierając ją Anglii i Holandii.

### *Interesy osobiste*

Nikt nigdy nie starał się wyjaśnić, co naprawdę łączyło Innocentego XI z Wilhelmem Orańskim, tymczasem wszystkie niezbędne dokumenty, które czytałem, były łatwo dostępne. Wystarczyło poszukać.

Ten, kto potrafi czytać między wierszami, z pewnością odkrył prawdę zawartą w pracach Danckelmana i innych historyków.

Historycy, którzy bronili Innocentego XI przed atakami i podejrzeniami, byli tym osobiście zainteresowani. Hrabia Della Torre Rezzonico, broniący Innocentego XI przed oskarżeniem o służbę w szeregach żołnierzy najemnych, był krewnym Odescalchich i potomkiem Aurelia Rezzonica, który w imieniu Odescalchich wysyłał pieniądze z Wenecji do Amsterdamu (zob. G.B. Di Crollanza, *Dizionario Blasonico*, Bolonia 1886, II 99; A.M. Ouerini, *Tiara et purpura veneta*, Brescia 1761, str. 319; *Dizionario storico portatile di tutte le venete patrizie fdmiglie*, Wenecja 1780, str. 106).

Stanowisko Danckelmana także wymaga kilku słów komentarza. Baronowie von Danckelman byli ściśle związani z dynastią orańską od czasów Wilhelma III. W XVII wieku słynny przodek historyka, noszący to samo imię, Eberhard von Danckelman, był wychowawcą na dworze księcia elektora brandenburskiego Fryderyka, a później został pierwszym ministrem. Książę brandenburski był wujem Wilhelma III Orańskiego i wielokrotnie wspierał go w wojnach z Francją. Ten sam książę elektor Brandenburgii nadał Danckelmanom tytuł szlachecki. Jako praktykujący kalwiński Danckelmanowie nie mogli pogodzić się z prawdą, czyli z faktem, że Wilhelm Orański objął tron angielski także dzięki pieniądзом papieża, wykorzystując w dodatku politykę zagraniczną Innocentego XI. A papież, podobnie jak Wilhelm, był zaciętym wrogiem Ludwika XIV. Nie można wykluczyć, że Danckelmanów interesowały też kwestie finansowe. Pochodzili oni z hrabstwa Lingen, należącego do majątku rodu orańskiego. Po śmierci Wilhelma te posiadłości stały się własnością jego wuja, księcia elektora brandenburskiego (zob. *Kiirschners deutscher Gelehrter Kalender*, 1926, II 374; C. Denina, *La Prusse litteraire sous Frederic II*, Berlin 1791, 1 ad vocem; A. Rössler, *Biografisches Worterbuch*, ad vocem).

Podobnie jak inni historycy Danckelman ukrył swoje osobiste powiązania z rodem Wilhelma, a uciekając się do niedomowień i wybiegów, przedstawił fakty w sposób stronniczy.

Podobnie rzecz się miała z innymi autorami. Kardynał Rubini, sekretarz stanu Aleksandra VIII, nakłaniając monsinióra Cenciego, by nie przyjmował

propozycji Beaucastela, miał w tym prywatny interes. Jak wynika z ksiąg rachunkowych Carla Odesalchiego, ród Rubinich już w czasach dziadka kardynała był dłużnikiem Innocentego XI. Rozsądek nakazywał, aby położyć kres kłopotliwym pożyczkom, o których w Awinionie przypomniał Cenci. Rubini doskonale wiedział, że pieniądze Odesalchich rozeszły się w wielu kierunkach (Zbiory Odesalchich, XXII A9, str. 179; XXII A13, 1650. Querini, op. cit., str. 282; G.M. Crescimbeni, *Notizie storiche degli Arcadi morti*, Rzym 1720, III 67; T. Riccardi, *Storia dei vescovi vicentini*, Vicenza 1786, str. 238).

Wiedział o tym także inny przedstawiciel hierarchii watykańskiej, monsinior Giovanni Antonio Davia, który podczas wyprawy Wilhelma Orańskiego na Anglię był internuncjuszem apostolskim w Brukseli. Jego rodzina pożyczła pieniądze od Odesalchich (o czym świadczą księgi rachunkowe Carla Odesalchiego), a monsinior Davia jakimś dziwnym sposobem nie domyślił się, że Anglia w krótkim czasie znajdzie się w rękach heretyków (Zbiory Odesalchich, XXVII B6; E. Danckelman, *Zur Frage der Mitwissenschaft Papstes Innozenz XI an der oranischen Expedition w: Quellen und Forschungen aus italienischen Archiven und Bibliotheken*, XVIII [1926], str. 311-333).

Przezorności zabrakło też wysłannikowi watykańskiemu w Londynie, hrabiemu Ferdinandowi D'Adda, który -jak twierdzą historycy - mając w ręku dowody na to, że przyjaciele Wilhelma w Londynie szykują się do poparcia jego wyprawy od wewnątrz (G. Gigli, // *nunzio pontificio D 'Adda e la seconda rivoluzione inglese w: Nuova rivista storica* XXIII [1939], str. 285-352), nie powiadomił o tym Rzymu. Mimo że hrabia D'Adda źle wykonywał swoje zadania, Innocenty XI (z którym był zresztą spokrewniony) uczynił go nuncjuszem. A może zła służba była jego obowiązkiem?

### *Kwestia żydowska*

Jak już sobie wyjaśniliśmy, pieniądze Odesalchich napływały do Wilhelma Orańskiego dwoma z trzech kanałów (admiralicja Amsterdamu, rody holenderskich patrycjuszy, żydowscy bankierzy). Pożyczki udzielane przez ród Innocentego XI dostawały się do rąk admiralicji (w osobie Jeana Neufville'a, którego mianował admirałem sam Wilhelm Orański) oraz kilku rodów holenderskiej arystokracji, takich jak Deutzowie, Hocheppedowie i Bartolotti, figurujący w księgach rachunkowych Carla Odesalchiego.

Dwa z trzech kanałów były zatem zasilane przez rodzinę błogosławionego Innocentego. Rywałami Odesalchich w finansowaniu dynastii orańskiej byli żydowscy bankierzy. Być może był to czysty przypadek, ale jeden spośród rygorów wprowadzonych za pontyfikatu Innocentego XI dotyczył finansów. Błogosławiony Innocenty zabronił Żydom, pod groźbą surowych kar, prowadzenia działalności bankowej, a więc tej, w której specjalizowała się rodzina Odesalchich. Zakaz, zamykający długoletni okres papieskiej tolerancji, prze-

sądził o ekonomicznym upadku Żydów zamieszkających w Rzymie, którzy do początku XIX wieku bezsilnie przyglądali się wzrostowi swoich długów i spadkowi dochodów. W tym samym czasie papież Odescalchi założył instytucję lombardu. Choć ze społecznego punktu widzenia była to inicjatywa godna pochwały, odebrała ona żydowski bankierom klientów i źródła dochodów.

W roku 1682 Innocenty XI wprowadził zakaz udzielania oprocentowanych pożyczek. W tym samym roku żydowski bankier Antonio Lopes Suasso udzielił Wilhelmowi Orańskiemu pożyczki w wysokości 200 000 guilders. Zwykły zbieg okoliczności?

Jak już mówiliśmy, Odescalchi finansowali też handel niewolnikami w Madrycie, którym parali się Grillo i Lomellini. Ale również w tej dziedzinie ich rywalami byli Żydzi, przedsięwzięcie Grilla finansował bowiem Lopes Suasso. Zbieg okoliczności?

Być może to nie wystarczy, by twierdzić, że Innocenty XI wydał zakaz, kierując się względami osobistymi. Wiele wieków później beatyfikacji Piusa IX towarzyszyły ożywione dyskusje na temat jego antysemityzmu. Jak się okazuje, nie on pierwszy był wrogiem Żydów wyniesionym na ołtarze, ale papież Odescalchi. W przeciwieństwie do Piusa IX Innocenty XI miał osobisty powód, by darzyć niechęcią naród wybrany. Skutkiem kolejnego kaprysu historii beatyfikacja Innocentego XI miała miejsce za pontyfikatu Piusa XII, którego postawa wobec Żydów była dość kontrowersyjna. Zarzucano papieżowi między innymi, że nie przyznał się, iż wiedział wszystko o *Shoah*.

### *Inne pożyczki udzielane przez Odescalchich*

Jak wynika z ksiąg rachunkowych, Odescalchi udzielali pożyczek nie tylko Wilhelmowi Orańskiemu. Od maja 1662 do maja 1671 roku przekazali 10 542 skudy Henrikowi i Franciscusowi Schildersom, zajmującym się dostawami dla wojska. Franciscus był komisarzem do spraw żywności dla wojska w Antwerpii i Holandii hiszpańskiej. Dostawą żyta dla oddziałów hiszpańskich zajmował się włoski kupiec Ottavio Tensini, który trudnił się też ubezpieczeniami, wynajmowaniem statków, importem kawioru, łoju i futer z Rosji, dostawą lekarstw dla cara. Tensini także otrzymywał pieniądze od Odescalchich, w sumie 11 206 skudów od stycznia 1665 do listopada 1670 roku. Czy były one wykorzystane na dostawy broni dla księcia Orańskiego?

Warto byłoby zbadać, na jakie cele przeznaczono ponad 11 000 skudów, które w ciągu trzech lat Cernezzi i Rezzonico przekazali holenderskiej spółce handlowej Giovana Battisty Bensiego i Gabriela Voeta. Spółka ta, oprócz skór i zboża, sprzedawała także broń, dlatego też wypada zastanowić się, czy jakaś partia muszkietów (na pasku z foczej skóry, podobne do tych, które sprzedawał włoski kupiec) nie została zakupiona za pieniądze Odescalchich, by znaleźć się później w rękach protestanckich żołnierzy.

Należałoby też wyjaśnić wiele innych operacji finansowych, jak na przykład przelewy dokonywane od 1687 roku na rzecz austriackiego kardynała Kollonitscha. W prywatnym archiwum Odescalchich znajdują się dowody wpłaty i przekazy opiewające na kwotę 3600 talarów (Zbiory Odescalchich, XXVII G3). Kardynał, wytrwały obrońca Wiednia w 1683 roku, brał też udział w wojnie o Węgry. Na Węgrzech znajdowało się też księstwo Sirmio, które cesarz sprzedał później Liviowi Odescalchiemu, być może dlatego, że Odescalchi byli jego wierzycielami. Należy dodać, że w 1692 roku Livio pożyczył cesarzowi 180 000 florenów na wojnę z Turkami, na 6%, zabezpieczoną na cła cesarskie w prowincji Bolzano (Zbiory Odescalchich, dodatek 38 nr 114, 1). Wiara katolicka doznałaby prawdziwej zniewagi, gdyby okazało się, że ziemie węgierskie, których odzyskanie okupione zostało krwią żołnierzy chrześcijańskich, sprzedano następnie Odescalchim, finansującym cesarstwo.

W księdze rachunkowej Livia Odescalchiego figurują też nazwiska wielu innych kupców włoskich, działających w Holandii i w Londynie, którym zostały wysłane pieniądze: Ottavio Tensini (teść Feroniego), Paolo Parenzi, Gabriele Voet, Giuseppe Bandinucci, Pietr'Andrea i Ascanio Martini, Giuseppe Marucelli, Giovanni Verrazana, Stefano Annoni, Giovan Battista Cattaneo i Giacomo Bostica.

Wyjaśnienia wymagają związki z bankierami holenderskimi i flamandzkimi: Geremia Hagens, Isach Flamingh, Tomaso Verbecq czy Peter Vandeput. Wszyscy oni otrzymali kwoty, które w sumie dochodzą do 14 000 skudów i co do których Carlo Odescalchi nie podał motywu wypłacenia (zob. np. Zbiory Odescalchich XIII A2, str. 1, 84, 97-122, 134, 146, 159, 179, 192, 220, 244, 254, 263, 300). Badania należałoby rozpocząć w archiwach notarialnych w Amsterdamie, Londynie i Wenecji, gdzie powinny znajdować się akta założycielskie spółek handlowych, kontrakty i inne dokumenty.

### *Gra cesarza*

W obracaniu pieniędzmi, które skrycie wpływały na politykę europejską w latach 1660-1700, istotną rolę odegrał cesarz Leopold I Habsburg, w pełni świadomy przepływu strumienia pieniędzy między ludźmi Odescalchich w Wenecji i holenderskimi bankierami. Wystarczy zajrzeć do niektórych źródeł (Hans von Zwiedineck, *Das graflich Lamberg sche Familienarchiv zu Schloss Feistritz bei Liz*, Graz 1897), aby zdać sobie z tego sprawę. Podczas gdy w Wenecji Aurelio i Carlo Rezzonicowie udzielali pożyczek Leopoldowi za pośrednictwem cesarskiej kamery w Grazu i odsprzedawali Holendrom beczki z rtęcią, które otrzymali jako gwarancję od cesarza, on w styczniu 1666 roku nadał tytuł barona obydwu ludziom Odescalchich, „aby szybciej doprowadzić interes do końca”.

W rzeczywistości sprawę przeprowadzono bez większych trudności. Naczelny inspektor austriackich kopalni rtęci, czyli finansowy pośrednik ze strony cesarza, baron Abbondio Inzaghi był bowiem ziomkiem Odescalchich. Pochodził ze starego rodu z Como, podobnie jak Innocenty XI. Z kolei wiedeńskim pośrednikiem między Inzaghim a Rezzonikiem był baron Andrea Giovannelli, kuzyn Carla i Benedetta Odescalchich. Również Giovannelli otrzymał szlachecki tytuł z woli cesarza Leopolda.

W 1672 roku, kiedy trwała wojna między Francją i Holandią, hrabia Karl Gottfried von Breuner, zaufany człowiek Leopolda w sprawach ekonomicznych i wojskowych, zaproponował, by mianować Inzaghiego agentem od „wymiany handlowej z Holendrami”. Cesarz ze swojej strony przypomniał Breunerowi, że winien jest 260 000 florenów niejakiemu Deutzowi, heretyckiemu bankierowi, któremu Odescalchi odsprzedawali rtęć.

Notariuszem, który spisywał kontrakty między Rezzonikiem, Cernezzim i Inzaghim, był niejaki Francesco Peverelli z Como (o nim zob. np. w: Zbiory Odescalchich XXXIII A1, str. 78; Archiwum w Palazzo Odescalchi, I D6, str. 70, 89, 352, 383). Do rodziny Peverellego należeli też poddani cesarza Leopolda, który przekazał im między innymi duże kwoty pieniędzy i ziemie.

Zabezpieczeniem zwrotu pożyczek udzielonych Leopoldowi były nie tylko beczki z rtęcią, ale także dochody z opłat celnych na granicach cesarstwa. Po śmierci Carla i Benedetta Odescalchich Leopold nadal zaciągał pożyczki, proponując jako gwarancję dochody z ceł. Tym razem był dłużnikiem bratanika błogosławionego Innocentego, Livia Odescalchiego, który pożyczał mu ogromne sumy pieniędzy na wydatki wojskowe.

Interes Odescalchich obejmował zatem kilka zaufanych osób. Gdy w grę wchodzi tajemnice, najlepiej zwrócić się do osób, które je znają. Kiedy w 1758 roku przedstawiciel rodu Rezzoniców został papieżem i przybrał imię Klemens XIII, wybrał sobie na tajnego szambelana człowieka z rodziny Giovannellich.

Podobnych przykładów w tej historii jest bardzo wiele. Wystarczy wspomnieć, że pieniądze Odescalchich trafiły do rąk Bartolottich, spokrewnionych z Johannem Huydecoperem, burmistrzem Amsterdamu i dyplomatą akredytowanym przy dworze księcia Fryderyka Brandenburskiego, wuja Wilhelma Orańskiego, którego poddanym był, jak wiemy, niejaki Danckelman...

### *Tajemnica ksiąg rachunkowych*

Odczytanie ksiąg rachunkowych Carla Odescalchiego zajęło mi wiele czasu. Władze Wenecji zaleciły prowadzenie takich ksiąg w XVI wieku, ale kupcy sprytnie wymykali się spod kontroli. Księgi rachunkowe, prowadzone przez zaufanych księgowych, stanowiły gąszcz nazwisk i cyfr, w którym tylko oni się orientowali. Carlo Odescalchi poszedł jeszcze dalej i sam wypełniał księgi

nieczytelnym pismem. Rodzinne księgi rachunkowe zawierały ponadto tajemnice o charakterze osobistym. Przechowywano je w niedostępnych skrytkach zamykanych na klucz. Często niszczone je, zanim dostały się w niepowołane ręce (zob. np. V. Alfieri, *La partita doppia applicata alle scritture delle anti-che aziende mercantili veneziane*, Turyn 1881).

Księgi prowadzone przez Carla Odescalchiego świadczą o tym, że nie stosował on podwójnej księgowości, do której często uciekali się kupcy włoscy. Carlo odnotowywał operacje, nie zachowując porządku chronologicznego. Figuruje w nich przeznaczenie kwot pieniężnych, ale pozostaje nieznany wynik poszczególnych operacji, a przede wszystkim ogólny wynik końcowy.

Odczytanie ksiąg Odescalchiego byłoby łatwiejsze, gdyby zachowały się rejestry przedsiębiorstwa opisujące operacje, których wynik figuruje w księgach rachunkowych. Niestety, te rejestry nie zachowały się, podobnie jak wykaz majątku spadkowego Carla Odescalchiego, który pomógłby stwierdzić wysokość kredytów udzielonych Wilhelmowi Orańskiemu.

### *Dziennik Carla Odescalchiego*

W zbiorach mediolańskiej Biblioteca Ambrosiana (Zbiory Trotlich nr 30 i 43) znajduje się dziennik, który Carlo Odescalchi prowadził od roku 1662 do dnia śmierci. Niestety, nie zawiera on żadnych informacji na temat interesów rodzinnych. Widnieją w nim jedynie szczegółowe notatki o zdrowiu, pogodzie, codziennych spotkaniach. Pod datą 30 września 1673 roku, kiedy zmarł Carlo, anonimowy autor opisał ostatnie chwile życia umierającego, ostatnie namaszczenie, posługę duchową, której udzielili mu dwaj księża z Towarzystwa Jezusowego, na koniec śmierć „prawdziwego kawalera”. Czytamy następnie o zaletach Carla, takich jak ostrożność, pokora, poczucie sprawiedliwości. Dowiadujemy się, że Odescalchi niezwykle „skrupulatnie opisał wszystkie swoje dobra, dzięki czemu po jego śmierci nic nie przepadło i można było dokonać spisu ruchomości, budynków, kredytów i zysków”.

Chwaląc zmarłego, nieznany autor przykłada większą wagę do dokładności, z jaką Carlo prowadził rachunki i dokumenty, niż do jego zalet moralnych. „Kawaler” Odescalchi był zatem prawdziwym mistrzem archiwistą. Dlaczego więc brakuje wykazu majątku spadkowego i rejestrów ksiąg rachunkowych?

### *Tajne negocjacje*

Od czasów średniowiecznych papieży, którzy przenieśli się z Rzymu do Awinionu, prowansalskie miasteczko wraz z okolicznymi wsiami (tak zwanym hrabstwem Venaissin) należało do Państwa Kościelnego.

W wyniku sporów między Ludwikiem XIV a Innocentym XI we wrześniu

1688 roku do Awinionu wkroczyły oddziały Francuzów. W sierpniu 1689 roku zmarł papież Odescalchi. Jego następca Aleksander VIII Ottoboni prowadził politykę pojednawczą w stosunku do Francji. Pragnąc poprawić stosunki z Rzymem, Arcychrześcijański Król wycofał swoje wojska z Awinionu i hrabstwa Venaissin. U schyłku 1689 roku do prowansalskiego miasteczka przybył zastępca papieskiego legata Baldassarre Cenci, który miał nadzorować zwrot terytoriów należących do Państwa Kościelnego, oszacować szkody wyrządzone przez oddziały francuskie i objąć kierownictwo administracji lokalnej.

Cenci natrafił jednak na duże trudności. Awiflion doznał wielu szkód ze strony Francuzów, ale jeszcze gorsza sytuacja panowała w sąsiednim księstwie Oranii, lennie księcia Wilhelma, od lat narażonym na ataki francuskich dragonów. Książę Orański od niedawna był królem w dalekiej Anglii, jego poddani czuli się więc opuszczeni i pozostawieni samym sobie. Byli w większości protestantami, obawiali się więc prześladowań ze strony Francuzów. Łącząc racje religijne z polityczno-wojskowymi, wystawiliby na niebezpieczeństwo swoje i tak już udręczone księstwo. O ile zatem w Awinionie zapanował pokój, w Oranii sytuacja była niezwykle napięta.

Siódmego listopada Cenci powiadomił Rzym, że w zabytkowym rzymskim amfiteatrze w Oranii (który nazywano wówczas Cyrkiem) odbyło się zgromadzenie przedstawicieli poddanych Oranii, którzy postanowili poddać księstwo Ludwikowi XIV. Był to niezwykle dramatyczny wybór: lepiej poddać się wrogowi niż z nim walczyć.

Kiedy Cenci podróżował z Rzymu do Awinionu, prałat Paolo de Salvador, audytor Świętej Roty Rzymskiej, otrzymał dziwny list od jednego z poddanych Oranii, pana de Beaucastela, protestanta nawróconego na katolicyzm i przedstawiciela obywateli księstwa Oranii na dworze paryskim. List zawierał bardzo odważną propozycję mieszkańców Oranii, zmęczonych prześladowaniami ze strony Francuzów i pragnących poddać się papieżowi.

De Salvador przekazał list Cenciemu, a ten, po zapoznaniu się z jego treścią, doniósł o wszystkim sekretariatowi stanu w Watykanie, sugerując, że propozycję należy przyjąć. Wprawdzie księstwo Oranii niedawno poddało się Francji, ale Ludwik XIV mógłby zrezygnować z księstwa Wilhelma, gdyby papież pomógł mu wesprzeć byłego króla katolickiego Jakuba Stuarta przeciw księciu Orańskiemu, który odebrał Jakubowi tron. Dla Kościoła przyjęcie daru w postaci lenna heretyckiego księcia (który w dodatku został królem angielskim) byłoby jednak kłopotliwe. Cenci zaproponował więc pretekst: papież przyjmie księstwo jako odszkodowanie za szkody wyrządzone w Awinionie w wyniku długotrwałych walk katolików z protestantami na terenie Prowansji. Tymczasem watykański sekretariat stanu polecił zastępcy legata, by odrzucił ofertę i zaproponował Beaucastelowi, żeby zwrócił się do Ludwika XIV, który obroni księstwo Oranii lepiej niż Kościół.

Beaucastel udał się osobiście do Cenciego i w obecności de Salvadora potworzył propozycję. Kiedy Cenci ją odrzucił, Beaucastel stwierdził, że w prze-



szości Stolica Apostolska dokonała analogicznej operacji, wchodząc w posiadanie hrabstwa Venaissin „na mocy podziału dokonanego przez króla Francji i papieża po wojnie z albigensami”.

Była to bardzo złośliwa aluzja, jako że na przełomie XII i XIII wieku w Prowansji niezwykle okrutnie rozprawiono się z heretykami (G. Moroni, *Dizionario di erudizione storico-ecclesiastica*, Wenecja 1840, ad vocem *Hrabstwo Venaissin*). W wyniku krwawej krucjaty rozgromiono wojska władcy Prowansji Rajmunda VI, który był oskarżany o rozpowszechnianie doktryn albigensów, skierowanych przeciw Kościołowi rzymskiemu. Rajmund VI, w obawie przed schwytaniem i przekazaniem inkwizycji, obiecał papieżowi, że odda mu niektóre dobra, między innymi trzy zamki w hrabstwie Venaissin oraz część Awinionu. Układ z papieżem oznaczał, że gdyby Rajmund VI przyjął poglądy heretyckich albigensów, dobra te miały przejść na własność Kościoła. Tak też się stało. Rajmund popełnił błąd, został uznany za heretyka i poddany ekskomunice. Walkę kontynuował jego syn Rajmund VII, którego pokonali papież Grzegorz IX i król Francji Ludwik IX Święty. Porozumienie Kościoła z heretykami zostało więc dotrzymane siłą. Na mocy traktatu paryskiego z 1228 roku ziemie i zamki albigensów przeszły na własność Watykanu. Obietnica, którą Rajmund złożył Stolicy Apostolskiej, nie była konsekwencją pożyczki udzielonej przez papieża, ale aluzja Beaucastela do paktu między katolikami i heretykami, opłaconego ziemiami heretyków, brzmiąca zachęcająco.

Wróćmy jednak do tajnych negocjacji Cenciego z przedstawicielem księstwa Oranii. Dokonawszy aluzji do przeszłości, Beucastel przeszedł do rzeczy: „W królestwie panuje powszechne przekonanie, że księżę Orański zadłużył się u poprzedniego papieża na duże kwoty, a teraz ma nadzieję je spłacić, pozbywając się państwa przynoszącego mu niewielki dochód”.

Wilhelm Orański zaciągnął więc długi u Innocentego XI, które pragnął zwrócić, darując papieżowi małe księstwo Oranii „przynoszące mu niewielki dochód”.

Cenci ponownie poinformował o wszystkim Rzym, ale Stolica Apostolska zaprzeczyła: to niemożliwe, żeby papież Odescalchi udzielił pożyczki heretyckiemu księciu. Tymczasem wszyscy komentowali gorszące odkrycie. Cenci napisał do Rzymu kolejny list, w którym donosił, że nawet były skarbnik Wilhelma Orańskiego, pan de Saint Clement (który dobrze orientował się w interesach księcia), radził swoim współobywatelom, by poddali się Francuzom. „Zbyt dużo zapłaciliśmy już papieżowi - twierdził były skarbnik Wilhelma - a utrzymanie oddziałów Ludwika XIV bardziej się nam opłaca niż zdobycie pieniędzy dla papieża »u Ducha Świętego«”. Ze słów tych można wnioskować, że księstwo Oranii zostało opodatkowane po to, by zwrócić dług papieżowi.

Skarbnik Wilhelma mówił więc otwarcie, że Wilhelm Orański zaciągnął długi u Innocentego XI, a słowa Saint Clementa zreferowała osoba (zastępca

legata papieskiego w Awinionie), która nie miała żadnego powodu, by przeinaczać fakty.

Nowy papież, jak odpowiedział Cenciemu sekretarz stanu kardynał Rubini, nie miał najmniejszego zamiaru przyjmować w poczet swoich poddanych mieszkańców księstwa Oranii, mimo ich „jednomysłnej chęci” połączenia się z papieżem. Papież nie chciał powiększać liczby poddanych, by utrzymać tych, których już posiadał. Król Francji natomiast miałby o wiele większe możliwości, żeby zadbać o mieszkańców Oranii. Rubini podkreślił, że należało odrzucić tę aneksję, a zwłaszcza tłumaczenie jej tym, że „książę Orański winien był poprzedniemu papieżowi duże kwoty pieniędzy”. Negocjacje Cenciego i Beaucastela zakończyły się niepowodzeniem, księstwo Oranii pozostało we Francji.

Ten ostatni list został opublikowany przez Danckelmana, lecz *ud confutandum*: ponieważ Rubini zaprzeczył, jakoby Innocenty XI pożyczył pieniądze heretyckiemu księciu, pożyczek nie było! Danckelman sprytnie nie opublikował poprzednich listów Cenciego (przechowywanych w tajnym archiwum Watykanu), z których można wyciągnąć dokładnie przeciwny wniosek, udokumentowany księgami rachunkowymi Carla Odescalchiego.

### *Korespondencja Cenciego*

Ponizej prezentujemy listy pana Beaucastela, zastępcy legata Awinionu Baldassarre Cenciego i watykańskiego sekretariatu stanu, przechowywane w tajnym archiwum Watykanu.

Zbiory sekretariatu stanu, poselstwo Awinionu, koperta 369

Pan Beaucastel do Paola de SaWador, 4 października 1689 (list przetłumaczony):

Panie!

Na początek pragnę wyrazić radość, jaka mnie przepelnia na myśl, że papież odzyskał władzę, Jego Eminencja niedługo wróci, a Ty, Panie, wkrótce ponownie przystąpisz do swoich obowiązków. Pragnę Pana poinformować, że otrzymaliśmy rozkaz zakwaterowania siedemnastu kompanii dragonów i dwudziestu kompanii piechoty, co napawa nas głębokim smutkiem. Zmuszeni byliśmy poddać się królowi [Francji], a ceremonia miała miejsce w zeszły wtorek, w dniu Wszystkich Świętych, na placu przy Cyrku, z udziałem władz państwowych. Nie potrafię powiedzieć, czy chodzi o rzecz wcześniej ustaloną, ale domyślam się, że tak. Powrócę do tego tematu, kiedy tylko dowiem się, że Jego Eminencja [Cenci] już wrócił. W jego obecności opowiem Panu o moich przemyśleniach, czy [słowo nieczytelne] przelać je na papier. Z łat-

wością to odgadniesz, Panie, jeśli powiem Ci, że nasze szczęście byłoby równe Twojemu, a pomyślnie idące interesy mogłyby doprowadzić tę sprawę do końca bez większego kłopotu. Reumatyzm przykuł mnie do łóżka, ale kiedy tylko poczuję się lepiej i dowiem się o przyjeździe Jego Eminencji, udam się do Awinionu, by złożyć mu wyrazy szacunku. Proszę Cię, Panie, abys przekazał Jego Eminencji, że bardzo pragnąłem jego powrotu i że zasmucił mnie jego wyjazd. Raduj się zatem, Panie, a ja łączę się z Tobą w radości. Zapewniam Cię, Panie, że bardzo ucieszyło mnie to, co się wydarzyło [a mianowicie powrót Awinionu do państwa]. Cieszę się tak, jakbym był Pańskim rodakiem, ale *non datur omnibus adire Corinthum*, albo lepiej *Avenionem*. Nie wiem, czy używając tych łacińskich słów, nie złamałem reguła, ale pragnę Pana zapewnić o ich szczerości.

Pański uniżony sługa

monsieur Beucastel

Zbiory sekretariatu stanu, poselstwo Awinionu, koperta 350  
Monsinior Cenci do sekretariatu stanu, bez daty (list rozszyfrowany):

Wiemy poddany Stolicy Apostolskiej, zacny szlachcic awinioński, pokazał mi list, który napisał do niego poddany księcia Orańskiego. Jak wynika z listu, mieszkańcy tego księstwa pragną poddać się Stolicy Apostolskiej, co, zważywszy na obecną sytuację, wydaje się bardzo możliwe. Szlachcic dodaje, że przyjedzie do mnie, by dzielić moją radość, ale dopiero wtedy, gdy wyleczy się z przeziębienia, które mu ostatnio dokucza. Przekażę wszystko, co mi jeszcze opowie o 2657 [= tej sprawie?]. Wszystko wskazuje na to, że Orańczycy wyrażą zgodę, ponieważ zmartwienia, jakich przysporzył im Arcychrześcijański Król, i niemożność bronienia ich przez naturalnego księcia zmusiły ich do buntu przeciw niemu i poddaniu się Arcychrześcijańskiemu Królowi. Jak miałem okazję stwierdzić, wielu z nich wolałoby poddać się władzy Jego Świątobliwości, której podlegają poddani tego państwa, nie pragnąc żadnej innej przez wiele stuleci. Ich zdaniem Arcychrześcijański Król mógłby może przedłożyć nad chęć posiadania księstwa zobowiązanie wobec Jego Świątobliwości i jego następców do wspierania króla Jakuba w 2488 [mobilizacji] przeciw królowi Wilhelmowi, o ile Stolica Apostolska odbierze mu wspomniane księstwo. Zakupu można dokonać przy poparciu ludności, która poddałaby się Jego Świątobliwości, aby uwolnić się od władzy heretyckiego księcia, niebędącego w stanie obronić jej przed nędzą. Nie bez znaczenia są też pretensje Stolicy Apostolskiej z powodu olbrzymiej szkody, jaką w przeszłości wyrządzili jej mieszkańcy Księstwa Oranii z nienawiści do 2601 [= wiary?] katolickiej. Nie wiem, czy szkoda ta została naprawiona przez daninę nałożoną

na to państwo, któremu wspólnota Awinionu winna jest setki miliardów skudów [...].

Z racji mojego urzędu zobowiązany jestem informować o wszystkim, czego dowiedziałem się w tej sprawie. Załączam kopię wspomnianego listu, który pan Beucastel, szlachcic z Courteson, wysłał do pana Salvadora, audytora Świętej Roty Awiniońskiej. W świetle rozmów, które przeprowadziłem z panem Beucastelem, wydał mi się on człowiekiem niezwykle utalentowanym, szczerze przeżywającym swoje nawrócenie i głęboko wdzięcznym dworowi francuskiemu. W swojej ojczyźnie zajmuje wysoką pozycję, którą nadał mu Arcychrześcijański Król. Dwa lata temu był deputowanym doskonale reprezentującym interesy swoich współobywateli. Pan Salvador, który dostarczył mi wspomniany list, powiedział, że konsul Courteson ma zamiar [słowo nieczytelne] zaproponować przyjęcie księstwa i jest przekonany, że Arcychrześcijański Król wyrazi na to zgodę.

Zbiory sekretariatu stanu, poselstwo Awinionu, koperta 350  
Monsinior Cenci do sekretariatu stanu, bez daty (list rozszyfrowany):

W zeszły wtorek Beucastel przyszedł do mnie z audytorem Salvadorem i w jego obecności oświadczył, że poddani Księstwa Oranii pragną poddać się Stolicy Apostolskiej. Odparłem, że byłoby to mile widziane, ale jest niemożliwe. W trakcie rozmowy wyjaśniłem Beucastelowi, jakie mogą być trudności z uzyskaniem zgody Arcychrześcijańskiego Króla. Odpowiedział, że Stolica Apostolska weszła w posiadanie hrabstwa Venaissin na mocy podziału dokonanego przez króla Francji i papieża po wojnie z albigensami. Od siebie dodał, iż -w królestwie panuje powszechne przekonanie, że książę Orański zadłużył się u poprzedniego papieża na duże kwoty, a teraz ma nadzieję je spłacić, pozbywając się państwa przynoszącego niewielki dochód. Powiedziałem Beucastelowi, że to mało prawdopodobne, by zmarły papież pożyczał pieniądze księciu Orańskiemu, a nie uzyskawszy od mojego rozmówcy odpowiedzi, stwierdziłem, że mój urząd nie pozwala mi znać szczegółów dotyczących interesów, które Jego Świątobliwość prowadził z Arcychrześcijańskim Królem i innymi książętami Europy. Dlatego też nie mogłem udzielić Beucastelowi i jego współobywatelom satysfakcjonującej odpowiedzi; nie omieszkałem wyrazić mu jednak wdzięczności za to, że pragną zostać poddanymi mojego księcia, oraz współczucia z powodu ich trudnego położenia. Salvador, który po kilku dniach odwiedził mnie, by podjąć rozmowę w tej sprawie, powiedział, że Beucastela bardzo zabolalo, iż odniosłem się do całej sprawy tak chłodno. Ja również wyraziłem ubolewanie.

Zbiory sekretariatu stanu, poselstwo Awinionu, koperta 350  
Kardynał Ottoboni do monsiniora Cenciego, 6 grudnia 1689:

Przedstawiłem Jego Świątobliwości treść listu [...], który do szlachcica z Awinionu napisał jego przyjaciel z Oranii. Jest w nim mowa o tym, że mieszkańcy [księstwa] gorąco pragną poddać się Stolicy Apostolskiej, i nasz pan, pochwalając to, że Wasza Wielebność chętnie słucha i wyraża pełną satysfakcję i radość z racji okazywanych przez nich chęci, i wszystkiego, co w związku z tym mówią, zwraca jednak uwagę, by Wasza Wielebność wystrzegał się składania jakichkolwiek obietnic, gdyż zdaniem naszego pana [Orańczycy] z pewnością będą bezpieczni pod opieką Arcychrześcijańskiego Króla, albowiem Stolica Apostolska nie ma środków finansowych ani możliwości militarnych, by bronić państwo orańskie.

Zbiory sekretariatu stanu, poselstwo Awinionu, koperta 59  
Monsinior Cenci do kardynała Ottoboniego, 12 grudnia 1689:

Jak mnie zapewniono, hrabia Grignano i pan intendent Prowansji [francuscy namiestnicy w Awinionie] powiadomili namiestników miast w Oranii i innych miejscowości w księstwie, że Arcychrześcijański Król z zadowoleniem przyjął ich decyzję uwolnienia się spod władzy księcia i poddania się Jego Wysokości. Zapewniliśmy ich, że z początkiem przyszłego roku otrzymają dowody jego dobroci.

Niejaki pan Saint Clement, który dawniej był skarbnikiem księcia Orańskiego, powiedział, że w przyszłości będą płacić żołnierzom po jednym soldzie, jako że papieżowi płacili znacznie więcej, i że chleba i mąki na wyżywienie żołnierzy nie będzie musiał dawać Duch Święty, jak to było za papieża [...].

Z E. Danckelman, *Zur Frage der Mitwissenschajt Papstes Innozenz XI an der oranischen Expedition*, Quellen und Forschungen aus italienischen Archiven und Bibliotheken, 18 (1926), str. 311-333.

Kardynał Rubini do monsiniora Cenciego, 13 grudnia 1689 roku:

Słusznie odpowiedział Wasza Wielebność na oświadczenie, które złożył Waszej Wielebności pan Beaucastel w obecności audytora Salvadora, dotyczące jednomyślnej woli ludu Oranii, by poddać się Stolicy Apostolskiej, podobnie jak Wasza Wielebność uczynił to w stosunku do fałszywego przypuszczenia, jakoby księżę Oranii był winien poprzedniemu papieżowi duże sumy pieniędzy, które pragnie spłacić, pozbywając się państwa, przynoszącego księciu zbyt mały dochód. Przypusz-

czenie to jest niewłaściwe i nieprzychylnie, albowiem całemu światu dobrze wiadomo, że Jego Świątobliwość nie udzielił żadnej pomocy heretyckiemu księciu ani nie zawarł z nim żadnych porozumień, podobnie jak z innymi heretyckimi władcami. Co się tyczy odpowiedzi, której należałoby im udzielić, o ile ponownie przyjdą, Wasza Wielebność mógłby powiedzieć to samo, co i ja powiedziałem z polecenia Jego Świątobliwości, a mianowicie, że poddanych Oranii będzie bronił Arcychrześcijański Król i będą oni żyli pod jego opieką, jako że Stolica Apostolska, która nie pragnie państw innych władców, chce jedynie zachować własne, nie posiada broni ani sił do obrony Księstwa Orańskiego.

### *Zwrot pożyczki*

Czy pożyczka, której Odescalchi udzieliłi Wilhelmowi Orańskiemu, została zwrócona? Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy przyjrzeć się kilku istotnym faktom.

Innocenty XI zmarł w sierpniu 1689 roku. Kilka miesięcy później zmarła też królowa Szwecji Krystyna, która trzydzieści lat wcześniej nawróciła się z protestantyzmu na katolicyzm i przeniosła do Rzymu, pozostając pod opieką papieża.

Przed śmiercią królowa Krystyna mianowała swoim spadkobiercą kardynała Dęcia Azzolina, swojego wieloletniego doradcę i przyjaciela. Po kilku miesiącach zmarł również kardynał, a spuścizna po Krystynie przeszła na własność jego krewnego, Pompea Azzolina.

W rękach Pompea, drobnego prowincjonalnego szlachcica (ród Azzolinów wywodził się z Fermo w regionie Marche, podobnie jak Tiracordów i Dulcibennich), znalazł się zatem olbrzymi majątek królowej Krystyny, na który złożyło się ponad dwieście obrazów Rafaela, Tycjana, Tintoretta, Rubensa, Caravaggia, Michała Anioła, Domenichina, van Dycka, Andrei del Sarto, Berniniego, Guida Reniego, Carracciego, Giulia Romana, Parmigianina, Giorgionego, Velazqueza, Palmy Starszego, arrasów według kartonów Rafaela, setki rysunków słynnych artystów, cała galeria posągów, popiersi, głów, waz i marmurowych kolumn, ponad sześć tysięcy medali i medalionów, broń, instrumenty muzyczne, drogie meble, klejnoty przechowywane w Holandii, kredyty udzielone Koronom szwedzkiej i francuskiej, roszczenia do kilku posiadłości w Szwecji, wreszcie wspaniała biblioteka z tysiącami książek i rękopisów, które już wtedy uznawano za bezcenne.

Wszedłszy w posiadanie majątku Krystyny, Pompeo nie miał powodu do radości, spuścizna była bowiem obciążona długami, jeśli więc nie udałoby mu się jej odsprzedać, musiałby zmagać się z wierzycielami. Niewiele osób dysponowało środkami pozwalającymi zakupić tak duży majątek, należało więc zwrócić się do któregoś z władców. Pompeo nie miał jednak doświadczenia,

a Rzym pełen był oszustów, gotowych wykorzystać nieśmiałego szlachcica z prowincji.

Pompeo postanowił sprzedać cały majątek, lecz okazało się to trudne i ryzykowne. Kiedy wierzyciele zaczęli tracić cierpliwość, zdecydował się zbyć poszczególne kolekcje i pojedyncze dzieła sztuki. Arrasy i cenne sprzęty (między innymi lustro zaprojektowane przez Berniniego) trafiły do rąk Ottobonich, wpływowego rodu, z którego wywodził się nowy papież Aleksander VIII, książki natomiast wzbogaciły zbiory Biblioteki Watykańskiej.

Tymczasem zaczęły mnożyć się trudności. Oprócz długów majątek królowej Krystyny przyniósł wiele nieporozumień prawnych. Szwecja domagała się praw do klejnotów zastawionych w Holandii, zwracając się z prośbą o interwencję do sądu w Amsterdamie.

Prawny zatarg ze Szwecją był ostatnią rzeczą, jakiej pragnął Pompeo. Poradzono mu więc, żeby napisał list do osoby, która mogłaby pośredniczyć w sprawie, czyli do księcia Wilhelma Orańskiego, ówczesnego króla Anglii.

W sprawie klejnotów Pompeo Azzolino wysłał więc w marcu 1691 roku list do Wilhelma. Odpowiedź była dość zaskakująca: dowiedziawszy się, że kolekcja królowej Krystyny jest na sprzedaż, Wilhelm przez swojego pośrednika zaproponował, że kupi ją w całości, i poprosił o szczegółowy spis zbiorów.

Pompeo, który do niedawna wyprzedawał pojedyncze dzieła sztuki, miał teraz okazję zbyć wszystko naraz. Zdziwiające było również to, że Wilhelm, który zawsze musiał szukać pieniędzy na prowadzenie wojen, poczuł nagle potrzebę wydania fortuny na obrazy i rzeźby. Nawet Król Słońce odmówił zakupu kolekcji Krystyny, kiedy jego ambasador w Rzymie poinformował go o takiej możliwości.

Tymczasem nastąpiła niespodzianka, pojawił się bowiem drugi nabywca, dobrze nam znany Livio Odescalchi, bratanek Innocentego XI. Za 123 000 skudów sprzątnął Wilhelmowi sprzed nosa kolekcję królowej Krystyny, kupując niemal wszystko, co zostało. Wilhelm nie miał mu jednak tego za złe, co więcej, pozostał w dobrych stosunkach z Pompeem Azzolinem. W jednej chwili sprawa spuścizny została rozwiązana.

Wydarzenie to było równie zaskakujące, jak niewiarygodne. Protestantcki król, niemal zawsze bez pieniędzy, pragnął kupić drogą kolekcję dzieł sztuki. Kiedy ubiegł go bratanek papieża (który zresztą udzielił temu królowi wielu pożyczek), król ograniczył się do złożenia gratulacji sprzedawcy (T. Montanari, *La dispersione delle collezioni di Cristina di Svezia. Gli Azzolino, gli Ottoboni e gli Odescalchi* w: *Storia deWArte*, nr 90 [1997], str. 251-299).

Kilka liczb: Odescalchi pożyczyci Wilhelmowi około 153 000 skudów, Livio kupił kolekcję królowej Krystyny za 123 000 skudów.

W 1688 roku Wilhelm objął tron Anglii, jego pozycja umożliwiła mu więc zwrot długów Odescalchim. Rok później zmarł Innocenty XI. Jak zatem książę Orański miał zwrócić pieniądze Odescalchim? Być może do dnia śmierci

papieża oddał im część długu. Wystawienie na sprzedaż kolekcji królowej Krystyny było okazją, której nie wolno było przegapić. Livio Odescalchi kupił więc dzieła sztuki, ale zapłacił za nie Wilhelm, przez jakiegoś dyskretnego pośrednika.

Tajna rozgrywka między rodem Odescalchich a dynastią orańską dobiegła więc końca. Można sobie wyobrazić następującą scenę: pewnego pięknego dnia w Rzymie zaufany pełnomocnik Wilhelma, podziwiając obraz Tintorella lub Caravaggia, przekazuje weksel wysłannikowi Livia Odescalchlego, przy czym obaj wspominają świętej pamięci królową Szwecji Krystynę.

### *Livio iParavicini*

Dzięki spuściźnie królowej Krystyny Wilhelm Orański mógł zwrócić dług Odescalchim. Rodzina Innocentego XI pożyczyła mu 153 000 skudów plus odsetki. Po sprzedaniu kolekcji królowej Krystyny Pompeo Azzalino zainkasował 123 000 skudów. Gdzie podziała się różnica?

Brat Innocentego XI Carlo Odescalchi zmarł w 1673 roku. W 1680 roku zlikwidowano przedsiębiorstwo Odescalchich w Wenecji, filia w Genui nie istniała już od wielu lat. Kto był pośrednikiem Innocentego XI przy spłacie pierwszej części długu? Papież nie mógł korzystać z pomocy bratanek Livia nie tylko dlatego, że był on powszechnie znaną osobą. Livio był nieufny, introwertyczny, zbuntowany, kapryśny, zmienny, zapewne skory do płaczu. Kochał pieniądze, ale cudze. Wuj Benedetto trzymał Livia z dala od interesów państwowych, pragnąc, by przedłużył ród. Tymczasem Livio, jakby na złość, nigdy się nie ożenił. Nigdy też nie wyjechał z Rzymu, na przykład po to, żeby obejrzeć węgierskie posiadłości w Sirmio, kupione od cesarza. Papież Odescalchi w imię moralności kazał pozamykać teatry. Po śmierci wuja Livio wykupił łożę w Tor di Nona. Po wuju odziedziczył skłonność do skąpstwa i przebiegłość. Kiedy austriacki ambasador w Rzymie poprosił go o wymianę pewnej kwoty cesarskich dukatów na walutę rzymską, Livio próbował go oszukać, proponując 40 baiocchów za dukata (oficjalny kurs: 45 baiocchów). W rezultacie ambasador, na fali powszechnego wówczas antysemityzmu, zaczął wszystkim rozpowiadać, że bratanek Innocentego XI ma typowo „żydowskie” podejście do interesów (M. Landau, *Mień, Rom, Neapel - Zur Geschichte des Kampfes zwischen Papsttum und Kaisertum*, Leipzig 1884, str. 111, nr1).

Livio popełnił duży nietakt w stosunku do cesarza, któremu obiecał pożyczkę i kontyngent wojskowy w liczbie 7000 żołnierzy, kiedy tylko oddziały cesarskie dojdą do Abruzji. W zamian zażądał tytułu księcia. Jak wiemy, tytuł został mu przyznany, więc Livio pożyczył cesarzowi niewielką sumę pieniędzy (zresztą na duży procent), ale 7000 żołnierzy nikt nie zobaczył.

Będąc hipochondrykiem, bratanek Innocentego XI dokładnie zapisywał wy-



niki rozmów z lekarzami, rejestrując najdrobniejsze oznaki chorób. Ponieważ interesował się okultyzmem, całymi nocami przeprowadzał doświadczenia alchemiczne, poszukując remediów, za które gotów był zapłacić każdą sumę (Zbiory Odescalchich XXVII B6; Archiwum Palazzo Odescalchi, III B6, nr 58 i 80). W chwilach buntu wobec nakazów wuja Livio wyładowywał złość, zapisując złośliwe uwagi i plotki na jego temat, jakby w przyływie dziecinnej zemsty (Zbiory Odescalchich, Dziennik Livia Odescalchiego).

Człowiek taki jak Livio z pewnością nie potrafiłby wyegzekwować od Wilhelma zwrotu pożyczki. Mogła tego dokonać osoba doświadczona, zdecydowana, działająca z zimną krwią.

Innocenty XI znał takiego człowieka. Był nim bankier Francesco Paravicini, wywodzący się z rodu zaprzyjaźnionego z Odescalchimi. Paravicini był prawdziwym człowiekiem interesów, prowadził wiele spraw przyszłego papieża, takich jak pobieranie czynszów, odbieranie pieniędzy przysyłanych do Rzymu przez krewnych czy udzielanie kredytów. W 1640 roku na polecenie Carla Odescalchiego Paravicini kupił dwie kancelarie prałackie i jedną prezydenturę (za 12 000 skudów) na rzecz Benedetta, otwierając mu za pieniądze, jak to było wówczas w zwyczaju, dostęp do hierarchii kościelnej.

Ród Paravicinich cieszył się zatem całkowitym zaufaniem Odescalchich. Za ledwie kardynał Benedetto został papieżem, mianował Giovanniego Antonia i Filippa Paravicinich tajnymi skarbnikami i generalnymi płatnikami kamery apostolskiej, upoważnionymi do wszelkiego rodzaju płatności zleconych przez Stolicę Apostolską i papieża. Innocenty XI zniósł jednocześnie urząd płatnika papieskich poselstw w Forli, Ferrarze, Rawennie, Bolonii i Awinionie, choć nie wiadomo dlaczego urząd ten był później przypisywany Paravicinim.

Czy warto było powierzyć Paravicinim (Archiwum Państwowe w Rzymie, *Camerale 1 - Chirografi*, tomy 169, 237 i 239, 10 października 1676 i 12 czerwca 1667, oraz *Carteggio del Tesoriere generale della Reverenda camera apostolica*, lata 1673-1716. Zob. także C. Nardi, / *Registri del pagatorato delle soldatesche e dei Tesorieri della legazione di Avignone e del contado venetissimo nell'Archivio di Stato di Roma*, Rzym 1995), zamieszkałym w Rzymie, zadanie w dalekim Awinionie, gdzie generalny płatnik zajmował się jedynie rutynowymi wydatkami pałacu apostolskiego i wojska? Ciekawe, że po śmierci Innocentego XI i zakończeniu okupacji francuskiej w Prowansji urząd płatnika Awinionu został ponownie przyznany Piętrovi Del Bianco, którego ród sprawował go przez wiele lat.

O dużym zaufaniu papieża do Giovanniego Antonia i Filippa Paravicinich świadczy kilka faktów. Pieniądze Stolicy Apostolskiej, które mieli otrzymać nuncjusze Wiednia i Warszawy na prowadzenie wojny z Turkami, trafiły najpierw na giełdy w Ulm, Innsbrucku i Amsterdamu, dokąd dostarczyli je zaufani pośrednicy papieża w osobach znanego nam Rezzonica i braci Paravicinich. Czy dwaj ostatni nie byli idealnymi pośrednikami przy spłacie długu ze strony Wilhelma Orańskiego (Zbiory Odescalchich, XXII A13, str. 440)?

Słowa pana Saint Clementa i Beaucastela, które przytoczył monsinior Cenci, pozwalają przypuszczać, że przy zwrocie długów zaciągniętych u rodziny papieża poddanym księcia Orańskiego narzucono coś w rodzaju *Odescalchi tax*. Najbezpieczniej było zwrócić pieniądze w miejscu niezbyt oddalonym od księstwa, na przykład w pobliżu Awinionu, który leżał w kompetencjach zaufanych Paravicinich. Skarbnik Wilhelma mógł przekazać weksle pośrednikowi papieża w jakiejś prowansalskiej wsi, bez konieczności korzystania z podstawionych osób, kont bankowych, międzynarodowych powiązań.

### *Dokumenty nie do zdobycia*

W celu potwierdzenia tej hipotezy zajrzałem do dokumentów przechowywanych w awiniońskim dziale Archiwum Państwowego w Rzymie. Wynika z nich, że kiedy Paravicini zostali mianowani płatnikami, natychmiast zdobyli kredyt zaufania. Zamiast płacić *zainkasowali* kilka tysięcy skudów, pochodzących z kompensacji. Niestety, rejestry awiniońskie nie są kompletne, brakuje lat 1682-1687, odpowiadających połowie pontyfikatu Innocentego XI.

W rozwianiu wątpliwości mogła pomóc korespondencja zwierzchnika Paravicinich, generalnego skarbnika kamery apostolskiej, ale brakuje listów od roku 1673, kiedy zmarł Carlo Odescalchi, do 1716.

### *Rozwiązanie końcowe*

Po drugiej wojnie światowej, na kilka lat przed beatyfikacją Innocentego XI, tajne archiwum watykańskie nabyło dokumenty Zarlattiego, czyli zbiory dotyczące rodów Odescalchich i Rezzoniców. Zbiory te powstały w XVIII wieku. Ciekawe byłoby zbadać, czy istniały kiedyś dokumenty poświęcone wzajemnym powiązaniom Benedetta Odescalchiego, jego brata Carla i ich reprezentanta w Wenecji. Ale tego nigdy się nie dowiemy. Osoby odpowiedzialne za tajne archiwum poinformowały o „dziwnych brakach” w dokumentacji, z chwilą gdy złożono ją w Watykanie. Znalezione luźne fascykuły, pozbawione sygnatury (czyli niemożliwe do zidentyfikowania) i umieszczone w nieodpowiednim miejscu. (Zob. S. Pagano, *Archivi di famiglie romane e non romane. nell'Archivio segreto vaticano* w. *Roma moderna e contemporanea* I [wrzesień-grudzień 1993], str. 194 i 229-231. Zagubienie niektórych dokumentów sygnalizuje też V. Salvadori [pod redakcją], *I carteggi delle biblioteche lombarde*, Mediolan 1986, II 191).

Zważywszy na przykład, jaki dał nam Jan Paweł II, który czterdzieści lat temu przeprosił za błędy popełnione w przeszłości przez Kościół, prosząc o przebaczenie, byłoby krokiem w tył zarówno zatąjanie, jak i nagrodzenie ciemnych stron pontyfikatu Benedetta Odescalchiego. Być może nadszedł czas, by wyrównać również i ten rachunek.

Objaśnienia  
fragmentów łacińskich

s. 7

*In nomine Domini (...) adiuvet.*

W imię Pańskie

Ja, Lorenzo Dell'Agio, biskup Como, przysięgam wypełnić wiernie i sumiennie powierzone mi zadanie w trakcie procesu kanonizacyjnego papieża, Błogosławionego Innocentego IX, i zachować tajemnicę w tych sprawach, których wyjawienie mogłoby sprowadzić na Błogosławionego podejrzenie winy lub orzeczenie niesławy.

*Mira sanatio* — cudowne uzdrowienie.

s. 8

*Super mira sanatione* — co do cudownego uzdrowienia.

*Secretum servare aut non?* — Zachować tajemnicę czy nie?

**S. 11**

*Super virtutibus* - co do cnót.

" *Secretum (...) posset* - zachować tajemnicę w tych sprawach, których wyjawienie mogłoby sprowadzić na Błogosławionego podejrzenie winy lub orzeczenie niesławy.

s. 26

*Missa solemnis contra paganos* - uroczysta msza w intencji nawrócenia pogan.

s. 39

*De vegetalibus, de animalibus et de mineralibus, humanae litterae* - o roślinach, o zwierzętach i o minerałach, humanistyka.

s. 51

*Sicca et frigidae* - suche i zimne.

*Habent detergentem facultatem* - mają moc oczyszczenia.

*Cor crassatum* - otłuszczone serce.

*Omni imbecillitate et animi deliquio* - Wszelkiej słabości i omdłości ducha.

s. 66

*Indulgeat tibi Deus quidquid peccasti per sensus.* ~ Niech ci Bóg wybaczy wszelkie grzechy dokonane poprzez zmysły.

*Per istas (...) deliquisti* - Poprzez te święte oleje i swoje najświętsze miłosierdzie niech ci Bóg wybaczy wszelkie grzechy dokonane przez wzrok, słuch, węch, smak i dotyk.

s. 68

*Res odiosae* — rzeczy zniechęczone, uciążliwości.

s. 70

*Elixir vitae* - eliksir życia.

*Philosophorum* - filozofów.

s. 71

*Libera nos a malo.* - (Ale) nas zbaw ode złego.

s. 72

*Pollex, quia pollet* - wielki palec, ponieważ wiele może.

s. 82

*Quo non ascendam?* - Do jakiej wysokości się nie wespnę?

S.85

*Colubra* - samica węża (czasem generalnie „wąż”).

s. 89

*Non datur vacuum in natura.* - W naturze nie ma próżni.

s. 91

*Aerem (...) est.* - W dodatku jest pewne, że powietrze, woda i ziemia roi się od niezliczonej ilości owadów.

s. 93

*Scrutinium (...) dicitur* - Fizycino+medyczne badanie choroby zakaźnej o nazwie „dżuma”.

s. 94

*Nemo (...) sua.* - Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

s. 112

*Mirabilia* - cuda, rzeczy niezwykłe.

*Mediocres* - średni.

*Minores* - mniejsi.

*Minimi* - najmniejsi.

s. 129

*Et satis erat* - i było dość.

s. 135

*Mumiarum domino* - do właściciela mumii.

*Arbor caritatis* - drzewo miłości.

s. 154

*Ut ita dicam* - by tak powiedzieć.

*Roma subterranea* - Podziemny Rzym.

s. 155

*Custos reliquiarum ac coemeteriorum* — strażnik relikwii i cmentarzy.

s. 159

*Palmam (...) esse.* - Palmę i naczynie pomazane ich krwią należy uznać za całkowicie pewne znaki.

S. 160

*Adoramus quod scimus.* — Czczymy to, co znamy.

*Incipit* ~ początek.

s. 164

' *Flatus ventris* - wiatry.

s. 167

*Super Hieremiam* - Komentarz do Księgi Jeremiasza.

-, *Oraculum Cyrilli* - Wyrocznia Cyryla.

s. 168

*Apocalypsis nova* - Nowa Apokalipsa.

*Unum ovileetunus Pastor* -jedna owczarnia i jeden Pasterz.

s.170

*In extrema (...) populum.* - Podczas najgorszych prześladowań Świętego Kościoła Rzymskiego siedzieć będzie Piotr rzymski, który będzie pał owiecz-

ki pośród wielu mąk. Gdy one się zakończą, miasto na siedmiu wzgórzach zostanie zburzone, a srogi sędzia będzie sądzić lud.

s. 188

*Liberaliter* - szczerze.

s. 197

*Breviter et commoditer* - pokrótce i stosownie.

s. 213

*Omissi* - pominięci.

s. 214

*De Fato Siderali vitando* - Unikaniu Fatum zapisanego w gwiazdach.

s. 219

*Fundamentum (...) Arietis*. - Generalną podstawą w obrotach lat świata jest wejście Słońca w pierwszy punkt Barana.

s. 220

*Lunam (...) vitam*. - Księżyc w opozycji do Mafsa przynosi jadowite choroby i jak w znakach ognistych szybko i nieczęsto wyznacza kres życia.

*Eo item (...) corrumpit*. - Dlatego też na osi Ziemi i w znaku Ziemi, gdy Merkury go śledzi, a pomyślne znaki przezeń ustępują, wróży on trzęsienia ziemi, wyprowadza z ziemi ognie, powoduje strach i rozruchy, niszczy kopalnie i ziemskie żyły siarki.

s. 222

*Magnus* - wielki.

*Medici (...) homicidis*. - Lekarze nieznający astrologii są gorsi od szpiegów i zabójców.

s. 223

*Membrum (...) dominatur*. - Niech nie obcina żelazem członka, gdy księżyc jest w znaku, który nad tym członkiem panuje.

s. 225

*Vis Magnetica* - siła magnetyczna.

s. 227

*Ad maiorem Dei gloriam* - ku większej Boskiej chwale.

*Geometrica et mathematica* -- geometrycznie i matematycznie.

s. 229

*Oedipus Aegyptiacus - Edyp egipski.*

s. 233

*Liber Josue (...Jttram.*

Księga Jozuego

Po hebrajsku Jehoshua

Rozdział pierwszy

Po śmierci Mojżesza, sługi Pana, rzekł Pan do Jozuego, syna Nuna, pomocnika Mojżesza: Mojżesz, sługa mój, umarł; teraz więc wstań, przeprow się przez ten oto Jordan, ty i cały ten lud, do ziemi, którą Ja daję Izraelitom.

Każde miejsce, na które zstąpi wasza noga, Ja wam daję, jak zapowiedziałem Mojżeszowi. Od pustyni i od Libanu aż do Wielkiej Rzeki, rzeki Eufrat, cała ziemia Chetytów aż do Wielkiego Morza, w stronę zachodzącego słońca, będzie waszą krainą. Nikt się nie ostoï przed tobą przez wszystkie dni twego życia. Jak byłem z Mojżeszem, tak będę z tobą, nie opuszczę cię ani porzucę.

Bądź mężny i mocny, ponieważ ty rozdasz temu ludowi w posiadanie ziemi [...]

(tekst za: *Biblia Tysiąclecia*)

s. 254

*Theatrum Vitae Humanae - Teatr życia ludzkiego*

*Fundamentum Doctrinae motus gravium Vitali Iordani - Vitale Giordano, Podstawy teorii grawitacji*

*Tractatus de Ordine Iudiciorum - Traktat o porządku rozpraw sądowych*

*Institutiones ac meditationes in Graecam linguam - Pouczenia i rozważania na język grecki*

*De arte Gymnastica — O gimnastyce*

*Vocabularium Ecclesiasticum- Wokabularz kościelny*

*Pharetra divini Amoris - Kołczan boskiego Amora*

*Ephemerides Andreae Argoli - Andreas Argoli, Dziennik*

*Medicina Septentrionalis — Medycyna północy*

*Liber observationum medicarum Ioannes Chenchi - Jan Chenchi, Księga badań lekarskich*

*Commentarium Ioannis Casimiri in Hippocratis Aphorismos - Komentarz Jana Kazimierza do „Aforyzmów” Hipokratesa*

*Enciclopedia Chirurgica Ratonalis - Encyklopedia chirurgiczna na rozumie oparta*

*Ioannis Tiracordae - Jana Tirakorda.*

s. 258

*Prophethia Malachiae (...) tuum? - Proroctwo Malachiasza*

## Rozdział I

Mowa Pana do Izraela za pośrednictwem Malachiasza. Umiłowałem was - mówi Pan - wy zaś pytacie: W czym się przejawia, że nas umiłowałeś? Czyż Ezaw nie był bratem Jakuba? - wyrocznia Pana - a Ja [jednak] umiłowałem Jakuba. Ezawa zaś miałem w nienawiści i oddałem góry jego na spustoszenie, a dobytek jego szakalom pustyni. Choćbyś powiedział, Edomie: Zubożeliśmy, ale odbudujemy z powrotem miejscowości zniszczone - tak [oto] mówi Pan Zastępów: Oni niech budują, Ja jednak rozwalę i będą ich nazywać granicą zła, i ludem, na którego Pan zapalał gniewem. Oto oczy wasze będą to oglądały i powiecie: Potężnym okazał się Pan [nawet] poza granicami Izraela. Syn powinien czcić ojca, a sługa swego pana. Lecz skoro Ja jestem Ojcem, gdzież jest cześć moja, a skoro Ja jestem Panem, gdzież szacunek dla Mnie? [To] mówi Pan Zastępów do was, o kapłani: Lekceważycie imię moje, a jednak pytacie: Czym to okazaliśmy lekceważenie Twemu imieniu?

(tekst za: *Biblia Tysiąclecia*)

s. 274

*Lapis philosophorum Leonardi* - kamień filozoficzny Leonarda.  
*Misce!*- Mieszaj!

s. 286

*Virga ardens* - różdżka gorejąca.

s. 287

*Galeni opera* - dzieła Galena.  
*Opera omnia* - dzieła wszystkie

s. 293

*Ecce Homo* - Oto człowiek.

s. 302

*Defurtivis litterarum notis* - O tajemnym znaczeniu liter.  
*Saltus indecentes* - nieodpowiednie przeskoki.  
*Ictu oculi* - na rzut oka.

s. 303

*Musurgia universalis* - Teoria ogólna tworzenia muzyki.

s. 311

*Ad abundantiam* - w nadmiarze.  
*De divinatione* - O wróżbiarstwie.

s. 312

*Lucerna (...) meis.* - Twoje słowo jest lampą dla moich stóp i światłem na mojej ścieżce. (Księga Psalmów 118, 105) (tekst za: *Biblia Tysiąclecia*).



*De materia medica - O środkach leczniczych.*  
*Historia natural de las Indias - Historia naturalna Indii.*

s. 315

*Remedium* - środek zaradczy.

s. 332

*Optimo (...)debelletur.* - Najlepszemu przyjacielowi Mikołajowi Fouquet... właścicielowi mumii... ostateczny dar ... tajemnica zarazy ... tajemnica choroby .... aby zaraza została pokonana.

s. 335

*Secretum pestis* - tajemnica zarazy.

*Vermiculi animati* - żywe robaczki.

*Secretum morbi (...) celant.* - Choroba wzrastając śmiertelnicy powiększa się dziedzictwo niespodziewanie się kończy

na przemian zaraza pojawia się i ustępuje

w nieskończoność się odnawia

sekret życia kryją tajemne przeszkody.

*Ad infinitum* - w nieskończoność.

s. 336

*Secretum morbi* - tajemnica choroby.

*Secretum vitae* - sekret życia.

*Senescit ex abrupto* - niespodziewanie się kończy.

s. 342

*Olim* - dawno, ongiś.

s. 343

*Fugit (...) perseauente.* - Ucieka występny, choć go nikt nie goni. (Księga Przysłów 28, 1) (tekst za: *Biblia Tysiąclecia*).

s. 347

*Recipe!* - Przyjmij!

s. 348

*Gratia dei* - boża łaska.

s. 353

*Vis attractiva* - siła przyciągająca.

*Anguis stupidus* - niemądry wąż.

*Primum* - po pierwsze.

s. 354

*Et cetera*- itp.

*Principium similitudinis* - zasada podobieństwa.

*Magnetismus musicae* - magnetyzm muzyki.

s. 369

*Urbs subterranea* - podziemne miasto.

s. 392

*Morbus (...) abrupto*. - Choroba wzrasta jak śmiertelnicy, niespodziewanie się kończy.

S.402

*Animalcula* - zwierzątko.

*Animalculum* - zwierzątko.

s. 404

*Daemunculus subterraneus* - zły duch podziemny.

*Daemunculi subterranei* - złe duchy podziemne.

s. 433

*Mundus subterraneus* - świat podziemny.

s. 438

*Venimus, vidimus. Deus vicit*. - Przybyliśmy, zobaczyliśmy, Bóg zwyciężył.

s. 449

*Te Deum* - Ciebie Boga (wystawiamy).

s. 452

*Morę uxorio* -jak z żoną.

s. 460

*In extremis* - w ostatniej chwili, w ostateczności.

s. 468

*Magnes, sive de arte magnetica* - *Magnes lub o sile magnetycznej*.

s. 481

*Acta Diversorum* - Akta spraw różnych.

s.483

*De Gloria Oltiae* - Z chwały oliwy.

*Fides intrepida* - Wiara nieustraszona.

*Pastor angelicus* - Pasterz anielski.  
*Pastor et tiarifici-fasierz i żeglarz.*

S. 484

*Flosflorum* ~ Kwiat kwiatów.  
*De Medietate Lunae* - Z połowy księżyca.  
*De labore solis* - Z pracy słońca.

s.485

*Stati animarum* - stan dusz.

s. 488

*Disiecta membra* - rozrzucone członki.

s. 501

*Quod erat demonstrandum* - czego należało dowieść.  
*De suppositiis militaribus stipendiis Benedicti Odescalchi* — O przypuszczalnych dochodach wojskowych Benedykta Odescalchi.

s. 517

*Ad confutandum* - aby odrzucić, aby zbić.

s. 518

*Non datur omnibus adire Corinthum.* - Wszystkim nie jest dane przybyć do Koryntu.  
*Avenionem* - Awinionu.

## Lista utworów muzycznych na CD

Szanowny Czytelniku,

czytaj, słuchaj i zanurz się w tę magiczną atmosferę! W czasie czytania *Impri-matur* słuchaj utworów muzycznych, które ilustrują fragmenty powieści oznaczone

- I. Jean-Baptiste Lully - *Chaconne des Harleauins*  
Arcadia Baroque Ensemble, Kevin Mallon (s. 48)
2. Luigi Rossi - *A chi vive ogn 'or contento (Canzonette amorose)*  
Schola Cantorum Basiliensis (s. 114)
3. Luigi Rossi - *In guesto dum esilio*  
Schola Cantorum Basiliensis (s. 121)
4. Robert de Visee (Devize) - *Chaconne des Harleauins de Mr. Lully*  
Jose Miguel Moreno (s. 141)
5. Luigi Rossi - *Amanti, sentite ( Sonfaci le Stelle - s. 204 / A petto eh 'adora - s. 345 / Chi giace nel sonno - s. 350 )*  
Schola Cantorum Basiliensis
6. Francois Couperin - // *misterioso rondo*  
Margit-Anna Suss ( s. 224-226)
7. Luigi Rossi - *Ma, quale pena infinita*  
Schola Cantorum Basiliensis (s. 232)
8. Robert de Visee - *Gigue en sol majeur*  
Jose Miguel Moreno (s. 238)
9. Robert de Visee - *Chaconne*  
Jose Miguel Moreno (s. 238)
10. Luigi Rossi - *Ahi, dunqu 'epur vero*  
Schola Cantorum Basiliensis (s. 246)
- II. Luigi Rossi - *Lascia speranza, ohime*  
Schola Cantorum Basiliensis (s. 247)
12. Francesco Corbetta - *Le Caprice Royal (Fantasie caprice de chaconne)*  
Andrew Lawrence-King (s. 301)
13. Luigi Rossi - *O biondi tesori*  
Schola Cantorum Basiliensis (s. 351)

List do Kongregacji do Spraw Świątych .....	7
Pamiętnik .....	19
Dzień pierwszy, 11 września 1683 roku.....	21
Noc pierwsza, z 11 na 12 września 1683 roku.....	38
Dzień drugi, 12 września 1683 roku.....	47
Noc druga, z 12 na 13 września 1683 roku. ....	94
Dzień trzeci, 13 września 1683 roku .....	104
Noc trzecia, z 13 na 14 września 1683 roku .....	148
Dzień czwarty, 14 września 1683 roku.....	163
Noc czwarta, z 14 na 15 września 1683 roku.....	189
Dzień piąty, 15 września 1683 roku.....	218
Noc piąta, z 15 na 16 września 1683 roku.....	248
Dzień szósty, 16 września 1683 roku.....	271
Noc szósta, z 16 na 17 września 1683 roku .....	290
Dzień siódmy, 17 września 1683 roku.....	308
Noc siódma, z 17 na 18 września 1683 roku.....	322
Dzień ósmy, 18 września 1683 roku .....	340
Noc ósma, z 18 na 19 września 1683 roku . ....	357
Dzień dziewiąty, 19 września 1683 roku. ....	375
Noc dziewiąta, z 19 na 20 września 1683 roku.....	398
Wydarzenia, które nastąpiły między 20 a 25 września 1683 roku.....	434
Wydarzenia roku 1688 .....	452
Wrzesień 1699.....	458
<i>Addendum</i> .....	464
Przypisy.....	485
Innocenty XI i Wilhelm Orański. Dokumenty.....	495
Objaśnienia fragmentów łacińskich .....	526
Lista utworów muzycznych na CD.....	535